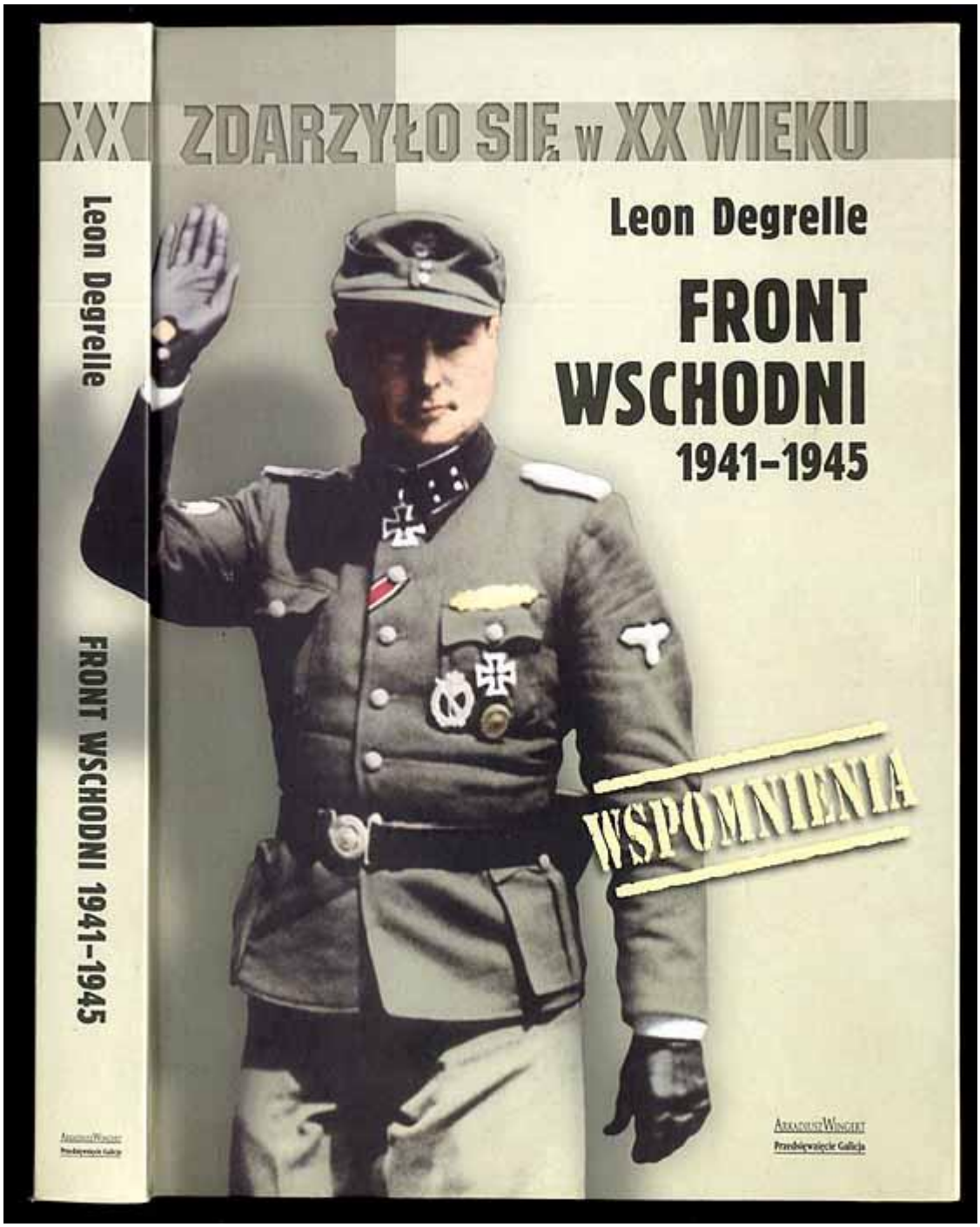

Leon Degrelle
FRONT WSCHODNI 1941-1945
Tytuł oryginału: Front de l'Est 1941-1945
Przekład: Dorota Tararako-Grzesiak
Redakcja, posłowie i aneksy: Paweł Piotr Wieczorkiewicz
Copyright © by Leon Degrelle Ali rights reserved.
Copyright © for Polish Edition by Arkadiusz Wingert Międzyzdroje 2002
Wydawnictwo Arkadiusz Wingert
ISBN 83-916048-3-7 (broszura)
wydawnictwo „Przedsięwzięcie Galicja"

Spis treści

Od wydawcy

Przedmowa
I Szturm na Ukrainę
Podbita Ukraina
Dniepropietrowsk
Front błota
Wioska
II
Zima w Zagłębiu Donieckim
Lodowe drogi
Boże Narodzenie w Szerbinowce
Włosi w Zagłębiu Donieckim
Wyjący step
Kozacy
Róża Luksemburg
Odwilż i mróz
Dni w piekle
Gromowaja Bałka
Front lodu
III
Bitwa o Charków
Jablenska
Pięćdziesiąt stopni
Brzegi Dońca
Pułapki i krew
Kierunek Azja!!!
IV
Piechotą na Kaukaz
Przeprawa przez Don
Kubań
Majkop
Pułapka na myszy
Pruska
Tieriakow
Krwawy wąwóz
126 godzin
Armenia
Na czatach
Puszcza i góry
Wichury i przepaście
Indiuk
Ostatni
V
Przyparci do Dniepru
Powrót nad Dniepr
Olszanka
Niemy las
Krew w gęstwinie
Irdyń
Święta
Sakriewka
Pierwsze rysy
Tieklino
Siedemset bunkrów
Potrzask zamyka się
VI
Okrążeni w Czerkasach
Wiazowoka
Postoje
Starosielie

Skitie
Trzydzieści kilometrów
Przyczółek
Minus pięć
Wymarsz z Korsunia
Nowo-Buda
Dwustu poległych
Szenderowka
O godzinie dwudziestej trzeciej
Ostatnia noc
Na przełaj
Łysianka
Wąskie gardło
U Hitlera
Bruksela
VII
Estońska epopeja
Pod Narwą
Zatoka Fińska
Twarzą w twarz
Wiatrak w Paczce
Kambja
Lemmatsi
Embach
Noc w Nola
Trzydzieści dwa
Rommel i Montgomery
VIII
Ardeński potrzask
Nagły zwrot
Boże Narodzenie w Belgii
Utracone drogi
Dni oczekiwania
Pewnego ranka
IX
Śmiertelna walka na Pomorzu
Pod Stargardem
Lindenberg (Lubiątowo)
Ostatnia ofensywa
Mat
Potop
Stargard w rękach Sowietów
Ścigani przez czołgi
Augustenwalde
Most w Szczecinie
Agonia nad Bałtykiem
Berlin, 20 kwietnia
Żegnaj Odro
W stronę Lubeki
Rosjanie będą tu rano
„Hitler nie żyje”
Malente
Kilonia-Kopenhaga
Partyzanci i Anglicy
Oslo, 7 maja 1945
XI
Życie
Aneksy
I. Leon Degrelle

II. Dywizja „Walonia”
III. Zwięzła chronologia jednostki
Posłowie: Rycerski epos Leona Degrelle'a

Od wydawcy

Szanowny Czytelniku!
Oddajemy do Twoich rąk książkę, która otwiera nową serię wydawniczą, poświęconą dziejom ostatniego stulecia.
W ramach cyklu „ZDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU” przygotowujemy książki rozmaitych rodzajów: od wspomnień, poprzez biografie, syntezy, po dokumenty, które z wielu względów zasługują na przedstawienie polskiemu czytelnikowi.
Przy doborze prezentowanych autorów i tytułów będziemy wystrzegali się popularyzatorskich kompilacji poszukujących sensacji, jak również „ciężkostrawnych” prac dydaktycznych.
Nie określamy liczby tytułów, które zaproponujemy. O obecności serii na rynku księgarskim zadecydują sami czytelnicy. Jeśli przy tym zainteresujemy naszą lekturą zarówno badacza-profesjonalistę, jak i hobbystę-miłośnika najnowszej historii, będzie to oznaczało, że udało się nam zrealizować zamierzony cel.

Arkadiusz Wingert i Michał Zych

Przedmowa

W 1936 roku byłem najmłodszym przywódcą politycznym w Europie.
W wieku dwudziestu dziewięciu lat wprowadziłem mój kraj w stan wibracji, która przeniknęła Belgię do jej trzewi. Setki tysięcy mężczyzn, kobiet, młodych chłopców, dziewcząt, podążało za mną z wiarą i bezgranicznym oddaniem. Jak huragan wprowadziłem dziesiątki deputowanych i senatorów do belgijskiego parlamentu. Mogłem być ministrem: wystarczyło jedno moje słowo, by wejść w partyjne układy.
Wolałem jednak, z dala od oficjalnego bagna, kontynuować ciężką walkę o porządek, sprawiedliwość, uczciwość, ponieważ byłem oddany ideałom, które nie uznawały ani kompromisów, ani podziałów.
Pragnąłem uwolnić mój kraj od dyktatorskiej władzy pieniądza, która korumpowała polityków, niszczyła instytucje, burzyła moralność, rujnowała gospodarkę i rynek pracy. Anarchicznemu reżimowi starych partii, zhańbionych trędowatymi skandalami polityczno-finansowymi, chciałem legalnie przeciwstawić Państwo: silne i wolne, uporządkowane, odpowiedzialne, reprezentatywne dla prawdziwych sił narodu.
Nie chodziło tu ani o tyranię, ani o „faszyzm”. Chodziło o rozsądek. Żaden kraj nie może żyć w chaosie, niekompetencji, nieodpowiedzialności, niepewności, rozkładzie.
Domagałem się przestrzegania prawa, kompetencji osób na stanowiskach publicznych, obecności państwa w przedsiębiorstwach narodowych, rzeczywistego, bezpośredniego kontaktu między masami i władzą, rozumnej i kreatywnej zgody wśród obywateli, których dzieliły i przeciwstawiały sobie jedynie sztuczne konflikty: klasowe, religijne, językowe, podtrzymywane i karmione z wyjątkową troską, ponieważ stanowiły sens bytu rywalizujących partii, z hipokryzją prowadzących widowiskowe dysputy, aby później, po cichu dzielić między siebie lukier władzy.
Wdarłem się z kańczugiem w garści pomiędzy tych skorumpowanych łotrów, którzy wysysali żywotne siły mej ojczyzny. Wychłostałem ich i napiętnowałem. Na oczach ludu zniszczyłem pobielane groby, pod którymi ukrywali swą podłość, swe oszustwa, swe lukratywne konszachty. Sprawiłem, że nad moim krajem przeszedł powiew młodości i idealizmu; rozbudziłem siły duchowe, pamięć o walce i sławie ludu niezłomnego, pracowitego, kochającego życie.
„Rex” był reakcją na korupcję tamtych czasów. „Rex” był ruchem odnowy politycznej i sprawiedliwości społecznej. „Rex” był przede wszystkim płomiennym zrywem ku wielkości, wybuchem tysięcy dusz, które pragnęły oddychać, promienieć, wznieść się ponad nikczemność reżimu i epoki.
Na tym polegała moja walka do maja 1940 roku.
Druga wojna światowa — którą przekląłem — zdruzgotała wszystko w Belgii, jak i wszędzie. Stare instytucje, doktryny waliły się jak zamki ze spróchniałego drewna, od dawna toczone przez robactwo.

„Rex” nie był w żaden sposób powiązany z triumfującą Trzecią Rzeszą ani z jej przywódcą, ani z jego partią, ani z którymkolwiek z jej wodzów czy propagandystów. „Rex” był ruchem na wskroś, narodowym, całkowicie niezależnym. Przewertowano wszystkie archiwa Trzeciej Rzeszy — nie zdołano w nich znaleźć nawet najmniejszego śladu jakiegokolwiek powiązania (bezpośredniego czy pośredniego) reksizmu z Hitlerem przed inwazją 1940 roku.
Nasze ręce były nieskalane, nasze serca były czyste, nasze umiłowanie ojczyzny: jasne i płomienne, wolne od wszelkich kompromisów.
Niemiecki atak nie spowodował w naszym kraju żadnego przewartościowania postaw.
Dla dziewięćdziesięciu dziewięciu procent Belgów czy Francuzów w lipcu 1940 roku wojna była skończona; zwycięstwo Rzeszy było faktem, do którego zresztą stary demokratyczny i finansowy reżim pragnął jak najszybciej się dostosować!
Każdy, spośród miotających obelgi na Hitlera w 1939 roku, jak najszybciej rzucił się do stóp zwycięzcy w 1940 roku: szefowie największych partii lewicowych, magnaci finansowi, właściciele najpoważniejszych dzienników, masońscy ministrowie, były rząd — wszyscy błagali, oferowali, żebrali o jeden uśmiech, możliwość współpracy.
Czy należało ustąpić miejsca zdyskredytowanym działaczom starych partii, finansowym gangsterom, dla których jedyną ojczyzną jest złoto, albo łotrzykom bez talentu, bez dumy, gotowym wykonać najpodlejszą służalczą robotę, by tylko zaspokoić swą chciwość czy ambicję?
Problem był nie tylko patetyczny: był pilny. Niemcy wydawali się prawie wszystkim obserwatorom ostatecznymi triumfatorami. Trzeba było podjąć decyzję. Czy mogliśmy ze strachu przed odpowiedzialnością zdać nasz kraj na łaskę losu?
Zastanawiałem się przez wiele tygodni. I dopiero kiedy zwróciłem się do Pałacu Królewskiego i otrzymałem opinię jak najbardziej przychylną, postanowiłem zgodzić się na wznowienie wydawania dziennika reksistowskiego „Pays reel”
Belgijska kolaboracja, podjęta pod koniec 1940 roku, przebiegała mimo wszystko w ciężkiej atmosferze. Oczywiście niemieckie władze okupacyjne darzyły dużo większym poważaniem kręgi kapitalistyczne, niż siły patriotyczne. Nikt nie był w stanie przewidzieć, co wymyślą Niemcy.
Król Belgów Leopold III chciał mieć jasność sytuacji i zdobyć precyzyjne informacje. Poprosił Hitlera o spotkanie. Otrzymał zgodę, lecz powrócił z Berchtesgaden z niczym — nic nie osiągnął, niczego nowego się nie dowiedział.
Stało się jasne, że nasz kraj będzie musiał poczekać na pokój. Lecz po jego zawarciu może być za późno. Musieliśmy zdobyć jeszcze przed zakończeniem konfliktu prawo do prowadzenia efektywnych negocjacji.
Jak osiągnąć taką pozycję?
Kolaboracja wewnątrz kraju była operacją powolnego inwestowania, codziennej, męczącej walki o wpływy, prowadzonej przeciwko ograniczonym urzędniczynom. Taka praca nie przyniesie żadnej chwały temu, kto ją podejmie, ale raczej go zdyskredytuje.
Nie chciałem wpaść w tę pułapkę. Szukałem, czekałem na coś innego. I to coś wybuchło zupełnie nagle: była to wojna 1941 roku przeciwko Sowietom.
Miałem w zasięgu ręki jedyną okazję, by zdobyć szacunek Rzeszy dzięki walce, cierpieniu i chwale. W 1940 roku byliśmy pokonanymi, nasz król stał się zakładnikiem.
W 1941 roku niespodziewanie dano nam okazję, by stać się towarzyszami broni zwycięzców, całkowicie im równymi. Wszystko zależało od naszej odwagi. Mieliśmy nareszcie możliwość zdobycia chwalebnej pozycji, która pozwoliłaby nam w dniu reorganizacji Europy wystąpić z wysoko podniesionym czołem w imieniu naszych bohaterów, w imieniu naszych poległych, w imieniu narodu, który złożył w darze swą krew.
Oczywiście, ruszając na wschodnie stepy chcieliśmy spełnić obowiązek Europejczyka i chrześcijanina. Ale, mówmy otwarcie — głosiliśmy to jasno i wyraźnie od pierwszego dnia walki — złożyliśmy ofiarę z naszej młodości przede wszystkim po to, by zapewnić przyszłość naszego narodu w łonie ocalonej Europy. To dla niego ginęły tysiące naszych towarzyszy. To dla niego tysiące ludzi walczyły: walczyły przez cztery lata i cierpiały przez cztery lata.
Rzesza przegrała wojnę.
Ale równie dobrze mogła ją wygrać. Do 1945 roku zwycięstwo Hitlera było możliwe. Gdyby Hitler wygrał, uznałby, jestem tego pewien, prawo naszego narodu do życia i budowania swej potęgi, prawo, które zdobyły dla Belgii w trudzie i mozole tysiące naszych ochotników.
Potrzebowali dwóch lat ciężkiej walki, by przyciągnąć uwagę Rzeszy. W 1941 roku belgijski legion antybolszewicki „Walonia” nie był jeszcze zauważany. Nasi żołnierze musieli wielokrotnie ponawiać akty odwagi, sto razy ryzykować własnym życiem, zanim wznieśli imię swej ojczyzny do poziomu legendy. W 1943 roku nasz ochotniczy legion zasłynął na całym Froncie Wschodnim

dzięki swemu idealizmowi i niezwykłej odwadze. W roku 1944 osiągnął szczyt sławy, podczas odysei czerkaskiej. Naród niemiecki, bardziej niż jakikolwiek inny, jest wrażliwy na żołnierską chwałę. Nasza postawa moralna okazała się wyjątkowa, o wiele wyższa niż jakiegokolwiek innego narodu pod okupacją.
Tamtego roku spotkałem się z Hitlerem dwa razy. Były to spotkania żołnierzy, ale jasno mi pokazały, że wygraliśmy partię. Fuhrer, mocno ściskając moją rękę w swych dłoniach w chwili pożegnania powiedział do mnie z uczuciem: „Gdybym miał syna, chciałbym, żeby był taki jak pan". Jak, po wszystkich naszych bitwach, odmówić mojej ojczyźnie prawa do honorowego życia? Marzenie naszych ochotników zostało osiągnięte: w przypadku triumfu Niemców, mieli gwarancję odrodzenia i odbudowy potęgi swego narodu. Zwycięstwo Aliantów sprawiło, że niezwykły wysiłek czterech lat wojny, poświęcenie poległych, cierpienia tych, którzy przeżyli, okazały się chwilowo niepotrzebne.
Po klęsce cały świat szydził z pokonanych. Nasi żołnierze, ranni, inwalidzi zostali skazani na śmierć lub pozamykani w obozach i w najcięższych więzieniach. Niczego nie uszanowano ani żołnierskiego honoru, ani naszych rodziców, ani naszych domów.
Chwała jednak nigdy nie jest daremna. Wartości zdobyte w bólu i poświeceniu są silniejsze niż nienawiść i śmierć. I tak jak słońce odradzające się po głębokiej nocy, wcześniej czy później rozkwitną na nowo.
Przyszłość pójdzie dalej niż ta rehabilitacja. Nie tylko złoży hołd bohaterstwu żołnierzy z Frontu Wschodniego Drugiej Wojny Światowej. Lecz również przyzna, że mieli rację; że mieli rację w sensie negatywnym, bo bolszewizm jest końcem wszelkich wartości; że mieli rację w sensie pozytywnym, bo Europa Zjednoczona, dla której walczyli, jest jedyną możliwością przeżycia — i być może ostatnią — starego, wspaniałego kontynentu, przystani łagodności i ludzkiego zapału, kontynentu, który jednak został podzielony, rozdrobniony, śmiertelnie rozdarty...
Być może nadejdzie dzień, w którym pożałujemy, że obrońcy i twórcy Europy ponieśli w 1945 roku porażkę.
A na razie opowiedzmy prawdziwymi słowami o ich epopei, o tym, jak walczyli, jakie cierpienia znosiły ich ciała, jak gorące były ich serca.
Poprzez opowieść o belgijskich ochotnikach — jednostce jednej z wielu — na nowo odżyje cały front rosyjski, słoneczne dni wielkich zwycięstw i jeszcze bardziej poruszające dni wielkich klęsk, klęsk, które narzucała materia, a których umysł nie chciał zaakceptować.
Tam, na bezkresnych stepach żyli nasi ludzie.
Czytelnik, przyjaciel czy wróg, przeżyje ich wskrzeszenie, ponieważ żyjemy w czasach, kiedy trzeba długo szukać, aby znaleźć prawdziwych mężczyzn, a nasi żołnierze byli prawdziwi do szpiku kości.

L. D.

I
Szturm na Ukrainę

Dzień 22 czerwca 1941 roku zaczął się jak wszystkie inne piękne letnie niedziele.
Z roztargnieniem przekręciłem gałkę radia. Nagle, płynące słowa przykuły moją uwagę: wojska III Rzeszy przekroczyły europejską granicę ZSRR!
Kampania w Polsce w 1939 roku, kampania w Norwegii, kampania w Holandii, w Belgii, we Francji w 1940 roku, kampania w Jugosławii i w Grecji wiosną 1941 roku były jedynie introdukcją. Prawdziwa wojna, w której stawką będzie przyszłość Europy i świata, zaczynała się właśnie teraz. Nie była to już wojna o granice czy wpływy. Było to wojna religijna. I jak wszystkie wojny religijne — okrutna.
Rzesza, nim rzuciła oddziały pancerne na stepy, długo przezornie wyczekiwała, niczym kot na łowach.
Narodowosocjalistyczne Niemcy w 1939 roku podjęły bezprecedensowy wysiłek. Powstały wśród tak potężnych wyładowań elektrycznych, w grzmocie i oślepiającym blasku tak gwałtownej burzy, że cała Europa, cały świat poczuły przejmujące dreszcze. Gdyby wszyscy ich wrogowie z Zachodu ruszyli na Nadrenię i Zagłębie Ruhry, gdyby jednocześnie hordy sowieckie rzuciły się na Prusy Wschodnie, Hitler zostałby najprawdopodobniej pokonany. Chętnie powtarzał, że Wilhelm II przegrał wojnę 1914-1918 ponieważ nie zdołał uniknąć walki na dwóch frontach. Sam jednak posunie się jeszcze dalej. I pewnego dnia ujrzymy na zgliszczach Kancelarii Rzeszy w Berlinie kroczących ramię w ramię nie tylko Szkotów i rosyjskich muzyków, ale także czarnych z Harlemu i cierpliwych Kirgizów z azjatyckich stepów.

***

W sierpniu 1939 roku, w przeddzień rozpoczęcia wojny z Polską, Hitler uniknął zduszenia in extremis. Stalin miał zamiar uregulować stare porachunki z narodowym socjalizmem: jego współpraca z „demokracjami" wydawała się więc z góry zapewniona. Londyn i Paryż wysłały do sowieckiego „cara" misje wojskowe, z których hałaśliwa reklama uczyniła prawdziwe gwiazdy. W tym czasie, w najgłębszej tajemnicy, Hitlerowi udało się rozluźnić pętlę.

Stalin, podobnie jak on, grał bardzo sprytnie. Mając na uwadze własne interesy, miał zamiar pozwolić, by we wzajemnej konfrontacji wyczerpały swe siły demokracje plutokratyczne i narodowy socjalizm. Był wrogiem zarówno jednych, jak i drugich. Im będą słabsi, tym łatwiejsze w gruncie rzeczy będzie zadanie dla komunizmu. Stalin prowadził swą grę jak podstępny Azjata, jak szef międzynarodowego gangu, pewny swych zbirów. Mógł ostentacyjnie sprzymierzyć się z III Rzeszą. Nigdzie na świecie komunizm nie napotykał na najmniejszy opór.

Efekty tej niezwykłej solidarności dały się szybko odczuć. Rozpętano wojną światową, ponieważ Hitler zaatakował Polskę. To samo uczynił Stalin siedemnaście dni później. Ale w tym przypadku Sprzymierzeni nie zaryzykowali nawet najmniejszego działania.

A przecież sowiecki przywódca wbił osłabionej Polsce nóż w plecy. Mógł ją bezkarnie zasztyletować. Zajął przeszło jedną trzecią jej ziem.

Alianci nie zdecydowali się wypowiedzieć wojny Związkowi Sowieckiemu. Ta moralna i wojskowa rezygnacja wznieciła w komunistycznych bandach rozrzuconych po całej Europie płomień nadziei. Stalin wzbudzał strach! Ustąpiono mu! To, co było nie do zaakceptowania w wydaniu Hitlera, przyjęto w wydaniu Sowietów!

„Demokracje" przełykały żaby, zaskrońce, skorpiony, morały i zasady, ponieważ obawiały się umocnienia przymierza Stalina z III Rzeszą. Obawiały się również, że partie komunistyczne starannie przygotowują lub że nawet już rozpoczęły sabotaż w łonie każdego z państw alianckich. Własne korzyści jak zwykle okazały się ważniejsze od wszelkich innych względów.

W rzeczywistości tak zwana „wojna prawicy" trwała zaledwie piętnaście dni.

Od września 1939 roku Alianci kierowali się tylko jedną myślą: nie ponaglać ZSRR, doprowadzić do ugody ze Stalinem, pomimo ataku Sowietów na ich polskich sprzymierzeńców.

Stalin mógł wysuwać kolejne żądania, położyć kres niepodległości Estonii, Łotwy, Litwy, wydrzeć Rumunom Besarabię. Liczyła się tylko jedna rzecz: doprowadzić do tego, aby Rosjanie zmienili front. Dokonano tego w niecałe dwa lata.

***

Niemcy wygrali w 1939 i 1940 roku kampanie w Polsce, Norwegii i na Zachodzie. Ale „walczyli przez przeszło pięćset dni i nie osiągnęli najważniejszego celu — nie wylądowali na ziemi angielskiej.

Anglia ze swej strony, w 1941 roku nie była w stanie podjąć walki na kontynencie europejskim: Churchill mówił o wieloletnich przygotowaniach.

Stalin miał więc wolną drogę. Wolną w kierunku Rzeszy. Wolną przede wszystkim na Bałkanach. Gra stawała się coraz ostrzejsza.

Niemcy zręcznie przesunęli swe pionki w stronę Bukaresztu, w stronę Sofii i Belgradu. Nagła decyzja Jugosławii, która zerwała w marcu 1941 roku zawarty osiem dni wcześniej pakt z Rzeszą, doprowadziła do decydującego przesilenia. Sowieci, potajemni podżegacze całej operacji, którzy sięgali wzrokiem dalej niż marionetka brytyjskiego wywiadu, młody król Piotr, publicznie wyrazili poparcie dla rządu jugosłowiańskiego.

Oczywiście niemieckie samoloty i czołgi zniszczyły w dwa tygodnie Belgrad, Sarajewo, Saloniki i Ateny; spadochroniarze marszałka Goringa zajęli Kretę. Jednak rysa w stosunkach niemiecko-sowieckich była wyraźna. Przymierze z Rzeszą dobiegało kresu. Dało Sowietom wszystko, czego Stalin mógł oczekiwać: jędrny kawałek Polski, kraje nadbałtyckie, strategiczne pozycje w Finlandii, wspaniałą Besarabię.

Hitlerowska cytryna została wyciśnięta do cna. Nadszedł czas na wyciskanie kolejnej cytryny; cytryny demokratycznej. Wiemy, jaki sok przyniesie w końcu ta cytryna Sowietom w 1945 roku: okupacja terenów zamieszkałych przez dwieście milionów Europejczyków i Azjatów, Armia Czerwona w Turyngii, nad Łabą, pod Lubeką, w Petsamo, w Mandżurii, w Korei, na Kurylach!

Jugosłowiański zwrot, pretensje do Bałkanów wyjawione przez Mołotowa, przygotowania wojenne Sowietów wiosną 1941 roku, nie pozostawiały Hitlerowi wątpliwości, co do ambicji ZSRR. Im dłużej będzie zwlekał, tym trudniej będzie mu przyjąć uderzenie. W celu skoncentrowania swych sił na Wschodzie, zrezygnował chwilowo z planu inwazji na Anglię. Próbował różnymi sposobami znaleźć pokojowe rozwiązanie konfliktu, który przeciwstawiał sobie Niemcy i Wielką Brytanię. Było jednak za późno. Anglicy nie byli już skłonni anulować meczu: zaczął się i nic go już nie przerwie.

Od dwóch lat każdy z krajów prowadził na zimno własne kalkulacje według odwiecznego prawa narodowego egoizmu i partykularnych interesów. Na zakończenie wszyscy doszli dokładnie do takich samych wniosków.
Rosjanie, umiejętnie popychani przez Anglików i stymulowani przez nowe przynęty, wcześniej czy później podejmą działanie. Niemcy, czując, że gra już się rozpoczęła, mogli tylko wykonać pierwszy ruch. 22 czerwca 1941 rozpoczęła się śmiertelna walka pomiędzy narodowosocjalistyczna Rzeszą i komunistyczną Rosją: dwa imperializmy, dwie religie, dwa światy starły się w morderczej walce na zgrzytających piaskach Wschodu.
***
Anglia, odizolowana od Europy morzem, posiadająca swe główne bogactwa rozrzucone na odległych kontynentach, mogła nie odczuwać rzeczywistego znaczenia tego pojedynku. Działała myśląc bardziej o własnych, bezpośrednich korzyściach — odsunięciu niebezpieczeństwa od Wyspy — niż o losie Europy w przypadku zwycięstwa Sowietów.
Natomiast dla nas, dla narodów z kontynentu europejskiego, walka ta miała decydujące znaczenie.
Gdyby zwyciężyły narodowosocjalistyczne Niemcy, wtedy stałyby się one na Wschodzie panem cudownie żyznej ziemi, leżącej tuż pod ich bokiem, połączonej z nimi siecią kolejową, rzekami, kanałami, otwartej na niemiecki geniusz organizacji i produkcji. Odradzająca się wielka Rzesza Niemiecka, oparta na doskonałym fundamencie socjalnym, rozciągająca się od Morza Północnego do Morza Czarnego i do Wołgi, stanowiłaby tak wielką potęgę, byłaby tak atrakcyjna, oferując dwudziestu narodom stłoczonym na Starym Kontynencie tak wielkie możliwości rozwoju, że jej terytoria bez wątpienia stałyby się punktem wyjścia dla utworzenia federacji europejskiej, której pragnął Napoleon, o której myślał Renan, którą prorokował Wiktor Hugo.
Jeśli natomiast wygraliby Sowieci, kto w Europie mógłby się im przeciwstawić po rozbiciu potężnego bastionu niemieckiego? Wykrwawiona Polska? Pogrążone w chaosie, skorumpowane, okupowane, ujarzmione Bałkany? Wyludniona Francja, dysponująca jedynie górnolotnymi słowami przeciwko dwustu milionom Azjatów i triumfującej ideologii komunistycznej? Grecja, Włochy, rozgadane i urocze, ze swymi ubogimi mieszkańcami, wygrzewającymi się na słońcu niczym jaszczurki? Koalicja malutkich państewek europejskich, wynik tysiącletniej wojny domowej, z których żadne nie było w stanie wystawić więcej niż stu czołgów? Zwycięstwo Sowietów nad Rzeszą oznaczało triumf Stalina rzucającego się na ciało wyczerpanej, bezbronnej Europy, aby ją zgwałcić.
Jednak Anglikom i Amerykanom nie chodziło już o ratowanie Europy dla niej samej: po prostu starali się utrzymać na Zachodzie bazę, która pozwoliłaby im bronić swego imperializmu i działać przeciwko imperializmowi sowieckiemu, byli nawet gotowi, jeśli zaszłaby taka konieczność, przekształcić pewnego dnia ten przyczółek, wybuchami jądrowymi w rozległe gruzowisko.
My, synowie Europy, myśleliśmy o życiu Europy.
Bez względu na to jak ocenialiśmy początek wojny, jak bardzo żałowaliśmy przeszłości, jak gorzka była dla nas okupacja naszych ojczyzn przez obcych, każdy z nas rozumiał, że ponad zadowoleniem czy żalem odczuwanymi od 1939 do 1941 roku przez poszczególne kraje europejskie, stała kwestia losu całej Europy.
To właśnie tłumaczy wspaniały zryw, który ogarnął niezliczonych młodych ludzi od Oslo do Sewilli, od Anvers do Budapesztu.
Nie porzucili swych ukochanych domów w Jutlandii czy w Beauce, w Ardenach czy w Puszcie, w Limburgu czy w Andaluzji, żeby służyć egoistycznym interesom Niemiec. Stanęli w obronie dwóch tysięcy lat wspaniałej cywilizacji, z myślą o baptysterium we Florencji i o katedrze w Reims, o Alkazarze w Toledo i o wieżach Brugii. Ginęli tam, niezliczeni, nie za niemiecki Dienstellen, lecz za swe stare kraje, ozłocone minionymi wiekami, i za ich wspólna ojczyznę — Europę. Europę Wergiliusza i Ronsarda, Europę Erazma i Nietzschego, Rafaela i Durera, Europę świętego Ignacego i świętej Teresy, Europę Fryderyka Wielkiego i Napoleona Bonaparte. Dokonali natychmiastowego wyboru pomiędzy tysiącletnią Europą a zagrożeniem sowieckim, przerażającą niwelacją, zalewem przez kłębiące się dzikie plemiona. Powstała młodzież z czterech stron świata. Do walki o Europę stanęli jasnowłosi giganci ze Skandynawii i krajów bałtyckich, długowąsi węgierscy marzyciele, krępi i śniadzi Rumuni, potężni Chorwaci w fiołkowych opończach, sentymentalni fantaści z Włoch, Hiszpanie o czarnych oczach, kpiarscy Francuzi, Duńczycy, Holendrzy, Szwajcarzy. Stawiły się wszystkie narody. Pojawiło się nawet kilku Anglików, w sumie tuzin, mimo wszystko aż dwunastu.
***

W łonie legionu flamandzkiego i legionu walońskiego zebrały się tysiące Belgów, podzielonych według języka. Na początku utworzyli dwa bataliony, następnie w 1943 roku, dwie brygady, a później, w 1944 roku, dwie dywizje: dywizję „Walonia" i dywizję „Langemarck".
Przez czterdzieści sześć miesięcy miałem być jednym z tych europejskich Ochotników i poznać, wraz z mymi towarzyszami, jedną z najstraszniejszych i najwspanialszych epopei, w ciągu dwóch lat dotrzeć pieszo aż do granic Azji, a potem cofać się bez końca, od Kaukazu do Norwegii, przejść od upojenia ofensywami z 1941 i 1942 roku do gorzkiej chwały klęski i wygnania, podczas gdy żółta fala zwycięskich Sowietów zalewała połowę wykrwawionej Europy.

Podbita Ukraina

W październiku 1941 roku dotarcie od granicy Rzeszy na front rosyjski zajmowało dwa, trzy tygodnie. Minęliśmy Lwów, gdzie na tramwajach powiewały małe, biało-niebieskie ukraińskie flagi. Zaraz po dotarciu na wieś, na południowym zachodzie, mogliśmy sami ocenić, jak wielką klęskę militarną zadano Sowietom. Wzdłuż drogi leżały setki wozów pancernych. Każde skrzyżowanie było prawdziwym cmentarzyskiem żelastwa.
Przedstawienie trwało jeszcze jakieś pół godziny, a później ślady walk zniknęły. Dotarliśmy do samego środka Ukrainy, Ukrainy nietkniętej, gdzie z ogromu błotnistych równin wznosiły się ku niebu setki potężnych kamieni młyńskich, długich jak zeppeliny.
Gdzieniegdzie rozciągały się spokojne wioski o białych lub błękitnych chatach, z grubymi słomianymi strzechami. Każda chatka była schowana w niewielkim wiśniowym sadzie o miedzianym połysku.
Ściany były zbudowane z gliny wymieszanej ze słomą ale okienka okalały naiwne rzeźby: ptaszki, strzałki, wieńce, które rzeźbili z drewna miejscowi artyści.
Drewniane ozdoby zostały pomalowane, podobnie jak okiennice, na żywe kolory. Okna były podwójne, szczelnie zamknięte, przedzielone parapetem szerokim na dłoń, na którym leżały otulone w watę szklane paciorki, pomarańcze lub pomidory z malowanego gipsu.
W obejściach krzątały się tęgie dziewczęta o płaskich policzkach. Jasne włosy chowały pod niebieskimi lub czerwonymi chustkami. Ubrane były w watowane kurtki, w których wyglądały jak Lapończycy. Obute po kozacku raźno brodziły w błocie, pomiędzy kwiczącymi prosiakami.
Pociąg godzinami stał w szczerym polu lub przed pojedynczymi domkami. Czasami kupowaliśmy kury, które parzyliśmy we wrzątku z lokomotywy. Ukraińskie dzieciaki z dumą pokazywały nam zadania domowe z niemieckiego. W tym samym zeszycie mogliśmy przeczytać na pierwszych stronach: „Stalin jest najpotężniejszym człowiekiem na świecie", a później, na ostatnich stronach formułkę sprawdzoną i poprawioną przez przezornego nauczyciela. „Najpotężniejszym człowiekiem na Świecie jest Hitler". Dzieciarnia nie wydawała się tym przejmować.
***
To, co widzieliśmy po drodze pozwoliło wyobrazić sobie jak wyglądały zwycięstwa we wrześniu i październiku 1941 roku. Mijaliśmy pociągi, którymi transportowano w kierunku Rzeszy nieprawdopodobne ilości jeńców wojennych Na każdym postoju biegliśmy oglądać wagony z żywym łupem. Staliśmy osłupiali przed tymi włochatymi, żółtawymi kolosami, o małych błyszczących kocich oczach. Wielu z nich było Azjatami. Przewożono ich na stojąco po osiemdziesięciu a nawet po stu w każdym wagonie. Pewnej nocy obudziły nas przerażające krzyki. Staliśmy na jakimś dworcu. Wybiegliśmy i otworzyliśmy drzwi jednego z wagonu więźniów: Azjaci, żarłoczni jak mureny, bili się wyrywając sobie kawałki mięsa. Te kawałki były mięsem ludzkim! Wagon walczył o szczątki jakiegoś zmarłego Mongoła, którego ciało zostało rozkawałkowane przy pomocy blachy z puszek po konserwach. Niektórzy poczuli się pokrzywdzeni przy podziale i doszło do bójki. Obgryzione kości wyrzucono przez kraty na zewnątrz. Okrwawione leżały rozsiane na błotnistej ziemi wokół wagonu.
Później dowiedzieliśmy się, że setki tysięcy stłoczonych w ten sposób ludzi pozostawały nieraz trzy tygodnie na nogach, karmione tylko wtedy, kiedy w pobliżu można było znaleźć żywność. Wielu z tych Azjatów, sprowadzonych z dzikich stepów, wolało obgryzać bok jakiegoś Kałmuka czy Tatara niż narażać się na śmierć głodową. Widziałem, jak wielu z nich kopało na dworcu w ziemi. Wyciągali czerwone, ruchliwe robaki, długie jak ręka. Połykali je tak, jakby połykali jajko. Grdyki robakożerców poruszały się z wyraźną satysfakcją.
Któregoś ranka dotarliśmy do rzeki Boh. Wielki metalowy most leżał na dnie doliny. Musieliśmy porzucić wszystko, co mogło przeszkadzać w marszu i rozbić obóz w mieście Pierwomajsk.
Znów mogliśmy słuchać komunikatów. Postępy nie były tak wspaniałe jak nam mówili łatwowierni kolejarze. Wręcz przeciwnie, niemiecka ofensywa traciła rozpęd: Moskwa nie została

zdobyta, podobnie jak Leningrad; w Rostowie sytuacja była niejasna. Wszędzie panował jeszcze wielki optymizm, ale już można było wyczuć pewien niepokój. Niemcy z Pierwomajska robili delikatne aluzje na temat problemów nękających dywizje rzucone tysiące kilometrów od granic Rzeszy.
Patrzyliśmy na błoto i myśleliśmy o morzu mułu, które oddzielało walczące wojska od ich dawnych baz. Jedna z dróg wychodzących z Pierwomajska prowadziła do samego Dniepru. Stało tam kilka ciężarówek zatopionych w błocie po same osie. Błoto było czarne, gęste jak smoła. Najmocniejsze silniki zawodziły. Również linie kolejowe były nieprzejezdne. Prawdopodobnie były nie remontowane od carskich czasów; pociągi poruszały się w żółwim tempie, a mimo to tory unosiły się i opadały niczym huśtawka. Ruch był niewielki, chociaż linię odbudowywano w niezwykłym pośpiechu. Sytuację dodatkowo utrudniała konieczność częstych przesiadek. Kiedy dotarliśmy do Bohu, musieliśmy zejść pieszo na dno doliny, a następnie wdrapać się na drugi brzeg nadkładając kilkanaście kilometrów w błocie. Szliśmy po kolana w wodzie.
Z powodu pozrywanych mostów właśnie w takich warunkach transportowano wszystkie posiłki przeznaczone dla Grupy Armii „Południe".
Niemieckie wojsko gnało na złamanie karku na wschód. Ta śmiała operacja mogłaby się powieść, gdyby wojna zakończyła się w bardzo krótkim czasie. Zwycięskie oddziały poradziłyby sobie jakoś na miejscu. Wojska inżynieryjne spokojnie zorganizowałyby komunikację z zapleczem, wyremontowały drogi i w ciągu kilku miesięcy odbudowałyby mosty: nie byłoby tak tragicznie.
Niefortunnie dla Rzeszy wojna nie została zakończona tak szybko, jak to prognozowało Naczelne Dowództwo. Dywizje próbowały jeszcze posuwać się naprzód, ale jesienne roztopy zamieniły step w lepką maź. Konwoje z amunicją, paliwem i niezbędnymi zapasami, tygodniami przedzierały się przez bezkresną Rosję.
Walcząca armia jest jak worek bez dna. A zbliżała się zima. W 1812 roku, dokładnie w takim samym czasie, Napoleon musiał z żalem w sercu podjąć decyzję o opuszczeniu Moskwy.
Wojska Rzeszy pozostaną w Rosji. Lecz nie chodziło tu o pojedynczy wysunięty przyczółek, jak za czasów Cesarza Francuzów, ale o front o długości trzech tysięcy kilometrów, rozciągający się od Bałtyku do Morza Czarnego. Kiedy widzieliśmy opustoszałe dworce, zerwane mosty, ciężarówki utopione w błocie, nie mogliśmy przestać myśleć o setkach tysięcy ludzi rzuconych w głąb Rosji, którzy podjęli ryzyko, jakiego nie odważył się wziąć na siebie Napoleon: utrzymać się mimo wszystko w samym środku stepu, z wrogiem przed sobą, ze stepem za plecami, ze śniegiem sypiącym z nieba, z mrozem kąsającym ciało i ducha.
Jednak wszyscy tak bardzo ufaliśmy niezwyciężonemu niemieckiemu dowództwu, że nie filozofowaliśmy ponad miarę. Wojna mogła zakończyć się jeszcze przed wielkimi mrozami. Jeśli nie, wszystko z pewnością przewidziano i tym razem, tak jak zawsze...
Po przekroczeniu rozlanej doliny Bohu dołączyliśmy do kolejnego eszelonu. Za dnia okolica była spokojna. Ale nocami, pociągi ostrzeliwano. Rankiem, wzdłuż torów widzieliśmy trupy sowieckich żołnierzy. Próbowali na własna rękę wydostać się z okrążenia. Poskręcane ciała w długich płaszczach spoczywały na nasypie.
Zaczęły się prawdziwe mrozy. Rankiem, na postojach musieliśmy rozbijać lód w rowach, aby móc się umyć. Od siedemnastu dni jechaliśmy stłoczeni po czterdziestu żołnierzy w wagonie. 2 listopada, bardzo wcześnie rano, minęliśmy wielkie rowy przeciwczołgowe, przecinające rozległe zrudziałe doliny. Pociąg zjeżdżał w dół. Podążaliśmy nieprzerwanie wzdłuż wypalonych ścian fabrycznych. A potem nagle naszym oczom ukazał się wspaniały, cudowny niebieski nurt, błyszczący, obmyty przez słońce. Był to Dniepr, szeroki na przeszło kilometr.
Dniepropietrowsk
Na terenach między Galicją a Dnieprem walki były sporadyczne. Kiedy wyważono bramy Lwowa, bitwa mająca na celu okrążenie Bałty przesądziła o losie wspaniałej ukraińskiej równiny, usianej polami kukurydzy i zboża, ozdobionej wielkimi białymi i niebieskimi wioskami, przybranej tysiącami drzew wiśniowych. Czołgi Rzeszy dotarły bez większych przeszkód aż do Dniepropietrowska.
Bitwa pod miastem była bardzo ciężka. Na cmentarzu niedaleko dworca przybyło przeszło sześćset niemieckich grobów. Płonęły całe ulice. Jednak miasto zachowało imponujący wygląd. Prospekt Karola Marksa, przemianowany natychmiast na aleję Adolfa Hitlera, szeroki jak Pola Elizejskie, ciągnął się bez końca.
Wojna przekroczyła rzekę. Ostatni jej obrazek podczas wkraczania niemieckich oddziałów do najgęściej zamieszkałych kwartałów był bardziej malowniczy niż przerażający: długie szeregi opilców, w stanie głębokiego zamroczenia, leżały obok ścieków, którymi płynął strumień trzystu tysięcy litrów wódki, wyciekającej z beczek porozbijanych przez uciekających Bolszewików. Pijani

chłeptali alkohol nawet z błota; później pogrążeni w błogostanie czekali, leżąc brzuchami do góry na przybycie najeźdźcy.
Reżim stalinowski dokonał w Dniepropietrowsku wielkiego wyczynu urbanistycznego.
Byliśmy początkowo zdumieni, gdy zbliżając się do przedmieść ujrzeliśmy wzniesione przez Sowietów wielkie bryły budynków mieszkalnych dla robotników. Ogromnych, nowocześnie zarysowanych budowli było mnóstwo. Komunizm istotnie zrobił coś dla ludu. Jeśli chłopi żyli w głębokiej nędzy, wydawało się, że chociaż robotnicy skorzystali na nowych czasach.
Trzeba było jednak obejrzeć i ocenić te budynki z bliska. Przez sześć miesięcy tkwiliśmy w Donieckim Zagłębiu Węglowym. Mogliśmy w pełni zweryfikować pierwsze wrażenia, jakie nasuwały się tuż po wkroczeniu do Dniepropietrowska. Gmachy, tak imponujące z daleka, okazały się gigantycznym bluffem na użytek gości Inturistu (sowiecka, państwowa agencja turystyczna, obsługująca gości zagranicznych — przyp. tłum.) i widzów kronik filmowych.
Zbliżając się do tych blokowisk uderzał w nos odór błota, wymieszanego z ekskrementami, wypełniającego otaczające je bajora. Dookoła nie było ani chodników, ani bruku, ani nawet żwiru. Królowało, jak zawsze, rosyjskie błocko. Wody gromadzące się po opadach musiały wyczekiwać nadejścia Słońca. Rynny, z których na wszystkie strony tryskała woda, zwisały z brzegów dachów. Odrapane ściany sypały się. Materiały budowlane były najgorszej jakości. Niemal wszystkie balkony oberwały się. Cementowe schody były wydeptane i pełne nierówności. A przecież te budynki miały zaledwie kilka lat.
Na każdym piętrze znajdowała się pewna liczba izb o pobielonych ścianach i mikroskopijna kuchenka, z której korzystało kilka rodzin. Przewody elektryczne zwisały w girlandach. Gliniane ściany pękały, gdy tylko ktoś usiłował wbić w nie gwóźdź. Kanalizacja w zasadzie nie działała. Proletariusze nie potrafili z niej korzystać i załatwiali swe potrzeby wokół domów tworząc gigantyczną kloakę. Mróz ścinał ją na kamień, ale przy każdej odwilży topniała, wydzielając cuchnący fetor.
W rezultacie bloki te okazały się gorsze niż nędzne chaty, gdzie na najżyźniejszych glebach Europy, w jednej koszuli na grzbiecie, w nędzy i brudzie, wegetowały miliony chłopów, jedząc z wspólnej miski, pracowicie rzeźbionymi drewnianymi łyżkami.
Siedemdziesiąt pięć procent naszych żołnierzy stanowili robotnicy. Wielu z nich było niegdyś podatnych na propagandę sowiecką. Gapili się teraz z otwartymi gębami patrząc na upadek i upodlenie rosyjskiego proletariatu. Z niedowierzaniem potrząsali głowami, widząc tak skrajną nędzę.
Wszczynając wojnę ze Związkiem Sowieckim, Hitler pozwolił sobie na niebezpieczny eksperyment. Gdyby Sowieci uczynili cokolwiek na rzecz klasy robotniczej, to wrażenia setek tysięcy robotników, zmobilizowanych i wysłanych na front wschodni, mogłyby okazać się dlań niebezpieczne.
Każdy Niemiec myślał jednak o wygodnych osiedlach robotniczych w Rzeszy, przydomowych ogródkach, klinikach i żłobkach, o płatnych urlopach, rejsach morskich do Skandynawii lub na Morze Śródziemne. Wspominał swą żonę, radosne, zdrowe, dobrze ubrane dzieci. Spoglądając na odziany w łachmany lud rosyjski, jego nędzne izdebki, posępne i rozpadające się osiedla robotnicze, dochodził do absolutnie jednoznacznych wniosków.
Nigdy dotąd tłumy robotników nie odbyły równie pouczającej podróży.
Cztery lata później dojdzie do innego porównania. Gdy żołnierze sowieccy zrabują zegarki, kosztowności i odzież z całej Europy Wschodniej, będą powracać do ZSRR niechętnie, przytłoczeni poziomem życia zagranicy, pełni odrazy dla swego „raju" z drewnianymi łyżkami i kloakami posypanymi wapnem, wokół domów wzniesionych w koszarowym stylu.
***
Po trzech dniach dostaliśmy rozkaz wymarszu, nad ranem przeszliśmy na lewy brzeg Dniepru i dotarliśmy do strefy walk. O szóstej wieczorem nasz legion zgromadził się na wysokim brzegu rzeki. Docierała do nas głośna muzyka płynącej wody. Wyszedłem z szeregu, by po raz ostatni przypomnieć moim towarzyszom o ich obowiązkach Europejczyków, patriotów i rewolucjonistów. Wszystkich nas ogarnęło dziwne uczucie. Komu z nas dane będzie przeprawiać się przez nią ponownie? O północy uformowaliśmy kolumny.
Przejście przez Dniepr odbywało się w jednym kierunku, po drewnianym, długim na tysiąc trzysta metrów moście, kilkakrotnie uszkadzanym przez sowiecką artylerię i lotnictwo. Tego wąskiego przejścia, jedynego łącznika z Grupą Armii „Południe" broniły energicznie działa przeciwlotnicze. Czarna masa rzeki była ukwiecona setkami olbrzymich białych kawałków lodu, podobnych do kwiatów lotosu. Z wody wystawały wraki zatopionych statków. Przyspieszyliśmy kroku. Zamilkliśmy, wzruszeni spotkaniem z wyczekującą na nas wojną.

Front błota

Kto nie docenia znaczenia błota w kampanii rosyjskiej, ten nie zrozumie niczego z tego, co działo się przez cztery lata na europejskim froncie wschodnim. Rosyjskie błoto było nie tylko bogactwem, które użyźniało stepy, ale stanowiło także element obronny terenu, skuteczniejszy nawet od śniegu i mrozu.

Można przezwyciężyć zimno, można posuwać się naprzód przy czterdziestu stopniach poniżej zera. Rosyjskie błoto jest natomiast pewne swej dominacji. Nic nie może mu się oprzeć, ani człowiek, ani materia. Króluje na stepie przez kilka miesięcy. Należą do niego wiosna i jesień. A nawet przez kilka miesięcy letnich, kiedy palące słońce zalewa i wysusza pola na wiór, co trzy tygodnie zrywają się burze. Błoto jest niezwykle lepkie, ponieważ ziemia obfituje w substancje oleiste. Cała okolica jest nasączona mazutem. Woda nie płynie, lecz trwa w bezruchu. Ziemia klei się do nóg, oblepia koła wozów.

Już w październiku kiedy dotarliśmy nad Boh, mogliśmy zobaczyć, jak to czarniawe błocko pochłania całe ciężarówki. Jednak zdaliśmy sobie w pełni sprawę z sytuacji dopiero kiedy sami wkroczyliśmy na ukraińskie bagna.

***

Od Dniepru nie jeździły już żadne pociągi. Mosty były zerwane. Tory wysadzone.

W październiku 1941 roku oddziały niemieckie w błyskawicznym tempie wdarły się do Zagłębia Donieckiego, pozostawiając za sobą rozległe tereny, które gdy tylko spadł deszcz przekształciły się w martwą strefę, w zasadzie niedostępną. Jednostki, które wyruszyły na przedzie, musiały tygodniami walczyć odcięte od Dniepropietrowska długim na trzysta kilometrów błotnym jeziorem. Dwa tygodnie dzieliły Stalina od katastrofy. Dodatkowe dwa tygodnie słońca i zaopatrzenie zdołałoby dotrzeć do walczących jednostek niemieckich. Stalina stojącego u progu klęski uratowało wszechwładne, lepkie błoto, które uczyniło to, co nie udało się ani sowieckim żołnierzom, ani sowieckiemu sprzętowi.

Hitler zmiażdżył miliony sowieckich żołnierzy, unicestwił ich lotnictwo, artylerię i czołgi, ale nic nie mógł zrobić przeciwko ulewom spadającym z nieba, przeciwko tej potężnej oleistej gąbce, która chwytała żołnierzy za nogi, oblepiała koła cystern i gąsienice czołgów. Największe i najszybsze zwycięstwo wojskowe wszechczasów zostało powstrzymane w końcowym etapie przez błoto; wyłącznie przez błoto, najzwyklejsze błoto, stare jak świat, nie do przejścia, potężniejsze niż stratedzy, niż złoto, niż ludzki umysł i ludzka pycha.

***

Nasz legion dotarł na Ukrainę dokładnie na czas, by rozpocząć walkę — czy raczej zmagania — z tymże wrogiem.

Walka bez chwały. Walka wyczerpująca. Walka ogłupiająca i budząca wstręt. Walka, która przywróciła odwagę tysiącom sowieckich żołnierzy, rozrzuconych na wszystkie strony przez fale niemieckich czołgów, które przeszły tędy dwa, trzy tygodnie wcześniej.

Podobnie jak Francuzi w czerwcu 1940 roku, początkowo sądzili, że to już ostateczny koniec. Wszystko na to wskazywało. Ukryli się powodowani strachem przed zwycięzcami. Spadł deszcz. Spod zasłony lasów topolowych, spod słomianych strzech chat, gdzie się ukrywali, zobaczyli, że wspaniałe hufce Rzeszy, które tak nimi wstrząsnęły, nie były już niezwyciężone: niemieckie ciężarówki, niemieckie czołgi zostały zatrzymane. Słyszeli jak kierowcy przeklinają bezsilnie, stojąc przy unieruchomionych samochodach. Pechowi motocykliści płakali, nie mogąc wydostać z błota uwięzionych maszyn. Sowieccy rozbitkowie powoli odzyskiwali pewność siebie.

Tak właśnie, dzięki zwłoce przyniesionej przez błoto, rodziła się partyzantka, w obliczu niespodziewanej słabości Wehrmachtu, niezwyciężonego zaledwie kilka tygodni wcześniej, kiedy wspaniałe kolumny pancerne sunęły w słońcu miażdżąc wszelki opór.

Błoto stało się bronią. Kolejną będzie śnieg. Stalin mógł liczyć na swych bezinteresownych sprzymierzeńców. Przez najbliższe pół roku nie dojdzie do żadnego decydującego zwrotu. Stalin, gdy leżał już na obu łopatkach, otrzymał odroczenie wyroku o sześć miesięcy... Do maja 1942 roku Rosjanom wystarczy tylko powstrzymywać Wehrmacht, który osłabiony przez żywioł, pragnął jedynie przezimować w spokoju. Na tyłach niemieckich, partyzanci zaczęli się organizować, nękać Niemców jak komary na bagnach, atakując znienacka i znikając szybko, tuż po ukłuciu...

Marzyliśmy o wspaniałych walkach. Dane nam było poznać wojnę realną, wojnę nużącą, wojnę z błotem, w którym pogrąża się ciało, wojnę w odrażających norach, wojnę niekończących się przemarszów, wojnę nocy spływających deszczem i huczących wiatrem.

Dotarliśmy na front, kiedy letnia ofensywa miała się już ku końcowi, kiedy wojska Hitlera zmagały się z błotnymi rozlewiskami, a partyzanci wyskakiwali z każdego lasku i urządzali wszędzie zasadzki.

Rzucono nas do walki z nimi, gdy tylko opuściliśmy Dniepropietrowsk. Teoretycznie front znajdował się dwieście kilometrów od Dniepru. W rzeczywistości zaczynał się już pięćdziesiąt metrów od drogi. Kilka mil od Dniepru, w sosnowym lesie nad rzeką Samarą, na obu jej brzegach gromadziły się tysiące partyzantów. W nocy sąsiednie mosty wylatywały w powietrze, ginęli pojedynczy żołnierze, wybuchały dziesiątki tajemniczych pożarów. Wieczorem, w dniu naszego przybycia do sporej osady robotniczej Nowomoskowsk, garaż, w którym stacjonowało dziewięćdziesiąt ciężarówek stanął w ogniu, oświetlając całą okolicę.
Musieliśmy unieszkodliwić podstępnych napastników. Nasz legion dostał rozkaz otoczenia lasu — gęstej kryjówki wroga — od zachodu, południowego-zachodu i południa.
Przejście przez pas błota, który oddzielał nas od lasu, było diabelnie trudnym wyczynem: każdy metr mułu stanowił przeszkodę, której przebycie wymagało wysiłku i cierpienia.
Cała okolica pogrążona była w wilgotnym półmroku. Nie było widać ani jednego drżącego płomyka lampki naftowej. Potykaliśmy się na wybojach upuszczając broń, której musieliśmy szukać po omacku. Woda sięgała nam do połowy ud. Dziury były tak niebezpieczne, że musieliśmy powiązać się po trzech, aby zdążyć złapać tego, który niespodziewanie zapadał się w szczelinę.
Przejście tych piekielnych kilometrów zajęło nam prawie dwadzieścia godzin. Upadając podnosiliśmy się przemoczeni po czubek głowy. Całe nasze wyposażenie, wszystkie bagaże pozostały w wodzie. W końcu dotarliśmy do kilku opuszczonych chat. Rozpaliliśmy prowizoryczne ognisko ze słomy i desek. Musieliśmy zdjąć ubrania. Lepiliśmy się od przegniłego mułu, który pokrywał nasze ciała. Skóra miała szary kolor, przypominający skórę fok.
Długo wycieraliśmy się sianem i w przyprawiającym o mdłości smrodzie, nadzy jak nas Pan Bóg stworzył, czekaliśmy w kłębach gryzącego dymu na powrót światła.
***
Tak oto setki tysięcy płazów-żołnierzy próbowało walczyć na tym lepkim froncie, rozpiętym na odcinku trzech tysięcy kilometrów. Pełni niepokoju, wyczerpani musieliśmy stawić czoło wrogowi, którego mieliśmy przed sobą, za sobą i na skrzydłach. Błoto zatruwało dusze. Co słabsi załamywali się. Byliśmy dopiero na początku bagna, kiedy jeden z naszych towarzyszy padł na wznak w błoto z roztrzaskaną głową. Będąc u kresu wytrzymałości strzelił sobie z karabinu w usta.
Ziemia także ma swoją broń. Ziemia rosyjska, tratowana przez obcego, posłużyła się swym odwiecznym orężem; broniła się i mściła.
Rozpoczęła swą zemstę tamtej deszczowej jesieni 1941 roku, a my patrzyliśmy na rozlewającą się na czarnym błocie kałużę koloru krwi, gładką i nieprzenikniona...
Wioska
Wioskę Karabinowska, gdzie spędziliśmy blisko trzy tygodnie zwalczając partyzantów, przecinała, jak wszystkie rosyjskie wioski, ciągnąca się bez końca droga bita, szeroka na pięćdziesiąt metrów, wzdłuż której stały chaty, płoty, bramy z desek i drzewa wiśniowe.
Rozrzucone chałupki, przycupnięte pod wielkimi słomianymi strzechami, były prawie identyczne, różniły się jedynie kolorem ścian. Wchodziło się do ciemnego korytarzyka lub bezpośrednio do wspólnej izby. Witał nas mdły zaduch, odór brudu, pomidorów, oddechu i moczu młodych zwierząt, które zimą spały tu razem z ludźmi.
Zimą Rosjanie właściwie nie ruszali się z kuchennej ławy i kulawych zydli w izbie. Starsi wychodzili tylko po to, by przejść na drugi koniec domu i nakarmić prosiaka, krowę czy byka. Wracali z ładunkiem trzciny kukurydzianej czy łodyg słonecznika, którymi palili w piecu.
Piec pełnił wieloraką rolę: kuchni, głównego źródła ciepła i łóżka dla całej rodziny. Była to wielka konstrukcja z cegieł i gliny wymieszanej ze słomą, pobielana wapnem. Dwupoziomowy piec zajmował jedną trzecią albo połowę pomieszczenia i sięgał do pół metra od powały. Do paleniska wrzucano dwa lub trzy razy dziennie pęki trzciny albo chrustu. Wieczorem cała rodzina w komplecie wdrapywała się na najwyższy poziom. Matka, ojciec, dzieci, wszyscy razem skuleni spali bezpośrednio na letniej glinie, przykryci łachmanami i kilkoma czerwonymi pierzynami, spod których wystawał rząd gołych, płaskich, brudnych nóg. Dzieciaki, podobne do małpek na katarynkach, spędzały sześć lub siedem zimowych miesięcy na szczycie pieca. Całe ich ubranie stanowiły sięgające do pasa koszuliny. Były usmolone i krzykliwe. Ciekło im z nosów. W Rosji umieralność wśród dzieci była olbrzymia. Natura dokonywała bezlitosnej selekcji.
***
Jeden róg izby był w całości przeznaczony na ikony. Niektóre, wyjątkowo piękne, pochodziły z XV czy XVI wieku. Tła były zachwycające: zielone i białe zamki, dzika zwierzyna uchwycona w pełnym gracji skoku. Ikony najczęściej przedstawiały świętego Jerzego pokonującego smoka,

dobrodusznego brodatego świętego Mikołaja, albo Dziewicę Maryję o śniadej twarzy i oczach w kształcie migdałów, trzymającą na rękach małego Jezuska, w stylu włoskiego prymitywizmu.
Ikony otoczone girlandami z zielonej lub różowej bibułki zajmowały poczesne miejsce. Chłopi przechodząc przed nimi żegnali się dwadzieścia razy na dzień. Czasami mieli jeszcze bardzo stare Pismo Święte, z przyciętymi rogami i ubrudzone. Wieczorem, przy świetle kaganka czytali go z wielkim zapałem po kilka stron.
Ludzie ci nigdy się nie kłócili, patrzyli w dal niebieskimi lub niebieskozielonymi rozmarzonymi oczami...
Izba była wypełniona zimowymi roślinami. Miały szerokie mięsiste liście. Wysokie na dwa metry prawie dotykały sufitu. Nadawały tym śmierdzącym klitkom wygląd dżungli Do izby przylegała szopa dla zwierząt.
Bogaci chłopi, kułacy, już dawno zostali wywiezieni milionami na Syberię, żeby tam nauczyć się pogardy dla dóbr tego Świata. Ci, którzy uniknęli zesłania zadowalali się jedną brązową krową, jednym lub dwoma prosiakami, tuzinem kur, kilkoma gołębiami.
To był ich cały majątek. Hodowali zwierzęta z zazdrosną troskliwością. Po pierwszych przymrozkach cielęta i prosięta były przenoszone do najcieplejszego miejsca w chacie, czyli do wspólnej izby rodziny.
Kołchoz, gdzie obowiązkiem każdego było służyć reżimowi, zabierał prawie całe zboże i kukurydzę z okolicy. Ale dzięki tym grabieżom Stalin mógł produkować czołgi i działa, przygotowywać powszechną rewolucję. Chłopom po zjedzeniu wieczornego garnka kartofli czy smażonej cebuli, pozostawało tylko modlić się przed ikonami; bezsilnie i z rezygnacją.
***
Minęła jesień. Powietrze straciło wilgotność. Wieczory były suche. Po kilku dniach błoto stwardniało. A potem spadł śnieg. Przyszedł mróz. Zaczęła się straszna rosyjska zima. Krzewy błyszczały pocętkowane tysiącem migocących drobinek. Niebo pokryło się jasnym błękitem, bielą i bladozłotymi refleksami. Przyćmione słońce wisiało nad wierzbami okalającymi jeziora. Pewnego ranka wszyscy mieszkańcy wioski zeszli nad jeziora.
Wielkie stawy były zarośnięte gąszczem trzcin, podobnych do włóczni, wysokich na trzy metry, zakończonych brązowymi i różowymi pióropuszami. Mróz uwięził te szare pałki w lodzie. Chłopi sprawdzali wytrzymałość czarnego, przysypanego śniegiem lodu. Był bardzo twardy, wszyscy ruszyli po kosy i sierpy.
To były dziwne żniwa. W zimnym listopadowym słońcu, mieszkańcy wioski ścinali — tak jak w lipcu zboże — wysoką trzcinę, która pokryje dachy ich jasnych chat. Na lód spadały kolejne pęki trzciny. Na brzegu tysiące małych tłustych wróbli turlało się, tarzało w śniegu głośno ćwierkając. W trzy dni stawy zostały skoszone. Wieśniacy wrócili do domów i zamknęli drzwi na zimę.
Zresztą był już najwyższy czas, żeby znaleźć schronienie. Kule coraz częściej wbijały się w gliniane ściany i łamały gałęzie wiśniowych drzew.

II
Zima w Zagłębiu Donieckim

Sowieccy „partyzanci" tworzyli zupełnie wyjątkowe formacje wojskowe. Nie było ich nigdzie, a jednocześnie byli wszędzie, na przekór wszystkiemu. Ich zwiadowcy ukryci w zagajnikach, stogach, w dymnikach chat śledzili niepostrzeżenie każdy krok przeciwnika. Obserwowali parki samochodowe i sprzęt, miejsca przepraw, postępy prac saperów.
W nocy jeden z mostów wysadzono w powietrze, ciężarówki stawały w ogniu. Co jakiś czas z nasypu rozlegała się seria strzałów. Biegliśmy w tamtym kierunku. Docieraliśmy jednak za późno. Na miejscu znajdowaliśmy jedynie starą futrzaną czapkę albo ślady filcowych butów. Nic więcej. Las bezszelestnie pochłaniał uciekinierów.
Dysponując tylko kompanią musieliśmy osłaniać wiele kilometrów głównej drogi z Dniepropietrowska do Stalino i pilnować długiej na milę Iizjery lasu, oddzielonego od naszej wioski dwukilometrowym pagórkowatym pasem nieużytków, porośniętym gdzieniegdzie kępami krzaków.
Nasze stanowiska znajdowały się trzysta metrów za chatami. Pełniliśmy przy nich warty z pobielałymi od mrozu nosami, z popękanymi z zimna rękami. Mróz stał się nie do wytrzymania. Nie mieliśmy żadnego zimowego ekwipunku.
Taka warta była jednak niewystarczająca. Nocą Rosjanie jak koty wślizgiwali się pomiędzy nasze stanowiska. Kiedy już ominęli posterunki, mogli działać bez przeszkód. Połowa naszych sił musiała bezustannie patrolować pastwiska i wieś, aż do linii lasu.

Musieliśmy ukrywać się w śnieżnych rowach, nasłuchując i wypatrując najsłabszych oznak życia. Większość czasu spędzaliśmy w wykopanych śnieżnych jamach. Szczękaliśmy zębami, wyczerpani niekończącymi się godzinami zabawy w podchody. Wracaliśmy zgrabiali od mrozu. Broń długo odmarzała przy ognisku z łodyg słonecznika.
Z dnia na dzień oblężenie zaciskało się wokół sosnowego lasu. Dwa razy robiliśmy dalekie wypady w jego głąb. Wszędzie widzieliśmy ślady filcowych butów. Jednak nie drgnęła ani jedna gałązka. Nie padł ani jeden strzał. Wojna partyzancka była wojną bez tradycyjnych starć, ale za to pełną podstępów. Na naszym prawym skrzydle oddziały niemieckie nawiązały kontakt z wrogiem. W suche błyszczące od gwiazd wieczory, czarne zgliszcza i płonące chaty wyraźnie odcinały się na złocistym tle nieba. Czerwoni próbowali przemieścić się w naszym kierunku. Dotarli do nas pewnej nocy około jedenastej. Leżąc na śniegu przesuwaliśmy w palcach taśmy z nabojami do karabinów maszynowych. Po niebie przelatywały rakiety oświetlające, przypominające bukiety kwiatów. Przez godzinę znaczyły step zygzakami, jak płonące błyskawice. Czując, że opór jest zbyt silny, Rosjanie wycofali się do swych sekretnych kryjówek.
***
Na północno-zachodniej linii lasów, na prawym brzegu Samary, Czerwoni zbudowali solidne bunkry. Rzeka zamarzła. Nasi ludzie dostali rozkaz zdobycia szturmem pozycji wroga.
Ledwo dotarli w pobliże głównego nurtu rzeki, kiedy przywitała ich gwałtowna kanonada. W tych warunkach oddział musiał przejść do ataku i pokonać odkryty teren, jaki stanowiło dwadzieścia pięć metrów wyślizganego lodu. Tego dnia ponieśliśmy bardzo duże straty. Ale bunkry zostały zdobyte, Czerwoni przygwożdżeni do śniegu lub zmuszeni do ucieczki.
Rosyjska ziemia przyjęła naszych zmarłych. Iluż jeszcze polegnie na mrozie, w błocie czy pod złocistym słońcem, w Zagłębiu Donieckim i nad Donem, na Kaukazie i w Estonii... Ale te pierwsze czerwone plamy, rozrzucone jak płatki kwiatów na skutej lodem Samarze, miały w sobie niezapomnianą czystość pierwszej ofiary, pierwszych bzów i pierwszej łzy...
***
Musieliśmy pozostawić nasze groby. Przenoszono nas na drugi koniec frontu, mieliśmy dołączyć do dywizji, która przemieszczała się w głąb Donieckiego Zagłębia Węglowego. Pod koniec listopada, bez rękawic, bez wełnianych kominiarek, bez kożuchów, w naszych cieniutkich, podszytych wiatrem mundurach, rozpoczęliśmy dwustukilometrowy marsz.

Lodowe drogi

Pod koniec jesieni 1941 roku mróz radykalnie zmienił drogi Zagłębia Donieckiego. Rzeka błota stała się rzeką wyboistej lawy. Błoto klęsło, a setki ciężarówek cięło je i rozgniatało. Lepka maź skamieniała w plątaninę skalistych grzbietów, wysokich na pół metra. Ich krawędzie i tafle miały gładki kolor marmuru, czarnego marmuru, którego długie porozdzierane pasma, szerokie na pięćdziesiąt czy sto metrów rozwierały się i odkształcały pod ciężarem kolejnych pojazdów.
Nawet nie było warto próbować jeździć zwykłymi samochodami pomiędzy tymi koleinami. Już po kilku kilometrach dziurawiły się baki. Tylko wielkie ciężarówki i auta terenowe z wyjątkowo wysokim zawieszeniem mogły ryzykować jazdę po oblodzonych drogach, starając się omijać co większe rozpadliny. Przemarsz w szyku pieszym był prawdziwą katastrofą. Nie mieliśmy dość sił, by unosić nogi, tylko nimi powłóczyliśmy. Upadki były bolesne, bo lód był twardy niczym stal.
Broń musieliśmy trzymać gotową do strzału w każdej sytuacji. W skład ekwipunku strzelca kaemu wchodziło przeszło trzydzieści kilogramów żelastwa, nie mówiąc o racjach żywnościowych na trzy dni i regulaminowym wyposażeniu. Tak bardzo uważaliśmy, aby się nie poślizgnąć, że ścięgna paliły nas żywym ogniem. Musieliśmy rozcinać nożami stwardniałe pięty butów wojskowych, by móc poruszać stopami w marszu. Każdy zaciskał zęby, by nie poddać się cierpieniu. Czasami ktoś wyczerpany wysiłkiem upadał. Rzęził z twarzą wciśniętą w lód. Wrzucaliśmy go do pierwszej przejeżdżającej ciężarówki, na stos chleba albo na skrzynki z amunicją. A kolumna kiwając się ruszała dalej po czarnym lodzie.
***
Mimo wszystko, przyjemnie było popatrzeć na okolicę. Wielki biały step był po-kreskowany setkami tysięcy szarych łodyg słonecznika. Chmary wróbli podskakiwały, jak oszalałe kulki wełny. Zachwycające było zwłaszcza niebo, kryształowo czyste, bladoniebieskie, tak przejrzyste, że widać było z ateńską wyrazistością każdą bezlistną gałąź każdego drzewa na horyzoncie.
Chłopi pokazywali nam czasami platan lub szpaler starych brzóz, pozostałości po dawnych majątkach szlacheckich. Ale ze starych dworów nie zostało nic, ani jedna deska, ani jeden

kamień, ani nawet ślad fundamentów. Wszystko zostało rozgrabione, zrównane z ziemią, zniszczone.
Podobny los spotkał większość cerkwi. Kilka z nich przetrwało — od dawna sprofanowanych, zamienionych na stodoły, składy, sale konferencyjne, stajnie lub centrale elektryczne. Piękne zielone i złote kopuły nadal błyszczały nad białymi ścianami. Czasami znajdowaliśmy resztki drewnianych obić albo odkrywaliśmy na szczycie sklepienia jedno, dwa stare malowidła, których nie zdołali dosięgnąć sowieccy „malarze". Posadzka była zazwyczaj zasłana kukurydzą albo odchodami. Zresztą nawet takich cerkwi-stajni, cerkwi-garaży, magazynów słonecznika, miejsc posiedzeń lokalnych Rad, było bardzo niewiele. Przez dwa lata pokonaliśmy pieszo przeszło dwa tysiące kilometrów od Dniepropietrowska do bram Azji i mogliśmy policzyć na palcach jednej ręki cerkwie napotkane po drodze, wszystkie tak samo sprofanowane.
***
Na początku grudnia minęliśmy Pawłograd. Potem zatrzymywaliśmy się na nocleg w opustoszałych osadach. Szalały śnieżne burze. Wymarsz następował około czwartej lub piątej rano. Podmuchy wiatru ze śniegiem omiatały twarze, przewracały i oślepiały. Potrzebowaliśmy kilku godzin, żeby wyciągnąć na drogę wielkie żelazne wozy, pełne sprzętu. Konie przewracały się na lodzie, łamiąc nogi. Biedne zwierzęta na próżno rozpaczliwie rżały w świszczącej śnieżycy, próbowały się podnosić i upadały ponownie, oszalałe z bólu.
Sypał śnieg tak gęsty, że nie było widać granicy pomiędzy drogą i stepem. Niemcy nie zdążyli jeszcze otulić słomą długich żerdzi, którymi Rosjanie znający okolice znaczyli drogi, kiedy zima zatarła ich kontury.
Drogowskazy zasypał śnieg. Oddziały bardzo szybko traciły orientację. Jakby było mało nieszczęść, miejscowości czy okolice, których szukaliśmy, zdążyły już w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat, zazwyczaj dwa lub trzy razy, zmienić nazwę: na starych mapach były dawne nazwy carskie, na mapach z 1925 roku nazwy krwistoczerwone — owoc rewolucji, na mapach z 1935 roku nazwy od nazwisk sowieckich kacyków, jak Stalingrad czy Stalino. Czasami zresztą, któryś z nich zdążył już dostać kulkę w tył głowy w kazamatach NKWD: stąd też kolejny, czwarty, chrzest! Natomiast około pięćdziesięciu, stu wiosek na rosyjskim stepie nosiło nadal te same co niegdyś nazwy, od imienia carskich żon czy córek, przyjęte z lenistwa i z lenistwa zachowane.
Podczas etapu, który miał nas zaprowadzić do Griszyna, jeden dzień spędziliśmy w walce: dotarliśmy do tej miejscowości dopiero po przejściu około pięćdziesięciu trzech kilometrów. Na dodatek okazało się, że to nie było nasze Griszyno. Nie tylko miejscowość otrzymała w ciągu dwudziestu pięciu lat trzy różne nazwy, ale na dodatek były dwa Griszyna: Griszyno-Stacja i Griszyno-Wieś, oddalone od siebie o siedem kilometrów. Typowo słowiański sposób komplikowania sobie życia! Do właściwego Griszyna dotarliśmy nad ranem, maszerując po uda w śniegu.
Wkroczyliśmy tam jako pierwsi. Dopiero czterdzieści osiem godzin później pojawiły się kolejne kompanie, oprócz jednej, która zgubiła się i przez dwa tygodnie wędrowała po okolicy, tracąc wszystkie konie; dołączyła do nas dopiero na Boże Narodzenie, eskortując merowińską kolumnę wielkich białych byków, wtłoczonych na szare ciężarówki.
***
Niestety, nasza odyseja nie ograniczała się do codziennej zmiany wart.
Okolica, gdzie burze śnieżne igrały z naszym losem, była nafaszerowana sowieckimi minami. Śnieg przysypał je, podobnie jak tyczki, które dla bezpieczeństwa powbijały gdzieniegdzie pierwsze patrole niemieckich saperów. Jedna z naszych kompanii zgubiła się w śnieżnej kurzawie wzbijającej się do wysokości trzech metrów i weszła na teren zaminowany. Na jej czele jechał konno dowódca. Był to młody kapitan z armii belgijskiej. Nosił piękne chłopskie nazwisko Dupre. Jego koń lekko potrącił kopytem jedną z tych upiornych pułapek. Zwierzę zostało wyrzucone w powietrze na dwa metry i spadło na ziemię z rozerwanymi wnętrznościami, jeździec natomiast leżał na czerwonym śniegu z urwanymi nogami.
Step krzyczał, gwizdał i zawodził o swym zwycięstwie. Żołnierze przy pomocy kawałków drewna przytwierdzili do kikutów oderwane kończyny i ułożyli nieszczęsnego kapitana na dwóch świerkowych gałęziach. Po kilku kilometrach dotarli do opuszczonej chaty.
Minęło dwadzieścia sześć godzin zanim polowy ambulans dotarł z pomocą do umierającego. Miał jedenaście złamań. Zapalił papierosa. Jego oddech stawał się coraz płytszy. Pożegnał się ze swymi chłopcami. Grube krople potu spływały z bólu mu po twarzy. Zmarł bez słowa skargi, zaciągając się po raz ostatni papierosem...
***

Po Griszynie były Aleksandrowki. W ZSRR jest sto albo dwieście Aleksandro-wek. Tułaliśmy się po wszystkich Aleksandrowkach w Zagłębiu Donieckim. W końcu dotarliśmy do jakichś osiedli robotniczych. Byliśmy prawie na miejscu. Gwałtowna odwilż sprawiła, że ostatni etap musieliśmy pokonać po kostki w błocie. Na końcu zapuszczonych pól ujrzeliśmy lśniące od topniejącego lodu ulice Szerbinowki, górniczego miasta, liczącego czterdzieści tysięcy mieszkańców. Stali oni wzdłuż ścian nieruchomi, milczący. Wielu wpatrywało się w nas z nienawiścią w oczach.
Sowieckie oddziały wycofały się w step oddalony o trzy kilometry na Wschód. Ale czuliśmy, że najemnicy komunistów gotują się do skoku.

Boże Narodzenie w Szerbinowce

Front Wschodni w grudniu 1941 roku był zmienny jak brzeg plaży. Każda niemiecka armia przesuwała swą falę do granic możliwości. Pod koniec października wszystkie jednostki grzęzły w zdradzieckim błocku. Skrzydła wisiały w próżni. Armie nie znały ani zamiarów, ani sytuacji wroga, który ze wszystkich sił starał się koncentrować swe wojska w sposób przypominający wodewil.
Z pomocą błota Czerwoni zdobyli się jednak na jakieś działanie: odbili Rostów nad Donem; Niemcy musieli tam z braku paliwa porzucić lub spalić setki ciężarówek.
Ośmieleni tym lokalnym sukcesem Sowieci przypuścili atak na wschodnią części Zagłębia Donieckiego, na nasze lewe skrzydło. Natarcie prowadzone na odcinku od Sławiańska do Artiomowska miało wyjątkowo gwałtowny charakter. Sowieci najsilniej napierali dwadzieścia kilometrów na północny-zachód od nas.
Przed naszymi pozycjami w Szerbinowce, wróg początkowo prawie się nie ruszał. Podobnie jak my siedział zagrzebany w ziemi, która topniała, jakby ktoś wsadził ją do ciepłego jeziora.
Wsparcie potrzebowało pięćdziesięciu albo więcej godzin, aby pokonać dwadzieścia kilometrów, jakie dzieliły nas od magazynów w Konstantynówce. Żaden motocyklista nie był w stanie przejechać tej trasy. Wycieńczone konie zdychały na drodze, z chrapami zanurzonymi w błocie.
***
Szerbinowka wyglądała obrzydliwie. Wszędzie leżały śmierdzące, topniejące odchody. Brud i bieda w mieście były tragicznym świadectwem tego, co sowiecki reżim uczynił z wielkich ośrodków robotniczych. Urządzenia w kopalniach pochodziły z 1900 albo 1905 roku, kiedy łatwo było o pożyczki z Francji.
Kanalizacja, wysadzona w powietrze przez wycofujących się Bolszewików, nie nadawała się do użytku.
Podobnie rzecz miała się z całym przemysłowym parkiem maszynowym w okupowanej Rosji. Systematycznie, z piekielną dokładnością, ekipy sowieckich specjalistów niszczyły fabryki, kopalnie, magazyny w każdym zagłębiu, w każdym mieście, w każdej przemysłowej osadzie.
Płonęła ziemia! Płonęło pod ziemią!
Konie wyrżnięto na dole, w szybach. Mdlący odór rozkładającej się padliny rozchodził się po całej miejscowości, ponieważ wyloty powietrza z kopalni wychodziły dokładnie na ulice. Studzienki były osłonięte starymi deskami. Z tych prymitywnych dziur wydzielał się cały czas dwutlenek węgla i duszące opary padliny.
***
Sowieci wywieźli lub zniszczyli cały zapas żywności w mieście. Ludzie jedli, co popadło. Luksusowym pożywieniem była kawałki końskiej padliny. Ludność zaciekle o nie walczyła.
Musieliśmy ubić chorego konia, w strasznym stanie, pokrytego obrzydliwymi liszajami. Nie zdążyliśmy nawet pójść po wóz, żeby wywieźć padlinę za miasto. Na to obrzydliwe truchło rzuciło się około dwudziestu osób, rozdzierali skórę i wyszarpywali dymiące jeszcze mięso.
W końcu zostały tylko wnętrzności, jeszcze bardziej obrzydliwe niż cała reszta. Dwie staruszki rzuciły się na żołądek i na jelita, ciągnąc każda w swoją stronę. Flaki pękły, pokrywając obie kobiety żółto-zieloną mazią. Ta, która zdobyła większą ich część, uciekła nawet nie wycierając twarzy, przyciskając w zapamiętaniu swą zdobycz do piersi.
***
Kwatery były na miarę tych cudów. Kiedy zeszliśmy z pozycji, stłoczono nas w szkolnych budynkach, wybudowanych niedawno przez państwo: trzy długie gmaszyska, nazywane nowoczesnymi, dokładnie w stylu wszystkiego, co widzieliśmy od Dniepropietrowska. Zaraz na początku żołnierz, który chciał wbić gwóźdź w ścianę, żeby powiesić swą broń, rozbił ją jednym uderzeniem młotka. Parkiet był zrobiony z rozchodzącej się klepki, pomiędzy którą tworzyły się wielkie szpary. Pod tą prowizoryczną podłogą nie było niczego, budynek stał na kilku palach.

Pomiędzy trzema gmachami znajdował się pusty plac, tak błotnisty, że musieliśmy ustawić tam skrzynki i zbudować kładki, by móc przechodzić z jednego domu do drugiego. Cały czas wokół szkoły roztaczał się mdły, odurzający smród dwutlenku węgla.
Około 20 grudnia wróciły śnieg i mróz. Temperatura gwałtownie spadła do dwudziestu stopni poniżej zera. Zamarzaliśmy na rozłażącej się podłodze, skuleni pod cieniutkimi kocami.
Nadeszły święta — święta innych.
Pasterkę odprawiliśmy w cerkwi, którą na powrót zamieniliśmy w świątynię. Rosyjski chór śpiewał wydając ostre i rozdzierające krzyki. Na zewnątrz śnieg padał grubymi płatkami. Część naszych żołnierzy leżała z karabinami maszynowymi na pozycjach bojowych, w rogach budynku.
Nasze dusze były zmrożone tułaczką po świecie pozbawionym kolorów, w ciszy, na dnie której nasze marzenia dryfowały zdane na łaskę losu.
***
Europejskie legiony, popularyzowane w prasie Rzeszy, zostały przyjęte na froncie w 1941 roku dosyć sceptycznie. Niektórzy niemieccy generałowie obawiali się, że do ich elitarnych korpusów wysłanych na wschód, wkradną się intruzi, którzy będą szerzyć szkodliwą propagandę. Nie zdawali sobie do końca sprawy z entuzjazmu i dobrej woli ochotniczych jednostek.
Ten brak zrozumienia bardzo nam ciążył. Musieliśmy poczekać na jakieś wydarzenie czy wypadek, który pozwoliłby Niemcom właściwie ocenić nasz idealizm. Ta godzina nie nadejdzie prędko. Do tego czasu, nieznani i niedoceniani, musieliśmy trwonić nasz dar w żmudnej i niewdzięcznej służbie.
Boże Narodzenie i Nowy Rok spędziliśmy bez radości, w zadymionych pokojach. Żłóbek narysowany węglem drzewnym na ścianie, przypominał nam grudzień w naszych domach... Marne lampki naftowe kopciły. Wyciągnięci na słomie, wpatrywaliśmy się w pustkę. Na wzniesieniu, na szczytach drewnianych krzyży, grube czapy śnieżne, podobne do spadających z nieba chryzantem, pokrywały żelazne hełmy naszych poległych...

Włosi w Zagłębiu Donieckim

Na froncie sowieckim było bardzo wiele zagranicznych kontyngentów.
Na południu znajdowały się legiony z Europy Środkowej i z Bałkanów. Legiony oryginalne, ale zżerane przez rywalizację. Węgrzy i Rumuni byli gotowi wy-drapać sobie oczy dla lasku bukowego w Karpatach czy dla dziesięciu metrów pola z lucerną w Puszcie. Chorwaci, bardziej słowiańscy niż Ukraińcy, podzieleni byli na muzułmanów i katolików.
Włosi stanowili w 1941 roku najliczniejszy kontyngent obcokrajowców na froncie wschodnim. Przybyło ich sześćdziesiąt tysięcy, podzielonych na trzy dywizje i liczne pododdziały do zadań specjalnych.
Wszędzie od Dniepru do Dońca widziało się małych, czarniawych Włochów w zabawnych furażerkach z dwoma czubkami, albo bersalierów — żołnierzy podobnych do rajskich ptaków w hełmach, na których powiewały, szarpane stepowym wiatrem, potężne wiązki kogucich i bażancich piór. Mieli karabiny wyglądające jak zabawki. Posługiwali się nimi z wielką zręcznością do zabijania wszystkich kur w okolicy.
Poznaliśmy ich zaraz po dotarciu do Dniepropietrowska. Bardzo szybko mogliśmy przekonać się o ich pomysłowości i sprycie. Stali dookoła wielkiej beczki znajdującej się w jednym z wagonów. Beczka była wypełniona chianti. Wywiercili w połowie kadzi malutką, ledwo widoczną dziurkę. Wsadzili w nią źdźbło słomy, które robiło za pipetę — napój tryskał wspaniale.
Wynalazek odniósł ogromny sukces wśród naszych opojów, którzy całymi grupami wracali co chwila do tej cudownej fontanny, godnej burgundzkich ślubów Karola Śmiałego albo Filipa Dobrego. Włosi, pełni optymizmu — była to beczka na dwa tysiące litrów — z wielką uprzejmością zrobili nam miejsce. Od tamtej chwili walońscy ochotnicy byli zakochani we Włochach i z zachwytem przyjęli wsparcie Italii na froncie wschodnim.
Frontu nie tworzyła jednolita linia obrony, lecz liczne punkty oporu. Nasze stanowiska w Szerbinowce na flankach miały tylko śnieg. Żeby dotrzeć do Włochów, których odcinek odbijał na południe w kierunku Stalino, musieliśmy maszerować w stepie przez dwie godziny. Często chodziliśmy pogadać z nimi w chwilach odpoczynku. Oczywiście ich cytryny i chianti miały na to pewien wpływ. Ale pociągał nas także ich urok. Jedynym problemem było to, że nienawidzili Niemców.
Ci natomiast nie mogli ścierpieć u nich podkradania żywności, namiętnych schadzek w ruinach chat, fantazyjnego stroju, malowniczego łacińskiego niedbalstwa, impertynencji, opieszałości, uprzejmości, radosnego jazgotu, tak obcych pruskiemu drylowi.

Włochów natomiast bolały karki i gardła, kiedy tylko widzieli Niemca stojącego na baczność lub wykrzykującego rozkazy. Taka postawa absolutnie nie pasowała do ich rąk w kieszeniach, złocisto-brązowych pióropuszy czy łobuzerskich sztuczek.
Ich nacjonalizmy także nie miały wiele wspólnego. Włosi kochali Mussoliniego i przy lada okazji wydzierali się „ Duce! Duce! Duce!" do zdarcia gardeł. Ta wylewność jednak miała wyłącznie uczuciowy charakter. Nie byli skażeni marzeniami Mussoliniego o imperialnej wielkości. Byli dumni jak koguty, ale bez ambicji.
Pewnego dnia, gdy z uporem powtarzali, że pragną za wszelką cenę doczekać końca wojny, odparłem:
— Ale jeśli nie będziecie walczyć do końca, stracicie swoje kolonie!
— Wielka historia! Po co się bić o kolonie? Jesteśmy szczęśliwi u siebie. Niczego nam nie trzeba. Mamy słońce. Mamy owoce, Mamy miłość...
Filozofia dobra, jak każda inna. Horacy mówił to samo, tylko mniej otwarcie.'8 Uważali również, że absolutnie nie należy przemęczać się ponad miarę. Nasze pojęcie ludzkiej pracy wprawiało ich w osłupienie. Po co tyle pracować?... I wracali do powolnej, uroczej i śpiewnej litanii: słońce, owoce, miłość...
— Przecież — odrzekłem zdziwiony — praca jest radością! Nie lubicie pracować?...
Wtedy pewien Włoch z południa, z książęcą gracją, dał mi następującą odpowiedź, wspaniałą w swej prostocie i dobitności:
— Ależ proszę pana, praca męczy!
Praca męczy! Kiedy Niemcy słyszeli podobne odpowiedzi, przez tydzień nie mogli dojść do siebie i byli bliscy apopleksji.
***
Niestety, dzienne i nocne patrole także „męczyły". Podobnie jak niewdzięczna służba w śniegu i na mrozie.
Gadatliwi wartownicy często opuszczali swe stanowiska woląc ciepło chat, gdzie mogli żartować, ubijać pokątnie interesy, gadać, badać z bliska charakterystyczne cechy miejscowych bogiń. Rosjanie w końcu zdali sobie z tego sprawę. Przygotowali zasadzkę. Nasi mili towarzysze zza Alp drogo zapłacili za swe romantyczne zapędy.
Pewnej nocy na południu odcinka silne elitarne oddziały kozackie przedarły się przez głęboki śnieg na swych zwinnych koniach. O świcie zdołały bez przeszkód otoczyć trzy wioski zajmowane przez Włochów, ponieważ wartownicy byli zajęci snem albo miłością. Zaskoczenie było całkowite.
Sowieci szczególnie nie cierpieli Włochów. Nienawidzili ich bardziej niż Niemców. Zawsze traktowali ich na froncie wschodnim ze szczególnym okrucieństwem. Za jednym zamachem zajęli trzy wioski. Nikt nie zdążył chwycić za broń. Jeńcy zostali doprowadzeni w pobliże studni i rozebrani do naga. Rozpoczęły się tortury. Kozacy nabierali lodowatą wodę do wielkich wiader i rycząc ze śmiechu, oblewali nią swe ofiary. Było trzydzieści, trzydzieści pięć stopni poniżej zera. We wszystkich trzech wioskach nieszczęśni jeńcy umierali, zamarzając żywcem.
Nie przeżył nikt. Nawet lekarze. Także kapelan, goły jak rzymska rzeźba z marmuru, został poddany torturze wody i mrozu. Wszędzie na śniegu leżały nagie ciała, powyginane, pozwijane jak gdyby strawił je ogień.
Od tamtej chwili włoskie oddziały w Zagłębiu Donieckim zostały wzmocnione przez niemieckie jednostki pancerne. Odtąd wzdłuż ich linii obrony, wyczekiwały w głębokim śniegu wielkie niemieckie czołgi pomalowane na biało.
***
To była konieczność.
Czerwoni robili się coraz bardziej aktywni. Zaciekłe walki toczyły się na naszych skrzydłach. Dniem i nocą step huczał od wystrzałów. Pojawiły się sowieckie samoloty. Ich bomby zostawiały dookoła nas wielkie szare leje. Mróz stawał się coraz bardziej przenikliwy. W połowie stycznia temperatura spadła do trzydziestu ośmiu stopni poniżej zera.
Nasze małe koniki miały sierść pobielałą od mrozu. Kropelki spadające z ich mokrych od krwi chrap tworzyły na śniegu setki różowych plamek, poszarpanych, jak płatki goździków...
Wyjący step
Zycie w naszych kwaterach w Szerbinowce stało się nie do wytrzymania. Próbowaliśmy uszczelnić okna słomą. Połowa szyb została wybita podczas ucieczki sowieckich hord. Coraz silniejszy wiatr przenikał ze świstem przez deski w podłodze. Do snu zakładaliśmy na siebie cały nasz nędzny przyodziewek. Ale czymże była peleryna, lekki koc, trochę słomy w baraku przewiewanym na wylot przez ten przeklęty wiatr od stepu?...

Siekierą rozbijaliśmy stwardniałe na kamień margarynę, kiełbasę i chleb. Kilka jajek, które przysłała nam intendentura, zdążyło po drodze całkowicie zamarznąć i zamienić się w szare bryłki.
Były to jednak chwile wytchnienia...
***
Nasze wysunięte pozycje znajdowały się trzy kilometry na wschód od Szerbino-wki. Udawaliśmy się tam grupami, przez śnieg głęboki na czterdzieści, czterdzieści pięć centymetrów. Temperatura wahała się pomiędzy dwadzieścia pięć a trzydzieści pięć stopni poniżej zera.
Niektóre kompanie miały małe schrony wydrążone w hałdach węglowych. Pozostali zostali rzuceni na step.
Śnieg, to jeszcze nic. Najgorsze były wichury. Piszczały, zawodziły, gwizdały przenikliwie, rzucając nam w twarz tysiące malutkich strzałek, które raniły jak kamyki.
W końcu dostarczono nam kominiarki i cieniutkie wełniane rękawice, które prawie nas nie chroniły. Nadal nie mieliśmy ani kożuchów, ani ocieplanych butów.
Każdy, kto choć na chwilę zdjął rękawice, natychmiast miał odmrożone palce. Nosiliśmy kominiarki naciągnięte na nos: oddech, przechodząc przez wełnę, zamieniał się w grube pasemka lodu na wysokości ust i w długie białe wąsy zwisające z brwi. Nawet nasze łzy zamarzały, tworząc wielkie perły, które boleśnie sklejały rzęsy. Ścieraliśmy je dopiero, kiedy ból stawał się nie do zniesienia. Nos, policzki miały cały czas kolor jasnożółty, jak napięta skóra na bębnie. Aby uchronić się odmrożeń, trzeba było co jakiś czas energicznie nacierać ciało śniegiem. Często jednak było za późno.
***
Te straszliwe wichury dawały sowieckim oddziałom przewagę. Rosjanie byli przyzwyczajeni do tego nieprawdopodobnego klimatu. Pomagały im narty, psy, sanie, zwinne konie. Mieli ubrania chroniące przed zimnem: watowane kurtki, wysokie ocieplane buty odporne na śnieg, suchy jak kryształowy pył. Wykorzystywali sytuację -— niewyobrażalne cierpienia tysięcy żołnierzy z Europy, których śmiała ofensywa rzuciła w śniegi, wiatr, lód, bez odpowiedniego wyposażenia i przeszkolenia.
Byli wszędzie. Ich zwiadowcy, w cywilnym przebraniu, przenikali nasze stanowiska, docierali do osiedli robotniczych i tam pozyskiwali współpracowników. Większość ludności chłopskiej nic nie wiedziała o komunizmie, kojarzyła go tylko z przymusem; jednak w ośrodkach przemysłowych sowiecka propaganda oddziaływała na świadomość młodych robotników. I to właśnie do nich zwracali się wywiadowcy Armii Czerwonej: zdeklarowani i odważni agitatorzy.
Wchodziłem w skład plutonu egzekucyjnego, który miał rozstrzelać dwóch z nich. Skazał ich sąd polowy. Kiedy dotarliśmy na step, stanęliśmy w szeregu. Dwaj skazańcy stali bez słowa z rękami w kieszeniach. Powaliły ich nasze serie. A potem, przez sekundę trwała wspaniała cisza, w której rozpływał się pogłos wystrzałów. Jeden ze komunistów poruszył się, jakby chciał zebrać okruchy życia. Wyjął prawą rękę z kieszeni i wyciągnął ponad śnieg ramię z zaciśniętą pięścią. Usłyszeliśmy okrzyk, ostatni okrzyk rzucony po niemiecku, żeby wszyscy mogli zrozumieć: „Heil Stalin!" Zaciśnięta pięść opadła wzdłuż martwego ciała. Ci ludzie też mieli swoich idealistów...
Zazwyczaj Rosjanie skazywani na karę śmierci, przyjmowali swój los z fatalizmem, opuszczonymi ramionami, ogłupiałą miną.
Niemcy, aby spacyfikować chłopów, postanowili wieszać schwytanych dywersantów. Rosyjscy skazańcy podchodzili do szubienicy bezwolnie, z roztargnieniem w oczach, wdrapywali się na krzesło ustawione na stole. Czekali tam bez słowa skargi, o nic nie prosząc. Wyżej wisiał sznur. Zakładano go im na szyję. Tak właśnie to wyglądało, tak to wyglądało... Nie protestowali. Kopniak przewracał krzesło i kończył tragedię.
Pewnego dnia Niemcy mieli stracić jednocześnie pięciu skazańców. Pod jednym z powieszonych urwał się postronek i skazaniec spadł na ziemię. Podniósł się bez słowa i czekał najzwyczajniej, aż zawieszą nową pętlę.
W głębi serca zachowali wschodni fatalizm, dziecinną naiwność a także odwieczny nawyk przyjmowania kolejnych ciosów i cierpień. Nie burzyli się na śmierć. Nie protestowali. Nie próbowali się bronić, tłumaczyć. Bezwolnie przyjmowali śmierć, tak jak godzili się na całą resztę, na nędzne chaty, na knut panów i niewolnictwo komunizmu...
***
Druga połowa stycznia 1942 roku nie należała do spokojnych. Wiele oddziałów przemieszczało się. Sowieckie samoloty atakowały trzy, cztery razy dziennie. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Elitarne jednostki sowieckie, przetransportowane z Syberii, przekroczyły zamarznięty Doniec na Północ od zagłębia przemysłowego. Obeszły niemiecką obronę i zdobyły ważne linie kolejowe, między innymi

trasę Kijów-Połtawa-Sławiańsk. Przejęli znaczną część zapasów i ruszyli na zachód. Zdołali wedrzeć się głęboko w kierunku Dniepru. Pojawiła się groźba odcięcia całej Grupy Armii „Południe". Przekroczyli Samarę. Niewielkie grupki Kozaków dzieliło od Dniepropietrowska już tylko dwanaście kilometrów.
Niemieckie dowództwo w pośpiechu ściągało wszystkie dostępne siły do kontrofensywy. Kontrofensywa! Kiedy termometr niezmiennie wskazywał między trzydzieści pięć a czterdzieści stopni poniżej zera!
Nie mieliśmy wątpliwości, co nas czeka, gdy nagły rozkaz postawi nas w stan gotowości.
Tej samej nocy zluzowano nas. O czwartej nad ranem ruszyliśmy powoli za wozami w potężnej śnieżycy, która z furią miotała śniegiem i wszystkich oślepiała. Nie wiedzieliśmy o naszym przeznaczeniu. Zbliżała się godzina krwi i chwały.

Kozacy

To było, jeśli dobrze pamiętam, 26 stycznia 1942 roku.
Nie wiedzieliśmy dokładnie jak daleko dotarły oddziały z Syberii, przemieszczające się psimi zaprzęgami i Kozacy na swych małych, zadziwiająco wytrzymałych konikach.
Wróg nie powinien być daleko. To wszystko, czego zdołaliśmy się dowiedzieć. Zresztą my, zwykli żołnierze piechoty, wiedzieliśmy niewiele. Nawet myśleliśmy naiwnie, że być może się wycofujemy.
Nie wiedziałem więcej od towarzyszy, byłem tylko prostym żołnierzem, żyłem życiem oddziału, nie miałem kontaktów ze szczeblem wyższym od kompanii.
Wiedzieliśmy, że naszym celem jest zdobycie po raz drugi miejscowości Griszyno, położonej sześćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Szerbinowki. Z pewnością po drodze będziemy unikać spotkania z wrogiem?... Dostaliśmy rozkaz, by pierwszy etap pokonać przemieszczając się nieuczęszczanymi szlakami.
Minęły cztery godziny zanim nasza kolumna wyruszyła w zamieci śnieżnej. Nie widzieliśmy dalej niż na dziesięć metrów. Kiedy dotarliśmy do pól, step zaatakował nas ze wszystkich stron. Droga wspinała się i opadała w doliny o stromych zboczach. Ciągnęliśmy ze sobą stalfeldwagen, stalowe wozy ważące setki kilogramów, doskonałe na brukowanych albo żwirowych drogach Europy, ale zupełnie nieprzydatne w śniegach i na oblodzonym stepie. Rosyjscy chłopi używali wyłącznie sań albo lekkich wozów z drewna na wysokich i cienkich kołach. Nasze potężne karawany, mimo hamulców, staczały się z szaloną prędkością po stromych zboczach podcinając nogi koniom. W końcu same się przewracały. Natomiast pod górę, jeden pojazd musiało pchać dwadzieścia osób..
Po kilku godzinach wiele stalfeldwagen ugrzęzło w zaspach, albo powpadało w śnieżne dziury na stromych podjazdach. Przewidziany etap miał zaledwie dwanaście kilometrów. Musieliśmy jednak kontynuować pracę całą noc. Dopiero następnego dnia, o szóstej wieczorem, przetransportowaliśmy cały sprzęt. W wiosce pojawił się już patrol czterech Sybiraków, ale zostali zabici u jej pierwszych zabudowań.
O piątej nad ranem ponownie ruszyliśmy. Zamieć śnieżna nieco zelżała. Ale mróz zrobił się jeszcze dotkliwszy. Skuł wyboistą drogę tak, że pod śniegiem zrobiła się prawdziwa ślizgawka. Konie nie mogły iść dalej. Wiele połamało nogi. Do południa pokonaliśmy niewiele więcej niż kilometr.
Przed nami znajdowała się dolina otoczona stromymi zboczami. Zamieć śnieżna wypełniła ją niebywałą ilością śniegu. Cały nasz batalion musiał zakasać rękawy i wykopać korytarz długi na pięćdziesiąt i głęboki na trzy metry. Wchodzenie pod górę było trudne. Najgorszym zadaniem było wciąganie naszych pojazdów. O dziewiątej wieczorem dotarliśmy pierwszymi wozami na szczyt wzniesienia. Pokonaliśmy w szesnaście godzin dokładnie trzy kilometry!
Złożyliśmy nasze zaprzęgi w szopie. Obok nich było miejsce zaledwie dla kilku osób. Jakiś chłop powiedział nam, że cztery kilometry dalej, z dala od szlaku, w parowie znajduje się mała osada. Ruszyliśmy w drogę przy świetle księżyca. Śnieg chwilami sięgał nam po pas. W końcu dotarliśmy do kilku chat, nędzniej-szych niż wszystko, co widzieliśmy do tej pory.
Ulokowaliśmy się w dziesięciu na klepisku izby w jednej z chałup, zapełnionej cywilami, którzy najpewniej ukryli się tam wyczekując Sowietów. Gruba dziewczyna, czerwona jak homar, podchodziła przy świetle kaganka od jednego Rosjanina do drugiego. Ubrana była tylko w koszulkę, która sięgała jej do pasa. Chichotała głupawo i niestrudzenie kontynuowała swoją karuzelę, aż skończyła kolejkę.
Wtedy wdrapała się na swój piec i podrygując rzucała ordynarne żarty. Ale samce chrapały już, po skończonej robocie. Zwierzęta kręciły się. Smród przyprawiał nas o mdłości. O szóstej rano znów zanurzyliśmy się w śnieg wracając do naszych wozów.

Z wysokości wyżyny widzieliśmy jak kompania, która poprzedniego dnia nie posunęła się nawet o kilometr, z trudem ciągnęła żelazne wozy. Wspinaczka pod górę z pewnością będzie trwała aż do nocy.
Zostałem wysłany z patrolem na poszukiwanie kwater w stronę sowchozu, który miał się znajdować w odległości czterech czy pięciu kilometrów. Wyruszyliśmy we trójkę, na trojce znalezionej w szopie.
Sowchoz rzeczywiście istniał. Roiło się w nim od Rosjan. Pomieszczenie mieszkalne, tradycyjnie z klepiskiem, było opanowane przez młode cielęta, umieszczone dla ochrony przed zimnem obok pieca. Zwierzęta cały czas oddawały mocz. Wiadro zawsze docierało za późno. Potęgowało to smrodliwy zapach.
Jeden z moich towarzyszy wyruszył saniami, żeby wskazywać drogę oddziałowi. Drugi członek patrolu, który został ze mną, był robotnikiem kopalnianym z Borinage, o ciężkim i śpiewnym akcencie, o imieniu i nazwisku godnymi prawdziwej epoei: Achilles Roland.
Twarze mieszkańców sowchozu przyprawiały o dreszcze. Sowieckie samoloty latały nad sowchozem i rozrzucały ulotki zapowiadające nadciąganie Armii Czerwonej. Wszyscy Sowieci z uwagą spoglądali na linię horyzontu.
Około drugiej po południu pojawiły się sylwetki jeźdźców. Chłopi spoglądali na sobie porozumiewawczo. Wodzili za nami podstępnym wzrokiem spod pół-przymkniętych powiek w kształcie migdałów.
***
O czwartej po południu nie dotarł jeszcze żaden z naszych towarzyszy. Spodziewaliśmy się, że lada chwila u progu gospodarstwa staną Kozacy. Ustawiłem karabin maszynowy w korytarzu. Broń powinna narobić sporych szkód. Przy paskach nosiliśmy wiązki granatów, które pozwoliłyby nam zaprowadzić porządek na tyłach, gdyby chłopi z sowchozu spróbowali nas zaatakować.
Milczeli, zaskoczeni. Pewna młoda, urocza Ukrainka, która znała kilka słów po niemiecku, stanęła po naszej stronie. Miała szesnaście lat, piękne włosy z brązowym i zielonym połyskiem.
Obserwowała ruchy mieszkańców i rzucała nam ukradkiem porozumiewawcze spojrzenia. Traktowała nas tak samo, jak stadko małych cielaków i karmiła nas, dokładnie tym samym; tłustym mlekiem, słodkim jak skóra.
Na zewnątrz znów zaczynała się śnieżna burza. Wychodziłem od czasu do czasu z granatem w garści, sprawdzić okolicę. Nadał sypał potężny śnieg. Z całą pewnością nasi towarzysze nie zdołają dotrzeć tutaj na odpoczynek w taką pogodę. Zresztą, gdzie się podziewali? Może zostali rozbici atakiem Kozaków czy syberyjskiej piechoty na wyżynie, przez którą mozolnie pchali swe żelazne wozy?
Zapadł zmierzch. Godzina siódma. Ósma. Nikt nie dotarł. Chłopi cały czas wyczekiwali. Pewnie wielu chciało nam poderżnąć gardła, ale nie podobały im się taśmy z nabojami zamontowane do karabinów maszynowych. W końcu legli na ziemi pomiędzy młodymi zwierzętami, z wiadrem pod ręką.
***
Wyjący wiatr co chwilę otwierał z trzaskiem rozpadające się drewniane drzwi w korytarzu, zasypując nas masą śniegu. Zastanawialiśmy się, jak będzie wyglądało poranne przebudzenie.
Mój towarzysz postanowił wyruszyć o pierwszym brzasku na rekonesans w kierunku naszej kompanii. Była to nasza ostatnia szansa.
Wydaje mi się, że zegarek pokazywał piątą rano. Nieustraszony Achilles ruszył w zamieć śnieżną. Wrócił godzinę później, zamieniony w bałwana, pokryty co najmniej metrem sześciennym śniegu. Zgubił się w śnieżycy. „A poza tym, powiedział, czy jest pan pewien godziny? Jest jeszcze tak ciemno!”
Spojrzeliśmy na zegarek. Była pierwsza trzydzieści rano. Pomyliliśmy piątą z dwunastą dwadzieścia pięć. Biedny Achilles otrzepał się i poszedł trochę ogrzać koło glinianego pieca. A potem, leżąc z karabinami przy boku, czekaliśmy na prawdziwy świt.
W końcu nadszedł. Ale tylko on. Śnieżyca tak się nasiliła, iż porzuciliśmy nadzieję, że piechurzy zdołają do nas dotrzeć. Minął jeden, potem drugi dzień. Kiedy step skończy szaleć, pewnie okaże się, że Kozacy odcięli drogę. Nagle, o jedenastej rano, przed drzwiami gwałtownie zakręciły sanie, wzbijając śnieg po sam dach chałupy. Waloński podoficer, dawny ogrodnik z Brukseli, przedarł się przez śnieżycę saniami zaprzęgniętymi w cztery konie, które zgonił prawie na śmierć. Jedno ze zwierząt padło tuż po dotarciu do gospodarstwa.
Poprawiliśmy popręgi. Zaprzęg ruszył. Mimo sypiącego śniegu, zbiegli się Rosjanie z całego sowchozu. Ich oczy ciskały pioruny. Ale ładna, młoda Ukrainka, rumieniąc się, posłała nam, za ich plecami uroczy pocałunek. Wart był po dziesięciokroć naszej przygody.

Godzinę później dołączyliśmy do oddziału, cały czas unieruchomionego na wierzchołku zbocza. Kiedy tylko ktoś próbował zrobić kilka kroków po otwartym wzniesieniu, podmuch wiatru natychmiast przewracał go. Wszyscy zgromadzili się w stodole obok koni, równie przemarzniętych jak ludzie. Nic nie można było zrobić. Musieliśmy przeczekać. Step okazał się od nas silniejszy. Czekaliśmy.
Następnego dnia rano wiatr osłabł. Wysłaliśmy na drogę patrole. Leżał tam metr śniegu.
Nie mogliśmy już dłużej wyczekiwać. Nasza kolumna właśnie przygotowywała się do wymarszu, kiedy na horyzoncie pojawiły się szare punkty. Pół godziny później dotarł do nas niezwykły pochód: nasz dowódca, idąc nam na spotkanie prowadził przed sobą przez cały wieczór stu osiemdziesięciu Rosjan, którzy przekopywali łopatami przejście przez ocean stepu. Zdołaliśmy w ten sposób pokonać dwadzieścia kilometrów, rozbijając bagnetami kule śniegu, które powstawały nieustannie na naszych butach. O świcie dotarliśmy głębokim na cztery metry korytarzem do miejscowości Ekonomiskoje.
Nie dane nam było długo odpoczywać: o północy dostrzeżono trzystu Kozaków. Musieliśmy zająć w śniegu pozycje, u stóp wspaniałego wiatraka, który wyciągał swe długie ramiona w blasku księżyca. Biało-błękitny step migotał tysiącem kryształków. Noc rozjaśniały miliony gwiazd. Tworzyły delikatny, drżący, futrzany płaszcz rozpięty na niebie. Było to tak piękne, że prawie zapomnieliśmy o chłodzie, który nas przeszywał jak strzały.
W południe, po pokonaniu czterech mil, wkroczyliśmy do Griszyna. Miasto przeżywało od wielu dni bombardowania lotnicze, jakich Rosjanie nigdy dotąd nie przeprowadzali. Rozbite były wszystkie szyby. Kozacy i Sybiracy stali u bram miasta. Gdyby je zdobyli, stracilibyśmy jeden z największych węzłów drogowych i kolejowych w Zagłębiu Donieckim.
Musieliśmy przygotować się na rychłe starcie.
Zakwaterowano nas w szkolnej klasie. Nie było tam całego okna. Mieliśmy tylko po dwa lekkie koce. A termometr wskazywał teraz czterdzieści stopni poniżej zera!
Trudno sobie wyobrazić, co oznacza przy takiej temperaturze nocleg w otwartym na oścież budynku. Nie byliśmy w stanie zasnąć choćby przez sekundę. Nie byliśmy nawet w stanie siedzieć.
Zresztą nie zostawiono nam zbyt wiele czasu na filozofowanie o naszej niedoli. O pierwszej nad ranem uszykowano nas kompaniami: przechodziliśmy do kontrofensywy.

Róża Luksemburg

Zima 1941-1942 była najstraszliwszą zimą w Rosji od stu pięćdziesięciu lat. Niektóre jednostki niemieckie, stacjonujące w stosunkowo spokojnych sektorach, starały się w miarę możliwości przyzwyczaić do strasznego zimna i braku kożuchów. Natomiast oddziały, które odpierały bezpośrednie ataki wroga, doświadczały najcięższych warunków. Przeżywały niewiarygodne zdarzenia, czasami tygodniami przeprowadzały heroiczne kontrataki, często walczyły w całkowitym okrążeniu.
Odcinek Doniecki był jednym z najmniej spokojnych na tym froncie. Sowieci rzucili tu najlepsze jednostki. Zdołali wtargnąć głęboko na zajmowane przez nas tereny. Powstrzymanie ich, a następnie odparcie wymagało ogromnego wysiłku. Jednak w samym środku Zagłębia Donieckiego przetrwała wielka sowiecka enklawa. Została zlikwidowana dopiero pod koniec maja 1942 roku podczas bitwy o Charków.
Na początku lutego 1942 roku tragedia osiągnęła apogeum. Rosjanie byli zaledwie kilka kilometrów od Dniepru. Niemiecka kontrofensywa musiała zostać przeprowadzona z największą energią. I tak się stało.
OKH (Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych) rzuciło do ataku wszystkie siły i środki, jakimi dysponowało. A nie miało ich zbyt wiele. I tak 3 lutego ruszyliśmy do walki. Śnieg był tak głęboki, że spowalniał marsz. Myśleliśmy, że droga nie została zniszczona. Ruszaliśmy na wroga stłoczeni w bydlęcych wagonach ciągniętych przez pług śnieżny.
***
Jako prowiant dostaliśmy wielkie okrągłe chleby, które przywiązywaliśmy, lepiej lub gorzej, do oporządzenia albo do piersi. Musieliśmy dźwigać na plecach wszystkie nasze klamoty, broń, a także sporo amunicji. Nie mogliśmy zabrać ani koni, ani wozów. Nie było też kuchni. Jedynie to, co sami mogliśmy unieść. Strzelec, taki jak ja, niósł przeszło czterdzieści kilogramów, z czego trzydzieści przypadało na karabin maszynowy i skrzynkę z amunicją.
Minęło czternaście godzin, zanim pług śnieżny zdecydował się ruszyć i pokonał dwadzieścia kilometrów. W wagonach oczywiście nie było ogrzewania. Podłoga była jak kamień. Wszędzie leżał

lód; tego ranka było czterdzieści dwa stopnie poniżej zera. Czterdzieści dwa stopnie! Żeby nie zamarznąć musieliśmy cały czas biegać, jeden za drugim, po całym wagonie.
Każdy był u kresu sił po kilku godzinach tej sarabandy, od której zależało jednak nasze życie. Jeden z naszych towarzyszy, wyczerpany odmówił dalszego udziału w wyścigach. Usiadł w kącie. Myśleliśmy, że śpi. Potrząsnęliśmy nim; był skostniały. Na postoju nazbieraliśmy trochę śniegu. Nacieraliśmy go od stóp do głowy przez pięćdziesiąt minut. Odzyskał przytomność. A potem wydał przerażający ryk zarzynanego zwierzęcia. Następne półtora roku przeleżał w szpitalu podobny do bezzębnego pancernika.
Lokomotywa odrzucała na boki śnieżne zaspy wysokie na dwa metry. W końcu musiała jednak zatrzymać się przed przeszkodą nie do pokonania, ścianą lodu. Zresztą Bolszewicy byli już o trzy kilometry.
***
Kiedy wysiedliśmy w stepie, byliśmy przekonani, że umrzemy wszyscy. Podmuchy wiatru biły po twarzach i przewracały. Oficerowie i żołnierze padali w śnieg. Wielu z nas miało straszne twarze, pokryte czerwonymi pręgami, obrzmiałe, fioletowe. Białka oczu były krwistoczerwone od popękanych żyłek. Ręce miałem zajęte przez karabin i setki nabojów, i policzki natychmiast mi zamarzły. Inni mieli odmrożone stopy, które później zamienią się w długie skrawki poczerniałej, rozkładającej się tkanki. Niektórzy odmrozili uszy. Po pewnym czasie będą wyglądały jak wielkie morele, z których sączy się pomarańczowa ropa.
Najbardziej nieszczęśliwi byli ci, którzy mieli odmrożone członki. Biedni chłopcy tak bardzo cierpieli... Ciągano ich przez całą wojnę z jednego szpitala, do drugiego. Na próżno. Tamtego strasznego popołudnia mróz przepalił do cna nabrzmiałą, opuchniętą tkankę.
Przed nami znajdowała się wioska, którą mieliśmy zająć. Nosiła imię słynnej działaczki żydowskiej z Berlina, Róży Luksemburg. Rosjanom musiało być chyba równie zimno jak nam, bo kiedy tylko zbliżyliśmy się, szybko zebrali swój dobytek, nie czekając na wyjaśnienia. Mieliśmy jednego poległego, najmłodszego ochotnika, szesnastolatka, który dostał serię z broni maszynowej w brzuch. O piątej zajęliśmy pierwsze chaty, a na horyzoncie pojawiło się wspaniałe czerwone słońce, które prawie natychmiast utonęło w wirującym stepie.
***
Musieliśmy spędzić noc w na szybko zaimprowizowanych kwaterach.
Moja grupa zajmowała dwie chaty, które bardziej przypominały szopy. W jednej z nich mieszkały dwie kobiety i siedmioro dzieciaków, które załatwiały swe potrzeby na ziemię w środku izby. Matki od niechcenia usuwały odchody pod gliniane ściany i brały z pieca garść pestek słonecznika, które niestrudzenie, bez przerwy pogryzały.
Drugą połowę nocy spędziliśmy w stepie, na warcie. Musieliśmy liczyć się z możliwością powrotu Czerwonych. Co mogliśmy zrobić? Mój karabin maszynowy był całkowicie zablokowany przez mróz, który utrzymywał się na poziomie czterdziestu stopni poniżej zera. Nie można już było użyć żadnej broni. Jedyną jeszcze dostępną były granaty i noże.
O szóstej rano wstał olśniewający świt, na niebie kolejno pojawiły się kolory: złoty, pomarańczowy, fioletowy, purpurowy, amarantowy rozjaśniony delikatnym fioletem, obrębiony jasnym srebrem. Patrzyłem z zachwytem w oczach na tę wielką paletę kolorów, poprzecinaną purpurowymi liniami, spływającą na nagi step. Zauroczony zapomniałem o fizycznym cierpieniu. Najpierw piękno, bez względu na cenę. Widziałem nad sobą najpiękniejsze światła świata. Wcześniej podziwiałem niebo w Atenach, ale w obliczu wspaniałego i przejrzystego rosyjskiego nieba moje wzruszenie i radość były bez porównania większe. Miałem odmrożony nos. Miałem odmrożone policzki. Mój karabin był skuty lodem. Lecz cała moja wrażliwość płonęła. W tym kolorowym brzasku w Róży Luksemburg byłem szczęśliwszy od Alcybiadesa, kiedy patrzył na fioletowe morze z wyżyn tarasów na Akropolu.
***
Dwa dni później kolejny skok na wschód.
Mróz kąsał trochę mniej. Z twarzy, popękanych od mrozu, sączyła się czerwonawa ropa. Oddział, rozciągnięty jak wojska Ludwika XV, maszerował wzdłuż dwóch wzgórz, dosyć od siebie oddalonych. Przyjemnie było na to popatrzeć.
Przed nami czołgi zdobywały pozycje Sowietów. Posuwaliśmy się do przodu bez większych przeszkód. Postój wypadł w jakiejś wiosce, równie brudnej jak inne, ale zamieszkałej przez grupę Cyganów. Kobiety w izbie, siedzące na piecu po turecku, w ciszy paliły wielkie fajki. Miały czarne, prawie niebieskie włosy, spódnice w strzępach i spluwały z wielkim namaszczeniem.
Następnego dnia dotarliśmy do wioski Błagodacz, gdzie awangarda stoczyła najcięższą walkę. Jeden z pocisków trafił bezpośrednio w zapas amunicji sowieckiego działa. Leżało tam bez głowy

nagie ciało. Na miejscu szyi ziała olbrzymia poczerniała i spękana dziura. Tłuszcz na udach stopił się tworząc długie białe rozpadliny. Chciałem poszukać głowy artylerzysty. Nagle zobaczyłem przyklejoną do metalowej blachy przerażająca ludzką maskę. Wybuch oskalpował biedaka, zdzierając mu z twarzy skórę, oczy i włosy. Przenikliwe mróz natychmiast zamroził błonę, która dokładnie zachowała kształt i kolor: niebieskie oczy wciąż patrzyły. Kępka jasnych włosów powiewała na wietrze. Był to realizm, który wydobywał z gardła krzyk przerażenia.
***
Kilku Niemcom udało się przedostać do wioski z ciężkimi karabinami maszynowymi. Rosjanie powrócili, ruszając do szturmu z trzech stron jednocześnie, naiwni jak dzieci.
Atak z flanki powierzyli bitnym Kozakom, odzianym we wspaniałe niebieskie mundury, uzbrojonym w zakrzywione szable. Wpadli galopem, unosząc się i opadając w miękkich i giętkich siodłach na rączych koniach. Wszyscy zostali bez litości wybici. Konie waliły się z podkulonymi, wygiętymi w pałąk przednimi kończynami. Strojni Kozacy toczyli się po śniegu we wszystkich kierunkach, albo zastygali skuci lodem na siodłach, połączeni w chwili śmierci na zawsze ze swymi wierzchowcami.
Z dwóch innych wzgórz do szturmu przez nagi step rzucili się Sybiracy, równie naiwni jak Kozacy. Żaden z atakujących nie zdołał dotrzeć bliżej niż trzydzieści metrów od zabudowań. Śnieg był usiany setkami ciał Sybiraków. Wszyscy doskonale wyposażeni, ubrani w grube amerykańskie flanele, na których mieli kolejną warstwę cienkiej odzieży i w końcu grube watowane mundury, kożuchy i białe obszerne płaszcze.
Dzięki temu wytrzymywali nawet najcięższe mrozy. Prawie wszyscy byli rasy żółtej, włosy mieli sztywne, jak sierść dzika. Mróz mumifikował ciała w chwili upadku. Jeden z nich miał oko wyrwane z oczodołu przez kulę, która wbiła się w czaszkę. Oko natychmiast zamarzło. Przesunęło się na długość palca pod łuk brwiowy i przypominało przerażający instrument optyczny. Źrenica patrzyła na nas tak, jakby Mongoł ciągle jeszcze żył. Oczy zmarłych, dzięki czterdziesto stopniowemu mrozowi, zachowywały niezwykłą przejrzystość.
Wioska była w opłakanym stanie.
Noc spędziliśmy między młodymi zwierzętami, które uratowały się z masakry. W naszym pomieszczeniu było, oprócz małego cielaka i kur, z dziesięć pięknych gołębic, które gruchały cały czas, nie zważając na wściekłość ludzi... Kiedy obudziliśmy się, czekało nas nowe wrażenie: odwilż! Całkowita odwilż! Wioska brodziła w wodzie głębokiej na dwadzieścia centymetrów.
Żołnierz bije się przy każdej pogodzie. Wyruszaliśmy na wroga przez ciała poległych, które płynęły drogą, niczym dryfujące barki.

Odwilż i mróz

Rosyjska odwilż następowała w niezwykłym tempie. Na początku lutego 1942 roku było czterdzieści dwa stopnie poniżej zera. Dwa tygodnie później drogi zamieniły się w głębokie na trzydzieści centymetrów rzeki.
Z trudem wdrapywaliśmy się na zbocze, pokryte trupami, które spływały z Błagodaczy na Wschód. Holowaliśmy znalezione w chatach sanie, ciągnięte przez kilka szkap, które błąkały się po polach wśród śniegów. Nie mieliśmy ani uprzęży, ani postronków, ani lejców: przywiązaliśmy zwierzęta czerwonymi kablami telefonicznymi, które cały czas pękały i które wytrwale naprawialiśmy.
Minęliśmy rosyjskie sanie. Konie i woźnica zginęli od jednej serii: żołnierz, krępy Mongoł, orzechowo brązowy, całkowicie sztywny, patrzył na drogę wytrzeszczonymi oczami. Obok stał olbrzymi zielony gąsior, zawierający dwadzieścia funtów soku pomidorowego. Zginęły konie, zginął Mongoł, a butla pozostała nietknięta.
Kiedy zeszliśmy w dół, znaleźliśmy się w samym środku potopu. Pola były zalane, woda spływała tysiącami małych rowków, które wychodziły prosto na drogę. Lód był jeszcze bardzo twardy, a woda podnosiła się. Idąc zanurzaliśmy się po kolana w lodowatych nurtach.
***
Na nocleg musieliśmy stanąć w jakiejś osadzie. Składała się z dwóch domów. W jedynej izbie każdej chaty stało ściśniętych osiemdziesięciu chorwackich ochotników.
Nie było szans, by chociaż jedna osoba wcisnęła się do tej klatki dla ludzi. Dwa małe chlewy też roiły się od przemarzniętych żołnierzy, którzy nie mogli się nawet wysuszyć.
Mogliśmy tylko przez otwór do zrzucania siana wdrapać się do szczeliny, która oddzielała sufit od dachu. Klitka miała metr wysokości. Trzeba było jeszcze przejść po belkach, uważając, aby nie spaść przez słomiano-gliniany sufit na plecy osiemdziesięciu Chorwatów. Przeszło sto osób

musiało prześlizgnąć się aż do narożnych krokwi i ulokować się jeden za drugim na belkach, w dwóch czarnych dziurach. Musieliśmy się kurczyć albo przykucać. Trudno było długo wytrzymać w takich pozycjach. Nogi w grubych butach, przemoczonych lodowatą wodą, całkowicie przemarzły. Od rana nic nie jedliśmy, oprócz pajdy czerstwego przydziałowego chleba. I to nie wszyscy! Wielu nie miału już nawet kawałka skórki.
O dziewiątej wieczorem w otworze, na górze drabinki, pojawiła się latarka elektryczna: „Wstawać! Ruszamy!" Ruszamy! W środku nocy, drogami zalewanymi wodą! Pod czarnym niebem połączonym z ziemią!
Mieliśmy ruszyć w pogoń za wycofującym się wrogiem i zanim wstanie dzień zająć wielki kołchoz, znajdujący się dalej na wschód.
Nikt z nas nie był w stanie rozpoznać nawet swego sąsiada. Brnęliśmy w wodzie po omacku.
Jednak najgorszy był lód. Pod wodą z roztopów rozciągała się niebezpieczna ślizgawka. Co chwila ktoś tracił równowagę. Kiedy przyszła kolej na mnie, upadłem jak długi z karabinem maszynowym. Potem poślizgnąłem się na obcasach i runąłem do tyłu rozpryskując wodę. Byliśmy przemoczeni po szyję. Podążaliśmy w takich strumieniach wody i w takiej ciemności, że przekroczyliśmy Samarę, która płynęła nad lodem szeroka na dwadzieścia pięć metrów, a nikt z żołnierzy nie zauważył, że przekraczamy nurt rzeki! Około wpół do drugiej nad ranem dotarliśmy w końcu do bramy kołchozu. Dziesięć wielkich padniętych koni leżało na stertach topniejącego śniegu. W kołchozie nie było nawet najmniejszego pomieszczenia nadającego się na kwaterę, prócz trzech małych stajni, wypełnionych mierzwą.
Wtłoczyliśmy się w czterdziestu do jednej z nich.
Z resztek starego spichlerza zrobiliśmy stos. Kiedy buchnął ogień, w pośpiechu przybliżyłem pogrzebaczem do ognia moje kalesony i koszulę. Z wrodzoną niezręcznością zrobiłem to tak, że moja bielizna nagle zajęła się ogniem, wspaniale oświetlając stajnię! Ostatecznie, musiałem walczyć do końca zimowej ofensywy ubrany jedynie w kurtkę i stare, wytarte spodnie.
Smród mierzwy był naszym jedynym pożywieniem, aż do wieczoru następnego dnia. Kołchoz sprawiał przygnębiające wrażenie. Oglądając skarpę schodzącą ku Samarze, wydało mi się, że dostrzegam ciało w topniejącym śniegu. Zszedłem. Z przerażeniem odkryłem młodego Niemca, któremu Czerwoni, wyjątkowo sadystyczni, odcięli obie nogi na wysokości kolan... Robota była wykonana piłą rzeźniczą, niewątpliwie przez specjalistę. Ten nieszczęsny Niemiec wchodził w skład patrolu zwiadowczego, który zaginął dwa dni wcześniej. Widać było, że po okaleczeniu czołgał się jeszcze jakieś piętnaście metrów z desperacją młodego człowieka, który nie chciał umierać...
***
Mróz wrócił równie gwałtownie, jak wcześniej przyszła odwilż. W jedną noc temperatura spadła do dwudziestu stopni poniżej zera. Następnego dnia Samara znów była całkowicie skuta lodem.
Szlak doliną zamienił się w budzącą grozę ślizgawkę, ponieważ wszystkie trupy Rosjan, które pływały w wodzie, zastygły w lodzie. Z lodu wystawała ręka, albo but, albo głowa.
Sanie powoli usuwały te przeszkody, zestrugując nosy, kości policzkowe, które rozpadały się jak trociny. Po kilku dniach wszystko zostało wyrównane: tylko pod białym lodem widać było połowę ręki albo połowę twarzy, jak wielkie ryby, które podpłynęły do ścianek akwarium.
***
Kiedy lód dostatecznie stwardniał, ruszyliśmy w drogę. Gwałtownie bombardowało nas rosyjskie lotnictwo. Po dwóch kilometrach znaleźliśmy się w pobliżu Samary. Przekraczaliśmy ją powoli. Właśnie wtedy rzuciła się na nas, jak chmara os, eskadra sowieckich samolotów.
Pikowały, zataczały koła, nawracały. Ruszyłem z kilkoma towarzyszami, żeby odsunąć na bok wielki wóz z amunicją, który stał na środku drogi — doskonały cel, który mógł w każdej chwili wylecieć w powietrze. Pchałem ze wszystkich sił, żeby przesunąć go w bezpieczne miejsce pod skarpą. Samoloty znów rzuciły się na nas. Pojazd przewrócił się przygniatając mnie. Nie miałem już okazji, zobaczyć dalszego biegu wypadków. Przytomność odzyskałem po pół godzinie w jeden z chat. Przed oczami widziałem tylko wirujące fioletowo-różowe koła, podobne do orchidei.
Lewą nogę miałem złamaną w dwóch miejscach.
Zrozumiałem, że chcą mnie odesłać do szpitala. To mnie całkowicie ocuciło. Sanitariusze mieli konie i wąskie sanie. Pozwoliłem się na nich ułożyć. I wtedy koń popędził po lodzie przez zatopione ciała w kierunku na wschód.
Godzinę później dołączyłem do moich towarzyszy. Razem z nimi, leżąc na trzech deskach, znalazłem się w Nowoandriejewsku. Nieustannie atakowały rosyjskie samoloty. Mieliśmy jednego zabitego i wielu rannych. Ale wieczorem Legion Walonia rozlokował się w wiosce.
***

Musieliśmy iść dalej.
Moja noga przypominała głowę czarnego cielaka. Któryś z moich towarzyszy znalazł w śniegu olbrzymią, filcową walonkę, jaką czołgiści zazwyczaj zakładali na wojskowe buty. Był to na dodatek but lewy. Umocowano w nim bardzo wygodnie moją złamaną nogę. I ponownie, wyciągnięty na małych saniach, ruszyłem z kompanią.
Mieliśmy po raz trzeci przekroczyć po lodzie krętą Samarę. Sowieckie samoloty znów polowały na nas. Kiedy przechodziliśmy zamarzniętą rzekę, przeleciały tuż nad nami, ostrzelały nas a potem zrzuciły trzy wielkie bomby. Spadły z tak małej wysokości, że nie miały czasu obrócić się pionowo i prześlizgnęły się nam między nogami jak trzy wielkie szare psy.
Przy przekraczaniu rzeki straciliśmy kilku ludzi.
Mieliśmy zająć wzgórza, które wznosiły się nad doliną. Stanowiły dział wód dla całej okolicy. Ten, kto miał tę wyżynę, kontrolował bieg Samary. Dotarliśmy tam około jedenastej rano, 17 lutego.
Wioska rozłożyła swe chałupy po dwóch stronach długich, skutych lodem stawów.
Kiedy przez nie przeszliśmy, Rosjanie otworzyli do nas ogień artyleryjski o niespotykanej dotąd sile.
Oddział zdołał dobiec do chat i ukryć się. Leżąc na dnie mego legowiska, niezdolny zrobić ani kroku, słyszałem jak odłamki granatów odbijają się od bocznych desek. Jakiś Chorwat, biegnąc z wyciągniętymi ramionami, upadł na mnie: w miejscu oczu miał potworną, krwawą dziurę, wielkości dwóch pięści.
Tak wkroczyliśmy do wioski Gromowaja Bałka, gdzie stracimy — zabitych i rannych — połowę naszych legionistów.

Dni w piekle

W Gromowej Bałce, podobnie jak wszędzie indziej, nie było ciągłego frontu. Na lewo od nas rozciągało się siedmiokilometrowe pustkowie Na prawo, sojusznicza jednostka — Dywizja Waffen SS Wiking — zajmowała niewielką wioskę, oddaloną od nas o trzy kilometry. Rosjanie zajmowali pozycje kilka kilometrów na Wschód, ale ich wysunięte stanowiska podchodziły bardzo blisko, kryły się w stogach siana, które sterczały nad stepem jak pobielane pagórki.
Wioskę Gromowaja Bałka zbudowano w niewielkiej dolince. Ustawiliśmy stanowiska powyżej osady, na wzniesieniu. Nie mogliśmy się okopać — ziemia była twarda jak granit — ale przy użyciu siekier, otoczyliśmy stanowiska wielkimi blokami zlodowaciałego śniegu. Stanowiska pomocnicze przygotowano nieco z tyłu, tuż obok chat. Ochotnicy wycięli je w słomianych gnojowiskach, w których było łatwiej kopać. Przyniosło nam to nieoczekiwaną pociechę, ponieważ żołnierze znaleźli tam dwie skrzynki wspaniałego, francuskiego koniaku, ukryte w pośpiechu przez uciekających Rosjan.
Niestety było to nasza jedyna radość. W Gromowej Bałce czekało na nas prawdziwe piekło.
***
Na nocleg mieliśmy do dyspozycji zaledwie dwie czy trzy chaty na całą kompanię. Prawie wszystkie szyby w oknach wyleciały, podczas zdobywania wioski. Bolszewicy, jak to było w ich zwyczaju, wybili całe bydło. Padnięte zwierzęta leżały wewnątrz i na progach domków. Jeden z koni zawisł w jednym z dwóch okienek w naszej chacie; prawie całkowicie je zatykając. Dwa inne leżały w oborze.
Wróg nękał nas dniem i nocą, połowa ludzi musiała cały czas czuwać na śnieżnych stanowiskach. Z powodu zimna wartę pełniła połowa kompanii. Druga połowa zmieniała ją po dwóch godzinach. W ten sposób nasi żołnierze przez dziesięć dni nie mogli zasnąć na dłużej nii półtorej godziny za jednym razem. Musieli budzić się kwadrans przed wartą. Kiedy przychodziła ich kolej na odpoczynek, tracili następny kwadrans, żeby ułożyć się do snu. Zresztą, gdy przeszło połowa oddziału chciała odpoczywać równocześnie, nie było możliwości, by pomieścić ich wszystkich w jedynej chatce, takie były malutkie. W związku z tym dwudziestu pięciu żołnierzy, którzy schodzili na dwie godziny odpoczynku, nie mogło nawet położyć się na ziemi. Musieli cały czas stać albo kucać. Przez rozbite okna, których nie dało się całkiem uszczelnić, cały czas wnikał dojmujący ziąb. Ze złamaną nogą, miałem za łóżko co; w rodzaju warsztatu, przytwierdzonego do ściany na wysokości metra. Z tej grzędy patrzyłem dzień i noc, przemarznięty i bezsilny, na pobudki i powroty nieszczęsnych towarzyszy.
***
Racje żywnościowe ograniczono do minimum. Sanie z zaopatrzeniem musiał; jechać czterdzieści, pięćdziesiąt godzin. Wroga artyleria bezbłędnie wyłapywała na ostatnich kilometrach ich czarne

plamki na białym tle drogi, jeżeli ryzykowały przejazd za dnia. Próbując dotrzeć do nas nocą, gubiły się na stepie i wpadały na kolejne stanowiska Sowietów.
Dostawaliśmy jedynie tyle, by nie umrzeć z głodu: chleb, który kroiliśmy bagnetami, i konserwy mięsne, zamrażane w produkcji i rozmrażane zręcznie w saniach.
Brak słońca zabijał żołnierzy. Zimno męczy przeraźliwie, wymaga walki całego organizmu. Kompanie musiały siedzieć w lodowych norach dwanaście godzin na dobę, w zupełnym bezruchu. Ludzie stali na lodzie. Jeśli się opierali plecami, opierali się o lód. Cały czas było od dwudziestu do dwudziestu pięciu stopni poniżej zera. Krótkie odpoczynki w chatach nie pozwalały im się ogrzać — było tam prawie tak zimno jak za drzwiami — ani odzyskać sił: nie mogli się położyć na ziemi, ani nawet posiedzieć w spokoju. Cały czas spadał na nas grad pocisków, wstrząsał chatami i przewracał ściany.
Sowiecka artyleria wysłała nam przez kilka dni kilka tysięcy granatów. Niektóre chaty stały w ogniu. Strzechy innych, trafionych w dachy, były rozrzucone dokoła na dwadzieścia metrów. Mieliśmy wielu poległych. Ciężki karabin maszynowy, trafiony bezpośrednio, został wyrzucony w powietrze na cztery metry, razem ze strzelcem, ten spadł nietknięty, ściskając cały czas kolbę karabinu, ale dwóch żołnierzy z obsługi zmasakrowało.
Pocisk artyleryjski wpadł przez okno prosto do izby, gdzie odpoczywało około tuzina naszych. To była prawdziwa rzeź. Wśród sterty trupów i rannych, wyciągniętych z ruin, brakowało jednego żołnierza. Następnego dnia odnaleziono kilka rozmazanych kawałków ciała i kości, przyklejonych do gruzu. Tyle zostało po naszym towarzyszu. Pocisk trafił go w środek piersi.
Nasze linie telefoniczne były nieustannie zrywane.
Czterdziestu chłopców, którzy mieli zapewniać łączność między kompaniami i punktem dowodzenia batalionu, a potem między batalionem i dywizją, cierpiało niewysłowione męki od początku ofensywy. Każdej nocy, czasami przy czterdziestostopniowym mrozie, czasami pośrodku rzeki roztopów, musieli rozwijać kilometry kabla telefonicznego. Wracali ze stepu z rozległymi odmrożeniami na rękach, policzkach, nosach i uszach.
W Gromowej Bałce spędzili dziesięć dni i dziesięć nocy czołgając się w śniegu i po lodzie, pomiędzy żelastwem, wzdłuż przeklętych kabli, przecinanych trzy lub cztery razy na godzinę.
Lecz trzeba było za wszelką cenę utrzymać łączność. Kable telefoniczne były tętnicami batalionu. Wielu małych telefonistów oddało życie za te kable.
Był między nimi stary dziadek, cały biały, zawsze pierwszy do służby. On też został trafiony. Zanim umarł, miał siłę wyciągnąć z kieszeni małą Biblię i wyrecytować dwa czy trzy wersy jednego z psalmów...
***
Tragiczne warunki, w jakich się znajdowaliśmy, pogarszało jeszcze inne nieszczęście, natury bardziej intymnej. Większość z nas był pokryta tajemniczymi ranami, które żołnierze ze wschodu nazywali „rosyjskimi ranami". Rzeczywiście były to rany typowe dla tego regionu.
Choroba zaczynała się od niesamowitego swędzenia stóp i łydek. Niemożliwością, było się nie drapać. Ale kiedy zaczynało się drapać, zaraz pojawiały się komplikacje. Powstawały niebieskawe ranki, które piekły tak, jakby były posypane solą lub pieprzem. Krwawiły, a przede wszystkim ropiały. Widok był odrażający. Nie można było tego drapać, ale nerwy nie pozwalały. Jeśli za dnia miało się dosyć sił, żeby stawić opór ukąszeniom trucizny, to nocą, podczas snu, ręce same, nieświadomie wędrowały do stóp i łydek, paznokcie wbijały się w te żrące plamy i rozdrapywały je do krwi. Musieliśmy spać w butach, żeby nie ulec przerażającej chęci drapania swędzących miejsc.
Tysiące, dziesiątki tysięcy żołnierzy na Wschodzie, zostało ewakuowanych z frontu z powodu uporczywie krwawiących ran, głębokich aż do kości. Co najmniej trzem czwartym batalionu krwawiły łydki, owinięte jakimiś obrzydliwymi szmatami. Ale pomimo bandaży, fioletowe dziury ran, przeżartych dziwnym kwasem, wzywały palce, wzywały paznokcie w dzień i w nocy...
***
Zżerały nas setki wszy.
Przeprowadziliśmy kontrofensywę, nie zmieniając bielizny. Każdy nędzny stóg, w którym spaliśmy, gościł przed nami hordy Mongołów, Tatarów, Sybiraków, pełnych robactwa. Wspólna egzystencja stłoczonych w przerażającym brudzie czterdziestu czy pięćdziesięciu osób powodowała, rzucenie nas na pastwę skaczącego, wygłodniałego i bezlitosnego robactwa.
Wielu żołnierzy, u kresu sił, nie chciało tracić dodatkowej godziny krótkiego snu na bezskuteczne zmagania. Jeśli wytępiłeś wszy u siebie, to i tak twój sąsiad nie zabił swoich. W czasie pobudki połowa jego stanu posiadania przenosiła się na twój teren... Nie było sposobu, aby zorganizować

generalne odwszenie stłoczonych, pozwijanych w kłębek żołnierzy, którzy nie mogli wygodnie się położyć ani poruszać.
Wystarczało włożyć rękę pod pachę albo między uda, żeby wyciągnąć garść ohydnych wszy. Niektóre były malutkie, ruchliwe i białawe, inne długie, podobne do małych strzałek, jeszcze inne okrągłe, z czerwonymi żołądkami wielkości główki od szpilki.
Ich kolor w zaskakujący sposób dopasowywał się do koloru odzienia. Wszy upodobały sobie rany. Całe ich mrowie właziło pod bandaże. Czułem jak wędrują po mojej złamanej nodze. Nic nie można było zrobić, tylko cierpieć i pozwalać pożerać się żywcem z nerwami napiętymi jak postronki.
Każdego dnia Sowieci stawali się coraz bardziej agresywni.
Od przeszło tygodnia praktycznie nie sypialiśmy. Nawet kiedy ludzie schodzili do chaty na przydziałowe dwie godziny odpoczynku, pociski padały z taką obfitością, że wszyscy rzucali się w zamieszaniu na ziemię i oczekiwali w napięciu czy pocisk nie trafi w środek izby. Nie było żadnej piwnicy, ani jakiejkolwiek osłony. Od 25 lutego, po zachodzie słońca pojawiały się sowieckie czołgi. Podjeżdżały zaledwie na kilkaset metrów: każdorazowo oddawały po kilka strzałów.
Między naszymi patrolami, a rosyjską strażą przednią, pochowaną w starych stogach siana, dochodziło do krwawych walk wręcz. Oddziały sowieckie realizowały najprostszy z wariantów działania: ich zadaniem było usuwanie kolejnych przeszkód. Najpierw rzucili się wszystkimi siłami na wioskę zajmowaną przez SS, trzy kilometry na południowy-wschód od naszego punktu oporu. Gdyba ta reduta padła, pozostalibyśmy sami dla obrony całego zbocza, schodzącego w kierunku Samary. Rzeka była celem, który Sowieci postanowili osiągnąć bez względu na cenę, kierując tam wszystkie siły.
Esesmanów było około dwustu. Prawdziwe zabijaki. Nasz łącznik, który utrzymywał łączność z ich dowództwem, podziwiał ich opanowanie. Rosjanie znajdowali się trzydzieści metrów od ich stanowisk Ostrzeliwali każdy dom. W ciągu jednego dnia Niemcy odparli dziesięć szturmów, dwadzieścia razy liczniejszego wroga. Bronili się, niewzruszeni, grając w karty, wykorzystując każdą chwilę wytchnienia.
Jednak po tygodniu walk zostało im już tylko jedna droga odwrotu, szeroka na sto metrów. Straty sięgały już trzech czwartych stanów.
28 lutego 1942 roku, o piątej nad ranem, kilka tysięcy Czerwonych rzuciło się na pięćdziesięciu Niemców, którzy mogli jeszcze walczyć. Masakra trwała godzinę. Kilku Niemców zdołało uniknąć rzezi. Widzieliśmy jak biegli przez śnieg w naszą stronę, ścigani przez Bolszewików. Dotarli, tylko po to, żeby dołączyć do naszej tragedii. Nie tylko ich wioska została zdobyta. W tym samym czasie masy oddziałów sowieckich, zgrupowanych w przeddzień na wschód od Gromowej Bałki, runęły w naszym kierunku.
O szóstej rano zaatakowały dwa pułki piechoty liczące cztery tysiące ludzi, wspierane przez czternaście czołgów. Nas było zaledwie pięciuset. Mieliśmy tylko jeden czołg.

Gromowaja Bałka

Przez całą noc nasz batalion czuwał na stanowiskach. Patrole donosiły o ruchu po stronie wroga. Nie mieliśmy wątpliwości, że starcie jest nieuniknione.
Upadek wioski bronionej przez SS sprawił, że zostaliśmy otoczeni pośrodku piętnastokilometrowego stepu. Sowieci chcieli odegrać się i próbowali ponownie dostać się do doliny, z której zostali wyparci piętnaście dni wcześniej.
Robili wszystko, aby ich sukces był całkowity. Ich artyleria ostrzeliwała nas nieustannie, reagowała na każdy, najmniejszy nawet ruch. Wioska została praktycznie zrównana z ziemią.
Nasi żołnierze przypominali widma.
O północy zarządzono pierwszy alarm. O szóstej rano kolejny rzucił nas na pozycje bojowe. Po chwili utonęliśmy w morzu ognia armatniego.
Leżałem na dwóch deskach w izbie chaty oddalonej o czterdzieści metrów od twierdzy z lodu, z twarzą zwróconą na wschód. Z niepokojem wsłuchiwałem się w odgłosy bitewnego zamętu. Dach zaczął trzeszczeć: chata zapaliła się.
Podskakując na zdrowej nodze dotarłem do okna: nieprzeliczona masa Rosjan sunęła do przodu w zwartych szykach.
Pomyślałem najpierw, że są to chorwaccy ochotnicy: mieli bardzo podobny kolor płaszczy. Ale nie: wszędzie wokół nich padały pociski; niemiecka artyleria, która nas wspierała, strzelała bezpośrednio w ten wielotysięczny tłum.

Przeszli wąwóz i ruszyli w kierunku środka wioski, okrążając od tyłu nasze pozycje. Działali z taką obojętnością, iż miało się wrażenie, że to ćwiczenia.
Rozwinęli się dopiero, gdy doszli na około sto metrów od mojej chaty, pierwszej od północnego-wschodu. Wtedy zauważyłem czternaście sowieckich czołgów, które sunęły prosto na nas.
Moja kompania, otoczona prawie ze wszystkich stron, wycofała się do drugiej chaty.
Nie było ani minuty do stracenia. Kości śródstopia powinny się zrosnąć już dwa tygodnie temu. Zrzuciłem łubki, które usztywniały złamaną nogę i podpierając się karabinem, utykając, pokonałem odkryty teren który oddzielał mnie od reszty kompanii.
Zapominając o bólu wróciłem na stanowisko strzeleckie i otworzyłem ogień do wroga zasypując go barwnym gradem kul. Było nas około dziesięciu. Od drugiego domu dzieliło nas jakieś dwadzieścia metrów. Ułożyłem się między dwoma wielkimi, końskimi trupami, zamarzniętymi na kamień, od których kule odbijały się z dziwnym poświstem.
Nieprzyjaciel nadciągał od wschodu i północnego wschodu, frontem do linii dwóch wioskowych chat. Kiedy rozpoczął się atak na nasze pozycje, równoległe natarcie wyszło od drugiej strony stawu na domy bronione przez towarzyszy z 2-ej kompanii.
Ci okazali niezwykłą waleczność, próbując odeprzeć wroga. Ale ich wysunięte posterunki padły pod naporem lawiny nacierających. Żołnierze, z doskonałą kadrę oficerską na czele, zapłacili masakrą, żeby spowolnić szturm tej tłuszczy. Rosjanie i Azjaci osiągnęli pierwsze domy na północnym zachodzie. Zaczęło sit wzajemne wyrzynanie w przerażającej walce wręcz.
Jedna z naszych starych, reksistowskich pieśni wzbiła się do nieba. W tamtych wojennych czasach, oddział kultywował jeszcze stare zwyczaje i nasi żołnierze szli do ataku ze śpiewem na ustach.
Niedobitki 2-ej kompani ruszyły do kontrataku masakrując Rosjan. Niedobitkami dowodził porucznik Buyds, brukselski przemysłowiec, który rzucił się w wir walki z karabinem maszynowym w rękach. Jego kompania w ślad za nim, odbiła domy i dotarła aż do swych dawnych stanowisk w śniegu.
Ale na każdego z naszych ludzi przypadała gromada Czerwonych. Sowieckie czołgi zrównały z ziemią wszystkie zabudowania, z których stawiano opór. Porucznik Buyds wpadł w bitewny szał. Strzelał z karabinu maszynowego dopóty, dopóki Rosjanie nie podeszli na kilka kroków: dostał wtedy kulę w pierś i zmarł przyciskając twarz do karabinu...
Rosjanie zdobyli pierwsze chaty na północnym zachodzie. Patrzyliśmy jak ich czołgi rozjeżdżały naszych rannych, polowały na nich i miażdżyły stalowymi gąsienicami.
***
Nasza sytuacja nie była wcale lepsza.
Bolszewicy zajęli dymiące zgliszcza naszej pierwszej chaty i przedostawali się do przybudówek. Z północnego zachodu dziesiątkowali nas ogniem licznych karabinów maszynowych Maksim. Między nami stała podziurawiona szopa: ułożone w łuskę dachówki z okapu i ze szczytu dachu, uniesione seriami z karabinów, zostały rozrzucone jak talia kart. Nasi ludzie padali trafieni kulami ekrazytowymi, które pozostawiały w ciałach przerażające dziury. Jeden z moich towarzyszy osunął się: jego głowa zamieniła się w makabryczną bryłę; znikły: oczy, nos, policzki, usta, wyrwane przez wybuch. Czerwoni byli nie tylko od czoła. Zajęli nie tylko domy na naszym lewym skrzydle, ale dotarli także do naszych starych pozycji w śniegu na wzgórzach od wschodu. Stamtąd mieli doskonały widok na wioskę.
Nasi żołnierze umocnili się na pozycjach tworząc nieliczne grupki, które nie dawały się łatwo wykurzyć.
Strzelaliśmy przede wszystkim z karabinów, oszczędzając amunicję, trafiając za każdym strzałem Bolszewika. Ci parli do przodu z iście azjatyckim fatalizmem. Ponad śniegiem, za plecami naszych napastników, wstawało piękne, złociste słońce. Rosjanie, którzy zajęli nasze pozycje w lodzie, stali się dzięki temu doskonale widocznymi, czarnymi celami. Każda głowa, która choć na sekundę wychyliła się zza naszych starych, wykutych w lodzie okopów, dostawała kulkę.
Ale my także mieliśmy duże straty.
Po godzinie, z mojej grupki zostałem tylko ja, pomiędzy trupami dwóch zamarzniętych koni, które stanowiły doskonałą osłonę. Wszędzie świstały kule. Jedna z nich wyżłobiła tuż przy moim policzku, rowek dłuższy od palca w kolbie mojego karabinu. Rosjanie obchodzili mnie z lewej strony. Było ich co najmniej trzydziestu. Znajdowali się już jakieś dziesięć metrów ode mnie. I wtedy właśnie poczułem, że ktoś ciągnie mnie do tyłu za zdrową nogę. Młody kapral z mojego plutonu, niejaki Henri Berkmans, widząc, że znalazłem się w tragicznej sytuacji, podczołgał się i ciągnął mnie, leżącego na brzuchu, tak jakby ciągnął worek.

Po tym nieoczekiwanym wybawieniu, znalazłem się na progu chaty, gdzie broniła się reszta mojej kompani. Niestety mój bohaterski wybawca miał mniej szczęścia ode mnie: odłamek granatu głęboko rozciął mu spód stopy i piętę; umierał w strasznych męczarniach.
Była może dziewiąta rano. Sowieckie czołgi, które zaatakowały odcinek północno-zachodni, były już kilkaset metrów za nami. Prowadziły potworne polowanie na ludzi, klucząc wokół chat i zabawiając się miażdżeniem naszych towarzyszy, po kolei, bez względu na to czy byli cali, ranni, czy już martwi. Doskonale wiedzieliśmy, że jesteśmy następni w kolejności, a wtedy będziemy tak samo poniewierani, zgniatani przez te mastodonty, zwłaszcza że równocześnie odcinek południowo-wschodni był atakowany przez sowieckie oddziały, przybywające z wioski, gdzie dobito ostatnie gniazda oporu Waffen SS.
Staliśmy się celem zaciekłego ostrzału. Lód rozpryskiwał się wokół nas na setki małych, tańczących odłamków. Każdy krył się gdzie mógł, za chłopskimi saniami albo pod oknami.
Weteran pierwszej wojny światowej o nazwisku Steenbruggen walczył wyjątkowo zażarcie. Trafiony kulą w tył głowy, osunął się, uniósł prawą rękę i krzyknął: „Żegnajcie towarzysze, Rex zwycięży!" Myśleliśmy, że skonał. Kwadrans później, jeden z poległych wyprostował się: „Do cholery, nie umarłem!" To nasz stary wiarus odzyskał przytomność! Żył, pomimo kuli w głowie! W czepku urodzony zdołał doczołgać się do punktu sanitarnego i wywinął się śmierci.
Wszystko co dobre kończy się. Sowiecki czołg, zdecydowany zająć się nami, obrócił się w naszym kierunku, pokonał lód na stawie i ruszył prosto na naszą chatynkę.
Czołg wycelował w nas działo. Zdążyliśmy tylko paść na ziemię. Trzy pociski, wystrzelone z idealną precyzją, rozniosły doszczętnie ścianę frontową. Zasypały nas kawałki gruzu. Chata zapaliła się. Ludzie krwawili. Jeden z nas miał urwane lewe ramię. Na szczęście jeden z pocisków zrobił wyrwę również w tylnej ścianie pomieszczenia, na wysokości jednego metra. Mogliśmy przerzucić przez tę dziurę naszych rannych, a potem sami, pojedynczo przeleźć przez nią. Żeby dotrzeć do następnego domu trzeba było pokonać jakieś trzydzieści metrów. Ludzie, którzy biegli na wprost, byli natychmiast trafiani. Żeby zmylić celującego, trzeba było przebiec najwyżej pięć metrów, paść na ziemię, poderwać się i przebiec następne cztery lub pięć metrów i znów paść na ziemię. Zniecierpliwiony strzelec szukał wtedy mniej mobilnego celu.
Jeden z młodych żołnierzy skrył się za jakimś ciałem. Przerażony, nie rozglądał się dookoła. Nagle, tuż przed sobą dostrzegł martwe, szaro-błękitne oczy. Był to jego ojciec, dzielny brukselski krawiec.
***
Zainstalowaliśmy się w sąsiedniej chacie. Ta z kolei zaczęła płonąć nad naszymi głowami. Schroniliśmy się za progiem domu, osłonięci lodową skarpą, która nabrała żółtej barwy od zamarzniętego moczu.
Czołgi nas przy dusiły. Setki Rosjan strzelały z karabinów maszynowych, z najbliższej odległości. Tuż za nami słomiana strzecha zawaliła się w potężnych płomieniach.
Czołgi prawie zatoczyły półkole wokół nas. Strzelaliśmy już tylko z karabinów, wiedząc jak cenny był każdy nabój. Zbliżał się finał. Dowódca kompanii położył swoją dłoń na mojej: „Jeśli pan zginie — powiedział mi po prostu—ja pana nie przeżyję...". Ale żadnemu z nas nie było dane zginąć. Nie do końca rozumieliśmy co nastąpiło. Nad naszymi głowami rozległ się warkotliwy pomruk. Czołgi zaczęły wylatywać w powietrze! Chaty wylatywały w powietrze! Całe gromady Rosjan wylatywały w powietrze!
To oznaczało, że nadleciały niemieckie Stukasy. Z niezwykła precyzją pikowały w środek skupisk rosyjskich czołgów, niszcząc kolejne skupiska Sowietów, bezmyślnie zbitych w gromadę, jak to zwykli czynić. Wrogie czołgi uciekały w pośpiechu, chcąc uniknąć powietrznych ciosów. Z nimi uciekała piechota.
Dowódca naszego batalionu rzucił natychmiast do kontrataku ostatnie siły, jakie pozostały. Z wrzaskiem przebiegli obok nas. W południe legion Walonia odzyskał Gromową Bałkę, a nawet odbił cześć chat po obu stronach stawu. Ciała Rosjan leżały dosłownie wszędzie. Wzięliśmy wielu jeńców: Mongołów, brzydkich jak makaki, Kirgizów, Sybiraków, zaskoczonych tym, że zmuszono ich do ucieczki. Cały czas powtarzali: „Belgiskij, charosz! „Belgiskij, charosz!" (Dzielni Belgowie!) mrugając przy tym małymi, żółtymi oczkami.
Niestety wszyscy nasi ranni nie żyli, zmiażdżeni przez sowieckie czołgi albo wykłóci bagnetami.
***
Stukasy po zakończeniu tego opatrznościowego nalotu, odleciały. Rosjanie przegrupowali się, ruszyły ich czołgi. Wszystko zaczynało się od początku. Byliśmy bezsilni wobec czołgów. Wtedy nie istniał jeszcze panzerfaust. Nie mieliśmy 88-milimetrowych armat przeciwlotniczych. Nie mieliśmy nawet min przeciwpancernych.

Już na początku walki niemiecka 100 Dywizja Strzelców Górskich, której taktycznie podlegaliśmy, zapowiedziała, że udzieli nam pomocy. Kolumna czołgów wyruszyła nawet w naszą stronę. Została jednak odcięta przez kolumnę rosyjskich czołgów, z którą walczyła kilku godzin w stepie. Potyczka ta zatrzymała również posiłki piechoty. Czekała nas znowu walka defensywna: od chaty do chaty, od stodoły do stodoły, od skarpy do skarpy. O trzeciej po południu wyparto nas do ostatnich domów i do sadu wiśniowego w południowo-zachodniej części wioski. Gdybyśmy pozwolili się wyprzeć z tych ostatnich szańców, czekał na nas płaski step, bez najmniejszego krzaczka, szczelnie otulony głębokim śniegiem.
Trzeba było coś zrobić, żeby nie dać się zepchnąć poza wioskę. Dowódca, kapitan Pauly, zebrał resztki batalionu i z granatem w ręku rzucił się jako pierwszy do kontrataku z naszym tradycyjnym okrzykiem „Rex zwycięży!" Wszyscy, którzy byli w stanie walczyć, ruszyli za nim. Nie wyłączając rusznikarzy, kucharzy, łączników, woźniców. To było prawdziwe szaleństwo. Zabijano się w chałupach. Rozwalano sobie głowy strzelając z bliska z pistoletów między skrzydłami drzwi.
Rosyjskie czołgi, które nie miały już pocisków, jeździły dookoła chat usiłując miażdżyć naszych żołnierzy. Ale ci zręcznie uskakiwali z chaty do chaty. Sowiecka piechota, przerażona, wyczerpana i niezdecydowana, zaczęła się wycofywać. W kulminacyjnym momencie walki wręcz, od zachodu, w śniegach, pojawiły się niemieckie posiłki. Doprowadziło to do całkowitej rozsypki wroga. Po raz trzeci wioska została odbita.
Czerwone czołgi jeszcze przez jakiś czas oddawały się polowaniu na ludzi. Ale w pewnej chwili na wzgórzu pojawiły się nasze czołgi, które zwyciężały w stepie. Pół godziny później sowieckie czołgi i piechota zniknęły w błękitnych śniegach na północnym-zachodzie.
Zapadał zmierzch. Byliśmy panami sytuacji.
Siedemset trupów Czerwonych leżało na śniegu: na oblodzonych stawach, w pobliżu ruin domów. Ale w ciągu tych dwunastu godzin piekła poległo lub zostało rannych dwustu pięćdziesięciu naszych towarzyszy.
Godzinę później niemieckie czołgi ruszyły w kierunku kolejnego zagrożonego odcinka. Z chat Gromowej Bałki zostały jedynie kupki popiołu, które dopalały się w lodowatym chłodzie wieczoru.

Front lodu

Wieczorem 28 lutego 1942 roku dymiące zgliszcza Gromowej Bałki były w naszych rękach.
Trzeba było jednak przyjąć do wiadomości fakty: pozycja była nie do utrzymania. Wioska zniszczona. Ale, przede wszystkim, znajdowała się na samym dnie dosyć głębokiej niecki. Ze wschodniego zbocza wróg śledził każdy nasz ruch. Przez dziesięć dni bezustannie na nas polował i ostrzeliwał. Utrzymaliśmy się w tej wiosce, mimo szturmów czterech tysięcy żołnierzy sowieckich i czternastu czołgów, tylko dlatego, że chodziło o honor naszego narodu. Każdy z nas wolał raczej zginąć niż splamić pamięć walecznych przodków. Nasi żołnierze kierowali się żarliwym patriotyzmem — bronili honoru naszego kraju. Dla niego poległa połowa naszych ludzi: zamarzli na śmierć lub utopili się we własnej krwi. To ich duma narodowa pozwoliła na cud trzech kontrataków i odbicie wioski.
Nie było sensu przyjmować takiej samej walki nazajutrz. Rozsądek nakazywał opuścić dolinkę i zorganizować obronę na zachodnim stoku, z którego także bardzo dobrze było widać wioskę. Tam nie będziemy już narażeni na nieustanny ostrzał.
Dowódca 100 Dywizji, generał Sanne rozkazał, by nasz batalion pod osłoną nocy zajął stanowiska na wzniesieniu. Natomiast nasze wysunięte pozycje utrzymywano do ostatniej minuty. Rosjanie niczego nie zauważyli. O świcie ostrzelali bezlitośnie ruiny Gromowej Bałki. A potem rzucili się do ataku.
Teraz nasza artyleria utrudniała im życie w wiosce do tego stopnia, że także nie zdołali się w niej utrzymać. Kiedy dostali nauczkę, cofnęli się o kilkaset metrów, na wzgórze na wschodzie.
Od tej chwili patrzyliśmy na siebie i ostrzeliwaliśmy się ze wzgórz. Wioska stała się no mans land, gdzie z zimowej bieli wyłaniało się tylko kilka osmalonych kominów i gruzy chat.
***
Nasze nowe stanowiska, zaimprowizowane w szczerym stepie przy trzydziestostopniowym mrozie, wyrąbano w śniegu i w lodzie.
Niemieckie czołgi wróciły i ciężko dysząc otworzyły ogień. Przysadziste, podobne do średniowiecznych bastionów, wyznaczały granicę naszych, nowych pozycji na wzniesieniu. W tym czasie niemiecka artyleria zajmowała stanowiska w dolinie od zachodu.
Nie mieliśmy żadnego szałasu, żadnego ogniska: tylko białe nory, gdzie dwustu żołnierzy, którzy zdołali przeżyć do tej pory, bez żadnej zimowej odzieży, miało stawić czoło Sowietom.

Pociski latały we wszystkich kierunkach. Skład amunicji wyleciał w powietrze. Nasi ludzie, przemarznięci do szpiku kości, szczękali zębami jak kastanietami. Niektórzy mieli prawie zielone twarze. Od poprzedniej nocy mróz wręcz pożerał tych dwustu ludzi, którzy nie mieli nawet gdzie się schronić. Nadeszła kolejna noc, jeszcze mroźniejsza. Nasza sytuacja stała się absolutnie patetyczna. Było mało prawdopodobne, by na otwartym stepie, w takim mrozie, ludzie wycieńczeni miesiącem walk, mogli przeżyć: unieruchomieni całymi godzinami w śniegu, udręczeni, wykańczani strasznym zimnem.
Nasz batalion, ustawiony w czworobok, przysiągł walczyć do samego końca. Ewakuowaliśmy jedynie ludzi, którzy stracili przytomność. Następnego dnia Legion Walonia był nadal na stanowiskach. Ani Rosjanie, ani mróz nie zdołały złamać jego oporu.
***
Żeby łatwiej było znieść cierpienia, porównywaliśmy nasz los z mękami stu pięćdziesięciu rannych, przewożonych przez step dziesiątkami sań.
W Gromowej Bałce musieliśmy czekać na zmierzch, aby ewakuować większość naszych towarzyszy, bo wielu rannych zostało za dnia ponownie ranionych przez sowieckie karabiny maszynowe, które uwzięły się na konwoje sanitarne; czarne, doskonale widoczne na lśniącym śniegu.
Sanie mogły w miarę bezpiecznie przejechać jakieś siedem kilometrów od naszych pozycji, do wioski Nowoandriejewsk. Tam zostawiały krwawy ładunek i w pośpiechu wracały.
Przy pierwszych transportach wykorzystaliśmy kilka narzut, które uratowano z płonących chat. Potem trzeba było zadowolić się suchym sianem albo strzechą z domów, stojących na skraju wioski. Nocą, nieszczęśni ranni trzęśli się z zimna na śniegu, osłonięci jedynie kilkoma sznurami, garścią słomy lub odrobiną siana. Trudno nawet sobie wyobrazić, jakie musiały być ich cierpienia.
W Nowoandriejewsku lekarze na punkcie opatrunkowym nie mieli ich już gdzie kłaść. Dziesiątki rannych leżały więc na gołym klepisku. Wioska była tylko punktem etapowym. Trzeba było ewakuować tych nieszczęśników przeszło czterdzieści kilometrów dalej, do Griszyna. Wróciła śnieżna zamieć, wściekle unosząc biały step.
Sanie jechały po dwa, trzy do szpitala polowego w Griszynie. Ranni w prowizorycznych opatrunkach i łupkach, umierający z zimna, z odłamkami granatów czy kulami w ciałach, pokornie znosili te męki.
W Griszynie znajdowała się wprost niewyobrażalna ilość rannych. W ciągu pięciu tygodni przewieziono ich tam jedenaście tysięcy. Niektórzy z naszych musieli czekać pięć dni, zanim zdjęto im prowizoryczny opatrunek, który zdążył sczernieć i stwardnieć jak blacha. Z trudem porozumiewali się. Większość nie znała języka niemieckiego. Od nikogo nie mogli otrzymać nawet słowa pocieszenia. Poznali do głębi cierpienia ciała i duszy.
Wielu nie przeżyło tych lazaretów i zakończyło kalwarię na cmentarzach wojskowych, gdzie pod stalowych hełmem malowano barwy ojczyzny — czarny, żółty i czerwony — dla której tak mężnie walczyli i cierpieli...
Rankiem, 2 marca 1942 roku Legion Walonia liczył mniej niż jedną trzecią dawnego stanu. Na dwudziestu dwóch oficerów pozostało dwóch, z czego jeden z rozstrojem nerwowym został ewakuowany jakiś czas później.
Niemieckie wojska, które miały nas zastąpić, zbliżały się. Saperzy z myślą o nich kopali w ziemi schrony, które miały pozwolić nowym obrońcom stawiać opór na zboczu nieustannie omiatanym przez burze śnieżne, w nieco lepszych warunkach. Jednak, mimo schronów, batalion, który nas zastąpił, stracił na tej wyżynie z powodu zamarznięć tylko w marcu przeszło trzydzieści procent stanu. W południe nastąpiła wymiana. Nasi chłopcy, wychudzeni, zarośnięci, schodzili ze stanowisk z dumą w oczach.
Na całym froncie donieckim wszyscy słyszeli o odwadze z jaką walczyli. Dowódca 100 Dywizji Strzelców Górskich odznaczył trzydziestu trzech spośród nich Krzyżami Żelaznymi. W tamtych czasach była to jak dla jednego batalionu niewiarygodna ilość. Jeszcze większym zaszczytem był fakt, że ich nazwiska zostały wyczytane w rozkazie dziennym Wehrmachtu, w komunikacie Naczelnego Dowództwa.
***
Umieszczono nas na drugiej linii, w Błagodaczy.
Śnieżne pola, które pokonywaliśmy miesiąc wcześniej w czasie ofensywy, oczyszczono z setek trupów błękitnych Kozaków i Mongołów w białych płaszczach.

W końcu znaleźliśmy się w domach, biednych i nędznych, ale jednak domach! Nie stały już przed nami hordy Azjatów o malutkich, błyszczących oczkach, rzucających się jak koty do bezlitosnej walki wręcz...
Ale ciągle rozglądaliśmy się i szukaliśmy... Nasi nieszczęśni polegli towarzysze broni, z którymi dzieliliśmy marzenia: otaczali nas, gościli w naszych myślach... Każdy z nas stracił przyjaciół. W naszym legionie panowały stosunki braterskie. Wszystko nas łączyło. Nasze serca, w cierpieniu pochylały się nad tą pustką. ..
Zatopiliśmy zęby w sławie, jak w zmrożonym i gorzkim owocu.

III
Bitwa o Charków

Bitwa o Gromową Bałkę była ostatnią ofensywą Sowietów w zimie 1941— 1942 w Zagłębiu Donieckim. Nasz legion, zakwaterowany w Błagodaczy, stał w rezerwie, gotowy interweniować przy pierwszym zagrożeniu.
Ale frontowi nie groziło już żadne poważniejsze niebezpieczeństwo.
Nocą grały karabiny maszynowe. Patrzyliśmy z progu chat na ognie, które wybuchały i krzyżowały się na stepie. Jednak 28 lutego Bolszewicy otrzymali ostateczny cios. Ich ofensywa zimowa została zastopowana i odparta na dobre.
Nie pozostawało już nic innego, jak tylko oczekiwać wiosny.
Błagodacz pogrążała się jeszcze w głębokich zaspach. Na przemian padał śnieg albo ściskał siarczysty mróz. Myśleliśmy, że zima zostanie tam na zawsze. Od sześciu miesięcy królowała biel. W końcu znienawidziliśmy ten kolor: biały step, białe dachy, białe niebo, które ciężko wisiało nam nad głowami...
***
Wioska, umęczona walkami, była przerażająco biedna. Spaliśmy na kilku deskach albo na słomie, rzuconej na gołe klepisko w chatach. Bolały nas uszy od wrzasków bladej dzieciarni. Ci biedni ludzie żywili się tylko ziemniakami obtoczonymi w soli. Krowy zabito. Padnięte konie wrzucili do wielkiego kamieniołomu razem z ciałami pięciuset sowieckich żołnierzy, wystawały stamtąd ludzkie głowy i kopyta zwierząt.
Piliśmy wodę z miejscowej studni. Pewnego dnia wpadło do niej wiadro i utopiło się. Jeden z żołnierzy spuścił do studni gruby sznur uzbrojony w hak i przeciągnął nim po dnie. Hak o coś zaczepił. Myśleliśmy, że to wiadro. Ale było to coś ciężkiego. Wezwaliśmy do pomocy kilku żołnierzy. W końcu ze studni wyłonił się obrzydliwy, rozkładający się Mongoł, o grubych łapskach, zaczepiony za pas.
Piliśmy tego Mongoła przez kilka tygodni.
Chaty były prawdziwymi wylęgarniami wszy. W naszej znajdowały się zapasy ziarna siewnego. Ziarno cały czas ruszało się od zagnieżdżonego w nim robactwa.
Większość z nas cierpiała na „wszawą gorączkę". Był to rodzaj żółtej febry. Doprowadzała nas do stanu skrajnego wyczerpania. Wieczorem mieliśmy trzydzieści dziewięć stopni gorączki. Rano zaś temperatura spadała do trzydziestu pięciu czy trzydziestu pięciu i pół stopnia, nie więcej. Nie mieliśmy apetytu i stawaliśmy się coraz słabsi. Mieliśmy zawroty głowy. Nie byliśmy w stanie poruszać się ani cokolwiek zrobić.
Kryzys, przechodzący w stan krytyczny, trwał trzy, cztery tygodnie. Potem mogliśmy powoli i z bólem podnosić się. Wyglądaliśmy jak biedne, stare, smutne szkapy.
Rzadko zdrowiało się za pierwszym razem. Wszawa gorączka wracała od czasu do czasu, jak malaria. Nasi lekarze nie posiadali żadnych lekarstw, które mogłyby zwalczyć tę lokalną chorobę, oprócz nieśmiertelnej aspiryny, uniwersalnego remedium wszystkich wojsk na świecie.
Staraliśmy się powrócić do normalnych nawyków higienicznych.
Konfiskowaliśmy na godzinę domową dzieżę, rodzaj płaskiej pirogi, wyrąbanej siekierą w kawałku drewna. Topiliśmy w niej pół metra sześciennego śniegu. Potem siadaliśmy w tej malutkiej i śmiesznej szalupie. Przy każdym bardziej energicznym ruchu przewracaliśmy się razem z wanienką!
Rosjanie nie kąpali się przez całą zimę. Mieli malowniczy sposób mycia twarzy. Nabierali wody do ust, wypluwali ją cztery czy pięć razy na ręce i pocierali nimi policzki. W ten sam sposób skrapiali twarze wiecznie zasmarkanych dzieci.
Ceremonia wyłapywania wszy była prawdziwym widowiskiem.

Przychodziła sąsiadka. Kucała na ziemi i rozplatała warkocze na kolanach swej kumy. Ta przez godzinę, dwie, wyciągała setki małych insektów za pomocą dużego, drewnianego, gęstego grzebienia. Następnie ona siadała na ziemi a gospodyni, paplając, odwdzięczała się za przysługę.
Latem operacje przeprowadzano na progu domu. Było to bardzo miłe. Wszy zabijano kolektywnie. To był bardzo uczciwy komunizm.
***
Wraz z rekonwalescencją lżej rannych zaczęliśmy odbudowywać kompanie, jednak ich liczebność zmniejszyła się o połowę.
Podczas kontrofensywy byłem kapralem. W trakcie bitwy o Gromową Bałkę zostałem mianowany podoficerem. Nadzorowałem konserwację karabinów maszynowych i kontrolowałem jakość posiłków z tak wielkim zaangażowaniem, jakbym kierował grupą pięćdziesięciu tysięcy politycznych zwolenników. Lubiłem żołnierskie życie, proste, wolne od pokus wielkiego Świata, ambicji i wyrachowania.
Już od kilku miesięcy nie miałem żadnych wiadomości o kłótniach w ojczyźnie. Wężowy splot rywalizacji, podejrzliwość i nieuczciwość scen politycznych, przyprawiały mnie o mdłości. Przedkładałem moją skromną chatę nad ministerialne pałace, moją starą kurtkę wojskową nad przytłaczający komfort burżuazyjnej miernoty. Spoglądałem w czyste oczy żołnierzy, obmyte poświęceniem. Czułem, jak spływa ku mnie krystaliczny dar ich idealizmu. Z mojej strony ofiarowałem im wszystko, co płonęło w mym sercu.
***
Często odwiedzali nas niemieccy sojusznicy. Albo my chodziliśmy spędzić kilka wieczornych godzin w ich okopach. Rozmawialiśmy godzinami o tym, co będzie po wojnie.
Co jeszcze, oprócz zmarłych?...
Kwestie granic, kwestie materialne zajmowały nas tylko połowicznie. Żyjąc cały czas w obliczu śmierci, zrozumieliśmy jak ważne są siły duchowe. Front utrzymywał się tylko dzięki temu, że były tu dusze, dusze, które wierzyły, które spalały się, które elektryzowały. Odnosiliśmy zwycięstwa nie tylko dzięki jakości uzbrojenia, ale również dzięki przymiotom duchowym żołnierzy.
Podobnie będzie po wojnie. Nie wystarczą zwycięstwa ekonomiczne. Nie wystarczy polityczna odnowa. Konieczne będzie głębokie odrodzenie moralne, które zmyje wszystkie brudy naszych czasów, przywróci duszom umiłowanie czystej przestrzeni i bezgranicznego poświęcenia.
Rewolucja narodowa, tak. Rewolucja społeczna, tak. Rewolucja europejska, tak. Ale przede wszystkim rewolucja dusz, tysiąc razy bardziej potrzebna niż rozkaz z zewnątrz, niż sprawiedliwość z zewnątrz, niż braterstwo werbalne.
Świat po przeżyciu czasu nienawiści i zbrodni wojennych będzie potrzebował najpierw ludzi o czystych sercach, którzy będą wierzyć w posłannictwo i będą mu całkowicie oddani, którym tłum uwierzy i zaufa całkowicie.
Nasze rozmowy rozpalały. Lichy, mały kaganek wyostrzał rysy twarzy. Te twarze promieniały. Przepełniona cierpieniem zima oczyściła nasze marzenia. Nigdy jeszcze nie czuliśmy tyle siły, czystości i radości.
Niegdyś wiedliśmy życie banalne, zbrukane rezygnacjami na rzecz codziennych potrzeb. Front pozwolił nam poczuć smak wyrzeczenia. Byliśmy pozbawieni jakiejkolwiek nienawiści i pożądania. Ujarzmiliśmy nasze ciała, zabiliśmy nasze ambicje, oczyściliśmy i spotęgowaliśmy nasz dar. Sama śmierć nie budziła już lęku.
***
Śnieg padał jeszcze bardzo długo. W Wielki Czwartek znów godzinami sypały ogromne płatki.
A potem przyszło ocieplenie. Wpatrywaliśmy się w biały step, gdzie czarne łodygi słonecznika stawały się coraz wyższe. Na wzgórzach pojawiały się szare przebłyski końca zimy. Spod śniegu wyłaniała się ziemia.
Wróble szalały w chatach. Słońce każdego dnia ogrzewało równinę. Woda spływała. Chłopi rozrąbywali siekierami, drągami, motykami lód, gruby na trzydzieści, czterdzieści centymetrów, który pokrywał strzechy. Po kilku dniach takiego oczyszczania osada zamieniła się w wielką kloakę. Pola były lepkie, jak topniejący syrop. Z jednego końca wsi na drugi można było przedostać się tylko konno, robiąc wielki objazd przez wzgórza. Niektórzy śmiałkowie zrobili sobie coś w rodzaju nart wodnych; pływali po całej Błagodaczy w strojach kąpielowych, ciągnięci przez muły. Chaty były połączone kładkami, przerzuconymi nad głębokim na pół metra błotem. Woda, zasilana przez tysiące strumyków, podmywała brzegi z siłą prawdziwej rzeki; rozciągała się na szerokość czterdziestu, pięćdziesięciu metrów, tworząc huczące katarakty. Pierwszy chłopski wóz,

który próbował je pokonać, porwała woda; kobieta, która powoziła, utonęła, obrócona sto razy przez wir wodny.
***
Po dwóch tygodniach słońca mogliśmy dojść aż do stogów z zeszłej jesieni, na wzniesieniu. Wyciągnęliśmy się na ziemi, z gołymi torsami; wystawiając ciała na pierwsze promienie słońca, poczuliśmy przypływ nowych sił.
Plac na wioskowych stawach zniknął; tuż przy stawidłach pływały setki wielkich zamarzniętych karpi.
Pewnego dnia zapuściłem się konno daleko na zachód. Rzeka zakręcała. Dostrzegłem w oddali lasek. Drzewa zieleniały, pokryte delikatnymi żółtawymi listkami. Uniosłem się w strzemionach, zachłystując się wiosenną świeżością, która tak pięknie pachniała!
Słońce pokonało zimę. Drogi wysychały. Na tle niebieskiego nieba widziałem obracające się skrzydła wiatraka.
Nadszedł maj. 10 maja otrzymaliśmy rozkazy. Zmienialiśmy odcinek. Wymarsz nastąpił jeszcze tej samej nocy. Nadchodził czas nowych operacji wojskowych. Szczęśliwi opuszczaliśmy nasze chaty wyboistymi drogami, wyśpiewując radośnie o wojnie, chwale, przygodzie i wiośnie, ciepłej jak nasze serca.

Krzyk kukułki

Nigdy, podczas tej strasznej zimy 1941-1942 roku na Froncie Wschodnim, zwątpienie nie zmąciło umysłu żołnierza niemieckiego ani europejskiego ochotnika. Doświadczaliśmy niewyobrażalnych mąk. Ale wiedzieliśmy, że jedynymi powodami naszych niepowodzeń były: wyjący wicher, czterdziestodwustopniowy mróz i braki w zaopatrzeniu. Stalin nie miał z tym nic wspólnego. Komunikacja kolejowa wracała do dawnej sprawności, mosty odbudowano, korespondencja docierała regularnie. Rozdano nawet futra, grube damskie futra albo stare skóry koźle bawarskich pasterzy. Dostaliśmy je w samym środku odwilży. Zdążyliśmy się nimi trochę pobawić i zaraz je oddaliśmy.
Żadne wieści nie zakłócały wiosennego optymizmu. Ameryka, która oficjalnie przystąpiła do wojny światowej w grudniu 1941 roku, doznała zimą samych klęsk. Anglicy, do tej pory niezaprzeczalni mistrzowie świata w desancie, ewakuowali się z Hongkongu i Singapuru, przy czym pobili rekord szybkości panter, jaguarów i innych kotów z birmańskiej dżungli. Żołnierze na Froncie Wschodnim byli głęboko przekonani, że Anglicy i Amerykanie, po ciężkich klęskach w Azji, nie stanowią już zagrożenia dla Rzeszy. Podczas gdy oni będą nękani w ostatnich polinezyjskich azylach, Niemcy będą mogły spokojnie zadać ostateczny cios ZSRR.
Stalin zareagował?... Zimą odbił część terenów?... To była prawda. Ale Wehrmacht zeszłej jesieni rzucił się na wschód na złamanie karku. Czasami zdobywał tereny nie do utrzymania. Było wiele niebezpiecznych momentów. Ale, szczerze mówiąc, mimo nieregularnych postępów, mimo zimna, mimo nieprzewidzianych przeszkód, jeszcze tej samej zimy sytuacja została opanowana w niezwykle widowiskowy sposób.
Rosjanie ponieśli w 1941 roku potężne straty. Ich zimowa ofensywa zakończyła się fiaskiem. Niepodważalnym fiaskiem.
Mieliśmy teraz rzucić się na nich, żeby wygrać ostatnią rundę. Dla wszystkich Europejczyków na Froncie Wschodnim, wynik tej walki wydawał się z góry przesądzony.
***
Nigdy wojsko niemieckie nie było tak wspaniałe. Rzesza dokonała niezwykłego wysiłku, aby uzupełnić straty poniesione zimą i doprowadzić jednostki do stanu wyjściowego. Pułkom przywrócono etatową liczebność. Dywizje otrzymały bataliony rezerwowe, liczące do tysiąca pięciuset żołnierzy każdy, które miały dostarczać uzupełnień w trakcie nowej kampanii.
Każda jednostka opływała w nowiutki ekwipunek i doskonałą broń. Żywność była wyśmienita. Z prawdziwą przyjemnością patrzyło się na dywizje składające się z piętnastu, siedemnastu tysięcy wspaniałych zuchów, wysokich i silnych jak dęby, otoczonych przez oficerów i podoficerów, jakich nigdy nie miała żadna armia na świecie.
Prawie zapomnieliśmy o zimie. Czasami wracaliśmy do niej we wspomnieniach, ale tylko w żartach. Im bardziej cierpi się w danym momencie, tym większą później odczuwa się przyjemność opowiadając o przeżytych nieszczęściach. Licytowaliśmy się: kto miał bardziej odmrożony nos, czyja chata była biedniejsza, czyj chleb bardziej spleśniały, wszy najbardziej żarłoczne. Mówiliśmy o tym z prawdziwą lubością. Kiedy ktoś raz dał się wciągnąć w taką rozmowę, nie było sposobu, żeby go uciszyć.

***

Niespodziewany zwrot sytuacji pozwolił Naczelnemu Dowództwu po raz kolejny wykazać się mistrzostwem. Wyżsi oficerowie niemieccy odznaczali się wyjątkowym opanowaniem i równowagą wewnętrzną. Generałowie zasiadali do sztabówek jak mistrzowie nad szachownicą. Długo medytowali; decyzje podejmowali jedynie po głębokiej analizie.

10 i 11 maja 1942 roku OKH skierowało wszystkie siły z Zagłębia Donieckiego do ofensywy na Wschód. W samym szczycie przegrupowania, sowiecki marszałek Timoszenko rozpoczął imponującym natarciem ofensywę na północnym skrzydle naszego odcinka. Pojawił się pod Charkowem i rzucił kilkaset tysięcy ludzi w stronę Dniepru i Połtawy.

Zdołał uczynić głęboki wyłom. Stalin opublikował entuzjastyczne biuletyny o zwycięstwie. Radio londyńskie i moskiewskie zapowiadały rychłe przekroczenie Dniepru przez Rosjan. Uciekinierzy docierali aż do nas, rozpowszechniając przerażające pogłoski. Sowieci rzeczywiście uprzedzili niemiecką ofensywę. Niemcy przyjęli jednak to pechowe zdarzenie bez jednego zbytecznego zdania, bez oznak najmniejszego zdenerwowania, a przede wszystkim nie odstąpili ani na krok od dotychczasowego planu. Kontynuowano skrupulatnie przygotowania, dokładnie tak, jak to było przewidziane. Rosjanie parli do przodu?... Pozwolono im posuwać się do przodu przez pięć dni i zapuścić się w sam środek potężnej narośli, której centrum stanowiła Połtawa. W tym czasie wszystkie bataliony niemieckie w spokoju zajmowały pozycje. Natarcia nie przyspieszono nawet o godzinę.

***

Nasz legion nie otrzymał jeszcze uzupełnień. Mimo to bronił dosyć rozległego odcinka, tuż przy zwężeniu frontu. Schrony i okopy były w doskonałym stanie. Ciągnęły się wzdłuż wierzchołków wielkich, odkrytych wzniesień, z których roztaczał się doskonały widok na dolinę, rzekę i miejscowość noszącą nazwę Jablenska. Jablenska strzegła wstępu do wąwozu. Czerwoni zamienili ją w prawdziwą fortecę. Ich artyleria trzymała całą dolinę pod ogniem amfiladowym. Pociski uderzały w podstawy naszych pozycji jak kule kręglowe. W nocy kilku ochotników naszego legionu prześlizgnęło się zwinnie jak łasice pomiędzy minami, które położono przed naszym odcinkiem. Mieli przeniknąć do Rosjan. Zadaniem ich było ukryć się pomiędzy pozycjami wroga, spędzić dzień na czatach, dokładnie rozpoznać ruchy Czerwonych, rozmieszczenie stanowisk karabinów maszynowych i artylerii.

O świcie zaczęliśmy obserwować przez lornetkę wzgórza po sowieckiej stronie. Z jednego kopca wysunęła się ręka i pomachała chwilę chusteczką. To tam właśnie ukryli się nasi ludzie. Nasze karabiny maszynowe cały czas trzymały teren na muszce, aby w razie wykrycia pomóc zwiadowcom. Co wieczór podobne ryzyko podejmowały kolejne patrole, złożone zazwyczaj z dwóch żołnierzy. Następnej nocy słyszeliśmy lekkie szuranie w miejscu, gdzie było wytyczone przejście: podczołgiwaliśmy się na skraj pola minowego, żeby ich powitać. Chłopcy wracali cali i zdrowi, z dokładnymi informacjami. Potem opowiadali kolegom swoje przygody.

16 maja wieczorem dotarł do nas rozkaz natarcia. Nie wiedzieliśmy dokąd zaprowadzi nas atak. Zgodnie z zasadami, przedstawiono nam zadania dotyczące wyłącznie działań pierwszego dnia operacji. W wojsku nie należy na próżno łamać sobie głowy, ani myśleć dalej niż obecna chwila. Dla nas tą chwilą 16 maja 1942 roku był wąwóz przy wsi Jablenska.

O drugiej pięćdziesiąt pięć nad ranem rozpoczęła się ofensywa. Na naszym lewym skrzydle, na północno-wschodnim brzegu rzeki, niemieckie czołgi rozpoczęły zmasowany atak, minęły Jablenska i skręciły w stronę parowu. Nam polecono przygotować się do walki tylko częścią sił. Mieliśmy wywabić obrońców z Jablenskiej, atakując od czoła. Nasze natarcie było jedynie pozoracyjne. Kiedy odwrócimy uwagę sowieckich obrońców, niemieckie czołgi przeprowadzą na północno-wschodnim skrzydle właściwy atak. Reszta naszych sił miała tymczasowo obsadzać pozycje na wzniesieniu, w oczekiwaniu na bieg wydarzeń.

***

Noc z 16 na 17 maja kapała kropla za kroplą. O wpół do trzeciej nad ranem pojawiły się pierwsze przebłyski świtu. Tysiące ludzi gotowych do ataku wstrzymało oddech. Ciszy, która towarzyszyła narodzinom poranka, nie zmącił żaden wybuch.

Nad wierzchołkami wzniesień pojawiła się zielono-srebrzysta poświata. A potem zabrzmiał niespodziewany trel, krótki, urywany, radosny i silny! Kukułka! Kukułka! Kukułka kukała! Tylko jedna! Ponad doliną, gdzie za chwilę zagrzmią grzmoty i wystąpi śmierć!

— Kuku! Kuku!

A potem kukanie ucichło. Chrzęst czołgowych gąsienic wznosił się ku niebu. 17 maja 1942 roku. Za pięć trzecia. Zaczęła się letnia ofensywa Werhmachtu.

Jablenska

Początek ofensywy wprawia tysiące ludzi w nagłe osłupienie, tak jakby uderzył w nich grom. 17 maja 1942 roku o godzinie trzeciej rano, oddziały sowieckie w Zagłębiu Donieckim niczego się nie spodziewały. Uradowani sukcesem ofensywy wiosennej nie zdawali sobie sprawy, że im dalej na Zachód posuwają się ich dywizje, tym bardziej przybliżają własną zgubę!
W wsi Jablenska na dnie doliny od dłuższego czasu nie padł ani jeden strzał. Dobiegała końca noc podobna do innych.
Jednak, kiedy tylko rozległ się hałas silników czołgowych, zobaczyliśmy w sowieckich forcikach przebiegające gorączkowo szeregi pochylonych sylwetek. Głośny pomruk czołgów zalewał pola na płaskowyżu. Przez jakieś dziesięć minut słychać było tylko ten potęgujący się chrzęst stalowych ogniw gąsienic zakłócał ciszę wstającego świtu, świeżego i pomarańczowo-zielonego. Potem zagrzmiała artyleria, setki dział. Z naszych stanowisk na stoku patrzyliśmy z zaciekawieniem na padające pociski. Sowiecka wioska była rozrywana, przewiercana, nicowana, rozszarpywana jakby jakiś olbrzym druzgotał ją gigantyczną motyką. Wtedy właśnie żołnierze ruszyli w kierunku parowu.
***
Zbocza były odkryte i strome. Na dnie rzeka przyklejała się do skrzydła wroga i płynęła wzdłuż pól upstrzonych starymi, opuszczonymi wiatrakami. Najpierw było ciasno, potem pola rozszerzały się wzdłuż półtorakilometrowego odcinka rzeki, aż do pierwszych domów Jablenska, rozsypanych na wzniesieniu.
Według ustalonego planu mieliśmy tylko odwrócić uwagę wroga, związać jego siły, w czasie gdy czołgi będą oczyszczać płaskowyż. Ale nasi chłopcy byli głodni walki. Kiedy już runęli w stronę doliny, zamiast zatrzymać się w odpowiednim momencie, zająć pozycje w parowie i z tej odległości nękać Rosjan, kontynuowali szturm, pokonując jednym rzutem około kilometra.
Ich odwaga wzbudziła nasz podziw, wiedzieliśmy jednak jak silne są pozycje wroga i czuliśmy, że sytuacja może skomplikować się w każdej chwili.
Rzeczywiście, nie pozwoliła na siebie długo czekać. Równinka, którą biegli nasi ludzie, została w jednej chwili zasypana pociskami. Nieszczęśnicy tylko nieznacznie zwolnili tempo. Natknęli się na zasieki z drutu kolczastego, ale mimo wszystko nadal parli w stronę Jablenskiej. Widzieliśmy jak garść z nich dopada pierwszych zabudowań.
Wtedy niesłychanie nasiliły się eksplozje wokół nich. Wszędzie w powietrzu latały wielkie bryły ziemi. Naszych ludzi rozrzucało we wszystkie strony. Myśleliśmy, że wszyscy zginęli. Prawie wszystkie ciała legły bez ruchu. Tylko kilku rannych próbowało czołgać się. Widzieliśmy przez lornetkę, jak chowali się za małym pagórkiem i próbowali rozwinąć opatrunki.
Nie mogliśmy ruszyć im z pomocą. Wejście do wąwozu było odcięte przez nawałę artyleryjską, tak intensywną, że wszelkie próby przedostania się tam byłby samobójstwem..
***
Ale nasi żołnierze poradzili sobie doskonale sami. Minęło trochę czasu zanim zrozumieliśmy ich fortel. Przez lornetkę zlustrowaliśmy wszystkie stogi siana, przepatrzyliśmy całą dolinę. Wydawało nam się, że niektóre ze stogów nie znajdowały się na tym samym miejscu, co poprzednio. Przez dłuższą chwilę zaczęliśmy przyglądać się jednemu z nich. Nie było wątpliwości, stóg poruszał się, przesuwał się prawie niezauważalnie..
Kilku naszych ludzi, w nawałnicy pocisków rzuciło się w te sterty siana. Wślizgnęli się pod nie i w żółwim tempie, prawie niewidocznie, skokami posuwali się w stronę wroga.
Było to widowisko równie zabawne co pasjonujące. Rosjanie nie mogli w nieskończoność ostrzeliwać jaru. Wykorzystując przerwy stogi przesuwały się do przodu o kilka metrów. Ruch był tak dyskretny, że mogliśmy ocenić jego postęp dopiero po ustaleniu kilku punktów odniesienia.
Nasi żołnierze-żółwie z pewnością musieli półgłosem nawoływać towarzyszy, którzy rozrzuceni po całej okolicy, udawali martwych. Niektórzy z nich od godziny leżeli nieruchomo jak głazy. Ale kiedy zbliżył się stóg, domniemamy nieboszczyk zwinnym ruchem wślizgiwał się pod siano. Stogów było wiele: było niemożliwe, aby Rosjanie połapali się w tym wszystkim i odkryli, pod którym chowają się nasi sprytni koledzy. Po dwóch godzinach fortel zakończył się sukcesem. Większość naszych ludzi zdołała dotrzeć pod tym oryginalnym kamuflażem do stóp niewielkich wzniesień, sto metrów od nieprzyjaciela. Rozpoczęli ostrzał stanowisk Czerwonych z karabinów maszynowych.
Przez cały ranek wypełniali w ten sposób swą, zdawałoby się, beznadziejną misję, bezlitośnie ostrzeliwując Rosjan i zmuszając ich do skupiania sił w tym przesmyku. W tym czasie niemieckie czołgi pokonały już kilka kilometrów wzdłuż zbocza.

Za czołgami podążała piechota. Widzieliśmy jak przeciekała wzdłuż północno-wschodniej skarpy, z godną podziwu ostrożnością, typową dla jednostek niemieckich, tak różną od zapalczywości naszych Walończyków, rozbrykanych jak młode koźlęta. Już po kilku godzinach zielone wstążki natarcia rozwijały się na samym dole. Sytuacja Rosjan w Jablenskiej wydawała się beznadziejna.
***
Bronili się jednak z odwagą godną podziwu. Nasze karabiny maszynowe rozwalały ich stanowiska. Niemiecka artyleria zasypywała ich setkami pocisków, trafiając z niewiarygodną precyzją w sam środek umocnień nieprzyjaciela. Widzieliśmy jak schrony wylatują w powietrze, a chaty obracają się w gruzy. Rosjanie cały czas powracali, rzucali się w ruiny, odbudowywali pozycje. Z wioski oddalonej o trzy kilometry nadciągała w pośpiechu sowiecka artyleria. Niemiecka artyleria unieruchomiła ich działa i jaszcze. Rozniosła je w drodze. Pomimo ponoszonych strat do Sowietów wciąż przybywały posiłki.
Wtedy do akcji wkroczyły niemieckie Stukasy. Podczas zimowych walk rzadko wspierało nas lotnictwo. Pojawiało się wyłącznie w kryzysowych sytuacjach. W dodatku działało w grupach liczących zaledwie po kilka maszyn. Tym razem na lśniącym niebie, nad naszymi głowami krążyło przeszło sześćdziesiąt Stukasów. Dokładnie sześćdziesiąt cztery, tylko nad naszym odcinkiem! To było wspaniałe. Całe niebo głosiło ludzką potęgę. Maszyny przewalały się po kolei na skrzydło, aby potem pikować z rykiem syreny jak lawina stali. Podrywały się w ostatniej chwili, a snopy ziemi, ludzie, roztrzaskane dachy wylatywały na dziesiątki metrów w górę. Wracały w idealnym szyku, zataczały wspaniałe koło i znów nurkowały.
Z godnym podziwu uporem Rosjanie wygrzebywali się z gruzu, kiedy tylko Stukasy zawracały. Skuleni, wyszukiwali nowe stanowiska i natychmiast podejmowali walkę.
***
Ten niewiarygodny opór złamano o trzeciej po południu.
Czołgi, a za nimi piechota, zjechały ze zboczy za osadą. Nasi, ukryci za pagórkami, nie chcieli oddać innym pierwszeństwa wkroczenia do płonącej wioski. Rzucili się przez rzekę, wspięli na strome podejście i ruszyli na ostatnie punkty oporu Rosjan.
W tym samym czasie jedna z naszych kompanii zajęła wioskę znajdującą się naprzeciwko Jableńskiej. Dolina stała otworem.
***
Nie należało pozostawiać pokonanemu nieprzyjacielowi czasu na otrzeźwienie. Los jaki spotkał Jablenską powinien wywołać panikę na tyłach wojsk sowieckich. Niemieckie dowództwo miało zamiar jak najszybciej wykorzystać powodzenie. O ósmej wieczorem zaczął się pościg.
Pożary wielkich wiatraków oświetlały wzgórza. Prześlizgnęliśmy się pomiędzy polami minowymi Czerwonych. Tysiące ludzi parło do przodu, przeważnie czołgając się, ponieważ na tle płomieni każda sylwetka była doskonale widoczna. Od czasu do czasu jakiś żołnierz trafiał na minę i ginął rozszarpany na kawałki. W wąwozie artyleria straciła wiele koni zaprzęgowych, ginęły po cztery, sześć jednocześnie, razem z działami. Ale trzeba było posuwać się naprzód, aby przed świtem dotrzeć do kolejnej linii wzniesień, oddalonej o osiem kilometrów na Wschód.
Doszliśmy tam o czwartej nad ranem. Nasze oczy czekała niezwykła niespodzianka. Poprzedniego dnia temperatura podniosła się nieoczekiwanie do czterdziestu stopni, i w ciągu zaledwie jednej nocy na stokach doliny zakwitły setki drzew wiśniowych.
I tak tysiące naszych żołnierzy płynęło przez nieprawdopodobne morze białych, świeżych, pachnących kwiatów wiśni na spotkanie z wrogiem.

Pięćdziesiąt stopni

Bitwa o Jablenską była częścią bitwy o Charków. Wojska sowieckie rozbito, zwyciężono i wyparto z całego donieckiego wybrzuszenia, dokładnie tak samo, jak z naszego odcinka. Czołgi i Stukasy przełamały ustalony na początku marca front. Rosyjskie linie zostały zdobyte. Gdzie i jak zdołają się utrzymać Rosjanie?...
Wycofywali się z całego Zagłębia Donieckiego. Kiedy 18 maja 1942 roku rano zeszliśmy do doliny, zastaliśmy tam już tylko ariergardę i maruderów. Ruszyliśmy w pościg za wrogiem przez piaszczysty step.
***
Nadeszło ostre słońce, palące mocniej niż poprzedniego dnia.
Maszerowaliśmy dziarsko w chmurach pyłu, który unosił się na trzy, cztery metry do góry. Mijaliśmy setki uciekających kobiet i dzieci, chłopek w niebieskich albo czerwonych chustkach na głowie, bosą dzieciarnię, krowy z cielakami uwiązanymi do ogonów, żeby nie uciekły. Ludzie

pakowali na małe wózki cały swój dobytek, jeden, dwa korce zboża, drewnianą dzieżę, czerwone pierzyny, wiadro, czerpadło do wody. Puszczaliśmy oko do ładniejszych dziewcząt. Ludzie widząc to dochodzili do wniosku, że nie jesteśmy ludożercami i zatrzymywali się. Zawracaliśmy ich w przeciwną stronę, do zdobytych wiosek, patrząc ze śmiechem jak małe cielaki, przywiązane do krowich ogonów komicznie podskakiwały. Po przejściu w szybkim tempie dwudziestu kilometrów byliśmy pokryci kurzem, mieliśmy wargi spierzchnięte, pokaleczone i różowe od ciągłego oblizywania.
Na drodze pojawił się tuman kurzu większy od naszego. Była to kawaleria. Jak w zamierzchłych czasach! Sowieci dysponowali w Zagłębiu Donieckim dywizjami wspaniałych Kozaków. Tym razem galopowała obok nas niemiecka kawaleria, w pościgu za nieprzyjacielem!
***
To były wspaniałe, wiosenne dni.
Zatrzymywaliśmy się w wioskach pachnących kwieciem. Kapelan udzielał nam komunii pod kwitnącymi drzewami wiśniami, przez które przeświecały promienie Słońca. Było prawie pięćdziesiąt pięć stopni. A jeszcze w lutym, w Zagłębiu Donieckim było czterdzieści dwa stopnie poniżej zera. Prawie sto stopni różnicy! A my nosiliśmy cały czas te same mundury!
Pod młodziutkimi listkami kryły się zagrody. Wszystko było dla nas takie piękne: szara, jasna strzecha, niebieskie, zielone lub czerwone okiennice z wyrzeźbionymi w drewnie ozdobami: gołąbkami albo polnymi kwiatami. Wokół zabudowań biegały czarne i różowe prosiaki. Z kobiecych oczu biła radość, że nie muszą się już bać, że dookoła jest tylu młodych mężczyzn...
Kiedy dotarliśmy do wioski, zdjęliśmy mundury i w samych slipach wystawialiśmy na słońce nasze blade ciała. Woda w rzece była lodowata, ale i tak wskoczyliśmy do niej, żeby poczuć, że nasza młodość jest silniejsza od pokonanej zimy! A potem wylegiwaliśmy się na słońcu, z rozrzuconymi ramionami i nogami, chłonąc wiosenne ciepło, opalaliśmy ciała i napełnialiśmy dusze nową dawką energii. Prawie nadzy dosiadaliśmy koni i odurzeni wiatrem i młodzieńczą siłą, śmiałym wzrokiem spoglądaliśmy na dziki step.
W ocienionych miejscach w wąwozie leżały jeszcze zwały śniegu. Ale niebo było błękitne. Skrzydła wiatraków obracały się. Terkotały piegże. Zjadaliśmy płatki kwiatów wiśni. Wróg cały czas uciekał.
***
Weszliśmy w lasy. Na drogach leżało mnóstwo rozkładających się ciał Rosjan. Najcięższe walki miały miejsce na skraju zaciekle bronionego lasu. Leżały tam sterty mongolskich i tatarskich trupów. We wszystkich otworach ciał gnieździły się tysiące żółtawych larw. Szybko oddaliliśmy się stamtąd i idąc dalej natrafiliśmy na porzucony obóz sowiecki.
Ukryty pod drzewami, był świetnie zorganizowany. Cały teren był podzielony na alejki, przy których stały okrągłe i spiczaste chaty, przypominające domki Lapończyków. Każda z nich miała niewielkie wejście. Czerwoni sypiali tam w skrzyniach wypełnionych suchymi liśćmi. Pewnie łatwiej było przetrwać zimę w takich warunkach, niż w naszych rozwalających się chatach, pozbawionych dachów przez wybuchające pociski. Stajnie dla koni były zbudowane z genialną prostotą. To był prawdziwy obóz Sybiraków. Z pewnością wiedzieli lepiej niż my, jak skutecznie obronić się przez zabójczym mrozem.
Walki w Rosji były konfrontacją barbarzyńców z ludźmi cywilizowanymi. Barbarzyńcy mogli spać byle gdzie, jeść byle co. Człowieka cywilizowanego krępowały jego przyzwyczajenia, potrzeba osobistego komfortu, wewnętrzne nakazy, brak kontaktu z naturą. Tatarowi, Samojedowi czy Mongołowi wystarczała skrzynia suchych liści. A my nie mogliśmy się obejść bez szczoteczek do zębów, które dotarły do nas z dwumiesięcznym opóźnieniem!
Skomplikowane wyposażenie, tabory, cały ten garb cywilizacji, musiał przepaść. A człowiek ze skrzyni z suchymi liśćmi, kiedy już pokona tysiące kilometrów, kiedy odniesie zwycięstwo nad człowiekiem cywilizowanym, zakończy wojnę defilując — włochaty i radosny — pod kwadrygą na Unter den Linden w Berlinie...
Rozstawiliśmy nasze zielone namioty w tej części lasu, gdzie leżało nieco mniej trupów. Wróciły zimno i deszcz. Szczękaliśmy zębami pod przemoczonymi płachtami namiotowymi.
Wojna zamieniła las w prawdziwą dżunglę. Wszędzie wałęsały się zdziczałe konie, które uciekły w trakcie starć. Koczowały z dala od ludzi i zabudowań, w najciemniejszej gęstwinie.
Czatowaliśmy na nie na brzegach czarnych stawów. Nasi zamieniali się w cowboyów i próbowali zarzucać im pętlę. Potem triumfalnie prowadzili do obozu na uwięzi klika szarpiących się, narowistych rumaków. Czasami udawało im się złapać klacz. Niewiele później dostrzegaliśmy z namiotów, przez liście mały drżący pysk. To śliczny źrebak, czasami mający zaledwie tydzień szukał matki na trzęsących się długich nogach.

Wiele źrebaków adoptowaliśmy. Nigdy nie musieliśmy ich przywiązywać. Posłusznie dreptały i brykały przy kolumnie, nerwowo potrząsając łbami, zerkając na nas przekornie łagodnymi oczami. Na postojach wpychały długie szyje pod brzuchy matek, długo piły a potem oblizując się patrzyły na nas jakby chciały powiedzieć: jakie to dobre!
Ale zabawa w cowboyów była dosyć niebezpieczna. W naszej leśnej stadninie koni zarodowych roiło się od sowieckich żołnierzy, pochowanych w krzakach. Kiedy zobaczyli nasze konie, kilku z nich przyczaiło się niedaleko stawów. Wielu ginęło albo zostawało rannych i musieliśmy zrezygnować z rodzącego się w nas powołania na pogromców dzikich zwierząt.
***
Musieliśmy poskramiać Rosjan. Pewnej nocy znów ruszyliśmy w drogę, białą i wilgotną trasą między kredowymi skałami. Kleszcze się zaciskały. Bolszewickie dywizje zatrzymane pod Połtawą wycofywały się na Wschód i bezskutecznie usiłowały przebić się przez stalowy pierścień okrążenia. Niemieckie dowództwo podejrzewało, że Rosjanie w akcie desperacji skierują się na Izium, święte miasto nad Dońcem. Mieliśmy im zastąpić drogę. Dostaliśmy ciężarówki, aby móc szybko przerzucać siły wzdłuż całego odcinka.
Ale oddziały sowieckie znalazły się już w saku i były praktycznie unieruchomione. Tylko nieliczni sołdaci podejmowali próby przebicia się, ale bez powodzenia. Rozbite dywizje marszałka Timoszenki poddawały się jedna po drugiej.
Naprzeciw nas znalazły się dwie rosyjskie dywizje kawalerii. Kozacy, którzy kochali swe wierzchowce: małe, zwinne, na pół zdziczałe koniki, z ruchliwymi chrapami cały czas węszącymi suchy, pełen zapachów stepowy wiatr, za nic w świecie nie chcieli, aby ich wierzchowce dostały się zwycięzcom. Doprowadzili tysiące koni do wąwozu, gdzie każdy jeździec zabijał swego wierzchowca: w końcu w jarze pozostało przeszło dwanaście tysięcy trupów koni, ułożonych obok siebie. Dopiero wtedy Kozacy poddali się.
Bardzo szybko smród tysięcy rozkładających się końskich ciał stał się tak potężny, że nie można było podejść do tej jatki bliżej niż na trzy kilometry.
Było po bitwie. Chłopki wróciły na pola, piękne, czarne, ciepłe pola. Ręcznie sadziły kukurydzę, wciskając w ziemię kolejne ziarna. Czasami przerywały pracę i zaczynały śpiewać smutne, przeniknięte niepokojem pieśni.
Uzupełnienia, którzy niedawno przybyły z Belgii — setki młodziutkich chłopców — z ciekawością obserwowały zalane słońcem wioski, pomalowane na żywe kolory chaty, proste, przysadziste kobiety i wrzeszczącą dzieciarnię. Rosja jawiła się w całej wiosennej krasie.
Kończyliśmy przeczesywać ostatnie laski brzozowe w poszukiwaniu niedobitków. Pewnego wieczoru w strugach ulewnego deszczu wyruszyliśmy w kierunku zalesionych brzegów Dońca.

Brzegi Dońca

Rosyjskie burze mają w sobie coś apokaliptycznego. Majowe i czerwcowe dni są na ogół upalne. Cała ziemia wchłania żar. Ale po trzech dniach niebo pęka i w piętnaście minut przekształca pola i drogi w stawy i czarne grzęzawiska.
Przy takiej pogodzie przeprowadzenie szeroko zakrojonej ofensywy jest praktycznie niemożliwe.
W lipcu, sierpniu i wrześniu burze są rzadsze, pojawiają się mniej więcej co trzy tygodnie. Wtedy można już przemieszczać się, nawet jeśli co pewien czas zrywająca się nawałnica zmusza do niespodziewanego postoju. Bitwa o Charków w maju 1942 roku była krótka: wróg został wyparty do doliny Dońca, na odcinku na wschód od Charkowa po Izium. Musieliśmy teraz pozostać na tejże linii, aż spłyną wody roztopowe. Ruszyliśmy pod koniec maja.
Połowę nocy spędziliśmy na wygrzebywaniu się z błota na drodze, która prowadziła na wzgórza na lewym brzegu rzeki. Oddział gubił się w zalanych wodą lasach. Ani jeden wóz amunicyjny nie potrafił pokonać drogi: konie zapadały się w błoto gęste jak kit. Około pierwszej w nocy dotarliśmy na szczyt wzniesienia.
Stamtąd musieliśmy podążyć na dół, w kierunku brzegów rzeki. Żeby dojść do wyznaczonych pozycji każda kompania musiała przejść po leśnej, krętej dróżce, która wiła się przez trzy kilometry. Nikt nic nie widział: szliśmy wzdłuż linii telefonicznej, ściskając kurczowo w rękach kabel — prawdziwą nić Ariadny — który gdzieniegdzie ginął w cieniu.
***
Nasze pozycje rozciągały się na odcinku siedmiu kilometrów poniżej Iziumu. Z daleka widzieliśmy gładkie, błyszczące kopuły cerkwi u stóp wysokich, białawych, stromych wzgórz.
Lewe skrzydło naszego odcinka było ukryte za bardzo stromymi, zalesionymi wzniesieniami, poprzecinanymi gdzieniegdzie prześwitami i przecinkami szerokimi na pięćdziesiąt metrów. Za

dnia nie było praktycznie możliwości, by przejść przez te odkryte tereny, ostrzeliwane cały czas przez Rosjan.
Z naszych stanowisk mieliśmy doskonały widok na szaro-zieloną rzekę, która płynęła beztrosko pomiędzy piaszczystymi brzegami. Las, brzeg i prowadząca do niego leśna droga były usiane wrakami, materiałami propagandowymi i torbami kurierskimi.
Listy, składane w trójkąt, pisane niewprawną ręką ołówkiem kopiowym, na ogół kończyły się bogobojnymi radami i błogosławieństwami.
Te żołnierskie listy uświadomiły nam — wszystko w europejskiej części Rosji o tym świadczyło — że chłopi cierpiąc pod jarzmem komunizmu w gruncie rzeczy nie poddali się w żadnym stopniu oddziaływaniu systemu. Naiwni i prości wieśniacy pisali listy tak samo jak za czasów carów i popów. Błogosławili w nich rodzinę, pisali o wsi, o chatach. W żadnym liście nie wspominano Stalina.
Nieszczęśnicy, pędzeni do walki przez politruków, nie wiedzieli nawet o co się biją, ich marzeniem był tylko powrót do domu. Tylko władza komunistycznej mafii z Moskwy i bestialski terror na froncie, trzymały chłopów w ryzach, wtłaczając ich pomiędzy hordy dzikich Azjatów, skazując miliony prostych ludzi na śmierć, a tych którzy zdołali przeżyć — na pranie mózgów. Ale rosyjscy chłopi 1942-go roku, wciąż byli jeszcze chłopami roku 1812-go.
***
Piaszczysty brzeg był usiany trupami ludzi i koni, które rozkładały się w słońcu. Żebra padniętych szkap prześwitywały przez szarawą skórę. Śmierdzące gryzonie bezkarnie podkradały się i wślizgiwały do brzuchów martwych żołnierzy. Poczerniałe ciało czasami poruszyło się, jakby jeszcze żyło. W nocy wszystkie zwierzęta wywoływały potworny hałas.
Rosjanie ukrywali się za wodą około pięćdziesięciu metrów od nas. Lewy brzeg Dońca był płaski, pokryty gęstym lasem. Co jakiś czas widywaliśmy wśród drzew głowy Rosjan. Jakakolwiek nieostrożność, zarówno z ich, jak i z naszej strony, kosztowała życie. Zza zielonych liści wyskakiwał długi płomień wystrzału: jeden z ludzi padał na twarz. Szybko rozchylaliśmy bluzę. Było już na ogół za późno.
Rzeka toczyła swe wody z dostojeństwem pod gałęziami drzew porastających brzegi, woda lśniła, migotała — nurt był piękny, jasny i spokojny.
Las buczał od owadów. Dostaliśmy małe zielone moskitiery, którymi przykrywaliśmy twarze. Mimo to owady cały czas kąsały, z przyprawiająca o dreszcze żarłocznością. Każdego ranka budziliśmy się spuchnięci od nowych ukąszeń.
Ziemię w lesie pokrywały tysiące kwitnących na biało poziomek. Na polanach, na długich źdźbłach trawy spały niezliczone ilości malutkich jasnoniebieskich delikatnych motyli. Wiosna z niezwykłą szczodrością ukazywała się z najpiękniejszej strony, kiedy w tym samym czasie u naszych stóp polne myszy buszowały w rozkładających się wnętrznościach poległych żołnierzy sowieckich.
***
Za sąsiadów mieliśmy hałaśliwych Rumunów. Czasami przychodzili do nas ich oficerowie, w podobnych do placków na głowie kepi. Prawie wszyscy mówili biegle po francusku, ze śpiewnym, lekko sepleniącym akcentem.
Ich żołnierze piekielnie hałasowali. Na naszym lewym skrzydle stacjonowało przeszło dwadzieścia tysięcy rumuńskich żołnierzy. Cały czas pociągali za spust.
A przecież byliśmy w defensywie! Te niekończące się wystrzały stały się po pewnym czasie męczące, a Rosjan tylko bawiły i prowokowały do niepotrzebnych reakcji. Tylko w ciągu jednej nocy Rumuni zużywali tyle naboi co reszta odcinka przez dwa tygodnie. Tego nie można było nazwać wojną. To było najzwyczajniej zakłócanie ciszy nocnej.
W skład europejskich legionów wchodzili wyłącznie ochotnicy. Wszyscy, bez względu na to, czy byli Norwegami, Szwedami, Duńczykami, Holendrami, Szwajcarami, Flamandami, Walończykami, Francuzami czy Hiszpanami, bili się wspaniale, aż do ostatniego dnia wojny. Natomiast jeśli kogoś zmuszono do walki siłą, zawsze prowadziło to wyłącznie do katastrofy.
Wolę walki tysięcy rumuńskich żołnierzy podkopywała sowiecka propaganda. Było to doskonale widoczne podczas tragedii pod Stalingradem. To właśnie na nich i na Włochów — oni także przybyli na front wschodni bez entuzjazmu — Stalin skierował w listopadzie 1942 roku swą ofensywę. Rozgromienie ich przyszło bez trudu.
Bez wątpienia rumuńscy żołnierze od początku wojny wiele dokonali. Wyzwolili Besarabię, zdobyli Odessę. Dzielnie stawali na Krymie i nad Dońcem. Ale mieli trudną do okiełznania naturę: masakrowali jeńców i ciągnęło ich do bijatyk, nawet jeśli obrywali.
***

Masakry były nie tylko przejawem dzikości, ale i głupoty. Wielu Rosjan poddawało się, będąc zrażonymi do komunizmu i zniechęconymi ponoszonymi klęskami. W nocy, kiedy siedzieliśmy na czatach, słyszeliśmy jak Sowieci rozgarniają gałęzie po drugiej stronie Dońca. Wstrzymaliśmy oddech. Docierały do nas odgłosy płynącego w wodzie człowieka. Mężczyzna był coraz bliżej. Szeptem wołaliśmy: „Sjuda, Sjuda" (Tutaj! Tutaj!) Z wody wyłonił się prawie nagi Rosjanin. Zaprowadziliśmy go do naszych linii, żeby się ogrzał. Poczęstowaliśmy papierosem. Uspokajał się, budziła się w nim coraz większa ufność. Godzinę później opowiedział nam wszystko, o sytuacji po przeciwnej stronie rzeki. A potem, wyruszał na tyły z zapasem żywności, uszczęśliwiony, że uwolnił się od wojny i od bolszewizmu.
Pewnej nocy wyłowiliśmy młodego zucha, który żeby łatwiej się do nas przedostać, zdjął całe ubranie oprócz slipów. W zębach trzymał jeden z tych passierscheinen (przepustek przez linię frontu dla sowieckich dezerterów), które niemieckie lotnictwo masowo rozrzucało nad pozycjami Czerwonych. Te małe przepustki gwarantowały życie wszystkim, którzy przechodzili na naszą stronę. Stanowiły prawdziwą pokusę i przyczyniały się do tysięcy dezercji.
Nasz dezerter z tej nocy miał żywą twarz i błyszczące oczy. Mimo to, nie mogliśmy się z nim dogadać. Każdy z nas powtarzał po rosyjsku cztery słowa, które znał. Bezskutecznie. W końcu jeden z nas u kresu cierpliwości rzucił donośne „Merde!".
— Och! Jesteście Francuzami? — krzyknął Rosjanin w nienagannej francuszczyźnie z paryskim akcentem.
Był tłumaczem Inturistu! Przez wiele lat mieszkał na Montmartrze. Okrzyk „Merde" wyzwolił w nim pokłady liryzmu! Jego zachwyt nie miał granic. Miał już powyżej uszu sowieckiej nędzy. Opowiedział nam tysiące smakowitych historyjek na temat naszych sąsiadów z naprzeciwka. Daliśmy mu wojskową koszulę i buty. Pogwizdywał radośnie pod nosem. A potem odszedł z menażkami w kierunku dowództwa.
***
Niestety Rumuni, mimo wielu naszych apeli zabijali wszystkich Rosjan, którzy pojawiali się przed ich stanowiskami. Biedacy, kiedy brnęli prze wodę z podniesionymi rękami, padali zanim jeszcze zdążyli postawić stopę na brzegu, lub jeśli udało im się przejść pomiędzy seriami z broni automatycznej, to rozstrzeliwano ich rankiem w salwach śmiechu. Mordercy znad Dunaju wrzucali potem do wody poszatkowane kulami ciała. Spływały potem posępnie z biegiem Dońca.
Rosjanie, ukryci wśród gałęzi, oglądali, płynące środkiem rzeki trupy. Po kilku dniach zupełnie stracili ochotę na jej przekraczanie. Wściekli i rozgoryczeni pałali żądzą zemsty. Nadchodziły niespokojne dni i tygodnie.

Pułapki i krew

Pozycje w lesie, które zajmowaliśmy w czerwcu 1942 roku, było nieźle zamaskowane. Mogliśmy nawet dosyć swobodnie poruszać się pod osłoną drzew, pod warunkiem, że zachowywaliśmy dużą ostrożność. Mimo wszystko kule co rusz gwizdały nad głowami i rozłupywały pień dębu lub kręgosłup pechowego żołnierza, który na chwilę przysiadł na progu schronu.
Natomiast, im bardziej nasze pozycje zbliżały się do miasta Izium, tym bardziej teren stawał się odsłonięty. Przez jakiś kilometr front rozszerzał się, obejmując bagna, na których pod wpływem słońca tworzyły się rozpadliny. Przygnębiające błota były gdzieniegdzie usiane kępami brudnych trzcin i rzadkimi laskami leszczynowymi.
W samym centrum tej błotnistej laguny egzystował pluton saperów. Zbudowano tam „jeża", skąd nasze karabiny maszynowe mogły trzymać na muszce spory odcinek Dońca. Chłopcy, usmarowani błotem, spaleni słońcem, wyglądali jak czarne krety. Dokuczały im tysiące komarów. Za dnia praktycznie nie można było dotrzeć do ich fortecy. Ta sztuka udała mi się tylko raz. Pewnego dnia w samo południe przebiegłem do nich jak szaleniec, tuż pod nosem Rosjan. Chciałem tylko dodać trochę animuszu naszym łącznikom. Ale ostrzał był tak piekielny, że już nikt nie odważył się powtórzyć mojego wyczynu. Trzeba było znaleźć sposób, by nawiązać łączność pod osłoną nocy. Kilku ochotników z workami chleba na plecach ruszyło w kierunku stanowisk na moczarach. Teren cały czas znajdował się pod ostrzałem. Co chwila pociski oświetlające rozjaśniały ciemności.
Ludzie padali na kolana. Suchy chleb często nasiąkał krwią niosącego go chłopca. Nieszczęśnika niesiono do obozu, pożółkłego, z błędnym wzrokiem, przyciskającego ręce do brzucha...
***
Nieco dalej na południe od bagien, trzcin i leszczyny znajdowały się kołchozowe pastwiska, pola uprawne i wioska.

Nocą, nasi żołnierze podchodzili aż do samej rzeki. Tuż przed świtem wycofywali się. Potem, przez jakieś piętnaście godzin musieli udawać martwych. Przejście dwudziestu metrów, od chaty do chaty, oznaczało pewną śmierć.
Do wioski schodziło się po wielkim odsłoniętym zboczu, pozbawionym jakiejkolwiek możliwości ukrycia. Mimo trwających walk chłopi cały czas uprawiali ziemię. Między Dońcem a osadą, to znaczy między wrogimi liniami a nami, na odcinku dwustu metrów rozciągały się żyzne, wyjątkowo urodzajne pola. Ukrainki nie chciały stracić zbiorów. Pozwalaliśmy im pracować na własnej ziemi. Rosjanie, tak jak my, tolerowali ich skromne prace polowe.
Pomiędzy dwiema liniami karabinów maszynowych pięćdziesiąt kobiet uprawiało czarne pola albo ustawiało siano w kopki. Była to też jakaś rozrywka dla oddziału. Zawsze miło popatrzeć na piękną, dorodną dziewczynę, która pochyla się i prostuje. Z przyjemnością patrzyliśmy na ruchy bioder, słuchaliśmy melodii dźwięcznych głosów, nie spuszczając jednak palców ze spustu.
Wieczorem, po godzinie dziewiątej robiło się ciemno. Trzeba było jeszcze uważać na ostatnie przebłyski słońca, w których doskonale było widać zarysy postaci na zboczu. O dziesiątej nasi ludzie przemykali nad wodę. Okopy, które tam prowadziły przechodziły pod szopami, przecinały zygzakiem żyzną glebę. Ostatnie metry trzeba było pokonać czołgając się.
Rosjanie używali różnych sposobów, oświetlania okolicy. Zasypywali niebo rakietami. Wyglądało to jak przepiękne sztuczne ognie. Ale nie mogli wystrzeliwać rakiet co trzydzieści sekund na całej długości odcinka. Wymyślili więc dużo łatwiejszy sposób. Strzelali kulami zapalającymi w jedną, dwie chaty, aż stawały w płomieniach. Płonęły do samego świtu jak pochodnie.
Rozświetlały jasne i ciepłe noce. Żeby dostać się gdziekolwiek, musieliśmy iść wolniutko wzdłuż płotów robiąc długie postoje. Kule rozłupywały nad naszymi głowami deski i obrzucały nas odpryskami ziemi.
Nasza czata zajmowała pozycje niedaleko grobli nad Dońcem. Dwóch, trzech ludzi, jakieś sto metrów od oświetlonego miejsca. Byli całkowicie uzależnieni od naszej pomocy i czasami ich sytuacja bywała naprawdę trudna. Przemykałem się do nich, żeby się przywitać. Potem prześlizgnąłem się nad sam brzeg wody i długo nasłuchiwałem odgłosów dochodzących z drugiego brzegu. Słyszałem Rosjan rozmawiających niskimi głosami jakieś dwadzieścia pięć metrów ode mnie, nie podejrzewających nawet, że podsłuchuje ich wróg rozciągnięty na piasku właściwie tuż obok ...
***
Pewnego wieczoru, około godziny dziesiątej, do naszego stanowiska dowodzenia przybył kapelan, by odprawić mszę. Był to doskonały pomysł. Telefoniści, kucharze i łącznicy byli zachwyceni. Ale to nie oni najbardziej potrzebowali duchowego wsparcia. Poprosiłem dzielnego księdza, żeby poszedł ze mną na wysunięte pozycje.
Spędził noc szorując brzuchem po zagonach. Przerażały go kule, które świstały nad głowami. W pewnej chwili utknął w jakiejś dziurze. Musiałem zawrócić po niego:
— Ojcze! czy wierzy Ojciec w Raj?
— Tak...
— I tak się Ojciec boi tam trafić?...
Dzielny człowiek musiał przywołać upodobanie do niebiańskich wędrówek i dalej czołgać się za mną...
Pociski tańczyły nad nami. Co chwilę przyklejaliśmy się do gruntu. Kule uderzały w ziemię. W końcu dotarliśmy do niewielkich jam, gdzie gnieździły się czujki. Przejmowałem po kolei karabiny kolegów, którzy za moimi plecami spowiadali się i przyjmowali komunię. Starałem się nie słuchać, kiedy wyznawali najcięższe grzechy. A potem ruszaliśmy do następnego okopu, do kolejnej jamy, do następnej ubłoconej postaci, która w głębokiej tajemnicy przeistaczała się pod wpływem malutkiej białej hostii, wznoszonej na krótką chwilę zaledwie kilkadziesiąt metrów od Bolszewików.
Nieszczęsny kapelan nie mógł już dalej posuwać się ze zmęczenia i strachu. Z dziesięć razy prawie nas skoszono. O drugiej nad ranem odprowadziłem go na tyły. Czas był już najwyższy. Powoli wstawał dzień. Księżulo wycierał chustką twarz i wznosił do nieba modlitwy dziękczynne: „Deo Gratias! Deo Gratias!" powtarzał bez przerwy.
Święci, którzy pełnili tej nocy straż, ubawili się tam, w górze, na swoich pozycjach u rajskich bram...
Dwa razy patrole ochotników opuszczały w nocy jamy, przeprawiały się przez Doniec i obładowane ładunkami wybuchowymi przenikały kilkadziesiąt kilometrów za linię frontu, żeby zaminować tory kolejowe, którymi dostarczano sprzęt Sowietom.
Przypuszczaliśmy, że Sowieci podejmują identyczne wyprawy na nasze tereny.

Jednak nasi żołnierze mogli do woli obserwować okolice. Poszczególne punkty oporu były zbyt oddalone od siebie. Można było bez trudu prześlizgnąć się pomiędzy sektorami. Przekonałem się o tym pewnej nocy.
Zostałem adiutantem kompanii i miałem pilnować łączności. Była godzina pierwsza nad ranem. Próbowałem, razem z jednym z naszych ludzi, przedostać się do południowej flanki naszego odcinka. Mieliśmy do przejścia prawie dwa kilometry karczowisk i odsłonięte wzniesienia, oddzielone od siebie dolinką i zagajnikiem. Czerwoni wystrzeliwali flarę po flarze. Kiedy kolejna prawie się wypaliła, powiedziałem do mojego towarzysza:
— Zaczekaj tu. Pobiegnę pierwszy do lasku. Jeśli wszystko będzie w porządku, dołączysz pędem do mnie.
Pognałem do lasu skokami jak burza.
Wrzasnąłem. Musiałem sturlać się jakieś trzydzieści metrów, aż do podstawy po drugiej stronie wzniesienia. Nagle, zupełnie fizycznie, poczułem obecność ludzi w gęstwinie. Byłem pewny swojej intuicji, tak jakbym znajdował się nie dalej niż dziesięć, dwadzieścia centymetrów od ludzi. Czułem to każdą komórką ciała. Wyskoczyłem jak sprężyna i rozpaczliwie pognałem dalej. Za długim zakrętem odnalazłem mojego towarzysza. Opowiedziałem o mojej przygodzie w dowództwie. Nie dawano mi wiary. Ja byłem jednak pewien: moje zmysły czuły obecność dywersantów, lepiej niż bym ich zobaczył, czy dotknął. Dwa dni później tragiczny wypadek udowodnił, że miałem racje.
***
Tamtej nocy patrol czterech ludzi z I kompanii miał dotrzeć do tego samego miejsca, ale z drugiej strony.
Nasi musieli przejść skraj zagajnika. Kiedy już do niego docierali, z dziesięciu Rosjan rzuciło się na nich z kocami. Jeden z naszych żołnierzy, którego Rosjanin złapał za włosy, zdołał zbiec, ale wyrwał się z taką siłą, z rąk, które go pochwyciły, że straszliwie się oskalpował. Pędząc jak szalony, dobiegł do naszych stanowisk i tam osunął się na ziemię w bezruchu, z głową i twarzą zalanymi krwią. Pozostali w pułapce bezskutecznie próbowali się wyswobodzić. Czerwoni powlekli ich nad Doniec.
Słyszeliśmy ich krzyki w wodzie. Szamotali się i wrzeszczeli, ale bolszewicy mieli znaczną przewagę. Przeciągnęli naszych na drugi brzeg. W lesie po stronie sowieckiej, nasi nieszczęśni towarzysze nadal krzyczeli. Musieli być katowani, nie przestawali wzywać pomocy.
A potem głosy zaczęły się oddalać, aż w końcu ucichły...
Niewielka tragedia, taka jak tysiące innych w czasie jednej frontowej nocy... Doniec dalej płynął cicho i spokojnie, zmącony zaledwie na krótką chwilę...
A na czarnym, lśniącym niebie jak bogini śmierci pojawiła się biała flara...

Kierunek Azja!!!

W maju 1942 roku rozegrała się bitwa o Donieck i Charków, która zakończyła się okrążeniem i zniszczeniem sił Timoszenki. W czerwcu 1942 roku zadano drugi potężny cios, który miał przełamać w połowie front. Niemcy ruszyli w kierunku Woroneża, zdobyli go, sforsowali Don i utworzyli przyczółek na wschodnim brzegu.
Bliżej nas sforsowali także Doniec i zdobyli Kupiańsk. Nasz front przekroczył rzekę. Izium został otoczony po dwóch dniach wędrówki przez głębokie i palące piaski. W ten sposób przygotowano pozycje wyjściowe dla wielkiej, letniej ofensywy.
Dywizje, które miały zostać rzucone na step, odesłano na tyły, na kilka dni odpoczynku (jedyny tydzień odpoczynku, jaki mieliśmy przez cały pobyt na Froncie Wschodnim).
W dwóch etapach dotarliśmy do wioski, która miała być naszym kurortem. Leżała około trzydziestu kilometrów na północny zachód od Sławiańska.
***
To był prawdziwy urlop. Jedynym oficjalnym akcentem była ceremonia udekorowania Krzyżami Żelaznymi bohaterów walk w Zagłębiu Donieckim. Odznaczenia wręczał osobiście Generał Rupp, dowódca złożonej z Tyrolczyków, słynnej 97 Dywizji Strzelców Górskich, której towarzyszyliśmy w tych niezapomnianych miesiącach.
Otrzymywaliśmy obfite racje żywnościowe. Życie umilali nam miejscowi muzykanci. Każdego wieczoru autobusami dowożono nas do kina.
Wioska była bogata, chłopi spokojni, niebo pozłacane. Step mienił się kolorami. Od świtu kobiety zbierały zboże. Powietrze huczało od pracowitego brzęczenia tysięcy pszczół. Nad polami obsianymi owsem dzwoniły skowronki.

Przechodziły nas ciarki na myśl o bliskiej ofensywie. Uganialiśmy się na koniach po stepie jak Kozacy. Ja dostałem olbrzymiego brązowo-białego bachmata, którego ledwo mogłem dosiąść. Spokojny o przyszłość nazwałem go Kaukaz. Będzie mi tam dzielnie towarzyszył i tam umrze, podziurawiony dwudziestoma kulami podczas bitwy o Tieriakow.
***
Komunikaty wojenne wprawiały nas w stan podniecenia.
Marszałek Rommel wziął do niewoli dwadzieścia pięć tysięcy Anglików otoczonych w libijskim porcie Tobruk. Czołgi „Afrika Korps" wyparły przeciwnika z wybrzeży Libii, wtargnęły w głąb Egiptu, dotarły do El Alamein. Pochyleni nad odbiornikami radiowymi czekaliśmy na komunikat specjalny, który obwieści upadek Aleksandrii.
Trochę bliżej nas niemieckie oddziały rozpoczęły szturm Sewastopola. Lotnictwo i ciężka artyleria obracały w gruzy potężne fortyfikacje ostatniego sowieckiego bastionu na Krymie.
W końcu miasto padło. Jeszcze tego samego wieczoru niebo przeszyły setki błyskawic, a ziemia dookoła zadrżała od huku motorów. Wspaniała flota powietrzna wracając z Sewastopola wylądowała niedaleko od nas.
Potem nastąpił szturm wojsk lądowych.
***
Nasz dowódca został poinformowany tajnym rozkazem, że ofensywa zacznie się 9 lipca.
Ale nie czekaliśmy aż do tego dnia, ponieważ pewna niespodzianka przyspieszyła operację. W nocy z 6 na 7 lipca niemieckie patrole z sektora sławiańskiego podczołgały się w pobliże sowieckich pozycji i ze zdziwieniem zauważyły, że na stanowiskach panuje niezwykły spokój. Posunęły się jeszcze dalej... Wszędzie panowała dziwna cisza. Jeden z ludzi przeczołgał się pod sam bunkier: był pusty. Cała linia frontu po stronie sowieckiej opustoszała! Rosjanie wycofali się!
Musieliśmy za wszelką cenę dopaść wroga, uniemożliwić mu ucieczkę, zmusić do walki, eliminować siłę żywą i niszczyć sprzęt. W przeciwnym wypadku przygotują się na nasze przybycie.
Rozkaz przejścia do ofensywy został natychmiast przekazany wszystkim dywizjom. 7 lipca 1942 roku wieczorem, legion Walonia wyruszył w drogę wraz ze wszystkimi wojskami Grupy Armii „Południe". Zatrzyma się dopiero na progu Azji, u stóp Elbrusu.

IV
Piechotą na Kaukaz

Miesiące ofensywy letniej 1942 roku w Rosji były najbardziej ekscytującymi chwilami krucjaty anty bolszewickiej. Południe Rosji! Egzotyczne owoce, prawie tropikalna roślinność, afrykańskie słońce, szerokie lśniące rzeki!
Każdy z nas wierzył, że u kresu tej cudownej podróży czeka na nas zwycięstwo. Sowieci nawet nie podjęli pojedynku. Uciekali. A za nimi w szalonym tempie ruszył pościg, liczący setki tysięcy ludzi.
8 lipca rano nasz legion minął Sławiańsk i dotarł do położonego na wschód od miasta parku, gdzie w cieniu potężnych platanów stały zrujnowane budynki niegdyś wspaniałych pałaców carskich. Teraz w salonach, na podłogach pokrytych wyschniętym gnojem, leżały trupy zabitych przez Bolszewików koni.
Na południowy-zachód od Słowiańska, wojska dotarły już do Dońca, a niemieccy saperzy zaczęli przerzucać przez rzekę liny i montować promy.
Następnego dnia wspięliśmy się na wzniesienia na prawym brzegu rzeki, skąd Rosjanie mogliby bez trudu zablokować przeprawę. Ich stanowiska zostały wydrążone w białych, kredowych skałach, których jasny kolor przyprawiał o ból oczu. Pozycje było świetnie przygotowane, zabezpieczone zasiekami z drutu kolczastego. Widać z nich było wszystkie przeprawy w okolicy.
Czerwoni nawet nie zwinęli zasieków. Nie wysadzili w powietrze ani jednego schronu. Z nieznanych powodów po prostu zniknęli.
Pod wieczór zeszliśmy nad brzeg Dońca ku przeprawie. Jednak jako pierwsze przeprawiały się przez rzekę jednostki pierwszego rzutu.
***
Cierpliwie czekaliśmy przez dwa dni i dwie noce na swoją kolei. Najpierw przepuszczano przez rzekę konwoje z amunicją dla oddziałów pancernych, które poszły w awangardzie.
Promy budowano łącząc pół tuzina gumowych pontonów, na których układano deski. Brzegi spięto grubymi linami, które służyły do ich przeciągania.
Był to zabawny widok. Co jakiś czas przestraszone konie albo muły wpadały pomiędzy dwa pontony. Nieszczęsne zwierzęta miotały się w przerażeniu. Trzeba było przecinać linki, którymi

były powiązane. Uwolnione wierzchowce samodzielnie płynęły do brzegu. Kiedy już tam dotarły — wcześniej niż pozostałe — otrząsały się z wody i toczyły wokół triumfalnym wzrokiem!
Południowy brzeg Dońca — piaszczysty i stromy bardzo utrudniał lądowanie. Pojazdy były wciągane na wzniesienie przez specjalne ciągniki.
Rozbiliśmy małe namiociki na trawie i cierpliwie czekaliśmy na naszą kolej, zabijając czas łowieniem ryb o tęczowej łusce, kiedy nierozsądnie wyskakiwały z wody w pogoni za muchami.
Jednak po dwóch dnia zaczęliśmy się trochę niepokoić. Nasza dywizja miała więcej szczęścia i została skierowana w ekspresowym trybie na główną drogę, kilka kilometrów w górę Dońca. Poszedłem przygotować kwatery na drugim brzegu, jakieś siedem kilometrów od przeprawy promowej. Z przerażeniem zobaczyłem, że droga zupełnie znikła! Setki czołgów, ciężarówek, wozów konnych przemieliło palący piasek na głębokość pół do jednego metra. Czołg, na który się wdrapałem, przez kilka godzin ruszał do przodu, zatrzymywał się, cofał, znowu ruszał, zanim zdołał pokonać ten krótki odcinek. Piasek był bardzo drobny. Nawet pieszo, człowiek zapadał się w nim po kolana.
A my ciągnęliśmy obładowane wozy, a przede wszystkim liczne małe wózki metalowe, o bardzo niskich kołach, przyklejonych do pudła, na którym były mocowane ciężkie karabiny maszynowe i skrzynie z amunicją.
Przygotowałem kwatery i czekałem na progu wioski u rozwidlenia stepowych dróg. Stałem na czatach dokładnie pięćdziesiąt jeden godzin, cierpiąc z braku snu. W końcu pomyślałem, że batalion zgubił się albo poszedł inną drogą. Jednak nie: wreszcie pojawiły się pierwsze wozy. Potrzebowali przeszło dwóch dni i dwóch nocy, żeby przepchnąć wszystkie pojazdy przez piasek i przenieść na plecach całą amunicję, skrzynia po skrzyni, kilometr po kilometrze.
W końcu dotarliśmy do głównej drogi. Pokonaliśmy dwadzieścia kilometrów w potężnej chmurze kurzu, przeciskając się pomiędzy tysiącami ciężarówek, czołgów, pontonów i wszelkiego rodzaju pojazdów. Kiedy w końcu zmordowani i przepoceni zatrzymaliśmy się, okazało się, że mamy trzy dni opóźnienia. O szóstej wieczorem znów ruszyliśmy w drogę.
***
Poszukiwanie dywizji trwało dwa tygodnie.
Maszerowaliśmy nocą przez pagórkowaty step, ozdobiony przypominającymi kamelie niebieskimi kwiatkami, które w świetle księżyca stawały się białe. Przeprawialiśmy się przez małe rzeczki z wysadzonymi mostami, otoczone zniszczonymi chatami. Przez kilka kilometrów musieliśmy iść przez nasiąknięte deszczem kredowe doliny, gdzie konie i ludzie tańczyli wyczerpującego, chwiejnego walca.
Potem znów zapadliśmy w piaski. Główna droga często bywała zakorkowana. Musieliśmy wtedy iść na skróty, ledwo widocznymi ścieżkami, przeznaczonymi tylko dla bardzo lekkich wozów na wysokich kołach, których używali rosyjscy chłopi.
Raczej nie zaglądaliśmy do chat, panował w nich straszny zaduch i pełno było much. Spaliśmy na gankach albo na małych podestach z ubitej ziemi, skuleni i otuleni derkami.
Po pewnym czasie musieliśmy maszerować nocami a odpoczywać za dnia, ponieważ w słońcu temperatura dochodziła do pięćdziesięciu pięciu stopni. Odpoczywaliśmy pod drzewami przy bramach gospodarstw; głowa w moskitierze, ręce w kieszeniach, wokół piszczące kurczaki.
***
Po drodze mijaliśmy potężne aglomeracje przemysłowe, sprawiające przygnębiające wrażenie blokowiskami w stylu koszarowym, domami partii usianymi papierzyskami i rozbitymi popiersiami komunistycznych przywódców.
Bolszewicy, jak to mieli w zwyczaju, wywieźli albo zniszczyli wszystkie urządzenia przemysłowe. Najbardziej zaskoczył nas fakt, że zrobili to już dosyć dawno. Tory linii kolejowych zostały pocięte co osiem, dziesięć metrów. Wyglądało na to, że Sowieci rozpoczęli ten olbrzymi sabotaż na długo przed niemieckim atakiem na Woroneż.
Najbardziej spektakularne były pożary kopalń węgla. Potężne magazyny brykietów i same hałdy, wysokie na trzydzieści, czterdzieści metrów, żarzyły się od kilku dni ciemnoczerwonym światłem z głębokimi niebiesko-czarnymi refleksami. W słońcu stożki wydzielały żar przyprawiający o zawroty głowy.
Nie można było się od niego uciec, bo okolice piaszczystej drogi zaminował nieprzyjaciel: roztrzaskane zaprzęgi, potworne szaro-zielone trupy koni, pełne robaków, były dostatecznym dowodem, że ceną za najmniejszą nieostrożność jest życie. Nasze konie, zakopane po brzuchy w piasku kolebały się na boki, szarpały, rżały przeraźliwie. Niektóre, bezskutecznie okładane batem zdychały w piasku, z dymiącą sierścią i oczami wyłażącymi z orbit.

Mogliśmy spływać potem i krwią, spać niewiele lub wcale, pokonywać step przy świetle księżyca, przelecieć jak burza przez płonące zagłębia przemysłowe, przeprawiać się przez białe rzeki i rwące brody! Pokonaliśmy setki kilometrów, opuściliśmy Ukrainę i wdarliśmy się do zakola Donu, dokładnie na wprost Stalingradu. A nasza macierzysta dywizja i tak cały czas galopowała szybciej od nas! Teraz byliśmy spóźnieni o pięć etapów!
Równocześnie dotarły do nas dwa komunikaty: pierwszy, że dywizja skręciła na południowy-zachód, aby wziąć udział w ostatecznym ataku na Rostów; drugi, że jeżeli natychmiast nie dołączymy do niej, to poprosi dowództwo o uwolnienie od naszego balastu!
Zależało nam na tej dywizji, była bardzo sławna, a my pragnęliśmy chwały. Ruszyliśmy szalonym pędem i znów dotarliśmy do Dońca, tym razem jednak w pobliżu jego ujścia do Donu, w Kamieńsku.
Żeby dołączyć do 97 Dywizji musieliśmy przejść jeszcze siedemdziesiąt kilometrów. Pokonaliśmy je jednym przemarszem. Ale tego samego dnia Rostów padł. Żołnierze dostali rozkaz natychmiastowego wyruszenia w górę Donu. Ledwie zdążyliśmy się obmyć, a już znowu musieliśmy iść w palący step.

Przeprawa przez Don

Triumfalnemu pochodowi Wehrmachtu na Stalingrad i Kaukaz towarzyszyło nieludzkie zmęczenie, ale i niezwykły, płomienny optymizm.
Ziemie pomiędzy Donem a Dońcem i pomiędzy Donem a Kubaniem, były tak piękne, że od świtu, od zielono-pomarańczowego wschodu słońca nasze dusze przepełniał zachwyt. W nocy pokonywaliśmy na piechotę trzydzieści, trzydzieści pięć kilometrów. Marsz był wyjątkowo wyczerpujący, ponieważ wiódł grząskimi piaskami albo wyboistymi drogami, dwoma lub trzema kolumnami, jedna przy drugiej, tak że przy najmniejszym postoju wszyscy wpadali na siebie. Czas odmierzaliśmy, jak na wyścigach kolarskich. Mimo ciemności, tysiące ludzi zdołały zejść się na wąskich, przerzuconych w pośpiechu mostkach. Wpadaliśmy w dziury, wozy przewracały się. Czasami jakaś ciężarówka albo czołg trafiały w konia, który z głośnym kwikiem znikał pod kołami albo gąsienicami.
Ale świt rekompensował nam wszystko. Około pierwszej trzydzieści nad ranem na Wschodzie pojawiała się delikatna jak jedwab, jasnozielona, złotawa poświata. Powoli rosła na niebie, aż w końcu zalewała je całe, rozwijała się, przekształcała się w przepiękną, zielono-pomarańczowo-różową płachtę, jaskrawą, a jednocześnie niezwykle lekką.
Widzieliśmy też, jak wspaniale kwitły pola słoneczników. Te olbrzymie stokrotki, wysokie na dwa metry, miały złote, wydłużone jak palce płatki i brązowy środek, spęczniały od tysięcy ziaren. Jedno pole potrafiło ciągnąć się kilometrami: miliony słoneczników wyciągały główki do wschodzącego słońca i obracały się razem z nim jak poruszane niewidzialną siłą. Czuliśmy jak nasze ciała ogarnia ta energia natury, która łączyła ziemię, słońce i te potężne kwiaty. Niebo było złocistym polem. Ziemia była złocistym polem. Wszystko tętniło życiem, siłą, bogactwem, potęgą. Staliśmy w rozpiętych mundurach, chłonęliśmy ciepło i posyłaliśmy w niebo nasze przepełnione marzeniami i młodością pieśni.
Czasami natrafialiśmy na połacie ostów, równie rozległe jak pola słonecznika. Osty ciągnęły się po horyzont i nie były to nasze śmieszne, małe osty, które mogły najwyżej ubrudzić albo ukłuć, ale potężne kłujące palmy, jak drzewa figowe w Barbarii, wysokie jak stepowe bachmaty, zwieńczone kiścią różowych albo niebieskich kwiatów, z których wylatywał delikatny, lekki puszek, pokrywający dookoła całą ziemię.
Przez słoneczniki, osty, kukurydzę — prostą, twardą, sterczącą jak piki — około dziewiątej rano dotarliśmy do wioski, którą już od dawna mieliśmy przed oczami. Tam żołnierze, umęczeni upałem mogli w końcu odpocząć.
Wioski nad Donem były bogate. Chaty, wygodniejsze niż w Zagłębiu Donieckim, składały się z trzech, czterech izb, ubogo umeblowanych, ale ozdobionych czasami jakimś kredensem, sosjerką albo pięknie rzeźbiona starą skrzynią.
W każdym gospodarstwie były kury, bydło, spore zapasy zboża, wykradzione z kołchozu. Nad każdą wioską wznosił się despotyczny budynek kołchozu, wokół którego stały pługi, maszyny do przetrząsania siana, młocarnie, siewniki. Chłopi mszcząc się na reżimie, ogołocili obory i szopy. Prosiaki z państwowych chlewni wypuszczone na wolność rozbiegły się na wszystkie strony, zachwycone niespodziewanymi wakacjami; wszędzie gęgały gęsi, gulgotały indyki.

Tubylcy przyjęli nas z widoczną radością. Często byliśmy pierwszymi oddziałami Wehrmachtu, jakie pojawiły się w osadzie. Ci prości ludzie szybko biegli do przybudówek, wyciągali ikony ze starych schowków i ze łzami radości w oczach wieszali je na ścianach izb, na dawnych miejscach. Największą przyjemność sprawialiśmy im dając portret Hitlera. Często wieszali go tuż obok ikon. Albo umieszczali go pomiędzy zdjęciami swych chłopców, w mundurach sowieckiej armii, z czerwoną gwiazdą na czapkach!
Takie bratanie się zdjęć wydawało im się całkowicie naturalne. Kochali swych chłopców. Kochali też Hitlera za to, że wyzwolił ich wioskę od Bolszewików. Wieszali więc ich zdjęcia razem.
***
Otrzymaliśmy dokładne rozkazy, by z ludnością nawiązywać przyjazne stosunki. W 1941 roku Niemcy uważali każdego Rosjanina za bolszewika. Przekonali się jednak, że chłopi, ograbieni i złupieni przez Sowietów, nie pałali do nich miłością.
Byli to najbardziej pokojowo nastawieni ludzie na świecie, uczynni, zgodni, pragnący jedynie pracować i spokojnie żyć. W końcu OKH ustaliło różnicę między masami chłopów z europejskiej części Rosji, prostych i naiwnych, a bolszewickimi i policyjnymi sitwami z Moskwy. Najmniejsze nadużycie było natychmiast karane: „starik" i „babuszka" stawali się najlepszymi przyjaciółmi oddziału.
Nie musieliśmy chłopów o nic prosić. Sami prowadzili nas do kurników. Dawali nam mleko, ziemniaki i tłuste gęsi. Mieli gęsty miód, o silnym zapachu dzikich kwiatów z pobliskiego stepu. Jak wygłodniałe szpaki spędzaliśmy godziny w sadach, zajadając soczyste, czerwone czereśnie.
Sypialiśmy tylko kilka godzin. Słońce przywracało nam utracone zimą siły. Stara „babuszka" przynosiła nam w wielkim kamiennym garnku mleko świeże jak woda źródlana. Prowadziła nas też do swego skarbca: kwadratowej dziury, dziesięć metrów od chaty. Otwierała drzwi zamknięte na skobel. Po małej drabince schodziło się do wspaniale zimnej piwnicy, prawdziwej studni, gdzie przechowywano jak w lodówce wszystko, co mogło się zepsuć.
Kuchnia stała niedaleko od drzwi, żeby w chacie o malutkich, pozamykanych okienkach i niskim dachu zatrzymać trochę chłodu. Zaczęliśmy przygotowywać nasz prosty posiłek na świeżym powietrzu, w cieniu topoli i akacji, zachęcani przez chłopkę, która jeszcze z dziesięć razy coś nam donosiła i pomogła oskubać i wypatroszyć drób.
Nasi po wyczerpującym nocnym pochodzie nabierali sił z iście brueghlowskim dostojeństwem. Nie na darmo pochodzili z kraju kiermaszy i festynów ludowych. Pochłaniali niesamowite ilości jedzenia. Znałem takich, którzy regularnie zjadali wówczas na śniadanie kilogram boczku, przysmażonego na patelni. Widziałem jak dwóch innych o przepastnych gardłach pochłonęło w trzy dni, bagatela, dwadzieścia jeden kur. Wielu potrafiło o dziewiątej rano połknąć na zapas całą gęś. Jeden z młodych oficerów pewnego dnia na moich oczach zjadł trzydzieści sadzonych jaj.
Poranne przekąski podlewali dzbankiem mleka, a potem syci, zasypiali z rozpiętymi mundurami, jak postacie na starych, flamandzkich obrazach.
Wieczorem, zanim wyruszyli w drogę, nasi żołnierze zjadali jeszcze wielkie patelnie smażonych ziemniaków, kilka pęczków rzodkiewki i kilka koszyków surowych warzyw.
Chłopi odprowadzali nas do ostatnich chat w wiosce, zachwyceni zarówno naszym apetytem, jak i uprzejmością.
Podczas całej ofensywy nie doszło do żadnego incydentu. Przyjmowano nas jak bliskich krewnych. Ci dobrzy ludzie nie wiedząc jak nas pożegnać, błogosławili nas.
Chronieni przez te błogosławieństwa płynące z głębi serca, ruszaliśmy szczęśliwi między słoneczniki.
***
Maszerując cały czas, dopadaliśmy w końcu jedną czy drugą jednostkę wroga. Walki nigdy nie trwały długo. Parliśmy do przodu w takim tempie, że nie było fizycznej możliwości, aby pogrzebać ciała poległych. Drogi były usiane przerażającymi trupami. W pięćdziesięciostopniowych upałach, zwłoki żołnierzy, którzy zginęli od serii Stukasów, rozkładały się i rozpływały w dwa, trzy dni. Potem słońce je wysuszało. Padnięte konie roztaczały przerażający smród. Trzeba było zatykać nos już sto metrów przed nimi. Brzuchy miały spuchnięte jak balony, a czasami rozrzucone wnętrzności. Roiły się w nich od zielonkawych larw. Zabici Bolszewicy byli czarniejsi od Murzynów, lśnili i rozkładali się. Tysiące, dziesiątki tysięcy żołnierzy sowieckich poddawało się. Nie dawali już rady. Prawdę mówiąc, w tej ofensywie bardziej przydatne były silne nogi, niż karabin.
Wielu naszych ludzi poobcierało stopy i zostawało w tyle. Nie miało to jednak większego znaczenia. Doganiali nas później. Natomiast żołnierze sowieccy oddawali się do niewoli. Tysiące siedziały przy drodze ssąc zakrwawione gołe palce u nóg.

Większość z nich była Azjatami. Wyglądali jak kanibale, szczęśliwi, że jeszcze ich nie zjedzono. Niezmordowanie powtarzali „Stalin Kaput! Stalin Kaput!", przerywając monolog tylko po to, by wziąć do ruchliwych ust spuchnięte, pokryte odciskami palce stóp.
Nie mieliśmy czasu ani pilnować tej karawany, ani jej odprowadzić. Wybieraliśmy z grupy dwóch najsilniejszych mężczyzn dając im jeden karabin. Zostawali strażnikami swych towarzyszy. Natychmiast wypinali pierś. Podawaliśmy im nazwę miasta położonego sto albo dwieście kilometrów na Zachód. Naiwniacy ruszali w drogę zachwyceni, gwarząc wesoło.
Bez żadnego problemu. Sami maszerowali do Niemiec!
***
Zbliżaliśmy się do przeprawy przez Don. Już kilka dni wcześniej mieliśmy przeprawić się przez rzekę, ale dostęp do niej został zablokowany na odcinku dwóch kilometrów przez sterty sprzętu i trupów sowieckich żołnierzy, wyeliminowanych przez lotnictwo. Mimo prób, okazało się, że pojazdy Dywizji nie zdołają pokonać tej przeszkody.
Przez kilka dni maszerowaliśmy na Wschód. Pewnej nocy w końcu dotarliśmy do legendarnej rzeki.
Około drugiej w nocy, w chwili kiedy nad szerokim szaro-zielonym nurtem wstawał świt, stanęliśmy na wzgórzu na prawym brzegu rzeki, zwieńczonym dwoma kurhanami.
Unosząc się w strzemionach syciłem oczy tym przepięknym widokiem. Droga była usiana setkami sowieckich ciężarówek, produkcji amerykańskiej, rozbitymi zaprzęgami, niezliczoną ilością porzuconego sprzętu. Ale ja podziwiałem tylko Don, potężny, okolony drzewami, gładki, oświetlony płynącymi po niebie zielonkawymi, pomarańczowymi i srebrzystymi pasmami...
Don, tak jak wszystkie wielkie rzeki południowej Rosji, miał prawy brzeg stromy a lewy płaski. Kiedy Rosjanie zostali zepchnięci ze wzgórz, nie mogli utrzymać się na drugim brzegu. Lewy brzeg Donu był zdany więc na naszą łaskę.
Rosyjskie lotnictwo bezskutecznie bombardowało wąwóz z czerwonej ziemi, którym schodziliśmy. Pomiędzy ruinami chat wyrastały młode pędy winorośli. Nasz generał zrzucił ubranie i jako pierwszy przepłynął Don, z pistoletem maszynowym na plecach. Szybko zbudowano most pontonowy, po którym przeszliśmy z bijącym sercem.
Zbliżaliśmy się teraz do ojczyzny Kałmuków. Tuż przy drodze ryczał samotny wielbłąd, zabawny, z ruchliwym, wścibskim, wilgotnym nosem i skórą pomarszczoną jak na starym skórzanym fotelu.
Zaadoptowaliśmy go. Wyczuwało się już Azję, w kierunku której podążaliśmy.

Kubań

W pierwszym tygodniu sierpnia 1942 roku wojska niemieckie przekroczyły Don i ruszyły w stronę Kaukazu. Było olśniewające Słońce. Gigantyczne szarawe pochodnie wyznaczały z odległości wielu kilometrów wioski i wydawało się, że cała okolica stoi w ogniu. A były to tylko tumany kurzu, które wzbijały fale czołgów.
Mieliśmy całkiem osmalone twarze, w których pobłyskiwały białka oczu i które przecinały nabrzmiałe czerwone wargi. Bezsensowne byłoby ścieranie brudu, bowiem kurz unosił się wiele kilometrów nad naszymi głowami. Motocykliści o obliczach wypaćkanych, niczym aktorzy z burlesek, wyłaniali się z tumanów pyłu dowożąc mapy. Ruch był tak szybki, że każdego dnia potrzebowaliśmy nowych. W miarę postępów ofensywy powielano je w specjalnych ciężarówkach, które podążały w naszych kolumnach.
Znakomity porządek panował nawet w najdrobniejszych kwestiach. Każda jednostka miała wyznaczony cel, wioski, które miała ominąć i te, w których miała obozować lub popasać. Zajmowaliśmy tysiące miejscowości, tak, że na naszych tyłach nie mogło przetrwać żadne gniazdo oporu. Przechodziliśmy przez osady, ale za nami dokładnie i metodycznie przeczesywano teren.
Nasze straty były nieznaczne. Mijaliśmy tysiące sowieckich żołnierzy, wyczerpanych tysiąckilometrowymi marszami i niemal uduszonych kilogramami kurzu. Za szklankę wody wydaliby chętnie Stalina, Kalinina, Mołotowa i innych najwyższych dygnitarzy.
***
Rzeczywiście, najpoważniejszym problemem było ciągłe pragnienie. Pokonywaliśmy czasami dziesięć, dwadzieścia kilometrów i nigdzie nie było wody pitnej. Zielone, zgniłe kałuże wysychały w słońcu. Nasi ludzie rzucali się na ziemię, żeby chociaż polizać to gnijące błoto. Musieliśmy odciągać ich siłą. Spragnione konie wywalały długie, wiszące, drżące języki.
Tylko w naszej kolumnie było przeszło dwadzieścia tysięcy ludzi. Co dwie, trzy mile przechodziliśmy przez wioskę. W każdej była jedna lub kilka studni, które wystarczały na potrzeby tubylców i bydła z kilkudziesięciu gospodarstw. Zazwyczaj już czoło kolumny wypijało

całą wodę i ludzie szybko zaczynali kłócić się nawet o wilgotne błoto. Podążające za nimi tysiące piechurów i setki koni napotykały jedynie kompletnie opróżnione, osuszone studnie.
Gdzieniegdzie można było znaleźć bogaty w wodę młyn. Ale każdy musiał czekać na swoją kolej, pięć, osiem, dziesięć godzin, z językiem przysychającym do opuchniętego gardła. Zwierzęta pochłaniały niesamowite ilości płynu. Mój koń Kaukaz potrafił za jednym zamachem wypić pięć wielkich wiader wody, czyli jakieś czterdzieści litrów! Ludzie opijali się jak bąki, oblewali szyje, ramiona i plecy, tak bardzo spaliło ich Słońce.
Niewiele to dawało. Lepiej było napić się mniej, a za to od czasu do czasu zjeść trochę wiśni.
Poszukiwania wody zajmowały więcej czasu niż pokonywanie kolejnych kilometrów.
***
Pewnej nocy dotarliśmy nad Manycz, na granicy kraju Kałmuków.
Rzeka przepływała przez przepiękne jeziora w połowie drogi pomiędzy Morzem Azowskim i Kaspijskim.
Nasza droga przechodziła przez szczyt wielkiej zapory, za którą gromadziły się wody jednego z tych jezior. Czerwoni wysadzili w powietrze zaporę. Masy wody przelewały się przez wyrwę o szerokości mniej więcej dwudziestu metrów, nad którą niemieccy saperzy przerzucili drewnianą kładkę, dla piechoty i koni.
Ciężki sprzęt miał zostać przeprawiony na drugi brzeg przy pomocy wielkich łodzi motorowych.
Spędziliśmy wiele godzin przed tamą, czekając na naszą kolej. Jezioro było umajone przepięknie kwitnącymi margerytkami, rozsianymi przez księżyc na falach. Sowieckie samoloty próbowały przerwać nasz prowizoryczny mostek, ale ich bomby wywoływały jedynie pożary sąsiednich chat, które zamieniały się w czerwono-pomarańczowe pochodnie, dorzucając swoje patetyczne piękno do poezji ukwieconego jeziora i nocnego nieba usianego gwiazdami.
O drugiej nad ranem zobaczyliśmy jak wstaje dzień. Zielone niebo odbijało się w polach zalanych po horyzont wodą tryskającą z tamy. Woda miała blady kolor świtu, kolor świeżego seledynu, który gdzieniegdzie przecinały złotawe, prawie przeźroczyste, refleksy.
Któżby, mając przed oczami tak wspaniałą ferie barw, myślał jeszcze o męce nocnych marszów i upale dnia? Kolumny posuwały się w wyrównanym szeregu, ze śpiewem na ustach. Oficerowie szli na czele pieszo, żeby dać przykład. Za nimi stajenni prowadzili konie. Wierzchowce były wykorzystywane tylko przez łączników, odpowiedzialnych za utrzymanie komunikacji, co czasami bywało nie lada wyczynem. Pewnego dnia, żeby dotrzeć do stanowiska dowodzenia dywizji, pokonałem za jednym zamachem sto kilometrów po rozpalonym stepie, dosłownie wypruwając flaki z konia.
Ale normalnie etapy pokonywało się na piechotę, oficerowie z żołnierzami, ramię w ramię, tak w marszu, jak i w boju.
***
Było coraz więcej komarów. Wieczorem, przy najmniejszym światełku kłębiły się ich chmary.
Niektórych z naszych ludzi zaatakowały inne żyjątka: krwiożercze wszy łonowe, które chowały się na podbrzuszu. Wnikały w te delikatne miejsce jak paliki w ziemię. Widać było tylko czarne końce odwłoków tych nienasyconych „pijawek" wielkości główki od szpilki.
Pechowcy, których oblazły, cierpieli prawdziwe tortury. Na dodatek, kiedy u kresu wytrzymałości zatrzymywali się na skraju drogi, usiłując jakoś pozbyć się tych natrętnych gryzoni, musieli znosić, coram populo, niewybredne żarty całej kolumny!
7 sierpnia 1942 roku rano zbliżyliśmy się do Kubania. Pozostało nam jeszcze do pokonania dwadzieścia kilometrów. Szliśmy jak burza. O pierwszej po południu stanęliśmy na prawym, stromym brzegu rzeki, skąd roztaczał się rozległy widok na płaską równinę. Niesamowicie zielona woda rzeki płynęła pośród gęstego lasu.
Sowiecka artyleria próbowała ostrzelać nas, ale po krótkiej wymianie ognia musiała ustąpić.
Dotarliśmy do serca Kaukazu! Ostatnia wielka równina przed lodowcami lśniła, płonęła barwami królewskiego lata.
O trzeciej nad ranem ruszyliśmy w drogę, w górę Kubania, żeby dotrzeć do brodu poniżej miasta Armawir. Szliśmy drogą nad wysokim na dwieście metrów urwiskiem, które opadało stromo ku zielonej rzece. Były nas tysiące i wszyscy musieliśmy przeprawić się po wąskiej dróżce, zawieszonej nad przepaścią, przepychając się pomiędzy setkami wielkich brązowych krów, prowadzonych przez poganiaczy o surowych i ogorzałych twarzach.
***
Trzydzieści godzin dreptaliśmy w miejscu zanim przeszliśmy po pontonowym moście, który saperzy przerzucili nad spienioną wodą. Burzyła się, przerzucała białe i zielone fale ponad przeszkodą.

Po drugiej stronie wody znajdowała się niewielka osada. Spotkaliśmy tam młodą, śliczną dziewczynę, mniej więcej siedemnastoletnią, która chowała się w ziemnej spiżarni. Nie chciała opuszczać swej chaty. Tuż przy niej eksplodował granat, wyrywając jej jedną pierś. Była cała rozpalona, wzrok jej był nieprzytomny. Oderwana pierś już sczerniała. Robiliśmy wszystko, żeby ją uratować. Po rozpalonych od gorączki policzkach płynęły łzy... Biedna mała, tak bardzo chciała żyć. Ale patrząc na jej młody, opatrzony biust wiedzieliśmy, że nie przeżyje...
Umierać! Kiedy nad wonnym stepem lśni nieziemsko czyste niebo, bez najmniejszej zmarszczki, poprzecinane srebrzystymi i złotawymi refleksami...

Majkop

Równina Kubańska jest rosyjskim rajem. Na dziesięciu tysiącach hektarów, pod prażącym słońcem rozciągają się potężne plantacje kukurydzy. Miliony wysokich na dwa metry roślin wznoszą w palącym powietrzu do góry kolby z misternie ułożonymi ziarenkami, otoczonymi błyszczącymi błonami, drżące na wietrze, jakby przebiegał przez nie prąd elektryczny.
W cieniu gęstwiny pozłacanych pałek dojrzewały wielkie, jak gigantyczne piłki, zielone arbuzy. Rozkrajaliśmy je nożami i piliśmy wspaniały, orzeźwiający sok. Miały skórkę w zielone, czerwone i pomarańczowe pasy, jak step o świcie. Szliśmy wpijając usta, wgryzając zęby w półkoliste kawałki tych pysznych owoców.
Słońce wypalało niezwykle przejrzyste niebo. Zachwycało nas czystością i poezją. Mogliśmy obserwować nieprawdopodobną walkę pierwotnych sił, upału i chłodu, kolory unoszące się z ziemi i opadające z nieba. Wszystko było nowe, jędrne, czyste, wspaniałe; kukurydza wznosiła się jak piki, arbuzy wyglądały jak rozrzucone boską ręką niezliczone fontanny, lśniąca metalicznie chmura, złota ziemia, niebo w ogniu, tęcza dojrzałych, pękających owoców!
***
Równie niezapomnianych wrażeń dostarczały nam potoki.
Dotarliśmy do rzeki Wielka Łaba, która hałaśliwie spływała z masywu Elbrusa. Nie widzieliśmy jeszcze górskich grani, ale wysyłały one w naszą stronę zielone i lodowato zimne strumienie, podskakujące na milionach czerwonych i rudawych kamieni.
Nie miało znaczenia, że musieliśmy czekać w nieskończoność, zanim mogliśmy przejść nad wodą po prowizorycznych kładkach! Rzucaliśmy się w potężne wiry. Dawaliśmy się unosić pomiędzy wielkimi i gładkimi kamieniami, które chłostane nurtem, ochlapywały nas szmaragdową wodą. Z rozkoszą zanurzaliśmy w niej ciała. Krystaliczna woda obejmowała nas, ożywiała, oczyszczał nasze członki, pobudzała krew! Potem jak dzikie konie biegliśmy w stronę słońca!
Ach! Jakież wspaniałe było życie! Pławiliśmy się w cieple, blasku i dziewiczo czystych kolorach, tak jakbyśmy nurzali się w pierwszych dniach Stworzenia, kiedy jeszcze żaden żywioł ani żaden poryw nie były skażone podłością i zepsuciem!
***
Masowa ucieczka wojsk sowieckich sprawiała, że praktycznie nie było jeńców. Step opustoszał. Pozostawiono go triumfującemu latu i zwycięzcom.
Któregoś popołudnia dotarliśmy do linii kolejowej biegnącej do Majkopu.
Przez dwadzieścia kilometrów wzdłuż obu torów ciągnęły się setki opuszczonych przez Rosjan eszelonów. Kiedy Stukasy zbombardowały tory i uniemożliwiły dalszą jazdę w obu kierunkach, pociągi utworzyły gigantyczny zator. Tysiące wagonów zawierało nieprzebrane ilości zaopatrzenia i surowców. Sowieci bezskutecznie starali się ewakuować te bogactwa. Były tam silniki lotnicze, części zamienne, nieukończone czołgi, obrabiarki, zapasy wszelkiego rodzaju surowców. W nieskończoność ciągnęły się wagony-cysterny, lepkie od tysięcy litrów wyciekającego na tory paliwa, albo pożółkłe od płomieni.
W sumie ta niezwykła zdobycz była prawie nietknięta, nie licząc kilku wyrw, zrobionych przez Stukasy. Czerwoni nie zdążyli nawet podpalić tego olbrzymiego Składowiska. Każda dywizja, kiedy dotarła do torów przyklejała natychmiast gdzie popadło karteczki, które oznaczały przejęcie na własność danej części transportu.
Największym zainteresowaniem cieszyły się wagony z alkoholem!
Znaleźliśmy nawet zapasy kawioru w słoiczkach. Siedliśmy na nasypie i zjedliśmy wszystko z naszym przydziałowym półtorakilogramowym chlebem. Trawienie miała ułatwić wódka: zdobyliśmy trzydzieści tysięcy flaszek, które wyglądały jak buteleczki wody mineralnej.
Nie mogliśmy jednak nadmiernie przedłużać tego nieoczekiwanego festynu. Mieliśmy rozkaz osiągnąć jak najszybciej przedpola Kaukazu. Pozwolono nam zaledwie na kilka godzin snu. Około

trzeciej, czwartej nad ranem obudził nas drób z sąsiedztwa, niezmiernie zaintrygowany, tym co się dookoła działo.
Zdobyliśmy pierwsze, bardzo strome wzniesienia. Gorzej było z zejściem. Wozy podcinały tylne nogi potykających się koni.
***
Wymarsz nastąpił bardzo wcześnie, około pierwszej w nocy. Kiedy zaczęło świtać, mieliśmy wrażenie, że śnimy. Na południu, na horyzoncie pojawiła się cieniutka ciemnoniebieska siateczka. To był Kaukaz!
Do gór było jeszcze jakieś pięćdziesiąt kilometrów, ale ich szczyty już wyraźnie rysowały się na niebie. Czuliśmy podniecenie i radość. Szczyty, które od tygodni widzieliśmy oczami wyobraźni, stały przed nami.
Przyspieszyliśmy kroku. Weszliśmy na głębokie piaski.
Kolumny czołgów kończyły przegrupowanie; zagoniły zwierzynę do lasów. Teraz my, piechota, mieliśmy dokończyć dzieła. O dziewiątej rano dotarliśmy do długich, prostych, identycznie wyglądających ulic: Majkop!
Czołgi opanowały miasto, zanim Czerwoni zdążyli wysadzić most przerzucony nad piękną głęboką doliną, na dnie której płynęła zielona rzeka Biała. Na szczycie wysokiego wzgórza znajdowało się kilka rozrzuconych domków. Pośpiesznie przeszliśmy na drugą stronę, żeby jak najszybciej zająć wzniesienie, które górowało nad całą okolicą. Stamtąd mogliśmy obserwować i zapobiegać ewentualnym wypadom rozgromionego wroga.
***
Wzgórze było strome i porośnięte gęstym lasem. W końcu dookoła nas rosły drzewa! Bez przeszkód ustawiliśmy nasze karabiny maszynowe na wzniesieniach. Na południu roztaczał się przepiękny widok: na potoki, niewielkie wodospady i niebieskie góry o śliwkowym odcieniu. Łańcuch Kaukazu wypełniał cały horyzont.
Las wokół nas był bardzo gęsty. Ukrywało się w nim jeszcze wielu sowieckich żołnierzy, którzy czekali na okazję, żeby się poddać.
Sposobność pojawiła się w zgoła rabelaisowskim stylu.
Jeden z podoficerów wślizgnął się pod cieniste gałęzie, szukając ustronnego miejsca z dala od wścibskich oczu. Z kawałkiem papieru w ręku robił swoje, podziwiając piękne listowie. Nie był uzbrojony, miał przy sobie jedynie kawałek starej gazety. Na taką chwilę czekali Rosjanie. Liście poruszyły się: nasz towarzysz zobaczył zbliżający się długi sznur sowieckich żołnierzy z rękami podniesionymi do góry, przekonanych, że wybrali najlepszy moment na poddanie się! Naszemu podoficerowi nie zostało nic innego, jak tylko w pośpiechu podciągnąć spodnie i poprawić mundur, którego prestiż mógł zostać poważnie nadszarpnięty.
Kilka minut później podszedł do nas, ścigany kpinami, prowadząc za sobą prawdziwą karawanę Rosjan, śmiertelnie poważnych pomimo komizmu ich kapitulacji.
Tak właśnie pojmaliśmy ostatnich rosyjskich żołnierzy w rejonie Majkopu. Nie było to zbyt poetyckie, to pewne, ale dzięki temu las wyczyścił się, podobnie jak nasz podoficer, z początku tylko nieco zmieszany, ale później niezwykle dumny ze swej przygody!
***
W tym czasie większa część dywizji zajęła Majkop. Wszyscy myśleli, że kampania kończy się. Cały teren został oczyszczony. Niebawem mieliśmy przekroczyć pasmo Kaukazu. Nadeszły rozkazy dla dywizji. Cel: Adler (koło Soczi), a potem Suchumi w pobliżu azjatyckiej części Turcji.
Zaczęliśmy robić zakłady: na Boże Narodzenie: Tyflis (Tbilisi), wiosną: Babilon! Spotkamy się nad świętymi rzekami: Tygrysem i Eufratem, z afrykańskimi wojskami marszałka Rommla, które odblokowywały Kanał Sueski! Wojnę zakończymy w kolebce Świata!
Żeby uczcić 15 sierpnia, dowództwo rozdzieliło między żołnierzy napój przypominający nieco wino, po cztery litry na głowę. Spokojnie, z pełnym zaufaniem, piliśmy ile dusza zapragnie. Okazało się, że była to śliwowica, która szybko uderzała do głowy. Już po kilku łykach ogarnął nas niesłychany entuzjazm. Hałaśliwa pijatyka trwała do białego rana.
16 sierpnia 1942 roku nieco chwiejnym krokiem 97 Dywizja Strzelców Górskich i legion Walonia ruszyły dalej. Spoglądały na nas potężne szczyty Kaukazu, najpierw niebiesko-czarne, potem białe i różowe, sięgające do samego nieba... Suchumi z wybrzeżem morskim i palmami. Tiflis z domami przyklejonymi do skał Zakaukazia. Księżycowe jeziora Azerbejdżanu! Wielkie, strome, pokryte jasnymi piaskami wybrzeże Zatoki Perskiej! Oczy świeciły się na samą myśl o czekającej nas wspaniałej przygodzie!
***

Dotarliśmy w pobliże wielkiej, zielonej rzeki, która przelewała się przez resztki wysadzonego mostu. Jeden z naszych przecisnął się okrakiem na oderwany pomost. Z drugiego brzegu padł strzał i żołnierz wpadł do wody. Spróbował drugi. Potem trzeci. Po kolei lądowali w nurcie rzeki. Do gór było dwadzieścia kilometrów. Ale Kaukaz już wysyłał nam ostrzeżenie.
Podążając na Południe przemierzyliśmy przeszło tysiąc pięćset kilometrów. Wydawało nam się, że przezwyciężyliśmy wszystko. Trzy trupy w wodzie, uświadomiły nam gwałtownie, że być może to dopiero początek, a nie koniec wojny o Południe ...

Pułapka na myszy

Według przewidywań Naczelnego Dowództwa oddziały, które rozpoczęły szturm na Kaukaz nie powinny napotkać poważniejszego oporu.
Każdej dywizji przydzielono niewyobrażalnie rozległy obszar działania. 97 Dywizja Strzelców Górskich, której byliśmy taktycznie podporządkowani, miała przemierzyć dwoma pułkami i naszym legionem, teren dwa razy większy niż Belgia! A góry, które przegradzały drogę dochodziły do trzech tysięcy dwustu metrów n.p.m.! Łańcuch górski był szeroki na prawie dwieście kilometrów.
Jeden z pułków ruszył niezwłocznie na Zachód, w kierunku Tuapse. Drugi, dowodzony przez pułkownika Otte, ruszył przez lasy, żeby dotrzeć najpierw do Adler (koło Soczi) nad Morzem Czarnym.
Dowódca dywizji poczynał sobie bardzo odważnie pomiędzy dwoma oddalającymi się od siebie grupami. Miał wsparcie jedynie kompanii sztabowej, w skład której wchodziło więcej fachowców od obsadek do piór wiecznych i pieczątek, niż od pistoletów maszynowych i granatów.
Nastąpiło przegrupowanie batalionów. Podczas zdobywania Majkopu wchodziliśmy w skład sił głównych, natomiast w pierwszych dniach marszu w stronę gór musieliśmy przekształcić się w ariergardę. Stoczyliśmy kilka drobnych potyczek z bolszewikami, którzy podeszli pod jedną z osad. Chłopi natychmiast dali nam znać. Sprawę szybko wyjaśniono.
18 sierpnia mieliśmy zdobyć szturmem wioskę położoną pięćset metrów powyżej naszych pozycji, gdzie okopały się siły nieprzyjacielskie, wcześniej pobite przez pułkownika Ottego. Dwie kompanie w kompletnej ciszy wspięły się i w walce wręcz wyparły Czerwonych, którzy po krótkim oporze uciekli porzucając cały sprzęt. Wszystko szło nam nieźle. Pułkownik Otte z niewiarygodną odwagą utorował sobie zaledwie w ciągu trzech dni przeszło stupięćdziesięciokilometrowe przejście przez lasy, parowy i górskie szczyty. Wiadomości były doskonałe. Awangarda znajdowała się zaledwie trzy kilometry od drogi, która schodziła do Morza Czarnego.
Wspaniale. Niepokój pierwszych dni opuścił nas. Nadeszła nasza kolej, by wyjść na czoło. Za tydzień staniemy u progu Gruzji!
***
Wszystko zmieniło się jeszcze tego samego wieczora.
Nie było wątpliwości, że nasz pułk dotarł bardzo daleko w głąb gór i szybko zbliżał się do wyznaczonego celu. Ale tuż za jego oddziałami, rozciągniętymi na długości dziesiątków kilometrów, żołnierze sowieccy przecięli całą komunikację.
Czerwoni, zamaskowani w gęstych i cienistych sadach śliwkowych pozwolili przejść dwóm tysiącom ludzi, a potem zamknęli sak. Siedzieli na czatach we wszystkich parowach. Pułk próbował przywracać łączność z zapleczem, ale wpadał w kolejne pułapki. Znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie.
W centrum, kompania sztabowa, która osłaniała generała Ruppa i posuwała się do przodu samotnie, wiele kilometrów od obu pułków piechoty, również wpadła w zasadzkę. Generał był oblężony od wielu godzin w wiosce Szyrwańska. Starzy intendenci, gryzipiórki, weterynarze, kwatermistrze, walczyli ile sił. Ale obrzeża wioski były już zajęte przez oddziały sowieckie.
Droga, która łączyła Szyrwańska z zapleczem, była już w rękach Czerwonych. Na górującym nad okolicą skrzyżowaniu Sowieci usytuowali bardzo silne stanowisko ogniowe.
Przez radio otrzymaliśmy pilną wiadomość. Rozkazano naszemu legionowi pokonać jeszcze tej nocy dwadzieścia kilometrów gór, zaatakować wroga, wyprzeć go i oswobodzić stanowisko dowodzenia dywizji w Szyrwańskiej.
Noc była czarna jak całun. Niebo bez jednej gwiazdy. Po godzinie marszu okazało się, że nie możemy iść dalej w takich ciemnościach. Jeden z naszych ludzi złamał kręgosłup, a w głębokich na kilkaset metrów przepaściach straciliśmy wiele koni.
Wyruszyliśmy ponownie o drugiej nad ranem. Świt przesuwał wielkie białe i fioletowe chmury nad górami. Przechodziliśmy przez malownicze wąwozy. Potem weszliśmy w las potężnych dębów.

Wiele drzew niedawno zwalono w poprzek drogi. Wróg był w pobliżu. Podążaliśmy naprzód nie zdejmując palców ze spustów.
Było strasznie gorąco i parno. Po niebie przetaczała się burza. Około godziny dziesiątej zauważyliśmy na pochyłości wzniesienia przed nami białą wioskę Pruska, ostatni postój przed nawiązaniem styczności z nieprzyjacielem.
Wtedy rozpętało się prawdziwe tornado, nagle z nieba runęła na nas lawina wody. W jednej chwili byliśmy przemoczeni do suchej nitki, jakbyśmy powpadali do rzeki. Kiedy dotarliśmy do pierwszych chat cała kolumna ugrzęzła w gliniastym błocie, głębokim na piętnaście centymetrów. Trzeba było kontynuować marsz. Dołączyło do nas dwóch oficerów niemieckich. Ich samochody razem z innymi pojazdami jeszcze przed burzą wpadły na rosyjskie pozycje. Niemcy zdołali się uratować po stoczeniu zaciekłej walki wręcz.
Deszcz przestał padać. Doliny parowały, osiadłe na ich dnie potężne kłęby mgły powoli unosiły się do góry, w stronę skąpanych w słońcu szczytów, pokrytych gdzieniegdzie świeżo zmoczoną zielenią.
Pokonaliśmy jeszcze dwa kilometry. Nogi oblepiały nam wielkie bryły gliny. Znaleźliśmy się naprzeciwko góry, którą zajmowali Sowieci. Nie mogliśmy zdradzić naszej obecności. Widzieliśmy drogę prowadzącą w górę, a potem skręcającą w las. Cały wierzchołek zarastały drzewa. Dąbrowa opadała w dół w kierunku południowo-wschodnim, a potem wznosiła się aż do samego szczytu potężnego wzgórza.
Dowódca wydał rozkazy trzem kolumnom, które miały rozpocząć natarcie. Wiedzieliśmy o nieprzyjacielu, tylko tyle, że liczył dwa bataliony piechoty, szwadron kawalerii, artylerię, samochody i armaty przeciwpancerne. Rosjanie zachowywali absolutną ciszę. Sądzili pewnie, że my także damy się wciągnąć w zasadzkę.
***
Zdołaliśmy jeszcze niezauważenie zsunąć się po zboczu. W dolinie ani jeden strzał nie zmącił do tej pory niezwykłej ciszy. Tylko gdzieś w górze płonęły dwa samochody.
Chcieliśmy znaleźć się trochę wyżej, w gęstych krzakach. Tam bylibyśmy chociaż trochę osłonięci. Ruszyłem w stronę wzniesienia. Przeczołgałem się przez niski lasek, opierając się na lewym łokciu, w prawej ręce trzymałem pistolet. Dwadzieścia metrów za mną czekali pozostali.
Dotarłem na szczyt wzniesienia: na wprost mnie, na odległość skoku, dokładnie tak samo jak ja, czołgał się rosyjski oficer! Strzeliliśmy do siebie w tej samej sekundzie. Jego kula gwizdnęła mi koło ucha. Moja trafiła przeciwnika w sam środek twarzy. Zaczęła się bitwa o Pruską.

Pruska

Rozdroże pomiędzy Pruską i Szyrwańską, które mieliśmy zdobyć po południu 19 sierpnia 1942 roku szturmem, odgradzał pagórkowaty, ledwo zalesiony teren. Ruszyliśmy w kierunku największej koncentracji wojsk nieprzyjaciela. Zbiegaliśmy po zboczu padając co piętnaście, dwadzieścia metrów, kiedy trafialiśmy na jakieś wybrzuszenie terenu lub niewidoczne doły.
Naprzeciw nas wznosiło się prawie zupełnie odsłonięte zbocze. Kiedy Rosjanie zobaczyli, że dotarliśmy do dna doliny, wstąpiły w nich diabelskie siły. Wcześniej wpadły w ich ręce niemieckie ciężarówki z amunicją. Teraz podpalali je i staczali w kierunku naszych stanowisk. Mastodonty te zjeżdżały po pochyłości z szaloną prędkością, a skrzynki z materiałami wybuchowymi rozsypywały się na wszystkie strony. Leżeliśmy z nosami przyklejonymi do ziemi w gradzie tysięcy rozżarzonych odłamków.
Wszystko wskazywało na to, że atak od czoła będzie walką na śmierć i życie. Skrzyknąłem trzech ochotników, którzy szczególnie dobrze radzili sobie w trudnych sytuacjach i kiedy kompanie mozolnie parły do przodu, przedostaliśmy się na prawe skrzydło, do miejsca pokrytego ostrokrzewem, a potem do lasu. Zdołałem wczołgać się pomiędzy pierwsze stanowiska rosyjskie. Moja trójka podążała jakieś dziesięć metrów za mną. Chciałem odwrócić uwagę nieprzyjaciela. Znalazłem się dokładnie na jego tyłach skąd był doskonale widoczny sowiecki obóz.
W tym samym czasie nasi wdrapali się na zbocze i zaatakowali Czerwonych. Nadszedł dla nas najlepszy moment. Skoczyłem w kierunku Bolszewików z przeraźliwym wrzaskiem, przecinając powietrze seriami z pistoletu maszynowego. Tuż za mną skoczyli moi towarzysze, naśladując mnie. Wybuchła nieprawdopodobna panika. Rosjanie sądząc, że zostali otoczeni, zmieszali się, a potem w popłochu rzucili się do ucieczki w stronę wąwozu na południowy zachód. Wybuchła panika. We czwórkę zdołaliśmy ich wykurzyć z kryjówki: zdobyliśmy wszystkie, sowieckie ciężarówki, wspaniałe Fordy, ustawione w czworoboku, z kluczykami w stacyjkach! Działa, które nas ostrzeliwały też wpadły w nasze ręce, podobnie jak kilkanaście karabinów maszynowych!

Sprzęt, wyposażenie, amunicja, hełmy wypełnione owocami, nie brakowało niczego! Wystarczyły nasze pohukiwania i serie z pistoletów maszynowych za ich plecami, by setki Rosjan uwierzyły w kataklizm i przetoczyły się na drugą stronę płaskowyżu.
Ruszyliśmy za nimi w pogoń, cały czas pokrzykując i opróżniając magazynek po magazynku. Nieco później, na rozdrożu, dołączyła do nas jedna z kompanii.
***
Nie mogliśmy zaprzestać pościgu za oddziałami sowieckimi, które uciekły do lasu. Dostaliśmy rozkaz dopaść ich i zniszczyć. Na początku ponieśliśmy bolesne straty, zginął między innymi jeden z naszych najwspanialszych towarzyszy, młody doktor filologii, który dostał pięć kul w pierś. Ale naszego zapału nic nie mogło ostudzić. Zdobyliśmy przy użyciu granatu ostatnią armatę przeciwpancerną, którą Czerwoni próbowali holować błotnistą drogą pod dębinę. Dotarliśmy na dno doliny, która przypominała prawdziwy las zwrotnikowy, zalaną wodą z porannej ulewy, poprzecinaną stromymi wąwozami, ze stokami prostymi jak drzewa, stromymi na dziesięć, piętnaście metrów.
Musieliśmy zjechać na obcasach i wdrapać się na przeciwległy stok czepiając się pniaków i korzeni. Bardzo gęsta roślinność roztaczała odurzające zapachy. Kłębiły się tam setki rozeźlonych pszczół, których gniazda zostały zniszczone podczas bitwy. Zużyłem całą amunicję do pistoletu maszynowego i miałem do walki wręcz tylko pistolet samopowtarzalny i jakieś dwadzieścia naboi. Biegliśmy od drzewa do drzewa ostrzeliwując wroga zaplątanego w jeżynach i zagrzebanego w glinie. Spychaliśmy większą część jego sił na drugą stronę góry, całkowicie odkrytą, przeciętą szeroką, błotnistą, bardzo stromą ścieżką. Rosjanie w panice biegli w tamtą stronę.
W międzyczasie niemiecka artyleria, która miała nas wspierać, dotarła do zdobytego rozdroża. Ustawiła działa dokładnie naprzeciwko tej odkrytej ścieżki. Rosyjska kawaleria nie mogła walczyć w krzakach i zaroślach. Kawalerzyści próbowali ratować swe konie, które ślizgały się i potykały w gęstym błocie.
Trudno było sobie wymarzyć lepszy cel. Niemieckie pociski rozrywały uciekających żołnierzy i leżące konie. Bolszewicy pierzchali na wszystkie strony, ale i tak nie byli w stanie uciec przed setkami odłamków.
Do kanonady dołączyły nasze granatniki. Sowiecka kolumna została praktycznie unicestwiona.
Ale za nami zostało jeszcze sporo Rosjan, ukrytych w gęstych krzakach i wilgotnych, cienistych jarach.
Wysforowaliśmy się za daleko, ogarnięci szaleństwem pościgu. Z wystrzelaną amunicją, widząc że większość uciekających nie żyje, postanowiliśmy wrócić na pozycje wyjściowe.
Znajdowaliśmy się jednak w samym środku lasu. Pędziliśmy wroga nie zwracając zbytnio uwagi, w jakim kierunku przesuwa się walka. Zaledwie odbiegliśmy na sto metrów, kiedy serie z pistoletów maszynowych odcięły nam drogę: Bolszewicy przyczaili się w krzakach! Ciągle się na nich natykaliśmy. Strzelali sądząc, że są otoczeni. Nasi żołnierze za każdym razem rozpraszali się w gęstych jeżynach i zalegali w gąbczastej ziemi.
Moje ubranie było w strzępach. Z bryczesów, poszarpanych z góry na dół, zostały jedynie ubłocone pumpy. Był to zresztą ostatni komiczny aspekt całej sytuacji. Zapadł zmierzch. Nic już nie widzieliśmy. Pokonywanie wąwozów o stromych zboczach było bardzo niebezpieczną operacją. Zdarzały się sytuacje, kiedy w ciemnościach pakowaliśmy się w miejsca gęsto porośnięte ostrokrzewem, prosto pomiędzy rosyjskie kryjówki.
Do batalionu dzieliło nas najwyżej jakieś dwa kilometry. Zebrałem w sobie wszystkie siły, jakie mi jeszcze zostały, i ryzykując, że ściągnę na nas wszystkich rozproszonych po lesie wrogów, ryknąłem gromkim głosem na cały, pogrążony w ciemnościach i wodzie las. Nasłuchiwaliśmy z niepokojem. Odpowiedziały nam z daleka, ledwo słyszalne głosy.
Podążyliśmy w ich stronę.
Wyczerpani Sowieci byli w nie lepszej sytuacji od nas. Oni również pogubili swoje jednostki. Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się dla złapania tchu. Potem kontynuowaliśmy nawoływanie. Teraz już wyraźniej dały się słyszeć odpowiedzi. Kierunek był dobry. Od jaru do jaru, od grzęzawiska go grzęzawiska, byliśmy coraz bliżej... Nawoływało naraz wiele głosów. To był nasz patrol. Byliśmy uratowani.
Dołączyliśmy do nich w nocy.
Wróg nie stawiał już najmniejszego oporu. Niedobitki rozrzucone po lesie, pośród mulistych wąwozów, kierowały się na południowy Zachód, próbując odnaleźć swe jednostki zdziesiątkowane naszym atakiem. Posuwaliśmy się prosto na Południe, maszerując w błotnistej wodzie. O pierwszej nad ranem nasza kolumna bez przeszkód wkroczyła do Szyrwańskiej.

Nazajutrz pochowaliśmy poległych. Ozdobiliśmy ich mogiły złocistymi kwiatami słonecznika, który symbolizuje potęgę i chwałę.
Błoto było tak głębokie, że, nigdzie nie można było się ruszyć, chyba że konno. Przez dwa dni krążyłem prawie nagi na wierzchowcu, a w tym czasie doprowadzano do jakiego, takiego porządku mój mundur, podarty w walce wręcz. Nasi żołnierze pełnili wartę bez butów, brodząc w dwudziestocentymetrowej wodzie. Po okolicy nie dało się nawet przejechać motocyklem.
20 sierpnia po południu słońce mocno przygrzewało. Zmierzch rozwinął na niebie wspaniałe, fioletowe i złotciste smugi. Piękna pogoda oznaczała bitwę. Czekały nas kolejne walki.

Tieriakow

Marsz przez Kaukaz kontynuowaliśmy od wczesnego ranka 21 sierpnia 1942 roku. Po malutkim moście zbudowanym pospiesznie przez saperów, przeszliśmy nad rwącą rzeką. Potem wkroczyliśmy do lasu. Po kilku kilometrach wspinaczki widać było polanę i chaty. Sowietów nawet na lekarstwo, uciekli bez jednego wystrzału. Wioska nazywała się Paparotni. W słońcu błyszczały piękne winorośle, jabłonie i śliwy.
Mieliśmy maszerować jeszcze jakieś dwanaście kilometrów, aż do wioski Tieriakow. W Paparotni nasz dowódca dostał radiotelegram, który informował: „Tieriakow silnie broniony przez wroga". Tabory i sprzęt pozostawiliśmy na polanie. Ostrożnie posuwaliśmy się do przodu między zaroślami i potężnymi dębami.
Ze szczytu jednego ze wzniesień ujrzeliśmy przez prześwit po prawej stronie rozciągniętą wioskę, zajętą przez Rosjan. Nasza droga prowadziła pagórkowatą linią działową, porośniętą trawą i zielskiem. Według naszych map Tieriakow nie był zbyt daleko. Porzuciliśmy ścieżkę i kierując się kompasem, przedzieraliśmy się przez krzaki około dwudziestu minut.
W pewnej chwili dobiegło nas pianie koguta. Byliśmy w Tieriakowie.
***
Wysłaliśmy zwiadowcę. Poszedł między drzewa i wielkie brunatne skały. Dotarł na skraj pola. W dolinie między górami lśnił Tieriakow rozłożony na szerokiej grzędzie. Wioska była dosyć rozciągnięta, z każdej strony ograniczały ją jednak zagony wysokiej na dwa, trzy metry kukurydzy, która sięgała dachów chat. Na szczycie wzniesienia stał biały budynek szkoły. Na samym dole wsi, prawie na skraju naszego lasu leżał kołchoz.
Nasz patrol obserwował rozgrywający się tuż obok spektakl. Dwadzieścia metrów poniżej, trzech Rosjan uwijało się wokół kuchni polowej. Śmiali się donośnie, przechwalali, nie przeczuwając swego losu. Zwiadowcy podczołgali się do płotu, niezauważeni i nagle wyskoczyli z pistoletami, tuż przed nosem kucharzy.
Żaden z trzech nie spróbował nawet krzyknąć czy poruszyć się. Nasz zwiad doprowadził ich aż do dębiny, a potem do nas, a wszystko bez jednego wystrzału.
Jeden z Rosjan miał w kieszeni wykaz żołnierzy na wieczorny posiłek: trzystu czterech ludzi. Nie mogliśmy marzyć o dokładniejszych danych. Dowiedzieliśmy się również, że wróg miał artylerię polową i armaty przeciwpancerne.
***
Właśnie kończyliśmy urabiać tych trzech stalinowskich obywateli, kiedy trzydzieści metrów od nas nastąpiła eksplozja. Rosjanie próbowali odpłacić się nam pięknym za nadobne.
Z pewnością jakiś żołnierz sowiecki szukał kuchcików i zastał kuchnię opuszczoną... Ogłoszono alarm. Czerwoni po cichu poczęli przeszukiwać skraj lasu, próbując zaskoczyć niespodziewanych intruzów. Na szczęście jeden z naszych podoficerów zauważył ich w ostatniej chwili. Oddał serię z pistoletu maszynowego. W odpowiedzi podziurawiły go sowieckie kule. Z poszarpanymi płucami, plując krwią, nie przestawał strzelać. Przez moment ogarnęła nas panika. Bohaterstwo tego podoficera pozwoliło nam pozbierać się. Ranny osunął się na ziemię dopiero, kiedy ruszyliśmy do ataku.
Dwie kompanie, które miały niebawem rozpocząć szturm wioski, zostały natychmiast rzucone do walki. Skoro nas dostrzeżono, to trzeba było unieszkodliwić przeciwnika bezzwłocznie.
Byłem adiutantem kompanii i moje zadanie polegało zazwyczaj na dodawaniu otuchy tam, gdzie trwały najcięższe walki, albo gdzie ludzie opadali z sił.
Część naszego oddziału miała zaatakować wioskę od strony kołchozu, druga natomiast miała obejść Teriakow od tyłu i zaatakować z góry. Ludzie nie czuli się zbyt pewnie. Dla wielu rekrutów był to chrzest bojowy. Bez animuszu ruszali między skały i drzewa.

Sześciu bardziej pewnych siebie żołnierzy, uzbrojonych w pistolety maszynowe, doskoczyło do narożnika kołchozowej szopy. Z erkaemem w garści ruszyłem za nimi. Po kilku minutach, osłaniając się nawzajem, przedostaliśmy się sto metrów w głąb Tieriakowa.
Niestety nasza armata przeciwpancerna strzelała zbyt płasko i jej pociski eksplodowały wokół nas. Czerwoni siedzieli w jednej z chat, skąd mogli trzymać pod ogniem całą ulicę.
Kiedy nasi towarzysze ostrzeliwali to miejsce, przeskoczyłem przez kukurydzę i podbiegłem do chaty od strony zachodniej. Podskoczyłem do okna izby i wypchnąłem je z ram przerzucając przez nie karabin maszynowy. Seria w sam środek pokoju miała piorunujący efekt. Ci, którzy przeżyli, natychmiast poddali się. Kobieta, walcząca w szeregach Czerwonych histerycznie tarzała się po ziemi.
Nie przestając strzelać z karabinu maszynowego pobiegłem w głąb wsi wypatrując sowieckich żołnierzy. Wokół mnie szybko zbierał się prawdziwy tłum jeńców. Nie wiedząc co z nimi dalej robić, dałem każdemu po kawałku brukselskiej gazety, którą miałem przy sobie z bardziej prozaicznych powodów niż potrzeba kontaktu ze słowem pisanym. Dokument! Dokument! obwieszczałem gromkim głosem każdemu z moich więźniów. Te pyzate dzikusy święcie wierzyły w magię Dokumentu. Z podniesionymi rękami, machając świstkiem gazety, biegli na tyły, gdzie z pewnym zaskoczeniem przyjęto tak licznych mongolskich czytelników belgijskiej prasy, ale szybko zrozumiano, że po prostu musieli się natknąć na pomysłowych i dowcipnych Walończyków.
W walce bezpośredniej nic nie skutkuje lepiej niż bieg na złamanie karku. Dobiegłem do końca wioski puszczając po drodze krótkie serie do każdego okna. Zatrzymałem się dopiero za osadą, a moich sześciu śmiałków wyciągało bolszewików pochowanych w chatach i stajniach. Inni wychodzili bez przymusu z pól i z kukurydzy.
Mój karabin maszynowy zajmował dobre, osłaniające stanowisko. Po dwudziestu minutach cała kompania walońska doszlusowała do mnie. Potem dołączyli również towarzysze schodzący ze wzgórza.
Mogliśmy upajać się nie tylko niekończącym się szeregiem jeńców, lecz także zdobytymi działami polowymi i armatami przeciwpancernymi, w doskonałym stanie, z dużym zapasem amunicji.
W doskonałych nastrojach zwiedzaliśmy kołchoz. Nadal stała tam kuchnia polowa Sowietów. W kotle była smakowita, gotowa do jedzenia zupa, a obok stał gar pełen kaszy. Znaleźliśmy też porzucony wóz, wypełniony setkami olbrzymich bochnów chleba. Kazaliśmy kucharzom wrócić do pieców i chochli. Byli bardzo zadowoleni, że mogą powrócić do pracy. Nigdy jeszcze nie prowadzili pogaduszek w tak niecodziennych okolicznościach. Przed chwilą byli bolszewikami, potem nieszczęsnymi jeńcami, a w końcu awansowali na walońskich kuchcików. A wszystko to w niecałą godzinę! Zupa nie zdążyła nawet wystygnąć. Uśmiechali się odsłaniając duże, zajęcze zęby, błyszczące na twarzach koloru szafranu. Jakież zabawne bywa życie!
***
Rozpierała nas duma. Wioskę zdobyliśmy odważnym i malowniczym manewrem, zagarniając przy tym wielką zdobycz. Delektowaliśmy się zupą i kaszą, wzbogaconymi zapachem naszego wyczynu. Byliśmy zaskoczeni, że wszystko poszło tak łatwo i szybko.
Za szybko! I za łatwo! Znowu zaczęły gwizdać kule. Najpierw kilka. Potem setki. Zdążyliśmy tylko paść na ziemię, za pniami drzew, pomiędzy rozrzuconymi menażkami. Co się dzieje?
Patrzyliśmy na siebie zaskoczeni. Zapadał zmierzch. Wielkie czarne orły z rozpostartymi skrzydłami krążyły pokrzykując posępnie nad parowem. Fala kul nadlatywała od skraju lasu, który na południu dochodził do pól kukurydzianych Tieriakowa.

Krwawy wąwóz

Znaleźć się o zmierzchu na dnie wąwozu z dwustoma ludźmi, czuć się osaczonym z każdej strony przez wysokie kaukaskie góry: czarne i fioletowe na wschodzie, obrębione czerwonym złotem na zachodzie, nieludzkie i zdradzieckie zarazem, być ostrzeliwanym przez tysiąc niewidzialnych wrogów pochowanych w gęstwinie, wszystko to odległe było od optymizmu. A w takiej właśnie sytuacji znaleźliśmy się o ósmej wieczorem 21 sierpnia 1942 roku. Na szczęście po zajęciu Tieriakowa na skraju pól kukurydzianych zbudowaliśmy solidne stanowiska obronne. Dzielnie odparły pierwsze uderzenie.
Szybko zorganizowaliśmy obronę, lecz wróg miał nad nami przewagę, wręcz nas przygniatał. W mgnieniu oka ustawiliśmy armaty przeciwpancerne i zaczęliśmy z bliska strzelać do Rosjan, którzy pojawili się gromadnie pięćdziesiąt metrów od nas, na skraju lasu. Nasze pociski spadające na obrzeże kniei wyglądały jak jaskrawo-czerwone kule ognia. Użyliśmy również dział zdobytych na nieprzyjacielu. Dopiero ten grad pocisków zatrzymał Sowietów. Przez następne pięć godzin

trwała bezpardonowa walka wręcz. Tylko jedno z naszych stanowisk zostało zdobyte, a obrońcy zmasakrowani. Wszystkie pozostałe odpierały ataki.
W końcu, około północy ogień nieprzyjaciela zaczął słabnąć, aż w końcu zamarł zupełnie. Wysłaliśmy zwiad. Nasi ludzie wszędzie natykali się na poległych nieprzyjaciół, lecz sowieckie siły żywe znikły, wycofały się.
O pierwszej nad ranem wybuchła nowa bitwa, tym razem na północy, za kołchozem w lesie, pod osłoną którego podkradliśmy się do Teriakowa za dnia. Docierały do nas odgłosy niezwykle zaciętej walki, najprawdopodobniej w okolicach wyboistej, leśnej ścieżki, prowadzącej z Paparotni. Przeżyliśmy chwile śmiertelnego lęku. Reszta legionu, która wcześniej zabezpieczała sprzęt, dostała rozkaz dołączenia do nas w Teriakowie. Z pewnością konwój ten walczył teraz z wrogiem.
Dotarli do nas przerażeni łącznicy. Na tyły maszerującej kolumny rzuciły się znienacka setki Rosjan, którzy usiłowali rozerwać długi sznur pojazdów. Strzelano do siebie z odległości metra. Ale w sumie nasi ludzie podobno nieźle sobie radzili.
Rzuciliśmy do nowej bitwy wszystko, co było pod ręką. Około trzeciej walka ustała, a żołnierze i wozy nadciągnęły wielką kawalkadą.
Każdy chełpił się swoimi wyczynami. Najbardziej gadatliwi byli ranni, którzy wiercąc się na zakrwawionej słomie starali się dorzucić jakiś wesoły szczegół do komentarzy. Ale nikt nie wiedział, co naprawdę zaszło, skąd wzięli się Rosjanie i dlaczego rzucili się na nasz konwój z taką zawziętością. Dopiero zeznania jeńców przyniosły wyjaśnienie. Wchodzili oni w skład wzmocnionego pułku, który wycofywał się. Poinformowano ich, że w Tieriakowie stacjonują własne oddziały. O zmierzchu bez wahania podeszli do wioski, pół godziny po tym jak ją opanowaliśmy. Przez pięć godzin próbowali przebić się. Bez rezultatu. Ponieśli ciężkie straty. Pocisk z naszej armaty przeciwpancernej trafił w sam środek ich stanowiska dowodzenia. W końcu nie mogąc przejść, odskoczyli i próbowali ominąć wioskę od północy. Mieli pecha i trafili w sam środek naszej kolumny zaopatrzeniowej.
Na początku uzyskali przewagę zaskoczeniem, ale odwaga i zacięcie naszych szybko wzięły górę. Nie wiedząc jakimi siłami dysponujemy, odparci i rozproszeni, kolejny raz wycofali się w popłochu.
Przez resztę nocy dochodziły nas odgłosy przemarszu kolumny, która kierowała się na południe. To resztki sowieckiego pułku, które oddalały się ze swymi wozami leśnymi drogami.
O świcie zajęliśmy się porzuconymi pojazdami. Każdy obraz ujawniał dzikie okrucieństwo nocnej walki. Dwaj rosyjscy oficerowie, zginęli na naszych koniach, poszatkowani dziesiątkami kul, nadal ściskając w żółtawych dłoniach pistolety maszynowe.
Pochowaliśmy naszych poległych niedaleko szkoły. Na kopczyki ziemi położyliśmy jak zwykle kwiaty słonecznika.
Ciszy w dolinie nie zmącił już żaden wystrzał. Była niedziela. Góry olśniewały swoim majestatem. Spędziliśmy dzień chłonąc słońce i kolory. Wspaniały zachód słońca, o długich czerwonych, złotych i fioletowych smugach, poprzecinanych różowymi obłokami, przetaczał się powoli nad wzniesieniami. Tymczasem na dnie wąwozu zapadaliśmy się w niebieskich i miękkich cieniach nocy.
***
Noc szybko minęła. Była może trzecia trzydzieści rano. Nikt nie usłyszał najmniejszego trzasku suchej gałązki. Jednak przemykając się bezszelestnie w lekkich butach ze świńskiej skóry setki Bolszewików podkradły się pod same pola kukurydzy, w dole osady. Przeraźliwy wrzask wyrwał nas z półsnu: „Urra! Pobieda!". Ryczały dwa sowieckie bataliony nacierając na nasze stanowiska. Setki nieprzyjaciół wrzeszcząc przeszły pole kukurydzy i dopadły chat. Przerażająca bijatyka, przecinana błyskami wystrzałów, złączyła napastników i naszych żołnierzy. W stajniach walczono na pistolety maszynowe. Trafione konie waliły się na zakrwawionych masztalerzy.
To była sądna godzina! Kiedy w końcu wstanie świt i pozwoli zapanować nad tym chaosem? Czy dotrwamy do tego momentu?
Strzelając bez przerwy, obserwowaliśmy przeklęte wzniesienia. W końcu zaczęły się rozjaśniać rzucając blade błyski na dno wąwozu. Nieprzyjaciel był wszędzie, ale żaden z kluczowych punktów obrony nie padł. Nawet nasze stanowiska na skraju lasu stawiały zacięty opór.
Czerwone oddziały, walczące w kaukaskich lasach, były złożone z batalionów szturmowych, w skład których wchodzili najbardziej fanatyczni bolszewicy, sprowadzeni na Kaukaz z Zagłębia Donieckiego. Wspierały ich setki łotrów, wypuszczonych z więzienia. Za nimi podążała fala na wpół dzikich mieszkańców Azerbejdżanu i Kirgizji, w pośpiechu zmobilizowanych przez władze sowieckie.

Dwa bataliony, które zaatakowały o świtaniu, miały nas zmiażdżyć. Udało się im opanować zaledwie kilka chat. Chcąc dostać się do miejsca naszego ukrycia, drogi nad urwiskiem, musieliby jeszcze wdrapać się około pięćdziesiąt metrów. Nasze karabiny maszynowe kosiły każdego, kto się zbliżył.
W południe, trzeci sowiecki batalion zajął stanowisko na drugim zboczu, od wschodu, w dębowym lesie, z którego rozpościerał się doskonały widok na wioskę i nasze pozycje. Ten batalion miał zupełnie wyjątkową broń: wyłącznie granatniki! Granatniki nie większe niż damska parasolka. Ale sto takich granatników stanowiło prawdziwą katastrofą dla żołnierzy stanowiących cel.
***
Przez cały poniedziałek Rosjanie ponawiali ataki. Odpieraliśmy je z coraz większym trudem. Na punktach sanitarnych opatrywano dziesiątki rannych żołnierzy. Stanowiska obrońców pokrywały ciała poległych towarzyszy, zdeformowane przez okropne sowieckie kule ekrazytowe, które odrywały połowę głowy albo całą.
Znaleźliśmy się prawie w okrążeniu. W wąwozie, w naszych rękach pozostał tylko kołchoz i wąski przesmyk od północy, przez który mogliśmy w spokojniejszych chwilach transportować rannych na tyły.
Czerwoni zdobyli dół wioski. Zajęli wszystkie lasy na południe, wschód i zachód od nas. Dla całkowitego okrążenia nas musieli jeszcze zdobyć kołchoz i przesmyk po północnej stronie. O piątej wieczorem kilkuset sowieckich żołnierzy ruszyło na kołchoz położony czterdzieści metrów poniżej zajmowanego przez nas skalnego występu.
Broniliśmy się z szaloną zaciekłością, ale nie zdołaliśmy powstrzymać masy Czerwonych, którzy jak burza wdarli się do kołchozu. Zbliżał się wieczór. Gdyby kołchoz pozostał w rękach wroga, w nocy sowieccy złoczyńcy i kirgiskie hordy bez trudu zdołałyby zamknąć okrążenie.
Musieliśmy odeprzeć ich za wszelką cenę, i to jeszcze przed zmierzchem.
Na skraju występu szybko ustawiliśmy dwie armaty przeciwpancerne i nie zważając na grad rosyjskich kul i granatów otworzyliśmy z nich silny ogień, prawie w linii prostej, na sam środek dachów kołchozu. Dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt pocisków spadło na zabudowania, rozbijając w drzazgi dachy i wzbijając potężne obłoki kurzu i płomieni.
Czerwoni zaczęli uciekać przez pole kukurydzy w stronę lasu. Kołchoz znów był nasz. Żołnierze na powrót obsadzili odbite pozycje, brodząc pomiędzy gruzami, trupami bolszewików i końmi z rozprutymi brzuchami.

126 godzin

Bitwa o Tieriakow trwała sto dwadzieścia sześć godzin, sto dwadzieścia sześć godzin prawie nieustannej walki, przerywanej zaledwie na kilka godzin, kiedy noc zawieszała nad górami piękny pomarańczowy księżyc. Jego rudawa poświata nadawał niebu baśniowy wygląd. Chmury wyglądały jak piękne kwiaty, lekkie i delikatne jak jedwab.
Poświata rozpościerała się między wierzchołkami i zaledwie muskała nasz stok, ukryty na dnie doliny. Wykorzystaliśmy tą krótką ciszę, dla pośpiesznego wykopania w białej jak wapno ziemi, kilku dołów. Złożyliśmy w nich sztywne ciała kilkudziesięciu towarzyszy, z ramionami skrzyżowanymi jak kamienne figury na grobowcach w naszych starych katedrach. Ze ściśniętym sercem, powoli zasypywaliśmy poległych, najpierw nogi, potem piersi, na ostatek twarz. Staraliśmy się robić to jak najszybciej. Każdy z poległych był naszym bratem, starym towarzyszem niedoli, chwały i wiary.
Resztę nocy poświęciliśmy na ścinanie kukurydzy, która rosła między naszymi stanowiskami a lasem. Ciężkie kolby wisiały pięćdziesiąt centymetrów nad głową stojącego mężczyzny. Dzięki tym roślinom Rosjanie mogliby podchodzić nas niepostrzeżenie i w każdej chwili zaskoczyć. Czołgaliśmy się w ciemnościach uzbrojeni w noże ogrodnicze i w sierpy. W ciągu kilku nocy, metr po metrze wykarczowaliśmy cały teren.
To karczowanie było bardzo niewdzięczną robotą, bo Czerwoni także myszkowali w wysokiej kukurydzy. Czasami natykaliśmy się na nich, co wywoływało niemałą panikę. Od czwartej rano nie dało się już nawet wychylić nosa z naszych stanowisk. Pierwsze zielonkawe promienie słoneczne pojawiały się między górskimi graniami i oświetlały złote główki słoneczników, złożonych w nocy na świeżych mogiłach. Zazwyczaj o tej godzinie walki były już w pełnym toku.
***
Obrona Tieriakowa stawała się coraz trudniejsza. Żyliśmy w strasznym napięciu, bez możliwości odpoczynku. Musieliśmy coś zrobić, żeby wydostać się z pułapki. Postanowiliśmy przeprowadzić silne uderzenie w kierunku południowo-wschodnim, w dół wioski, tam gdzie wróg najsilniej

napierał. Rosjanie nieprzerwanie szturmowali kołchoz. Każdej nocy istniało ryzyko, że zostaniemy na naszym wzgórzu przytłoczeni przewagą i rozbici.
Nasz kontratak oznaczał utratę połowy batalionu. A rezultat i tak wydawał się niepewny, ponieważ sto metrów za chatami płynęła rzeka. Dopiero tuż za nią wznosił się las. Nigdy nie zdołalibyśmy pokonać nurtu, ani tym bardziej oczyścić wzgórza atakiem frontalnym.
Wyznaczyliśmy kilku ochotników, którzy zgłosili się do wypełnienia niewykonalnego zadania. Wspólnie z dowódcą wpadliśmy na śmiałe, wręcz zuchwałe rozwiązanie: wymknąć się przez przesmyk na północy, obejść Czerwonych przez lasy jak najdalej na zachód od ich pozycji, zaatakować ich z zaskoczenia i zepchnąć w stronę naszych stanowisk w Tieriakowie.
Najbardziej nieprawdopodobne zamierzenia dochodzą do skutku, ponieważ nikt się przed nimi nie zabezpiecza.
Chłopcy z kompanii Jeunesse zeszli na dno wąwozu. Ruszyli „pod prąd", chowając się między drzewami. Przez dwie godziny oczekiwaliśmy na ich atak.
Nie nastąpił. Wczesnym popołudniem nasze jelonki wróciły kompletnie wyczerpane: okolice były bardzo niebezpieczne, sowieckie patrole przeczesywały lasy. Oficer uznał, że w tych okolicznościach plan nie mógł się powieść. Wydał rozkaz przerwania wyprawy, do czego miał pełne prawo.
***
Mimo to musieliśmy podjąć jakieś działanie. Wróg napierał coraz silniej. Jeśli nie zadamy niespodziewanego ciosu, to on zada go nam. Musieliśmy wybierać: ryzyko dawało szansę ocalenia, bierność oznaczała zagładę. Ponownie wybrałem ochotników: nowa wyprawa miał wyruszyć lada chwila. Oficer, przeświadczony o znaczeniu misji, starał się wzmocnić ducha w ludziach. Półgłosem rozmawiał z nimi na dnie wąwozu.
Oczy tych dzieciaków miotały prawdziwe błyskawice. Niektórzy tego ranka dostali Krzyże Żelazne i pałali chęcią udowodnienia, że nie przypadkiem na nie zasłużyli. Ruszyli ponownie. Przez chwilę śledziliśmy ich przez lornetkę.
Znów minęły dwie godziny. Była piąta po południu. Czerwoni próbowali ponownie zająć kołchoz, ruszyli do ataku wydając rutynowe wrzaski.
Odpowiedział im inny odgłos, bardziej przenikliwy, ale cichszy. Zaledwie pojawili się Sowieci, nasi chłopcy, czatując w ukryciu za ich plecami na dogodny moment, rzucili się w wodę. Szli do przodu jak lwy!
Bolszewicy uwierzyli, że są otoczeni. Większość, nie wiedząc dokąd biec, ruszyła prosto na nasze karabiny maszynowe albo czołgając, usiłowała kryć się za płotami. Wielu poddało się. Giganci o skośnych oczach, podobni do goryli, szli poszturchiwani kolbami karabinów przez naszych chłopaczków o dziewczęcych rumieńcach.
Niestety połowa z tych dzieci, zginęła w gęstwinie lub podczas przeprawy przez rzekę. Ich wątłe ciała płynęły pod wodospady. Zwyciężyliśmy, ale ceną była najświeższa, najczystsza krew...
Każdy z naszych młodych bohaterów był wart więcej, niż cała zgraja jeńców: zarośniętych, o żółtych płaskich głowach porośniętych twardą jak igły szczeciną, trzęsących się w szkolnej piwnicy. Ale ten brutalny kontrast doskonale pokazywał, o co toczyliśmy zmagania: albo Europa i jej dwadzieścia wieków cywilizacji, albo azjatyckie hordy, dzikie, zwierzęce, kryjące się pod czerwonym szyldem Związku Sowieckiego. Nasi młodzi ochotnicy dokonali wyboru: ginęli równie mężnie jak stare wiarusy, dla idei, która lśniła w ich oczach.
Czerwoni ponieśli duże straty i wycofali się do lasu na zachodzie i południowym zachodzie. Nie podejmowali już ryzyka walki na tym odcinku, usianym trupami ich towarzyszy broni.
Kilka brudnych prosiaków kręciło się przed sowieckimi stanowiskami, bez przeszkód podgryzając obrzydliwe ciała, które szybko zaczynały się rozkładać na słońcu. Czerwoni wodzili wygłodniałym wzrokiem za świniami, które buszowały dwadzieścia metrów od nich w gnijących wnętrznościach ich rodaków. Widać było, że mają wielką ochotę zwabić do okopów te obrzydliwe zwierzęta. W końcu udało im się złapać jedną świnię. Słyszeliśmy jak krzyczeli z radości. Ludożerstwo odbywało się w Tieriakowie za pośrednictwem zwierząt.
***
Zupełnie niespodziewanie zdobyliśmy brakujące szczegóły o sytuacji tych wykwintnych smakoszy wieprzowiny.
Jeden z naszych sanitariuszy, niejaki Brohet został pojmany, kiedy próbował ratować rannego żołnierza, postrzelonego nad brzegiem rzeki. Czerwoni przepędzali go od stanowiska do stanowiska.
Znał trochę rosyjski, jak większość naszych żołnierzy. Podobnie jak oni był człowiekiem bardzo zaradnym. Wygadany, z każdym znalazł wspólny temat. W końcu został odesłany na tyły. Zdążył

jednak zorientować się jakimi siłami dysponują Czerwoni i gdzie są ich pozycje. Kiedy podążał w głąb ich stanowisk, zapadł zmierzch. Droga prowadziła nad głębokim parowem. Sanitariusz skoczył i sturlał się po stromiźnie. Rosjanie strzelali na darmo. Brohet zdołał uciec!
Dziesięć razy gubił się w ciemnościach. W pierwszych promieniach poranka zobaczyliśmy głowę wyłaniającą się z trzęsawisk pięćdziesiąt metrów od nas. To był nasz zuch! Doczołgał się do nas bez większych przeszkód. Oblepiony zielonkawym błotem, wyglądał jak nigeryjski hipopotam. Dzięki zdobytym przez niego informacjom zdołaliśmy wyprzeć Czerwonych od strony zachodniej i rozbić ich pozycje w lesie przy użyciu armat przeciwpancernych
Pozostał jeszcze dębowy lasek, który wznosił się od strony południowo-wschodniej, skąd sowiecki batalion uzbrojony w granatniki prowadził intensywny ostrzał. Od świtu do nocy musieliśmy kulić się w okopach wydrążonych w kredowej ziemi albo pod chatami. Nasz dowódca usiłując przeprowadzić krótką inspekcje został raniony trzema odłamkami. Trzeba było za wszelką cenę oczyścić wzgórza i usunąć stamtąd te przeklęte „wyrzutnie kartofli", jak je nazywaliśmy. Jedna z naszych kompanii przeprowadziła bardzo skuteczną wycieczkę i wyparła rosyjski batalion z całym sprzętem.
Przyszło nam jednak drogo zapłacić za ten kontratak. Granat zabił szefa Jeunesse, Johna Hagemansa, dawnego komunistycznego studenta uniwersytetu w Brukseli, który przyjął nasze ideały i stał się orędownikiem potęgi naszych wiekowych Niderlandów, epickim przewodnikiem, czarodziejem uwielbianym przez młode pokolenie.
***
Tieriakow został oczyszczony tylko częściowo. Każdego dnia nasze oddziały likwidowały kolejne grupy wroga. Jednak, kiedy tylko nasi żołnierze zbliżali się do chat, wznawiał się ostrzał sto metrów za nimi. Mieli tylko tyle czasu, by się ukryć. Przeciwnik wycofywał się, by znów powrócić. Sowieccy strzelcy wyborowi siedzieli ukryci w koronach drzew, jak dzikie jaguary. Czasami udawało nam się któregoś dostrzec. Starannie go namierzaliśmy: ciało spadało na ziemię, albo zwisało między gałęziami.
Jednak większość snajperów była niewidoczna. Tuzin wystarczał, żeby paraliżować wszelkie działania. Nie można było przejść nawet dziesięciu metrów po częściowo odkrytym terenie. Teriakow był otoczony przez grupę snajperów o niezwykłych umiejętnościach strzeleckich, którzy nie oszczędzali naboi.
***
Zagrożenie to nie miało jednak wpływu na kwestię najważniejszą: Tieriakow został uratowany. Czerwonym nie udało się odbić przesmyku, niezbędnego do przeprowadzenia kontrataku.
Jako jedyni zdołaliśmy utrzymać wysuniętą pozycję w kaukaskich lasach na południowym Zachodzie. Z pozostałych rubieży rozpoczęto odwrót. Teriakow pozostał, jak taran wbity w głąb sowieckich pozycji. Właśnie stąd w październiku wyruszy ostatnia niemiecka ofensywa na Kaukazie.
Nasza dywizja przesunęła się bardziej na południe. Przegrupowaliśmy się, zluzowani przez oddziały dywizji SS Wiking. Pewnego słonecznego popołudnia, pod koniec sierpnia pożegnaliśmy mogiły naszych poległych i ostrożnie podążyliśmy w niewielkich grupach przez dębowe laski rozciągające się na zachodzie, gdzie cały czas groziło jeszcze spotkanie z patrolami wroga. Nasza grupa napotkała żołnierzy sowieckich, którzy posuwali się do przodu nie spuszczając palców ze spustu. Było ich o siedmiu czy ośmiu więcej niż nas. Przeszli po wzniesieniu kilka metrów nad naszymi głowami, ale nie odkryli w krzakach naszej obecności.
Po dwóch godzinach marszu dotarliśmy do małej wioski, która wyglądała jak złota plama między potężnymi granatowymi górami: to był Kubanoarmiański, osada wzniesiona w kaukaskich ostępach za czasów carskich przez armeńskich uciekinierów. Przed chatami, na drewnianych płotach z żerdzi siedziały nieruchomo, jak totemy, dziwne dzieci, o cerze, śliwkowej o małych głowach, przypominających łebki przestraszonych sów...

Armenia

Wrzesień 1942 roku był na zachodnim Kaukazie miesiącem odpoczynku. Niemiecka ofensywa podjęta w drugiej połowie sierpnia zakończyła się niepowodzeniem z powodu braku rezerw, które miały otworzyć przejście i zapewnić kontrolę nad zajętymi obszarami leśnymi. Być może wojska pierwszorzutowe wystarczyłyby, gdyby chodziło, tak jak w lipcu, o prowadzenie ofensywy w terenie odkrytym. Jednak to stosunkowo łatwe zadanie należało już do przeszłości. Wróg cierpliwie wstrzymał się ze stawianiem silniejszego oporu do momentu, aż pokonamy prawie tysiąc dwieście kilometrów i pogubimy się w lasach. Kiedy znaleźliśmy się już w wąwozach i

jarach, odcięci od zaplecza kilometrami mrocznego lasu, pojawiły się bezwzględne i dokuczliwe oddziały partyzantów, niewidoczne, ale zawsze śmiertelnie niebezpieczne.
W wielu miejscach zmuszono nas do odwrotu. Potem musieliśmy czekać na podciągnięcie rezerw. Bez pomocy dodatkowych dywizji nie było mowy o jakichkolwiek postępach.
Więc czekaliśmy. Armeńska wioska Kubanoarmiański została zdobyta przez jedną z naszych kompanii tego samego dnia, kiedy szturmem wzięliśmy Tieriakow. Wróg bez oporu dał się wyprzeć daleko za polanę. Front ustalił się niedaleko linii lasu.
Nigdy nie widzieliśmy podobnej wioski. Chaty nie przylegały do ziemi, jak na stepie, ale wznosiły się na wysokich palach, tak, by nie miały do nich dostępu dzikie zwierzęta, które zimą często wychodziły z lasu w poszukiwaniu pożywienia. Dzięki tym wysokim platformom Ormianie byli całkiem bezpieczni. Stajnie i obory wisiały na wysokości czterech, pięciu metrów. W stosunku do zwierząt domowych podejmowano jeszcze większe środki ostrożności niż dla kobiet i dzieci. Mozolnie wciągano je do tych szop, gdzie kilka metrów nad ziemią spokojnie spędzały zimowe miesiące, gdy tymczasem u podnóży słupów wyły hordy wygłodniałych wilków.
***
Mieszkańcy zachowali wszystkie zwyczaje ludów Azji Mniejszej. Kobiety miały przepastne oczy, czarne jak węgiel, w kształcie migdałów, dokładnie takie, jak postacie na ceramice kreteńskiej. Otoczone chmarami much, godzinami poruszały palcami u nogi cienką, delikatną beczką, wypełnioną mlekiem, zwisającą z sufitu na sznurze. Po pół dnia takiego obracania, wyciągały z naczynia półpłynne masło. Używały mleka bawolic, powolnych towarzyszek wielkich czarnych bawołów, którym skóra zwisała na karkach do samej ziemi niczym szal boa.
W wiosce oczywiście uprawiano kukurydzę. Chłopki suszyły błyszczące kolby na słońcu, a potem obdzierały je z jedwabistego okrycia. Krajobraz był jeszcze piękniejszy niż w Teriakowie.
Kiedy o zmierzchu wracaliśmy z patrolu, zatrzymywaliśmy się ze dwadzieścia razy, żeby podziwiać piękno nieba i gór. Góry stały jedna przy drugiej, każda miała swój kolor, poczynając od złota i czerwieni do purpury i fioletu.
Wielkie skaliste ściany, wznoszące się pod światło, pokryły się już czernią miękką jak aksamit. Kubanoarmiański pogrążał się w niebieskawym zmierzchu. Białe szale wieczornego dymu z kilku kominów płynęły jeszcze po niebie. Schodziliśmy bardzo wolno, cały czas podziwiając pomiędzy gałęziami drzew olśniewające barwy, które oblewały skały i wioskę, pogrążającą się w cieple niebieskiego cienia...
Żeby dotrzeć do stanowiska dowodzenia 97 Dywizji, trzeba było pokonać jakieś piętnaście kilometrów granią. Jechałem na małym rosyjskim koniku, który jak wielbłąd, potrafił stąpać po najwęższych nawet ścieżkach. Po drodze omijałem głębokie rozpadliny i strome urwiska. Kiedy wdrapałem się na sam szczyt, roztoczył się przede mną niewyobrażalnie piękny krajobraz: olbrzymia kotlina, otoczona skałami wysokimi na tysiące metrów. Na samym dnie lśnił kwadracik żółtego światła. Tam właśnie była wioska.
Dotarłem do niej po godzinie. Koń wbijał kopyta jak szpony między osuwającymi się kamieniami. Potem doszliśmy do jasnozielonego potoku, w którym płynęła spieniona, lodowato świeża woda.
Niebawem utrzymanie komunikacji stało się niemożliwe. Czerwoni widząc, że nasz zapał osłabł, przeszli do ofensywy. Nie rzucali jednak na nas całych batalionów, jak w Teriakowie. Wysyłali przeciwko nam małe grupy, które przemykały lasami, gdzie poczerniałe pnie stuletnich dębów, powalonych przez wichury, obrastały roślinnością i w mrocznej gęstwinie czyhały liczne pułapki. Nasze patrole z trudem pokonywały tę pierwotną, niezbadaną puszczę, która na mapach przedstawiała jedna, wielka, zielona plama.
Na szczęście mieszkańcy kotlin byli zażartymi antybolszewikami. Niektórzy z naszych ormiańskich wieśniaków wypuszczali się na piętnaście, dwadzieścia kilometrów od swojej wsi: wracali po dwóch dniach, prowadząc długi sznur jeńców w mundurach Armii Czerwonej.
Byliśmy zaskoczeni wrogością z jaką chłopi ci odnosili się do reżimu sowieckiego: biedacy, wręcz nędzarze, powinni byli raczej dać się porwać bolszewizmowi. Wprost przeciwnie, tak bardzo go nienawidzili, że ryzykowali własnym życiem pomagając nam z nim walczyć. Pewien stary, siwiuteńki wieśniak, który został skazany przez Czerwonych na wiele lat ciężkich robót, okazał się wyjątkowym, wręcz fanatycznym wrogiem reżimu: obuty w lekkie buty ze świńskiej skóry, potrafił wszędzie się prześlizgnąć i każdego dnia przeprowadzał przez las nasze patrole.
Wielu naszych ormiańskich przewodników wpadło w ręce Bolszewików i zginęło. Nie umniejszało to jednak zaciętej nienawiści mieszkańców wioski.
***
Mimo to, nasza przyszłość rysowała się coraz bardziej niepewnie. Wroga nigdzie nie było, a mimo to był wszędzie. Wyruszaliśmy na całodniowe patrole. Czasami przemykaliśmy się daleko w głąb

nieprzyjacielskich pozycji. Nie napotykaliśmy ani jednego marudera. Jednak następnego dnia u progu wioski seria z pistoletu maszynowego z pobliskich krzaków powalała kilku naszych ludzi.
W końcu niewidzialni wrogowie odcięli nas całkowicie. Przemykali pod drzewami jak dziki, żywili się leśnymi owocami i tym, co zrabowali.
Łączność z dywizją była utrzymywana tylko przez radio. Komunikacja z tyłami wymagała regularnych wypraw, które za każdym razem angażowały połowę batalionu. Szybko przekonaliśmy się na własnej skórze, czym jest wojna partyzancka i to w wydaniu azjatyckim.

Na czatach

W wojnie zasadzek wewnątrz kaukaskich lasów, liczebność nie odgrywała najważniejszej roli. Trzech partyzantów, zaczajonych w gęstwinie ciernistych krzewów, mogło w ciągu kilku sekund, w dogodnych warunkach zlikwidować cały patrol. Natychmiast po starciu rozpływali się w lesie. Następnego dnia zastawiali w innym miejscu kolejną zasadzkę. Mieliśmy dowozić żywność z bazy w Szyrwańskiej, położonej jakieś dwanaście kilometrów od naszych pozycji w Kubano-armiańskim. Dwa razy w tygodniu kilka wozów ciągniętych przez grube woły jechało aż do wioski Paparotni, a następnie pokonywało pięć, sześć kilometrów przez gęsty dębowy las. Droga była wąska, prawie całkowicie zarośnięta trawą i zielskiem. W pewnej chwili przekraczała niewielką rzeczkę o dosyć stromych brzegach. Drewniany most był zniszczony. Konwój zjeżdżał aż na kamieniste dno rzeczki, przejeżdżał nią jakieś sto metrów, a następnie znów wtaczał się pomiędzy majestatyczne dęby i gęste krzewy.
Pewnego dnia Rosjanie przygotowali zasadzkę. Wyczekali aż woły zbliżą się na dwa metry do krzaków, gdzie się ukryli. Seria z pistoletu ścięła naszych ludzi i powaliła zwierzęta. Tylko dwaj żołnierze zdążyli uskoczyć w krzaki: reszta eskorty zginęła, zanim zdołała zareagować.
Od tamtej chwili musieliśmy wysyłać dwa razy w tygodniu połowę ludzi do Paparotni do osłony konwoju. Po obu stronach drogi czujki metodycznie przeczesywały las.
Czekaliśmy z niepokojem. Konwój zazwyczaj przybywał około szóstej po południu. Nie spuszczaliśmy z oczu prześwitu między drzewami, z którego wyłaniała się u samej góry, leśna droga.
Rozległa się detonacja: serie z karabinów maszynowych, huk wybuchających granatów docierały na dno kotliny. Wtedy zobaczyliśmy wyłaniający się z lasu jeden wóz, potem następny. Na złamanie karku zjeżdżały po zboczu. Sapiących z wysiłku rannych zaprowadziliśmy do punktu sanitarnego. Następnego dnia trzeba było wysłać kolejny patrol do Paparotni. Rezygnacja z tej drogi oznaczałaby porażkę. Ludzie byli już wyczerpani ciągłymi zasadzkami. Stanąłem więc na czele grupy żołnierzy odpowiedzialnych za komunikację z zapleczem. Podążałem na czele dwadzieścia metrów przed nimi, żeby móc zapobiec masakrze całej grupy. Odetchnęliśmy z prawdziwą ulgą, kiedy w końcu dotarliśmy do jabłonek i śliw Paparotni, granicy obfitości i spokoju.
Jak czyhający na zdobycz kot, potrafili cierpliwie godzinami leżeć bolszewicy kilkanaście metrów od naszych stanowisk. Spaliśmy nie rozbierając się z pistoletem maszynowym przy boku. Nawet zaciekli palacze długo się wahali, zanim wślizgiwali się pomiędzy sadzonki ormiańskiego tytoniu.
Pewnego popołudnia jeden z naszych kucharzy chciał wykopać kilka ziemniaków na stromym polu pod lasem. Czerwoni leżeli w kolczastych krzakach. Poczekali, aż zbliżył się do nich. Padł strzał. Kucharz upadł z przestrzelona nogą. Bolszewicy skoczyli na niego i przydusili go pod krzakami. Ruszyłem z dwójką ludzi w pościg za Czerwonymi. Prowadziły nas krzyki rannego kucharza. Oprawcy ciągnęli go po kamieniach i korzeniach. Kiedy już ich doganialiśmy, Czerwoni porzucili go. Gdy pochyliłem się nad naszych nieszczęsnym towarzyszem, spojrzał ma mnie łagodnymi oczami, pełnymi łez: z ust popłynęła mu struga krwi z pęcherzykami powietrza. Sowiecki patrol, zanim go zostawił, kilkanaście razy przebił jego pierś nożem. Z trudem oddychał. Jego rany otwierały się i otwierały, jak gdyby były żywe.
Opierał się śmierci przez pół godziny. Musieliśmy przykryć mu twarz moskitierą, bo wiele much latało wokół jego zakrwawionych ust. Piana zadrżała po raz ostatni: „Mamo! Mamo!" powtarzał głosem dziecka, jaki mają mężczyźni tuż przed śmiercią...
Pochowaliśmy go na skarpie, niedaleko od innych. Nasz mały cmentarz otoczyliśmy solidnymi drewnianymi żerdziami, żeby zimą nie zniszczyły go dzikie zwierzęta. Ale kto był okrutniejszy: leśne zwierzęta czy bolszewicy, którzy unikali uczciwej walki, zapadali pod ziemię, żeby z ukrycia, jak zbiry wbijać nóż w plecy ofiary?...
***

Przygotowania do nowej niemieckiej ofensywy dobiegały końca. Każdego dnia, późnym wieczorem nadlatywały sowieckie samoloty, zawsze w kluczu i kontrolowały sytuację w sektorze. Pojawiały się zawsze tylko na kilka minut: bywało, że jedna lub dwie maszyny trafione przez działa przeciwlotnicze spadały w płomieniach, a lotnicy na spadochronach rozpaczliwie wymachiwali nogami nad lasem.
Pewnego ranka na początku października dziesięć Stukasów przeleciało nad naszymi głowami i zapikowało przed Teriakowem. Wracały co godzinę. Góry huczały. Zaczęła się jesienna ofensywa.
Pod koniec 8 października 1942 roku także my ruszyliśmy. Ostatni raz spojrzeliśmy na położony na dnie kotliny Kubanoarmiański, zabarwiony na niebiesko przez pierwsze wieczorne cienie. Zostali tam polegli towarzysze, osłonięci wielką, poczerniałą, drewnianą palisadą, wokół której w przyszłych śniegach będą krążyć wilki o wygłodniałych pyskach i niecierpliwych łapach. Gdzieniegdzie zielone góry wznosiły czerwone i brunatne tarcze, flagi jesieni, które lśniły w złotawym zmierzchu.
Potem zapadła noc. Maszerowaliśmy bez słowa do samego rana, pod baldachimem majestatycznych dębów, przez który przenikały tańczące, srebrzyste błyski milionów gwiazd...

Puszcza i góry

Ofensywa z października 1942 roku na Froncie Kaukaskim kazała na siebie czekać. Rozpoczęła się w atmosferze niepewności. Naczelne dowództwo niemieckie zaatakowało w sierpniu wielki łańcuch górski z dwóch stron: od południowego wschodu, od strony rzeki Terek w kierunku złóż naftowych w Baku; i od południowego zachodu, na naszym odcinku, w kierunku Batumi i granicy tureckiej.
Bitwa nad Terekiem była bardzo zacięta, ale nie przyniosła rozstrzygnięcia. Niemieckie dywizje pancerne zostały zatrzymane niedaleko miasta Groźny. W październiku nie zdołały posunąć się dużo dalej.
Nasz szturm na Adler (koło Soczi) także zakończył się niepowodzeniem.
Celem październikowego ataku nie było już dotarcie do Gruzji i Zakaukazia, lecz miasto i port Tuapse nad Morzem Czarnym oraz kontrola rurociągu, który dochodził do tego portu. Rurociąg miał mniej więcej metr średnicy. I właśnie o zdobycie tej czarnej rury będziemy walczyć przez następne tygodnie.
Jedyny zdobyty szyb ropy naftowej, który dostał się nietknięty w ręce niemieckie, znajdował się w Majkopie. Właściwie złoża ropy naftowej znajdowały się Nieftiegorsku, pomiędzy Majkopem i Tuapse. Czerwoni wysadzili w powietrze wszystkie instalacje. Ropa jednak nadal płynęła szeroką strugą, zatruwając wszystkie strumienie, zabarwiając na brązowo trzcinę i trawę. Niemcy ze swym geniuszem organizacyjnym, postarali się, by przywrócić jej wydobycie. Pokłady złoża były niezwykle bogate. Ropa była szczególnie przydatna dla samolotów. Kiedy przybyliśmy rano 9 października do Nieftiegorska, wprawiła nas w zachwyt praca, jaką wykonali w ciągu półtora miesiąca niemieccy inżynierowie. Wielkie, błyszczące nowością budynki z cegły były już całkowicie gotowe.
Należało jednak jeszcze zdobyć rurociąg aż do Tuapse, aby miliony litrów cennego płynu mogły być regularnie przepompowywane na tankowce, na Morzu Czarnym. To było zadanie żołnierzy. Jesienna ofensywa była w równym stopniu ofensywą o znaczeniu ekonomicznym, jak wojskowym. Nie pierwszy raz — i z pewnością nie ostatni — tysiące żołnierzy polegną za ropę naftową...
***
Czerwoni, którzy dobrze wiedzieli, jakie znaczenie strategiczne ma ten rurociąg, z szaleńczą energią bronili głównej drogi i trasy kolejowej z Majkopu do Tuapse. Niemieckie czołgi w sierpniu zaatakowały rosyjskie pozycje, nie zdołały jednak ich przełamać. Na początku października 1942 roku Naczelne Dowództwo niemieckie powierzyło dywizjom pierwszego rzutu, do których należeliśmy, przeprowadzenie bardzo sprytnie zaplanowanej operacji: dziesiątki tysięcy żołnierzy piechoty, przybyłych ze wschodu i z zachodu miały przedostać się przez zalesione góry, wznoszące się na tysiące metrów wysokości, dosłownie wyrąbując sobie przejścia, a potem stopniowo, etapami zajść pozycje wroga od tyłu i w końcu zamknąć okrążenie za jego plecami na drodze do Tuapse, dwadzieścia, potem czterdzieści, i w końcu pięćdziesiąt kilometrów za Nieftiegorskiem. Nasza dywizja wyspecjalizowana w operacjach górskich ruszyła za nimi. Opuszczaliśmy zagłębie naftowe w strugach ulewy. Po dwóch dniach marszu w kałużach stanęliśmy przed wysokimi szczytami, które lśniły w wyłaniającym się zza chmur słońcu.
***

W niezwykle gęstym lesie rosły olbrzymie, nigdy nie ścinane dęby i tysiące dzikich jabłoni, które roztaczały cudowny kwaskowaty aromat.
Wspięliśmy się na szczyty. Bolszewicy założyli tam wielki obóz, usłany jeszcze łupami. Z polany mieliśmy wspaniały widok na lasy dębowe, ciągle zielone, upstrzone gdzieniegdzie złotymi liśćmi dzikich jabłoni, pokonanych przez jesień.
Schodziliśmy po stromych zboczach. Konie ślizgały się i zjeżdżały w dół dziesięć, piętnaście metrów. Czepialiśmy się wystających korzeni. Noc spędziliśmy pod brezentową płachtą w malutkiej osadzie noszącej zabawną nazwę Trawalera; przeszło stu żołnierzy przypuściło szturm na kilka zagubionych w lesie chatynek.
To była ostatnia osada. Potem był już tylko gęsty las, ciągnący się dziesiątkami kilometrów, dziki jak afrykańska dżungla.
***
Wojsko walczyło przede wszystkim siekierami, piłami i motykami. Oddziały awangardowe urządzały nagonkę na wroga i wypierały go kilometr po kilometrze. Za nimi setki saperów budowały drogę przez góry, pokonując niewiarygodne przeszkody. To było niesamowite. Droga wykładana dziesiątkami tysięcy okrąglaków przechodziła po skalnych półkach, umacnianych drewnianymi ścianami z pali, tuż nad przyprawiającymi o zawroty głowy przepaściami. Trasa doskonale nadawała się nawet dla małych transporterów gąsienicowych, które bez większych problemów pokonywały wielokilometrowy odcinek i docierały na szczyt. Co dwieście, trzysta metrów budowano mijanki dla pojazdów.
Jednak w miarę posuwania się, używanie pojazdów stawało się coraz trudniejsze i w końcu z nich zrezygnowaliśmy. Transportery zostały zastąpione przez tysiące jeńców, przekwalifikowanych na tragarzy. Czuliśmy się jak w zwrotnikowej dżungli. Każdy z tych ludzi niósł na plecach sprytnie pomyślaną drewnianą skrzynię, na której mocowano skrzynki z amunicją, albo pojemnik z wodą, albo worek z żywnością. Wszystko, w tym także woda, było transportowane na ludzkich plecach. Tragarze, zmieniając się co pewien czas, wędrowali dniem i nocą.
Nasza Dywizja zabrała ze sobą niezliczoną ilość mułów obładowanych ciężkimi bagażami. Udało się nam zatrzymać kilka koni. Jednak na tych wysokościach nie było już żadnych pastwisk; nie mieliśmy też ani paszy, ani owsa. Nie chcąc ich głodzić, karmiono je gałązkami brzozy. Cały czas słychać było odgłosy rąbania siekierami. Powalano setki pięknych drzew, tylko po to, żeby obciąć kilka gałęzi. Zwierzęta zachłannie skubały pęki gałęzi z liśćmi. Jednak z dnia na dzień coraz bardziej zapadały im się boki.
Kiedy saperzy dalej budowali przejście do drogi na Tuapse, tysiące żołnierzy i poganiaczy mułów czekały i obozowały we własnoręcznie zbudowanych szałasach.
Powstawały prawdziwe leśne miasta. Każdy Niemiec nosi w sercu górski domek. Niektóre z tych konstrukcji były prawdziwymi dziełami sztuki, uroczymi, wygodnymi i solidnymi. Każdy miał swoją nazwę. Najbardziej żałosny nazwano złośliwie „Domem sztuki niemieckiej".
Jesień była piękna. Posiłki jadaliśmy przed leśnymi chatkami, pośród skalnej roślinności. Z białego drewna zbudowaliśmy stoły i proste ławy. Tylko słońce przedzierało się przez liście. Wrogie samoloty bezskutecznie wypatrywały naszych obozów. Wieczorem widzieliśmy w oddali, na dnie dolin, płonące stacje kolejowe na linii Majkop-Tuapse. Pociągi w ogniu były widoczne z odległości piętnastu kilometrów: przez lornetkę wyraźnie widzieliśmy poczerniałe wraki i jaskrawo czerwone plamy każdego przedziału. Nasze Stukasy skutecznie utrudniały życie wojskom sowieckim.
***
W końcu oddziały awangardy i saperzy dotarli na skraj kniei do leśnej drogi, która trzy kilometry dalej łączyła się z upragnioną drogą główną, prowadzącą do Morza Czarnego. Czerwoni bronili się zaciekle. Najwyższe skały zdobywano dopiero po dramatycznych walkach wręcz: na spalonej ziemi leżały masy trupów na wpół zwęglonych od pożarów lasów.
Cała nasza dywizja zmobilizowała się, żeby przypuścić ostateczny szturm. Ruszyliśmy prowizoryczną drogą, zbudowaną przez wojska inżynieryjne. Na każdym zakręcie stała tablica, na której z dużym talentem, w zabawny sposób namalowano informacje o czyhających niebezpieczeństwach, widocznych zresztą i bez ostrzeżeń! Czasami wierzgające muły, obładowane skrzynkami z amunicją albo kuchennymi kotłami, obsuwały się z drogi i z piekielnym hałasem spadały w dół rozbijając się o skały, sto metrów poniżej drogi. Dotarliśmy do doliny i do szlaku drwali. Droga, prosta jak od linijki, biegła pomiędzy dwoma skalistymi wzniesieniami. Czerwoni od ośmiu dni nieprzerwanie blokowali przejście ogniem. Niemieckie patrole, które zbliżyły się do sowieckich pozycji, były wybijane do nogi.
Stukasy codziennie bombardowały rosyjskie stanowiska. Tamtego dnia atak lotniczy był tak silny, że zdołaliśmy dopaść okopów wroga, które wyglądały jak jedno wielki cmentarzysko.

Wieczorem podszedłem z jednym z naszych oficerów do sterty trupów, gromadzonych tu od tygodnia. Ciała były w obrzydliwym stanie rozkładu. Największe wrażenie zrobił na mnie łańcuch Czerwonych, zabitych serią z karabinu maszynowego. Leżeli jeden na drugim, jak klocki domina. Każdy nadal ściskał w gnijących dłoniach pistolet maszynowy.
O szóstej rano postanowiłem sfotografować tę makabryczną scenę.
Patrząc przez celownik aparatu wydało mi się, że jedno z ciał nieznacznie się poruszyło. Pomyślałem, że to pewnie z powodu tysięcy obrzydliwych, żółtawych robaków, które żerowały na zwłokach. Chciałem jednak mieć czyste sumienie. Trup, który jak mi się wydawało, poruszył się, miał głowę przykrytą płaszczem. Zbliżyłem się ściskając w garści pistolet i szybkim ruchem odrzuciłem ubranie. Patrzyło na mnie dwoje przerażonych, błyszczących jak diamenty oczu.
Był to bolszewicki komisarz. Leżał ukryty pomiędzy trupami od poprzedniego dnia, pozwalając łazić po sobie robakom. Miał przy sobie testament, w którym oświadczał, że jako Żyd postanowił uczynić wszystko co w jego mocy, aby pomścić Żydów.
Determinacja człowieka nie zna granic...
***
Stukasy doszczętnie zniszczyły skrzyżowanie drogi leśnej z główną drogą nad morze. Setki sowieckich poległych wypełniały okopy strzeleckie. Niektóre nadal ściskały w poczerniałych palcach rozwinięte za późno bandaże. Jakiś oficer, ranny w nogi zdążył tylko opuścić spodnie, zanim martwy wpadł głową w dół, w gniazdo karabinów maszynowych. Tuż nad ziemią wystawały jego białe, świecące pośladki, po których pełzały setki lepkich gąsienic.
Trzech młodych Niemców patrolujących okolice zdołało na początku operacji, to jest jakieś dziesięć dni wcześniej, prześlizgnąć się aż do skał nad potokiem, pomiędzy małymi rosyjskimi bunkrami. Na kamieniach leżały teraz ich ciała, z szeroko otwartymi oczami, ze zrudziałym lekkim zarostem. Żebra z wyschniętych boków zdążyły już przebić na wylot wojskowe bluzy feldgrau.
W końcu dotarliśmy do głównej drogi na Tuapse. Wioska znajdująca się przy skrzyżowaniu, była już tylko jednym wielkim lejem po bombie. Wzdłuż linii kolejowej każdy, najmniejszy nawet, tunel do odprowadzania wody z gór, został przekształcony przez Rosjan w wąską salę szpitalną. Wszyscy ranni, porzuceni dwa dni wcześniej w tych lodowatych korytarzach, zmarli na noszach z braku opieki.
Przed zaporą roztaczała swe piękno rzeka. Spróbowałem się w niej wykapać. Szybko jednak wyskoczyłem z wody: wszędzie pływały rozkładające się trupy, do połowy utopione w wodzie, przy każdym ruchu trafiało się na jakieś ciało.
Na noc ułożyliśmy się na ziemi, we wszechobecnym smrodzie lepkich, rozkładających się zwłok, które lepiej niż cokolwiek innego przypominały nam o marności ludzkiego losu...

Wichury i przepaście

Opanowanie w październiku 1942 roku znacznej części drogi z Majkopu do Tuapse było dużym sukcesem. Teraz trzeba było jeszcze tylko pokonać dobre dwadzieścia kilometrów, aby dotrzeć do tego wielkiego portu naftowego nad Morzem Czarnym. Cel był w zasięgu ręki.
Dano nam tylko jedną noc na odpoczynek. Następnego dnia porzuciliśmy główną drogę i rozpoczęliśmy okrążanie przez las. Przeszliśmy kilka kilometrów dnem wąwozu i znów weszliśmy między potężne dęby. Lało strumieniami. Ziemia usiana gnijącymi ciałami zrobiła się strasznie lepka. Nie mieliśmy niczego ze wspaniałego wyposażenia dywizji alpejskich: ani krótkich kurtek, ani ciężkich podkutych butów. Nasze długie płaszcze ciągnęły się po błocie. Przewracaliśmy się na śliskiej ziemi. Każdy krok w tej chaotycznej i rozwodnionej kniei był dla nas niewyobrażalnym wysiłkiem. Ludzie osuwali się do parowów.
Kiedy dotarliśmy na szczyt jednego ze wzniesień, ujrzeliśmy sławny rurociąg. Przechodził w połowie wysokości, przecinając dumnie całą dolinę. Naprzeciwko nas, na szczycie drugiej góry znajdowały się rosyjskie stanowiska. Z położonej bardzo wysoko linii okopów Rosjanie mieli doskonały widok na napastników. Kiedy część naszych ludzi podążała zakolem wąwozu, ja usadowiłem się okrakiem na czarnej rurze, z pistoletem maszynowym w rękach. Powoli przesuwałem się po rurociągu nad parowem. Pięćdziesiąt metrów pode mną rozwierały się kolejne przepaście. W końcu jednak dotarłem szczęśliwie na przeciwległy stok, a za mną cała kawalkada ochotników, uradowanych tą niespodziewaną przejażdżką.
***

Tuż przed wieczorem zdołaliśmy wspiąć się na wzniesienie, które nieco wcześniej zdobyli niemieccy żołnierze. Polegli wszyscy Sowieci. W długich i wąskich okopach stały szeregi poległych żołnierzy.
Ledwie zdążyliśmy rozbić na górze nasze malutkie namiociki, kiedy rozpętała się pierwsza wielka jesienna burza.
Nasze namioty były robione z małych, trójkątnych płatek, z rozcięciem pośrodku, które na co dzień służyły żołnierzom jako nieprzemakalne płaszcze. Żeby postawić namiot należało połączyć cztery takie płatki i zawiesić je przy pomocy jakiegoś masztu. Otrzymywało się w ten sposób kawałek osłoniętego terenu o wielkości dwa na dwa metry. Ale cztery płatki oznaczały cztery osoby: trzeba było więc we czwórkę pomieścić się na tym skrawku ziemi, a na dodatek schować tam jeszcze cały sprzęt.
Dodatkowym utrudnieniem była konieczność demontowania namiotu każdego ranka, aby każdy w ciągu dnia miał czym okryć się przed deszczem.
Nie mieliśmy ani słomy, ani suchych liści, na których moglibyśmy umościć legowiska: nic, tylko przemoczona ziemia. Przez całą noc las huczał; byliśmy na samym szczycie góry: podmuchy lodowatego wiatru z deszczem, gradem, śniegiem mogły w każdej chwili porwać nasze prowizoryczne schronienia. Woda kapała, przeciekała przez otwory w podziurawionych w stu miejscach przez półtora roku służby płatkach. Jacyś ludzie krzyczeli na zewnątrz. Ich namiot-schronienie przewrócił wiatr. Przemoknięci do suchej nitki miotali się, rzucając przekleństwa.
***
Pod koniec popołudnia, w górach pojmano wielu żołnierzy sowieckich. W nocy przysłano ich do nas.
Przedstawiali żałosny widok. W większości pochodzili z Krasnodaru; wychudzone, niespełna szesnastoletnie dzieciaki, siłą prowadzone do Tuapse, gdzie przez cztery dni uczono ich obchodzić się z pistoletem maszynowym. Mieli nogi otarte do krwi w za dużych, ciężkich wojskowych butach. Większość wyrzuciła je i szła po błocie boso. Nie było dla nich żadnej chaty ani szałasu i chcąc choć trochę osłonić się przed deszczem, przytulali się do siebie, przemoczeni i wyczerpani.
Rano z uderzającą słowiańską niefrasobliwością zaczęli obracać na wszystkie strony trupy swych rodaków, którzy zginęli w okolicy. Po godzinie wszystkie ciała były zupełnie nagie.
Jeńcy zabierali nie tylko płaszcze i bluzy poległych, ale także ich skarpety, a nawet kalesony. Kiedy kolumna jeńców wyruszyła na tyły, zostaliśmy w towarzystwie nagich trupów, tonących w strugach deszczu.
***
Burza trwała trzy dni. Śnieg i deszcz mieszały się i spadały na nas strugami. Próbowaliśmy rozpalić ogień pod naszymi małymi namiocikami. Ale drewno był mokre. Uzyskaliśmy jedynie gryzący dym, który szczypał w oczy i drapał w gardło. W dzień, w nocy, bez przerwy huczała wokół nas wichura, która wywracała namioty i przenikała przez mundury. Wielu żołnierzy nie miało nawet płatek i musieli tłoczyć się jeden obok drugiego w wykopanych naprędce jamach. Pierwszego wieczoru udało nam się doprowadzić na szczyt wzniesienia nasze ostatnie konie. Chłostane deszczem rzucały przerażone spojrzenia. Rankiem, kiedy odsłoniłem brezent namiociku, ujrzałem je leżące na ziemi, z wyciągniętymi kopytami, padnięte z wyczerpania ...
Trupy Rosjan były bardziej sine niż kiedykolwiek do tej pory: ich podbrzusza zaczynały przybierać jasnozielony kolor świeżej trawy. Ciągła obecność wokół nas tych nagich zwłok w końcu zaczęła drażnić: zepchnęliśmy je z góry kopniakami, jedne po drugich. Spadały pięćset metrów w dół i tonęły w wodzie i błocie na dnie przepaści...
***
Wyczerpujące wspinaczki, ciągłe zmęczenie, poświęcenie, z jakim utrzymywaliśmy się na omiatanym wichurą wzniesieniu, okazały się niepotrzebne. Dostaliśmy rozkaz powrotu na drogę do Tuapse i przedostania się inną trasą do lasów po południowej stronie. Ogłupiali ze zmęczenia przeszliśmy po rurociągu i rozbiliśmy obóz po drugiej stronie wąwozu.
Główna droga nad morze była usiana kawałkami zwęglonych rosyjskich zaprzęgów. Wszędzie leżały trupy koni, rozjechane przez setki niemieckich czołgów i ciężarówek: zamieniły się w wielkie skórzane plamy. Artyleria waliła mocno. Sowieckie samoloty leciały w naszą stronę, zrzucając bomby na chybił trafił. Na lewo od nas, po potężnych, szarych i rudawych skałach spływała rzeka nosząca nazwę Pszysz. Przeprawiliśmy się przez nią na pontonach podczepionych do grubych lin, które doprowadziły nas, niczym argonautów, do wejścia do tunelu kolejowego na trasie do Tuapse. Tunel miał około kilometra długości.

Czerwoni nie tylko wysadzili most, który przechodził przez rzekę u podnóża gór. Przygotowali także wewnątrz tunelu potężną blokadę. Całe składy pociągów leżały tam spiętrzone jeden na drugim. Do ciemnego korytarza wtłoczono co najmniej sto wagonów.
Piechota, która miała przejść przez to złomowisko, musiała zachować dużą ostrożność. Przez jakiś kwadrans trzeba było posuwać się w całkowitych ciemnościach, trzymając się prawej strony skał. W pewnej chwili musieliśmy przeczołgać się pod dwoma wbitymi w siebie wagonami, żeby dotrzeć do przeciwnej ściany tunelu i móc iść dalej w nieprzeniknionych ciemnościach, wodząc tym razem lewą ręką po wilgotnych skałach. Każdy co chwilę pokrzykiwał, żeby informować sąsiadów o swej obecności. Po półgodzinie marszu dostrzegliśmy blade światło. Czerwoni wysadzili wyjście z tunelu, tworząc na końcu iście dantejskiego korytarza potężny krater, który musieliśmy przekroczyć.
Cały transport natomiast musiał wspiąć się na szczyt wzniesienia, a potem zjechać z niego drogą, którą saperzy w pośpiechu zbudowali na skraju błotnistego lasu. Zwierzęta potrzebowały całego dnia, aby pokonać tę przeszkodę; to znaczy tylko te, które nie padły z wyczerpania w lepkim błocie, albo nie runęły z urwiska.
Przy wyjściu z tunelu musieliśmy kolejny raz dokonywać prawdziwych akrobacji, przechodząc po resztkach mostu na rzece Pszysz. Potem ruszyliśmy dalej wzdłuż torów. Noc spędziliśmy w cuchnącym błocie.
Zaczęliśmy je jednak błogosławić, kiedy dostaliśmy się pod wrogi ostrzał. Spadające granaty nie wybuchały, tylko z głuchym pluskiem zatapiały się w kleistym podłożu.
Następnego dnia mieliśmy przejść przez dolinę. Wielki most kolejowy na trasie do Tuapse zwisał nad przepaścią. Wioska, przez którą musieliśmy przejść, żeby dotrzeć do dębowych lasów po południowo-zachodniej stronie, była metodycznie niszczona przez czerwoną artylerię. Wokół nas wylatywały w powietrze kolejne chaty. Próba przejścia przez wieś byłaby czystym szaleństwem.
Musieliśmy poczekać do wieczora. Przedostaliśmy się przez błotniste doły i ukryliśmy u podnóża dużego wzniesienia, gdzie również wszystko się lepiło. Tuż przed północą podjęliśmy wspinaczkę, obładowani całym sprzętem, bronią: ciężką i lekką.
***
Zbocze góry, po którym mieliśmy się wspinać, było strome jak ściana. Wznosiło się na dziewięćset metrów. Ziemia była śliska jak nawoskowana podłoga. Ślizgaliśmy się w wytartych i pozbawionych gwoździ butach. Nie widzieliśmy w ciemnościach. Posuwaliśmy się wzdłuż kabla telefonicznego, rozwijanego przez przewodnika. W każdej chwili groziło spotkanie z Sowietami. Najmniejszy błąd przewodnika mógł skończyć się zagładą kolumny. Nasi młodzi żołnierze byli półżywi ze zmęczenia. Najsilniejsi z nas nieśli broń słabnących, żeby im trochę pomóc. Niosłem jeden peem na szyi, drugi na ramieniu. Najcichsze przekleństwo wyczerpanego żołnierza mogło wszystkim przynieść zgubę.
Ostatnie kilkaset metrów kosztowało nas niewysłowione katusze. Wielu załamywało się, nie dając rady wspinać się dalej. Czepiali się pni drzew, żeby nie spaść w dół. Wilgotna ciemność wokół nas była tak nieprzenikniona, że nie rozróżnialiśmy ani pni, ani skał, ani osuwających się w dół ciał.
Była czwarta nad ranem, kiedy dotarliśmy na szczyt. W pośpiechu rozmieściliśmy gniazda karabinów maszynowych i snajperów, lokując ich na skalnych półkach. Pojawiły się pierwsze przebłyski dnia, mdłe, w kolorze morskiej wody. W osłupieniu patrzyliśmy na drzewa targane wiatrem nad szarymi urwiskami...

Indiuk

Mijały dni. Wróciło słońce. Nawet jeśli szczyty Kaukazu były dla żołnierzy niewygodnymi grzędami, to przyroda widziana z góry była tak majestatyczna i piękna, że stanowiła w niedoli i cierpieniu prawdziwą pociechę. Jesień rzuciła na stoki piękne barwy sierści dzikiej zwierzyny: radości i głębokie czerwienie ciągnęły się kilometrami w dół, aż do białych nurtów rzek, które przemykały przez wąwozy, między zielonymi skałami. O piątej rano robiło się jasno na przełęczach. Ale jeszcze długo gęsta mgła otulała rozsiane w dole kotlinki: przechodziła od jednej do drugiej, tworząc przedziwny mleczny różaniec. Z tych białych kołnierzy wyłaniały się szczyty, niczym rude, złotawe wyspy. Przez godzinę podziwialiśmy baśniowe widoki. Z dna mglistych jezior wyłaniały się stopniowo coraz to nowe wysepki, niższe gór ukazywały się kolejno, niczym legendarne ziemie, zatopione niegdyś w głębinach.
***

Wraz z nastaniem dnia rozpoczynał się pojedynek artylerii. Niemcy i Sowieci intensywnie się ostrzeliwali. Dokładnie pomiędzy stanowiskami wrogich baterii wznosiła się nasza góra, gdzie na samym szczycie znajdowały się nasze pozycje, posadzone na skałach niczym orle gniazda.
Zarówno sowiecka piechota, jak i my przeprowadzaliśmy nocne wypady. Za dnia każdy siedział cicho. Wtedy zabawę psuli tłukący się artylerzyści. Można było ogłuchnąć od trwających czasami bez przerwy po kilka godzin długich miauczących świstów granatów. Bez względu na to, z której strony nadlatywały, pociski prawie ocierały się o górę, przelatując tuż nad głowami. Słyszeliśmy jak jeden za drugim ścinają ze świstem czubki drzew. Często spadały na nas kawałki gałęzi.
Byliśmy zdani na łaskę jakiegoś leniwego, albo odrobinę roztargnionego pocisku. Zresztą kłopoty nie pozwoliły na siebie długo czekać. Jedno z naszych stanowisk zostało zniszczone. Zagubiony granat, kalibru 120 milimetrów, wyjątkowo kapryśny, spadł jakieś osiemdziesiąt centymetrów przede mną. Ognisty podmuch wyrzucił mnie w powietrze. Kiedy odzyskałem przytomność znajdowałem się pomiędzy stertą odłamków skalnych: wszystko dookoła mnie w promieniu dwudziestu metrów zostało zrównane z ziemią. Prawa strona mojego hełmu została rozerwana i zmiażdżona na wysokości ucha. Moja manierka przypominała rozwinięty kwiat. Mój peem leżał na wyciągniecie ręki, ale cały był poszatkowany.
Wszyscy myśleli, że wyparowałem. A ja miałem tylko odłamek w prawym przedramieniu, pęknięty bębenek w uchu i uszkodzony żołądek. W ciągu czterech lat wojny na Wschodzie byłem pięciokrotnie ranny. Za każdym razem lekko.
Po kilku dniach oddziały niemieckie były gotowe do ostatniego szturmu. Przemieściliśmy się bardziej na południe, ale nadal pozostawaliśmy w tym samym masywie górskim. Naprzeciwko wznosiła się, robiąc niesamowite wrażenie, potężna góra Indiuk, wysoka na tysiąc trzysta metrów, porośnięta pięknym dębowym lasem, gęstym i zbitym jak knieja, z której jedynie od czasu do czasu wyłaniały się szare skały. Z jej szczytu, jak mówili saperzy, było widać morze... Kiedy zdobędziemy ten szczyt, będziemy już tylko musieli zejść na dół, na porośnięty palmami błękitny brzeg i przejść do Tuapse...
Jakieś tysiąc metrów poniżej gniazd naszych karabinów maszynowych, pomiędzy górą Indiuk i naszym szczytem, płynęła rzeka Pszysz. Nasz sektor przecinała w połowie niedostępna przepaść, głęboka na kilkaset metrów: na dnie tego wąwozu między potężnymi skałami płynął wartki strumień. Nasze pozycje wznosiły się po drugiej stronie, przez kilka kilometrów biegły szczytami, a następnie spadały w dół ku głównemu nurtowi. Tam, na samym dnie doliny, kilka metrów od grzmiącej wody ulokowaliśmy czujkę.
Według planu, niemieccy strzelcy mieli rozpocząć szturm Indiuku od południowej flanki. Na pierwszy ogień miały pójść wysunięte pozycje sowieckie, położone nad skałami po drugiej stronie rzeki. My natomiast w naszych orlich gniazdach mieliśmy tylko obserwować wroga i czekać na nowe rozkazy.
Nie przegapiliśmy najdrobniejszego szczegółu ostatniej bitwy o Kaukaz.
Stukasy zaczęły taniec wraz ze wschodem słońca. Pikowały w kierunku żółtawego morza doliny. Były niezwykle zręczne, podrywały się dopiero na samym dole jaru, kiedy miało się już wrażenie że lada moment roztrzaskają się o drzewa.
Doskonale widzieliśmy uciekających żołnierzy sowieckich, wspinających się po skalistych wzniesieniach. Piloci Stukasów nie widzieli więcej od nas. Dębowy las był jak szczelny dach. Nie było można dojrzeć, gdzie znajdują się schrony Czerwonych. Stukasy miały raczej napędzić stracha niż zniszczyć pozycje Sowietów.
Następnie przez gęste krzaki ruszyli niemieccy żołnierze.
Dochodziły nas odgłosy walki wręcz. Mogliśmy z precyzją śledzić ruchy sojuszników, ponieważ z lasu wydobywały się regularnie białe smugi dymów prochowych. Był to niezwykle ekscytujący widok. Niemcy szybko posuwali się do przodu. Wybuchy dotarły na naszą wysokość i przesuwały się coraz wyżej w kierunku szczytu. Po dwóch godzinach dymy wybuchów stały się widoczne prawie na samym szczycie Indiuku. Z zazdrością myśleliśmy o pierwszych śmiałkach, którzy dotrą na szczyt. Przypomnieliśmy sobie okrzyk „Thalassa! Thalassa!" z „Anabasis". Oni także będą mogli zawołać „Morze! Morze!" jak dziesięć tysięcy greckich bohaterów, opisanych przez Ksenofonta.
Niestety, nie wznieśli tego okrzyku! Dymy nie posuwały się już do przodu. Pomiędzy seriami z karabinów i pistoletów maszynowych były coraz większe pauzy. Stukasy przestały nurkować między dwoma wzniesieniami. Nawet artyleria milkła na coraz dłuższe chwile. Bardzo długo sytuacja była niewyjaśniona. Kilka zielonych błysków rozkwitło ma tle lasu, jednak dużo niżej. Gdzieniegdzie odzywały się jeszcze wściekłe serie z broni automatycznej, ale był to już koniec. Kompanie strzelców nie zdołały pokonać potężnego lasu. Rozproszyły się w miarę wspinaczki i zostały wchłonięte przez przeszkodę.

Szturm został odparty. Wieczorem góra Indiuk, skąpana w fioletowych płomieniach zachodzącego słońca, wydała nam się dziksza i bardziej wyniosła niż kiedykolwiek dotąd. Skutecznie zamknęła nam dalszą drogę.
***
Jesień hulała na szczytach, targała drzewami, rozsiewała po ziemi miliony pozwijanych, suchych i lekkich liści. Patrzyliśmy jak las umiera. Nasze niewielkie stanowiska były jak balkony zawieszone nad wąwozem.
Bezpośrednio pod nimi opadało bardzo strome zbocze, wysokie na kilkaset metrów. W nocy Rosjanie przychodzili patrolować tę urwistą ścianę. Rozciągnęliśmy tam długi drut, na którym rozwiesiliśmy setki pustych puszek. Kiedy ktoś poruszył drutem, puszki uderzały o siebie i piekielnie hałasowały. Wtedy posyłaliśmy w tym kierunku kilka serii z broni maszynowej. Następnego dnia dostrzegaliśmy u stóp zasieków kilka brązowych plamek.
Żołnierze niemieccy, których zluzowaliśmy, wykopali sobie w ziemi, głębokie na metr, małe jamy, gdzie na zmianę odpoczywali. Po ich odejściu, przypadły nam w spadku. Opuszczaliśmy się przez wąskie gardło do jam, które mogły pomieścić jednego człowieka; na dnie trzeba było zwinąć się w kłębek i przeczołgać do otworu, szerokości trumny.
Ale jam było za mało. Musieliśmy wciskać się tam po dwóch i spać ściśnięci, szorując nosem po ziemi. Mieliśmy przerażające uczucie, że pogrzebano nas żywcem. Trzeba było bardzo się starać, żeby zasnąć leżąc jak nieboszczyk pogrzebany nieco przed czasem... Niektórzy woleli zawinąć się w koc pod drzewem, mimo wybuchających dookoła pocisków i mgły. W tych ciemnych i lodowatych grobach nie mogliby ze strachu zmrużyć oka.
***
Pewnej nocy pogoda zmieniła się. Wiatr zwrócił się na północ. Wichura skręcała wierzchołki wielkich dębów, przechodziła w huragan, zatapiając nasze sarkofagi, do których woda spływała po korzeniach. Szybko wypełniła je po brzegi.
Przerażeni próbowaliśmy opróżniać je przy pomocy menażek, lecz szybko musieliśmy uznać się za pokonanych.
Zbocze, chłostane wiatrem i deszczem, straciło w ciągu kilku dni całe listowie. Pszysz wezbrał od opadów i płynął z hukiem rozbijając się o skały wąwozu. Wezbrany nurt zniósł drewniane mosty i odciął nas zarówno od dostaw żywności, jak i amunicji.

Ostatni

Kiedy wielkie jesienne ulewy objęły na dobre w posiadanie Kaukaz, wzięły w łeb plany kolejnej ofensywy.
Trzeba było okryć się płaszczem w błocie tam, gdzie los wyznaczył nam miejsce walki. U stóp naszej góry, Sowieci, podobnie jak my, walczyli z wodą, zalewającą ich schronienia. W nocy rozlegały się ich wołania.
Wszyscy żołnierze brodzili w ciemnościach w błocie z czerpakiem w dłoni, na próżno usiłując odwodnić swoje jamy. To był prawdziwy konkurs międzynarodowych przekleństw. Bolszewicy byli w o tyle lepszej sytuacji, że zima oznaczała dla nich ratunek. Zatrzymała Wehrmacht w chwili, kiedy Niemcy miał do pokonania tylko kilka kilometrów gór i lasów, żeby dotrzeć do Morza Czarnego i Tuapse.
Przerwanie działań o krok od zwycięstwa doprowadzało nas do rozpaczy. Nic jednak nie można było już zrobić, pozostawało umocnić pozycje na ogołoconych z liści wzgórzach, dokąd doprowadziły nas trzy miesiące ciężkich zmagań.
***
Najpilniejszym problemem były miejsca do spania. Wszystkie stare doły wypełniły się po brzegi błotnistą wodą. Nie mieliśmy ani siekier, ani pił, ani żadnego sprzętu saperskiego. Wysłaliśmy patrole do ruin najbliższej wioski na poszukiwanie gwoździ i jakiejś siekiery...
Kilka metrów poniżej wierzchołka wykopaliśmy doły pod budowę ziemianek, zaopatrując je w kanały do odprowadzania wody deszczowej. Zdołaliśmy wbić w ziemię kilka pali i ułożyć na nich trzy warstwy pni, które przykryliśmy metrową warstwą ziemi. Ten prowizoryczny dach mógł nas osłonić przed odłamkami, woda jednak bez trudu przesiąkała.
W środku tych pustelniczych szałasów powbijaliśmy w ziemię półmetrowe kołki, na nich rozkładaliśmy gałęzie, które służyły nam za materace. Przez całą noc woda wpływała do tych podziemnych schronów; rano stała na wysokości dwudziestu, trzydziestu centymetrów. Topiliśmy w niej wszy. Mogliśmy wyciągać je garściami spod kurtek albo spomiędzy nóg. Wrzucaliśmy je do chlupiącej pod gałęziami wody.

Nie zmienialiśmy bielizny od dwóch miesięcy. Mieliśmy na sobie niewyobrażalne ilości robactwa. Pewnego ranka rozebrałem się na wietrze i za jednym posiedzeniem zabiłem przeszło siedemset insektów. Nasze wełniane ubrania była nimi dosłownie naszpikowane: siedziały upakowane jak ziarna kukurydzy, jeden obok drugiego. Mogliśmy się ich pozbyć jedynie wieszając swetry tuż nad ogniskiem: wtedy setki wielkich białawych wszy przeskakiwały na inne części umundurowania.
Strząsaliśmy je na rozgrzaną blachę: strzelały i wybuchały jak petardy. Pod koniec operacji cała blacha błyszczała od wytopionego tłuszczu.
***
Wezbrany Pszysz zamienił się w wezbraną rzekę i w ciągu jednej noc dotarł do podnóża naszej góry, zamieniając łąki w błotnisty zalew, nie do sforsowania w bród, po którym pływały nabrzmiałe trupy bolszewików, unoszone nurtem.
Nasze kuchnie polowe zostały zatrzymane u stóp wysokiej skarpy. Zalała je woda. Następnego dnia widzieliśmy już tylko metalowe rury kominów i głowy kilku koni, które gdzieniegdzie jeszcze walczyły z nurtem. Zdołaliśmy je wyciągnąć, ale padły z wyczerpania i głodu na stoku. Ta obrzydliwa padlina rychło stała się podstawą naszego wyżywienia.
Nie docierały już do nas żadne dostawy żywności, ponieważ mosty ustawione przez saperów zostały porwane, jak źdźbła słomy przez rwący nurt, głęboki na dwa do trzech metrów. Przez tydzień żywiliśmy się ubłoconym mięsem, które wycinaliśmy nożami z wychudzonych zadów padłych koni. Tak, jak się trafiło, odcinaliśmy kawałki czegoś, co trudno było nazwać mięsem i połykaliśmy to na surowo, bez solenia.
Uratowaliśmy kilka czarek mąki: wymieszaliśmy ją z deszczówką i zrobiliśmy kilka naleśników.
Najmniejszy ogień mógł narazić na niebezpieczeństwo cały odcinek. Góra zrzuciła prawie wszystkie liście. Czerwoni czatowali na nas. Każda, nawet najwęższa, smuga dymu, rozwiewająca się nad szczytem, kosztowała nas natychmiast trzydzieści albo czterdzieści granatów. W ziemiankach nie można było wytrzymać od dymu, wyciskał z oczu łzy wielkie jak groch. Trzeba było szybko gasić ognisko.
Byliśmy przemoczeni i wygłodzeni. Spaliśmy w zalewanych wodą obrzydliwych norach. Rychło zaatakowały nas wszelkiego rodzaju choroby. Epidemia żółtaczki opanowała nasz odcinek: każdego ranka z dziur wychodził sznur żołnierzy rozpalonych gorączką, o niewiarygodnie żółtych twarzach. Kiedy tylko odbudowano prowizoryczny most, ewakuowano ich na tyły. Zaledwie w ciągu kilku tygodni z gór Kaukazu zeszło przeszło dwanaście tysięcy chorych na żółtaczkę.
Każdego z nas dopadła żółtaczka, zapalenie płuc i dziesięć innych przypadłości. Topniały stany oddziałów. Bardzo szybko straciliśmy połowę naszych ludzi.
Trzeba było jednak wykonywać zadania i do końca dźwigać jarzmo, spędzać niekończące się godziny na obserwacji wroga, ostrzeliwać Sowietów z karabinów i pistoletów maszynowych, kiedy podchodzili w pobliże, albo przenikali pomiędzy stanowiska, oddalone od siebie o pięćdziesiąt do stu metrów.
Każdej nocy nasze patrole podchodziły ku lisim norom Czerwonych. To było wyczerpujące zadania. Mimo to, nasi żołnierze upodobali sobie te wyjątkowo niebezpieczne wyprawy.
Jeden z takich patroli, zaskoczony o świcie przez Sowietów i zdziesiątkowany serią z broni maszynowej, wrócił bez szefa grupy niejakiego Dubois. Dostał niedaleko rzeki. Myśleliśmy, że zginął.
W nocy, na stromych skałach, które oddzielały nas od wroga, usłyszeliśmy wołanie o pomoc po francusku. Dwóch ochotników zeszło na dół wąwozu i przyprowadziło „poległego". Prawdę mówiąc, niewiele brakowało by nie powrócił. Kiedy kula rozszarpała mu ramię, stracił przytomność. Odzyskał ją dopiero długo po walce. Nie miał szans, żeby za dnia wspiąć się po zboczu. A poza tym nie chciał stracić okazji, żeby co do joty wypełnić otrzymany rozkaz ustalenia pozycji sowieckich. Przeszedł przez wodę, wślizgnął się pomiędzy dwa schrony i przez kilka godzin badał plan całego wrogiego odcinka.
Trochę jednak przedobrzył. Kiedy odkrył linię telefoniczną sowieckiego punktu dowodzenia, zdołał wielkim wysiłkiem — mógł posługiwać się tylko jedną ręką — przeciąć kabel nożem.
Zaniepokojeni Czerwoni przyszli sprawdzić, co się stało. Osaczony przez nich Dubois musiał znów skoczyć do rzeki, ale i tak ostrzelano go i trafiono kilkoma kulami, w tym jedną rozpryskową, która wyrwała mu w nodze dziurę wielkości grejpfruta. Zdołał ukryć się w krzakach, gdzie dosyć nieudolnie założył sobie na zranioną nogę opaskę uciskową. W nocy podczołgał się w stronę naszych skał, wznoszących się na dziewięćset metrów, i wdrapał się do połowy wysokości z zaciętością człowieka, walczącego o życie.
Przyniesiono go do nas prawie wykrwawionego. Nocą, w lepkim błocie sanitariusze musieli przenieść go na drugą stronę góry.

Zanim chirurg go uśpił, poprosił o papier i ołówek, i w obecności niemieckiego pułkownika, który dowodził odcinkiem, przez dwadzieścia minut szkicował plan sowieckich pozycji, popijając koniak za każdym razem, kiedy poczuł, że za chwilę straci przytomność. Legł dopiero, kiedy wszystko dokładnie objaśnił. To był zwykły podoficer, jakich było wielu. Nasi chłopcy jednak mieli w sobie wiarę, wiedzieli dla jakich ideałów poświęcają życie...

***

Jedynie idealizm dodawał sił naszym towarzyszom, którzy wyglądali już jak szkielety.

Żyliśmy na naszym skutym lodem szczycie w atmosferze istnego szaleństwa. Zaledwie kilka metrów od nas gniło albo skręcało się kilkaset trupów Rosjan.

Pewnej październikowej nocy Sowieci spróbowali odbić wzgórze. Około jedenastej w nocy wdrapali się prawie na sam szczyt. Sądzili, że ich nie usłyszymy. Jednak wszyscy celowniczowie broni maszynowej byli na swoich stanowiskach. Kiedy Bolszewicy znaleźli się kilka metrów od karabinów, przywitała ich ściana ognia. Sowiecki batalion przestał istnieć.

Zaskoczyliśmy Czerwonych, kiedy wczepieni w korzenie prawie już dosięgali szczytu. Zginęli uczepieni ziemi. Wielu potoczyło się w dół, na skały. Inni zdołali doczołgać się jeszcze kilka metrów i skonali już na płaskowyżu. Ale najstraszniejsze trupy były to te, które skręcały się tuż przed nosem, wciąż uczepione dębowych pni.

Nie można było do nich dotrzeć, ponieważ Sowieci otwierali ogień z broni maszynowej i granatników przy najmniejszym ruchu na pozbawionym roślinności wzniesieniu.

Musieliśmy przez wiele tygodni patrzeć na powolny rozkład leżących tuż koło nas ciał. W końcu głowy zaczęły odpadać, i jedna po drugiej turlały się pomiędzy skałami. Nad ramiona sterczały jedynie białawe kręgi szyjne, wyglądające jak makabryczne murzyńskie naszyjniki.

O wpół do czwartej po południu zmrok otulał góry. O czwartej zapadały zupełne ciemności. Musieliśmy wpełzać do czarnych, wypełnionych wodą, podziemnych schronów, przykrytych łatami z gałęzi, pełnych robactwa. Wytrzymywaliśmy do jedenastej wieczorem. Trzęsąc się, czekaliśmy godzinami na blade światło przesiąkniętego deszczówką poranka.

Wróg poczynał sobie coraz śmielej. W Maroku i w Algierii wylądowali Amerykanie. Aż do tego momentu bolszewicy nie wierzyli w Jankesów. Podbój Afryki Północnej zmienił wszystko.

Wcześniej w nasze ręce oddawało się wielu jeńców. Często zresztą, trafiali w ciemnościach na nasze miny i wielu ginęło; pozostali przerażeni biegli z powrotem ku swoim, gdzie natychmiast ich rozstrzeliwano. Od lądowania w Rabacie i Algierze Rosjanie już się nie pojawiali. Odzyskali nadzieję na zwycięstwo.

Musieliśmy nieustannie obserwować okolicę. Nasi żołnierze zmieniali się co dwie godziny. Te zmiany były straszne. Wpadaliśmy w stare jamy, wypełnione wodą. Ludzie chowali się w nich cali. Wyciągano ich przemoczonych do suchej nitki. Niektórzy płakali jak dzieci.

Ale bardziej niż jamy z wodą przerażały nas przeklęte trupy Rosjan, które rozpływały się wśród naszych stanowisk. W nocy poruszając się po omacku trafialiśmy ręką na gnijące szczątki albo wdeptywaliśmy w oblepiający buty brzuch. Byliśmy kompletnie załamani. Nie wiedzieliśmy już, jak pozbyć się tych odrażających ludzkich szczątków, które przyklejały się do skóry i wywoływały mdłości.

Byliśmy u kresu. U kresu! U kresu sił fizycznych. U kresu sił psychicznych.

Stawialiśmy jeszcze opór tylko dlatego, że liczył się nasz żołnierski honor. Byliśmy ochotnikami i chcieliśmy nimi pozostać do samego końca, do ostatniego uderzenia naszych wyczerpanych serc...

***

Opuściła nas nadzieja.

Pewnego ranka, czytając pobieżnie rozkazy rzucił się nam w oczy akapit, w którym precyzowano godzinę i warunki luzowania naszych oddziałów.

Dopiero po dłuższej chwili dotarła do nas jego treść. Nie było mowy o pomyłce. Legion Walonia wyjeżdżał. Dostał trzy miesiące urlopu w kraju. A potem miał zostać rozbudowany o kilka tysięcy nowych, belgijskich ochotników.

Zeszliśmy po długim, błotnistym zboczu, na które z takim trudem wspinaliśmy się w październikową noc. Co się stało z naszymi nieszczęsnymi towarzyszami, którzy tamtej nocy, zdobywając szczyt góry w milczeniu znosili cierpienia?... Kiedy dotarliśmy do niewielkiego drewnianego mostu na rzece Pszysz, z naszego legionu, zdziesiątkowanego podczas pierwszej zimy w Zagłębiu Donieckim, odbudowanego całkowicie w czerwcu 1942 roku przed wielką ofensywą na Południu, pozostało zaledwie stu osiemdziesięciu siedmiu ludzi.

Powoli odwróciliśmy się w stronę góry, gdzie przeżyliśmy tyle ciężkich chwil. Na samym szczycie widać było złotą tarczę kilku drzew, których zima nie zdołała pokonać: tak jak one, sztandar naszej idei, dumnej i burzliwej, nadal dzielnie powiewał na nieprzyjaznym niebie...

V
Przyparci do Dniepru

Któregoś grudniowego wieczoru 1942 roku pociąg z transportem naszych, urlopowanych żołnierzy przekroczył rzekę Kubań.
Niemieckie wojska inżynieryjne przerzuciły nad jej zielonymi wodami potężny, metalowy most kolejowy.
Jednak front groźnie załamał się na północ i na północny zachód od Stalingradu.
Niemcy, metodyczni jak zwykle, bez wahania, nieprzerwanie składali u podstaw budowli potężne belki, by wymienić most drewniany, budowany w pośpiechu po sierpniowych zwycięstwach poprzedniego roku.
Z takim samym spokojem gromadzili w Majkopie i w Krasnodarze zapas ocieplanych wysokich butów, podbitych futrem ubrań, nart, papierosów, czekolady: miesiąc później cały skład został zamieniony w kupę gruzu przy pomocy dynamitu.
Niemiec słuchał wyłącznie niemieckiego radia. My, mniej szablonowi, dowiedzieliśmy się, że od wschodu nadciągają Rosjanie i że w Rostowie mogą przeciąć komunikację z Kaukazem. Wiedzieliśmy o ich zbliżaniu się.
Okolica wydawała się zupełnie spokojna. Kilku wartowników pilnowało dróg biegnących wzdłuż zamarzniętych lagun o zielonkawej barwie. Niczego nie słyszeliśmy. Niczego nie widzieliśmy. Po niskim niebie krążyło kilka kruków.
***
Pewnego ranka dotarliśmy do rostowskich mostów, chronionych od kry przez potężne izbice, osadzone na filarach.
Od czasu przyłączenia Ukrainy do Europy, cały ten hinterland zamieniono we wspaniały plac budowy. Tam, gdzie rok wcześniej oglądaliśmy jedynie szyny kolejowe zdewastowane z powodu słowiańskiego niedbalstwa i budynki poczerniałe od pożarów wzniecanych systematycznie przez Sowietów, teraz wznosiły się nowoczesne stacje kolejowe, wyposażone w piętnaście albo dwadzieścia torów, ozdobione wielkimi nowymi budynkami z betonu lub cegły.
Przez ciężkie, uchylone drzwi w naszych wagonach z podziwem i niedowierzaniem patrzyliśmy na te niezwykłe przemiany. Na fabrykach i magazynach dumnie wisiały setki tablic z nazwami największych firm niemieckich, prawdziwa lista zwycięzców wojny gospodarczej.
My żołnierze, zdobyliśmy ruiny, które Sowieci, zanim wycofali się na Wschód, zrównali z ziemią albo ogołocili ze wszystkiego, fabryka po fabryce. Niemieckiemu przemysłowi wystarczyło czternaście miesięcy, żeby wszystko odbudować, odtworzyć, uporządkować i gruntownie zmodernizować.
Nad Dnieprem wyglądało to dokładnie tak samo, jak w Zagłębiu Donieckim. Dwupoziomowy most — jeden poziom dla pociągów, drugi dla samochodów — został zaledwie w kilka miesięcy przerzucony przez szeroką na przeszło kilometr rzekę. Miasto lśniło tysiącem świateł. W nocy wszędzie było widać światła potężnych fabryk. Potężna, czarna rzeka płynęła do morza upstrzona niezliczonymi refleksami lamp, które drżały na wodzie jak błędne ogniki.
Ukraina rozpościerała pod śniegiem i lodem swe rozległe horyzonty poprzecinane miedzianymi zagajnikami, ozdobione zielonymi albo niebieskimi okiennicami na białych chatach. Wszędzie jednak wznosiły się nowe stacje kolejowe, magazyny, wspaniałe cukrownie. Wyładowywano setki maszyn rolniczych, zielonych i czerwonych, wyglądających jak śliczne zabawki z Norymbergii. W ciągu jednego roku Niemcy stworzyli w Rosji najbogatszą kolonię na świece.
Wielkie dzieło. Ale także wielka iluzja, ponieważ Rzesza przedwcześnie wykorzystała do realizacji tego dzieła europejskiego pokoju, siły, które według dzikiego prawa nienawiści i interesów, powinny były zostać skierowane wyłącznie do walki, do mordowania, niszczenia i eksterminacji!
***
W 1943 roku wojna trwała nadal. I jak nigdy dotąd potrzebowała odważnych serc. W 1941 roku wyruszyliśmy na Wschód jak na krucjatę, ponieważ żądało tego od nas nasze sumienie. Takie same motywy kierowały nami w roku 1943, chodziło o to samo poświęcenie. Bez względu na ryzyko, jakie niosła walka, bez względu na tęsknotę za krajem, bez względu na niezrozumienie, jakie nas często otaczało, musieliśmy pozostać nieugięci w służbie tych samych idei.
Życie ma wartość tylko wtedy, gdy rozjaśnia je wielkie poświęcenie.
Każdy z nas chciał dojść do końca tej wielkiej epopei. Pod koniec stycznia 1943 roku nasz legion zebrał się przed wyjazdem na front w Pałacu Sportów w Brukseli. Dziesiątki tysięcy Belgów oklaskiwały naszych żołnierzy. A potem wagony powiozły nas na Wschód.

Nie wróciliśmy jednak od razu na front sowiecki. Przede wszystkim brakowało nam jeszcze kilku pododdziałów, które, dorzucając kolejny rozdział do naszych przygód, musiały przez kilka dodatkowych miesięcy współdziałać z oddziałami niemieckimi, które wycofywały się z Kaukazu. Cofały się z Majkopu do ujścia Kubania i dalej do przesmyku Perekop, a następnie wylądowały na Krymie. Przez Symferopol i Chersoń nad Dnieprem w końcu dołączyły do nas na dawnej polskiej granicy, po odysei trwającej przeszło cztery miesiące.
Ciężkie walki z lat 1941 i 1942, zamiast zniechęcić młodzież naszego kraju, pobudziły jej zapał i przyniosły masowe zaciągi. Szkolenie odbyło ponad dwa tysiące belgijskich ochotników. Najpierw musieliśmy sprawić, by poczuli się z nami związani. Większość stanowili górnicy. Niektórzy zgłosili się, bo mieli dosyć pracy w kopalni. Wielu pociągały nasze socjalistyczne przekonania i marzyli o sprawiedliwości i uczciwości. Zaciągnąć chcieli się także liczni oficerowie i żołnierze armii belgijskiej, przebywający w niemieckich obozach jenieckich. Kilkuset z nich przybyło w starych okrytych chwałą mundurach, w których próbowali stawić opór niemieckiej fali, prącej na Zachód w maju 1940 roku.
I tak połączyły się w braterstwie broni dwie armie: ta, która bohatersko broniła integralności naszych ziem w 1940 roku i ta, która, pokonując swary przeszłości, od sierpnia 1941 roku starała się pomóc ratować to, co najważniejsze: Europę, a poprzez Europę i naszą ojczyznę.
***
Robotnicy stanowili trzy czwarte naszego legionu. Była również arystokratyczna młodzież i synowie najlepszych rodzin burżuazyjnych w Belgii, zdobywcy złotych medali jezuickich kolegiów, dzieci znanych dyplomatów, prawników, urzędników państwowych, przemysłowców.
Wszystkich nas jednoczyło to samo pragnienie: jak najgodniej reprezentować nasz naród pośród dwudziestu innych, biorących udział w wojnie; wypełniać — lecz bez służalczości — zadanie Europejczyków, walcząc ze śmiertelnym wrogiem Europy; zdobyć dla naszej ojczyzny odpowiednie miejsce we wspólnocie kontynentalnej, która narodzi się z wojny; i w końcu przygotować oddziały, których siła po przezwyciężeniu wrogości stanie się gwarancją sprawiedliwości społecznej, kiedy nastąpi nasz ostateczny powrót do ojczyzny. Tym ideom poświęcaliśmy życie.
Poświęcenie nie było dla nas tylko pustym słowem: na sześć tysięcy belgijskich ochotników, którzy przewinęli się przez legion Walonia od jesieni 1941 roku do wiosny 1945 roku, dwa tysiące pięciuset poległo na polu chwały. Podczas tej gigantycznej epopei osiemdziesiąt trzy procent naszych żołnierzy zostało rannych raz lub wielokrotnie. Z ośmiuset pierwszych ochotników roku 1941 zaledwie trzech przeżyło do końca wojny: jeden żołnierz, jeden podoficer, który został kapitanem, trzy razy ranny, i autor tych słów, ranny pięć razy.

Powrót nad Dniepr

Na początku listopada 1943 roku dwa tysiące gotowych do walki żołnierzy naszego legionu, który przekształcił się w brygadę szturmową Walonia i stał się jednostką podległą Waffen SS, wyruszyło na front sześcioma długimi eszelonami. Razem z nami przewożono sto pięćdziesiąt cztery pojazdy w tym pancerne.
Nasz eszelon podążał wzdłuż rzek, mijał wierzby, pożółkłe topole i ogołocone z liści lasy na Śląsku. To zagłębie przemysłowe w 1943 roku było jeszcze nietknięte: kopalnie węgla, fabryki syntetycznego paliwa pracowały pełną parą. Wioski w dolinach były czyste i dostatnie.
Jednak na południu Europy groźne pomruki zapowiadały już nadciąganie burzy. Oddziały anglo-amerykańskie zdołały w sierpniu 1943 roku przekroczyć Morze Śródziemne. Umożliwiły im to w pewnej mierze najpierw brak woli walki, a potem kapitulacja Włoch, a także przede wszystkim miażdżąca przewaga na morzu i w powietrzu. Sycylia została zdobyta szturmem. Sam kontynent — z jednej strony Kalabria, a z drugiej Neapol — był zagrożony. Nie udało się odeprzeć ani zatrzymać Aliantów, ani w cieśninie Messyńskiej, ani pod Syrakuzami, ani w Tunezji.
Lądowanie, wspierane przez kilka tysięcy samolotów, zakończyło się błyskawicznym i całkowitym sukcesem. Sytuacja nie pozostawiała wątpliwości. Czy zastosowanie takiej samej metody na wybrzeżu atlantyckim mogło zakończyć się porażką, skoro ta taktyka okazała się tak skuteczna?
Druga próba sił miała miejsce na froncie ukraińskim, dokąd zmierzało trzysta naszych wagonów. Aż do lata 1943 roku wszyscy wierzyliśmy, że Niemcy odzyskają utracone pozycje na Wschodzie. Stalingrad był bezsprzecznie ciężkim ciosem. Ale jak wiosną 1942 roku miała nastąpić kontrofensywa.
Kontrofensywa nadeszła. Rzesza rzuciła wszystkie siły, jakimi dysponowała, w kierunku Woroneża nad Donem. Zakończyła się niepowodzeniem po serii tragicznych zmagań, podczas

których zniszczono tysiące czołgów. Sowieci, wykorzystując uzyskaną przewagę, wyparli oddziały niemieckie aż do Charkowa, a potem zdobyli samo miasto.
Utrata Charkowa była o wiele niebezpieczniejsza niż upadek Stalingradu, pomimo że mniej spektakularna. Nie mieliśmy już do czynienia z jednostkowym incydentem (jakiż kraj w stanie wojny tego nie zaznał), ale z całym pasmem klęsk. Nie można było ani odeprzeć, ani powstrzymać sowieckiej nawałnicy. Z Charkowa siły sowieckie zeszły nad sam Don, sforsowały go, zdobyły Kijów i Dniepropietrowsk.
My, antybolszewiccy ochotnicy, podjęliśmy już decyzję. Byliśmy zdecydowani walczyć z Sowietami do ostatka. Wiedzieliśmy, że każdy cios kiedyś zaprocentuje.
Zresztą na wojnie tak długo, jak nie wszystko jest stracone, tak nic nie jest stracone. Niemcy nadal panowali niepodzielnie od Mińska do Bordeaux, od Aten do Narwiku. A niemieccy wynalazcy, płodni i skrupulatni, mogli nagle zaskoczyć zbyt pewnego siebie przeciwnika powalającymi z nóg niespodziankami. Po drodze dołączyło do nas wiele konwojów, którymi jechały na front nowe, wspaniałe jednostki, między innymi sławne dywizje Adolf Hitler i Totenkopf. „Za miesiąc odbijemy Kijów!" krzyczeli mijający nas żołnierze tych elitarnych jednostek.
***
Nasze pociągi przejeżdżały przez południową Polskę, ozdobioną bezchmurnym, błękitno-różowym niebem. Była akurat niedziela: kobiety w ciemnych sukniach, w zielonych chustach na głowach wychodziły z małych chatynek i wąskimi ścieżkami podążały do drewnianych kościółków.
Chłonęliśmy zapach zamarzniętej ziemi.
Następnego dnia o świcie zatrzymaliśmy się na mały postój we Lwowie, gdzie dostaliśmy wspaniały zimowy ekwipunek: watowane mundury, wysokie ocieplane buty, białe obszerne płaszcze i futrzane peleryny.
Uginając się pod ciężarem tego wszystkiego, czuliśmy się jak potężne bałwany i nie bardzo wiedzieliśmy, jak przenieść całe to bogactwo. Pamiętaliśmy jednak straszną zimę 1941 roku w Zagłębiu Donieckim, nasze podarte kurtki podszyte lodowatym wiatrem. Tym razem dowództwo podjęło niezbędne kroki. Było to prawie nazbyt piękne. Rozsądniejsi zastanawiali się, co zrobimy z tym całym wspaniałym ekwipunkiem, kiedy będziemy musieli przemieszczać się bez ciężarówek. Jednak większość żołnierzy była zachwycona. Cieszyli się jak dzieci, kiedy dostali watowane mundury. Rychło każdy wagon wyglądał, jakby wiózł pluton świętych Mikołajów.
Ruszyliśmy w drogę przez Galicję tonącą w jesiennych deszczach. Później linia kolejowa skręcała bardziej na Południe. Bardzo daleko na wschodzie błyszczały niebieskie góry. Mulista rzeka, ozdobiona tysiącami suchych trzcin, przemknęła pod pociągiem: przekraczając Dniestr wjeżdżaliśmy do Besarabii.
Począwszy od tego momentu na torach zapanował taki ruch, że zanim dotarliśmy trasą kolejową ze Lwowa bezpośrednio na front, minęło piętnaście, dwadzieścia dni. Grupy żołnierzy, którzy bez entuzjazmu wracali z przepustek na front, wałęsały się na stacjach. Wspaniałe wagony sypialne i restauracyjne do Odessy nadal kursowały z zegarmistrzowską dokładnością. Z dworcowych peronów, gdzie czasami staliśmy po czterdzieści, pięćdziesiąt godzin, mogliśmy podziwiać te długie luksusowe składy i pomarańczowe lampy.
Ruch był możliwy w stopniu coraz bardziej ograniczonym. Dekownicy przejeżdżali bez najmniejszego problemu, wojsko natomiast posuwało się w żółwim tempie. W końcu nasze pociągi skierowano przez Rumunię po jednotorowej linii kolejowej.
***
Zasygnalizowano nam, że jedziemy do Odessy.
Półwysep Krymski został właśnie odcięty od kontynentu przez sowiecką ofensywę, ale posłano tam posiłki drogą morską. Nie było więc dla nas zaskoczeniem, kiedy pewnego ranka ujrzeliśmy czerwone mury starej fortecy Tyraspol, wznoszącej się nad prawym brzegu Dniestru.
Po drugiej stronie rzeki stały prawie identyczne chaty obok studni z długimi żerdziami z poczerniałego drewna, a dookoła sterczały miliony bezgłowych, szarych, ogołoconych przez zimę łodyg słonecznika. Na wieczór będziemy w Odessie!
Ale pociąg zatrzymał się na ponurym dworcu, by potem skierować się prosto na Wschód. Podróż na Krym skończyła się. Przez dwa dni jechaliśmy nieprzerwanie na północny wschód. Północny wschód! Północny wschód! Za nami zostawały wielkie ukraińskie dworce, zasypane śniegiem. Grube roześmiane dziewczęta z wielkimi piersiami, opatulone w kufajki, gawędząc i wypluwając pestki słonecznika, rozładowywały na peronach wagony.
Zbliżaliśmy się do Dniepru, bardzo daleko na północ od Dniepropietrowska. Słyszeliśmy już łoskot artylerii.

Ostatniego wieczoru po prawej stronie ujrzeliśmy wspaniały snop rakiet. Po chwili zobaczyliśmy taki sam po lewej stronie. Pociąg przez kilka następnych godzin sunął samym środkiem tych dziwnych sztucznych ogni. Zanurzaliśmy się coraz głębiej w gardziel. Nisko lecące samoloty ostrzeliwały szlak. Przed sobą ujrzeliśmy płonące budynki. To był Korsuń.
Dotarliśmy tam w środku nocy.

Olszanka

Mieliśmy zająć pozycje jakieś trzydzieści kilometrów na wschód od Korsunia. Trzysta pięćdziesiąt cztery pojazdy mechaniczne pokonywały trzy dni dystans, który normalnie można byłoby przejechać w dwie godziny.
Głębokie, przerażające rosyjskie błoto, gęste jak rozpuszczona guma, pokryło wszystkie drogi lepką mazią. W niektórych wioskach i jarach błoto było głębokie na czterdzieści, pięćdziesiąt centymetrów.
Nasi niedoświadczeni kierowcy z trudem pokonywali lepkie, muliste doły. Musieliśmy wyrąbywać przejazdy pomiędzy wiśniami. W końcu dotarliśmy do rozległych mokradeł, które poprzedzały świerkowy las. Tam musieliśmy przejść po ścieżce z bali, ułożonych jeden przy drugim. Tańczyliśmy na nich jak na festynie.
Szlak, który prowadził przez sosnowy las też był wyłożony tysiącami bali, tym razem jednak nie z powodu błota ale piasku, w którym pojazdy zapadały się po silnik.
Bolszewicy wiedzieli, jak trudno jest tędy przejść. W lasach ukrywały się grupki partyzantów, którzy w nocy podkradali się i zakładali na drodze miny. Rano w powietrze wylatywał jeden, dwa albo trzy samochody. Był to nasz codzienny haracz.
Co pięćset metrów wznosiły się potężne stanice, reduty z drewna, podobne do afrykańskich fortów. Zajmowały je jednostki wartownicze, chronione imponującymi palisadami.
***
Na wschód od tego sosnowego lasu otwierała się dolina Dniepru.
Później dotarliśmy do dosyć dużej wsi, która ciągnęła się na kilka kilometrów. Było to Biełozierie, miejscowość, gdzie stacjonował sztab słynnej dywizji SS Wiking, do której zostaliśmy przydzieleni. Pozostaliśmy w jej składzie, aż do lata 1944 roku.
Doskonale uzbrojona, całkowicie zmotoryzowana, złożona z tysięcy wspaniały chłopców, barczystych jak dęby, silnych jak drwale, dywizja Wiking otrzymała za zadanie obronę Dniepru, zagrożonego od strony północno-wschodniej i południowej przez wojska Stalina.
Sowieckie oddziały zostały zrzucone na spadochronach na prawym brzegu rzeki, w rejonie Biełozieria, w chwili, kiedy wolno cofające się dywizje niemieckie dotarły do przeprawy i czekały na swoją kolej, aby przekroczyć rzekę przez nieliczne zdatne do użytku mosty.
Natychmiast podjęto pościg za spadochroniarzami. Wielu zginęło w trakcie gwałtownych walk. Ci, którzy przeżyli zdołali schronić się w potężnym lesie czerkaskim. Tam dołączyli do partyzantów.
***
Odcinek, który nam wyznaczono na południowej rubieży dywizji Wiking, przylegał dokładnie do zachodniego skraju lasu.
W tej leśnej enklawie, wyrastającej na prawym brzegu Dniepru, ukrywali się od wielu tygodni spadochroniarze i ukraińscy partyzanci. W końcu udało im się nawiązać kontakt z tą częścią wojsk sowieckich, która przekroczyła rzekę w dolnym biegu.
Od zachodu las ograniczała rzeka Olszanka, szeroka na piętnaście, dwadzieścia metrów. Płynęła z południa, przecinała wioskę noszącą nazwę Starosielie, przez chwilę skręcała na północny zachód, potem zaś zawracała i podążała wzdłuż lasu na wschód. Omijała wioskę o nazwie Bajbusy, położoną na wzgórzu na jej lewym brzegu. Z drugiej strony rzeki, na samym skraju lasu znajdowała się osada Sakriewka, pozostająca w ręku wroga.
Olszanka płynęła dalej meandrami wcinając się między strome brzegi. Po pięciu czy sześciu kilometrach docierała do czwartej wioski o nazwie Moszny. Tu Olszanka ostatecznie odsuwała się od lasu. Koryto stawało się szersze. Przerzucono nad nią długi, drewniany most. Każda chata była wyposażona w żaki do połowu ryb, więcierze, sieci i podrywki o dziwacznych kształtach. Wspaniały kościół, o kopule we wschodnim stylu zdobił horyzont.
Z Moszny, Olszanka podążała na wschód jeszcze przez kilka kilometrów. Na końcu pokrytego trzciną stepu, pod pokrytym drobnymi chmurkami listopadowym niebem rozciągała się ostatnia miejscowość o twardej nazwie Wiazowok. Białe wysokie wydmy wznosiły się przy ujściu rzeki do błotnistego Dniepru, pomiędzy wysepkami złocistego piasku i czarnymi świerkami.
Tak wyglądał nasz wojenny krajobraz i wioski.

***
Najpierw mieliśmy zająć środek odcinka czyli miejscowości Moszny i Bajbusy.
Znaczna część naszej brygady ruszyła w stronę Mosznych, jego rybaków i poczerniałego mostu.
Ja natomiast miałem bronić wioski Bajbusy. Byłem wtedy dowódcą 3 kompani. Składała się ona w dużej mierze z przyszłych szefów Młodzieżówki, starannie wyselekcjonowanych, młodych ludzi, którzy ukończyli długi kurs liderów organizacyjnych. Ci szesnasto- siedemnastoletni chłopcy byli wielkimi idealistami, nieskalanymi, czystymi, jak prawdziwe kryształy.
Dotarłem z nimi do Bajbusów. Dwa długie szeregi chat dzieliły wzniesienie. U stóp chatek łagodnie nachylony stok opadał przez kilometr do samej Olszanki. Obserwował nas tajemniczy las.
Rosjanie obsadzili wejścia do lasu, ale nie zdradzali dotąd swej obecności. Rozstawiliśmy nasze granatniki, artylerię, działa przeciwlotnicze, armaty przeciwpancerne. Piechota zajęła pozycje.
W wiosce panował spokój. W lesie panował spokój. Żaden człowiek nie czołgał się pośród szarych badyli słoneczników, Założyłem punkt dowodzenia kompanii w pierwszej chacie od południowego-wschodu.
Nagle, o ósmej, pojedyncza seria z broni maszynowej rozdarła ciemność.
Pięć minut później mój punkt dowodzenia, ostrzelany pociskami zapalającymi, płonął na szczycie wzgórza, jak złocista pochodnia sypiąca milionami iskier. Całe wzgórze było iluminowane. Jednak po pierwszej serii nie usłyszeliśmy już niczego. Kilka brązowych pochylonych sylwetek przemknęło w nadbrzeżnych trzcinach. Ukryci w szuwarach z daleka patrzyliśmy błyszczącymi oczami na płomienie.
Zaczęła się walka między lasem i nami.

Niemy las

Zostaliśmy przeniesieni na nasz nowy odcinek na froncie ukraińskim 21 listopada 1943 roku. Kilka dni później, aby zahartować moich rekrutów i zbadać teren przekroczyłem przy pierwszych promieniach poranka sowiecki brzeg.
Drewniany most Bajbusy-Sakriewka stał cały czas. Był wąski i Rosjanie, równie dobrze jak my, mogli go już dawno wysadzić w powietrze. Obie strony jednak wolały zachować go na później.
Odbiliśmy na Południe, z grupą dziesięciu ludzi przeskoczyliśmy przez pole łodyg słonecznika i dotarliśmy do rzeki Olszanki. Woda była lodowato zimna. Sięgała do pasa. Ustawiłem karabin maszynowy lufą w kierunku drugiego brzegu, żeby osłaniał przeprawę. Potem długo czołgaliśmy się przez bagnisty ugór, zanim dopadliśmy do samego lasu.
Wielkie świerki były ciche, jasny piasek nietknięty ludzką stopą. Na polanie natknęliśmy się na stado zwierząt i dwóch pastuchów. To wszystko.
Żeby odpłacić Bolszewikom za nasz pierwszy wieczór, wracając podłożyliśmy ogień pod trzema stogami siana, które stały tuż obok terenu wroga.
Wracaliśmy z niczym. Las nie zdradził swych tajemnic.
***
Kiedy już przygotowaliśmy solidne okopy i działobitnie na południowo-wschodnim i wschodnim krańcu wioski Bajbusy, dowódca korpusu rozkazał nam zmienić wszystkie pozycje i przesunąć się bardziej do przodu, na sam brzeg Olszanki. Oddział miał teraz stacjonować w szczerym polu. A zbliżała się zima. U góry, w wiosce chroniliśmy się na zmianę co jakiś czas w nędznych chatach z klepiskiem, których ściany z gliny wymieszanej ze słomą nasiąkały wodą. Ale miały chociaż jakiś dach i dwa malutkie okienka. A na dole była tylko szczera równina, błoto albo mokry piasek.
Rozmieściliśmy punkty oporu na odcinku siedmiu kilometrów, wzdłuż wysokich brzegów i w pobliżu niewielkiego mostu w Sakriewce. Dwieście metrów od Olszanki wznosiła się góra porośnięta brzozowym laskiem — zorganizowaliśmy na niej główny punkt naszej obrony. W nocy zaciągnęliśmy tam działa przeciwlotnicze. Górę ufortyfikowano siecią okopów wzmocnionych zasiekami z drutu kolczastego.
Po dwóch tygodniach nasza brygada musiała jeszcze powiększyć swój odcinek i przejąć pozycje daleko na Południe, aż do wioski Starosiele.
Na nowym odcinku, ze stromego stoku roztaczał się doskonały widok na wioskę noszącą nazwę Irdyń, znajdującą się w rękach Sowietów. Ale pomiędzy tą osadą, a naszymi umocnieniami rozciągały się rozległe bagna. Trzęsawiska porastały cherlawe leszczynowe laski, krzaki jeżyny i trzcina.
Spadł śnieg. Po śniegu od czasu do czasu przebiegł zając, zabawnie poruszając kitką, rysując na bezkresnym stepie ciąg niebieskich i zielonych dziur. Różowe wieczory otulały las.

Nasi chłopcy mieli jednak ciężkie życie. Patrole wypuszczały się na bagna. Czasami pękała pod nimi lodowa skorupa. Było wiele odmrożonych stóp. Te nieszczęśliwe wypadki nie osłabiały ich waleczności. Zawsze, kiedy ustalano skład sześcioosobowego patrolu, osiemdziesięciu zawadiaków przepychało się z wrzaskiem do przodu, każdy z nadzieją, że zostanie wybrany.
Na drugim końcu odcinka nasi towarzysze z Mosznych obsadzili linię rzeki Olszanka.
Brzegiem rzeki szła ścieżka. Widzieliśmy na terenie wroga, w dole czerwono-fioletowego lasu, ruiny klasztoru i pożółkłe festony starych murów obronnych. Nasi ludzie kopali i pogłębiali okopy i podpierali je stemplami, a wartownicy śledzili prawy brzeg, ozdobiony rzędami łodyg kukurydzy.
Wieczorem Sowieci przychodzili badać po omacku teren. Nasi także przemykali się w ciemnościach na drugą stronę.
Pola, czarne od lepkiego błota, gdzieniegdzie przykryte łatami pierwszego śniegu, były nafaszerowane minami. Nasłuchiwaliśmy w ciemnościach najmniejszego szmeru. Jakiś błysk, trzask, nawoływania, i uratowani taszczyli rannych, lepkich od ciepłej krwi.
Podczas jednego z wypadów jednemu z naszych, prostemu górnikowi z Charleroi, siedemnastolatkowi, delikatnemu jak panienka, mina urwała stopy i rękę.
Trzymał się dzielnie przez miesiąc. Leżał w szpitalu polowym w Korsuniu. Każdego dnia był coraz bardziej przeźroczysty. Ale uśmiechał się przy każdej wizycie. Był szczęśliwy ze swego Krzyża Żelaznego. Zmarł trzymając delikatnie w dłoni czerwoną tasiemkę, jakby głaskał rajskiego ptaka...
***
Las był nadal wielką tajemnicą.
Każdej nocy jacyś ludzie przemykali jednak pomiędzy naszymi stanowiskami, czujni jak kłusownicy. Słyszeliśmy w ciemnościach pohukiwania. Z daleka odpowiadało pohukiwanie sowy. Rozumieliśmy te sygnały, oznaczały, że Rosjanie są niedaleko. Czasami nasi wartownicy oddawali po kilka strzałów. Ale rano nie było ani śladów krwi, ani butów.
Nadaremnie powiększaliśmy liczbę patroli. Nocą sam godzinami leżałem z moimi ludźmi w zasadzce nad rzeką. Nikogo nie udało się nam pojmać. Doprowadzało nas to do rozpaczy, bo każdego ranka pięć, sześć, dziesięć kilometrów za nami ciężarówki wylatywały w powietrze na kolejnych minach.
W naszych wioskach pod osłoną nocy wrzało życie: wieśniacy karmili sowieckich partyzantów, dostawali nowe instrukcje. Czerwoni przemykali w ciemnościach bezszelestnie. Znali każdy skrawek terenu. Byli nieuchwytni.
Pod koniec miesiąca ani my, ani dywizja Wiking nie pojmała jeszcze ani jednego jeńca.

Krew w gęstwinie

Za wszelką cenę trzeba było sprawdzić, co dzieje się w fioletowo-białym lesie.
Chłopi szeptali między sobą. W końcu dowiedzieliśmy się od nich, że w czerkaskim masywie leśnym ukrywało się około dziesięciu tysięcy Sowietów. Ale gdzie?
Otrzymywali sprzęt. Widzieliśmy z naszych stanowisk obserwacyjnych, jak bolszewicy budują liczne schrony i sprowadzają armaty przeciwpancerne, które później często przemieszczali.
Ale tak było tylko na stu pierwszych metrach. Co działo się głębiej, pod gęstymi jodłami, w mrocznych dębinach, które ciągnęły się na Wschodzie do samego Dniepru, a na południowym wschodzie do Czerkas?
Każda chata była zagadką. Nasi chłopi byli gościnni, jak prawie wszyscy wieśniacy na Ukrainie. Przeklinali komunizm, który ich ubezwłasnowolnił, zrujnował i zamknął im cerkwie. Ale zdarzało się, że zostali niegdyś brutalnie potraktowani także przez niemieckich administratorów. Od tamtej pory część rodzin miała syna lub ojca w partyzantce w pobliskich lasach.
***
Dokładałem wielu starań, by moja wioska Bajbusy pozostała, pomimo wojny, szczęśliwą osadą. Walończyk jest miłym chłopcem. Szybko stawał się domownikiem, pomagał w pracach, przynosił drobne prezenty.
Postarałem się o wznowienie nabożeństw: wspaniały pop, który wyszedł z lasu, gdzie ukrywał się od dwudziestu trzech lat, w każdą niedzielę od świtu do południa odprawiał nabożeństwo, odziany w złoto i fiolet. Cała wioska brała udział w uroczystościach, klękając sto razy, sto razy całując ziemię, śpiewając godzinami melancholijne i żarliwe chorały, które poruszały serca. W świetle świec błyszczało kilkanaście ikon oprawionych w mosiądz lub srebro. Pop o żółtawej brodzie udzielał chrztu dzieciom z danego tygodnia: podsuwał im bez końca do pocałunku po kolei wszystkie ikony, potem obnosił przez kaplicę każdego noworodka, drącego się w niebogłosy. Podnosił go na wyciągniętych rękach w stronę zebranych tak, aby cała wieś mogła poznać i

podziwiać nowego członka parafii. W końcu zwracał opatulone dzieci matkom o płaskich policzkach, skromnym i promiennym, ubranym, jak wszystkie kobiety z Bajbusów w długie mnisie suknie z kapturami, brązowe, zdobione w pasie kilkoma marszczeniami, uszyte z materii tkanej w wiosce.
Bez względu na to jak ciężkie były walki poprzedniej nocy, regularnie uczestniczyłem w prawosławnym nabożeństwie w każdą niedzielę rano, razem ze starcami o zwichrzonych brodach, dzielnymi „babuszkami" i zawszoną dzieciarnią. Po kilkugodzinnych modłach popa, nasz kapelan odprawiał mszę katolicką. Ani jeden Ukrainiec nie opuszczał kościoła. Ci ludzie, spragnieni życia religijnego, klękali wzruszeni, kiedy przyjmowaliśmy komunię.
Chętnie pomagałem staremu „dieduszce" z mojej chaty, który stracił prawą nogę na wojnie. Co prawda wracałem do punktu dowodzenia pokryty robactwem, ale i wzruszony wiarą i cudowną prostotą obyczajów tych chłopów.
Jednak z tych samych domków nocą dochodziły ostrzegawcze pohukiwania adresowane do partyzantów. Nie mogliśmy mieć za złe naszym chłopom ich uczuć ojcowskich. Ale obserwowaliśmy ich z ostrożnością.
Ich naiwna dobroć w całkiem naturalny sposób pozwalała poradzić sobie z tą sytuacją. Kochali swych rodaków, którzy strzelali do nas ze skraju sąsiedniego lasu. Jednak okazywali nam, mieszkającym w ich wiosce, pod ich dachami takie samo proste, szczere i silne uczucie.
Kiedy wieczorem przechodziłem w mojej białej pelerynie, z taśmami naboi do karabinu maszynowego przewieszonymi przez pierś, jak zwykli to robić Kozacy, babinki klękały przed ikonami. O świecie, kiedy wracałem po walce, starcy stali na czatach. Zdejmowałem broń, parującą na mrozie, a staruszki żegnały się, płakały i dotykały mojej odzieży. Nie zginąłem! Biedni ludzie, dobrzy i łagodni, musieli jednocześnie modlić się za nas, których traktowali jak dzieci, i za swe rodzone dzieci, które ukrywały się w sąsiednich lasach.
Dostaliśmy rozkaz, by spenetrować las głębiej. Mieliśmy za wszelką cenę wypłoszyć wroga z matecznika i zdobyć jeńca.
Pluton z mojej kompani zdołał w dwóch podejściach przeprawić się w nocy przez Olszankę. Moich zabijaków było pięćdziesięciu. O świcie dotarli do zalesionych wzgórz nad Sakriewką.
Las był jak gdyby przedłużeniem wzniesień, gdzie nie można było w żaden sposób zorganizować stanowisk bojowych. Nigdzie nasi żołnierze nie zdołali opanować terenu: cały czas wyrastały nowe wzgórza, pokryte krzakami, skąd wróg mógł unicestwić w kilka minut całą kompanię. Ludzie posuwali się aż do dwóch kilometrów w głąb lasu. Odkrywali szlaki, ślady wozów i ludzi. Ale nie padał ani jeden strzał. Wróg wycofywał się, zastygał, albo powracał do swych kryjówek. Nasze wyprawy zauważyły jedynie dwóch strachajłów, którzy natychmiast rzucili się do ucieczki, porzucając grube płaszcze, żeby szybciej biec.
Były to jedyne łupy wojenne, jakie przyniosła moja kompania.
Potem rozkaz rozpoznania terenu dostała pierwsza kompania. O czwartej rano piętnastu ochotników, prowadzonych przez młodego oficera o gorącym temperamencie, weszło do lodowato zimnej wody Olszanki i zniknęło w ciemnościach.
Dotarli do starego klasztoru. Oznaczało to, że przeszli koło stanowisk sowieckich czujek. Jednak ciszy świtania nie zmąciło żadne ostrzegawcze pohukiwanie.
Pomiędzy gałęziami pojawiły się pierwsze promienie: daleko nad Dnieprem wstawał gołębi świt. Porucznik i jego piętnastu żołnierzy cały czas posuwali się na przód. Usłyszeli ryczenie krów, zobaczyli ślady. Czołgając się od krzaka do krzaka, dotarli do wzniesienia — kilka metrów od nich dwóch sowieckich żołnierzy obejmowało wartę! W końcu spotkali tak upragnionych jeńców!
W mgnieniu oka rzucili się ma dwóch wartowników, powalili ich i zakneblowali. Wszystko stało się bez jednego krzyku. Nasi ludzie zrobili trzydzieści kilometrów, zanim znów dotarli na dno doliny na zachodzie, i ruszyli w drogę powrotną.
Było tam kilka zamarzniętych kałuż. Jeden z pojmanych znienacka przewrócił swego konwojenta i rzucił się do ucieczki. Strzał, który go powalił, zaalarmował całą okolicę. W kilka sekund pojawiła się niewiarygodna wprost armia, armia jakiej nasi ludzie nigdy sobie nawet nie wyobrażali.
Kiedy nasi ludzie pojmali jeńców, znajdowali się, nie zdając sobie zupełnie z tego sprawy, na samym skraju wielkiego obozowiska partyzantów, ukrytego za wzgórzem. Nagle otoczyły ich setki ludzi w cywilnych ubraniach.
I kim oni byli? Nie tylko mężczyźni ogorzali od życia w lesie, ale także wrzeszczące watahy kobiet z potarganymi włosami, stada umorusanych dzieciaków, w wieku trzynastu, czternastu lat, uzbrojonych w siedemdziesięciostrzałowe pistolety maszynowe!
Patrol natychmiast uformował czworobok. Przeszło czterystu sowieckich partyzantów natychmiast otworzyło ogień. Nasz młody porucznik zginął jako jeden z pierwszych, trafiony kulą w głowę.

Pozostali musieli za wszelka cenę jak najszybciej znaleźć wyjście z pułapki. Nie było sensu wycofywać się. Odwrót był niemożliwy. Obok każdego drzewa pistolet maszynowy rozwijał swą wstążkę ognia.
Ostatnią możliwością ratunku było przedarcie się na wprost przez sowiecki obóz, a następnie próba wykonania manewru okrążającego. Żołnierze rzucili się na złamanie karku pomiędzy krowy, owce, ogniska, szałasy, siejąc szaloną panikę wśród hord staruch w łachmanach.
Jedynie dwóch towarzyszy uszło cało z tej masakry. Długo błądzili po lesie. W końcu w nocy dotarli półżywi do jednego z naszych wysuniętych posterunków.
***
Najlepsze dywizje niemieckie podjęły na początku grudnia 1943 roku wielką kontrofensywę, która miała na celu odbicie Kijowa. Na początku odniosły znaczący sukces, przełamały front pod Żytomierzem i wdarły się osiemdziesiąt kilometrów w głąb sowieckiego przyczółka.
Kolejny raz zostały powstrzymane przez błoto i zmuszone do odwrotu z dużymi stratami.
Położenie zamiast poprawić się uległo znacznemu pogorszeniu. Tym razem to my znaleźliśmy się w sytuacji bezpośredniego zagrożenia na północy i na północnym wschodzie. Z drugiej strony na południu i na południowym wschodzie wojska sowieckiego generała Koniewa mocno napierały, wyprowadzając natarcie daleko poza Dniepr w kierunku Kirowogradu i Humania. Widzieliśmy potężne, różowe łuny ognia, które na opalizującym horyzoncie wyznaczały postępy wroga.
Sztab korpusu chciał za wszelką cenę dowiedzieć się, jakie są zamiary Sowietów w centrum odcinka.
Front na północy załamywał się. Front na południu załamywał się. Co się szykowało u nas na wschodzie, w tym przeklętym czerkaskim lesie?
Rozkaz wyzwolił nas do działania na największą skalę, która miała rozpocząć się o świcie 3 grudnia. Plan był wyjątkowo śmiały. Trzystu naszych ludzi miało nocą, w ukryciu, pokonać trzy kilometry głębokich bagien, które oddzielały od lasu czerkaskiego południowo-wschodni kraniec Starosielia.
Kolumna miała przeniknąć pomiędzy sowieckimi posterunkami wartowniczymi, następnie wejść do lasu za pozycjami wroga i pokonać cztery kilometry, podążając z południowego wschodu na północ, aż do wysokości miejscowości Irdyń.
O godzinie H trzystu ludzi miało rzucić się do ataku zza pleców Rosjan i zrównać z ziemią ich stanowiska.
Miałem dowodzić tą operacją.
22 wieczorem zostawiłem testament na małym stole z białego drewna w chacie i wyruszyłem na kolejną eskapadę.

Irdyń

O północy mieliśmy być w Starosieliu. Padał śnieg.
Ciężarówki potrzebowały czterech godzin, żeby pokonać piętnaście kilometrów drogi z drewnianych bali, która miała nas doprowadzić, poprzez sosnowe lasy ciągnące się na południowym-zachodzie, do stanowisk wyjściowych. Mieliśmy obejść wroga szerokim łukiem przez zaplecze, tak by Sowieci nie odkryli naszych przygotowań.
Ze Starosiela zeszliśmy w stronę mokradeł. Mieliśmy dotrzeć do tego błotnistego ugoru na południe od pozycji, które chcieliśmy zniszczyć — dzięki temu także Czerwoni z Irdynia nie powinni niczego podejrzewać.
Druga i trzecia kompania piechoty brygady Walonia miały współdziałać, towarzyszyły nam niemieckie pododdziały saperów, obładowane minami i miotaczami ognia. Ich zadanie polegało na stopniowym niszczeniu wszystkich umocnień w Irdyniu podczas naszego szturmu. Nasze kompanie piechoty, po dotarciu na tyły linii wroga, miały zająć las na wschód od Irdynia wzdłuż całej osady, potem zaatakować Rosjan od tyłu, zdobyć miejscowość i utrzymać teren tak długo, jak będzie to konieczne dla likwidacji umocnień. Kiedy już miny i ogień doszczętnie zrównają z ziemią ten potencjalny przyczółek dla sowieckiego ataku na środkowym odcinku frontu, mieliśmy próbować, w miarę naszych możliwości, powrócić przez moczary na nasze pozycje.
Szliśmy w całkowitej ciszy stromą ścieżką. Śnieg utrudniał marsz. Od czasu do czasu ktoś ześlizgiwał się ze ścieżki i staczał na dno wąwozu, tuż za nim spadał jego pistolet maszynowy i hełm.
Kolumna dotarła do moczarów. Była prawie czwarta. Przez sprzyjającą nam mgłę przedarło się światło księżyca.

Przed nami rozciągały się szerokie na trzy kilometry tajemnicze czarne moczary, wyjątkowo trudne do przebycia i pełne pułapek.
Tuż przed nami szedł przewodnik. Poprzedniej nocy spróbował samodzielnie przejść przez bagna i wiedział mniej więcej, gdzie znajdują się największe grzęzawiska. Szedłem tuż za nim, a za mną gęsiego podążało trzystu milczących ludzi, z niepokojem nasłuchujących najmniejszego szelestu. Prawie wszędzie woda i błoto zdążyły już pochłonąć śnieg.
Moi żołnierze, odziani w grube zimowe mundury, zdychali z gorąca. Twarze w wielkich futrzanych czapkach kleiły im się od potu. Czasami musieliśmy przechodzić nad jakąś rzeczką po zwalonym pniu. Nogi nam drżały. W głębokich ciemnościach nic nie było widać. Niektórzy żołnierze ześlizgiwali się z pni i wpadali po pas w wodę.
Wtedy właśnie na południowym wschodzie rozległo się posępne wycie syreny. Pomyślałem, że wszystko stracone. Padliśmy w błoto. Syrena jednak nadal wyła. Nic się nie działo. I nic nie nastąpiło. Nigdy nie zdołaliśmy zrozumieć, co się wtedy wydarzyło. Może alarm ogłoszono gdzie indziej? Wycie trwało dwadzieścia minut.
Ruszyliśmy dalej. Wydało nam się, że w ciemnościach dostrzegamy niewyraźny zarys potężnych krzaków. Tam był brzeg. Ale tam też powinny znajdować się pozycje wroga. Z najwyższą ostrożnością stawialiśmy kroki w ocieplanych butach, żeby nawet najmniejszym szmerem nie zdradzić naszej obecności. Co by się stało, gdyby nagle Sowieci zaczęli strzelać do naszej grupy, wyczerpanej marszem, nie mającej żadnej drogi ucieczki poza moczarami!
Dotarłem do małego zagajnika. Dołączył do mnie najpierw jeden żołnierz, potem następny. Trzystu naszych kłusowników przemykało bezszelestnie jak wilki. Las był tuż przed nami. W nieprawdopodobnej ciszy oddział odpoczywał kilka minut w śniegu.
Przedostaliśmy się na właściwe miejsce. Sowieckie stanowiska po naszej lewej i prawej stronie musiały być dosyć oddalone od miejsca, w którym nasza wyprawa wydostała się z mokradeł, chyba że wartownicy spali zbyt twardym snem, ukołysani błogą pewnością, że żaden wrogi oddział nigdy nie zdoła przedrzeć się przez ten, cieszący się złą sławą, trzykilometrowy pas niezbadanych grzęzawisk.
W każdym razie kilkuset żołnierzy znalazło się na tyłach Sowietów. Pozostało nam tylko ostrożnie przejść jakieś cztery kilometry wzdłuż linii frontu, tak by znaleźć się dokładnie na wschód od rosyjskich stanowisk w Irdyniu.
Nocny pochód przez sam środek nieprzyjacielskich linii, kierowany na migi, podążał leśną drogą drwali, prowadzącą przez czerkaski las. Pięćdziesiąt metrów przed naszą kolumną szli zwiadowcy i saperzy wyposażeni w wykrywacze min. Nie spuszczając palców ze spustów, maszerowaliśmy za nimi w kolumnach po dwóch stronach drogi, gotowi w każdej chwili ukryć się w lesie w razie zagrożenia.
Jednak lepiej było nie myśleć o starciu, pomiędzy sowieckimi oddziałami, bez najmniejszych szans na pomoc czy ucieczkę. Gdyby wróg odkrył, że trzystu żołnierzy przechadza się o piątej nad ranem na jego tyłach, zamknąłby nas w potrzasku i wszystkich nas czekałaby śmierć bez względu na to, jak dzielnie byśmy się bronili.
***
Pojawiły się pierwsze przebłyski dnia.
Zbliżaliśmy się do celu. Kierując się busolą, poprowadziłem piechotę prosto na skraj lasu w pobliżu Irdynia. Druga kompania miała rozkaz ruszyć do ataku od strony południowo-wschodniej. Znalazła się więc dosyć szybko na pozycjach wyjściowych. Trzecia kompania miała zaatakować ze wschodu na zachód, obchodząc pod osłoną drzew całą osadę, która ciągnęła się bez końca, jak większość rosyjskich wsi.
Wszędzie leżał głęboki śnieg. W lesie było pełno młodych, bardzo gęstych świerków. Rozproszyłem moich ludzi, bo nie znałem położenia zapasowych stanowisk Rosjan — w każdej chwili mogło dojść do starcia. Chciałem je opóźnić, jak tylko się da. W przeciwnym razie jak zdołamy kiedykolwiek dotrzeć do wschodniego krańca Irdynia? Musieliśmy za wszelką cenę znaleźć się tam bez wywoływania alarmu.
Długo czołgaliśmy się w śniegu, sto metrów od skraju sosnowego lasu. Widzieliśmy w dole dachy Irdynia, kilka smug dymu, płoty.
Skradaliśmy się już jakieś dwadzieścia minut, kiedy dostrzegłem dwóch sowieckich żołnierzy. Musieli coś usłyszeć. Mieli na głowach swoje wielkie brązowe czapy z surowej wełny; patrzyli z niepokojem w naszym kierunku.
Moi ludzie byli zagrzebani w śniegu. Uniosłem się nieznacznie i badałem teren. Pojawili się kolejni Rosjanie, dwudziestu, trzydziestu, równie cisi jak my, każdy z pistoletem maszynowym w garści.

Czołgaliśmy się dalej. Czerwoni posuwali się do przodu na naszej wysokości i najwidoczniej nie podejrzewali, że cokolwiek może się dziać w tym właśnie lesie, skoro niemiecki front znajdował się w innym kierunku, na zachód, a nie na wschód. Dla nich kierunek, z którego się zbliżaliśmy, oznaczał tyły; dlaczego więc usłyszeli trzask suchych gałęzi? Dlaczego dostrzegli drżenie świerkowych gałązek?...
Z tą dziwną eskortą po lewej zdołaliśmy jeszcze pokonać jakieś pięćdziesiąt metrów. Cel był kuszący: kilka serii z broni maszynowej i skosilibyśmy trzydziestu wrogów. Dawałem rozpaczliwe znaki moim towarzyszom, by powstrzymać ich zapalczywość. Nie byliśmy tam, żeby zastrzelić trzydziestu żołnierzy wroga, ale aby zająć Irdyń. Liczyła się teraz tylko jedna rzecz: dotrzeć jak najdalej na wschód. Po lewej stronie zobaczyliśmy centrum osady.
Nagle, niespodziewanie dwadzieścia metrów przed nami wyłoniły się z lasu dwa sowieckie schrony. Ostrzelały nas natychmiast. Z wrzaskiem rzuciliśmy się do wali wręcz. Sowieci, wyglądający jak zarośnięte olbrzymy, bronili się zaciekle. Mój pistolet maszynowy został rozłupany na pół: chwyciłem wielki karabin maszynowy jednego z rannych i skoczyłem pomiędzy sowieckie umocnienia. Nasi ludzie kosili Czerwonych. Ci, którzy zdołali przeżyć nasz szalony atak, rejterowali w stronę wioski. Ruszyliśmy za nimi w pościg.
Kiedy już zdobyliśmy te dwie reduty, musieliśmy uporać się z pozostałym sowieckim systemem obronnym, co prawda zaatakowanym od tyłu, nadal jednak potężnym.
Z południa dochodziły mnie odgłosy potyczki wszczętej przez drugą kompanię, która walczyła zaciekle o każdy schron. Kilkanaście domów płonęło, co dowodziło, że saperzy wzięli się już do roboty. Czekając, aż druga kompania będzie mogła do nas dołączyć, musieliśmy utrzymać się na pozycjach i zwyciężyć.
Czerwoni skierowali na nas swe karabiny maszynowe, granatniki i całą artylerię: wokół padał prawdziwy grad pocisków i granatów, tworząc na białym śniegu szare gwiazdy.
Zostałem ranny w prawą rękę. Wszędzie wokół ludzie osuwali się na ziemię. Teren, aż do samych domów, był całkiem odkryty. Kilku z nas zdołało dotrzeć do pierwszej chaty, turlając się jak beczki po ośnieżonym stoku, przyciskając do ciała pistolet maszynowy. Ziemia była usiana drobnymi, jasnoczerwonymi kwiatkami, malowanymi na śniegu przez rozpryskującą się krew rannych.
Apel naszych rakiet sygnalizacyjnych dotarł do czołgów, znajdujących się na wzniesieniu naprzeciwko nas: śledziły i precyzyjnie wspierały nasze ruchy. Pociski robiły dla nas wyłomy w murach. Zajęliśmy wzniesienie w osadzie. Nasze karabiny maszynowe przygważdżały wroga. Jeszcze tylko kilka starć, nieskładnych, ale o rozstrzygającym znaczeniu i Rosjanie zostali wyparci z całego odcinka, odrzuceni w stronę lasu na północnym wschodzie.
Druga kompania wykazała się niezwykłą walecznością. Najodważniejsi szturmowcy z tej jednostki przedarli się przez oddziały wroga i dołączyli do nas. Irdyń został zdobyty. Dookoła leżało przeszło osiemdziesiąt trupów sowieckich żołnierzy, poległych w walce wręcz, z rozrzuconymi nogami, z rękoma lepkimi od krwi. Po śniegu czołgali się ranni. Tylko jeden Rosjanin dał się wziąć żywcem.
Niemieccy saperzy, jak zawsze powoli i metodycznie, posuwali się do przodu. Na szczęście w osadzie nie było cywili — wszystkie umocnione domy zostały wysadzone przez miny, wylatywały w powietrze i opadały jako deski. Nad stodołami, nad całym kołchozem roztaczała się na tle kryształowo czystego nieba o brzasku, jak potężny czerwono-złoty sztandar, łuna pożaru. Jeszcze godzina i wszystkie stanowiska Czerwonych zostaną zrównane z ziemią.
***
Szybko przekonaliśmy się, że ta godzina będzie prawdziwym piekłem. Odgłosy walki zaalarmowały cały las. Ze wszystkich stron nadciągały sowieckie posiłki. Wróg, wyparty do lasu na zboczu, miał doskonały widok na płonącą wioskę. Rosyjscy snajperzy wdrapali się na drzewa. Ustawiliśmy barykadę dokładnie na skraju lasu, dostaliśmy się jednak pod miażdżący ostrzał.
Niemieccy saperzy pracowali w pośpiechu. Musieli wykonać swoje zadanie. Wróg kręcił się cały czas wokół nas, szarpiąc i nękając nieustannie. Cóż mamy uczynić, jeśli nasza kolumna będzie musiała się wycofać — mamy ruszyć przez lepkie błoto moczarów i pokonać te trzy kilometry bez żadnej osłony?...
Wydałem rozkaz trzem czwartym moich ludzi, aby rozpoczęli odskok. My w tym czasie prowadziliśmy kontratak za kontratakiem.
Po godzinie większa część kolumny znalazła się poza zasięgiem ognia sowieckich karabinów maszynowych. Widzieliśmy jak nasi ludzie, wyglądający jak mrówki, przedzierają się przez grzęzawiska. Oni w każdym razie byli uratowani.
Saperzy wypełnili swoje tytaniczne zadanie. Zaczęli się wycofywać. Nam nie pozostało już nic innego, jak tylko oderwać się od nieprzyjacielem.

Nie była to łatwa sprawa.
***
Trzy godziny trwało pokonywanie trzech kilometrów tych przeklętych wykrotów.
Z kilkoma żołnierzami ulokowałem się na skraju wioski, pod skarpą, gdzie przed wojną wydobywano torf. Z tego prowizorycznego szańca ostrzeliwaliśmy się co sił, żeby utrzymać wroga z dala od lasu.
Większa część mojego plutonu straży tylnej ruszyła przez moczary, przenosząc ostatnich rannych. Wielu z nich wiedziało, że nie przeżyje. Młody hutnik z Paryża — mieliśmy w naszej brygadzie jakąś setkę francuskich ochotników — miał oderwane ramię i rozpłatany brzuch. Zażądał, żebyśmy oparli go o snopek słomy: „Chcę umrzeć stojąc, patrząc jak walczą moi koledzy", powiedział po prostu.
Większość rannych nie mogła samodzielnie zrobić nawet kroku. Jeden z nich, z mojej Młodzieżówki, został trafiony w płuca. Leżał z gołym torsem na śniegu, z pozieleniałą twarzą, a na żółtawej skórze leciutko unosiły się dwie malutkie różowe dziurki. Musieliśmy za wszelką cenę ratować tych biednych chłopców. Najsilniejsi z nas nieśli ich na plecach. Ale błoto zapadało się, musieliśmy pokonywać głębokie potoki: ranni zsuwali się, zanurzali w lodowatej wodzie, skąd wyciągano ich z wielkim trudem.
Posuwając się dwoma niewielkimi oddziałami, zmienialiśmy się co pewien czas przy osłanianiu tego ostatecznego odwrotu. Kiedy prowadziliśmy ogień osłonowy, druga grupa zajmowała pozycję sto metrów za nami; kiedy już mogła otworzyć ogień, my zaczynaliśmy biec bokami, żeby zająć pozycję sto metrów dalej.
Jeden z moich towarzyszy otrzymał straszny postrzał w brzuch. Każdy z nas, jeśli tylko był w stanie, niósł go po kolei. Po jakimś czasie mieliśmy plecy zupełnie mokre od krwi. Ciągnęliśmy go za sobą aż do końca walki. Zmarł dwa dni później, ale wolny...
W południe dotarliśmy w końcu na skraj mokradeł, do wzgórza w Starosieliu, nie zostawiając po drodze ani jednego rannego, prowadząc naszego jedynego sowieckiego jeńca, tak upragnionego przez dowództwo.
Stromymi dróżkami doszliśmy do czołgów, niosąc krwawiących towarzyszy na noszach z gałęzi.
Irdyń został zrównany z ziemią. Odnieśliśmy pełny sukces. Nasze twarze były jednak przygnębione. Myślami byliśmy gdzie indziej. Wdrapywaliśmy się na ciężarówki, zdziwieni i zakłopotani, że jest na nich tyle miejsca...

Święta

Na Boże Narodzenie 1943 roku każdy schron miał swoją choinkę, przybraną watą zwędzoną sanitariuszom.
Na froncie wszystkie Boże Narodzenia, które przeżyłem, były smutne. Człowiek pił, śpiewał, żartował — przez godzinę było bardzo dobrze. Potem każdy zaczynał wspominać Boże Narodzenie w domu, drwa płonące w kominku, zachwycone dzieci, czułą małżonkę, piękne kolędy. Niewidzącym wzrokiem patrzył w dal, wracał myślami do domu, niegdyś szczęśliwego. Jeden z żołnierzy nagle wyszedł, znaleziono go później, płaczącego w świetle księżyca.
Tamtego wieczoru było piętnaście samobójstw w dywizji. Pękały serca, wyczerpane cierpieniami i tyloma miesiącami rozłąki.
Chciałem odwiedzić wszystkie okopy naszych ochotników. W śniegu i ciemnościach zrobiłem jakieś dziesięć kilometrów, zaglądając do każdej najmniejszej dziury. Niektóre grupy żołnierzy — przede wszystkim młodzi — trzymały się całkiem dobrze, spędzali święta, biesiadując wesoło. Napotkałem jednak o wiele więcej twarzy zasępionych, niż wesołych. Jeden z żołnierzy nie był już w stanie wytrzymać, rzucił się na ziemię, wzywając rodziców ze szlochem.
Dokładnie o północy, kiedy ci, którzy jeszcze jakoś się trzymali, zaintonowali „Minuit, chretiens!" niebo stanęło w płomieniach. Nie był to na pewno ani Anioł Zwiastujący, ani tym bardziej trąby Betlejem: to był sowiecki szturm! Czerwoni, sądząc pewnie, że o tej porze nasi ludzie będą zaczynać drugą butelkę wina, otworzyli ogień artylerii i ruszyli do ataku.
W gruncie rzeczy odczuliśmy ulgę. Wyskoczyliśmy. I tak w śniegach oświetlanych przez pociski, flary, wystrzały armatnie, zielone, czerwone lub białe rakiety zwiadowców, spędziliśmy Boże Narodzenie, broniąc przejścia przez rzekę Olszankę przed wściekłym wrogiem.
O świcie strzały ucichły. Kapelan udzielił komunii oddziałowi, który po kolei schodził z pozycji, drużyna za drużyną, do prawosławnej kaplicy, gdzie bratali się, bardzo po chrześcijańsku, nasz waloński ksiądz, ubrany w prosty mundur i stary pop w fioletowej mitrze.

Tam wszystkie obolałe czy zgorzkniałe serca znajdowały pocieszenie. Rodzice, żona, ukochane dzieci słuchali, gdzieś tam, tej samej mszy, przystępowali do takiej samej Eucharystii... Żołnierze wracali z duszą spokojną i czystą, jak wielki biały step, który migotał w promieniach zachodzącego słońca w to świąteczne popołudnie.
***
Granaty i pociski obróciły w ruinę lub zrównały z ziemią wszystkie zabudowania wokół chałupki, która służyła mi za stanowisko obserwacyjne i punkt dowodzenia. Moja nędzna chatynka ze swoimi trzema ogołoconymi z liści wiśniami i starą studnią, schowaną pod czapą śniegu, wychodziła zawsze cało z kolejnych opresji. Stara chłopka z niepokojem zerkała na powbijane w ścianę pod strzechą odłamki. Szybko wracała do ciemnej izby, żegnając się wiele razy.
Dwie jej sąsiadki zginęły rozerwane w strzępy w samo Boże Narodzenie, kiedy właśnie piły barszcz. Pocisk wpadł prosto do izby przez okienko.
Ale nie przez każde okno wpada pocisk. A poza tym na froncie śmierć jest wszędzie. Wystarczy na chwilę stracić głowę albo cofnąć się, żeby zostać zabitym.
W walce człowiek tchórzliwy jest już człowiekiem martwym. Odwaga bardziej pomaga przetrwać niż powiększa ryzyko. Śmierć również da się zastraszyć, trzeba tylko odważnie stawić jej czoła.
***
Nadszedł Nowy Rok 1944.
Wszyscy pragnęliśmy, żeby już był 3, 4 stycznia, żeby rok zaczął się już na dobre, żeby dni stały się znów zwykłymi dniami, kiedy nie myśli się o niczym, albo myśli się jak najmniej.
Musieliśmy jednak czekać na kolejny ruch tych z naprzeciwka. Z pewnością będą chcieli powtórzyć o północy napaść wigilijną.
Rozkazano nam wyprzedzić zamiary wroga. Tym razem to my mieliśmy zaatakować w noworoczną noc.
Dwa plutony z mojej kompanii ruszyły w ciemnościach przez zasypaną śniegiem równinę, przekroczyły rzekę i zniknęły za rozłożystymi krzakami.
Trzeci pluton przeprawił się przez Olszankę kilometr na prawo od nas. Jego misja miał czysto demonstracyjny charakter. Miał przemknąć się za krzakami jeżyn kilkaset metrów na południe od wioski Sakriewka i stamtąd strzelać tak, by wróg masowo ruszył w tamtym kierunku: wtedy dwa pozostałe plutony miały wskoczyć pomiędzy umocnienia, skąd Rosjanie ostrzeliwali nasze pozycje w Bajbusach.
Żołnierze ruszyli do ataku i zdołali zepchnąć wroga wywołując w jego szeregach totalny chaos.
Wróciliśmy nad ranem. Niosłem na plecach młodziutkiego ochotnika, którzy szturmując, jako jeden z pierwszych, sowiecki bunkier, dostał serią z pistoletu maszynowego.
Miał roztrzaskane kolana. Nawet nie jęknął. Włosy, poskręcane jak loczki dziecka, przyklejały się do mokrego czoła. Biedny dzieciak, strasznie okaleczony, cierpiał prawdziwe męki w chwili, kiedy na całym świecie miliony ludzi kończyły noworoczne hulanki...
Pierwszy stycznia... Piąta rano... Łagodne czerwone słońce przesuwało się nad biało-rudym lasem. Prawie cały step przybrał niebieską barwę. W dolinie ucichły strzały. Na całym świecie w takiej chwili tańczono, pito, kobiety głośno się śmiały, podpici mężczyźni mieli na twarzach ślady przeżytych chwil... A za dnia, który powoli wstawał nad białym stepem, ranny dzieciak miał umrzeć tylko dlatego, że uwierzył w coś wielkiego, dlatego że czysty i silny idealizm kazał mu złożyć największą ofiarę...
Z goryczą złożyłem tamtego ranka na adamaszkowym śniegu nieopodal mojej chaty dziecko o zamarzniętych lokach: jego oczy przestały spoglądać na świat, którego całej podłości nie zdołał poznać i dla ratowania którego zginął...

Sakriewka

Rok 1944 zaczął się źle. Sowieckie oddziały nacierały wszystkimi siłami na nasz sektor zarówno z północnego-wschodu, jak i z południowego-wschodu. Ich postępy nie podlegały dyskusji i wprawiały w podziw.
Mimo to w rozkazach, które otrzymywaliśmy, nie pojawił się nawet najmniejszy ślad niepokoju. Mieliśmy pozostać przy ujściu Olszanki do Dniepru, choćby świat się walił.
Zaledwie kilka kilometrów od naszych linii, na tyły przybyły nawet berlińskie aktorki. Łącznicy na motorach, którzy zdążyli jedynie w przelocie ochlapać błotem te wojownicze bajadery, opisywali ich wdzięki z gorączkową elokwencją, czyniąc przy tym ogólnie zrozumiałe gesty.
Jednak każdego dnia olbrzymie łapy sowieckich kleszczy były coraz bliżej .

Nie przejmowaliśmy się takimi błahostkami. Dla żołnierza wojna to jego okopy. Reszta to sprawa generałów i dziennikarzy.
***
Brygada szturmowa Walonia dostała w nocy z 3 na 4 stycznia rozkaz rozpoczęcia operacji, w której miały wziąć udział także czołgi. Celem była osławiona wioska Sakriewka, którą szturmowaliśmy już nocą 1 stycznia. Tym razem mieliśmy wysadzić także umocnienia ulokowane głęboko w lesie, za wioską. Polecono nam przede wszystkim pojmać jeńców.
W 1941 i 1942 roku nie wiedzieliśmy już, gdzie ich trzymać. Teraz sowieccy żołnierze walczyli do upadłego i prześlizgiwali nam się między palcami, jak piskorze. Generał Gille, dowódca dywizji Wiking chciał chociaż pięciu jeńców, żeby zdobyć jakieś informacje.
Pierwsza kompania miała przekroczyć Olszankę o trzeciej nad ranem i ukryć się w lesie na północny wschód od Sakriewki, żeby odciąć drogę sowieckim posiłkom. Moja kompania miała pokonać rzekę na pontonach o drugiej nad ranem, przedostać się na zachodni kraniec Sakriewki i czekać na wyznaczoną godzinę szturmu. Druga kompania miała zajść od południa, docierając ze Starosiela leśną drogą.
Saperzy mieli w nocy po cichu rozminować drogę. O piątej rano miały ruszyć czołgi, wiozące na pancerzach desant, prosto na Sakriewkę — wtedy do ataku miała przystąpić, rozmieszczona między nimi, piechota.
To była bardzo trudna operacja. Czołgi mogły zostać zniszczone po drodze. A na froncie najważniejszy był sprzęt.
***
Moja kompania przyczaiła się niedaleko od Olszanki, jakieś trzysta metrów na północ od stałych stanowisk obserwacyjnych wroga. Nasze długie białe peleryny doskonale zlewały się ze śniegiem. Pod osłoną nocy zszedłem nad samą wodę. Leżałem tam przeszło godzinę z uchem przyklejonym do ziemi. Ani jeden krok nie dał się słyszeć na zamarzniętej ziemi. Ani jeden plusk nie zmącił nurtu.
Saperzy skończyli nadmuchiwać pontony. Ostrożnie położyli je na czarnej wodzie. Trzeba było przeciągnąć linę, ponieważ nurt był bardzo rwący. Stu ludzi przepłynęło na prawy brzeg.
Musieliśmy jeszcze przejść kilometr, zanim dotarliśmy do lasu. Z niewielkiego punktu dowodzenia, dokładnie na wprost Sakriewki, wsłuchiwałem się w napięciu w gwiżdżący wiatr. Miauczał na stepie. Nie niósł ze sobą jednak żadnego hałasu. Ani pohukiwania sowy, prawdziwej czy naśladowania, ani zwłaszcza szczęku broni.
Moi ludzie dotarli do zalesionych wzgórz. Czas płynął. Niedługo rozlegnie się daleki chrzęst czołgów, przedzierających się z południa drogą przez las. Nasi saperzy już przeniknęli między sowieckie stanowiska: po cichu szukali min i ostrożnie je wykopywali. W lesie czuć było ich skrytą obecność. Ze ściśniętym sercem myślałem o tych wszystkich dzielnych chłopcach, którzy tak po prostu, w mroźną noc szli na przód i wykonywali swą robotę, czekali w ukryciu, czy też czołgali się w śniegu, żeby dostarczyć rozkazy.
Zbliżała się piąta rano. Rozległ się coraz głośniejszy łoskot gąsienic czołgów i charakterystyczny chrzęst metalowych płytek. Czerwoni, którzy zajmowali skraj lasu na południu, nie zdążyli nawet obudzić się na dobre: nasi żołnierze skacząc z czołgów rzucili się z granatami w rękach do ich okopów!
Oszołomieni Rosjanie w pośpiechu chwytali pistolety maszynowe. Zaskoczenie było całkowite. Rozbiliśmy ich doszczętnie. Wokół byli tylko zabici, ranni i jeńcy. Nie robiąc nawet pauzy, czołgi siejąc postrach, ruszyły dalej.
***
Wystrzeliłem rakiety dając sygnał do ataku, dokładnie w chwili, kiedy rakiety drugiej kompanii kreśliły na niebie olśniewające półkola. Część moich ludzi ruszyła pospiesznie przez Sakriewkę, północno-wschodnim i wschodnim krańcem wsi, tuż za plecami nieprzyjaciela, na spotkanie czołgów, które nadciągały z południa. Pozostali wypierali z zalesionych wzgórz obsługi nieprzyjacielskich armat przeciwpancernych.
O sprawie przesądziła walka wręcz, w której Walończycy nie mieli sobie równych. Sowiecki oficer, który dowodził artylerią, wysadził się w powietrze granatem, kiedy zobaczył, że stracił armaty.
U stóp lasu toczyły się dziesiątki pojedynków. Walczono w chatach, w wąwozie, wokół stogów słomy. Jedna z drużyn łącznościowców zajęła pozycję na wschodnim krańcu pola walki: w kilka sekund pięciu ludzi, zaplątanych w kable i radiostacje, zostało powalonych i zaciągniętych do lasu. Przepadli na zawsze.
Jeden z naszych czołgów został trafiony. Przyjście mu z pomocą nie było problemem. Zdobyliśmy dużą ilość ciężkiego sprzętu: właściwie wszystko, co znajdowało się w Sakriewce.

Pojmaliśmy przeszło trzydziestu jeńców. Jak zwykle byli brudni i w łachmanach, ale silni jak zwierzęta, żyli zresztą jak one, spali w nędznych norach, owinięci w swoje niechlujne opończe.
Żywili się tym, co znajdowali w chatach, na pokrytych śniegiem polach albo przy zwłokach: spleśniałe słoneczniki, ubłocone kolby kukurydzy, czerstwy chleb.
Mieli żywotność jaskiniowców, a na dodatek, oprócz zwierzęcej siły, posiadali supernowoczesne pistolety maszynowe, wyposażone w siedemdziesięciostrzałowe magazynki. W brudnych workach, przymocowanych do pleców zwykłym sznurkiem, posiadali wszystko co było konieczne, żeby bronić się przez dwa, trzy tygodnie w gęstych krzakach i na zakręcie lasu, tuż przy wejściu do wioski.
Te zarośnięte olbrzymy, długousi Mongołowie o czaszkach w kształcie melona z czarnymi, sztywnymi jak drut włosami, o policzkach płaskich jak połcie słoniny, ci przebiegli Azjaci o błyszczących oczkach, zarośnięci brudem, w łachmanach, niezmordowani, wyglądali jak prehistoryczne potwory przy naszych młodych żołnierzach o wiotkich ciałach, wąskich taliach i delikatnej skórze.
Jeńcy, których prowadziliśmy, wyglądali jak dziki, wyłowione z bajora. Szli uśmiechnięci, zadowoleni, że ich nie zabiliśmy, a na dodatek obdarowani papierosami.
Pojmaliśmy zaledwie trzydziestu dzikusów, a przed nami było ich jeszcze dziesięć tysięcy. Były ich setki tysięcy na wschodzie, na północnym wschodzie i na południowym wschodzie.
Włochaty tłum posuwał się do przodu. Przeczuwaliśmy już, zacieśniającą się dookoła obręcz.

Pierwsze rysy

Wojska sowieckie napierające z północy i wojska sowieckie prowadzące natarcie na południowym wschodzie zbliżały się do siebie coraz bardziej. Na zachodzie, jakieś osiemdziesiąt kilometrów za naszymi plecami, istniał już tylko stupięćdziesięciokilometrowy przesmyk pomiędzy ramionami sowieckiego oskrzydlenia.
7 i 8 stycznia 1944 roku wydawało się, że nad Dnieprem wszystko stracone. Nacierające z północnego zachodu sowieckie czołgi wdarły się na nasze tyły na sto kilometrów.
Metody Rosjan były proste. Niektóre z czołgów były wyładowane po brzegi pistoletami maszynowymi i magazynkami — do osad wjeżdżało pięć, sześć, dziesięć czołgów, zbierano całą ludność cywilną i każdy włóczęga, każdy obdarty dzieciak dostawał broń automatyczną. Godzinę później, bez dodatkowych przygotowań, dwustu, trzystu obdarciuchów w obszarpanych bluzach ruszało za czołgami.
W taki właśnie sposób, bez dodatkowych poborów i szkoleń, armia sowiecka uzupełniała szeregi. Miała dzięki temu praktycznie niewyczerpalne rezerwy zasobów ludzkich.
Na szczęście atak Czerwonych 7 i 8 stycznia był zaledwie pojedynczym, śmiałym, ale i ryzykownym posunięciem. Tylko kilkadziesiąt sowieckich czołgów zdołało przerwać front i we wspaniałym rajdzie wjechać na sto kilometrów w głąb niemieckich pozycji.
W końcu otoczyły je, gromadzone w pośpiechu, niemieckie czołgi. Rosyjskim czołgistom zabrakło paliwa. Próbowali ukryć swe maszyny w zagajnikach, w gęstych krzakach. Po dwóch, trzech dniach wszystkie czołgi zostały odnalezione i po kolei zniszczone.
***
Napędzili nam jednak tęgiego strachu. Gdyby Sowieci rzucili większe siły, natarcie zakończyłoby się trwałym powodzeniem.
Prawdę mówiąc, nasza wysunięta pozycja nad Dnieprem była nie do utrzymania. Zajmowaliśmy sami koniec długiego języka. Dywizja Wiking i brygada szturmowa Walonia były jedynymi siłami z całej Grupy Armii „Południe", które jeszcze trzymały się linii wielkiej ukraińskiej rzeki. Prędzej czy później groziło nam okrążenie.
Już kiedy przybyliśmy tam w listopadzie 1943 roku wiadome było, że rzucono nas na straconą pozycję. Na początku stycznia 1944 roku było to jeszcze bardziej oczywiste. Jedynie likwidacja korytarza i zdecydowane przegrupowanie frontu mogłyby — pod warunkiem, że zostanie przeprowadzone bardzo szybko — uratować nas przed nieuchronnym okrążeniem.
Wydawało nam się, że dowództwo zrozumiało wagę sytuacji, bo otrzymaliśmy rozkaz oderwania się od nieprzyjaciela: mieliśmy wycofać się na drugą linię, zbudowaną dwadzieścia kilometrów na południowy zachód. Nie rozwiązywało to do końca problemu. Ale bez wątpienia był to więcej niż nic.
Odwrót nastąpił o północy. Przeprowadziliśmy już rozpoznanie nowych pozycji. Wszystko było przygotowane.

O jedenastej wieczorem nadszedł rozkaz z dywizji, który unieważnił wszystkie poprzednie dyspozycje. Sam Hitler wydał rozkaz, by za wszelką cenę pozostać nad Dnieprem. Opuszczenie Dniepru oznaczałoby przyznanie się do klęski propagandowej; oznaczałoby również utratę ostatniego kontaktu z rzeką, znad której być może pewnego dnia mogłaby ruszyć niemiecka kontrofensywa w stronę Charkowa i Zagłębia Donieckiego. W każdym razie polecenie było kategoryczne.
Zdyscyplinowany żołnierz, który zresztą niezbyt dobrze orientował się w ogólnej sytuacji, zszedł z ciężarówki i ze stoickim spokojem zajął dotychczasowe stanowiska nad Olszanką i przy jej ujściu do Dniepru. My, oficerowie, słuchaliśmy każdego dnia przez radio sowieckich komunikatów i zaznaczaliśmy na mapie równoległe postępy nieprzyjaciela, na północy i na południowym wschodzie, i zdawaliśmy sobie sprawę, że zagraża nam śmiertelne niebezpieczeństwo.
***
Cały odcinek stał się celem zmasowanych ataków sowieckich. Dywizja Wiking musiała wycofać znad Dniepru połowę swych sił i skierować je na zachód od Czerkas.
Las Tieklino tworzył tam niebezpieczny trójkąt z jednym skrajem znacznie wysuniętym, wbijającym się w nasz teren jak ostry klin. W całym lesie panowali niepodzielnie Sowieci. Wszystkie próby ich usunięcia kończyły się fiaskiem.
Generał Gille postanowił zlecić zdobycie tej leśnej gęstwiny Walończykom.
Wieczorem 13 stycznia 1944 roku opuściliśmy w największej tajemnicy brzeg Olszanki. Po trwającej całą noc podróży na wielkich ciężarówkach, dojechaliśmy w śniegu po oblodzonych drogach do zachodniego krańca lasu Tieklino...

Tieklino

Szturm na las Tieklino miał się odbyć już nazajutrz, 15 stycznia 1944 roku.
Wieczorem oficerowie udali się na rekonesans pozycji wyjściowych. Przez kilka kilometrów szliśmy główną drogą, która prowadziła do Czerkas. Potem skręciliśmy w lewo. Ścieżką na dnie parowu dotarliśmy do osikowego zagajnika, skąd widać było całą okolicę.
Wielkie ośnieżone pola ciągnęły się do samego lasu Tieklino. Ten, początkowo stosunkowo wąski, rozszerzał się coraz bardziej w kierunku wschodnim.
Każdy dowódca kompanii dostał zadanie, przeglądał mapy i porównywał je z terenem. Wstawał świt. Las wyglądał jak jedna wielka fioletowa plama. Z przerażeniem patrzyliśmy na nieskazitelnie białe pola, niebieskawe wąwozy, którymi w nocy nasi ludzie mieli dotrzeć do samego lasu, gdzie znajdował się wróg, doskonale okopany, jak twierdzili niemieccy żołnierze, którzy przeżyli bezowocne natarcia. Miał nas wspierać dywizyjny pułk artylerii. Zajął stanowiska ogniowe za pasmem wzniesień po zachodniej stronie.
Kilka dni wcześniej zostałem adiutantem dowódcy naszej brygady. Wraz z nim spotkałem się o trzeciej nad ranem z generałem Gille. Ulokowaliśmy się na niewielkim stanowisku, połączonym telefonicznie z każdą kompanią.
Te, od pierwszej w nocy, przemykały się wąwozami i z zachowaniem największej ostrożności zajmowały pozycje wyjściowe. Lekkie białe sanki, podobne do sań fińskich, bezszelestnie przewoziły po głębokim śniegu zapasy amunicji. Co piętnaście minut ledwo słyszalnym głosem dowódcy kompanii informowali nas o postępach.
***
O czwartej nad ranem skraj lasu zalał potop granatów artyleryjskich.
Wyposażenie dywizji Wiking było dość stare. Poza tym mocno wyeksploatowane w trwającej już półtora roku kampanii, bez żadnych przeglądów. Żeby dobrze wycelować, trzeba było przeprowadzić niezwykle skomplikowane obliczenia. Ale ostrzał był nieprawdopodobnie precyzyjny: cztery tysiące pocisków spadło na nieprzyjaciela, niszcząc doszczętnie okopy, jeden po drugim, obracając z niewiarygodną siłą w drzazgi dębowy las.
Nasi żołnierze schyleni pod tym wspaniałym baldachimem artyleryjskich salw, rzucili się do ataku z szumem w uszach, z szeroko otwartymi oczami, w precyzyjnie wyznaczonym momencie, kiedy artyleria wydłużyła ostrzał.
Moja dawna, trzecia kompania rzuciła się do walki wręcz z takim animuszem, że natychmiast oderwała się od reszty brygady. Po tym niesamowitym natarciu, uchwyciła dwa wyjątkowo strome zbocza, nagie jak stromy brzeg morza, na których szczycie Rosjanie, mimo nawały artyleryjskiej, nadal zażarcie bronili się w rozrywanych pociskami okopach.
Najzacieklej walczyły oszalałe z wściekłości żołnierki — kobiety.

Nasi nie byli przyzwyczajeni do zabijania kobiet. A te w dodatku były ładne. Zwłaszcza jedna z nich, o twarzy uroczo usianej piegami, walczyła jak lwica. W ferworze walki jej drobna, biała pierś oswobodziła się z zielonego munduru. I tak zginęła. Piegi błyszczały na jej twarzy jak zimowe wrzosy, a drobna, zamarznięta pierś, delikatnie lśniła. Po walce przykryliśmy ją śniegiem, by ciężar śmierci był jej nieco lżejszy...
Po zdobyciu tych zaciekle bronionych pozycji, trzecia kompania ruszyła natychmiast do ataku na pozostałe, kolejne, leśne umocnienia. Ciągnęły się cztery kilometry w głąb lasu. Po przebyciu kilometra zdziesiątkowana kompania walczyła już resztką sił. Miała jednak nadzieję, choć daremną, że na prawym skrzydle niebawem pojawi się reszta brygady.
Pozostałe kompanie znalazły się w bardzo ciężkiej sytuacji. Zdołały z wielkim trudem przedrzeć się pięćset metrów w głąb pagórkowatego lasu. Walka była zażarta. Artyleria z dywizji Wiking wspierała wysiłki pododdziału i ostrzeliwała Rosjan skupionych pod lasem na wysuniętym cyplu łańcucha wzniesień.
Wtedy właśnie do walki włączyły się działa przeciwpancerne Sowietów. Posiadali oni we wschodniej części lasu „organy Stalina", niezwykłe wyrzutnie rakietowe, wyposażone w trzydzieści sześć luf, które potrafiły zalać w jednej chwili cały sektor lawiną ognia. W ciągu godziny mieliśmy stu dwudziestu zabitych i rannych.
Ze stanowiska dowodzenia widzieliśmy, jak małe sanki zjeżdżają po ośnieżonym zboczu, wioząc rannych. Polowy ambulans był wypełniony po brzegi. Dziesiątki półnagich ludzi leżały na śniegu, szczękając z zimna zębami, przemarzając na kość, czekając w cierpieniu na swoją kolej, podczas gdy sanitariusze nieustannie przywozili z lasu na zaczerwienionych od krwi saniach kolejnych nieszczęśników.
Rosjanie przypuścili kontratak i odrzucili naszą brygadę. Na wzniesieniach pozostała tylko odcięta, trzecia kompania.
Wraz z dowódcą rzuciliśmy się, aby powstrzymać odwrót. Jednak napór Sowietów był zbyt silny. Widzieliśmy moment, kiedy cała brygada, oprócz trzeciej kompanii, zgubionej gdzieś w leśnym gąszczu, została wyparta z lasu, zepchnięta na pola, gdzie porażka zamieniła się w prawdziwą rzeź.
O piątej po południu sytuacja się ustaliła. Nadal jednak była tragiczna: las nie został zdobyty, brygada zajmowała jedynie dwieście metrów gęstwiny tuż na jego skraju, przepadła trzecia kompania! Nie wiedzieliśmy nawet, gdzie dokładnie się znajduje. Mogła zostać wybita do nogi.
W jeden z chat, na samym dnie doliny, odbyła się zwołana naprędce narada wojenna. Wszyscy zwiesili głowy z rezygnacją. Generał Gille, jak to miał w zwyczaju, milczał przez jakieś dziesięć minut. Miał nabiegłe krwią policzki, zaciśnięte szczęki, twarde spojrzenie. Podniósł głowę, wstał:
— Będziemy kontynuować natarcie — powiedział po prostu. Patrzył na nas spokojnie, bez uśmiechu.
— A wy zdobędziecie las — dodał.
***
Zapadła mroźna noc. Było dwadzieścia stopni poniżej zera. Ludzie na brzegu dębiny nie mieli najmniejszego schronienia i nie wolno było rozpalić ognia. Umierali z zimna mimo ciepłych ubrań. Kładli się na śniegu, jeden na drugim, a czujki obserwowały najbliższą okolicę.
Saperzy rozciągali druty, rozwieszali je pomiędzy drzewami, minowali cały teren oprócz wąskich, oznaczonych ledwie widocznymi znakami przejść, przez które mogli przechodzić nasi zwiadowcy.
Próbowaliśmy nawiązać kontakt z trzecią kompanią. Pluton, złożony wyłącznie z ochotników, wszedł do lasu i ruszył w kierunku północno wschodnim. Jednak nasze informacje były niedokładne. W rzeczywistości trzecia kompania nie posunęła się tak daleko, jak przypuszczaliśmy. Nasz pluton poszedł zbyt daleko na wschód i wpadł na silne pozycje sowieckie.
W nocy doszło do chaotycznej potyczki. Dowódca plutonu, prawdziwy kolos, pleczysty jak dąb, dusza towarzystwa kompanii, rzucił się całym ciałem w otwór strzelecki schronu wroga. Wyniesiono go później z brzuchem przeszytym serią z pistoletu maszynowego. Leżał w punkcie sanitarnym i sapał jak lokomotywa. Opatrzono go bez większych nadziei. A jednak zdołał się wylizać. Osiem miesięcy później dołączył do naszych rezerw we Wrocławiu, równie potężny jak niegdyś, z piersią ozdobioną Krzyżem Żelaznym pierwszej klasy.
Te straszne rany, mimo że zabliźnione, w końcu jednak go zabiły. Po kilku tygodniach zdał sobie sprawę, że już nigdy nie będzie mógł żyć normalnie. Wziął więc ze zbrojowni kilogramową minę, poszedł nad brzeg Odry i wysadził się w powietrze.
Na brzegu znaleziono jedno płuco i kilka kręgów. To było wszystko, co z niego zostało. Na małym stole w koszarach zostawił te słowa: „Nie chcę być pół-mężczyzną. Żegnajcie, koledzy! Niech żyje Legion!".

***
Nocny szturm plutonu tego Spartiaty nie spełnił oczekiwań. Trzecia kompania nie została odnaleziona. Następnej nocy próbowałem samodzielnie dotrzeć do naszych towarzyszy.
Wozy pancerne naszej brygady były ukryte na równinie, która rozciągała się wzdłuż północnego skraju lasu. Położyłem się na brzuchu na pancerzu jednego z „Sturmgeschutzen" i kazałem przewieźć się przez step, aż na sam brzeg lasu, dwa kilometry na wschód od miejsca, z którego poprzedniego dnia ruszyło natarcie. Tam właśnie, jak sądzono w sztabie głównym, powinna znajdować się zagubiona kompania.
Mylili się. Kompania znajdowała się zaledwie w połowie drogi do tego punktu. Dotarłem więc do lasu dębowego jakiś kilometr za wysoko. Nasi zagubieni, bezsilni żołnierze z zaskoczeniem ujrzeli nagle daleko przed sobą wjeżdżający na równinę pojazd, który wysadził mnie w samym środku sowieckich stanowisk.
Po gorącym powitaniu, jakie otrzymałem już przy pierwszych drzewach, szybko zrozumiałem, że nie znajdę tutaj przyjaciół. Kierowca wozu z trudem dowiózł mnie na miejsce, lawirując między zwałami ziemi i śniegu od wybuchających granatów.
Po południu saperzy, którzy rozwijali zwoje drutów kolczastych pomiędzy dębami jak najdalej na północny wschód, wpadli przypadkowo na kilkoro dzieciaków z trzeciej kompanii, znajdujących się na południowo-wschodnim krańcu ich odcinka. Dzieciaki były sine z zimna. Obozowały w otoczeniu dziesiątek trupów Rosjan. Szybko skonsolidowaliśmy pozycje. Ubezpieczyliśmy ją przy pomocy setek min. Od nocy mieliśmy w końcu ciągły front.
***
Jakaż to była noc!
Trzecia kompania siedziała na szczycie wzniesień, które opanowała. W ziemi znajdowały się, wykopane przed mrozami jamy, do których mogło się wślizgnąć dwoje, najwyżej troje ludzi. Te dołki, prawdziwa specjalność Sowietów, miały wysokość trumny. Rosjanie mościli je liśćmi. Kiedy już ludzie ułożyli się w środku nory, zatykano otwór za pomocą kawałka starej plandeki albo deski. W tych króliczych dziurach, gdzie można było jedynie się wczołgać, Mongołowie, Tatarzy, Sybiracy, leżeli przyklejeni jeden do drugiego, ogrzewając się nawzajem własnym ciepłem, jak zwierzęta.
Młodziki przejęli nory w spadku po Rosjanach, których pozwijane i stwardniałe na kamień ciała leżały rozrzucone na zewnątrz. Tylko na tych dwóch stromych wzniesieniach nasi ochotnicy zdobyli siedem sowieckich dział. Silnego wsparcia udzieliła im artyleria niemiecka. Teren został kompletnie przeorany, każde drzewo ścięte lub połamane, roztrzaskane w drzazgi. Wszędzie leżały splątane stosy ciał: ręka, która jeszcze próbowała rozwinąć bandaż, zarośnięta okrągła twarz jakiegoś Kirgiza, broda poczerwieniała od zamarzniętej krwi, młode dziewczyny w mundurach, leżące na plecach z włosami rozrzuconymi na śniegu...
Dla naszych dzieciaków w mundurach, to makabryczne sąsiedztwo w mroźną noc było prawdziwym koszmarem. Przypominali bardziej słynnych walońskich „Żółtodziobów" cesarzowej Marii Teresy z mlekiem pod nosem, niż prawdziwych wojaków. Mieli oczy podkrążone z wyczerpania. Mimo to dzielni czuwali pomiędzy zesztywniałymi ciałami, które potrącali przy każdej zmianie warty...
***
Pozostałe kompanie stacjonowały na terenie twardym jak beton. Aby zbudować w nocy kilka prowizorycznych schronów musieliśmy przywlec na miejsce wielkie kawały pni. Ociosaliśmy je jak umieliśmy. Skupiliśmy się razem, czując, jak mróz przenika nas do szpiku kości.
17 stycznia 1944 roku generał Gille przybył zbadać stan odcinka. Tuż za jego samochodem zwiadowczym podążał samochód opancerzony. Był wypełniony czekoladą, papierosami i koniakiem. Żołnierze doskonale wiedzieli, co oznacza taka dostawa: niebawem ruszymy do kolejnego natarcia. Nie mogliśmy w to uwierzyć. Ludzie mieli twarze pożółkłe, zielone jak pory, dokładnie takie same jak martwi Rosjanie, leżący w stosach na śniegu.
Nadeszła noc, ostra i krystaliczna, która miała stać się osłoną dla naszych przygotowań.

Siedemset bunkrów

Rzucenie całej naszej brygady do szturmu na las Tieklino, tak jak i za pierwszym razem, było jednoznaczne z posłaniem nas na pewną śmierć.
Nie można było już liczyć na zaskoczenie. Rosjanie mieli w rękach wszystkie wzniesienia w środku lasu. Tylko jakaś skrajnie ryzykowna akcja, w jakich przodowali nasi żołnierze, mogła zakończyć się powodzeniem.

Ustalono, że o północy pięć grup Walończyków, uzbrojonych w karabiny maszynowe, prześlizgnie się przez wąskie przejścia w naszych polach minowych.
Następnie wtargną jak najdalej w głąb terenu zajmowanego przez wroga. Mieli rozkaz pokonać co najmniej osiemset metrów. Gdyby jedna z grup ściągnęła na siebie uwagę Rosjan, jeden człowiek miał się poświęcić i udać, że ucieka, aby wróg pomyślał, że chodzi o pojedynczy patrol.
Celem nie było rozpoznanie, ale ukrycie się i pozostanie na tym terenie. Pod osłoną nocy nasze grupy miały przemknąć się pomiędzy, albo za pozycjami wroga do punktów, które górowały nad okolicą. Stamtąd, o świcie, w chwili gdy nasza brygada ruszy do akcji, otworzą ogień z jak największą siłą w kierunku bolszewików, kompletnie zaskoczonych atakiem z tylu miejsc wewnątrz ich pozycji. Miało wyruszyć pięć grup złożonych wyłącznie z ochotników: dwie miały pozostać pomiędzy Sowietami, żeby zająć się obsługą karabinów maszynowych, trzecia miała wrócić na nasze pozycje, aby poinformować o rezultacie operacji i aby przekazać nam dokładne pomiary punktów orientacyjnych.
***
Gdzieniegdzie, bardzo wysoko, pomiędzy wyniosłymi wierzchołkami wzgórz, migotały kryształki gwiazd, drżała lisia czapa wokół czerwonobrązowej tarczy księżyca.
Jednak pod kopułą z gałęzi panowały głębokie ciemności, przez które przenikało jedynie kilka niebieskich błysków księżycowych kwiatów, rzuconych tam, gdzie drzewo padając na ziemię rozdarło czarną koronę nieba.
Godzinami czekaliśmy zmroku.
Rosjanie obserwowali okolice. Trzech sowieckich żołnierzy wyleciało w powietrze na minach, oświetlając okolice czerwonym błyskiem. Za każdym razem wybuch zauważali także nasi obserwatorzy, bo eksplozje miały miejsce zaledwie kilka metrów od ich ukrycia. „Jeszcze jeden!" szeptali, pocierając śniegiem zamarznięte nosy. Potem cisza odzyskiwała panowanie nad mrocznym lasem.
W końcu nadeszła północ: nasi chłopcy, niosąc karabiny maszynowe, ruszyli przez las ścieżkami, pozostawionymi przez saperów.
Minęły dwie, trzy godziny oczekiwania i lęku. Było strasznie zimno. Zamarzaliśmy, gdy tylko przestawaliśmy chodzić. Lasem nadal, co jakiś czas, wstrząsały wybuchy, a w górę wylatywały snopy iskier, kiedy jakiś Rosjan zaczepiał nogą w ciepłym bucie o zamaskowany zapalnik miny.
Wszyscy obserwatorzy wytężali wzrok, wpatrując się w las. Jeśli misja powiodła się, niedługo powinni pojawić się przed zaminowanymi zasiekami nasi łącznicy. Na nich, tak jak i na Rosjan, czyhała ukryta w ziemi śmierć.
Wybuchła mina. „Ratunku! Ratunku!" krzyczał jakiś głos. To był pierwszy z naszych towarzyszy. Zahaczył o minę zostawioną przez nieprzyjaciela.
Zaczął czołgać się w ciemności. Słyszeliśmy jego nierówne sapanie, kiedy sunął w naszą stronę. Wstrząsnął nami kolejny wybuch, jeszcze potężniejszy niż pierwszy: nieszczęśnik tym razem trafił na jedną z naszych min.
Musieliśmy iść po niego: wszędzie leżały kawałki porozrywanego ciała, parujące plamy krwi i śnieg topniejący od rozrzuconych wnętrzności. Miał jeszcze siłę, aby oznajmić: „innym się udało" i że „wszystko będzie dobrze".
Z myślą o pozostałych łącznikach, którzy jeszcze musieli przedostać się przez sowiecki labirynt, co jakiś czas nawoływaliśmy. Cztery razy usłyszeliśmy ciche szepty. „Nie ruszaj się, idziemy!" wołaliśmy cicho. Jeden z towarzyszy przemykał niezaminowaną ścieżką i kierował zwiadowcę prosto na stanowisko dowodzenia.
O czwartej nad ranem można było uznać, że misja całkowicie się powiodła. Pięć grup zajęło pozycje oddalone co najmniej o kilometr od stanowisk wyjściowych. Jedna z nich znalazła się około tysiąc trzysta metrów za drugą linią nieprzyjaciela.
Wspaniale.
***
O godzinie piątej, kiedy las zaczerwienił się w pierwszym brzasku dnia, wszystkie kompanie ruszyły przejściami w polach minowych na swoich odcinkach, oznaczonych dwoma białymi wstążkami.
Nie pozostało już nic innego, jak tylko rozpocząć natarcie.
To była dobrze przygotowana operacja.
Łącznościowcy z radiostacjami szli tuż obok dowódców kompanii. Dzięki temu każdy z nich znał, minuta po minucie, ogólną sytuację wszystkich oddziałów.

Wysokie wzniesienia na prawym skrzydle zdobyto błyskawicznie. Drużyny z karabinami maszynowymi, chytrze zamaskowane, dokonywały prawdziwych cudów od samego początku boju. Na zboczach pagórków piętrzyły się sterty sowieckich trupów.
Wojska w centrum posuwały się do przodu po znacznie równiejszym terenie. Zaś lewe skrzydło, wspierane przez czołgi, które sunęły wzdłuż lasu i ostrzeliwały zaciekle północną stronę dębiny, posuwało się w niesłychanie szybkim tempie.
Objąłem na kilka godzin, jako gość, dowództwo trzeciej kompanii. Wyprzedzałem o jakieś trzydzieści metrów tłum moich podopiecznych, żeby zapobiec niepotrzebnym ofiarom. Ziemia był pokryta warstwą śniegu, głęboką na pół metra. Wróg, pewny swego, wyczekiwał.
Nastąpił potężny wybuch.
Trzech pierwszych chłopców, którzy szli za mną w odległości dwudziestu metrów, prawie dokładnie po śladach moich butów, wyleciało w powietrze na polu minowym. Ja przeszedłem, nie poruszając najmniejszego zapalnika, pomiędzy stu pięćdziesięcioma ładunkami wybuchowymi, połączonymi ze sobą we wszystkich kierunkach. Niestety pozostali mieli mniej szczęścia! Miny straszliwie poraniły ich w nogi. Pięć minut później krwawiące kikuty były już całkowicie zamarznięte i nieodwracalnie odmrożone o barwie kości słoniowej, twarde jak rogi.
Rosyjska zima była bezlitosna. Cięższa rana kończyny oznaczała jej utratę.
Sanie zabierały rannych na tyły, a nasza operacja posuwała się.
Wróg bronił się zaciekle. Bitwa trwała bardzo długo. Walczyliśmy do wieczora. Następnego dnia z rana cały las był nasz.
Tuż przed naszym atakiem artyleria niemiecka po raz ostatni ostrzelała pozycje wroga. Co metr natykaliśmy się na stężałe ciało, otoczone rozrzuconymi dookoła przedmiotami: wielką burą uszanką, pistoletem maszynowym, wyschniętym chlebem. Jednak, jeszcze przed końcowym starciem wręcz, Czerwoni okrutnie rozprawili się z jeńcami: młody esesman został żywcem ukrzyżowany; inny leżał w rozpiętym ubraniu, z brzuchem i nogami zbrązowiałymi od zamarzniętej krwi; te potwory obcięły mu nożem genitalia i wetknęły do ust.
Mimo odniesionego zwycięstwa, staliśmy przerażeni takim bestialstwem.
***
W ciągu czterech dni walki zajęliśmy siedemset schronów. Łotysze w długich białych kurtkach przybyli, żeby nas zluzować.
Dwieście metrów poniżej naszych okopów lśniła dolina. Wielki las za naszymi plecami był wolny. Znów był skąpany w łagodnych kolorach, w bieli, błękicie i różowym fiolecie. Sztywne trupy przypominały krzewy. Nie budziły już takiego lęku, jak pierwszego dnia.
Zaczął się powrót naszych kompanii. Wielkie ciężarówki brygady czekały na nas na dnie wąwozu. Ruszyliśmy ośnieżoną drogą, która prowadziła wzdłuż wzniesień. Co chwila odwracaliśmy się, żeby z daleka spojrzeć na trójkąt lasu Tieklino.
Trójkąt stawał się coraz mniejszy... A gdzie indziej czekały na nas nowe zadania.

Potrzask zamyka się

Minęły jeszcze dwa dni, zanim doszło do wielkiej tragedii. Wróciliśmy na nasze stanowiska wzdłuż Olszanki.
Nadciągające z północy sowieckie wojska, jak burza przecinały Ukrainę. Zbliżyły się nawet do Winnicy i ostatniej wielkiej rzeki przed granicą rumuńską, pozostającej w rękach Niemców: do Bohu. Winnica znajdowała się dwieście kilometrów za naszymi plecami!
Wojska na północy nie próbowały już zdusić nas w ciasnym okrążeniu, jak na początku stycznia. Teraz chodziło o operację zakrojoną na wielką skalę.
Sowieckie oddziały, sunące z południowego wschodu, zajęły Kirowograd. Gdyby zdołały połączyć się z wojskami z północnego zachodu, uwięziłyby nas wszystkich w potężnym kotle. Próbując zapobiec takiemu zagrożeniu, dywizję Wiking prawie w całości przeniesiono na odcinek południowo-wschodni, na naszym prawym skrzydle. Do tej pory znajdowała się dokładnie po przeciwnej stronie, na naszym lewym skrzydle, na północnym wschodzie, gdzie osłaniała osiem-dziesięciokilometrowy odcinek Dniepru i fragment rzeki Olszanki, od ujścia, aż do naszych pozycji w wiosce Moszny.
Musieliśmy zająć teren od tej wsi aż do Wiazowoki, a następnie do samego Dniepru, biorąc na siebie ciężar obrony całego odcinka o długości około pięćdziesięciu kilometrów.
Nasza artyleria polowa, armaty przeciwpancerne, działa przeciwlotnicze i saperzy byli jeszcze prawie w pełnych stanach osobowych, natomiast piechota, mocno przerzedzona dwoma miesiącami ciężkich walk, dysponowała zaledwie tysiącem ludzi na pierwszej linii. Tak więc

mieliśmy stawić czoło największym zagrożeniom dysponując bardzo szczupłymi siłami. Żołnierze zostali rozrzuceni w dwudziestoosobowych grupach średnio co kilometr.
Coraz bardziej oddalaliśmy od siebie nasze punkty wsparcia, którym każdej nocy groziło, że zostaną zduszone albo zrównane z ziemią.
Na północny wschód od wielkiego mostu w Mosznach rozciągał się monotonny step: rude krzaki, trzciny, piasek, trzęsawiska. Po pokonaniu tych ponurych terenów docierało się do naszych pozycji w Wiazowoce.
Mieliśmy tam zaledwie garść żołnierzy, drugą kompanię majora Derickxa, przeniesioną ze Starosielia. Miała zapewnić obronę wschodniej flanki pozycji: to znaczy stepu, osady Wiazowoka, kilku kilometrów stanowisk na wydmach i, dla uzupełnienia obrazu, odcinka prawego brzegu Dniepru.
Byliśmy szczęśliwi, że jesteśmy tam, a na niebie dumnie powiewają barwy naszego kraju. Jednak, odsuwając na bok te patriotyczne uczucia, nasi ludzie narażeni nieustannie na ataki bezlitosnego przeciwnika, czuli się mali i zagubieni nad brzegiem tej wielkiej, mętnej, usianej przepięknymi wyspami rzeki.
Sztab dywizji przeniósł się trzydzieści kilometrów na południe. Umieściliśmy stanowisko dowodzenia naszej brygady we wsi Biełozierie, która stała się od tej chwili centralnym punktem naszego ugrupowania. Tam, gdzie wczoraj dowódca dywizji Wiking montował instalacje telefoniczne, gromadził wielkie wozy łączności, niezliczone pojazdy, wszelkiego rodzaju formacje, w każdym kącie byli żandarmi polowi, dzisiaj nasz skromny pluton łączności chodził jak po mieście umarłych.
***
W piątek 28 stycznia 1944 roku udałem się do Gorodiszcza, do sztabu dywizji po rozkazy. Krajobraz usiany tysiącami drzew owocowych miał wiele uroku. Na ośnieżonych stokach romantycznie rysowały się czarne lub rudo-brązowe skrzydła wysokich wiatraków.
Generał Gille miał swą siedzibę niedaleko zielono-białej cerkwi, w nowoczesnym budynku, bombardowanym co kwadrans przez rosyjskie lotnictwo.
Oficerowie sztabowi opowiadali sobie dowcipy. Jednak ich wesołość nie była szczera. W tajemnicy pokazano mi tekst radiotelegramu, jaki dywizja wysłała właśnie do Himmlera: „Za trzy godziny okrążenie dywizji Wiking będzie zakończone".
Nikt jednak nie wierzył, że będzie to finał: z pewnością fortuna się odmieni, nadejdzie pomoc. Generał Gille patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem i milczał. Sowieckie samoloty bez ustanku nadlatywały i bombardowały wściekle całą okolicę. Żandarmi przeszukiwali chaty i wyciągali z nich dekowników. Panował dziwny nastrój: trzymali fason, ale widać było, że są śmiertelnie zmęczeni, a dowódcy bardzo zaniepokojeni.
Wracałem do Biełozieria, wdychając suche powietrze i podziwiając lśniące niebieskie niebo, cudownie czyste, a mimo to robiące wstrząsające wrażenie.
Dwie godziny później w naszym punkcie dowodzenia zadzwonił telefon. Dywizja informowała nas, że „Siły sowieckie połączyły się na południowym zachodzie".
Jedenaście niemieckich dywizji, mniej lub bardziej kompletnych, znalazło się w saku. Dokładnie rok po tragedii nad Wołgą, zaczynał się drugi Stalingrad.

VI
Okrążeni w Czerkasach

Pierścień okrążenia wokół jedenastu niemieckich dywizji w okolicy Czerkas zamknął się 28 stycznia 1944 roku, osiemdziesiąt kilometrów za naszymi pozycjami.
Jednak po bokach mieliśmy wroga dużo bliżej: był piętnaście kilometrów od Korsunia, na zachód od naszego stanowiska dowodzenia w Biełozieriu. Słyszeliśmy już warkot czołgów.
Dzień i noc czuwaliśmy uzbrojeni i ubrani, trzymając cały czas pod ręką pistolet maszynowy albo granaty. Saperzy pracowali bez wytchnienia. Noc wypełniały głuche wybuchy.
Minęły trzy dni.
Zaczynaliśmy się już przyzwyczajać do kotła. Udało nam się dotąd wydostać ze stu pułapek, w Zagłębiu Donieckim, nad Donem czy na Kaukazie, i nie pierwszy raz znaleźliśmy się w tak groźnej sytuacji. Każdy z nas starał się wmówić sobie, że to okrążenie jest jedynie kolejnym sprawdzianem. Naczelne dowództwo nie porzuci nas przecież w ten sposób: byliśmy przekonani, że rychły kontratak rozerwie sowiecki pierścień.
Radiotelegram od sławnego generała Hube wyjaśniał, teoretycznie, całą sprawę. Był krótki i treściwy: „Przybywam".

I rzeczywiście generał przybył.
Potężna kolumna niemieckich czołgów nadciągała od południa. Poważnie naruszyła sowiecki korytarz, utworzony za naszymi plecami. Z zapałem śledziliśmy na mapie postępy naszych wyzwolicieli. Zdobyli dziesiątki wiosek. Komunikat mówił o zniszczeniu stu dziesięciu sowieckich czołgów. Po dziesięciu dniach pozostał już tylko do przerwania pas o szerokości dziewięciu kilometrów.
Ci, którzy wracali z tamtych stron, opowiadali z błyszczącymi oczami, że został już nawiązany kontakt z naszymi ratownikami, za pomocą małych odbiorników radiowych z punktu dowodzenia batalionu. Jeszcze tylko ostatni silny cios i okrążenie zostanie przerwane.
***
Rzeczywiście, nastąpił potężny sztych.
Z tą jednak różnicą, że zadali go Rosjanie.
W pośpiechu sprowadzili nowe korpusy pancerne. Trzysta czołgów niemieckich, które zdołały dotrzeć tak blisko nas, musiało zastopować, potem ustąpić, na koniec wycofać się. Czerwoni szybko odtworzyli za naszymi plecami pas bezpieczeństwa szerokości około pięćdziesięciu kilometrów. Rozzuchwalone sukcesem dywizje sowieckie ruszyły z południowego wschodu i z południa na nasz kocioł, tym razem spychając okrążone oddziały na północ i na wschód, odsuwając je w ten sposób coraz bardziej od nowej linii frontu, skąd ewentualnie mógł nadejść ratunek.
Potem spadła na nas kolejna katastrofa.
Na samym początku oblężenia wiosenne ciepło zastąpiło mrozy. Mieliśmy wrażenie, że to początek maja.
Zimą 1941-42, podczas kontrofensywy w Zagłębiu Donieckim, też przeżyliśmy dwa dni gwałtownej odwilży, która zamieniała drogi w morze lepkiego błota. Szybko jednak powrócił mróz i przywrócił porządek.
Patrzyliśmy więc spokojnie, początkowo z ciekawością na topniejący śnieg. Niebo przebiegały krótkotrwałe szkwały. Chłostani drobnym, ale przenikliwym deszczem, maszerowaliśmy zygzakami po mokrym, lśniącym lodzie, po którym prawie nie dało się iść. Później pola zrobiły się żółtawe i brunatne. Las, dokładnie umyty, roztoczył na zboczach swoją fioletową płachtę. Polany wyglądały jak czarne plamy. Drogi zapadały się pod ciężarem sunącej kolumny, rozpływały się. Samochody musiały przejeżdżać przez rzeki. Szarawa woda sięgała do połowy drzwiczek.
Jeszcze było nam do śmiechu. To naprawdę wyglądało zabawnie. Wszyscy byliśmy pokryci błotem od stóp do głów.
Po czterech, pięciu dniach mróz ciągle jeszcze nie wracał. Wszystkie schrony z załamującymi się dachami, wszystkie okopy, do których spływała woda z całej okolicy, zamieniły się w wielkie wanny, z dna których żołnierze bez skutku usiłowali wylewać wodę, przy pomocy manierek i menażek.
Pola były tak lepkie, że nie można się było przez nie przedostać. Drogi zapadały się coraz bardziej. Wiele skrzyżowań nie nadawało się do użytku; poziom wody sięgał tam jednego metra. Pobocza zamieniły się w potworne ślizgawki, które kleiły się jak żywica. Ciągniki artylerii musiały dzień i noc wyciągać zagrzebane w błocie samochody.
A wewnątrz kotła było piętnaście tysięcy pojazdów, piętnaście tysięcy samochodów, które zaczynały kręcić się w kółko, tłocząc się na terenie kurczącym się pod naporem prymitywnego, nieczułego na żywioły wroga, którego tysiące żołnierzy-żab zapuszczały się z przyjemnością w krochmal niekończących się grzęzawisk.
***
Sowieci zdobyli duże składy, skupione pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów na południe od Czerkas, w miejscu, gdzie nastąpiło połączenie ramion kleszczy okrążenia. Już pierwszego dnia przepadły znaczne ilości paliwa i amunicji.
Dzięki potężnym Junkersom, dowództwo niemieckie natychmiast posłało pomoc dla oblężonych dywizji.
Korsuń posiadał lotnisko polowe. „Ju" wykonały swoje zadanie z zegarmistrzowską precyzją. Każdego dnia przylatywało około siedemdziesiąt maszyn, nafaszerowanych amunicją, paliwem i żywnością. Po wyładowaniu zabierały na pokład ciężko rannych. Dzięki temu mogliśmy ewakuować z kotła wszystkie szpitale.
Ale sowieckie myśliwce czuwały. Orały zachmurzone niebo i zataczały koła nad polami jak krogulce. Każdego dnia dwanaście, piętnaście naszych „Ju", trafionych po kilku minutach lotu, spadało na ziemię w ogniu, przy akompaniamencie wrzasków rannych, którzy palili się żywcem. To był przerażający widok.

„Most powietrzny” jednak funkcjonował nadal, metodycznie, bohatersko, bez wytchnienia, aż do momentu, kiedy potworne błoto także i tutaj uniemożliwiło jakiekolwiek działanie.
Po tygodniu odwilży i deszczów, lotnisko polowe zostało całkowicie zalane. Wojska inżynieryjne próbowały różnymi sposobami oczyścić z błota i utwardzić pasy startowe. Nie przynosiło to żadnego efektu. Ostatnie samoloty kapotowały w błocie głębokim na metr.
Aż do finału ani jeden samolot nie zdołał już wystartować, ani wylądować w kotle.
Byliśmy zdani tylko na siebie.
***
Umieszczona dokładnie na samym końcu pasa, wysuniętego najdalej na wschód, brygada belgijskich ochotników Walonia przez pierwsze dni nie była narażona na zbyt gwałtowne ataki wroga.
Skierował on — co było zrozumiałe — wszystkie siły na południe i na zachód kotła, tam gdzie połączone w wyniku śmiałej operacji oddziały sowieckie były narażone na najsilniejszy napór Niemców, którzy zarówno z zewnątrz, jak i od wewnątrz usiłowali przerwać pierścień okrążenia. Sowieci skierowali w ten korytarz wszystkie swe czołgi i masy piechoty i kawalerii.
Nad Olszanką i nad Dnieprem czerwona ofensywa miała na razie tylko propagandowy charakter. Potężny gigantofon, zamontowany dokładnie naprzeciwko naszych stanowisk, zalewał nas każdego dnia falą bzdur wykrzykiwanych po francusku. Spiker o paryskim akcencie, pełnym współczucia głosem, informował nas o naszej godnej pożałowania sytuacji. Potem próbował nas omotać gładkimi słówkami roztaczając wizje cudów reżimu, przyjaciela ludu, Stalina, i przekonywał nas, abyśmy przeszli na stronę generała de Gaulle'a. Musieliśmy tylko podejść do rosyjskich linii trzymając w ręku białą chustkę, jak czytelniczki ckliwych ogłoszeń matrymonialnych.
Kojącej propagandzie Sowietów nie brakowało wyobraźni ani pomysłów. Dwaj nasi żołnierze, którzy dostali się niewoli w Wiazowoce, zostali doprowadzeni do stanowiska dowodzenia jakiegoś dowódcy dywizji. Ten zaprosił ich do stołu na iście królewską kolację. Częstował doskonałym szampanem, napychał kieszenie czekoladą. Następnie ten cwaniak z lampasami kazał zawieźć ich własnym samochodem w pobliże linii frontu. Sowieckie posterunki przepuściły obydwu gości i pozwoliły im oddalić się w kierunku naszych pozycji, jakby wypuszczali z klatki kanarki czy słowiki.
Przygoda ta bardzo obrosła legendą w naszym oddziale. Każdy oblizywał się na myśl o szampanie i czekoladzie, jakich skosztowali ci dwaj szczęściarze. Jednak generał filantrop i frankofil nie uzyskał żadnych korzyści: nikt nie dał się złapać na haczyk, nazbyt widoczny spod przynęty!
***
Im silniej wróg napierał na tyły kotła, tym więcej pododdziałów, które jeszcze stacjonowały nad brzegiem Dniepru, dywizja Wiking musiała przerzucać na południowy wschód. W rezultacie po upływie kilku dni nasza lewa flanka została prawie całkiem odsłonięta. Do obrony osiemdziesięciu kilometrów, ciągnących się wzdłuż Dniepru na północny wschód od naszych pozycji, pozostał z dywizji Wiking zaledwie jeden pododdział, liczący dwustu żołnierzy z małymi pojazdami opancerzonymi, które bez ustanku orały błotniste drogi.
Czerwoni wysłali patrole przez rzekę i odkryli luki. Pozostały już tylko nasze słabe pozycje przy ujściu Olszanki do Dniepru. Wystarczyłoby przypuścić na nie silniejszy atak lub uderzyć od tyłu, aby zniszczyć ostatnią przeszkodę po wschodniej stronie kotła. Największym niepokojem napawał nas drewniany most, przerzucony przez Olszankę na wschodnim krańcu wioski Moszny.
Za rzeką mieliśmy dwa umocnione stanowiska, bronione przez dwa tuziny ludzi, uzbrojonych w karabiny maszynowe. Gdyby Czerwoni zaatakowali tu znacznymi siłami w nocy, zmiażdżyliby tą mizerną zaporę i bez trudu zdobyli nietknięty most.
Sztab dywizji Wiking, poinformowany o niebezpieczeństwie, nie chciał o niczym słyszeć. Nie możemy, odpowiedziano nam, ani na cal ustąpić z zajmowanego terenu, ani dopuścić, by wróg pomyślał, że tracimy wiarę w zwycięstwo.
Generał był daleko — my natomiast staliśmy w obliczu nieuchronnej katastrofy. Niemiecki oficer łącznikowy zobowiązał się, że spowoduje zniszczenie mostu, zachowując konieczną dyskrecję. O szóstej nad ranem telefonicznie poinformował generała, że przed chwilą sowiecki pocisk spadł w sam środek składu amunicji i doszczętnie zniszczył most. Dorzucił, że jest nam z tego powodu bardzo przykro. Generałowi także było przykro. Ale kwestia mostu została w ten sposób rozwiązana.
***
Jeszcze tej samej nocy pozbyliśmy się ostatnich skrupułów.

Mieliśmy do dyspozycji w wiosce Moszny pluton około pięćdziesięciu rosyjskich pomocników, jeńców, którzy wstąpili w szeregi niemieckiej armii, jako ochotnicy. Do tej pory byli bardzo oddani i bardzo zdyscyplinowani. Jednak błędem było wysłanie ich do walki we własnym kraju. Obudził się w nich zew krwi. Po trzech miesiącach rasa — ta osławiona rasa — upomniała się o nich.
Prowadzili z tubylcami długie rozmowy, z których nasi oficerowie nie rozumieli ani słowa. W końcu skontaktowali się z nimi partyzanci. Nocą z 1 na 2 lutego 1944 roku Rosjanie, którzy obsługiwali granatniki na tyłach naszych linii, przemknęli się niepostrzeżenie nad Olszankę.
Pewien dzielny mały Walończyk pełnił wartę w mroku. Zginął od bezszelestnego ciosu nożem w plecy. Pochód dezerterów przeszedł nad jego stygnącym ciałem, zszedł po brzegu i przeprawił się przez rzekę.
Na wprost nas znalazło się teraz pięćdziesięciu uciekinierów, którzy mieszkali we wsi Moszny przez trzy miesiące, którzy dokładnie znali rozmieszczenie naszych pozycji: stanowisk artylerii, punktów dowodzenia i łączności. Sowieckie dowództwo zdobyło pięćdziesięciu bezcennych informatorów.
***
Czerwoni, pewni siebie, ruszyli do natarcia o ósmej rano.
Jednak pierwszy atak nastąpił za wsią Moszny, pomiędzy Wiazowoką i Dnieprem, dokładnie na wschodnim krańcu naszego odcinka.
Kilkudziesięciu Walończyków rozrzuconych po piaszczystych nieużytkach utonęło w deszczu granatów. Po godzinie wróg zajął ich pozycje. Dowiedzieliśmy się tego samego ranka w dowództwie brygady, że Wiazowoka została zaatakowana i zdobyta.
Druga kompania, wyparta z ostatnich domów, została zmuszona do przejścia wpław rzeki w południowej części wioski, a następnie odepchnięta kilometr od jej brzegów. Umocniła się dopiero za przypadkowym nasypem w szczerym stepie.
Obrona brzegu Dniepru nie miała sensu. Wiazowoka położona na szczycie piaszczystego wzgórka wydawała się nam definitywnie stracona. Zaproponowaliśmy dywizji, że sprowadzimy tych, którzy zdołali wycofać się z Wiazowoki do wsi Moszny, gdzie naszym słabym pozycjom zagrażało poważne niebezpieczeństwo.
Rozkazy były jednak bezlitosne. Nie tylko druga kompania nie mogła wycofać się na południe, ale mieliśmy natychmiast rozpocząć kontratak i odbić Wiazowokę, bez względu na okoliczności.
Z bardzo daleka, z drugiego końca telefonicznego kabla, jakiś ledwo słyszalny głos tłumaczył nam, gdzie wycofała się druga kompania. Doskonale znałem sektor Wiazowoki. Obarczono mnie odpowiedzialnością za kontratak. Dostałem dwa czołgi wsparcia i obsadziłem je grupą zdecydowanych na wszystko chłopaków.
Błotnistymi rzekami dróg zalanych wodą, rozciągającymi się na szerokości stu metrów, ruszyliśmy w kierunku wschodnim.
Wszędzie na drogach wystawały z wody przewrócone samochody i kopyta padniętych koni, zagłębionych do połowy w lepkim mule.

Wiazowoka

W oddali, na końcu rudawego stepu, unosiły się dymy bitwy o Wiazowokę. Minęliśmy wieś Moszny, gdzie gońcy docierali pieszo do zanurzonego w błocie stanowiska dowodzenia kompanii jedynie po prowizorycznej kładce, zrobionej z desek dwudziestu drzwi do chat.
Po trzech kilometrach przedzierania się po mulistym dnie przez trzciny, nasze czołgi dotarły do skarpy, za którą schronili się uciekinierzy z Wiazowoki. Wróg cały czas ostrzeliwał moczary i wezbraną rzekę.
Zaczęliśmy przygotowywać się do szturmu. Dywizja obiecała nam wsparcie artylerii. Miała ostrzelać Wiazowokę. Po tym wstępie mieliśmy ruszyć do przodu, wspierani przez nasze dwa czołgi.
Była trzecia po południu. Po kilku rozmowach telefonicznych artyleria oznajmiła, że za dwadzieścia minut otworzy ogień. Oblepieni błotem spędziliśmy ten czas na obserwacji równiny, którą mieliśmy się posuwać. Biegało po niej kilka oszalałych z przerażenia koni.
Daleko na wschodzie na niebie pojawiły się rakiety sygnalizacyjne, pokazując nam, że ostatnie grupy stawiają jeszcze opór nad Dnieprem, pomimo że oddziały sowieckie znajdowały się już wiele kilometrów za nimi.
Cały czas świstały kule. Wróg ulokował się na wzniesieniu na południe od wioski, dwadzieścia metrów nad rzeką. Odbicie tego pagórka nie będzie łatwą sprawą.
***

Spadł pierwszy niemiecki pocisk. Później, długo po nim, następny. Spadło ich osiemnaście.
To było wszystko.
Nalegaliśmy. Bez skutku. Nie można było otrzymać większego wsparcia. Amunicja w kotle topniała w zastraszającym tempie. Musieliśmy zadowolić się tą mizerną przystawką. Zbiegliśmy ze wzniesienia. Rzuciliśmy się przez moczary i pola, które przecinał wartki, głęboki strumień, szeroki na trzy, cztery metry.
Spadała na nas lawina granatów. Nikt nie wahał się przed skokiem do lodowatej wody. Od zagajnika do zagajnika w końcu dotarliśmy do brzegu u stóp Wiazowoki.
Nasze dwa czołgi, bezustannie ostrzeliwane, pluły z karabinów maszynowych, pociskami smugowymi w stronę chat. Domy, jeden po drugim, wylatywały w powietrze i stawały w płomieniach. Rosjanie uciekali, kryjąc się za opłotkami.
W wirze walki, garść Walończyków rzuciła się z niezwykłą odwagą w stronę drewnianego mostu, który łączył równinę z drogą prowadzącą do wioski. Pokonali most i przykleili się u stóp wysokiego brzegu. Jeden z nich, uzbrojony w karabin maszynowy wdrapał się na sam szczyt wzniesienia. Pozostali, osłaniani przez niego, przeczołgali się po piasku jak węże. Dwudziestu, trzydziestu Walończyków dotarło na szczyt.
Czołgi, które wspierały piechotę, także zamierzały przeprawić się przez most. Jednak na tablicy wyraźnie było napisane: trzy tony. Pierwszy niemiecki czołg wolał przejechać po dnie rzeki, szerokiej na około dwadzieścia metrów. Koryto rzeki było bardzo piaszczyste, jedna z gąsienic zerwała się. Czołg został unieruchomiony.
Drugi czołg nie chciał atakować samotnie. Wystrzelił jeszcze kilka pocisków w stronę chat, a potem zajął się unieruchomionym w piasku kolegą. Mogliśmy liczyć już tylko na naszą piechotę. Dom po domu, wioska została odbita w walce wręcz.
***
O szóstej wieczorem przepiękny łagodny zmierzch roztoczył swój majestatyczny płaszcz nad pomarańczową łuną płonących chat.
Ostatnie godziny w wiosce Wiazowoka i na biało-złotych wydmach, na krańcu których Olszanka kończyła swój bieg, łącząc się z Dnieprem pośród wielkich, jasnych i zielonych wysp...
Nie zobaczyliśmy już jednak, jak czerwono-fioletowy świt wstaje nad piaszczystym brzegiem, gdzie tygodniami powiewała skromna i dumna flaga naszej ojczyzny... Nigdy już nie stanęliśmy w zamyśleniu na brzegu legendarnej rzeki, potężnej i lśniącej, która płynęła w kierunku Dniepropietrowska, w kierunku brązowych skał, delty i morza... Rozległ się dzwonek telefonu kompanii, wysoki i natarczywy, dywizja wzywała nas, przekazując nowe rozkazy: „Odwrót całego odcinka!".
Na lewym skrzydle przegrupowanie zostało już zakończone: dwustu ostatnich Niemców, którzy osłaniali nasze flanki nad Dnieprem, wycofywało się. Mieliśmy opuścić Wiazowokę nocą, dołączyć do dwóch walońskich kompanii z Moszny i razem z nimi wycofać się rano na nowe pozycje bardziej na południu.
Nasz ostatni szturm nie przyniósł żadnego efektu, posłużył chyba jedynie jako pretekst do sprawdzenia naszej odwagi i zdyscyplinowania. Byliśmy jednak ostatnimi, najzupełniej ostatnimi żołnierzami niemieckiej armii wschodniej, którzy stawiali opór na brzegach Dniepru! Z bijącym sercem długo wdychaliśmy zapach rzeki. Patrzyliśmy, jak w szarej poświacie płyną drżące srebrzyste wstęgi potężnej wody. Z żalem zwijaliśmy naszą małą flagę...
W kurzawie, przez bagnisty ugór, błotnistymi drogami wycofywaliśmy się razem z naszymi rannymi. Setki razy odwracaliśmy się na wschód. Tam nasze serca żyły pełnią życia. W końcu płonąca Wiazowoka stała się czerwoną iskierką na horyzoncie nocy.
Dniepr! Dniepr! Dniepr!...
***
W miarę jak zbliżaliśmy się do wsi Moszny z zaskoczeniem zauważyliśmy, że nasilają się odgłosy walki.
Zakończyliśmy jedną potyczkę, żeby natychmiast wpaść w kolejną.
Wróg właśnie przypuścił atak na Moszny. Pięćdziesięciu żołnierzy z oddziałów pomocniczych, którzy zdradzili nas poprzedniego dnia, stanęło na czele sowieckich oddziałów i poprowadziło je, pod osłoną nocy, do kluczowych punktów naszego odcinka.
Kiedy dotarliśmy do wioski, biły się już tam z przerażającą zaciekłością, setki ludzi, wokół naszych dział, które cały czas ostrzeliwały napastników. Na każdej ulicy, w każdej uliczce, za rogiem każdej chaty, trwała bezlitosna walka wręcz w kałużach, na śliskich skarpach, w oślepiającym blasku milionów iskier z płonących słomianych strzech.

Mieliśmy w Mosznach przeszło pięćdziesiąt ciężarówek, wiele dział przeciwlotniczych, armat przeciwpancernych, ciągniki, kuchnie polowe, sprzęt łączności i biurowy kilku kompanii. Wszyscy wpadli w wir walki na śmierć i życie. Kierowcy, kucharze, rachmistrze, telefoniści, każdy bronił swej broni, sprzętu i skóry.
Rozkazy ze sztabu dywizji Wiking były kategoryczne: mieliśmy opuścić Moszny dopiero nad ranem, aby osłonić manewr odwrotowy, rozciągający się na głębokość dwudziestu kilometrów.
Problem polegał na tym, że Rosjanie przypuścili zmasowany atak kilka godzin przed planowaną przez nas operacją. Musieliśmy więc za wszelką cenę stawić im czoła, umocnić się w Mosznach i wytrwać do rana.
Noc była jedną wielką, nieprzerwaną, dziką i hałaśliwą walką na czarnych i ja-skrawoczerwonych zgliszczach. Rozciągnięta wioska została ewakuowana dopiero wtedy, kiedy cały sprzęt został odholowany, aż do drogi prowadzącej na południe.
Cały czas utrzymywany był kontakt telefoniczny. Wiedzieliśmy z precyzyjną dokładnością, w jaki sposób ewakuowano sprzęt. Nasi żołnierze natomiast walczyli o każdą chatę z szaleństwem w oczach, atakowani przez hordy Mongołów, którzy wyskakiwali zza krzaków, płotów, szop i stert gnoju.
Rzeź trwała dziesięć godzin. O świcie, osłaniani przez ostatni pluton, obrońcy wsi Wiazowoka i Moszny znaleźli się na drodze na południe, wyczerpani, w oblepionych mundurach, szli za kolumną ciężarówek, które ślizgały się i tańczyły w półmetrowym błocie.
Oddziały opóźniające miały za zadanie utrzymać się cały ranek w chatach w południowo zachodniej części wsi Moszny. Wypełnili rozkaz z heroicznym poświęceniem. Dopiero po południu Czerwoni zajęli w końcu całą osadę. Złapali żywcem tylko dwóch Walończyków, dwóch młodych telefonistów, którzy zostali do końca na pozycjach, aby do ostatniej chwili informować dowództwo o postępach przeciwnika.
Dzwonili do nas nawet, kiedy Rosjanie przechodzili pod ich oknami.
Wtedy już jednak, dzięki niezwykłemu oporowi w wiosce Moszny, brygada Walonia zdołała przegrupować się w Biełozieriu i przygotować do kolejnych działań.
Sześć kilometrów smolistego błota dzieliło nas od wroga, który nie miał pojęcia, jakie są nasze zamiary.

Postoje

Był czwartek 3 lutego 1944 roku. Rozkaz wycofania się z naszych pozycji w Wiazowoce na wschodzie kotła i z ostatniego odcinka na prawym brzegu Dniepru został wydany pod wpływem znacznego pogorszenia się ogólnej sytuacji.
Atak wroga od południa spychał okrążone oddziały coraz dalej na północ. Obecnie sowiecki korytarz miał osiemdziesiąt kilometrów szerokości. Każdego dnia niemieckie dywizje traciły pięć, dziesięć kolejnych kilometrów. Jeszcze tydzień i Rosjanie znajdą się dokładnie za naszymi plecami.
Dowództwo wycofało z regionu Dniepr-Olszanka wszystkie niemieckie siły. Musieliśmy sami osłaniać ten rejon, nasze życie zależało od jednego natarcia, które mogło w dwadzieścia cztery godziny zmieść nas, jak źdźbła słomy i rozłupać cały kocioł. W końcu podjęto ostateczne decyzje.
Odcinki: południowo-wschodni i południowy miały być stopniowo opuszczane. Później oddziały z odcinka północnego miały zacząć się wycofywać, najpierw wzdłuż linii prowadzącej ze wschodu na północ. Następnie skręcić i pokonując krok po kroku teren, dotrzeć do zachodniego krańca kotła, gdzie dojdzie do koncentracji jedenastu otoczonych dywizji.
Z południowo-zachodniej Ukrainy miały wyruszyć nam na spotkanie czołgi. Nasze jedenaście dywizji miało za wszelką cenę przedrzeć się w ich kierunku.
Nie było innego wyjścia. Albo wszyscy zginiemy, albo desperacka próba przełamie okrążenie.
Jednak 3 lutego 1944 roku daleko nam było jeszcze do koncentracji, która miała poprzedzać przedarcie się. Musieliśmy jeszcze przeprowadzić całą serię działań pośrednich, aby zdobyć możliwość zabrania sprzętu Zresztą było to prawdziwe szaleństwo. Każdy człowiek musiał walczyć. Trzy czwarte okrążonych wojsk zostało wycofanych z walki, aby ratować tabory, które były naszą zgubą.
Już teraz droga prowadząca ze wsi Gorodiszcze w kierunku Korsunia, gdzie miała zacząć się ostateczna próba przełamania, była zablokowana przez tabory. Tysiące ciężarówek ustawionych w trzech rzędach na odcinku dwudziestu kilometrów, buksowały w czarnym błocie pokrywającym drogę, która szybko zamieniła się w prawdziwy kanał ściekowy. Najsilniejsze ciągniki artyleryjskie usiłowały rozplątywać zatory. Ta zbita masa pojazdów była doskonałym celem dla lotnictwa.

Sowieckie samoloty, jak rozwścieczony rój os, krążyły nad kotłem i co dziesięć minut ostrzeliwały zakopane w błocie kolumny.
Wszędzie płonęły ciężarówki.
Błoto, zamieszane tysiąc razy, stało się tak lepkie i głębokie, że niebawem już nie można było zupełnie się przez nie przedrzeć.
Trzeba było znaleźć inne wyjście. Próbując przejść po gliniastych polach, zaczęlibyśmy zapadać się po stu, dwustu metrach. Droga? Mogliśmy nawet już o niej nie myśleć: przepadło tam w błocie co najmniej tysiąc ciężarówek, które trzeba było podpalić, by nie dostały się w ręce wroga. Pozostawały tory kolejowe z Gorodiszcza do Korsunia. I właśnie tamtędy postanowiliśmy przeprowadzić ciągnące się bez końca kolumny pojazdów.
Z daleka można było odgadnąć, gdzie znajduje się kolumna, obserwując pikujące rosyjskie myśliwce. Co jakiś czas prowizoryczną drogę oświetlały potężne eksplozje. Nieustannie musieliśmy spychać z nasypu zepsute lub spalone ciężarówki.
Aby ochronić ten niewyobrażalny konwój przeszło dziesięciu tysięcy pojazdów, sunący po chwiejących się starych torach, nasze oddziały musiały za wszelką cenę powstrzymywać sowiecki napór przez wiele dni.
***
Stalinowscy lotnicy mogli do woli podziwiać z góry usiłowanie odwrotu zamkniętych w okrążeniu dywizji. Bez trudu mogli odgadnąć, gdzie znajduje się punkt zborny: droga do Korsunia była usiana setkami płonących jak pochodnie ciężarówek.
Na południu sowieckie wojska w pośpiechu atakowały wycofujące się oddziały. Od strony północno-wschodniej, odsłoniętej od chwili wycofania się ostatnich czołgów dywizji Wiking, nadciągały oddziały sowieckie. Natomiast od północy zbliżały się coraz szybciej dywizje Wehrmachtu.
My zaś musieliśmy najpierw podjąć obronę w Biełozieriu, aby zablokować sowieckie oddziały napływające znad Dniepru i od strony wioski Moszny. A potem, w ostatniej chwili, mieliśmy wydostać się z Biełozieria, pokonać jakieś piętnaście kilometrów na południe i dotrzeć do linii obrony, zbudowanej jeszcze podczas alarmu na początku stycznia.
Linia biegła z południowego-zachodu na północny-zachód, od wioski Starosielie do wioski Dierenkowież.
Trzecia operacja miała wszystkich nas zgrupować na północno-zachodnim krańcu tej linii oporu, w Dierenkowieżu, gdzie wspólnie z innymi jednostkami Wehrmachtu i Waffen SS odegramy rolę tarczy.
Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy, osłanianych w ten sposób ludzi wycofa się i zbierze w okolicach Korsunia przed ostatecznym przebiciem się w kierunku zachodnim.
Dla nas pierwszym przystankiem była wioska Biełozierie. Plan odwrotu zakładał, że będziemy stawiać opór w jej wschodniej części tak długo, jak długo będzie to konieczne, aby wszystkie działa i cały sprzęt dotarł bez przeszkód do linii Starosielie-Dierenkowież.
Wzdłuż Olszanki, od wioski Bajbusy do Starosielie, szykowano metodyczny przerzut naszych dział i ciężkiego sprzętu. Akcja miała rozpocząć się po zapadnięciu zmroku.
Nieustannie wysyłaliśmy grupy rozpoznawcze w kierunku drogi wjazdowej do wsi Moszny. Na południe od tej osady mieliśmy jeszcze kilka karabinów maszynowych, ukrytych w świerkowym młodniku. Każdy sowiecki patrol, który zapuścił się w nasze strony, był witany ogniem.
Nadeszła noc. Artylerzyści usiłowali wydobyć z błota ciężkie działa. O świcie na pozycjach nad brzegiem rzeki zostały już tylko oddziały piechoty i żołnierze z granatnikami. Ostatnie wozy opuściły wieś Bajbusy tuż po wschodzie słońca.
Jeden z zaprzęgów złamał zaczep. Woźnica wrócił do wioski, żeby dokonać naprawy.
Wszędzie panowała śmiertelna cisza. Mimo to, na błotnistej drodze leżały już twarzą do ziemi trupy chłopów. Każdy z nich miał jeszcze na prawej ręce białą opaskę z czarnymi literami: Deutsche Wehrmacht. Nasi żołnierze opuścili Bajbusy zaledwie dziesięć minut wcześniej, a już Ukraińcy, którzy służyli w niemieckich jednostkach pomocniczych, zostali wymordowani przez partyzantów.
Wioska zamarła. Nie widać było żadnego gapia, nikogo. Jedynie trupy świadczyły o tym, że coś się wydarzyło...
Piechurzy z trzeciej kompanii, którzy cały czas blokowali przeprawę przez Olszankę na wschód od wsi Bajbusy, mieli się wycofać następnej nocy i przemknąć się wzdłuż rzeki, aż do wioski Starosielie.
Natomiast druga kompania rozpoczęła po wiazowockiej odysei szeroko zakrojony odwrót, kierując się najpierw na północny-zachód. Miała powstrzymywać napór wroga, który nacierał na

Dierekowież, aż do chwili, kiedy na naszym prawym skrzydle zakończą się wszystkie fazy przegrupowania.
Dostałem rozkaz nawiązania łączności z tą odizolowaną jednostką. Od Biełozieria oddzielała ją około dziesięciokilometrowa piaszczysta pustynia. Miałem do dyspozycji starego Volkswagena, który żałośnie rzęził brnąc w piasku i kałużach. Towarzyszył mi tylko żołnierz. Na skraju mrocznego, sosnowego lasu, na zagubionej, odciętej od świata wysepce oporu, natrafiliśmy na naszych towarzyszy. Przejechaliśmy ponownie przez wymarłą wioskę. Kiedy wjeżdżaliśmy do osady, po drugiej stronie opuszczał ją patrol sowiecki. W zamian za drób zostawili chłopom, z prawdziwie książęcą hojnością, pudełko zapałek z sierpem i młotem.
Wszystkie rodziny siedziały ukryte w najdalszych kątach chat. Cała okolica została przeorana przez awangardy wroga.
W każdej chwili spodziewaliśmy się ataku. Volkswagen dyszał, kaszlał dymem, zatrzymywał się, najwyraźniej tym wszystkim zniechęcony.
***
Bielozierie o zmierzchu było nie do rozpoznania. Mieszkańcy wioski wzięli moją małą pyrkawkę w kolorze kremowym za jeden z pierwszych samochodów Sowietów. Zza płotów wyjrzało kilka przerażonych twarzy. Panowała niewiarygodna cisza.
Jechaliśmy wyboistą drogę, pełną kałuż. Mieliśmy dołączyć do ostatniego plutonu, który oczekiwał na rozpoczęcie ewakuacji. Działa, ciężarówki, sprzęt, wszystko ruszało w drogę.
Nasza ariergarda miała opuścić Bielozierie dopiero w nocy, stwarzając do samego końca pozory, że gotowi jesteśmy stawić tam zdecydowany opór. Wioska ciągnęła się kilometrami. Mogliśmy zostać zaatakowani z każdej strony. Było nas w sumie około czterdziestu.
Zwinięto kabel telefoniczny. Nadchodził wieczór przysłonięty mżawką. W końcu nasi ludzie mogli porzucić glinianki. Wdrapaliśmy się na dwie ostatnie ciężarówki. Ani jednego wołania. Ani jednego wystrzału. Żadnej postaci. Tylko kilku chłopów stało w uchylonych drzwiach swych chat i patrzyło jak odjeżdżamy.
***
Pozycje, które mieliśmy zająć, ciągnęły się od Starosielia do Dierienkowieża na długości około trzydziestu kilometrów.
Część brygady, która miała udać się bezpośrednio do Dierienkowieża, wpadła w nocy na grupę partyzantów, którzy przemykając się niepostrzeżenie z lasu do lasu zdołali już odciąć wszystkie przejścia na zachodzie. W środku lasu trzeba było strzelać z armat do wroga z najbliższej odległości. W potyczce straciliśmy dwa działa.
Droga z południa w kierunku Starosielia była jeszcze bardziej niebezpieczna. Gdyby grupy bojowe, które ubezpieczały flankę na lewym skrzydle, rozstawione wzdłuż Olszanki, załamały się pod naporem wroga, oznaczałoby to nieodwracalną utratę jedynej drogi odwrotu.
Pokonaliśmy zaledwie dwa kilometry, kiedy natrafiliśmy na zagrzebane, unieruchomione w błocie pojazdy. To były kolumny, których odwrót osłanialiśmy i które były w drodze od wielu godzin. Ciężarówki stały w poprzek drogi. Dookoła miotały się setki wrzeszczących ludzi, zanurzonych do połowy ud w mulistej wodzie. Próbowano wyciągnąć pojazdy przy pomocy ciągników. W każdej chwili mogli spaść nam na kark Rosjanie.
Po kilkugodzinnej pracy godnej Herkulesa sprzęt został odkopany i dotarliśmy do lasu, a następnie do rozległych moczarów, które rozciągały się przed Starosieliem.
Była godzina pierwsza nad ranem.
Na końcu drogi znajdował się potężny staw. Ciężarówki mogły go pokonać przejeżdżając z maksymalna prędkością.
Na lewym brzegu Olszanki w Starosieliu wznosiła się wielka góra, której strome, prawie pionowe zbocze opływał kanał biegnący z Dierienkowieża. Wszystkie chaty w kotlinie stały w ogniu. Czarne sylwetki setek kobiet prowadzących dzieci lub niosących w ramionach prosiaki odcinały się tragicznie na oślepiającym tle płonących zabudowań. Wieśniaczki głośno krzyczały, płakały, błagały o litość, kręciły się w kółko, w samym środku nasilającego się wokół nich szaleństwa.
Pożar rozszerzał się jak bajeczna czerwono-złota grzywa. Sprawiał, że błotniste zbocze, na które nie zdołała wjechać żadna ciężarówka, lśniło jak marmur. Olbrzymie artyleryjskie ciągniki z wielkim trudem holowały na wzniesienia samochody i ciężarówki, unieruchomione w kleistej mazi.
Całą noc piskliwe krzyki kobiet mieszały się z porykiwaniem zwierząt i przekleństwami kierowców, oświetlonych czerwonym blaskiem łun pożaru.
Kiedy nastał dzień, ciągle jeszcze wyciągano pojazdy.

Ale od północno-wschodniej strony mielizny zbliżały się brunatne punkciki. Mogliśmy rozróżnić szeregi ludzi, konie, wozy.
Nadciągali Rosjanie.

Starosielie

Pozycja obronna ciągnąca się między Starosieliem a Dierienkowieżem została wykopana przez tysiące Ukraińców na początku stycznia. O świcie 5 lutego 1944 roku brygada szturmowa Walonia zajęła tam stanowiska.
Ciąg okopów został starannie wytyczony. Ciągnęły się z południowego wschodu na północny zachód, przebiegał przez szczyty wzniesień, które dominowały nad doliną, moczarami i kanałem płynącym z Dierienkowieża do Olszanki. W oddali widzieliśmy las, przez który wycofywaliśmy się z Biełozieria.
Okopy wyposażone w liczne wygodne stanowiska strzeleckie, ciągnęły się zygzakami przez trzydzieści kilometrów. Niestety nie miały faszyn i były za głębokie: kiedy już weszło się w ten niekończący się gliniasty tunel, nic nie było z niego widać.
Gdyby cała linia walki była obsadzona przez żołnierzy, znacznie zmniejszyłoby to niedogodność sytuacji. My jednak mieliśmy zaledwie trzystu piechurów, żeby zapełnić trzydzieści kilometrów okopów!
Druga kompania miała zająć pozycję piętnaście kilometrów na północ od Dierienkowieża. Inna nasza kompania zajmowała pozycję, która, patrząc na wschód, wychodziła pod kątem prostym ze Starosielia i szła prosto na południe.
Mieliśmy trzystu żołnierzy, aby zapewnić obronę głównej linii. Oznaczało to, że każdy kilometr frontu miał być osłaniany przez ledwie dziesięciu ludzi!
Reszta brygady, kierowcy naszych trzystu ciężarówek, obsługa artylerii, armat przeciwpancernych, dział przeciwlotniczych, oddziały łączności, wyruszyły na tyły albo wspierały przy pomocy lżejszej broni szczególnie zagrożone odcinki.
***
Byliśmy bardzo pesymistycznie nastawieni.
Nie było możliwości, by zainstalować kompletną sieć telefoniczną w tak rozległym sektorze. Tylko do połączenia stanowisk dowodzenia poszczególnych kompanii ze sztabem brygady potrzeba było dziesiątków kilometrów kabla. Jeśli nasza bariera zostanie przełamana, wewnątrz kotła nastanie „ratuj się kto może”!
Nasi ludzie byli rozmieszczeni w grupkach, które nie miały ze sobą styczności. Byli wyczerpani ostatnimi starciami, nocnymi walkami wręcz, lodowatą mżawką, niekończącymi się, ogłupiającymi marszami w błocie przypominającym smołę. Nie mieli najpodlejszego schronienia. Brudni, o wychudzonych twarzach, ściągniętych zmęczeniem, z niepokojem obserwowali równinę, gdzie rozbiegały się zaaferowane oddziały sowieckiej awangardy.
Nasza artyleria na próżno ostrzeliwała teren: od sobotniego popołudnia moczary były upstrzone tysiącem ruchliwych grupek Rosjan, których nie zatrzymywało ani błoto, ani pociski.
***
Następnego dnia przed świtem nasza linia została przerwana.
Czerwoni w nocy wdrapali się na zewnętrzne nasypy. Wskakiwali do pustych okopów pomiędzy poszczególnymi stanowiskami, które następnie po kolei odcinali i rozbijali. Na zboczu wznosił się olbrzymi wiatrak. Bolszewicy zdobyli go w kilka minut. Stamtąd ruszyli w stronę Olszanki, atakując część pozycji od tyłu. O siódmej rano lewy brzeg rzeki, w tym także okolice wioski Starosielie, znajdował się w rękach Bolszewików.
Ze wzniesień na zachodzie wróg kontrolował całą okolicę. O ósmej rano znajdował się już wiele kilometrów na południe.
Nasze stanowisko dowodzenia mieściło się dokładnie na kierunku głównego natarcia. Dowódca postanowił, że musimy natychmiast ruszyć do przodu. Wskoczyłem razem z nim do Volkswagena i przedzierając się przez tłum woźniców i kierowców ciężarówek, którzy uciekali w popłochu, dotarliśmy na prawy brzeg Olszanki do Starosielia.
Trzydziestoosobowa grupa ciągle jeszcze dzielnie broniła się na wzgórzach na lewym brzegu. Wdrapałem się na pojazd opancerzony, pokonałem wodę, wspiąłem się na zbocze i rzuciłem się pomiędzy naszych towarzyszy. Prawie natychmiast ruszyliśmy podążając od chaty do chaty, do szaleńczej walki wręcz w błocie z nadbiegającymi Azjatami.
Po godzinnej walce oswobodziliśmy wioskę i dotarliśmy do zachodniego końca osady.

Niestety stała przed nami potężna, odkryta góra z pięknym wiatrakiem o szerokich czarnych skrzydłach. Rosjanie ustawili właśnie tam gniazda karabinów maszynowych. Ich snajperzy śledzili każdy nasz ruch.
Przykucnięty w kącie izby, strzelałem do każdej wyłaniającej się głowy. Jednak moja pozycja, zbyt eksponowana, nie była najlepsza. Jedna z kul trafiła mnie w palec. Inna w udo. Młodziutki, szesnastoletni ochotnik, który strzelał obok mnie, dostał po dwóch minutach kulę prosto w usta. Biedny dzieciak wstał na chwilę, przerażony, nie pojmując co mu się stało. Otworzył szeroko wargi, spomiędzy których wyciekała krew, jakby chciał coś tłumaczyć, mimo że nie mógł już mówić. Upadł, skulił się w błocie i czkał jeszcze przez kilka sekund, zanim skonał.
Za nami leżały ciała naszych towarzyszy, zabitych podczas starcia o świcie, doszczętnie ogołocone w ciągu półgodziny, kiedy wróg był panem zachodniej części Sakriewki. Ciała były kompletnie nagie. Leżały pożółkłe i poczerwieniałe w oleistym błocie.
Z kąta naszej izby widzieliśmy, jak równina zapełnia się od północnego wschodu i północy sowieckimi posiłkami. Szeregi, brnących w błocie żołnierzy, ciągnęły armaty przeciwpancerne. Wznoszące się przed nami zbocze i młyn wydawały się nie do zdobycia.
Dowódca skierował do nas wszystkich ludzi, jakich zdołał zebrać w okolicy. Ale co więcej mogliśmy zrobić, oprócz powstrzymania bolszewików przed zejściem do osady?... Wyjść poza naszą chatę, ruszyć do ataku na odkryte zbocze, bez najmniejszego załamania, wyglądające jak bryła wosku, w którym zapadaliśmy się po kolana, oznaczałoby zgodę na nieuchronną masakrę.
Mimo to należało odbić wiatrak i górę. W przeciwnym razie, wróg następnej nocy przesunie wszystkie siły na szczyt. Musieliśmy niezwłocznie odbudować linię, albo pogodzić się z faktem ostatecznego przerwania frontu i ze wszystkimi konsekwencjami, jakie przyniesie katastrofa.
***
Kazałem wzywać czołgi. Za nimi i pod osłoną ich ognia mogliśmy jeszcze w ostateczności zdobyć młyn i wzgórze.
Nic jednak nas nie wsparło. Trzeba był jednak podjąć jakieś działania, nękać wroga.
Ochotnicy prześlizgnęli się do wielkiego okopu i ruszyli w stronę Rosjan. Prowadził ich porucznik Tyssen, młody zawadiaka, wysoki na dwa metry, ze szczęką jak Fernandel i sprytnymi oczami dużego dziecka. Potrafił bardzo zręcznie odrzucać Rosjanom granaty, którymi w niego ciskali. Kula raniła go w lewe ramię. Mimo to nadal było słychać na pięćdziesiąt metrów jego donośny, dźwięczny śmiech.
W końcu o czternastej dotarły do nas niemieckie czołgi. Były dwa. Ale ich hałaśliwe przybycie wystarczyło, aby wywołać panikę wśród Czerwonych. Wielu rzuciło się do ucieczki. Widzieliśmy, jak w pośpiechu wyszarpują karabiny maszynowe, posklejane kapiącym z parapetów kitem.
Czołgi grzmiały, ostrzeliwały wroga. Nasza niewielka kolumna ruszyła ich śladem.
Rosjanie zalewali równinę jak przypływ. Ciągnęli ze sobą lżejszy sprzęt artyleryjski. Spostrzegli nasze dwa czołgi, sunące wzdłuż nagiego zbocza. Prawie natychmiast runęła na nie lawina pocisków z rosyjskich armat przeciwpancernych, które zaczęły wstrzeliwać się, strącać wierzchołki umocnień i masakrować ludzi.
Naszym pierwszym celem był wiatrak.
Mój szofer, bohater pierwszej wojny światowej, Leopold Van Daele, rzucił się przed czołgami na otwarty teren. Był Flamandem. Wiatrak przypomniał mu ojczysty pejzaż... Jako pierwszy dotarł do jednego z czarnych skrzydeł i serią z pistoletu maszynowego skosił trzech Sowietów.
Ale na dnie okopu, przyklejony do ziemi siedział jeszcze jeden Mongoł. Strzelił do naszego towarzysza, unosząc lufę prawie pionowo do góry. Kula weszła pod żuchwą i wyszła górą czaszki. Miał jeszcze na tyle siły, żeby sięgnąć do kieszeni i jak dobry chrześcijanin wyjąć szkaplerzyk. Zaraz potem padł martwy, z szeroko otwartymi niebieskimi oczami, wpatrującymi się nieruchomo w potężny, rozłożysty młyn, taki sam, jak stare młyny w Brugii, we Flandrii...
O godzinie czwartej po południu odbiliśmy całą górę.
Okopy były usiane ładownicami, które porzucił umykający nieprzyjaciel. Jak zwykle były pełne naboi, czerstwego, nadpleśniałego chleba i ziaren słonecznika.
W nasze ręce wpadło też sporo karabinów maszynowych.
Mimo wszystko nasze zwycięstwo nie napawało optymizmem: czy osiągnęliśmy coś więcej niż poprzedniego dnia? Nie, nic. Wprost przeciwnie, straciliśmy znowu towarzyszy.
Zabijanie Czerwonych nic nie dawało. Mnożyli się jak pluskwy, nieustannie się odradzali, dziesięć, dwadzieścia razy liczniejsi od nas.
Te kilometrowe okopy stanowiły ochronę zakrawającą na kpinę. Bronione gdzieniegdzie przez garść Walończyków, odciętych od siebie, pozbawionych łączności, zagubionych w zapadającej mglistej ciemności. Na naszych skrzydłach ciągnęła się kilometrowa pustka.

Porucznik Thyssen z krwawiącym, byle jak zabandażowanym ramieniem, chciał zostać ze swymi chłopcami na szczycie wzniesienia. Okopy, przez które w czasie walki wszyscy przebiegali tam i z powrotem, zamieniły się w nędzne sterty ziemi. Było oczywiste, że pozycja jest nie do utrzymania. Niebawem dojdzie do kolejnych tragedii. Nie było co do tego najmniejszej wątpliwości.
***
Noc była wypełniona nieustannymi i tajemniczymi hałasami. Na całym zboczu wyczuwało się czyjąś niewidoczną obecność. Setki Rosjan przeczołgały się do stóp pozycji i rozbiegły po okopach. O świcie tragedia z poprzedniego dnia miała swój ciąg dalszy. O siódmej rano, już po raz drugi, sowiecki atak ogarnął i zmusił do ucieczki naszych towarzyszy. Wiedzieliśmy, że od tamtej chwili straciliśmy bezpowrotnie górę, okopy, młyn.
Nasze czołgi zostały wezwane na południe. Już nie wróciły. Co jeszcze mogliśmy zrobić?
Nie było mowy o samowolnym odwrocie. Tysiące ciężarówek, tysiące ludzi podążało w pośpiechu w stronę Korsunia: flanka, która miała ich osłaniać była otwarta...

Skitie

Cały dzień 7 lutego 1944 roku minął na próbach łatania wyrwy, jaką zrobili Rosjanie w naszej linii Starosielie-Dierienkowież. W samym Starosieliu nasze oddziały przegrupowały się na prawym brzegu Olszanki. Pozycje były dobre, silnie okopane i umocnione palisadą, poprzedzone kilkoma rzędami zasieków z drutu kolczastego i chronione polem minowym po bokach.
Na drugim końcu linii, w Dierienkowieżu, pierwsza kompania była poddawana nieustannym atakom, lecz dzielnie odpierała wroga.
Piętnaście kilometrów na północ, pod kątem prostym od Dierienkowieża, druga kompania kontynuowała ciągły manewr wycofywania się ze wschodu na północ, a następnie z północy na zachód. W tym czasie jej tylna straż stoczyła wiele potyczek, tracąc niewielu żołnierzy i trzymając się skrupulatnie ustalonego harmonogramu.
Najgorszy był odsłonięty kilkukilometrowy odcinek na zachód od Starosielia.
Resztki naszej czwartej kompanii zaatakowane o świcie wycofały się w kierunku Dierienkowieża.
Zostały zreorganizowane i przy wsparciu części pierwszej kompanii podjęły trwający cały dzień kontratak. Rosjanie byli jednak bardzo silni. Przez wyłom w Starosieliu przedostali się do lasu, który ciągnął się na południe.
Kompanie z Dierienkowieża i oddziały ze Starosielia miały za zadanie zająć pozycje po obu flankach lasu i uniemożliwić nieprzyjacielowi opuszczenie go. Wysłaliśmy we wszystkich kierunkach patrole, które miały nawiązać walkę i podjąć nowe działania ofensywne.
Na szczęście, nasza artyleria zachowała całą zdolność rażenia i bez wytchnienia odpowiadała ogniem na ataki wroga. Ostrzeliwała nagi stok, przez który musiały przechodzić sowieckie posiłki, co miało dla nas tym większe znaczenie, że nie mieliśmy już złudzeń co do możliwości wyciągnięcia z błota ciężkiego sprzętu podczas nadchodzącego odwrotu.
Samochody, ciężarówki nadal tkwiły w błotnistej mazi.
Najsilniejszy z naszych ciągników, prawdziwy potwór na gąsienicach, wysłany do Starosielia z Dierienkowieża, stracił dzień i noc na pokonanie niecałych trzydziestu kilometrów.
Linię kolejową, ostatnią drogę do Korsunia, oświetlały niezliczone pożary. Tysiące ciężarówek z trudem posuwały się do przodu w deszczu bomb.
My tworzyliśmy tylną straż od północnego-wschodu: im dłużej będzie trwało wycofywanie się tego tasiemcowego konwoju, tym dłużej będziemy musieli stawiać opór.
Niemieckie dowództwo panowało nad sytuacją zachowując wprost niezwykły spokój. Pomimo rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znajdowało się pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy rozbitków, w rozkazach nie było najmniejszego śladu niepokoju czy pośpiechu. Działania były prowadzone metodycznie i spokojnie. Wróg nie zdołał nigdzie przejąć pełnej inicjatywy. Dywizje i sprzęt wycofywały się powoli z błotnistego załomu, karnie wypełniając wszystkie rozkaz. Straż tylna i oddziały ubezpieczające flanki trwały na stanowiskach do ostatniej chwili i podejmowały walkę dokładnie w momencie ewakuacji. Wszelkie wyrwy były natychmiast łatane, bez względu na cenę. Wszyscy wiedzieli, że lepiej trzymać się planu sztabu, gdyż przedwczesny odwrót pociągnąłby za sobą konieczność podjęcia morderczych kontrataków, kontynuowanych aż do chwili odbicia terenów zbyt wcześnie porzuconych.
Rozkazy były surowe. Ale nie był to czas na słabość. Każdy żołnierz wiedział, że musi wybierać: albo zdyscyplinowany odwrót, z możliwością końcowego zrywu dzięki dobrze przeprowadzonemu przegrupowaniu, albo chaotyczna ucieczka i całkowite unicestwienie oddziałów.
***

Nadszedł wtorek rano, 8 lutego 1944 roku.
Starosielie nadal się trzymało. Dierienkowież nadal się trzymał.
Wyłom został jako tako zneutralizowany przez nasze grupy szturmowe, uczepione zachodniego, południowego i południowo-wschodniego skraju lasu, który został opanowany przez siły sowieckie.
Wróg jednak nie poprzestał na tym natarciu. Rzucał się wściekle dookoła całego kotła. Kierunek południowy, gdzie wojska niemieckie przeprowadzały najważniejszy manewr, został gwałtownie choć dosyć nierównomiernie ostrzelany przez wroga. Wschód napierał na nas nieprzerwanie już od 2 lutego.
Nasz rejon nie obejmował tylko trzydziestu kilometrów okopów od Dierienkowieża do Starosielia i wysuniętych pozycji drugiej kompanii w sektorze północnym. Powierzono nam dodatkowo obronę bocznego odcinka, długiego na przeszło milę, wychodzącego pod kątem prostym ze Starosielia i biegnącego w kierunku niewielkiej miejscowości Skitie, leżącej na południu.
Byliśmy zagrożeni od frontu i od lewego skrzydła, z powodu wyłomu wybitego przez nieprzyjaciela, a dodatkowo groziło nam wielkie niebezpieczeństwo również z prawego skrzydła. Starosielie znajdowało się na końcu długiego przesmyku. Gdyby wojska sowieckie z naszej wschodniej flanki ruszyły na spotkanie z tymi, które odniosły zwycięstwo poprzedniego dnia na naszej zachodniej flance, zostalibyśmy otoczeni i zmiażdżeni.
Walończycy, którzy osłaniali naszą prawą flankę mieli za sąsiadów młodych rekrutów dywizji Wiking — przybyłych na front w cywilnych ubraniach zaledwie miesiąc wcześniej — którzy przeszli prowizoryczne szkolenie wojskowe podczas styczniowych walk. Nieszczęśni chłopcy byli wyczerpani ze zmęczenia i napięcia.
Wróg rzucił się na nich rankiem 8 lutego 1944 roku, spustoszył i zdobył po kolei wszystkie pozycje, a tych, którzy przeżyli zmusił do ucieczki. Widzieliśmy, jak płynęli z prądem rzeki za naszym przyczółkiem. Nic nie dało się dla nich zrobić. Niektórzy płakali jak dzieci.
W trakcie tej bezładnej ucieczki, Rosjanie zbliżyli się przez wyłom i zaatakowali od tyłu nasze pozycje na południowym-wschodzie, rozmieszczone co sto metrów pod dębami. Nasi ludzie musieli ulec i wycofać się z lasu, a nawet z wioseczki Skitie, leżącej na wyżynie. Ruszyli biegiem na dno doliny, ścigani przez nieprzyjaciela.
Oddziały rosyjskie prawie połączyły się: jedynie nasze niewielkie stanowisko dowodzenia, gdzie w pośpiechu przegrupowywaliśmy żołnierzy, przetrwało, niczym wysepka na morzu napierających z dwóch stron sowieckich wojsk.
Musieliśmy natychmiast skoncentrować siły i za wszelką cenę osłabić napór na nasze stanowisko. Za godzinę nie będzie to już możliwe. Wróg zainstalował się już w Skitiach.
Nasze armaty przeciwpancerne wspinały się na wzniesienie. Dowódca ruszył do natarcia, a za nim nasi chłopcy, zmordowani, ale mimo wszystko z okrzykiem na ustach.
O piątej wieczorem wioska była odbita — Rosjanie zostali bezpardonowo wyparci aż do lasu. Kolejny raz sytuacja została na jakiś czas uratowana.
Do punktu dowodzenia naszej brygady dotarł rozkaz podjęcia dalszego odskoku następnego dnia rano.
Musieliśmy więc utrzymać się tylko przez kilka godzin: jeden wieczór, jedną noc...I nasz honor będzie uratowany, podobnie jak masa sojuszniczych oddziałów, które wycofywały się powoli na zachód pod osłoną naszej tylnej straży.
Niestety Rosjanie przejrzeli nasze plany i byli gotowi przełamać nasze pozycje bez względu na straty.
Jeśli likwidacja kotła czerkaskiego przez Sowietów miała być skuteczna, musiała być przeprowadzana odcinek po odcinku.
Tego właśnie próbował dokonać nieprzyjaciel we wsi Moszny. Tego właśnie próbował dokonać na południowy wschód od Starosielia. Tego właśnie próbował, zresztą nieskutecznie, dokonać wokół całego kotła podczas stu szturmów.
Skitie były w naszych rękach już o piątej wieczorem. Dowódca zszedł do punktu dowodzenia. My natomiast zajęliśmy się układaniem w nędznym dole z piasku okrwawionych ciał poległych tego strasznego popołudnia.
Właśnie ustalaliśmy plan wycofywania się brygady w kierunku Dierienkowieża na następny ranek, kiedy w wieczornej mgle jeden z wartowników zobaczył, że zbocze na jego wschodniej flance znów zaludniło się uciekającymi żołnierzami!
Wróg po raz drugi wyszedł z lasu, wyparł naszych chłopców i odbił Skitie!
W nocy może dotrzeć do topolowego lasu na wzniesieniu, doprowadzić do połączenia linii wschód-zachód, odciąć Starosielie i ostatecznie zmiażdżyć nasz odcinek!

Wszystko musieliśmy zaczynać od początku z ludźmi, którzy w ciągu dnia dwukrotnie już doświadczyli porażki, wycieńczonymi i zdziesiątkowanymi!
Dostałem rozkaz z dywizji, by odeprzeć nieprzyjaciela: bezwarunkowo musieliśmy ponownie zająć wzniesienie, stanowiące osłonę trasy odwrotu, i zejść z niego dopiero o szóstej rano, kiedy nasze siły ze Starosielia oddalą się z przesmyku.
Zapadł zmierzch. Zbocze góry było obrośnięte bardzo gęstymi świerkami. Rosjanie już przemykali się po stoku. Szliśmy w stronę wzniesienia bardzo wolno, gdyż broń była ciężka, a musieliśmy dotrzeć jak najdalej bez zbędnego hałasu, unikając przypadkowych utarczek.
Było nas czterdziestu. Przez ostatnie sto metrów czołgaliśmy się, a potem skoczyliśmy do przodu. Wtargnięcie na wzniesienie, zajmowane przez wroga, wywołało chwilowe zamieszanie. Mogliśmy maksymalnie wykorzystać karabiny maszynowe i odepchnąć Rosjan do samego Skitie, zwłaszcza że nasz szturm wspierały dwie armaty przeciwpancerne, wciągnięte na szczyt po piasku i błocie.
Do rana zwycięsko broniły wstępu do doliny.
***
Czerwoni w obliczu takiej reakcji, woleli przesunąć się jeszcze bardziej na południe. Co było dla nas jeszcze gorsze.
Operacja, która zakończyła się dla nich niepowodzeniem na wysokości naszych stanowisk, została powtórzona, tym razem za plecami.
O pierwszej nad ranem, dwa kilometry za stanowiskiem dowodzenia brygady, doszło do starcia pomiędzy Sowietami i Niemcami, zaledwie kilkaset metrów od drogi, od naszej jedynej drogi!
Niewielkie grupy esesmanów z dywizji Wiking, uczepione pozycji jak rzepy, odpierały samotnie natarcia niezliczonych Sowietów. Słyszeliśmy odgłosy dziesięciu niezależnych potyczek, które rozgrywały się wzdłuż kilkukilometrowej linii biegnącej ze wschodu na południe.
Wróg był przed nami, po naszej lewej i prawej stronie, a także za naszymi liniami. Droga, którą mieliśmy wyruszyć o świcie była oświetlona płonącymi jak pochodnie chatami. Zewsząd dochodziła do nas bitewna wrzawa.
Nasze życie — życie tysiąca ludzi — zależało od tego, jak długo potrwa. Na szczęście o piątej nad ranem nadal ją słyszeliśmy.
Podpaliliśmy samochody, które były za słabe, by pokonać trzydzieści kilometrów lepkiego jak syrop błota. Większa część naszego oddziału przeniknęła wzdłuż Olszanki do drewnianego mostu. Nasi ludzie pokonali rzekę dokładnie w miejscu, gdzie garść esesmanów z dywizji Wiking jeszcze powstrzymywała wroga.
***
Kilka grup strzelców ze Starosielia miało stawiać opór do ostatniej chwili, to znaczy do momentu zakończenia całkowitej ewakuacji. Przez trzy godziny dokonali prawdziwego cudu.
Potem ze zwinnością węża przedostali się przez świerkowy las na południu i przemknęli się pomiędzy Rosjanami, którzy nadciągali ze wszystkich stron.
Nikt nie dostał się do niewoli. Żaden karabin maszynowy nie został porzucony Przy akompaniamencie diabelskiego koncertu pocisków, jako ostatni przeczoigali się po drewnianym moście na Olszance. Rzeka tryskała za naszymi plecami jak gejzer.
Brodząc w głębokim błocie ludzie, konie, ciężarówki wdrapywały się na skarpę, lepką jak żywica. Od wroga oddzielał nas tylko spieniony nurt rzeki, po której płynęły tysiące rozmaitych szczątków, wrzuconych eksplozjami.

Trzydzieści kilometrów

Manewr ogólnego odwrotu 9 lutego 1944 roku obejmował teren bardzo rozległy: okrążone dywizje opuszczały południe, południowy-wschód, wschód i trzy czwarte północno-wschodniego i północnego obszaru kotła czerkaskiego.
Tenże kocioł pod koniec stycznia przypominał kształtem Afrykę. Wieczorem 9 lutego 1944 roku cała Afryka, przez tydzień znacznie okrojona, miała wycofać się w kierunku Gwinei, zachowując jedynie osłonę na wysokości jeziora Czad. Tą osłona miała być wioska Dierienkowież.
Stolicą naszej rosyjskiej Gwinei był Korsuń — główny punkt zborny oddziałów pozostających w okrążeniu od 28 stycznia.
Setki Tygrysów i Panter, najpotężniejszych czołgów niemieckich, skoncentrowane na południowy-zachód od Korsunia, na zewnątrz kotła, podążały w naszym kierunku. Czołgi sunęły do przodu pomimo zaciekłego oporu.
Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy pozostających w kotle metodycznie wycofywało się w kierunku Korsunia, ratując mimo olbrzymich trudności, jak najwięcej sprzętu.

Kiedy dziesiątki tysięcy ludzi zajmowało pozycje wyjściowe do ostatecznego natarcia, które miało wyjść naprzeciw czołgom nacierającym z południa, żołnierze ariergardy musieli powstrzymać napór sowieckich mas, które zalewały nas z góry, od północy i od wschodu albo z dołu, z południowego wschodu i południa.
Najbardziej wysuniętym punktem oporu na północ od Korsunia miał być Dierienkowież, leżący na lewym krańcu naszej dawnej pozycji.
Wszystkie nasze siły, rozciągnięte na trzydziestokilometrowym odcinku od Dierienkowieża do Starosielia i dalej na południe, otrzymały rozkaz wycofania się do Dierienkowieża do końca 9 lutego. Do tej samej miejscowości miała również przybyć z północy druga kompania, która od chwili opuszczenia Wiazowoki przesuwała się po łuku podążając ze wschodu na północny zachód.
Nasza brygada, bez żadnego wsparcia, miała obsadzić kluczowe pozycje w Dierienkowieżu.
Zachodnią flankę drogi Dierienkowież-Korsuń osłaniały jednostki Wehrmachtu: ich zadanie polegało na powstrzymaniu za wszelką cenę nacierającego wroga. Flanka wschodnia miała być osłaniana przez pułk Westland z dywizji Wiking.
Pomiędzy tymi dwoma równoległymi liniami biegła wzdłuż rzeki polna droga z Dierienkowieża do Korsunia: jej strefa bezpieczeństwa, ze wschodu na zachód, mierzyła około dwudziestu kilometrów.
Bez wątpienia zajmowaliśmy najkorzystniejszą pozycję, na północnym krańcu korytarza. Mieliśmy zagrodzić drogę, którą wróg nadciągający z północnego-wschodu i północy będzie z pewnością próbował przebić się do Korsunia, aby ostatecznie rozwiązać problem okrążonych wojsk.
Druga kompania bez przeszkód zakończyła ostatni etap odwrotu do Dierienkowieża.
Natomiast nasze zadanie na drugim końcu linii, przeprowadzane in extremis, w towarzystwie krążącego wokół wroga, który atakował z każdej strony, będzie operacją pełną tragedii.
Niemieckie jednostki, które wycofywały się z południowego-wschodu napływały na zachód w tym samym czasie co my, i tak jak nam — wróg deptał im po piętach.
Olszanka, wezbrana po odwilży, po wysadzeniu mostu dała nam kilka chwili wytchnienia.
Żeby dotrzeć do Dierienkowieża musieliśmy, według planu opracowanego przez dowództwo, podążać prawie równolegle do naszej dawnej linii Starosielie-Dierienkowież. Ta jednak od dwóch dni znajdowała się w rękach wroga. Las, w którym zaszył się nieprzyjaciel, wisiał na południu jak wole. 9 lutego Rosjanie mieli tam więcej ludzi i sprzętu niż my. Zdążyli sprowadzić armaty przeciwpancerne.
Normalna droga odwrotu przebiegała przez południowy kraniec tegoż lasu. Niemieckie ciężarówki, które poprzedzały naszą brygadę, wjechały w to prawdziwe sowieckie gniazdo os.
Jeden z oficerów naszego sztabu, kapitan Anthonissen przemysłowiec z Gandawy, człowiek, który nosił w sobie niezwykłą godność, nieugięty i szczery, subtelny, rycersko lojalny, został wysłany do Dierienkowieża z zadaniem nawiązania łączności. Prowadził czoło kolumny, kiedy ta wpadła w zasadzkę. Natychmiast sformował w szyk bojowy piechotę, która towarzyszyła pierwszym niemieckim ciężarówkom.
Niestety miał pod sobą oddział składający się z nieszczęsnych rekrutów z dywizji Wiking — Volksdeutschów, którzy nie pozbierali się jeszcze po boju o Skitie. Z początku wydawało się, że wykonują rozkaz i rozpoczęli atak, jednak po pierwszych seriach broni maszynowej rzucili się do bezładnej ucieczki.
Kapitan Anthonissen znał ducha i tradycje legionu Walonia. Kiedy wszyscy uciekali na oślep, on pozostał. Walczył do samego końca strzelając z pistoletu maszynowego.
Kontratak przygotowany przez dywizję Wiking godzinę później oczyścił drogę. Jedno ciało leżało niedaleko gęstych krzaków, trzydzieści metrów na wschód od drogi. „To był bardzo wysoki mężczyzna z belgijskim godłem na lewym rękawie", wyjaśnił nam wieczorem jeden z niemieckich oficerów.
O co walczyliśmy my i kapitan Anthonissen, jeśli nie o honor reprezentowania każdego dnia na europejskim firmamencie kraju niewielkiego, ale tętniącego chwałą, dumnego Leo Belgicus naszych przodków?...
Podążając w ogonie kolumny, mieliśmy do dyspozycji jedynie zwykłą polną drogę, wydrążoną w błotnistej glinie, podobnej do mazutu. Teren stawał się coraz bardziej pofałdowany.
Musieliśmy wciągać ciężarówki na kolejne wzniesienia przy pomocy ciągników. W parowach pojazdy ześlizgiwały się i przewracały.
Musieliśmy pokonywać wezbrane potoki, które na brzegach były jeszcze skute lodem.
Koła ślizgały się na nim, żłobiły coraz głębsze koleiny. Każda przeprawa przez te piekielne strumienie kosztowała nas jeden albo dwa pojazdy.

Dotarliśmy w końcu na wyżynę, na wprost lasu, w chwili kiedy zaczynał się kontratak dywizji Wiking. Dalej ruszyliśmy polną drogą, która prowadziła na południe; po kilku kilometrach skręciliśmy znów na zachód. Kiedy już podążało się w ogromnej, rozwleczonej kolumnie pojazdów, nie należało zbytnio oddalać się od poprzedzającego wozu. Droga była wąska i prowadziła wzdłuż głębokiego parowu. Jeden niezręczny ruch kierownicą i pojazd staczał się.
U stóp pagórka, na bagnach rozciągała się, rozświetlona stawem, wioska. Droga prowadziła wzdłuż wody. Szybko stała się zupełnie nieprzejezdna, zamieniając się w gęste ciasto, w kolorze węgla, głębokie na prawie metr. Musieliśmy jednak przeprawić się tamtędy. Błoto zarzucono snopkami słomy i siana, a następnie ułożono na nich strzechy zdarte z chat, drzwi, okiennice, płoty i stoły z odciętymi nogami.
Użyliśmy wszystkiego, co znaleźliśmy w wiosce. Wróg był dwa kilometry za nami i nie mieliśmy czasu się rozczulać.
I tak, po tych żałosnych szczapach, pomiędzy przygnębionymi chłopami, sto ciężarówek zdołało wydobyć się z błota, ruszyć w stronę wyżyny i w końcu dotrzeć na skrzyżowanie dróg w Dierienkowieżu.
***
O piątej wieczorem mieliśmy już pewność, że uratowaliśmy prawie wszystkich ludzi i co było jeszcze bardziej niezwykle, znaczną część naszych pojazdów.
Nie mogliśmy dłużej zwlekać. Samoloty ostrzeliwały chaty stojące przy rozdrożu. Znajdował się tam między innymi skład pocisków sygnałowych. Sowieckie myśliwce trafiły w niego: setki czerwonych, zielonych, białych i fioletowych snopów iskier wzleciały w niebo i opadły u naszych stóp, doprowadzając do obłędu nasze ostatnie konie.
Żeby dotrzeć do Dierienkowieża musieliśmy zbliżyć się do zachodniego brzegu tego przeklętego lasu, zajmowanego przez wroga. Nasza kolumna przeszła koło niego w odległości jednego, dwóch kilometrów.
Posuwaliśmy się do przodu z irytującą powolnością. Cały czas w głębokim na pół metra błocie. Niemieckie ciężarówki, które miały dojechać do Dierienkowieża, a później ruszyć do Korsunia i ciężarówki brygady Walonia, były wymieszane w długiej, ale wąskiej kolumnie. Co chwilę jakiś zakopany w błocie pojazd blokował cały ruch.
Musieliśmy łamać albo wycinać drzewka owocowe w wioskach, przez które przejeżdżaliśmy, żeby choć trochę utwardzić drogę. Część samochodów trzeba było porzucić. Spychaliśmy je z drogi uszkadzając wcześniej silniki. Większość z nas szła pieszo, górą zbocza. Mięśnie bolały nas od ciągłego wyszarpywania z błota oblepionych gliną butów.
Zbliżała się noc. Rosło napięcie. Na skraju lasu rozlegały się strzały. Nieustannie atakowały nas sowieckie samoloty.
Nagle z lasu wytrysnęła wielka czerwona kula, zaraz po niej następna. „Czołgi!" Czołgi!" zaczęli krzyczeć cudzoziemscy kierowcy, rzucając się pod pojazdy, by je podpalić przed ucieczką.
Lecz to tylko sowieckie armaty przeciwpancerne ostrzeliwały naszą kolumnę.
Nie było powodu do paniki. Już się z takimi zetknęliśmy. Tyle tylko, że niektóre ciężarówki stanęły w ogniu i zablokowały przejazd. Transportowaliśmy między innymi spore zapasy granatów i pocisków.
Rozpoczęły się eksplozje.
Wszyscy padli na przypominającą krochmal ziemię. Zdołałem wskoczyć na konia i próbowałem przemieścić ludzi i uratować chociaż kilka pojazdów.
Było już jednak za późno, cała droga płonęła. Przeszło sto ciężarówek stało w płomieniach w szaro-fioletowym zmierzchu. Na horyzoncie różowo-czerwoną wstęgę zachodzącego słońca przecinały czarne fontanny.
Spłonęły archiwa, wszystkie nasze dokumenty, całe zaopatrzenie. Uratowaliśmy jedynie nasze chwalebne sztandary, które dowódcy kompanii nosili owinięte wokół ciała, pod kurtką, od pierwszego dnia odwrotu.
***
W nocy kilkuset ludzi o nogach spuchniętych i obolałych od marszu, nękanych sowieckim ostrzałem, wyruszyło wyboista drogą do Dierienkowieża. Błoto przypominające rzekę lawy spływało potężnymi wstęgami na samo dno wąwozu przeciętego jeziorem. Most był zniszczony. Lód na jeziorze stopniał. Musieliśmy więc pokonywać ten bezkresny mrok brodząc po pas w wodzie.
Na wschód od Dierienkowieża wróg był od dwóch dni wyjątkowo agresywny. Na północy napierał na drugą kompanię, która w chwili naszego przybycia wpadała właśnie jak bomba do schronów.

Na południowym wschodzie wróg prowadził pościg, ostrzeliwując nas nieprzerwanie z armat przeciwpancernych.
Zaczął padać ulewny deszcz. W nocy szliśmy po omacku, pod ostrzałem z sowieckich karabinów maszynowych, co chwila padaliśmy w błoto zaplątani w broń, wyczerpani i prawie u kresu nadziei.

Przyczółek

Brygada szturmowa Walonia dokładnie wykonała rozkaz i dotarła do przyczółka w Dierienkowieżu.
Jednak bardzo szybko znaleźliśmy się w piekielnie trudnym położeniu.
Byliśmy rozmieszczeni w podkowę wokół wioski, frontem na północ, północ-ny-wschód i wschód.
Pomiędzy ramionami podkowy, za naszymi plecami, biegła na południe droga do Korsunia. Strefa bezpieczeństwa tej szosy malała z godziny na godzinę. Rosyjskie czołgi napierały na pozycje Wehrmachtu na zachodzie korytarza. Zewsząd dokuczali sowieccy snajperzy. Od czwartku rano strzelali do kolumny, która usiłowała jak najszybciej pokonać trasę z Dierienkowieża do Korsunia.
Strefa względnego bezpieczeństwa w ciągu niecałego dnia skurczyła się z dwudziestu do jednego, dwóch kilometrów.
Druga strona drogi, flanka wschodnia i południowo-wschodnia, teoretycznie była dobrze osłaniana. Pułk SS Westland miał za zadanie powstrzymać napór wroga w tym kierunku, około dziesięć kilometrów od doliny. Dzięki tej osłonie nasz przyczółek na północnej rubieży korytarza będzie mógł stawiać opór tak długo, jak będzie to konieczne, co z kolei pozwoli na spokojne i planowe połączenie wszystkich oddziałów w Korsuniu.
Niestety pułk Westland już od czwartku znajdował się w bardzo ciężkiej sytuacji. Fala Rosjan odrzuciła go aż pod ostatnie wzniesienie, które osłaniało naszą drogę, znajdujące się w połowie drogi pomiędzy Dierienkowieżem a Korsuniem, czyli około siedem kilometrów za nami.
Wszystko było niemal stracone. Korytarz miał nie więcej niż kilkaset metrów szerokości. Kule przecinały go z obu stron.
Kiedy generał Gille dowiedział się o tym fakcie, wpadł we wściekłość. Telefonicznie zrugał dowódcę pułku Westland i dał mu kategoryczny rozkaz natychmiastowego odbicia utraconego terenu.
Jednak w międzyczasie zwycięskie oddziały sowieckie ruszyły w kierunku Dierienkowieża, by zaatakować nas od tyłu: wyłoniły się wczesnym popołudniem w pobliżu chat w południowo-wschodniej części wioski, chat, które dominowały nad całą osadą.
Dierienkowież był wioską rozciągniętą, o nieuporządkowanej zabudowie. Czerwoni zajęli zabudowania o największym znaczeniu taktycznym. Wieczorem zdążą już zainstalować tam swój ciężki sprzęt. Ostrzeliwując nas z każdej strony, zmiażdżą nas za pomocą granatów i artylerii.
Dysponowaliśmy jeszcze kilkoma oddziałami.
W każdym nieszczęściu można znaleźć jakieś ratunek. Setki bezrobotnych kierowców ciężarówek i artylerzystów bez dział stanowiły rezerwy, które powiększały się w miarę, jak błoto pochłaniało nasze tabory.
Szybko zrobiliśmy z nich piechurów, którzy posiłkowali zdziesiątkowane kompanie.
Oficer artylerii, porucznik Graff, został wysłany na czele grupy pięćdziesięciu swych dawnych artylerzystów do Dierienkowieża, w celu odbicia wzniesienia.
Chodziło o honor broni. Artylerzyści, z których często kpili piechurzy-liniowcy, chcieli pokazać na co ich stać. Dali Sowietom niezłą nauczkę i zdołali odrzucić ich dwa kilometry na południowy-zachód. Pojmali wielu jeńców, a na koniec zajęli szturmem młyn i zabudowania gospodarcze na wzniesieniu.
Żołnierze pułku Westland byli mocno zaskoczeni, kiedy kontratakując dotarli do pozycji, które stracili kilka godzin wcześniej, i ujrzeli tam grupkę ubłoconych, ale szczęśliwych Belgów, którzy z granatami za pasem skubali kury, kroili boczek w plastry i ogórki w talarki, szykując ucztę...
***
Zdołaliśmy utrzymać pozycję. Nasi artylerzyści byli dumni. A gospodarstwo dobre.
Jednak zewsząd zagrożenie zbliżało się nieuchronnie. Wschodnia część Dierienkowieża była wystawiona na wściekłe ataki. Hordy Mongołów wyłaniały się na skraju pola i z wrzaskiem rzucały się na nasze cherlawe stanowiska. Zostaliśmy wyparci z osady.
Wieczorem sytuacja wyglądała następująco: przyczółek w Dierienkowieżu był prawie zgnieciony, za nami, w połowie drogi z Dierienkowieża do Korsunia, we wsi Arbuzino, korytarz zachował zaledwie minimalną strefę ochronną. W każdym momencie mogła zostać przerwana. A wtedy znaleźlibyśmy się w Dierienkowieżu jak w pułapce i nasz los zostałby szybko przesądzony.

Z drugiej strony, wróg mógłby wyruszyć z Arbuzino prosto na Korsuń, gdzie pięćdziesiąt tysięcy ludzi, unieruchomionych błotem, podobnie jak cały sprzęt, ledwie zaczęło się przegrupowywać w oczekiwaniu na ratunek, który miał nadejść z południowego-zachodu.
Lecz ten ratunek wydawał się coraz bardziej wątpliwy. Kolumna niemieckich czołgów, która miała nas wyzwolić, znajdowała się jeszcze czterdzieści kilometrów od Korsunia. Podobnie jak my borykała się z gęstym błotem. Wszędzie sytuacja była bardzo trudna. Wieści tragiczne.
Oddziały zamknięte w okrążeniu były u kresu sił. Nie było już prawie amunicji. Brakowało żywności.
Ludzie byli półżywi ze zmęczenia.
Czy długo jeszcze damy radę opierać się naporowi wroga, który czuł, że jesteśmy u progu agonii?... Czy czołgi z zachodu będą w stanie zrobić jeszcze jeden wysiłek i przełamać okrążenie przedzierając się przez to niewiarygodne błoto?...
Oceniając optymistycznie, pozostało nam najwyżej kilka dni, po których w końcu ulegniemy...
Poufny komunikat, który nadszedł w nocy ze sztabu dywizji do dowódcy naszej brygady, nie pozostawiał żadnej nadziei: „Istnieje cztery, pięć procent szans, że uda się nam uniknąć całkowitego rozbicia".
Na niewielkim stanowisku dowodzenia, w ulewnym deszczu, spoglądaliśmy na siebie z przerażeniem.
W myślach widzieliśmy twarze naszych dzieci. Nadchodziła godzina, w której mieliśmy wszystko utracić...
***
Noc z czwartku 10 na piątek 11 lutego 1944 roku minęła na licznych i chaotycznych starciach.
Nie widzieliśmy dalej jak na metr. Powietrze było przesiąknięte wilgocią; ziemia zamieniła się w rzekę, w której zapadaliśmy się po kolana.
Rosjanie mnożyli się niczym ropuchy w ciemnym mule. Przemykali pod osłoną mroku.
Z pewnego miejsca co minutę lub dwie wylatywała kula. My potrzebowaliśmy piętnastu minut, aby zlokalizować, gdzie powinien ukrywać się snajper. Znajdowaliśmy jedynie kałużę, niczym nie różniącą się od innych. Strzelec zdążył już przemknąć cichaczem do innej ciemnej jamy wypełnionej wodą. Zaledwie oddalaliśmy się na kilka kroków, już nadlatywały kolejne kule z ostrym, przenikliwym i drażniącym gwizdem.
Wokół nas pociski krzyżowały się i wybuchały uderzając w ściany, drzwi, dachy.
Ludzie, od ośmiu dni pozbawieni snu, w ubraniach lepiących się do ciał, byli bliscy szaleństwa.
Co pół godziny dywizja dzwoniła na stanowisko dowodzenia:
„Musicie wytrzymać! Musicie wytrzymać! Musicie wytrzymać!" Niebawem musieliśmy odbić ukryty w ciemnościach opuszczony dom.
Rosjanie wkradali się między nas: chwytaliśmy ich w ciemnościach i doprowadzaliśmy na stanowisko dowodzenia. Wyglądali jak bagienne potwory: oblepieni błotem, zarośnięci, o płaskich i czerwonych policzkach, szczerzyli w uśmiechu żółte zęby.
Powtarzali, że są dziesięć razy silniejsi od nas. Potem połykali cokolwiek i zasypiali gdziekolwiek, jak zwierzęta, pochrapując, mrucząc i roztaczając przyprawiający o mdłości smród potu i mokrych ubrań.

Minus pięć

W piątek rano Dierienkowież jeszcze się trzymał.
Zachodnia i wschodnia flanka drogi do Korsunia utrzymały się, mimo że Sowieci zdołali przedostać się w kolczaste krzewy i gęstwinę rosnącą dosyć blisko drogi.
Rosjanie zresztą wiedzieli lepiej od nas, jak naprawdę wyglądała nasza sytuacja. Od wielu dni ich samoloty zrzucały nam ulotki z mapą, w których opisywali naszą beznadziejną sytuację. Przedstawiali listę okrążonych jednostek, kładąc szczególny nacisk na „brygadę zmotoryzowaną Walonia".
Robili wyraźne postępy w sztuce propagandy. Regularnie pojawiała się biała flaga, podchodził sowiecki żołnierz i oddawał kopertę adresowaną osobiście do dowódcy dywizji albo korpusu. Był w niej napisany ręcznie list od niemieckiego generała, który dostał się do niewoli i przeszedł na stronę wroga. Z naciskiem proponował w imieniu swych sowieckich panów godną kapitulację kotła. Każdego dnia przysyłano nam tą samą drogą zdjęcia jeńców pojmanych poprzedniego dnia, siedzących przy stole z tymże generałem, żyjących, przetrzymywanych w doskonałych warunkach.

W piątek 11 lutego 1944 roku o godzinie jedenastej załopotała nieśmiertelna biała flaga i pojawiło się tym razem dwóch nienagannych, rosyjskich oficerów. Mieli wiadomość od naczelnego dowództwa sowieckiego do głównodowodzącego okrążonych wojsk.
Właściwie było to ultimatum.
Dwaj oficerowie przeszli na tyły naszych pozycji i zostali przyjęci z kurtuazją. Ultimatum Sowietów było jasne i precyzyjne: „Albo się poddacie i potraktujemy was jak kombatantów, albo o godzinie trzynastej zacznie się ostateczne natarcie".
Ultimatum zostało kategorycznie odrzucone. Odwieźliśmy przez błoto trzęsącym ciągnikiem dwóch rosyjskich oficerów aż do ich linii.
Nie czekaliśmy długo na odpowiedź Sowietów.
Już po południu dookoła całego, strasznie okrojonego kotła pojawiła się Armia Czerwona.
Przypuszczane z szaloną zaciętością ataki na nasz przyczółek i na drogę Dierienkowież-Korsuń postawiły nas w obliczu coraz wyraźniej rysującego się i coraz bardziej przerażającego widma zagłady.
Dwa dni wcześniej siły niemieckie skupiły się w Korsuniu. Wiedzieliśmy, że ostateczna bitwa zacznie się niebawem, że dziesiątki tysięcy ludzi zajmą pozycje i rzucą się do ataku z prawdziwą determinacją. Radiotelegram z naczelnego dowództwa niemieckiego przyrzekał nam pomoc: ostatkiem sił wyślą nam na spotkanie z drugiej strony kotła wszystkie czołgi, jakimi jeszcze dysponują.
My natomiast musieliśmy zagrać va banque.
Rosjanie byli przekonani, że jesteśmy bez szans.
Jednak od dwóch tygodni ich usiłowania przynosiły fiasko. Chcieli jak najszybciej uwieńczyć polowanie. Kiedy ultimatum zostało bezceremonialnie odrzucone, ze wszystkich stron ruszyło natarcie.
***
Wieczorem korytarz do Korsunia był jeszcze cieńszy, ale w Dierienkowieżu nasza brygada nie oddała ani pędzi ziemi, ani metra płotu.
Nasi żołnierze siedzieli mocno w swoich strzeleckich dołkach, jak kołki w płocie. Na nic już nie zwracali uwagi: nie zaskoczyłyby ich już nawet spadające z nieba czołgi.
Otrzymaliśmy nowe rozkazy. Sytuacja była tak poważna, że przyspieszono przebijanie się. Następnego dnia, w sobotę 12 lutego 1944 roku okrążone wojska podejmą ostateczną próbę przebicia się przez oddziały wroga w kierunku południowo-zachodnim. O godzinie czwartej rano mieliśmy opuścić Dierienkowież i wyruszyć na spotkanie z odsieczą szturmującą z południa, z drugiej strony kotła. Pułk Westland miał zorganizować z oddziałów osłaniających tyły zaporę na wysokości Arbuzino, osłaniającą Korsuń.
Ale była dopiero siódma wieczorem.
Ach! To wyczekiwanie było straszne!
Prawie wszystkie linie były zniszczone, pozrywane.
Czy zdołamy utrzymać się jeszcze przez dziewięć godzin, jak wymagały tego rozkazy?
Czy nagle cały przyczółek nie załamie się i nie zostanie doszczętnie zniszczony?
Kule uderzały w pofalowane dachy, chłostane ulewą. Nigdy na ziemi nie padał tak ulewny deszcz. Ze wszystkich stron słychać było zbliżające się okrzyki.
O pierwszej w nocy nasze wysunięte do przodu pozycje po stronie wschodniej zostały ewakuowane. Rosjanie, podobni prawdziwym błotnym i nocnym płazom, zdążyli już przeniknąć pomiędzy chaty. Nasi ludzie już nie strzelali, w milczeniu zeszli w stronę wezbranego stawu, szerokiego na kilkaset metrów i przeprawili się, brodząc po pas w wodzie i niosąc broń wysoko nad głową. W ciemnościach dokładnie widzieliśmy czarną falę, z której wyłonili się mokrzy jak foki.
Na północnym zachodzie i na zachodzie ostrzał był silniejszy. Kule miauczały, wbijały się, albo rozpłaszczały na przeszkodach.
Nagle huczący, długi stłumiony dźwięk wprawił nas w osłupienie: czołgi!
Sowieckie czołgi, które nadciągały z północnego zachodu, zatrzymały się kilkaset metrów od nas. My tymczasem usiłowaliśmy dobiec do kamienistej drogi, gdzie w mroku stały w szeregu nasze ostatnie ciężarówki. Tylko one mogły nas uratować w ostatniej chwili.
Ten chrzęst ogniw gąsienic oznaczał śmierć! Nie minie nawet pięć minut i nadejdzie katastrofa.
***
Skoczyłem w stronę armaty przeciwpancernej, ustawionej w pobliżu drogi. Odwróciłem ją przy pomocy jakiegoś żołnierza. Na moje wezwania podbiegli pozostali i obrócili drugą armatę. Zaczęliśmy strzelać ogniem na wprost, zmuszając wrogie czołgi do zatrzymania się.

Było w pół do drugiej rano.
Pod osłoną czołgów rosyjska piechota podczołgała się na kilkanaście metrów od nas. Strzelali na chybił trafił w kierunku czarnej drogi.
Musieliśmy cały czas to przesuwać do przodu, to wycofywać ciężarówki, czekając, aż setki towarzyszy przeprawią się w końcu przez błotnisty staw.
W miarę jak do nas docierali, wdrapywali się całą gromadą na samochody. Jednak za każdym załadunkiem kilku ludzi spadało na drogę, trafionych przez Sowietów.
O czwartej rano dołączyli do nas ludzie z ostatniego plutonu tylnej straży. W pośpiechu doczepiliśmy dwie ostatnie armaty przeciwpancerne do dwóch ostatnich ciężarówek.
Nasz przyczółek w Dierienkowieżu utrzymał się gładko do samego końca, co do minuty.
Przejechaliśmy przez płonące Arbuzino. Pułk Westland skrył się za płomieniami. Nieco dalej leżało smutno kilka samolotów z nosami w błocie.
O świcie dotarliśmy do pierwszych zabudowań Korsunia. Nasza brygada postawiła sobie za punkt honoru, by godnie zejść z ciężarówek. Zebraliśmy resztki sił i wkroczyliśmy do miasta w idealnie równych szeregach, z wysoko podniesionymi głowami, ze śpiewem na ustach, jak na paradzie.

Wymarsz z Korsunia

Korsuń był przepięknym miastem.
Od południowego-wschodu oświetlało je głębokie jezioro, długie na kilka kilometrów. Jezioro, otoczone zielonymi, niebieskimi, białymi i rudawymi chatami, rozrzuconymi u stóp wzgórz porośniętych rdzawymi drzewkami i ozdobione jak lamówką piaszczystą drogą, kończyło się olbrzymią zaporą. Woda spływała na potężne czerwone i zielone skały, z hukiem rozdzielała się, opływając z dwóch stron gładką wysepkę, na szczycie której wznosił się stary biały klasztor, ozdobiony wytwornymi orientalnymi festonami.
Pięćdziesiąt metrów nad spienioną wodą, na przepięknym, stromym i cienistym brzegu, gdzie docierał wagnerowski grzmot spadającej z zapory wody, zostali pochowani wszyscy polegli z dywizji Wiking i z brygady szturmowej Walonia.
Po każdej walce przynosiliśmy kolejne ciała na to piękne i majestatyczne miejsce spoczynku.
Stamtąd będą patrzeć jak odchodzimy wzdłuż wielkiego jeziora, w stronę ofiary albo wyzwolenia...
***
Rozmiary kotła zostały zredukowane do minimum: kilka kilometrów frontu na północ od Korsunia; kilka kilometrów na południowy-zachód; podwójna kurtyna ochronna złożona z oddziałów osłaniających tyły. To wszystko.
Na początku kocioł był rozległy jak Belgia. Teraz był mniejszy od francuskiego departamentu.
Wróg atakował bezlitośnie i musieliśmy za wszelką cenę w miarę odwrotu odzyskiwać na południowym-zachodzie kilometry utracone na wschodzie i na północy. Fale niemieckiego natarcia musiały przed wieczorem zająć co najmniej siedem kilometrów na południowym-zachodzie, jeśli nie chcieliśmy, aby pięćdziesiąt tysięcy ludzi w kotle udusiło się w ścisku.
Lecz o jedenastej rano, kiedy razem z dowódcą odbieraliśmy rozkazy z dywizji, zobaczyliśmy jak generał Gille stojący przy aparacie telefonicznym nagle spurpurowiał. Dostał tragiczną wiadomość: Arbuzino, które miało służyć za zaporę aż do następnego dnia, właśnie wpadło w ręce Rosjan!
Ich oddziały pędziły na Korsuń!
Generał chwycił w garść swą grubą laskę, wskoczył do volkswagena i ruszył w kierunku Arbuzino.
Trudno było oprzeć się wściekłości generała Gillego. Wioska została jednak odbita, a osłona odtworzona.
Czas był najwyższy.
***
Szturm naszych dywizji na południowym-zachodzie trwał od kilku godzin. Nie zakończył się jednak powodzeniem, jak życzyło sobie tego niemieckie dowództwo. Czerwoni stawiali zaciekły opór. Zdobyto wioskę położoną sześć kilometrów od Korsunia. Na flankach zanotowano kilka lokalnych sukcesów.
Wróg jednak zaciskał cały czas wokół nas swe kleszcze. Potrzebny był szybki i diametralny przełom. W przeciwnym przypadku za dzień, może dwa będzie z nami koniec.
Żądano od nas nadludzkiego wysiłku.
Od ośmiu, dziesięciu dni oficerowie i żołnierze nie mieli ani chwili odpoczynku. Żyliśmy tylko dzięki tej nieludzkiej energii, która rodzi się kiedy człowiek czuje zbliżającą się śmierć.

Odkąd opuściliśmy Moszny, czyli od przeszło tygodnia, nie spałem ani godziny. Walczyłem z sennością przy pomocy tabletek „Pervitiny", narkotyku, jaki dawano pilotom, żeby nie zasypiali podczas długich lotów.
Rzeczywiście nie można było znaleźć ani chwili wytchnienia: telefony w punkcie dowodzenia dzwoniły w nocy po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt razy; co chwilę wróg przerywał linię obrony: musiałem udawać się do krytycznego punktu, zbierając po drodze wszystkich napotkanych ludzi i ruszać z nimi na złamanie karku do kontrataku.
Każdy z nas był kłębkiem nerwów. Jak długo wytrzymają jeszcze nasze nerwy?
***
Amunicja została prawie całkiem zużyta podczas zaciętych walk ostatnich dwóch tygodni. Od ośmiu dni nie mógł wylądować żaden samolot. Tylko dzięki zrzutom okrążone wojska miały jeszcze czym walczyć.
Tuż po przybyciu do Korsunia usłyszeliśmy na deszczowym i zachmurzonym niebie warkot samolotów. Mgłę przebiła chmura białych spadochronów.
Najpierw pomyśleliśmy, że to desant Sowietów, ostatnia faza boju.
Potem zobaczyliśmy, że pod jedwabnymi czaszami zamiast ciał wiszą wielkie srebrne cygara! Każde z nich zawierało dwadzieścia pięć kilogramów naboi albo małe pudełka skoncentrowanej, gorzkiej czekolady, która pomagała odpędzić senność. Dzięki tej powietrznej pomocy każda jednostka mogła otrzymać znaczne ilości amunicji.
Korsuńskie piekarnie zdążyły jeszcze wypiec ostatnią partię żytniego chleba. Razem z zrzuconą ze spadochronem czekoladą była to ostatnia żywność, jaką rozdaliśmy żołnierzom 13 lutego 1944 roku.
Biorąc chleb każdy żołnierz widział, że był to jego ostatni chleb przed śmiercią lub przed zwycięstwem.
Mieliśmy wyruszyć o dwudziestej trzeciej w stronę walk toczących się na południowym zachodzie .
Łudziliśmy się jeszcze, gdyż niemieckie dowództwo rozmyślnie przekazywało informacje fałszywe, to znaczy optymistyczne. Z pewnością lepiej było nie wyjawiać wszystkiego. Gdybyśmy znali prawdę, odechciałoby się nam jakiegokolwiek wysiłku.
Słuchając wyższych oficerów nasza niedola miała skończyć się nazajutrz, w niedzielę. Pozostało do pokonania zaledwie kilka kilometrów.
Wierzyliśmy im, ponieważ człowiek chętnie daję wiarę informacjom zgodnym z jego oczekiwaniami.
Rano w kotle przestało padać. Wieczorem na niebo wyszedł księżyc. Uznaliśmy to za dobrą wróżbę. Korsuń lśnił słabo.
Na niebie widać było delikatną srebrną poświatę. Powietrze zrobiło się ostre. Przy pomocy kilku „Pervitin" w końcu dojdziemy do zwycięstwa!
***
Straciliśmy wiele ciężarówek.
Lecz poległo także wielu żołnierzy. Każdy z nas znalazł więc miejsce na ciężarówkach, które jeszcze zostały. Nasza kolumna dotarła w środku nocy do jeziora na rogatkach Korsunia, które lśniło biało-niebieskim blaskiem.
Wojsko przeprawiło się przez jezioro po drewnianym moście, prawie kilometrowej długości, ustawionym przez saperów na szczycie zapory. Most nie był dostatecznie szeroki, aby jeździć po nim w obydwu kierunkach. Zastopowało to kolumnę na kilka godzin. Mimo to przeprawa przez jezioro tysięcy samochodów z kotła obyła się bez przeszkód.
Wróg był bardzo blisko, ludzie byli zdenerwowani, nic jednak nie mąciło żelaznej dyscypliny pilnowanej przez żandarmów.
Pomimo zmęczenia, z podziwem obserwowaliśmy tę doskonale działającą maszynerię, opanowane dowództwo, planowy odwrót wykonywany co do minuty: intendentura, dystrybucja paliwa i amunicji, manewrowanie, telefon, radio, wszystko działało z idealną precyzją przez te wszystkie upiorne tygodnie. Nawet najmniejsze ziarenko piasku nie zatrzymało zębatych kół tej maszyny. Działała precyzyjnie mimo chaotycznej koncentracji oddziałów, atakowanych w dzień i w nocy, mimo utraty znacznej części sprzętu, który utonął w roztopowym błocie lub spłonął na drogach.
Tamtej nocy wszystko zależało jednak od kilkudziesięciu metrów kwadratowych desek! Gdyby jakiś śmiały pilot rzucił się razem ze swą maszyną w sam środek zapory, nasz drewniany most zostałby zerwany i już żadna niemiecka ciężarówka nie opuściłaby Korsunia.
Ale żaden wrogi pilot nie próbował tego uczynić lub też żaden sowiecki generał na to nie wpadł.
***
Nie posunęliśmy się już dalej na południowy-zachód.

Ale cofnęliśmy się znacznie na północ: nie tylko Arbuzino, utracone rano, zostało ponownie, tym razem definitywnie, stracone wieczorem, to znaczy dwanaście godzin za wcześnie, a na dodatek Rosjanie w pogoni za wycofującymi się oddziałami wkroczyli do Korsunia.
Tak, do Korsunia!
Wyszliśmy z miasta o jedenastej wieczorem: Sowieci zajęli je tuż nad ranem!
Mieliśmy niezwłocznie udać się do wioski Nowo-Buda, która na mapie osłaniała od wschodu miejscowość, o którą tak zaciekle walczono — Szenderowkę.
Nowo-Buda... dosyć dziwna nazwa. Wioska wznosiła się w oddali na długim wzniesieniu, którego zbocza opadały na wschód i zachód.
Ruszyliśmy gęsiego w drogę.
Wszystko, co pozostało z niemieckiej artylerii, bombardowało domy Szenderowki, w których zabarykadowali się Rosjanie.
Skręciliśmy w lewo. Mijaliśmy ciała niedawno zabitych niemieckich żołnierzy.
Wszędzie było straszne błoto. Co jakiś czas przelatywały tuż nad nami sowieckie samoloty. Rzucaliśmy się na ziemię niemal zapadając się. Leżeliśmy tak, aż eskadra oddaliła się. Takie bombardowanie powtórzyło się dziesięć razy. Pokonanie czterech kilometrów lepkich pół zajęło nam trzy godziny.
W końcu weszliśmy do Nowo-Budy. Wioska był cichsza od cmentarza. Czerwoni, ku ogólnemu zaskoczeniu, zostali z niej wyparci dosłownie chwilę wcześniej przez dwa pułki Wehrmachtu. Wróg porzucił w wiosce doskonałe działa i około dwudziestu ciężarówek Forda.
Jednak to nieoczekiwane zwycięstwo nikogo nie zwiodło.
Od południowego wschodu nadciągało piętnaście sowieckich czołgów. Doskonale widzieliśmy jak suną drogą.
Zatrzymały się osiemset metrów od wioski.

Nowo-Buda

Dwa niemieckie pułki, które zdobyły Nowo-Budę, miały zostać zluzowane przez nas następnego dnia, 14 lutego, przed wschodem słońca. Dowódca Brygady Walonia Lippert i ja udaliśmy się do punktu dowodzenia, aby dowiedzieć się od pułkownika, który dowodził odcinkiem, jak wygląda sytuacja.
Po drodze mieliśmy czas na gorzkie przemyślenia. Wioskowe drogi z ubitej ziemi — dwie głębokie, równoległe koleiny, wciśnięte między wysokie brzegi — były wypełnione wodą w sposób trudny do wyobrażenia. Miejscami woda miała półtora metra, albo i więcej głębokości. Żeby gdziekolwiek dotrzeć, trzeba było przechodzić balansując po wąskich i śliskich jak krochmal skarpach.
U niemieckiego pułkownika panował posępny nastrój.
Wioska została zdobyta bez walki. Przed świtem dwa pułki podeszły chyłkiem pod chaty i zdołały wywołać wśród, zaatakowanych od tyłu, Rosjan panikę. Wróg rzucił się do chaotycznej ucieczki, porzucając nawet armaty przeciwpancerne.
Rosjanie szybko jednak odzyskali zimną krew. Kontratak wyruszył zataczając wielki łuk z północnego-wschodu na południe od Nowo-Budy.
Według pośpiesznie ustalonego planu Nowo-Buda została odbita na kilka godzin dla ochrony flanki ogromnej kolumny, która po zajęciu Szenderowki miała ruszyć na południowy-zachód. Ale Szenderowka nie była jeszcze całkowicie opanowana. A poza tym za Szenderowka należało spodziewać się zaciekłego oporu, biorąc pod uwagę fakt, że wróg powstrzymywał niemieckie natarcie przez dwa dni i jedną noc. Nowo-Buda, pozycja przejściowa, stała się teraz kluczową. Jeśli wróg odbije Nowo-Budę, będzie musiał już tylko pokonać jakieś cztery kilometry, żeby odciąć drogę za Szenderowka i doprowadzić do finalnej tragedii.
Niemiecki pułkownik obawiał się takiej możliwości. Nasz sektor miał do obrony zaledwie pięć czołgów i nasze ostatnie armaty przeciwpancerne. Te były jednak prawie bez amunicji i z trudem przemieszczaliśmy je przez wyjątkowo głębokie błoto.
By zastąpić trzy tysięcy ludzi z dwóch niemieckich pułków, które miały opuścić pozycję pod koniec nocy, mieliśmy tylko tysiąc żołnierzy Brygady Walonia, armię kucharzy, księgowych, kierowców, mechaników, kwatermistrzów, telefonistów, wspieranych przez sędziego, dentystę, aptekarza i listonosza, wcielonych do dziewięciu zdziesiątkowanych kompanii liniowych.
Oficerowie ze sztabu niemieckiego pułku czekali oparci łokciami o stoły, zakrywając twarze dłońmi.

Nikt nie mówił ani słowa. Niemcy zastanawiali się, czy będą mieli szczęście i uda im się przetrzymać noc bez sowieckiego kontrataku. My natomiast zastanawialiśmy się, czy będziemy mieć pecha i kontratak zacznie się, kiedy Niemcy już zluzują pozycję.
Zapadła noc. Nasze kompanie przybyły we mgle, w postrzępionych mundurach, porzucając po drodze, w ciężkim błocie, maruderów.
Kiedy już wkroczyliśmy do Nowo-Budy, ludzie zajmowali pierwszą z brzegu chatę. Większość waliła się na ziemię w jakimś kącie, półżywa z wyczerpania.
Bardziej wytrzymali rozwieszali przemoknięte kurtki i spodnie nad ogniskiem z łodyg kukurydzy.
0 drugiej nad ranem zaczęto krzyczeć i łomotać do wszystkich drzwi po kolei. Nieszczęśni łącznicy przedzierali się przez błoto i zbierali całą brygadę.
Nałożyliśmy ubrania, sztywne jak blacha. Każdy oczyścił, jak mógł, swój karabin albo pistolet maszynowy. Setki ludzi wychodziły z chat w chłód nocy i natychmiast wpadały do stojącej na drogach wody. Szli dalej zygzakami, ciskając przekleństwa.
Potrzebowaliśmy dwóch godzin, aby jako tako przegrupować kompanie. Biedni chłopcy, oblepieni błotem, wyczerpani, głodni, spragnieni, mogli jedynie napić się deszczówki... Musieliśmy zaprowadzić ich do jam, z których wychodzili zataczając się niemieccy piechurzy: „Dalej, stary, właź... tylko nie zaśnij... miej oczy szeroko otwarte, oni tu są!"
Rzeczywiście byli tu, nie tylko Rosjanie z Europy, ale i Mongołowie, Tatarzy, Kałmucy, Kirgizi, którzy od tygodni, jak dzikie zwierzęta, znosili marsz w gliniastym błocie, odpoczynek w zaroślach, nędzne pożywienie zdobywane na opustoszałych polach, gdzie kilka miesięcy wcześniej rosły słoneczniki i kukurydza.
Byli tu, pewni swych pistoletów maszynowych z siedemdziesięciostrzałowymi magazynkami, pewni swych granatników, pewni swych „organów Stalina", których salwy rozcinały ciszę nocy.
Byli tu.
I było tu piętnaście czołgów. W przerażeniu nasłuchiwaliśmy w ciemnościach odgłosów odpalania ich silników.
***
Wyżsi oficerowie niemieccy, którzy siedzieli z nami, czekali aż wybije piąta.
Przy pomocy mapy, przedstawili nam sytuację. Na północnym-wschodzie rozciągała się wielokilometrowa pustka: z tej strony nie było możliwości nawiązania kontaktu.
Na wschodzie i na południowym wschodzie pozycje były rozsiane wzdłuż skraju wioski, w której wróg ponownie skoncentrował siły. Oczywiście nigdzie nie było ciągłości.
Pięć czołgów pozostawało do naszej dyspozycji, pięć starych, żałosnych, zużytych czołgów: musieliśmy jednak zadowolić się tym, co było.
Zbliżała się godzina piąta.
Nagle niemiecki pułkownik kazał wszystkim zamilknąć: przeciągły klekot czołgowych gąsienic narastał w ciszy kończącej się nocy!
Pułkownik wstał, zebrał mapy, dał znać członkom sztabu. Jego oddziały, zastąpione przez nasze, opuściły już wioskę. Nie miał żadnego powodu, żeby zostawać w Nowo-Budzie. Decydując się na pozostanie z nami na czas potyczki ryzykował, że zostanie odcięty z dala od swych ludzi.
Chwilę później zniknął.
Komendant Lippert nasłuchiwał nieruchomo.
Hałas czołgów umilkł, powróciła cisza. Wrogie czołgi zmieniły pozycje. Nic więcej.
Nic się nie działo przez następne dwie godziny.
Żołnierze, którzy pilnowali flank, przecierając niewyspane oczy wpatrywali się w zakręt na końcu wzniesienia, za którym schroniły się sowieckie czołgi. Serie pocisków z „organów Stalina" co jakiś czas spadały na wioskę, którą zajmowało już tylko nasze dowództwo.
To musiało źle się skończyć.
O godzinie siódmej głośny, płaski dźwięk silników czołgowych wypełnił po raz drugi Nowo-Budę.
Pięć niemieckich czołgów włączyło silniki i rozpoczęło zmieniać pozycję. Ludzie biegali w błocie nie patrząc na nic, ani niczego nie słysząc.
Trzy pociski czołgowe, wystrzelone z bardzo bliskiej odległości, przeleciały przez naszą chatkę. Wszystko zwaliło nam się na głowy. Zostaliśmy na wpół pogrzebani gruzami.
Ja dostałem potężnym odłamem w brzuch. Odgrzebałem się i z trudem podniosłem, obsypany od stóp do głów żółtym pyłem ze strzechy. Po obu stronach ruin domu biegli żołnierze krzycząc.
Goniły ich sowieckie czołgi. Jeden z nich już nas minął.

Dwustu poległych

Rosjanie przypuścili atak na Nowo-Budę.
Porwaliśmy w pośpiechu pistolety maszynowe i wybiegliśmy, Lippert i ja, w środek pięćdziesięcioosobowej grupy. Dwie równoległe drogi, pomiędzy którymi się znajdowaliśmy, zadudniły czołgami.
Piętnaście nieprzyjacielskich czołgów przetoczyło się po stanowiskach strzeleckich. Ludzie zostali zmiażdżeni w błocie ich gąsienicami, albo zmasakrowani przez wrzeszczące hordy Azjatów, którzy podążali w ślad za nimi.
Pięć niemieckich czołgów wycofało się do krańca wsi. Jeden z nich wrócił i stanął nos w nos z sowieckim czołgiem. Wystrzeliły prawie jednocześnie.
Jeden z rosyjskich czołgów ruszył na nas z taką prędkością, że nie zdążyliśmy zareagować. Wyrzuciło nas w powietrze. Dzwoniło nam w uszach. Spadliśmy na ziemię bezładnie, żywi przemieszani z martwymi.
Naszego niemieckiego oficera łącznikowego wbiło w gęste błoto tak, że tkwił w nim jak kołek, z głową w błocie i nogami w powietrzu. Czołgi nadal grzmiały i sunęły dwoma drogami miażdżąc piechotę, osaczoną ze wszystkich stron.
Udało mi się wczołgać do rowu. Długi, wyżłobiony, ciepły odłamek wystawał z mojej kurtki. Czułem, że zostałem trafiony w bok i w ramię, ale ciągle trzymałem się na nogach.
Przerażeni ludzie zbiegali ze wzgórz na zachód od wioski, sądząc, że wszystko już stracone. Pośrodku nich zjeżdżał ciągnik jednej z armat przeciwpancernych: w pewnej chwili przewrócił go pocisk z sowieckiego czołgu. Wyłapywałem ludzi w połowie zbocza: wsadziłem na przypadkowego konia jednego z naszych oficerów i kazałem mu pojechać jeszcze dalej i zebrać wszystkich, którzy uciekli.
Nasze ostatnie czołgi i armaty przeciwpancerne zostały zepchnięte na południe wioski. Ale nadal walczyły. I właśnie tam należało stworzyć zaporę.
***
Wszyscy wracali w kierunku zabudowań wzdłuż czerwonych płotów, przy akompaniamencie salw „organów Stalina".
Efekt tych eksplozji był niesamowity. Każda z trzydziestu sześciu rur wypluwała serię granatów, przypominających kształtem gruszki. Szare sady, sady widmowe obwieszone krwawymi owocami — strzępami ludzkiego ciała.
Mieliśmy w chacie kilka panzerfaustów, osobistą broń przeciwczołgową, której zaczęliśmy używać na Froncie Wschodnim. W tamtych czasach trzeba było poczekać, aż czołg podjedzie na dziesięć, piętnaście metrów i dopiero wtedy można było posłać mu wielkie metalowe jajko przykręcone do wydrążonej rurki. Z tyłu rurki, którą kładło się na ramieniu, wyskakiwał w chwili strzału płomień długości czterech, pięciu metrów. Ktoś, kto znalazł się za strzelającym, natychmiast stawał w płomieniach. W związku z tym nie można było posługiwać się panzerfaustem w okopach czy na ograniczonej przestrzeni, ponieważ płomień mógł objąć strzelającego i spowodować jego śmierć. Najlepiej było przyklęknąć za rogiem młyna, pod drzewem, albo w oknie i wystrzelić w ostatniej chwili.
Ryzyko był wielkie. Bo nawet jeśli jeden czołg wylatywał w powietrze, płomień z panzerfausta zdradzał pozostałym pozycję strzelca. Na odpowiedź nie trzeba był długo czekać.
Ale nasi żołnierze lubili ryzykowną grę i wyczyny, które nie wymagały cierpliwości, za to dużo odwagi. Ochotnicy przemknęli się z panzerfaustami w garści pomiędzy chatami, za stosami polan i murkami. Szybko otoczyli sowieckie wozy bojowe. Czołgi niemieckie i nasze armaty przeciwpancerne dały z siebie wszystko. Po godzinie całe południe wioski było z powrotem w naszych rękach, a pięć sowieckich czołgów stało w płomieniach, wyrzucając na dziesięć metrów ponad skarpę, snopy czerwonych i czarnych iskier.
***
Rosjanie trzymali wschód i południowy wschód Nowo-Budy. Dziewięć czołgów, jakie im pozostały, ukryło się i uniemożliwiało kontratak.
Nasze straty były przerażające: po dwóch godzinach walki mieliśmy około dwustu zabitych.
Grupy żołnierzy, którzy poprzedniego wieczora zajmowali stanowiska na błotnistych polach, z trudem wdrapywały się do nas. Rozebrano mnie i opatrzono za jednym z krzaków na wzniesieniu: odłamek, który trafił mnie w prawe ramię, ranił mnie również w bok.
Nie miało to większego znaczenia, ponieważ moja rola polegała przede wszystkim na zagrzewaniu do walki. Nogi, głos, płomienny zapał były nietknięte. To wystarczyło. Zdołałem jeszcze przegrupować przybywających ludzi, wyjaśnić im sytuację i przekazać rozkazy oficerom.

Każdy z nich mijał po drodze błędny pochód rannych i zdążył nasłuchać się opowieści sanitariuszy, jak zwykle bogatych w przerażające szczegóły.
„Organy Stalina" zaczęły swój piekielny ostrzał: przy każdej fali granatów parów wypełniał się wielkimi szarymi gejzerami wybuchów, spod których dobiegały krzyki cierpienia, wzywanie pomocy i serie z broni automatycznej.
Nasi żołnierze, przygnębieni trwającym od dwóch tygodni koszmarem, mieli dusze jeszcze cięższe niż ciała. Wioska, gdzie w błocie leżało tyle trupów, przerażała ich.
Wystarczyło jednak szepnąć im tych kilka słów, które zawsze potrafiły wypędzić lęk i oczyścić duszę.
Wszyscy byli umorusani błotem, ale uśmiechali się.
Poprawiali ekwipunek i ruszali na pomoc kolegom, którzy znajdowali się w niebezpieczeństwie.
Pogoda bardzo się zmieniła. Deszcz przestał padać od czasu, gdy na niebie w Korsuniu pojawił się księżyc. Mróz, początkowo nieśmiały, stał się bardzo przenikliwy. Wiał wiatr, ostry jak strumień lodowych igieł.
Podczas piętnastu dni morderczego marszu przez potężne grzęzawiska, ludzie, ociekając potem porzucili większość zimowego umundurowania. Baranie skóry, watowane kamizelki, ocieplane spodnie, wszystko zostało wyrzucone, sztuka po sztuce, etap po etapie. Większość żołnierzy nie miała już nawet płaszczy.
W zamęcie porannej potyczki nikt nie poczuł mrozu. Ten jednak teraz chłostał twarze, kąsał ciała, oblepione pękającym błotem pod lepkimi mundurami.
Sowieckie lotnictwo natychmiast skorzystało z bezchmurnego nieba. Samoloty przelatywały hałaśliwymi falami tuż nad naszą łysą górą. Za każdym razem musieliśmy prawie wtapiać się w ziemię, nadal rozmokłą, a kule gwizdały wokół nas, rozbijając kamienie i gałązki.
W wiosce cały czas przeplatały się ataki i kontrataki.
Nie mieliśmy już prawie amunicji. Karabiny maszynowe miały średnio po pięćdziesiąt naboi na lufę, co mogło wystarczyć na serię, trwającą kilka sekund.
***
W końcu zdesperowani żołnierze postanowili polepszyć naszą sytuację ruszając do walki wręcz.
Nasz dowódca, podpułkownik Lucien Lippert, który jako jedyny ze sztabu nie został jeszcze ranny, sam poprowadził natarcie.
Młody oficer zawodowy z armii belgijskiej, który ukończył szkołę wojskową w Brukseli z najwyższą lokatą w swojej promocji, przybył na krucjatę antybolszewicką jak prawdziwy, chrześcijański rycerz. Miał zdumiewająco regularne rysy twarzy, o świeżej cerze i poważnych, jasnych oczach. Został podpułkownikiem w wieku dwudziestu dziewięciu lat i poświęcił się wyłącznie swemu powołaniu.
Tego dnia Lucien Lippert, urodzony bohater, wykazał się przyprawiającą o dreszcze odwagą. Był mężczyzną wyjątkowo zrównoważonym, nigdy nie powiedział ani nie zrobił niczego porywającego. Czuł jednak, że właśnie teraz nadszedł taki moment.
Przeszedł z garstką Walończyków przez centrum Nowo-Budy i odbił grupę chat, zwróconych na południowy-zachód. Wróg ukrył się, a po chwili pojawił się w dziesięciu miejscach, za rogiem każdej chaty, za każdym drzewem, każdym pagórkiem. Snajperzy ostrzeliwali naszych żołnierzy.
Trzeba było jeszcze przejść ostatnią, kilkumetrową przestrzeń i dopaść do jakiegoś domu. Lucien Lippert rzucił się i podobiegł do samych drzwi.
W tej właśnie sekundzie wydał z siebie przerażający krzyk, który dotarł do końca Nowo-Budy, nieludzki krzyk człowieka, z którego nagle wyrywają życie. Padł na kolana, na jego piersi ziała olbrzymia dziura wydarta kulą rozpryskową.
Przesunął ręką po czole. Zdołał jeszcze ostatkiem sił podnieść z ziemi swoją czapkę i włożyć ją na głowę, aby umrzeć schludnie, w nienagannym umundurowaniu...
***
Musieliśmy zaciekle bronić chaty, obok której poległ, aż do chwili, kiedy nasi żołnierze płacząc skończyli grzebać jego zwłoki.
Wróg ponownie zajął ten teren.
Ale legion Walonia nie chciał zostawiać swego dowódcy na pastwę Rosjan. W nocy porucznik Thyssen, który został ranny 6 lutego i z rany nadal sączyła mu się ropa, przeczołgał się z ochotnikami, zaatakował wroga, odbił chatę, odkopał ciało i przeniósł je pod ostrzałem aż na nasze pozycje.
Złożyliśmy go na kilku deskach. Byliśmy zdecydowani przebić się przez pozycje nieprzyjaciela, niosąc jego zwłoki ze sobą, jeśli tylko jeszcze istniała możliwość zrobienia w nich wyłomu.
Chyba, że wierni przyjaźni zginiemy przy jego trumnie.

Szenderowka

Byliśmy ściśnięci w naszym kotle, jak nigdy dotąd.
We wtorek rano, 15 lutego, sytuacja nie uległa poprawie.
Okrążone oddziały zajęły całą Szenderowkę. Kosztowało to trzy dni i dwie noce bezlitosnej walki wręcz, a właściwie niczego nie zmieniało.
Najpilniejszą kwestią było przełamanie sowieckich zapór i dotarcie do niemieckich czołgów, które nadciągały z południowego-zachodu i próbowały nas wyzwolić.
Dywizje z kotła posunęły się do przodu nie dalej niż trzy kilometry na południe od Szenderowki. Natomiast za nami wróg minął Korsuń: od 12 lutego zdobył w północnej części trzy razy więcej terenu niż stracił w południowej.
W naszym posiadaniu pozostał już tylko skrawek kotła, niecałe sześćdziesiąt kilometrów kwadratowych. Do tej niewielkiej zatoczki napłynęły tłumy żołnierzy. Kiedy jeden walczył, siedmiu, ośmiu czekało w bezruchu w naszej ostatniej dolinie. Byli to kierowcy tysięcy ciężarówek, które pochłonęło błoto w trakcie odwrotu. Był to również personel służb pomocniczych: intendenci, obsługa sprzętu, personel szpitali, poczty, mechanicy.
Wioska Szenderowka stała się stolicą wojsk wycofujących się od osiemnastu dni. W tej mikroskopijnej stolicy, zniszczonej sześćdziesięciogodzinną walką, pozostały już tylko rozwalone chaty z powybijanymi szybami. W chatach znajdowały się sztaby dywizji Wiking, każdego z jej pułków i naszej brygady. W naszej ruderze, bez ognia, bez szyb, w dwóch małych pomieszczeniach bez dachu siedziało osiemdziesięciu ludzi: kilku uratowanych kancelistów, łącznicy, konający i wielu Niemców, którzy zgubili jednostki.
Rana mnie piekła. Miałem czterdzieści stopni gorączki. Leżąc w jakimś kącie, przykryty baranią skórą musiałem dowodzić brygadą Walonia. Bowiem poprzedniego dnia wieczorem obarczono mnie tym obowiązkiem. Nie było już adiutanta pułku ani żadnego oficera sztabowego. W każdej godzinie dnia i nocy docierały do nas katastroficzne wieści oraz podoficerowie goniący ostatkiem sił, ludzie chwiejący się na nogach, padający jak kłody na ziemię, albo łkający jak dzieci.
Rozkazy były nieubłagane. Nasza brygada musiała utrzymać się na skrzydle w Nowo-Budzie tak długo, jak przełamanie na południowym-zachodzie nie zostanie doprowadzone do ostatniej fazy .
Kompanie, dziesięć razy odpierane, dziesięć razy kontratakujące, zajmowały przypadkowe pozycje, wyznaczone ostatnią potyczką. Plutony znalazły się dosyć daleko na wschodzie. Połowa gońców, którzy przekazywali im rozkazy, wpadła w zastawione przez Mongołów zasadzki. Oficerowie przesyłali mi pełne przerażenia meldunki, w których informowali, że wszystko skończone. Każdy z nich widział dziesięć czołgów tam, gdzie były dwa. Wściekałem się, wrzeszczałem, wysyłałem rozkazy i ostre upomnienia. Dowódca dywizji Wiking stacjonował w sąsiedniej chacie. Cały czas dostawał pesymistyczne wiadomości od jednostek, które walczyły obok naszych. Oczywiście każdy, jak to w wojsku bywa, za swe własne porażki obwiniał sąsiada.
Zostałem wezwany. Zastałem generała Gillego stojącego nieruchomo z chłodnym spojrzeniem i zaciśniętymi zębami. Przekazał mi rozkazy sucho, jak z drewna: „Zakaz cofania się. Oficerowie ponoszą odpowiedzialność za jednostki. Pan jest odpowiedzialny za oficerów!"
Ten człowiek miał rację, wydając takie rozkazy. Tylko żelazna konsekwencja mogła nas jeszcze uratować. Jednak mimo wszystko, nie było wesoło.
Moje rozkazy dla oficerów były ostre jak brzytwa.
Biedni, drodzy chłopcy, wszyscy tak oddani i odważni, o pożółkłej, poszarzałej skórze, o zapadniętych oczach, zarośnięci, na skraju załamania nerwowego, musieli posyłać do walki setki ludzi, którzy byli u kresu wytrzymałości...
Zdołałem jeszcze zorganizować pięćdziesiąt tysięcy naboi.
Dzielne „Ju" cały czas dostarczały nam amunicję, ale granice kotła były tak zmienne, że wprowadzono ścisłą reglamentację. O określonej godzinie, kiedy samoloty zaczynały krążyć nad nami, z czterech stron wystrzeliwano w górę rakiety. Dokładnie określały wielkość naszego niewielkiego obszaru. Z góry spadały grube, srebrne cygara, wyładowane amunicją. Byliśmy uratowani na kilka godzin.
Najtragiczniejsze ze wszystkiego było zaprowiantowanie. Nie było już ani kawałka mięsa, ani skórki chleba. Nic. Zupełnie nic. Dywizja wyczerpała ostatnie zapasy jeszcze w Korsuniu. Ludzie, bez snu, trzęsący się z zimna, od trzech dni nie dostali nic ciepłego czy zimnego do zjedzenia. Najmłodsi mdleli, osuwając się na karabiny maszynowe.
***
W naszym gołębniku w Nowo-Budzie sądziliśmy, że odblokowanie kotła nastąpi w poniedziałek.
Nie nastąpiło nawet we wtorek.

Kiedy do niego dojdzie? Do tego czasu, jak nie zdechnąć z głodu, jeśli kule nas ominą?
Pożyczyłem konie, które ciągnęły wozy z rannymi do Szenderowki. Posadziłem na nich najsprytniejszych Walończyków: „Jedźcie! Szukajcie! Idźcie do najbardziej oddalonych chat, jeśli trzeba będzie przejdźcie pod nosem Rosjan! Ale przywieźcie coś, żeby zrobić chleb! Dalej! I wracajcie szybko!"
Znalazłem w oddziale kilku piekarzy. W naszej chacie był częściowo rozwalony piec. Żołnierze naprawili go.
Kilka godzin później nasi jeźdźcy wrócili z workami mąki, przerzuconymi przez siodła.
Musieliśmy jeszcze zdobyć drożdże. Nikt nie miał ani grama. Nasi dostawcy znów ruszyli na poszukiwania i w końcu znaleźli gdzieś woreczek cukru. Podobno cukier i mąka wystarczą, żeby zrobić chleb. Szybko rozpaliliśmy ogień w piecu.
Pod koniec popołudnia wysłałem na pozycje okrągłe chleby o dziwnym smaku, płaskie jak talerze. Każdy dostał ćwiartkę tych dziwacznych podpłomyków.
Inni żołnierze przyprowadzili kilka błąkających się krów.
Szybko je zabiliśmy, oporządziliśmy, poćwiartowaliśmy przy pomocy prowizorycznego noża rzeźnickiego na setki kawałków.
Nigdzie nie mogliśmy znaleźć patelni. Kazałem rozpalić w drzwiach ognisko. Kulawi, niezdolni do walki dostali patyki albo szpikulce. Mieli za zadanie upiec na ogniu krwawe kawałki mięsa.
Oczywiście nie mieliśmy ani soli, ani żadnych przypraw. Ale dwa razy dziennie wszyscy na pozycjach dostawali kawałek krowiego mięsa, mniej lub bardziej upieczonego, który żołnierze rozszarpywali zębami, jak Irokezi.
Chciałem nawet ugotować dla brygady zupę.
Dwa kilometry na północ od Szenderowki stała kuchnia polowa, zagrzebana w błocie pomiędzy setkami ciężarówek. Nasi kucharze nieludzkim wysiłkiem zdołali ją przyciągnąć i z najbardziej nieprawdopodobnych znalezisk ugotowali wspaniałą zupę.
Mieliśmy tylko dwie beczki bez pokryw do transportu tej wspaniałej polewki. Umieściliśmy antałki na dwukółce. Pokonanie trzech kilometrów zajęło nam osiem godzin z powodu błota, które zrobiło się strasznie lepkie pod wpływem zimna. Kiedy transport dotarł nad ranem do Nowo-Budy, beczki, przechylane na wszystkie strony, były w trzech czwartych puste. Reszta, lekko zamarznięta, wyglądała obrzydliwie. Zostaliśmy więc skromnie przy chlebie z cukru i pieczonej wołowinie.
Gdziekolwiek próbowaliśmy się zainstalować, wszędzie podążał za nami ogień nieprzyjaciela.
Szenderowka była dziurawiona dzień i noc przez granaty z „organów Stalina". Wszędzie leżały padnięte konie, roztrzaskane wozy, trupy, których już nawet nie grzebaliśmy.
Zamieniliśmy kołchoz w szpital polowy, gdzie co prawda hulał wiatr, ale przynajmniej zakrwawieni żołnierze mieli dach nad głową.
Nie mieliśmy już żadnych lekarstw. W kotle nie było już bandaży. Żeby zdobyć coś, czym można by opatrywać rany, sanitariusze musieli zdzierać z chłopek wojskowe kalesony, prezenty od Don Juanów z niemieckiej armii.
Kobiety uciekały z krzykiem, przyciskając dłonie do spódnic.
Mogły krzyczeć do woli. Ale dwóch, trzech ciężko rannych dostawało chociaż nędzne opatrunki...
Cała ta sytuacja zakrawała na szyderczą groteskę. Jednak za dużo w niej było tragedii i okropności.
***
Granaty z „organów Stalina", fala za falą spadały na kołchoz. Zginęły dziesiątki rannych. Pozostali, przerażeni do szaleństwa, leżeli wydając upiorne wrzaski.
Musieliśmy ewakuować szopę. Nasi ranni zostaną bez dachu nad głową.
Przeszło tysiąc dwustu rannych z innych jednostek leżało pod gołym niebem od wielu dni i nocy, na setkach chłopskich wózków, na słomie. Deszcze z poprzedniego tygodnia przemoczyły ich do suchej nitki, teraz byli wystawieni na mróz.
Od wtorku rano było dwadzieścia stopni poniżej zera. Na dworze leżały setki rannych, których twarze zamieniały się w przerażającą fioletowawą miazgę, niektórzy bez rąk, nóg, inni w agonalnych drgawkach.
O godzinie dwudziestej trzeciej
Wieczorem na Szenderowkę zaczął padać niekończący się śnieg. Napadało go na dwadzieścia pięć centymetrów.
Dwadzieścia, trzydzieści tysięcy ludzi, którzy czekali w naszej wiosce na jakiś ratunek, nie miało żadnego schronienia. Czuliśmy się jak nad Berezyną, w samym środku Wielkiej Armii wycofującej

się spod Moskwy. Wszędzie, mimo zagrożenia, przemarznięci ludzie zbierali się wokół ognisk rozpalonych na śniegu.
Nie dawało się spać, ani nawet położyć, bo przy siarczystym mrozie oznaczało to śmierć.
Płonące chaty wyglądały jak potężne ogniska. W dolinie widać było setki malutkich ogni, wokół których kuliły się czarne cienie — żołnierze o zaczerwienionych oczach, z dziesięciodniowym zarostem, wyciągający do ognia żółte, grube palce.
Czekali. Nic się nie działo. Ranek zastał ich milczących, nie próbowali już nawet sięgać po jedzenie.
Oczy mieli skierowane na południowy-zachód.
Ludzie powtarzali jakieś niewiarygodne plotki. Staraliśmy się ich nie słuchać. Wystrzały z „organów Stalina" brutalnie przerywały ciszę oczekiwania. Wszyscy rzucali się na śnieg, a potem z trudem podnosili.
Ranni krzyczeli. Lekarze opatrywali ich dla spokoju sumienia...
***
Tysiąc dwustu rannych cały czas leżało na wozach. Wielu przestawało o cokolwiek prosić, wielu nie chciało nic wiedzieć. Kulili się pod byle jakim okryciem i ze wszystkich sił starali się nie umrzeć.
Setki wozów stały jeden koło drugiego. Wychudzone konie podgryzały deski z pojazdów, które znajdowały się przed nimi. Zewsząd dochodziły wrzaski i przeciągłe jęki rannych. Niektórzy, oszaleli z bólu, nagle podnosili się, zakrwawieni, ze śniegiem we włosach.
Nie warto było nawet myśleć o karmieniu wszystkich tych biedaków. Chowali głowy w koce. Od czasu do czasu kierowcy odgarniali śnieg zbierający się na nieruchomych ciałach.
Wielu leżało na wozach od przeszło dziesięciu dni. Czuli, że gniją żywcem. Rany nieludzko ich bolały, a nie było żadnego zastrzyku, żeby chociaż odrobinę uśmierzyć ich cierpienia. Nie było już nic! Nic! Musieli czekać, czekać na śmierć albo na cud.
Niedaleko wozów leżał sznur trupów w kolorze kości słoniowej.
Już nic nas nie przerażało, ani nie wzruszało. Za dużo wszystkiego widzieliśmy. Staliśmy się niewrażliwi na najpotworniejsze okropności.
W górnej części Nowo-Budy wróg cały czas atakował. Na ziemi, od białego nieba odcinały się czołgi. Ludzie trzymali się, ponieważ nie mieli innego wyjścia. Wycofać się na odkryte wzniesienie oznaczało wystawić się na bezpośredni ostrzał sowieckich karabinów maszynowych.
Nasze kompanie były rozrzucone na kilkukilometrowym odcinku: tu pięciu ludzi, tam dwudziestu. Bez telefonu. Bez radia.
Musieliśmy czekać na zmrok, żeby przeciągnąć po śniegu rannych i około dziesięciu chłopców z odmrożonymi stopami, które przybrały kolor wosku. Buty, podarte i pozbawione gwoździ podczas niekończących się marszów w błocie, przed niczym już nie chroniły: przemoczone zamieniły się w bryły lodu.
Sprowadziliśmy tych nieszczęśników na dno doliny. Rano ułożyliśmy ich na wozach, na miejsca po zmarłych, których zostawiliśmy po drodze w śniegu na zboczu.
Patrzyli na nas szklanymi oczami. Mieli zarost sztywny jak druty. Jęczeli, albo wpadali w histerię. Co robić? Co im odpowiedzieć?... Wyjście mieliśmy przed sobą.
Wiedzieli o tym równie dobrze, jak my i w końcu kulili się i milkli.
***
W piątek po południu stało się oczywiste, że czołgi, które wyruszyły z południowego-zachodu w naszym kierunku, już do nas nie dotrą, albo dotrą, kiedy będziemy już martwi.
Od dwóch dni nie posunęły się do przodu. Dlaczego? Nie wiedzieliśmy.
Przerwanie sowieckich linii miało nastąpić w sobotę, 12 lutego. Potem w niedzielę. Potem w poniedziałek.
Minęło pięć dni.
Teraz każdy widział, że te wysiłki były niewystarczające, albo daremne. Płomienne telegramy były pustymi słowami. Czołgi nie przybyły.
Okrążone oddziały trzymały się tak długo, jak długo miały nadzieję. Teraz wszystko się załamie. Wystrzeliliśmy ostatnie naboje. Od niedzieli kwatermistrze nie mieli już prowiantu. Ranni umierali setkami. Wykrwawiali się albo zamarzali.
Presja wroga dławiła nas. Na północy siły bolszewickie, nadciągające z Korsunia, odcięły nam odwrót i znajdowały się obecnie, 16 lutego, trzy kilometry od Szenderowki.
W Nowo-Budzie nasz opór był już tylko agonią.
Stłoczone w wąskiej dolinie niemieckie dywizje były wystawione na narastający potop granatów i pocisków.

Jeszcze jeden dzień, góra dwa dni i ostatnie bariery pękną. Wojsko zamarzające i wygłodniałe, podda się albo zostanie zmasakrowane.
W oddziale krążyły jeszcze jakieś optymistyczne plotki, rozpowiadane dla podtrzymania morale.
Dowódcy czuli jednak nadciągającą szybko katastrofę.
Potrzebne nam było jakieś rozwiązanie i to natychmiast.
***
Zostałem wezwany do generała Gillego.
Byli obecni wszyscy wyżsi oficerowie z odcinka Szenderowka.
Nie było długich przemówień: „Może nas uratować jedynie ostateczny wysiłek. Oczekiwanie na nic się już nie zda. Jutro rano, o godzinie piątej, pięćdziesiąt tysięcy ludzi z kotła uderzy w kierunku południowo-zachodnim. Przebijemy się albo zginiemy. Nie ma innego wyjścia. Dziś wieczorem, o godzinie dwudziestej trzeciej zaczną się przegrupowania oddziałów."
Dwaj dowódcy korpusów i generał Gille bardzo się starali, żeby nie przedstawić rzeczywistego stanu naszej sytuacji.
Według nich, musieliśmy jedynie pokonać pięcioipółkilometrową strefę, żeby przedrzeć się do własnych linii.
Te ponoć znacznie posunęły się do przodu od poprzedniego dnia.
Jutro jeszcze bardziej się do nas zbliżą. Jeśli do ataku ruszy jednocześnie pięćdziesiąt tysięcy ludzi, będziemy mogli zaskoczyć wroga i przełamać jego pozycje.
Każdy, dowódca czy żołnierz, był u kresu wytrzymałości. Nadzieja wzrosła w nas jak paląca fala.
Wróciliśmy do oddziałów, żeby wydać rozkazy i zagrzać żołnierzy do walki.
***
Rozkazy dla brygady Walonia nie były łatwe do wykonania: mieliśmy pozostać do samego końca jako straż tylna w wyższej części Nowo-Budy.
O jedenastej wieczorem miałem wysłać w drogę na południowy zachód wszystkich lżej rannych, którzy byli jeszcze zdolni iść o własnych siłach.
O pierwszej nad ranem piechota walońska miała rozpocząć operację przebijania się ze wschodu na zachód. Jednak do czwartej rano musieliśmy utrzymać pozycje w Nowo-Budzie.
O tej godzinie dziesiątki tysięcy ludzi zgromadzonych w dolinie miały znajdować się już trzy kilometry na południowy zachód od Szenderowki. I dopiero wtedy nasza ariergarda będzie mogła się wycofać, starając się jednocześnie zmylić wroga, otwierając do Sowietów w ostatniej chwili silny ogień.
Brygada Walonia miała przegrupować się w marszu i przejść na czoło kolumny, dołączając tym razem do awangardy oddziałów biorących udział w przerwaniu oblężenia.
***
W sytuacji, w jakiej się znajdowaliśmy, wszystko było lepsze od stagnacji. Wszyscy wiedzieli, że jeśli dalej będziemy dreptać w miejscu, to zginiemy.
Żołnierze byli u kresu wytrzymałości, głód skręcał im żołądki, ciała drżały ze zmęczenia, umysły nękał lęk. Wiadomość, że następnego dnia o świcie ruszymy, rozeszła się w błyskawicznym tempie. Nawet najsłabsi poczuli przypływ nowej energii.
Wyczerpani, na granicy załamania, nagle wszyscy poczuliśmy się nieprzytomni z uniesienia.
Powtarzaliśmy sobie, z ciałem chwiejącym się na boki, wciąż te same słowa: „Jutro będziemy wolni! będziemy wolni! będziemy wolni!".

Ostatnia noc

Tak czy inaczej, niebawem nastąpiłby kres czerkaskiego kotła.
Kiedy tylko zmrok przykrył dolinę, niemieckie kolumny rozpoczęły marsz w kierunku południowo-zachodnim. Miały przejść przez Szenderowkę, a następnie przejść most. Za mostem zaczynał się step, który ciągnął się aż do dwóch wiosek położonych na południu i na zachodzie, oddalonych od siebie o dobre trzy kilometry.
To właśnie te osady zostały zdobyte wielkim wysiłkiem. Stamtąd o piątej rano miał ruszyć atak naszych dywizji. Wszystkie samochody miały zostać zgromadzone na zachód od tych dwóch miejscowości przed wschodem słońca.
Te pojazdy były dla nas prawdziwą udręką.
Trzeba było pozbyć się balastu w postaci piętnastu tysięcy ciężarówek już w pierwszych dniach. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy oblężonych ludzi, dysponujących swobodą ruchów, ustawionych w porządne kolumny, zdołałoby dosyć łatwo przełamać obręcz wroga.

Ale najpierw mieliśmy utrzymać zajmowane pozycje, potem naczelne dowództwo uznało za sprawę wagi państwowej uratowanie tej malowniczej karawany.
Generał Gille został ostro ofuknięty, kiedy zaproponował, żeby podłożyć pod nią ogień. Przez trzy tygodnie ciągnęliśmy ze sobą tysięce wspaniałych pojazdów, samochody-radiostacje, samochody-kliniki, autobusy dowództwa, potężne, bezużyteczne ciężarówki, załadowane milionami kilogramów najróżniejszych przedmiotów, papierzyskami, wszelkiego rodzaju skrzyniami, zapasami nadprogramowej żywności, ubraniami cywilnymi, naczyniami, fotelami, materacami, a nawet zapasami akordeonów, sanitariatami i grami planszowymi.
Od Petsamo do Morza Czarnego niemiecka armia dusiła się pod ciężarem ultranowoczesnego sprzętu i rosnących z roku na rok taborów.
Już dawno należało zrezygnować z co najmniej trzech czwartych tego dobytku i walczyć jak Azjaci, spać jak Azjaci, jeść jak Azjaci, posuwać się do przodu jak Azjaci, prowadzić jak oni życie surowe, proste, bez komfortu i bez sterylnych ciężarów.
Ciągnęliśmy ze sobą przez wszystkie kraje brzemię cywilizacji; hordy drapieżników, które deptały nam po piętach miały całkowitą swobodę ruchów i wytrzymałość barbarzyńców: dziki Azjata wygrywał z ciężarówką, ponieważ potrafił przejść tam, gdzie ona nie była w stanie przejechać.
Niemiecka porażka w śniegach i błocie Rosji w 1943 i 1944 roku była w dużej mierze porażką armii dobrze wyposażonej, lecz krępowanej przez własny tabor.
***
Nie warto było dyskutować o tych problemach w środku kotła z dowództwem, które i tak już rwało sobie włosy z głowy.
Mieliśmy rozkaz ratować sprzęt: traciliśmy więc cenne dni na przeciąganie przez straszliwe błoto tysięcy ciężarówek, które i tak skończyły unieruchomione w trzęsawiskach, w jakie zamieniły się drogi, albo zniszczone przez sowieckie pociski artyleryjskie lub czołgowe.
16 lutego wieczorem mieliśmy jeszcze dwadzieścia czołgów, przeszło tysiąc pojazdów (z piętnastu tysięcy) i setki lekkich wozów konnych — zarekwirowanych w wioskach — na których leżało około tysiąca dwustu rannych. Ci ranni byli najważniejsi. Oddziały miały ubezpieczać tą żałosną kolumnę podczas przebijania się w kierunku południowo-zachodnim.
Naszą powinnością było ratować tych nieszczęśników, których cierpienie przekraczało wszystko, co mógł wyobrazić sobie ludzki umysł. Największą radość sprawiłoby nam, gdyby jutro wieczorem znaleźli się daleko poza tą piekielną obręczą! Z jaką przyjemnością ułożylibyśmy ich w ambulansach, wiedząc, że poranione i odmrożone ciała w końcu mają właściwą opiekę medyczną, że obolałe serca, bijące pod okryciami ciężkimi od śniegu, odnalazły spokojny rytm człowieka, który może walczyć z z cierpieniem, bo ma nadzieję...
***
O dziewiątej wieczorem zator w Szenderowce stał się niewyobrażalny.
W związku z tym musiałem metodycznie, pluton po plutonie, odcinek po odcinku, wyprowadzić całą brygadę z Nowo-Budy. Jakakolwiek wpadka na naszych pozycjach ariergardy i manewr w Szenderowce załamałyby się.
Po kostki w śniegu, trawiony czterdziestostopniową gorączką, która mnie nie opuszczała, wysyłałem łączników, przyjmowałem raporty, uzgadniałem każdy szczegół.
Wszystkie wzniesienia były oświetlone toczącymi się walkami.
O jedenastej wieczorem spróbowałem zbliżyć się do Szenderowki, aby pomóc przejść rannym z mojej brygady i sprawdzić wykonanie wytycznych dotyczących ugrupowania żołnierzy o świcie.
Po pięćdziesięciu metrach musiałem porzucić ostatni samochód terenowy, jaki nam pozostał. Potężna kolumna blokowała przejazd i zajmowała całą wioskę. Ciężarówki, furmanki, trojki, daremnie próbowały przesuwać się do przodu, po cztery, pięć pojazdów jednocześnie.
Podbiegłem do każdego wozu z rannymi Walończykami, błagając tych z naszych towarzyszy, którzy mieli jeszcze sprawne nogi, by podjęli ostatni wysiłek i spróbowali ruszyć pieszo, bez względu na to, jak ciężkie mają obrażenia i jak bardzo cierpią.
Zebrałem ich około pięćdziesięciu i prześlizgnąłem się z nimi pomiędzy wozami i ciężarówkami.
Przed nami rozgrywał się tragiczny spektakl.
Wróg nacierając od północy zdołał przesunąć swe czołgi i artylerię w pobliże Szenderowki. O dziesiątej wieczorem sowieckie baterie ostrzelały centrum wioski. Wiele chat stanęło w ogniu dokładnie oświetlając ruchy naszych oddziałów.
Od tamtej chwili sowieccy celowniczy mieli już łatwe zadanie. Ich pociski spadały metodycznie, dokładnie trafiając w potężną kolumnę. „Organy Stalina" zalewały granatami masę różnorodnego sprzętu. Ciężarówki z paliwem zajęły się ogniem. Wzdłuż całej wąskiej drogi płonęły samochody. Ostrzał był tak silny, że co chwila musieliśmy padać w śnieg.

Pośród dziesiątków gorejących pojazdów, na śniegu, w strasznych drgawkach, leżały rzężące konie. W pobliżu znajdowali się żołnierze, trafieni z broni maszynowej. Leżeli na brzuchu, twarzą do ziemi albo na plecach. Wydawali dziwne odgłosy przypominające czkawkę. Pożar sprawiał, że ich twarze, czerwone od krwi, wyglądały jak nieprawdopodobne, przerażające miedziane maski.
Niektórzy próbowali jeszcze czołgać się. Pozostali zwijali się z bólu z okropnymi grymasami na twarzach.
Kolumna zamieniała się w przerażająca jatkę, oświetloną przez pożary, które zabarwiały na czerwono pokrytą grubym śniegiem okolicę.
Ciężarówki, które płonęły pomiędzy wzmocnionymi palikami skarpami, uniemożliwiały dalszą wędrówkę. Tylko piechota, dziesiątkowana ostrzałem z broni maszynowej, zdołała z trudem przedostać się pomiędzy tymi olbrzymimi pochodniami, ciałami konających i końmi z rozprutymi brzuchami, których wnętrzności ślizgały się po lodzie jak grube brązowe i zielone węże.
Woźnice bez skutku usiłowali popędzać konie. Kilka wielkich ciężarówek mimo wszystko posuwało się do przodu, miażdżąc konie, które szarpały się i rzęziły w płomieniach. Te dzikie wysiłki jednak na nic się nie zadały. Korek stawał się coraz większy. Narastało ogłuszające wycie silników, wybuchy, dzikie okrzyki i błagania.
W końcu ujrzeliśmy przyczynę tego potężnego zatoru. Wszystkie wojska z Szenderowki miały przeprawić się przez drewniany most na końcu doliny. Wielki niemiecki czołg utknął pośrodku mostu i w końcu załamał go, zatrzymując tym samym cały ruch w kierunku południowo-zachodnim.
Kiedy zobaczyliśmy tego potwora na stercie połamanych desek, pomyśleliśmy, że tym razem to już koniec.
Brzegi były wysokie i niemożliwe do pokonania w bród. Most został wysadzony w powietrze przez bolszewików, kiedy wyparliśmy ich dwa dni wcześniej.
Niemcy odbudowali go w pośpiechu. Lekkie czołgi zdołały wyjechać z Szenderowki. Potem, bez problemów przejechał pierwszy czołg ciężki. Drugi natomiast wszystko zawalił.
Dwa dni pracy saperów zostały unicestwione w jedną minutę przez masę żelaza, ważącą czterdzieści tysięcy kilogramów, wbitą teraz w most jak oszczep.
Było jasno, jak w południe. Ranni, piechurzy starali się przejść obok pechowego czołgu.
Z góry wąwozu widzieliśmy całą Szenderowkę, która wyglądała jak czerwono-złota plama na białym śniegu. Ku niebu wznosiły się przerażające wrzaski.
Te tragiczne blaski i te upiorne krzyki sprawiały, że wioska przypominała czeluście piekielne.
***
Kiedy nasi ranni znaleźli się po drugiej stronie mostu, powierzyłem ich jednemu z lekarzy, z rozkazem dołączenia trzy kilometry dalej do pierwszego oddziału, który ruszy do przodu.
Ruszyli przez step, tam gdzie zmroku nie rozdzierały płomienie płonących ciężarówek.
W atmosferze katastrofy niemieccy saperzy zdołali po dwóch godzinach wysiłków zepchnąć czołg na dół i przerzucić nad wyrwą, masywne bale. Ruch został wznowiony pod nasilającym się bombardowaniem.
Przechodziliśmy po trupach i konających. Ale przechodziliśmy. Ludzie zdeptaliby wszystko, byleby tylko iść do przodu. Chcieli żyć.
***
Gdzieś na północnym-zachodzie, na oblodzonym wzgórzu w Nowo-Budzie nasi Walończycy, wierni otrzymanym rozkazom, zawzięcie stawiali opór, broniąc każdej piędzi ziemi.
Widzieli płonące i miażdżone w Szenderowce kolumny pojazdów. Docierały do nich upiorne jęki tysięcy ludzi, powalanych wybuchami pocisków i ogniem.
Od pierwszej do piątej rano nasze plutony, jeden po drugim, schodziły z pozycji. Żołnierze w milczeniu brodzili w śniegu. Ziemia była twarda. Dotarli do niewielkiej kotlinki na południowym-wschodzie i przegrupowali się. Musieli pokonać tylko trzy kilometry, żeby dojść do Szenderowki. Nie musieli szukać drogi: pomarańczowa łuna pożaru tańczyła nad oświetloną wioską.
Nasi ludzie przechodzili pomiędzy płonącymi ciężarówkami, końskimi ścierwami, poskręcanymi trupami, które pękały i topiły się.
Przez całą noc Walończycy przechodzili małymi, szybkimi grupkami przez huragan.
Nasza straż tylna niewzruszenie trwała na stanowisku w Nowo-Budzie. Nieustannie ostrzeliwała wroga przypierając go ogniem do wzniesienia.
O piątej rano realizując ostatnią fazę planu, zręcznie wycofała się i błyskawicznie dołączyła do ostatniej zapory złożonej z żołnierzy SS, ustawionych przy południowym wyjściu z Szenderowki. Następnie podążając za ostatnimi pojazdami przeszła na południe przez słynny most.

Kolumna ciężarówek i wozów, długa na dwa kilometry, szeroka na pięćdziesiąt metrów, przesunęła się w pobliże linii natarcia. Wspiąłem się na skrzynki z amunicją i krzycząc zdołałem przegrupować moich Walończyków, czujnych jak sarny i zachowujących mimo wszystko wesołość, trudną do wykorzenienia.
Jednostki i pojazdy były kompletnie wymieszane. Wstający świt oświetlał od kilku minut zagmatwaną masę czołgów, samochodów, wozów, zagubionych batalionów, ukraińskich cywili i sowieckich jeńców.
Nagle, w sam środek tej ciżby spadł pocisk.
Potem dziesięć pocisków.
Potem dwadzieścia pocisków.
Czołgi i działa nieprzyjaciela dotarły do zboczy Szenderowki na wprost nas!
Staliśmy się dla nich wymarzonym celem!
Dwadzieścia ostatnich czołgów niemieckich wyłamując się z kolumny rzuciło się w kierunku jaru, łamiąc jak źdźbła słomy wszystko, co znalazło się na ich drodze.
Kierowcy ciężarówek i woźnice rozbiegli się we wszystkich kierunkach. Kilka koni rzuciło się galopem do ucieczki. Inne, z nogami zmiażdżonymi przez czołgi, leżały wydając przerażające wycie. Tysiące wybuchów wzbijało szare i czarne snopy, wokół których rozsypywały się na śniegu różowawe iskierki...

Na przełaj

Według rozkazu Brygada Szturmowa Walonia miała znaleźć się na pierwszej linii, by wziąć udział w natarciu, które miało wszystko rozstrzygnąć: miało być naszym ratunkiem albo końcem.
W niewiarygodnym zamęcie, wywołanym przez sowieckie czołgi, które niespodziewanie pojawiły się niedaleko tysiąca ostatnich niemieckich pojazdów, szybko ruszyliśmy na południowy-zachód.
Za nami wybuchła straszliwa wrzawa. Szenderowka nie utrzymała się dłużej niż godzinę. Rosjanie minęli już wioskę. Ich czołgi sunęły w naszym kierunku w ostatniej pogoni.
Niemieckie czołgi zostały wysłane do kontrataku, jako jednostka, która musiała się poświęcić, i stanąć jeden przeciwko dziesięciu, jak sto lat wcześniej żołnierze marszałka Neya na wschód od Berezyny.
Widziałem je w chwili, gdy miały ruszyć na wroga. Młodzi czołgiści prezentowali wspaniałe oblicza. Ubrani w krótkie kurtki, całe czarne, ze srebrną lamówką, wystawiając głowy i ramiona z wieżyczek, spokojnie jechali na śmierć. Wielu nosiło dumnie na szyi trójkolorowe wstążki i szeroki czarno-srebrny krzyż Ritter-kreuz, doskonały, błyszczący cel dla wroga.
Żaden z tych wspaniałych wojowników nie wydawał się zdenerwowany czy nawet poruszony. Ubili śnieg gąsienicami i ruszyli przez plątaninę wycofujących się wojsk.
Ani jeden nie powrócił. Ani jeden czołg. Ani jeden człowiek.
Rozkazy były rozkazami. Poświęcili się bez reszty.
Aby zdobyć jedną godzinę, która mogła być może uratować jeszcze dziesiątki tysięcy żołnierzy z Rzeszy i z Europy, chłopcy z niemieckich czołgów oddali swe życie, na południe od Szenderowki, rankiem 17 lutego 1944 roku.
Wojsko, osłaniane przez tych bohaterów, ruszyło pośpiesznie na południowy-zachód.
Śnieg sypał grubymi płatkami.
Ten gęsty śnieg całkowicie przysłaniał niebo nad naszymi głowami. Przy ładnej pogodzie lotnictwo nieprzyjaciela dawno już unicestwiłoby nas wszystkich. Ukryci pod welonem z grubych płatków śniegu, biegliśmy do utraty tchu.
Korytarz był wyjątkowo wąski.
Pierwsze oddziały, które oczyściły drogę przed nami, otworzyły przejście szerokie jedynie na kilkaset metrów. Teren był pagórkowaty. Przechodziliśmy z jednego wzniesienia na drugie. Dno każdego jaru było jednym wielkim składowiskiem zmiażdżonych pojazdów i dziesiątków ciał poległych żołnierzy, rozrzuconych na czerwonym śniegu.
Działa nieprzyjaciela zasypywały pociskami te przejścia. Trafialiśmy na wykrwawiających się rannych. Musieli chować się pod trupami. Wozy przewracały się, konie wierzgały nogami w powietrzu, aż do chwili kiedy seria z broni maszynowej wyrzucała ich ciepłe wnętrzności na poplamiony śnieg.
Zaledwie przeszliśmy przez wąwóz, ostrzelali nas snajperzy, ukryci po obu flankach. Ludzie wydawali przenikliwe krzyki, padali w śniegu na kolana, trzymając się za brzuch. Śnieg szybko przysypywał konających. Pięć minut później widać było jeszcze policzki, nos, kosmyk włosów. Dziesięć minut później zmieniali się w białe kopczyki, na które osuwali się kolejni uciekinierzy.

Podczas tego straceńczego sprintu, rannych w kotle strasznie wytrzęsło na wozach. Konie potykały się i wpadały w zamarznięte koleiny. Wozy przewracały się zrzucając żywy ładunek na ziemię.
Jednak, mimo wszystko, kolumna zdołała zachować pewien porządek.
Wtedy właśnie fala sowieckich czołgów minęła ostatnie pojazdy i dopadła połowę konwoju.
Kierowcy chowali się pod siedzenia.
Nie było już ani jednego czołgu. Zupełnie niepotrzebnie ruszyliśmy na spotkanie fali wrogich maszyn, próbując zapobiec katastrofie.
Nic jej nie powstrzymało.
Sowieckie czołgi z dziką zawziętością wjechały między wozy, miażdżąc je na naszych oczach, jeden po drugim jak pudełka zapałek, rozgniatając konie, rannych, konających.
Popychaliśmy lekko rannych, tak szybko, jak to było możliwe. Osłanialiśmy jak się dało ucieczkę wozów, które umknęły sowieckim czołgom.
Ale wszędzie ludzie walili się na ziemię, twarzą w śnieg, albo padali na kolana z przestrzelonymi płucami lub brzuchem podziurawionym kulami, które nadlatywały z głośnym gwizdem z obu stron korytarza.
***
Mieliśmy moment wytchnienia, kiedy czołgi, zakorkowane w wąwozie, próbowały wydostać się z kłębowiska setek pojazdów rozkawałkowanych ich gąsienicami. Umykaliśmy wzdłuż pięknego rudo-fioletowego lasu, i dotarliśmy do wąwozu.
Zaledwie dobrnęliśmy do stoku, kiedy odwracając się, ujrzeliśmy setki jeźdźców zjeżdżających z południowo-wschodniego zbocza.
Najpierw sądziliśmy, że to niemiecka kawaleria.
Wziąłem lornetkę i wyraźnie zobaczyłem uniformy jeźdźców: to byli Kozacy! Widziałem ich małe, brązowe, zwinne koniki! Kierowali się w stronę naszych tyłów, galopując we wszystkich kierunkach.
Z zaskoczenia zamurowało nas. Sowiecka piechota ostrzeliwała nas z broni maszynowej, goniły nas czołgi a teraz jeszcze polowali na nas Kozacy!
Kiedy wreszcie zobaczymy niemieckie czołgi, nadciągające z południowego-zachodu w naszym kierunku?...
Pokonaliśmy już przeszło dziesięć kilometrów i nic! Musieliśmy iść do przodu, jeszcze szybciej do przodu!
Jak wielu rannych, nie miałem już sił. Osłabiała mnie gorączka. Ale musieliśmy za wszelką cenę kontynuować marsz. Z moimi Walończykami wyszedłem na czoło kolumny, żeby podnieść na duchu towarzyszy broni.
Wzgórze było bardzo trudne do pokonania. Po prawej stronie otwierała się ogromna rozpadlina, szeroka na cztery metry, głęboka na około piętnaście. Dotarliśmy prawie na sam szczyt wzniesienia.
Wtedy zobaczyliśmy trzy czołgi sunące na nas całym pędem! Przez sekundę ogarnęła nas nieopisana radość: „Nareszcie! Nadciągają niemieckie czołgi!".
W tej samej chwili spadł na nas grad pocisków, rozpraszając nasz szyk. To były czołgi sowieckie!
Wrogie maszyny deptały nam po piętach. Rosyjska piechota szarpała nas po bokach. Kozacy wbijali się pomiędzy nasze szeregi. A przed nami, zamiast ratunku, wyrastały kolejne sowieckie czołgi!
Nie mogliśmy dłużej czekać: jeśli damy się okrążyć na tym gołym stoku, zostaniemy rozbici w kilka sekund.
Zajrzałem w rozpadlinę, krzyknąłem do moich towarzyszy: „Za mną!" i skoczyłem z piętnastu metrów wysokości. Na dnie szczeliny leżał metr mocno ubitego śniegu. Wbiłem się w niego jak torpeda. Potem po kolei spadali moi koledzy.
***
W mgnieniu oka setki żołnierzy znalazły się stłoczone na dnie uskoku.
W każdej chwili spodziewaliśmy się, że u wylotu pojawią się Mongołowie i wrzucą pomiędzy nas granaty. Byliśmy w beznadziejnym położeniu.
Niektórzy chcieli na przekór wszystkiemu iść dalej naprzód. Ruszyli po dnie rozpadliny do jej południowego krańca, a następnie wydostali się na równinę.
Prawie natychmiast spadli z powrotem w postaci dymiącej masy, rozszarpani pociskami czołgowymi.
Ich ciała utworzyły kopczyk wysoki na dwa metry, który szybko pokrył śnieg.

Przegrupowałem Walończyków, którzy znajdowali się w moim sąsiedztwie i przygotowałem ich na najgorsze. Przykleiliśmy się wszyscy do siebie, aby nie umrzeć z zimna. Każdy wyrzucił swoje dokumenty, sygnety, obrączki. Pocieszałem jak mogłem moich towarzyszy.
Jaka była szansa wydostania się żywymi i wolnymi z tego wąskiego jaru, skoro sowieckie czołgi odcięły drogę na południe?...
Cofając się trafilibyśmy na czołgi, piechotę i kawalerię, które nadciągały z północy i miażdżyły ostatnie przeszkody.
I wtedy stało się coś niewiarygodnego.
Do naszej rozpadliny dotarli dwaj skrajnie wyczerpani żołnierze niemieccy. Każdy z nich trzymał po panzerfauście. Byli tak zmęczeni, że nie bardzo rozumieli co się wokół dzieje, nieśli swe panzerfausty odruchowo, jak głowy na karku.
Dwa panzerfausty!
Ruszyliśmy biegiem w ich stronę. Niemiecki ochotnik i Walończyk zabrali te przeciwpancerne żądła i wspięli się do wylotu rozpadliny. Zdążyli wycelować zanim ich spostrzeżono. Rozległy się dwa potężne wybuchy: dwa wrogie czołgi stojące najbliżej wyleciały w powietrze!
Młody oficer niemiecki, który wdrapał się na zbocze po drugiej stronie, widział obie eksplozje. Pokrzykiwał z radości skacząc przy tym jak uczniak. Nagle zauważyłem jak wyparowuje, trafiony pociskiem czołgu w sam środek piersi.
Przez kilka chwil panowała przerażająca cisza. Potem niezliczone kawałki ciała, nie większe niż małżowiny uszne, posypały się z płatkami śniegu, powoli, ze wszystkich stron, na nas i dookoła nas... Pac... Pac... Tylko tyle zostało z wesołego oficera, który zaczął świętować minutę za wcześnie nasze doraźne zwycięstwo.
Nie mogliśmy tracić ani minuty.
Złapałem w garść pistolet maszynowy i wdrapałem się na wielki kopiec martwych żołnierzy na końcu wąwozu.
Miałem za pasem sześć magazynków po trzydzieści dwie kule każdy, sześć innych magazynków w ocieplanych wysokich butach i trzysta zapasowych naboi w plecaku. Mogłem powstrzymywać Kozaków, którzy dotarli aż na wyżynę, podczas gdy setki niemieckich i walońskich żołnierzy będą wydostawać się z rozpadliny.
U podnóża zbocza, na nasze krzyki ruszyły ostatnie wozy z rannymi.
Pozostał tylko jeden sowiecki czołg, oddalony o czterdzieści metrów. Mógł nas zmasakrować. Nie było jednak innego wyjścia. Musieliśmy rzucić się naprzód ratować to, co można był jeszcze uratować.
Pozostając w rozpadlinie, skazalibyśmy się na pewną śmierć. Próbując się przedzierać, dawaliśmy sobie szansę na przeżycie.
Znałem na pamięć topografię całej okolicy. Studiowałem ją tygodniami i potrafiłbym dotrzeć bez przewodnika do granicy z Rumunią, trzysta kilometrów na zachód od Czerkasów.
Podjąłem niezbędne środki, żeby nie wpaść żywy w ręce Sowietów. Nosiłem przy sobie dostateczną ilość amunicji, aby walczyć w lasach przez kilka miesięcy, jeśli byłoby to konieczne.
Wychodząc ze szczeliny spostrzegłem na skraju wyżyny gęsty las, który wcześniej wypatrzyłem na mapie. Tam, osłonięci przed czołgami, będziemy mogli przynajmniej przez chwilę odpocząć.
Nasi żołnierze zaczęli biec ze wszystkich stron w kierunku lasu.
Mieliśmy do pokonania około osiemset metrów odkrytego, płaskiego terenu, który oddzielał nas od zbawczych drzew. Wozy, które nam pozostały, dołączyły na naszą wysokość. Rzuciliśmy się naprzód.
Jednak sowieckie czołgi wraz z watahami kozaków także ruszyły!
Musieliśmy, przebiegając skokami pomiędzy rosyjskimi żołnierzami, jednocześnie strzelać z pistoletów maszynowych i padać co chwila przy wybuchach pocisków.
Biegliśmy z urywanym i palącym oddechem, skrajnie wyczerpani. Na naszych oczach sowieckie czołgi najeżdżały na wozy z rannymi, przewracały je i zgniatały: wszędzie rozbrzmiewały przerażające wrzaski konających i dzikie charczenia miażdżonych koni, które gorączkowo wierzgały kopytami.
Na wpół żywi dopadliśmy skraju lasu.
Za nami szary śnieg był usiany trupami. Czołgi, otoczone unoszącymi się prawie w powietrzu hordami Kozaków, kończyły swą szaleńczą karuzelę!

Łysianka

Czołgi i kawaleria nie mogły prowadzić pościgu w gąszczu drzew i zarośli.

Mała ścieżka wyprowadzała na polanę, na której stary pułkownik z kwatermistrzostwa, siedzący na ochwaconym koniu, na próżno usiłował przekrzyczeć żołnierzy.
Na śniegu leżało kilka tysięcy ludzi. Cały czas pociski ścinały korony drzew. Nie można było zostawić na pastwę losu tysięcy żołnierzy, którzy ledwo zdołali umknąć śmiertelnemu zagrożeniu.
Przedstawiłem się staremu pułkownikowi i grzecznie poprosiłem o przekazanie mi dowództwa. Był zachwycony moją propozycją. Zszedł z konia i usiadł na śniegu.
Znalazłem młodego niemieckiego oficera, który znał francuski. Kazałem tłumaczyć zdanie po zdaniu krótką odezwę, którą skierowałem do żołnierzy: „Doskonale wiem, gdzie się znajdujemy. Musimy pokonać tylko trzy kilometry, aby dołączyć do kolumn na południu. Jeśli ruszymy w ich stronę w tej chwili, zostaniemy zmasakrowani; zobowiązuję się doprowadzić tam wszystkich nocą. Uda się nam. Ale oczekując na zmrok musimy utworzyć na skrajach lasu obronę okrężną i nie dać się zaskoczyć sowieckiej piechocie."
Poprosiłem o wystąpienie ochotników. Tylko oni mnie interesowali.
Niemcy, nieco zaskoczeni, zgłosili się masowo.
Utworzyłem grupy bojowe złożone z dziesięciu ludzi, wśród których zawsze umieszczałem jednego Walończyka, który miał być łącznikiem. Zabrałem broń, amunicję i pancerfausty wszystkim, którzy nie byli w stanie walczyć i w pośpiechu ustawiłem Niemców i Walończyków na stanowiskach.
Rosjanie, których odepchnęliśmy na południowy-wschód od lasu, otworzyli silny ogień. Nasi ludzie dostali kategoryczny rozkaz pozostawania w defensywie, ponieważ nie na tym kierunku planowaliśmy przebić się.
Mapa pokazywała mi, że trzy kilometry na południowy-zachód znajdowało się miasto Łysianka. Byłem przekonany, że miejscowość ta była w rękach sił niemieckich, podążających nam na spotkanie. Wydawało mi się niemożliwe, by osada, położona dwadzieścia kilometrów od punktu wyjścia naszego porannego szturmu, była nadal zajmowana przez Sowietów. Z pewnością nasze czołgi już dawno do niej dotarły.
Na mapie zobaczyłem, że miasto dzieli rzeka. Wystarczyłoby więc dotrzeć do pierwszych zabudowań. Potem znajdziemy jakiś most, albo wymyślimy coś na poczekaniu.
Nasz las opadał w stronę Łysianki. Podążaliśmy nim tak długo, jak się dało pod osłoną drzew i ciemności.
Wysłałem przodem szperaczy, żeby dyskretnie rozpoznali teren.
***
Największe niebezpieczeństwo czyhało na nas na zachód od lasu. Z brzegu kniei zobaczyliśmy, trzysta metrów przed nami, na stoku wznoszącym się dokładnie na wprost nas, groźną kolumnę sowieckich czołgów, tę samą, która wysłała na nas godzinę wcześniej trzy potwory, którym prawie udało się nas unicestwić.
Czołgi stały wzdłuż drogi prowadzącej do Łysianki. Ze wzniesienia kontrolowały całą okolicę; trzymały pod ostrzałem cały rejon zachodni, przez który przechodziła inna fala oblężonych oddziałów; dozorowały także wąwóz, który oddzielał je od naszego lasu.
Wąwóz, pozbawiony drzew, był wielką pokusą. Prowadził prosto do Łysianki. Ostatni skok i bylibyśmy uratowani!
Czerwone czołgi wspierała liczna piechota. Jasne było, że ci spośród nas, którzy spróbowaliby przedostać się przez tę odsłoniętą kotlinkę, zostaliby wybici do nogi.
Obszedłem po kolei wszystkie stanowiska, żeby uspokoić zniecierpliwionych ludzi.
Niestety, zdołałem powstrzymać tylko moich ludzi. Na naszej prawej flance, dokładnie w północno-zachodnim rogu lasu, zza drzew wyłoniła się fala kilkuset żołnierzy niemieckich, którzy przekroczyli za nami wyżynę. Posuwali się wzdłuż lasu zamiast w nim się schować. Rozbrzmiały gromkie, przeszywające do szpiku kości okrzyki: „Hura! Germania!" Rzucili się na złamanie karku!
Ze skraju lasu mieliśmy doskonały widok na rozgrywającą się nieopodal masakrę.
Nie przeszedł ani jeden człowiek.
Sowieckie czołgi otworzyły miażdżący ogień. Całe grupy padały na śnieg. To była prawdziwa jatka. Potem sowiecka piechota rzuciła się na sterty poległych i rannych, żeby dokończyć dzieła.
Siedzieliśmy skuleni w dołkach strzeleckich, pod drzewami, sto metrów od miejsca rzezi; nie umknął nam najmniejszy szczegół tej przerażającej sceny. Uzbrojeni w noże sowieccy rabusie ucinali trupom i rannym palce. Za trudno było zdejmować sygnety i obrączki. Odcinali palce i garściami upychali je, lepkie od krwi, po kieszeniach, żeby zyskać na czasie.
Przerażeni musieliśmy bezsilnie patrzeć na te potworne sceny. Surowo zakazałem strzelać. Nie uratowałoby to żadnego z konających, leżących w wąwozie, a na nas ściągnęłoby atak tych krwiożerczych hord. Chciałem ratować trzy tysiące ludzi, za których wziąłem odpowiedzialność.

Nie udałoby mi się to gdybym rzucił ich na ślepo, bez artylerii i bez czołgów, w sam środek tej bezsensownej rzezi. Wolałem spokojnie poczekać aż zapadnie noc, która ukryje w ciemnościach wąwóz i osłoni nas przez atakiem czołgów.
***
Rankiem, pięćdziesiąt tysięcy ludzi w kotle ruszyło prosto przed siebie. Szybko wymieszały się wszystkie jednostki.
My, kilka tysięcy ludzi, zdołaliśmy osłonić się przed ostrzałem wrogich czołgów, gęstym parasolem leśnych drzew.
Jednak sytuacja większość oddziałów, rozmieszczonych na naszych skrzydłach, nie wyglądała równie dobrze. Zgadywaliśmy po odgłosach walki, że wielka niemiecka fala zbiegła ze stoku znajdującego się na zachód od drogi zajętej przez sowieckie czołgi. Te skierowały wieżyczki w stronę zbiegających i rozpoczęły regularny ostrzał.
Inna fala Niemców, jeszcze większa, wyskoczyła po południowo-wschodniej stronie naszego lasu próbując przedrzeć się do Łysianki przez step.
Oprócz dotychczasowych pojawiła się nowa przeszkoda: przeprawa przez rzekę.
Dokładnie przestudiowałem na mapie ukształtowanie tej przeszkody wodnej. Postanowiłem ją ominąć i zejść w nocy bezpośrednio do Łysianki leżącej po obu stronach rzeki. W ten sposób chciałem zaoszczędzić mojemu oddziałowi przeprawy przez szczere pola przy temperaturze piętnastu czy dwudziestu stopni poniżej zera w głębokiej i rwącej wodzie.
Mieliśmy szczęście, że w zamęcie walki zdążyliśmy dotrzeć na czas do tego zbawczego lasu, który na dodatek umożliwi nam skryte prześlizgnięcie się w pobliże miasteczka.
Miałem zamiar czekać tak długo, jak to będzie konieczne, aby w odpowiednim momencie maksymalnie wykorzystać naszą korzystną pozycję.
Niestety pozostali, to znaczy dziesiątki tysięcy żołnierzy, musieli kierować się na zachód i na południowy-wschód.
Południowo-wschodnie skrzydło było dowodzone przez dowódcę korpusu, który został zabity prowadząc swych ludzi do ataku. Natychmiast zastąpił go generał Gille.
Około pierwszej po południu fala ta, z sowieckimi czołgami na karkach, rzuciła się w stronę rzeki.
Trzy tygodnie odwilży sprawiły, że rzeka znacznie wezbrała. Miała teraz dwa metry głębokości i osiem metrów szerokości. Trwające od kilku dni mrozy usiały ją wielkimi krami, które płynęły szybko z nurtem.
W niecałe półgodziny dwadzieścia tysięcy ludzi wyszło nad brzeg rzeki.
Artyleryjskie zaprzęgi, które do tej pory uniknęły zniszczenia, jako pierwsze ruszyły do wody między kry. Brzeg był stromy: konie przewracały się i topiły.
Ludzie rzucali się więc w pław; ale zaledwie wyczołgali się na drugi brzeg, zmieniali się w bryły lodu w zamarzających na kamień ubraniach. Wielu umierało z powodu wylewu krwi do mózgu.
Większość żołnierzy wolała się rozebrać. Próbowali przerzucić broń i mundury na drugą stronę. Jednak często pakunki wpadały do wody. Niebawem setki żołnierzy, kompletnie nagich, czerwonych jak homary, zaludniły przeciwny brzeg.
Oczywiście, sowieckie czołgi natychmiast otworzyły ogień do tej stłoczonej masy ludzi i rozpoczęły krwawą łaźnię.
Wielu żołnierzy nie umiało pływać: przerażeni zbliżającymi się sowieckimi czołgami, które zjeżdżały ze stoku i ostrzeliwały brzeg, rzucali się do lodowatej wody. Niektórzy uniknęli śmierci wdrapując się na przerzucone w pośpiechu przez rzekę drzewa. Setki jednak utonęły.
Brzeg był upstrzony butami, chlebakami, bronią, pasami, setkami aparatów fotograficznych. Wszędzie leżeli ranni, którzy nie byli w stanie przeprawić się przez rzekę. Jednak spora część uciekających zdołała mimo wszystko przejść.
Pod ogniem czołgów, tysiące żołnierzy, półnagich, ociekających lodowatą wodą, albo nagich jak ich Pan Bóg stworzył, biegły po śniegu w stronę niedalekich zabudowań Łysianki.
***
Trzysta metrów od nas, na drodze, czołgi nieprzyjaciela cały czas trzymały lufy wycelowane na północny-zachód, w kierunku drugiej strefy przełamania.
Także tam doszło do rozpaczliwego ataku, który na kilka godzin częściowo przykuł uwagę sowieckich czołgów i piechoty.
To działanie uratowało nas.
Tragedię rozgrywającą się na brzegu okryła noc. Śnieg padał, wielkimi i wolno opadającymi płatkami.
Z daleka, z głębi stepu dobiegały nas przejmujące krzyki rannych. Rozpaczliwe nawoływania rozdzierały nam serca: „Towarzysze!... Towarzysze!... Towarzysze!...”.

Wezwania pozostawały bez odpowiedzi.
Nasi nieszczęśni towarzysze walki, których okrywały śnieg i noc, walczyli jeszcze z rękami pełnymi krwi, na bezkresnym stepie, z przerażającą śmiercią...
***
Czekając aż zapadną zupełne ciemności, podoficerowie przegrupowali trzy tysiące rozrzuconych po naszym lesie żołnierzy, którzy zdołali przeżyć.
Wymieszały się wszystkie rodzaje wojsk.
Prowadziliśmy ze sobą do samego końca około trzydziestu sowieckich jeńców. Niczego nieświadomi przemykali się razem z nami między granatami i kozakami, nie próbując ani uciekać, ani sprawiać nam najmniejszych kłopotów.
Wraz z nami w lesie ukrywało się wielu cywili, między innymi kilka młodych kobiet, które ledwie oddychały ze zmęczenia. Te piękne Ukrainki o jasnoniebieskich oczach, pszeniczno-złotych włosach, za nic nie chciały wpaść w ręce Sowietów. Wolały znosić trudy walki i życie w lesie niż popaść w sowiecką niewolę.
Wiele uciekinierek zginęło od ognia broni maszynowej. Jedna z nich, wspaniała, radosna, śliczna dziewczyna, w wesołej biało-niebieskiej chustce, zwinna jak łania, biegła razem z nami podczas pokonywania ostatniego podejścia: widziałem jak wyrzuciło ją w powietrze jak kręgiel, z głową obciętą pociskiem z czołgu, równo z ramionami. Niektóre przytulały do piersi małe jasnowłose dzieci, nieludzko przerażone tym, co rozgrywało się wokół.
Nie mieliśmy już prowiantu. Od rana żywiliśmy się śniegiem. Ale śnieg tylko potęgował nasze pragnienie. Ranni, których udało nam się uratować, trzęśli się w gorączce. Wciskaliśmy się w jamy przy karabinach maszynowych, żeby choć trochę się ogrzać.
Wszyscy wyczekiwaliśmy z męczącym niepokojem, aż nadejdzie koniec tego tragicznego dnia! Dopiero kiedy czołgi na sąsiednim stoku nie będą już w stanie dojrzeć naszych ruchów, nasza kolumna będzie mogła opuścić swoje schronienia.
***
O siedemnastej trzydzieści wyruszyliśmy w zwartym szyku.
Z daleka wciąż dochodziły przygnębiające krzyki setek konających, rozrzuconych w stepie.
Z całej wyżyny, zamkniętej przez sowieckie czołgi, z dna wąwozu, przez który przebiegaliśmy rano, wznosiły się niekończące się przejmujące litanie, które docierały do nas poprzez śnieżną noc z tragiczną wyrazistością...
„Towarzysze!... Towarzysze!...".
Jakaż straszna agonia!... Setki czarnych plam nieubłaganie wybielił śnieg, który padał nieprzerwanie... Setki cierpiących ciał... Setki dusz znosiły męki w lodowatej pustce, opuszczone przez wszystkich... „Towarzysze!... Towarzysze!..." dalekie głosy podjęły błagania, nasiliły się okrzyki bólu, pobudzone ostatnią nadzieją. W końcu ich echo ucichło na nieczułym stepie...
Starając się nie słyszeć tych straszliwych skarg, podążaliśmy ku wyzwoleniu. Szlak prowadził wąską ścieżką na skraju lasu. Noc stawała się jaśniejsza. Cała kolumna milczała. Żołnierze szli w niewiarygodnej ciszy. Ze zbitej masy trzech tysięcy ludzi nie dobiegał nawet najmniejszy szept.
Nie słychać było nawet ich oddechów.
Szaleńcze krzyki po prawej stronie nawoływały nas jeszcze o brzasku.
Śmiertelny wąwóz, który oddzielał nas od sowieckich czołgów, przechodził w tych okolicach w potężne bagno. Rano, podczas pierwszego ataku, pewna liczba niemieckich wozów ruszyła pędem na oślep w stronę tych mokradeł. Szybko ugrzęzły w głębokim, gęstym jak klej błocie.
Konie prawie całkowicie zapadły się w grzęzawisku. W bladym świetle księżyca widać było tylko głowy i szyje biednych zwierząt. Jeszcze rżały. To makabryczne rżenie mieszało się z rozpaczliwymi nawoływaniami woźniców, którzy czuli, że pogrążają się w topieli. Siedzieli uczepieni kół furmanek, prawie w całości utopionych w błocie.
Z wściekłością, podyktowaną instynktem samozachowawczym, złorzeczyliśmy im za te głośne wrzaski, które ściągały uwagę Rosjan. Nieszczęśnicy ginęli w milczeniu.
Próby ratowania ich nie miały sensu. Wysłalibyśmy tylko na nędzną śmierć w błocie kolejnych dwudziestu czy pięćdziesięciu ludzi, bez najmniejszej szansy na uratowanie woźniców.
Musieliśmy zostawić tych nieszczęśników na powolną lecz nieuchronną śmierć w czarnej mazi, tak jak zostawiliśmy za sobą rozdzierające wołania rannych na stepie, w samotności okrutniejszej niż żelazo, które ich okaleczyło, niż błoto, które ich pochłaniało, niż śnieg, który bezlitośnie ich zasypywał...
Prowadzeni przez zwiadowców weszliśmy dwa kilometry dalej na oznakowaną groblę, która przecinała moczary. Ale nawet tam błoto sięgało nam do kolan.

Nie dostrzegł nas żaden Rosjanin. Wspięliśmy się po ośnieżonym stoku. Po drugiej stronie, w świetle księżyca lśniła rzeczka: przeprawiliśmy się przez nią przechodząc po śliskiej belce.
Zrobiliśmy jeszcze pięćdziesiąt metrów. Nagle zamarliśmy; przed nami pojawiły się trzy cienie w stalowych hełmach! Rzucaliśmy się sobie w ramiona, śmiejąc się, płacząc, skacząc, lżejsi o cały lęk i cierpienie, które nagle odeszły w przeszłość.
To było pierwszy niemiecki posterunek na południu.
Nie byliśmy już tropioną zwierzyną, skazańcami z wyrokiem śmierci w przededniu egzekucji.
Kocioł był już tylko złym snem. Uratowani, tak, uratowani, byliśmy uratowani!
Wąskie gardło
Po opuszczeniu wysuniętego przyczółka Niemców, dotarliśmy do drogi, biegnącej dnem niewielkiego parowu. Śnieg wirował, smagał nas, przysłaniał wszystko na metr.
Ulokowaliśmy się tymczasowo w pobliskich chatach. Nadal znajdowaliśmy się w pobliżu Rosjan. Ale dokąd iść w środku nocy, w oślepiającej burzy śnieżnej?
Zajęliśmy pięćdziesięcioosobową grupą jedną z chałup. Leżeliśmy stłoczeni jeden na drugim. Co chwilę ktoś się zrywał, krzyczał, majaczył, rzucał na posłaniu.
Ja sam przez następne kilka miesięcy miałem każdej nocy koszmarne sny. Też krzyczałem, waliłem pięściami w ściany, meble, walcząc z cieniami. Przez te trzy tygodnie oblężenia wziąłem udział w siedemnastu walkach wręcz. Jeszcze długo widziałem w nocy wykrzywione twarze Tatarów, Kirgizów, Samojedów, Mongołów-dusicieli, z którymi prawie każdego dnia walczyłem o życie...
Jeszcze teraz mam zawroty głowy, gdy przywołuję w pamięci tamte przerażające dni, tamte upiorne twarze, tamte zbliżające się ciała i krótkie serie z rozgrzanego pistoletu maszynowego...
***
O piątej rano obudziłem wszystkich.
Otrzepaliśmy się z gęstego śniegu i ruszyliśmy drogą w dół. W końcu dotarliśmy w centrum Łysianki do bardzo szerokiej, wezbranej rzeki, obramowanej na brzegach lodowymi zaspami.
Czerwoni zniszczyli most.
Tysiące ludzi czekało na swoją kolej, żeby przejść po ciągu chwiejących się desek, rzuconych na zbiorniki po paliwie, które pełniły rolę przęseł.
Mieliśmy rozkaz niezwłocznie opuścić Łysiankę i jak najszybciej ruszać dalej. Tworzyliśmy na śniegu potężną wstęgę.
Podczas przełamania zginęło około ośmiu tysięcy ludzi. Ale przeszło czterdzieści tysięcy żołnierzy zdołało się uratować.
Jedynie oddziały szturmowe, jak dywizja Wiking, czy brygada szturmowa Walonia, które zawsze walczyły na kluczowych kierunkach, ponosiły bardzo ciężkie straty.
W listopadzie 1943 roku, nad Dniepr przybyło nas około dwóch tysięcy. Przy wyjściu z kotła 18 lutego 1944 roku było nas dokładnie sześciuset trzydziestu dwóch.
Oczywiście nasi ranni z grudnia i stycznia zostali ewakuowani w pierwszych dniach oblężenia. Jednakże można przyjąć, że straciliśmy połowę towarzyszy broni. Procentowo były to największe straty poniesione przez jednostki, które uczestniczyły w czerkaskiej epopei.
***
Po upadku Korsunia Sowieci sądzili, że nas mają. Ich komunikaty trąbiły już o zwycięstwie.
Dzięki wspaniałej szarży, w której wzięło udział tylu walczących co w bitwie pod Waterloo, udało się nam resztką sił przerwać obręcz i wydostać na wolność.
Wyprowadzony w pole wróg starał się jeszcze dosięgnąć nas zaciekle bombardując drogę. Ten wąski korytarz, jedyna trasa odwrotu, był ostrzeliwany z komiczną wręcz zaciekłością przez sowiecką artylerię, rozmieszczoną w liniach na stokach po obu stronach szlaku ewakuacji.
Z trudem brnęliśmy do przodu w gęstym śniegu. Ale każdy, bez względu na zmęczenie, przyspieszał kroku, bo co pół minuty, co minutę eksplodowały wokół nas pociski, które przebijały zaspy i wyrzucały w powietrze snopy ziemi wydartej spod śniegu.
Wroga piechota również rozpoczęła pościg. Niemieckie czołgi z oddziałów ubezpieczających flanki osłaniały nasz odwrót, przeczesując cały czas teren. Widzieliśmy jak sunęły w stronę jakiegoś nasypu albo stogu oddalonego o czterdzieści, pięćdziesiąt metrów od drogi. Rosyjscy żołnierze podnosili się z uniesionymi rękami. Jeden z czołgów eskortował ich aż do naszej kolumny. Gnieździli się wszędzie w śniegu, jak szczury, wyczekując sposobności do ataku.
Generałowie niemieccy, z łaskami w garści, szli pieszo pomiędzy szeregowcami, i podobnie jak oni żywili się powietrzem na stepie.
Musieliśmy pokonać wiele kilometrów zanim ujrzeliśmy pierwsze punkty prowiantowe.

Dowództwo pośpiesznie wysłało nam na spotkanie kuchnie polowe. Ale były właściwie nieosiągalne. Było nas przeszło czterdzieści tysięcy, wszyscy równie wygłodniali i spragnieni.
Tysiąc, dwa tysiące ludzi oblegało jednego nieszczęsnego kucharza, który w każdej chwili ryzykował, że napierający tłum wtłoczy go do kotła.
Szkoda było czasu na stanie w kolejce. Mogliśmy napełnić kilka manierek w fontannie. Woda była rewelacyjnie zimna. Dla rozpalonych gorączką rannych był to, co prawda prowizoryczny, ale jednak prawdziwy cud.
Nie było jednak możliwości, by przechować tę świeżą wodę. Po pięciu minutach szyjka manierki była zamarznięta i zatkana; woda dzwoniła w środku jak kryształowa grzechotka.
Posuwając się do przodu, przekonaliśmy się, jaką cenę zapłaciły wojska pancerne z południa za udzielenie nam pomocy.
Step był jednym wielkim pancernym cmentarzyskiem: osiemset rosyjskich i trzysta niemieckich czołgów zostało zniszczonych w ciągu trzech tygodni walk o uwolnienie okrążonych, walk, które o mały włos straciłyby swój przedmiot.
„Organy Stalina" stały porzucone w śniegu, wyciągając nadal w górę dwa szeregi rur w kolorze suchych liści.
Podczas odwilży wiele niemieckich czołgów ugrzęzło w gliniastej ziemi. Zapadły się po szczyt gąsienic. Kiedy wróciły mrozy, tężejące błoto na dobre uwięziło maszyny w potężnej lodowej skorupie.
Gdy kocioł został już ewakuowany, okazało się, że korytarz przebity dla uciekających trzyma się resztkami sił. Trzeba było jak najszybciej wydobyć czołgi uwięzione w błotnistym lodzie, jeśli nie miały dostać się Sowietom. Czołgiści rąbali siekierami lód i ziemię twardszą od stali. Rozpalali potężne ogniska wokół unieruchomionych maszyn, rozlewali na ziemi paliwo, próbowali wszystkiego, aby odmrozić błoto i uwolnić zablokowane gąsienice. Wydawało się jednak mało prawdopodobne, by ich wysiłki uwieńczył sukces.
Czuliśmy się bezpiecznie pod ochroną dziesiątków Tygrysów i Panter, najlepszych czołgów niemieckich, wyposażonych w wyjątkowo mocne pancerze. Co chwilę ruszały na wroga, który tłoczył się na naszych skrzydłach i deptał nam po piętach.
Korytarz był jednak zaledwie przesmykiem i należało opuścić go jak najszybciej.
***
Czterdzieści tysięcy ludzi musiało się gdzieś zatrzymać na noc.
Błąkaliśmy się bardzo długo. Nadciągnęła burza śnieżna. Podmuchy wiatru atakowały nas milionami malutkich, ostrych kryształków lodu. Jednak cały czas posuwaliśmy się naprzód, nie wiedząc czy w pewnej chwili nie osuniemy się na prawą czy na lewą stronę.
Drugiego dnia zostało nam do pokonania jeszcze dwadzieścia kilometrów.
Wichura ucichła. Śnieg był gęsty, ale słońce oświetlało go różowym blaskiem. Korytarz rozszerzał się. Artyleria zamilkła. Mijaliśmy niebieskie, liliowe, jasnozielone plamy, piękne wiatraki o szerokich, czarnych skrzydłach, rozrzucone na białych polach.
Dotarliśmy do dużej wioski. Tam kończył się korytarz. Natychmiast powrócił niemiecki porządek. Dziesiątki spasionych dekowników, o pełnych kształtach, policzkach apetycznych jak befsztyki, stały wzdłuż drogi z wielkimi tablicami, na których widniała nazwa każdej z jednostek.
Trzeba był odtwarzać plutony, kompanie...
Podoficerowie zawodowi już wykrzykiwali rozkazy. Jeśli sztabfeldfeble zaczynali się wydzierać, oznaczało to, że niebezpieczeństwo minęło!
***
Zebrałem moich Walończyków, którzy mniej zdyscyplinowani od pruskich towarzyszy broni, starali się trochę przedłużyć odpoczynek.
Nagle w tłumie nastąpiło poruszenie. Podążał ku mnie dowódca korpusu.
Byłem zarośnięty, oblepiały mnie kawałkami zamarzniętego błota. Przyjąłem postawę zasadniczą.
— „Proszę za mną" — powiedział. — „Fuhrer dzwonił trzy razy. Oczekuje pana. Od dwóch dni wszędzie pana poszukujemy". — Podążyłem za nim.
W pierwszym blasku dnia na niebie pojawił się Fieseler Storch, niewielka maszyna zwiadowcza, śliczna klatka z miki, z której można było szczegółowo badać teren. Samolot osiadł na płozach. Towarzysze wepchnęli mnie do kabiny tak jak stałem, w ocieplanych ciężkich butach i w grubym kożuchu.

U Hitlera

Mały Fieseler Storch, który zabrał mnie ze stepu, przelatywał nad zapleczem frontu.

Czarne, niekończące się wstęgi wycofujących się jednostek odcinały się od białych pól. Sznury ciężarówek, pododdziały żołnierzy malutkich jak mrówki, wdrapywały się pod górę.
Wioski roiły się od oddziałów. Widoki były wspaniałe: błyszczący śnieg, ciągnący się w nieskończoność, ozdobiony rudymi bukietami drzew owocowych, jasną lamówką strzech, długimi płotami z czarnego drewna, okrągłymi cembrowinami studzien, a na stokach wielkimi wiatrakami, które obracały skrzydłami na tle niebiesko-srebrnego nieba.
W Humaniu zająłem miejsce w specjalnym samolocie Fuhrera, w towarzystwie generała porucznika Lieba i generała SS Gillego, sławnego dowódcy dywizji pancernej Wiking.
Trójsilnikowy samolot leciał około trzydziestu minut nad stepem, a potem wzniósł się wyżej i schował w chmurach. Ukraina została za nami. I to był koniec. Nigdy już nie ujrzę białego i złotawego stepu, ani długich wiosek, przygniecionych zimowym śniegiem lub rozbrzmiewających letnim brzęczeniem komarów, ani bielonych chat z zielonymi albo brązowymi okiennicami, ozdobionymi malowanymi ptaszkami, ani wspaniałych zachodów słońca, ani dorodnych dziewcząt o wydatnych kościach policzkowych, azjatyckich kwiatów wśród milionów złocistych kwiatów słonecznika...
Lecieliśmy w gęstej wacie chmur nad bagnami Prypeci. Niebo trochę się przejaśniło. Przez dziury w chmurach widzieliśmy czasami lasy sosnowe, topole, jakąś wioskę o czerwonych dachach. Byliśmy już w Europie.
W końcu ujrzeliśmy niebieskie jeziora, usiane jasnymi wysepkami, przypominającymi białe nenufary. Byliśmy na pograniczu Litwy, nad Kwaterą Główną Hitlera.
***
Najpierw wezwał mnie Himmler.
W samochodzie, który przysłano na lotnisko, czułem, jak gryzą mnie setki wszy. Mój mundur wyglądał żałośnie.
Domyślono się, że w Kwaterze Głównej, spartańskiej lecz zamieszkiwanej przez ludzi umundurowanych czysto i schludnie, takie dzikusy z frontu jak my, będą po przybyciu odczuwały potrzebę doprowadzenia się do porządku.
Poszedłem więc do łazienki, gdzie pichciłem się przeszło godzinę, jak stare twarde mięso.
Himmler ofiarował mi w prezencie piękną zieloną koszulę. Dzięki temu nie musiałem ubierać starej. Cisnąłem ją w kąt łazienki. Poszarpaną, brudną koszulę zasiedlało całe plemię dzielnych ukraińskich wszy, niezmiernie zaskoczonych tym, że nagle znalazły się w tak zachwycającym miejscu!
Podobno wiele o nich potem mówiono w otoczeniu Reichsfuhrera SS!
Jeden z podoficerów naprawił kołnierz mojej kurtki, rozerwany podczas walk w kotle. Zatrzymałem zwykły mundur polowy, który próbowano nieco oczyścić i wyszczotkować. Na nogach miałem swoje ciężkie ocieplane buty. Tak odziany, siadłem obok Himmlera w wielkim zielonym samochodzie, który poprowadził osobiście i zawiózł mnie do oddalonego o czterdzieści kilometrów od jego kwatery, stanowiska dowodzenia Fuhrera
***
Kwatera Główna Hitlera, położona we wschodniej części Prus Wschodnich, była na początku 1944 roku jednym, wielkim placem budowy.
Przybyliśmy na miejsce o północy. Potężne reflektory pod świerkami oświetlały setki ludzi przy pracy. Budowano olbrzymie betonowe schrony. Pod osłoną gęstego, świerkowego lasu, wyrastał prawdziwy, podziemny Babilon.
Fuhrer zajmował skromny, drewniany domek. Weszliśmy do kwadratowego przedsionka. Po prawej znajdowała się szatnia. Po lewej, w głębi szerokie drzwi oddzielały nas od gabinetu Hitlera.
Czekaliśmy chwilę. Himmler przypominał sobie kilka słów po francusku, jakie miał w repertuarze.
Otworzyły się drzwi.
Nie miałem czasu nic zobaczyć, o niczym pomyśleć: Fuhrer doszedł do mnie, wziął moją prawą dłoń w swoje ręce i serdecznie uścisnął. Magnezja rozświetliła pomieszczenie. Kamery filmowe uwieczniały spotkanie.
A ja widziałem tylko oczy Hitlera, czułem tylko, że jego dłonie ściskają moją prawicę, słyszałem tylko głos, nieco chrapliwy, który witał mnie i powtarzał: „Bardzo się o pana niepokoiłem....".
Usiedliśmy w drewnianych fotelach przed potężnym kominkiem.
Z zdumieniem przyglądałem się Fuhrerowi. Jego źrenice nadal miały w sobie ten dziwny ogień, bezpośredni i urzekający. Ale cztery lata wojny dodały mu niezwykłego dostojeństwa. Włosy posiwiały. Plecy lekko się przygarbiły od ciągłego pochylania się nad mapami i od dźwigania ciężarów całego świata.

Fuhrer sprzed wojny zniknął — Fuhrer zapalczywy, o ciemnych włosach, tryskający zdrowiem, o plecach prostych jak alpejska sosna.
W ręku trzymał okulary w szylkretowej oprawie. Całym sobą wyrażał skupienie i troskę.
Nadal jednak miał w sobie niespożytą jak ogień energię. Mówił o swej woli zwycięstwa za wszelką cenę, bez względu na przeciwności; kazał sobie opowiedzieć ze wszystkimi szczegółami o każdym etapie naszej gehenny.
Zamyślił się, przez pięć minut siedział bez słowa. Poruszał jedynie lekko szczękami, jakby w ciszy kruszył jakąś przeszkodę. Wszyscy milczeli.
Po chwili Fuhrer ocknął się z zamyślenia i powrócił do pytań.
***
Zaprowadził nas do pokoju map, żeby dokładnie zapoznać się ze wszystkimi szczegółami czerkaskiej odysei. Kazał zilustrować na mapie każdy ruch oblężonych oddziałów, dzień po dniu. W przestronnym pomieszczeniu było słychać tylko jego głos, który spokojnie stawiał pytania i nasze, udzielające odpowiedzi z trudnym do powstrzymania wzruszeniem.
Każdy szczegół w sali konferencyjnej zdradzał prostotę i czystość: długie stoły z jasnego drewna, ściany gołe jak w klasztornym refektarzu, lampy z metalowymi kloszami, pomalowanymi na zielono, przesuwane nad mapy na chromowanych, harmonijkowych wysięgnikach.
Fuhrer pracował całymi nocami w absolutnym skupieniu. Czasami do białego rana przemierzał wielki budynek, zastanawiając się nad sytuacją i przygotowując rozkazy. Towarzystwa dotrzymywały mu jedynie: ogień w szerokim kominku, inspirowanym germańską prehistorią i pies, piękny wielki rudawy pies, który sypiał w skrzyni pod stołem.
Szlachetne zwierzę cicho towarzyszyło w spacerach po budynku swemu panu, który powoli przemieszczał się z pomieszczenia do pomieszczenia pochylony, posiwiały, zagłębiony w swych myślach i marzeniach...
***
Hitler udekorował mnie Krzyżem Rycerskim ze wstęgą. Walczyłem jak żołnierz. Fuhrer to docenił. Byłem dumny.
Jednak tej niezwykłej nocy największą dumą napawał mnie fakt, że moi żołnierze zasłużyli na szacunek w oczach Hitlera. Powiedział mi, że wszyscy moi oficerowie z kotła zostali awansowani o jeden stopień i że przyznał moim towarzyszom sto pięćdziesiąt Krzyży Żelaznych.
Wyruszyliśmy na front antybolszewicki, by po wszystkich nieszczęściach imię naszej ojczyzny, powalonej na ziemię w maju 1940 roku, znów rozbrzmiało sławą i chwałą. Jako żołnierze Europy chcieliśmy, aby w Europie, która tworzyła się w takich bólach, nasz stary kraj zajmował miejsce równie świetne jak niegdyś.
Byliśmy mieszkańcami kraju Karola Wielkiego, książąt burgundzkich i Karola V. Po pięciu wiekach wspaniałego rozkwitu, kraj ten nie mógł pogrążyć się w miernocie czy w zapomnieniu.69
Ruszyliśmy na spotkanie z cierpieniem po to, by z naszego poświęcenia odrodziły się na nowo potęga i prawo do życia!
W drewnianej chacie, u boku tego potężnego geniusza, pomyślałem, że jutro cały świat będzie wiedział, czego dokonali Belgowie w Czerkasach. I dowie się, jaki hołd złożyła im Rzesza — kraj rycerski.
Byłem wyczerpany, znękany tymi strasznymi tygodniami. Ale moja dusza śpiewała. Okryliśmy się chwałą! Chwałą okrył się nie tylko nasz bohaterski legion, ale także nasza ojczyzna, kroczącą ku odrodzeniu!
***
O świcie samolot Fuhrera zawiózł mnie do Berlina, gdzie spotkałem się z grupą europejskich dziennikarzy. Do nich już dalej należało przekazanie czytelnikom stu dzienników wiadomości o dokonaniach brygady szturmowej Walonia. Następnie udałem się do Paryża, gdzie wystąpiłem przed dziesięcioma tysiącami ludzi na mitingu w Palais de Chaillot. Francuskie dzienniki wypełnione były opowieściami z naszej odysei. „L'Oeuvre" wydrukował w nagłówku biegnącym przez trzy kolumny te proste słowa: „Leon Degrelle dobrze zasłużył się Belgii."
Było to prawdą jeśli chodziło o Belgię. Nie było, jeśli chodziło o mnie, gdyż zwycięstwo zostało okupione cierpieniem i poświęceniem wszystkich moich poległych żołnierzy.
Niemniej jednak na niespokojnym niebie 1944 roku zabłysło, kolejny raz, imię naszego narodu.
Bruksela
W nocy z 20 na 21 lutego otrzymałem od Fuhrera zgodę, by brygada szturmowa Walonia dostała dwadzieścia jeden dni urlopu. Jeszcze z kwatery głównej wysłałem telegram z rozkazami. Wiedziałem, że moi chłopcy są w drodze i nie musiałem martwić się o nich.

Ten urlop okazał się prawdziwym błogosławieństwem, gdyż zaledwie moi żołnierze wsiedli do pociągu urlopowego, front ukraiński został rozerwany jak skorodowany łańcuch rozdarty piorunem.
Nie byłem tym zaskoczony. Widziałem z jakim wysiłkiem jednostki pancerne Grupy Armii „Południe" wyrąbywały korytarz w naszym kierunku, a i tak nie zdołały do nas dotrzeć: musieliśmy sami pokonać wewnętrzny pierścień okrążenia i przedrzeć się dwadzieścia kilometrów przez teren wroga, wobec którego czołgi okazały się bezsilne.
Oddziały uwolnione z kotła zaledwie zdążyły dotrzeć do stacji ewakuacyjnych. Potężna sowiecka fala nadpłynęła, zalała całą Ukrainę, rozeszła się we wszystkich kierunkach i w kilka dni dotarła do granicy rumuńskiej nad Dniestr.
To był bardzo wysoka fala.
Cała piękna Ukraina o bezkresnych, złocistych polach, o biało-niebie-skich wioskach, przycupniętych pośrodku zbóż, jak kosze z kwiatami, Ukraina obfitująca w kukurydzę i pszenicę, wyposażona w ciągu dwóch lat w setki nowych fabryk, ta Ukraina została zalana przez wrzeszczącą falę Mongołów i wielkogłowych Kałmuków, o wilgotnych wąsach, o zębach z białego metalu, z wielkimi pistoletami maszynowymi z płaskimi bębenkami, oszołomionych faktem, że w ciągu półtora roku przebiegli od Wołgi do Galicji i Besarabii.
Mieli kieszenie wypchane złotymi pierścionkami, najadali się do syta i zabijali dużo „Fryców".
Byli w siódmym niebie.
***
Z wielkimi trudem odnalazłem w końcu moich ludzi na dawnej granicy polskiej, we Włodawie. Czerwoni byli już niedaleko — prawdziwa inwazja płazów wynurzających się z mokradeł Prypeci.
Ostatecznie trafiliśmy do obozu w bawarskim Wildflechen, skąd wcześniej wyruszaliśmy 11 listopada 1943 roku.
Powróciły strzępy brygady, ale kolejny raz nowy legion ochotników walońskich czekał na zwycięzców z Czerkasów, aby zająć miejsce rannych i zabitych. Dwa tygodnie później odnowiona brygada szturmowa Walonia była jeszcze silniejsza niż poprzednia i liczyła trzy tysiące pełnych entuzjazmu ludzi, z niecierpliwością oczekujących powrotu do walki.
Przed wyruszeniem do walki, chcieliśmy jeszcze pokazać się w ojczyźnie, gdzie sława zdobyta przez walońskich ochotników pod Czerkasami mocno pochlebiła narodowej dumie. Oczywiście nie cieszyliśmy się sympatią w środowiskach anglofilów i komunistów, jednak nawet ci, którzy nami gardzili, nie mogli zaprzeczyć, że nasi żołnierze dochowali wierności honorowi wojskowemu i tradycjom bojowym narodu.
2 kwietnia 1944 roku przed południem dotarliśmy do granicy holendersko-belgijskiej.
Stamtąd rozpoczął się nasz przemarsz przez cały kraj.
Nasze kolumny pancerne i zmotoryzowane liczyły siedemnaście kilometrów długości.
Z wierzchołków potężnych maszyn młodzi żołnierze oglądali z uśmiechem prześliczne wioski o niebieskich strzechach. To dla tych malowniczych osad, dla tej starej ziemi przemierzali stepy, cierpieli i ryzykowali życie.
W południe brygada wkroczyła radośnie do robotniczego miasta Charleroi i na Placu Centralnym, odnowiła przysięgę na wierność ideom narodowosocjalistycznym. Następnie setki pojazdów wojskowych ruszyły przez walońską Brabancję. Wielki lew z Waterloo spoglądał na nas ze szczytu swego wzniesienia.
Myśleliśmy o wszystkich bohaterach, którzy na tych szarych polach prowadzili szarże podobne tym, w których nie tak dawno sami braliśmy udział w rosyjskim błocie.
Teraz jednak błota pozostały daleko za nami, a nasze maszyny ozdabiały kwiaty. Wysokie na dwa metry wieńce z dębowych liści dekorowały burty pancerzy. U bram Brukseli czekały na nas z błyskiem w oczach tłumy młodych, radosnych dziewcząt.
Centrum stolicy wyglądało jak wielkie falujące morze twarzy i sztandarów. Pojazdy z trudem przeciskały się przez dziesiątki tysięcy ludzi, którzy nadbiegli ze wszystkich stron i szaleńczo wiwatowali na cześć naszych żołnierzy. Tłum oblegał nas jak morze, wznosił okrzyki, rzucał tysiące róż, pierwszych róż w roku, najdelikatniejszych, najsłodszych, które zapowiadały nadejście wiosny.
Mój transporter zatrzymał się przed kolumnadą Giełdy. Posadziłem na pancerzu poruszoną gromadkę moich dzieci. Czułem w dłoniach ich malutkie, gorące rączki. Razem z moimi żołnierzami patrzyłem na to wspaniałe święto, wspólnotę ludzi umiejących docenić sławę. Na ulicy usłanej kwiatami cały czas pojawiały się z warkotem kolejne transportery.
Dokładnie tą samą drogą pięć miesięcy później wkroczą do Brukseli czołgi anglo-amerykańskie...

VII
Estońska epopeja

Nasz legion miał zostać zreorganizowany w maju 1944 roku w Polsce, na wielkim poligonie wojskowym w Dębicy, między Krakowem a Lwowem.
Przeszło ośmiuset belgijskich robotników z fabryk w Rzeszy, pod wpływem mojej agitacji, zaciągnęło się latem do naszej brygady. Zaledwie pierwszy kontyngent trzystu naszych rodaków dotarł w lipcu 1944 roku do obozu, gdy rozpoczęła się nowa, sowiecka ofensywa.
Mińsk padł. W dwa tygodnie niesamowita powódź przelała się przez niemiecki front zmywając wszystkie oddziały i docierając do trzystu kilometrów na zachód. W tym samym miesiącu sowieckie wojska dotarły do granicy Litwy z Prusami, zajmując także połowę Polski. Dotarły do przedmieść Warszawy.
Droga na Berlin stała otworem.
Do ogarniętej powstaniem Warszawy rzucono dywizję Wiking z nowymi, nie-dotartymi czołgami.
Część impetu Sowietów skierowała się przeciwko pozycjom wojsk niemieckich broniących się w Estonii, u brzegów Zatoki Fińskiej.
Najdalej wysunięty odcinek pod Narwą była obsadzony elitarnym korpusem SS, III Korpusem Pancernym, składającym się z ochotników ze wszystkich krajów germańskich. Byli tam Flamandowie, Holendrzy, Duńczycy, Szwedzi, Norwedzy, Estończycy i Łotysze. Wszyscy dzielnie stawiali opór. Ponosili jednak wielkie straty.
Trzeba było pilnie pozatykać powstałe dziury.
***
Pozatykać, ale czym?
Niektóre urzędy w Berlinie rozumiały to na opak i porozsyłały we wszystkie strony zupełnie nieskoordynowane telegramy. Obóz w Dębicy otrzymał rozkaz wysłania jeszcze tego samego dnia na front w Estonii naszych trzystu ochotników walońskich, którzy dopiero co przybyli.
Setka z nich została wcielona do pułku zaledwie cztery dni wcześniej. Dwustu pozostałych znajdowało się w obozie dopiero od dwóch tygodni i ledwo poznali jak obchodzić się z karabinem! Żaden nigdy nie miał do czynienia z pistoletem maszynowym.
Akurat w tym czasie wezwano mnie do Belgii, gdzie mojego brata bestialsko zamordowali terroryści.
Kiedy dowiedziałem się o tych nonsensownych rozkazach, naszych trzystu chłopców jechało już w kierunku Morza Bałtyckiego, razem z setką weteranów, którzy mieli służyć im w Dębicy za instruktorów. Wszystkich wyekspediowano razem.
W ostatniej chwili wydano im pistolety maszynowe i polecono opanować obsługę tej skomplikowanej broni podczas podróży koleją.
Początkowo nie mogłem w to uwierzyć. Kazałem dzwonić do Berlina. Potwierdzono wiadomość. Podobnie wyglądała sytuacja innych jednostek. Dokładnie w ten sam sposób zostali wysłani w drogę ochotnicy flamandzcy. Byłem załamany. Trzystu wolontariuszy uzna mnie za kłamcę i blagiera. Zaciągnęli się do naszego legionu ponieważ mi zaufali. I zaledwie przybyli do obozu, oczekując, że otrzymają solidne przeszkolenie wojskowe, już wysłano ich na front.
Mój niepokój potęgował dodatkowo fakt, że po Czerkasach Hitler zabronił mi osobiście angażować się w walki. Co mogłem zrobić, żeby ratować moich nowych żołnierzy, albo chociaż uchronić ich od katastrofy?
Zuchwale wysłałem telegram do sztabu Himmlera, w którym ostro zaprotestowałem przeciwko wyjazdowi, domagając się anulowania rozkazu lub chociaż zezwolenia na dołączenie do moich ludzi.
Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Ziemia paliła mi się pod nogami.
Po trzech dniach bezskutecznego oczekiwania wysłałem kolejny telegram: „Z pozwoleniem lub bez wyjeżdżam jutro na front w Estonii". Berlin wysłał mi kilka godzin później suchą odpowiedź: „To kwalifikuje się pod sąd wojenny" Odpowiedziałem natychmiast: „Pod sąd wojenny kwalifikuje się również decyzja o posłaniu do walki rekrutów, którzy przebywali w koszarach zaledwie cztery dni".
W nocy nadszedł z Berlina ostateczny werdykt: „Niech pan robi, co się panu podoba!".
O świcie mój samochód był gotowy. Wieczorem dotarłem do Berlina, ale ominąłem miasto obawiając się, że być może czeka tam na mnie odwołanie poprzedniego rozkazu. Ruszyłem do Gdańska. Tam dowiedziałem się, że moi żołnierze przejechali przez terytorium litewskie tuż przed odcięciem linii kolejowej do Rygi przez czołówki sowieckie. Od tej chwili nie można już było przedostać się do Estonii drogą lądową.

Nie dysponowałem też żadnym samolotem. W końcu znalazłem starą krypę, która płynęła do Finlandii. Wracając miała zawinąć do Rewla (Tallinn). Po krótkiej wymianie zdań udało mi się wprowadzić na pokład mojego starego citroena.
W południe nasz statek podniósł kotwicę i opuścił wspaniałą redę. Tymczasem nad zatoką, na niebiesko-złotym niebie pojawiła się sowiecka eskadra.
Pod Narwą
Statek, stary transportowiec bananów z Gwinei, wyszedł na pełne morze i ruszył wzdłuż brzegu wschodniopruskiego.
Była to jedna z ostatnich jednostek, która wypłynęła do Finlandii. Ta bowiem kilka dni później podpisała zawieszenie broni.
Na pokładzie było około tysiąca ludzi, należących do najprzeróżniejszych formacji.
Wpatrywaliśmy się w spokojne, mieniące się, jasnoszare morze. Czasami zamiast wodnika wyłaniał się peryskop i ukazywał się okręt podwodny, ociekający wodą jak grzbiet wieloryba. Podmorski przyjaciel czuwał.
Okręty podwodne są jak ludzie. Więcej jest złych niż dobrych. Niejeden konwój żołnierzy zatonął w Bałtyku. Byliśmy obwieszeni kołami ratunkowymi i wszyscy spaliśmy na pokładzie, niedaleko luków jak wielkie pingwiny.
Minęliśmy wybrzeże Litwy i Łotwy. W ostatnią noc nasz statek dostał rozkaz zmiany kursu i skierowania się bezpośrednio do Rewla, gdzie setki rannych oczekiwały transportu.
O piątej rano wpłynęliśmy do spokojnej zatoki, w kolorze stalowo-niebieskim, na wprost stolicy Estonii, słynnego Rewla (Tallinn), miasta Krzyżaków, rozłożonego na zboczu wzgórza, usianego smukłymi dzwonnicami i ozdobionego potężnymi basztami sławnej fortecy. Wszystkie stare miasta bałtyckie były silnie naznaczone przeszłością: każde posiadało majestatyczny, ufortyfikowany zamek, który był przez wieki centrum kultury i germańskiego porządku; białe kościoły o niebieskich, wysmukłych jak strzały dzwonnicach, domy kupców o fundamentach z potężnych, ciosanych kamieni, spatynowane przez sto zim i misternie rzeźbione, ładne i rozważne jak ich siostry z Lubeki, Bremy czy Brugii, ostatnie kwiaty z festonu bogactwa i rozkwitu Hanzy.
Reda w Rewlu, noszącym w nazwie dolinę i marzenie, tworzyła na długości około mili delikatny łuk, usiany potężnymi czerwonymi kamieniami. W oddali, na tle pozłacanych pól odcinały się potężne ruiny gotyckiego spichrza, dokładnie takiego, jaki można jeszcze spotkać na flandryjskim wybrzeżu.
Jeden z generałów poinformował mnie, gdzie mogą stacjonować moi żołnierze. Było to gdzieś pod Narwą. Godzinę później jechałem piaszczystą i wyboistą drogą wzdłuż Zatoki Fińskiej w głąb kraju, w kierunku Leningradu.
***
Wieś była biedna: nieużytki i małe laski: leszczynowe, sosnowe, osikowe; śliwy, dzikie kwiaty przypominające różowe ptaszki. Od czasu do czasu widać było morze, niebieskie i błyszczące. Domy miały dachy pokryte gontem. Widziałem niewielu mieszkańców, ale dziewczęta były wspaniałe, rozłożyste, o silnych nogach, w schludnych sukienkach.
Po kilku godzinach jazdy w kurzu zobaczyłem zaporę z około czterdziestu wielkich balonów. Osłaniały olbrzymią fabrykę, gdzie niemieccy inżynierowie miażdżyli łupek i wyodrębniali duże ilości oleju mineralnego. Na Kaukazie walczyliśmy o ropę dla samolotów, a tu walczyliśmy o paliwo dla okrętów podwodnych.
Front był blisko. Wioski, przez które przejeżdżałem, obrócono w perzynę. Drzewa przy drodze były rozłupane, ścięte lub spalone. Powietrze miało szary odcień. Słychać było gwałtowne kanonady.
Koniec końców odnalazłem moich żołnierzy.
Dostali kwatery dziesięć kilometrów od linii frontu. Oficer, który ich przywiózł, wiedział, że Walończycy nigdy nie wyruszali do walki beze mnie. Pewny swego, oświadczył dowódcy korpusu, że niebawem przybędę, że ludzie nie są jeszcze gotowi i że do mojego przyjazdu odmawia wszelkiej odpowiedzialności.
Dowódcą korpusu był wspaniały człowiek, generał Steiner, poznaliśmy się na Kaukazie. Postanowił poczekać.
Dotarłem do jego stanowiska dowodzenia przed zachodem słońca. W białym krawacie, jak Pierre Laval, jak zwykle bardzo szykowny, wytworny i pachnący, wylewnie mnie uściskał. Kiedy w nocy wróciłem do moich chłopców, mogłem ich powiadomić, że uzyskałem dla nich dodatkowe trzy tygodnie szkolenia i najlepszych instruktorów.
Nasz obóz stał na szczycie wysokiego, piaszczystego brzegu, skąd rozciągał się wspaniały widok na Zatokę Fińską. Sto metrów w dół pod naszymi stopami, wzdłuż wody, ciągnął się dziwny szpaler czarnych drzew, uczepionych wysokiego brzegu.

Zeszliśmy do zatoczki rozświetlonej ciepłą sierpniową nocą. Pełni energii, nadzy wbiegliśmy do morza i pływaliśmy bez końca wśród śpiewających fal.

Zatoka Fińska

Front w Estonii był prawdziwym losem na loterii.
Rosjanie stali u bram Warszawy, a kilkadziesiąt tysięcy ochotników ze wszystkich krajów germańskich nadal trzymało się w spustoszonych lasach w pobliżu Leningradu!
Narwa wyznaczała granicę pomiędzy starą Europą i słowiańską Azją. Po dwóch stronach niewielkiej rzeki o tej samej nazwie, która przecinała miasto, wznosiły się dwa różne światy: na brzegu zachodnim stał stary zamek Zakonu Krzyżackiego z blankowanymi murami; dokładnie po drugiej stronie wody, rosyjskie miasto piętrzyło zielone cebule swych cerkwi.
III korpus, w którym Niemcy stanowili mniejszość, trzymał straż na tym progu, który o mało nie został zniwelowany w lipcu 1944 roku. W trakcie ciężkich walk zniszczono setki czołgów sowieckich. Legiony europejskich ochotników wykrwawiały się na śmierć: jeden z dwóch pułków holenderskich uratował wszystkiego dwudziestu ludzi na trzy tysiące; pozostali, atakowani przez wiele dni, zostali zmasakrowani.
Ofensywa Sowietów nie powiodła się: III korpus ustąpił jedynie o piętnaście kilometrów.
Potrzebowano jednak nowej krwi. Nasza była pod ręką, zupełnie świeża, w sam raz do kolejnych walk.
***
Działa grzmiały bez przerwy. W nocy wydawało się, że huk ten przybliża się.
Często widywaliśmy sowieckie statki. Przepływały, kierując rufę w stronę Finlandii. Nasze działa otwierały ogień i zmuszały je do odwrotu.
Działa artylerii nadbrzeżnej były doskonale zamaskowane. Osłaniały całe wybrzeże. Oficerów i kanonierów chroniły świetne schrony, wykopane na wysokim brzegu, nad morzem. Pięćdziesiąt, osiemdziesiąt metrów pod tymi orlimi gniazdami fale roztrzaskiwały się o stromy brzeg, wpadały na piasek, rozbijały się o drzewa. Morze aż po horyzont delikatnie lśniło. W oddali, w jaskrawym słońcu widać było cieniutką jak skrzydło mewy linię białej wyspy.
Zmierzch tworzył nad wodą cudowną ramę z płomienno-pomarańczowych błysków i potężnych mas różowych i złotych obłoków.
Barwne wieczory, które umierały w zgiełku fioletów i czerwieni, noce usiane gwiazdami, świeża samotność diamentowych poranków, wszystko to zostało podarowane nam, żołnierzom, którzy z obowiązku asystowali w objawieniu Piękna, po to, by nasze dusze rozbudziły się na nowo, by przygotowały się na dni pełne krzyków rozdzieranych ciał i dusz stojących na progu wiecznej drogi...
***
W połowie sierpnia Czerwoni zainicjowali głęboki manewr, który miał ostatecznie zmiażdżyć Estonię. Kiedy nie zdołali przerwać frontu pomiędzy Narwą i północnym brzegiem jeziora Pejpus, rozpoczęli wielką ofensywę po południowej część jeziora, nacierając z granicznego Pskowa.
Było jasne, że mają zamiar ruszyć na Dorpat, a następnie na Rewel, wychodząc na tyły pozycji w Zatoce Fińskiej.
Niemieckie lotnictwo obserwowało każdego dnia masowe przegrupowanie sowieckich oddziałów spod Narwy.
III korpus powinien wykonać taki sam manewr i nie odstępować wroga. Należało natychmiast wysłać na południe silną „Kampfgruppe" (grupę operacyjną), aby postawić zaporę w poprzek marszruty czerwonych wojsk, które szybko podążały na północny-zachód, nie napotykając praktycznie żadnego oporu.
Generał Steiner przeanalizował sytuację. Musiał sięgnąć po wszelkie dostępne środki.
Postanowił pozostawić jeszcze przez kilka dni na szkoleniu moich najsłabiej przygotowanych rekrutów. Ale trzystu ludzi, którzy teoretycznie byli już gotowi, wpisano na listę.
W nocy z 15 na 16 sierpnia dostałem rozkaz wymarszu. O piątej nad ranem zabrały nas ciężarówki.
Śpiewając stare pieśni narodowe, jechaliśmy w kierunku malutkiej czerwonej kropki, która na mapach niemieckich nazywała się Dorpat, a po estońsku Tartu.
Tartu! Dawna stolica kulturalna i duchowa krajów nadbałtyckich. Tartu! Jeszcze tego samego miesiąca mieliśmy ujrzeć jego słynną bibliotekę, pięknie malowane domy, pracownie artystów, drukarnie, starożytny uniwersytet, wszystko w płomieniach, niczym potężne czarne pochodnie,

które przez osiem dni niestrudzenie wznosiły się pomiędzy dymiącą ziemią i niewzruszonym niebem...

Twarzą w twarz

Jezioro Pejpus, na którego dwóch krańcach decydował się los Estonii, przez długie lata oddzielało ten kraj od ZSRS.
Przez rzekę Narwę jezioro było połączone z miastem Narwa nad Zatoką Fińską. Tworzyło prawdziwe wewnętrzne morze, po którym niegdyś pływały statki. W sierpniu 1944 roku widzieliśmy w złocistych wodach ich skorodowane wraki.
Dotarliśmy do jeziora Pejpus od strony południowej, przechodząc najpierw przez pachnące świerkowe lasy, poprzecinane różowymi promieniami słońca i upstrzone dzikimi jagodziskami.
Jezioro otaczała piaszczysta, sucha plaża, na której gdzieniegdzie widać było rzadką trawę i kamienie. W zakolach oświetlonych zatok, pod szmaragdowym niebem, stało kilka zagród. Domy dawno już zniszczyło lotnictwo. Pozostało jedynie kilka podtopionych czółen i ruiny, pośród których obozowali Niemcy.
Jezioro stanowiło najdłuższą część Frontu Estońskiego. Po drugiej stronie wody znajdowali się Rosjanie. Wystarczyłoby wiosłować przez jedną noc, żeby do nich dotrzeć. Nasz brzeg miał symboliczną obronę. Gdzieniegdzie widać było jakiś bunkier z drewnianych bali i odcinki okopów w piasku. Ale właściwie nie było żadnych jednostek. Kiedy zajmiemy pozycje na południowym krańcu jeziora, nasza lewa flanka będzie na łasce Sowietów.
Według rozkazów dowództwa, główna linia obrony Kampfgruppe miała rozciągać się od jeziora Vórts znajdującego się niemal w centrum Estonii, aż do po-łudniowo-zachodniej strony jeziora Pejpus. Rzeka Embach (Emajógi), która łączyła obydwa jeziora, miała stanowić naturalną linię walki w razie, gdyby wróg zdołał zbliżyć się do regionu dorpackiego.
Udałem się po rozkazy do ratusza starego, uniwersyteckiego miasta. Wyżsi oficerowie trawili czas na niekończących się dyskusjach. Sytuacja była bardzo niejasna. Przybył dowódca Kampfgruppe, generał Waffen SS Wagner, o ustalonej reputacji przeciwnika równie błyskotliwego, co nieustraszonego, olbrzym o posturze lancknechta, jak zwykle z Krzyżem Rycerskim: prawdziwy kondotier z czasów Renesansu, wesoły, silny, rubaszny, niezmordowany. Krótko mówiąc człowiek, jakiego nam było trzeba w czarnej godzinie, której nadejście wszystko zapowiadało.
Kampfgruppe Wagnera była rozstawiona na odcinku trzydziestu kilometrów — kolumna zwiadowczych pojazdów opancerzonych, czołgów i całkowicie zmotoryzowanych oddziałów szturmowych. Generał prowadził niewielu ludzi, ale byli to najlepsi żołnierze.
W Dorpacie zrobiono mu prezent z amalgamatu kiepsko wyszkolonych oddziałów posiłkowych, które musiał w pośpiechu reorganizować. W ich skład wchodziły resztki rozproszonych jednostek niemieckich i estońskie pospolite ruszenie — w cywilnych ubraniach, z opaskami na rękawach — które przybyło w całkowitym nieładzie, źle uzbrojone, otoczone żonami, na zakurzonych drogach spływające potem ze zmęczenia i strachu.
Generał Wagner rozsądnie postanowił zatrzymać kolumnę na północ od Dorpatu i najpierw zbadać teren i przestudiować mapę sytuacyjną.
***
Nasze ciężarówki zatrzymały się w wiosce noszącej nazwę Maria Magdalena.
O świcie obudził nas łącznik: musieliśmy natychmiast ruszać naprzód. Z Dorpatu jedna szosa prowadziła na południowy wschód, w kierunku Pskowa, druga zaś szła na południowy zachód, w kierunku Rygi. Rozmieściłem sześć wysuniętych stanowisk w odległości dwudziestu pięciu kilometrów od Dorpatu i od rzeki Embach, w trójkącie wyznaczonym przez te dwie drogi.
Nigdy jeszcze nie mieliśmy tak niejasnego zadania. Zapytałem, co znajduje się pomiędzy moimi nieszczęsnymi stanowiskami, a nacierającą masą Sowietów. Odpowiedź była rozbrajająca: teoretycznie dwie dywizje, w praktyce nic o nich nie było wiadomo; uszły najprawdopodobniej w kierunku zachodnim, w stronę Rygi. „W każdym razie — dorzucono — nie liczcie na nie i bądźcie czujni".
Być gotowym zamknąć z kilkoma garściami żołnierzy odcinek szeroki w prostej linii na czterdzieści kilometrów?
Pozostała część frontu była improwizowana w podobny sposób. Kampfgruppe Wagner wysłała na spotkanie wroga patrole zwiadowczych pojazdów opancerzonych. Te, dzień i noc patrolowały liczne szlaki, którymi sunęły do przodu sowieckie czołówki.
***

Wróg zamiast wniknąć pomiędzy dwie główne drogi, zaatakował od frontu, odsuwając się nieco od jeziora Pejpus i głównej drogi Psków-Dorpat. Szukając najsłabszego punktu, znalazł go na wschód od tej drogi. 19 sierpnia 1944 roku przerwał front na szerokości dziesięciu kilometrów i wdarł się w głąb na osiem kilometrów, w odległości zaledwie strzału z karabinu od naszego lewego skrzydła. Ciężarówki nadjechały w tej samej chwili, co łącznik na motocyklu, który przywiózł mi rozkaz do natarcia. O piątej wieczorem miałem zaatakować wszystkimi siłami, jakie posiadałem, z zachodu na wschód w poprzek wyłomu stworzonego przez Sowietów.
Nacierające ze wschodu na zachód oddziały niemieckie powinny spotkać się z nami w połowie drogi. Mieliśmy połączyć się w wiosce Paczka, położonej niedaleko wiatraka, wznoszącego się na szczycie odkrytego wzniesienia. Miały nas wspierać cztery czołgi.
Czekała nas wspaniała walka. Wróg przeszedł z impetem przez lukę we froncie. Jeśli nasz kontratak powiedzie się, jego ofensywa zostanie spowolniona na wiele dni.
Lecz potrzebowaliśmy trochę czasu. Niemieccy saperzy i tysiące cywili budowali w pośpiechu ufortyfikowaną linię, która miała rozciągać się w formie półksiężyca w odległości około ośmiu kilometrów na południe od Dorpatu. Dowództwo chciało utworzyć tam przyczółek, który mocno broniłby dostępu do miasta. Skrzydła zapory miały opierać się na na rzece Embach, głębokiej, naturalnej osłonie.
Jednak budowa umocnień nie została ukończona.
Posiłki były dopiero w drodze. Mogły dotrzeć na pozycje dopiero za kilka dni. Poranne natarcie doprowadziło wroga zaledwie kilka kilometrów od robót. Jutro lub pojutrze Rosjanie przejdą je, jeśli silny kontratak nie powstrzyma ich rozmachu.
***
O czwartej po południu ciężarówki wyładowały moich ludzi sześć kilometrów od Paczki.
Miałem do dyspozycji młodych wspaniałych oficerów, którzy niedawno ukończyli szkołę wojskową w Bad Tólz, w Bawarii. Niecierpliwie czekali na okazję, by się wykazać.
Nasze czołgi czekały, ukryte w sadzie jabłoni. Ustaliłem plan ataku. Mieliśmy ruszyć dokładnie o godzinie piątej w asyście czterech czołgów.
Kompanie miały natychmiast zająć pozycje, unikając odkrycia. Wróg zajmował stanowiska kilometr od nas. Wyznaczyłem każdemu dowódcy kompanii pozycję wyjściową do ataku.
Nasi żołnierze przemykali pochyleni przez dojrzałe zboże, które w upalne popołudnie schło w słońcu.
Wiatrak w Paczce
Minuty, które dzielą od walki wręcz, są zawsze ciężkie do zniesienia. Ilu, spośród tych wszystkich chłopców, będzie później leżeć na ziemi z szeroko rozwartymi oczami? Ilu będzie próbowało, czołgając się we własnej krwi, uciec przed serią z broni maszynowej?
Słyszeliśmy odgłosy zbliżających się żołnierzy. Rosjanie musieli już widzieć wieże Dorpatu.
Wioska Paczka, na wzniesieniu, wydawała się silnie obsadzona.
Przeczołgałem się do miejsca porośniętego ostrokrzewem i stamtąd śledziłem przez lornetkę postępy Sowietów. Spory oddział bolszewików, wspierany przez artylerię, zajmował obie strony drogi, którą rozkazano nam opanować na długość pięciu kilometrów.
Teren był całkowicie odsłonięty. Ale wzgórza, które wróg zajmował po lewej i prawej stronie, były zalesione.
Moi żołnierze leżeli ukryci w rowach i w zbożu, cisi, nieruchomi jak pnie drzew.
O piątej zbliżyłem się do czołgów: nasi ludzie uformowali się i skokami ruszyli naprzód.
Na dźwięk czołgów sunących po równinie, pozycje wroga zafalowały. Żołnierze sowieccy rozbiegali się do okopów, dział, granatników. Jeden z rosyjskich oficerów, prawdziwy kolos, stanął wyprostowany, doskonale widoczny na szczycie wzniesienia i zaczął wydawać rozkazy, zupełnie lekceważąc niebezpieczeństwo.
Pierwsze pociski z naszych czołgów trafiły prosto w środek wiatraka. Rosyjski oficer nawet nie drgnął.
Wszystkie sąsiednie domy wylatywały w powietrze, jeden za drugim.
Gigant stał niewzruszony. Kiedy dym się rozproszył nadal go widzieliśmy, stał jak granitowy posąg.
Nasze kompanie wspinały się po zboczu. Lawina żelastwa spadła na nasze czołgi. Sowieckie karabiny maszynowe znaczyły stok zygzakami. Jeden z czołgów został trafiony bezpośrednio, ale nadal strzelał.
Nasi żołnierze pokonali pędem dziewięćset metrów niewielkiego wzniesienia. Wiatrak był zaciekle broniony. Zdołało do niego dobiec dwóch oficerów. Obydwaj padli na progu budynku, jeden zginął

natychmiast, drugi został ciężko ranny. Ale kompania przeszła po ich ciałach. Potem przyszła kolej rosyjskiego giganta: wiatrak był nasz.
Druga kompania, która wspinała się od prawej strony, ruszyła na wrogie stanowiska z takim samym impetem i poniosła podobne straty. Jej dowódca został raniony trzy razy. Nie mógł iść dalej. Wdrapał się na jedną z armat przeciwpancernych zdobytych na Rosjanach i ostatkiem sił odwrócił ją. Strzelał jeszcze przez dwadzieścia minut zanim skonał na stercie łusek.
W ciągu pięćdziesięciu minut nasze oddziały pokonały pięć kilometrów, zajęły Paczkę, wyparły z niej nieprzyjaciela i zdobyły sowiecką artylerię.
Niestety nie mieliśmy żadnych wiadomości o ataku oddziałów, które miały od wschodu ruszyć na spotkanie i połączyć się z nami pod wiatrakiem.
Nie mogliśmy pozwolić, by nieprzyjaciel pozbierał się. Wysłałem więc moich ludzi za Paczkę, naruszając tym samym pięciokilometrowa strefę zastrzeżoną dla naszych sojuszników. Operacja miała sens tylko pod warunkiem, że wysunięte oddziały wroga zostaną całkowicie odcięte. Inaczej to nam będzie zagrażało okrążenie.
Pogłębiliśmy wyłom o dwa kilometry. W ten sposób pokonaliśmy siedem z dziesięciu kilometrów korytarza. Ponieśliśmy straszliwe straty: z czterech nowych oficerów z Bad Tolz, trzech nie żyło, a czwarty był ciężko ranny. W Waffen SS średnia życia oficera wynosiła na froncie trzy miesiące.
Mój adiutant, ranny w lewe ramię, został ewakuowany. Około stu moich żołnierzy zostało zabitych lub rannych.
Co robił oddział, który miał wyruszyć na spotkanie ze wschodu, kiedy my przedzieraliśmy się w jego kierunku?
Walczyliśmy zaciekle na obu skrzydłach, gdzie wróg nieprzerwanie usiłował nas zmiażdżyć. Próbując nacierać jeszcze dalej, w końcu sami znajdziemy się w pułapce.
Brak odsieczy od wschodu przerażał mnie. O ósmej wieczorem nadal byliśmy sami.
Czołgi wezwane gdzie indziej, opuściły nas.
O godzinie dziewiątej otrzymałem komunikat o całkowitej porażce ataku od wschodu: słaby liczebnie nie zdołał nawet wyjść poza swe pozycje. Otrzymaliśmy rozkaz umocnienia się w zachodniej części Paczki. Stamtąd mogliśmy mimo wszystko blokować przejście ewentualnym sowieckim posiłkom.
Ale czoło rosyjskiej ofensywy nie zostało odcięte.
***
Natychmiast po porażce na skrzydłach cofnęło się, aby nas zaatakować.
Z pięciuset towarzyszami utrzymywałem ostrze wbite w serce nieprzyjacielskiego korytarza, na końcu wąskiego „molo".
Oba nasze skrzydła były bronione jedynie przez karabiny maszynowe. Nie mieliśmy ani jednego działa piechoty. Nasze czołgi nie wróciły.
Wróg sprowadził „organy Stalina". Ostrzeliwał nas przez całą noc, zalewając falami po trzydzieści sześć granatów.
Potem nadszedł świt. Rosa zwilżyła trawę. Trzęśliśmy się z zimna. Kazałem rozstawić grupę karabinów maszynowych na skraju brzeziny, która górowała nad szlakiem Sowietów w kierunku Dorpatu. „Organy Stalina" przekopywały lasek metr po metrze. Ale ukryci w wąskich dołkach, w ziemi nie oddaliśmy ani skrawka terenu.
Łącznicy przynieśli mi zaskakujące wiadomości. Rosjanie znajdowali się już wiele kilometrów za nami, na zachodzie. Zdołali nas ominąć. Zaczęli wychodzić zewsząd na skraj lasu. Wielu czerwonych żołnierzy zostało zabitych na samej drodze, trzy kilometry za naszymi plecami.
Generał Wagner przesyłał nam entuzjastyczne gratulacje, zapowiadając jednocześnie, że zostaniemy wymienieni w komunikacie kwatery głównej. Musieliśmy jednak jeszcze utrzymać pozycje. Tymczasem kończono przygotowywać nową linię obrony na południe od Dorpatu.
Oderwaliśmy się nieco od naszych zmartwień, kiedy setki srebrnych lisów przebiegły nam pod nogami. No prawo od naszych pozycji znajdowała się hodowla, gdzie trzymano przeszło dwa tysiące tych pięknych zwierząt. Właściciele uciekając pootwierali wszystkie klatki: lisy biegały między wybuchającymi pociskami z niezwykłą zręcznością, zamiatając ziemię długimi ogonami o świetlistych refleksach.
Na zachodzie wróg rozszerzył promień ataku. Po południu zdobył drogę na Psków. Jeszcze dalej, na zachód od niej, w centrum odcinka Wagnera, nacierający zdołali przedrzeć się do wioski o nazwie Kambja.
Motocyklista przejeżdżając pędem przez las zajęty przez Sowietów przywiózł nam wieczorem rozkaz natychmiastowego przejścia do rejonu Kambji, gdzie niebezpieczeństwo przerwania frontu było coraz wyraźniejsze.

Ruszyliśmy, przemykając się od zagajnika do zagajnika ze zręcznością węża. Po pokonaniu dwudziestu kilometrów, o drugiej nad ranem stanęliśmy twarzą w twarz z falą Rosjan, którzy już zajęli Kambję i najwyraźniej postanowili kontynuować ruch naprzód, aby połączyć się ze zwycięskimi sąsiadami na wschodzie i południowym-wschodzie.

Kambja

Rano 21 sierpnia 1944 roku sytuacja na froncie estońskim wyglądała następująco.
Wysunięta linia obrony Dorpatu, pomiędzy jeziorem Pejpus i drogą do Pskowa, była przerwana — Rosjanie wyszli nawet na zachodni brzeg jeziora.
Wojska w centrum frontu doszczętnie rozbite przez sowiecką falę, która zajęła Kambjię.
Zachodnie skrzydło frontu — od Kambji do szosy Ryga-Dorpat i od niej aż do jeziora Vórts — nie było dotąd niepokojone.
Krótko mówiąc, kiedy generał Wagner analizował sytuację, widział lewe skrzydło rozbite, a środek poważnie zagrożony; tylko skrzydło prawe, najbardziej oddalone od punktów wyjściowych sowieckiej ofensywy, cieszyło się jeszcze względnym spokojem.
Około piętnastu kilometrów na południe od Dorpatu, polna droga z Kambji łączyła się z drogą główną do Pskowa. Ale nawet to rozwidlenie było już zagrożone przez siły sowieckie, nadciągające od południowego-wschodu.
Miałem — po pierwsze — zatrzymać wroga w Kambji przy pomocy stu pięćdziesięciu piechurów, plutonu granatników i kilku dział niemieckiej artylerii.
Musiałem — po drugie — zapewnić ochronę skrzyżowania dróg Psków-Dorpat i Kambja-Dorpat.
Nieprzyjaciel znajdował się już kilometr od tego węzła drogowego, który zresztą był zupełnie odsłonięty i płaski jak stół. Wroga artyleria, granatniki i „organy Stalina" zajmowały lasy po naszej lewej stronie. Żeby zapobiec ich przejściu, dysponowałem jedynie trzema armatami przeciwpancernymi.
Punkt dowodzenia ulokowałem w chałupie obok skrzyżowania. Co godzinę spadał na nas grad rakiet i kul sowieckich szturmowców. W nocy, w każdej chwili spodziewaliśmy się ujrzeć bolszewickie czołgi wjeżdżające na podwórko gospodarstwa. Nie spaliśmy dłużej niż po dziesięć minut, w butach na nogach, z granatami i pistoletami maszynowymi w zasięgu ręki.
Trzy, cztery razy, za dnia i nocą wędrowałem ze skrzyżowania na nasze pozycje w Kambji, położone cztery kilometry na południowy-zachód. Wszędzie było pełno Rosjan. Mój mały volkswagen musiał jechać z szaloną prędkością między kulami bzyczącymi jak komary.
Kiedy byłem w Kambji trząsłem się o moje armaty przeciwpancerne przy rozdrożu. Kiedy byłem na skrzyżowaniu bałem się katastrofy w Kambji i z niepokojem patrzyłem na drogę, spodziewając się w każdej chwili ujrzeć tam resztki mojej jednostki, ścigane przez hordę Kirgizów czy szalonych Kałmuków.
Za nami rozgrywały się zatrważające sceny. Cała Estonia uciekała w popłochu przed Czerwonymi. Ani jeden człowiek nie pozostawał w domu.
Ludzie ci zdążyli już poznać Sowietów i to nie tych z 1918 roku, ale z roku 1940, ponoć cywilizowanych, wykształconych, zdemokratyzowanych. Został im po nich paniczny lęk. Ta powszechna trwoga nauczyła nas więcej niż wszystkie polityczne agitacje.
Uciekali nie tylko zamożni mieszkańcy miast, ale również dziesiątki tysięcy prostych robotników, wyrobników, drobnych rolników czy traczy z lasów sosnowych; kobiety z uporem ciągnęły drogami cały dobytek: prosiaka, dwie, trzy owce. Biedne zwierzęta zdzierały kopyta do krwi. Jakaś młoda dziewczyna pchała przed sobą jak taczkę małego prosiaka, trzymając go za tylne łapy. Wszystkie zwierzęta kłębiły się, ryczały. Wiele zdychało.
Było strasznie gorąco. Stare kobiety były u kresu sił. Sowieckie samoloty pojawiały się nagle, pikowały w stronę cywilnych kolumn i zaczynały ostrzeliwać je z broni pokładowej przy akompaniamencie krzyków przerażonych kobiet i dzieci, dzikich jęków koni z podziurawionymi brzuchami, leżących między połamanymi kołami drabiniastych wozów.
Po nalocie, na zalanej słońcem drodze, wśród rozprutych pierzyn, porzuconej żywności leżał cały nędzny dobytek kilkudziesięciu rodzin.
Nieszczęśnicy ocierali pot z czoła; kobiety przyciskając konwulsyjnie dzieci do piersi, biegły na pokaleczonych nogach w stronę widocznych w oddali dzwonnic; starcy potrząsali głowami, zbierali rondle, ciągnęli wyczerpane krowy. Dokąd mieli iść? Gdzie dopadną ich Rosjanie? Albo gdzie umrą? Po całym kraju sunęły takie same grupy uciekinierów i łupiły je takie same myśliwce ...
Kiedy pojechałem z raportem na przedmieścia Dorpatu do generała Wagnera, wracając do mojego punktu dowodzenia, mijałem po drodze prawdziwy orszak żałobny, którego widok ranił mi serce.

Przed nami wszystko płonęło: wielkie czworokątne gospodarstwa, z setkami białych i czarnych krów, bogate wioski, piękne białe zamki nad niebieskimi jeziorami, dachy stodół o cienkich świerkowych belkach a nawet grobowce na cmentarzach na zboczach wzniesień, ozdobione dostojnymi cyprysami, otoczone wiejskimi ławkami, skąd żywi tyle razy spoglądali w skupieniu na pola, wspominając swych zmarłych.
Kraj umierał. Cudowne sierpniowe noce zostały oszpecone wielkimi różowymi pochodniami płonących wiosek. Krowy, prosiaki, kury, gęsi, wszystko zostało porzucone w zagrodach albo na pastwiskach. Nie było żywej duszy. Każdy wolał ucieczkę, wygnanie i serie z broni maszynowej niż sowiecką niewolę.
***
Dostałem trzecie zadanie: wysadzić linię kolejową Psków - Dorpat.
Musiałem nauczyć się kolejnego zawodu. Do pomocy w wykonaniu tego zadania przydzielono mi młodego, nieustraszonego oficera niemieckiego i garść odważnych saperów. Minowali tory co dziesięć metrów, a potem czekali na rozkazy. Wysadzali dwieście albo pięćset metrów linii.
Miałem niszczyć tory dopiero w ostateczności. Dowództwo w Dorpacie miało nadzieję, że któregoś dnia ruszymy do kontrataku. Musiałem więc czekać do ostatniej chwili. Nie wolno mi było jednak jej przegapić, inaczej Czerwoni zajęliby nienaruszoną linię kolejową.
Wybuchy, następujące jeden po drugim, brzmiały złowieszczo, zwłaszcza w nocy.
W ciągu kilku dni wysadzałem tyle mostów, torów, dworców, przejść nadziemnych, zwrotnic i krzyżownic, że głowa mogłaby mnie od tego boleć do końca życia.
Musiałem jednak zyskać na czasie. Ciągle to króciutkie zdanie z drugiego końca kabla telefonicznego: zdobyć trochę czasu! Wygrać czas, poświęcając niezliczone bogactwa i, niestety, niezliczone ludzkie istnienia...
Dziesięć kilometrów za nami ludność Dorpatu kończyła kopać wielkie umocnienia ziemne. Były prawie skończone. Jednak czułem się dosyć niepewnie, kiedy przechodząc obok nich, widziałem zastępy obrońców, których umieszczono w długich czarnych okopach: bataliony wiejskich policjantów i nieprawdopodobnych cywilów, którzy poczuli się żołnierzami dzięki opasce i starej francuskiej strzelbie z czasów Napoleona III.
Nacierały na nas potężne siły sowieckie. Kiedy w końcu spotkamy prawdziwe oddziały wojskowe, prawdziwe dywizje, które będą w stanie stawić im opór?
***
Sowieckie czołgi bały się ognia armat przeciwpancernych. Nasze armaty strzelały bardzo celnie. Skrzyżowanie nadal się trzymało.
Spędzałem więcej czasu w Kambji, gdyż nasi ludzie byli tam najmocniej atakowani. Zajmowaliśmy wzniesienia na południowym krańcu wioski. Tam również ostrzeliwały nas „organy Stalina".
Ale nasze zuchy nie dały się przytłoczyć. Mieli dobrze rozmieszczone karabiny. Granatniki były ukryte w stogach siana i wykonywały dobrą robotę.
Morale było wysokie. Najdzielniejszych rannych odznaczałem jeszcze w tym samym miejscu, gdzie upadli. Żołnierze trafieni kulami rozrywającymi (wyrywały przerażające dziury) byli jeszcze w stanie żartować i zaciągać się papierosem, który koledzy wsadzali im między wargi, obwiedzione różową krwią.
Ci chłopcy byli niezwyciężeni. Wszędzie, gdzie ich posyłano, powstrzymywali Sowietów. Z głębokim wzruszeniem odbierałem ich prostą, radosną odwagę. Jeśli kpili, to tylko ze skromności, po to, by zażartować z samych siebie w chwilach, gdy osiągali wyżyny bohaterstwa... Trzeba było zatrzymać Rosjan. Dokonali tego. Nie przeszli 21 sierpnia. 22 sierpnia tym bardziej nie przeszli. Do 22 sierpnia w południe, kiedy nasi żołnierze zostali zluzowani, Rosjanie nie zdołali zająć nawet dziesięciu metrów na północ od Kambji. Musieli natomiast opuścić wioskę, ostrzelaną przez nasze granatniki i niemiecką artylerię, którą oddano mi do dyspozycji.
***
Pięciuset rekrutów, którzy pozostali na szkoleniu niedaleko Toila, przybyło na nasze zaplecze. Dostałem rozkaz wzmocnienia nimi, tego co pozostało z moich oddziałów. Spotkaliśmy się w Marii Magdalenie.
Teoretycznie, na odbudowę i reorganizację brygady powinienem otrzymać tydzień.
Gdy tylko opuściliśmy centralny odcinek frontu, prawe skrzydło niemieckie, dokładnie na zachód, zostało zaatakowane. Rosjanie osiągnęli i odcięli główną szosę z Rygi do Dorpatu. Nasz pluton dział przeciwpancernych nie zdążył nawet wyruszyć do Marii Magdaleny. Natychmiast nakazano mi wysłać go w zagrożone miejsce. Jeszcze tego samego wieczora nasze armaty zajęły stanowiska u wejścia do osady, która nosiła dziwną nazwę: Noó.

Po kolacji udałem się do punktu dowodzenia generała Wagnera. Generał miał strasznie przekrwione oczy. Cały czas posyłał lekkie czołgi na boczne drogi, atakowane przez Rosjan. Nie miał już właściwie regularnej piechoty, został natomiast zalany falą tysięcy Estończyków różnego pokroju, którzy dotarli do niego w rozsypce, przerażeni, wystrojeni w kapelusze z piórkami albo w dziwaczne cylindry, uzbrojeni w sztucery myśliwskie albo inne flinty i wszyscy ogarnięci chęcią ucieczki.
— Grosse Scheisse! Grosse Scheisse! (Wielkie g...! Wielkie g...) - krzyczał niestrudzenie generał.
— Grosse Scheisse! - dobitnie podkreślał szef sztabu.
— Grosse Scheisse! - powtarzał, równie twierdząco, ordynans, który przyniósł nam kanapki.
Miałem dziwną pewność, że moje kompanie nie posiedzą długo w Marii Magdalenie.
Chciałem jeszcze tej samej nocy wyruszyć w stronę drogi do Rygi, aby sprawdzić jak sobie radzi w Noó obsługa armat przeciwpancernych. Jednak w związku z wymienieniem mojego nazwiska w komunikacie, generał Wagner otrzymał od Himmlera kategoryczny telegram, który czynił go odpowiedzialnym za moją skórę. Skorzystał z niego, by oficjalnie zabronić mi nocnego rajdu, który miałem zamiar wykonać.
Udałem, że jestem mu posłuszny. Jednak to, co dotyczy nocy, nie musi również odnosić się do dnia. Polityka nauczyła mnie sztuki interpretacji. A poza tym nie na darmo miałem bliskich krewnych wśród sześciu jezuitów.
Wróciłem więc grzecznie do Marii Magdaleny. O piątej rano skończyłem dyktować rozkazy natychmiastowej reorganizacji batalionu. O szóstej, świeżo ogolony, jechałem znów przez Dorpat w kierunku południowym.
Żeby wszystko było jak należy, powinienem był wstąpić do generała Wagnera, by dowiedzieć się czy przez noc sytuacja nie uległa zmianie.
Byłem jednak pewien, że w takim przypadku stanę się obiektem kolejnego zakazu. Nie zaryzykowałem więc wizyty i ruszyłem bez namysłu moim małym Volkswagenem drogą do Rygi.
Ale sytuacja uległa zmianie. O świcie Rosjanie zajęli Noó. Zdołali nawet dokonać dalekiego obejścia osady. Zupełnie nieświadomy jechałem prosto na nich.

Lemmatsi

Do samej śmierci będę pamiętał ranek 23 sierpnia 1944 roku.
Już przy wyjeździe z Dorpatu zaskoczyła mnie wielka ilość ciężarówek kierujących się w pośpiechu do miasta. Na pojazdach wisieli żołnierze, uczepieni czego się dało.
Potem mijałem pojedyncze samochody, które pędziły na złamanie karku. Gwizdały kule. Jedna z nich trafiła w przednią szybę, prawie na wysokości mojego ramienia.
Wyskoczyłem z Volkswagena i stanąłem w poprzek drogi z pistoletem maszynowym w garści. Na szyi miałem wstęgę Krzyża Rycerskiego. To zawsze skutkowało. Pomogło też wymachiwanie pistoletem maszynowym. Jedna z ciężarówek zatrzymała się.
Kierowca z oczami wyłażącymi z orbit krzyknął do mnie:
— Rosjanie tu są! Rosjanie tu są!
— Gdzie, tu? — zapytałem.
— No, pięćset metrów za nami! Wszędzie!
Pięćset metrów! Oglądałem już katastrofę. Nie tylko bolszewicy zajęli Noó, około piętnaście kilometrów na południowy zachód od Dorpatu, ale teraz wpadną jak burza do samego miasta. A ta słynna linia obronna? Czyżby już została zdeptana i przełamany? Ale nie miałem pojęcia jak. I nie miałem czasu, żeby się dowiedzieć.
Widziałem tylko jedno: Dorpat był wypełniony setkami wycofujących się ciężarówek i nic do tej pory nie zostało ewakuowane z tego prostego powodu, że w nocy nie walczono nawet dziesięć kilometrów od przedmieść. Za pół godziny Sowieci wejdą do Dorpatu, wszystko zajmą, z zaskoczenia przekroczą Embach i zdruzgotają pozycje obrońców.
Kazałem zejść wszystkim żołnierzom z ciężarówki, a potem z dwóch następnych. Na szczęście jeden z niemieckich podoficerów rozumiał wspaniale po francusku. Kazałem mu tłumaczyć moje rozkazy: „Natychmiast przystępujemy do kontrataku. Jeszcze dziś wieczorem będą Krzyże Żelazne dla tych, którzy wykażą się odwagą. Rosjanie nie spodziewają się teraz żadnego oporu. To dobry moment, żeby na nich uderzyć. Zobaczycie! To tylko kwestia śmiałości. Naprzód towarzysze!”
Prowadząc pod prąd grupę sześćdziesięciu żołnierzy, którzy jeszcze pięć minut wcześniej byli w rozsypce, ruszyłem na spotkanie bolszewików, którzy zbliżali się po skarpach nad drogą.
Starym przyzwyczajeniem miałem przy sobie dwanaście zapasowych magazynków, sześć z tyłu przy pasku, sześć w butach, czyli około czterystu naboi. Całkiem niezła seria z pistoletu

maszynowego. Po kwadransie sowieckie oddziały — rozczłonkowane, silne tylko tym, że nie napotykały oporu — pojawiły się w niełądzie przed nami. Dotarliśmy do linii umocnień, gdzie rano tysiące cywili z opaskami, w kapeluszach z piórkiem, nie były w stanie stawiać oporu nawet przez sekundę. Zdecydowanie odrzuciliśmy Rosjan, którzy przemykając okopami błyskawicznie zajęli ponownie zachodni sektor dorpackiego przyczółka.
Cóż za sytuacja! Zupełnie przez przypadek znalazłem się w długim na pół kilometra okopie, który w założeniach miał powstrzymać napór nieprzyjaciela od strony drogi ryskiej, jako dowódca zaimprowizowanej na poczekaniu obrony, składającej się z różnorodnych grupek Niemców i Estończyków, pospiesznie wyławianych z rzeszy uciekających w panice żołnierzy.
Natychmiast wybrałem kilku bardziej zaradnych i posłałem ich w pościg za Rosjanami, przez sąsiednie pastwiska i zagajniki.
Znalazłem na miejscu imponujące, wielkie działo rosyjskie, wspaniale osadzone przez niemieckich saperów pięć metrów na prawo od drogi. Zapewne miało bronić do niej dostępu. Niestety — nic na ziemi nie jest idealne — nie było doń ani jednego pocisku. Działo nieźle wyglądało, ale to wszystko!
W oddali zauważyłem dwie armaty z obsługą, które ugrzęzły w polu. Posłałem w ich stronę volkswagena z rozkazem natychmiastowego przybycia. Przybiegli. Oni także uciekali, bo wszyscy uciekali. Kazałem ustawić działa na pozycjach. Mieli do dyspozycji sto dwadzieścia pięć pocisków. Wspaniale.
Mniej wspaniałe było, to co się wydarzyło potem. W nocy Rosjanie przedarli się między Noó a Dorpatem, a następnie z północy oskrzydlili i okrążyli Noó, powodując przerażający chaos w konwoju, który tam stacjonował. Kierowcy spokojnie spali, sądząc, że chroni ich pierwsza linia. Niespodziewany atak spowodował prawdziwą katastrofę.
Uciekinierzy z Noó dotarli do nas przez mokradła i lasy świerkowe. Nie było żadnych wątpliwości. Linia została przełamana.
Trudno jednak było określić rozmiary katastrofy.
Z pozycji, którą dopiero co odbiliśmy, widać było parów, na dnie którego lśniła rzeczka. Nikt nie pomyślał, żeby podczas ataku Sowietów wysadzić most. Teraz było już za późno. Kilka niewielkich gospodarstw, wszystkie żywopłoty i krzaki w okolicy były zajęte przez wroga. O odbiciu tego wąwozu w walce wręcz, z moją garstką przypadkowych żołnierzy, nie mogło być nawet mowy. Musiałbym posłać na śmierć trzy czwarte moich ludzi tylko po to, by po godzinie opuścić całą linię.
Droga dzieliła okolicę na pół. Schodziła w dół zataczając szerokie półkole, przechodziła przez rzekę po białym łuku nietkniętego mostu, wspinała się na sąsiednie wzniesienie za domami, przecinała pola i znikała na wprost w lesie.
Rosjanie zajęli stanowiska w pobliżu wody.
Miałem ciągle nadzieję, że z lasu na południowym-zachodzie wyłonią się oddziały wycofujące się z Noó. Razem moglibyśmy rozbić wroga w wąwozie.
Uciekinierzy mówili nam jednak, że wojska z Noó nie mogły się wycofać, ponieważ wróg był już wszędzie.
Należało natychmiast zawiadomić generała Wagnera. Czy wiedział o zaistniałej sytuacji? W każdym razie z Dorpatu nikt nie przybył.
Jeden z żołnierzy znalazł kabel telefoniczny. Artylerzyści mieli wszystko co trzeba, żeby zamontować aparat. Połączyłem się z dowództwem, następnie z generałem. Był absolutnie zaskoczony, kiedy dowiedział się co się stało i że znajdowałem się tam. Wiedziałem, tak jak i on, że los Dorpatu decyduje się na moim wzniesieniu. Nie musiał mi wiele tłumaczyć. Przyrzekłem, że dopóki żyję, dopóty Rosjanie nie przejdą.
Ale mogłem zostać oskrzydlony, w każdej chwili mogły nadjechać rosyjskie czołgi. Potrzebowałem ludzi i czołgów, natychmiast i dużo!
— Trzymajcie się! Trzymajcie się! — krzyczał przez telefon generał Wagner, wylewając potoki „Grosse Scheisse! Grosse Scheisse!" obfitsze niż zazwyczaj w podobnych sytuacjach.
***
Nie zwlekając, przegrupowałem moje siły.
W sumie miałem przeszło stu ludzi, licząc wszystkich uciekinierów, których wyłapałem. Podzieliłem ich na dwa plutony i rozmieściłem po obu stronach drogi. Lewe skrzydło było dowodzone przez młodego oficera kwatermistrzostwa, który został wciągnięty w wir ucieczki, kiedy spokojnie wiózł późnym rankiem do Noó sto chlebów! Na froncie nie wystrzelił jeszcze ani jednego naboju. Prawym skrzydłem dowodził niemiecki oficer sztabowy.

Wysłałem dwa patrole dosyć daleko na wschód i na zachód. Miały ukryć się w krzakach między leszczyną i stamtąd osłaniać nasze skrzydła.
Opróżniłem uciekające ciężarówki, konfiskowałem znalezione karabiny maszynowe i amunicję. Żołnierze odzyskali pewność siebie. Chodziłem od jednego do drugiego i próbowałem podnieść ich na duchu francusko-niemieckim wolapikiem. Większość z nich widziała moje zdjęcie w gazetach i pogodziła się z myślą, że sprawy przyjęły nieco dziwaczny obrót.
Rosjanie nieprzerwanie ostrzeliwali nas z broni maszynowej.
Aby żaden z moich chłopców nie stracił głowy, stanąłem na przedpiersiu okopu. Nie był to z mojej strony wielki wyczyn. Są chwile, kiedy człowiek dokładnie wie, że akurat tego dnia nie umrze. Tak było w moim przypadku. Rosjanie mogą strzelać do woli, mnie jednak nie trafią ani razu. Nie wątpiłem w to ani chwili.
Wcieliłem do naszej grupy wyższego oficera estońskiego. Chciałem, by dowodził swymi rodakami, którzy znajdowali się w moim oddziale. Trawił go jednak paniczny strach. Kiedy słyszał kule gwiżdżące dookoła, stawał się zielony. Leżał płasko na ziemi, przyciskając się do moich butów, sztywny jak deska: jakaś kula zamiast zranić mnie w stopę, trafiła go w sam środek twarzy, przeleciała przez korpus i wyszła pomiędzy pośladkami.
Wił się jak robak, pluł, krzyczał, defekował. Było już za późno. Kula została za szybko strawiona. Dziesięć minut później już nie żył.
***
Rosjanie umacniali się. Docierali do brzeziny na południowym-zachodzie małymi grupkami — sześciu, siedmiu ludzi — i posuwali się dalej wzdłuż rzeki.
Zabroniłem strzelać bez potrzeby. Musieliśmy oszczędzać amunicję do walki wręcz, która niebawem nas czekała.
Nagle o jedenastej rano zobaczyłem, że z lasu na południu coś się wyłania. Czołg!
Chciałem wierzyć, że był to niemiecki czołg, który wydostał się z Noó. Za nim jechał drugi. Potem następny. Po chwili było ich już osiem. Rosjanie? Niemcy? Nie byliśmy w stanie ocenić z takiej odległości.
Wstrzymaliśmy oddechy. Czołgi zjeżdżały po zboczu. Zaraz mieliśmy się dowiedzieć z kim mamy do czynienia: jeśli rosyjska piechota w wąwozie zacznie do nich strzelać, będziemy mieli dowód, że to nasze czołgi.
Czołgi dojechały do pierwszego domu za wodą. Nie rozległ się żaden wystrzał. Były to więc czołgi sowieckie!
Ach! A ja miałem tylko dwa nędzne działa. Pozwoliłem czołgom zbliżyć się. Widać było, że Rosjanie czują się panami sytuacji. I dopiero kiedy cała kolumna wozów była tuż pod moim nosem, na drodze zalanej słońcem, a pierwszy czerwony czołg znalazł się kilka metrów od mostu, kazałem otworzyć ogień z obydwu dział jednocześnie.
Czołg, który jechał na czele, trafiony od razu, został unieruchomiony. Pozostałe ostrzelane dziesiątkami pocisków, ruszyły na drugą stronę zabudowań. Jeden z nich przewrócił się z lufą wbitą w błoto. Kazałem przerwać ciągły ogień dopiero, kiedy stało się jasne, że zdezorientowany wróg rejteruje. Na sam koniec kazałem wystrzelić ostatnią salwę w kierunku budynków, aby pokazać, że mamy się czym bronić.
W rzeczywistości ze stu dwudziestu pocisków zostało mi zaledwie dwanaście. Udawałem bogacza. Ale jeśli szybko nie nadejdzie pomoc, będziemy zgubieni.
***
Otrzymałem posiłki. W Dorpacie, gdzie wieści o ostatnich wydarzeniach wywołały efekt godny trafienia bombą latającą V l, sztab w pośpiechu zbierał wszystkich, którzy nosili mundury i posłał ich drogą ryską w moim kierunku. Dostałem w spadku całą kolekcję apoplektycznych, starych, cherlawych majorów i kapitanów, intendentów, płatników i magazynierów. Mundury pękały na nich w szwach, spływali potem pod ciężarem ekwipunku, byli wycieńczeni pokonaniem na piechotę ośmiu kilometrów. Wokół nich biegała nerwowo grupka kancelistów w okularach i ordynansów. Wszyscy zresztą byli bardzo odważni i pełni godności, i z chęcią spełniali obowiązek. Mimo to, trudno mi było sobie wyobrazić, jak ci specjaliści od kałamarza zatrzymają sześć czołgów, które sunęły prosto na nich.
Jednak dzięki tym rekrutom mogłem wzmocnić flanki. Wysłałem ich na skrajne pozycje. Nie chciałem pozwolić, by sowiecka piechota zaszła nas od tyłu.
Zadręczałem przez telefon generała Wagnera:
— Błagam o czołgi i Stukasy.
— Robimy wszystko, by wam pomóc. Potrzeba nam jednak czasu! Wytrwajcie! Wytrwajcie! — odpowiadał mi podniesionym głosem.

Oczywiście, że wytrzymamy!
Ale co się stanie kiedy wystrzelimy dwanaście ostatnich pocisków?
Była dwunasta trzydzieści. Już od pięciu godzin stałem na przedpiersiu okopu, przemierzałem go wzdłuż i wszerz podnosząc na duchu życzliwym słowem moich Niemców i Estończyków. Wlepiałem oczy w kilka zabudowań w dolinie. Czerwoni zdążyli już pewnie zauważyć, że nie jesteśmy zbyt liczni.
Niedaleko pierwszego gospodarstwa pojawił się sowiecki czołg, oblepiony desantem dwudziestu piechurów. Za nim pojawiło się pięć następnych. Zdążyłem jeszcze krzyknąć przez telefon do generała Wagnera: „Stało się! Nadciągają sowieckie czołgi". Już tu były! Całym pędem przemknęły po moście i wjechały na zbocze. Trzydzieści metrów od nas wroga piechota zeskoczyła na ziemię. To był finalny szturm!
Mogliśmy tylko wystrzelać do końca to, co nam zostało z amunicji i zginąć. W chwili kiedy zużyliśmy ostatnie pociski, na niebie rozległ się cudowny warkot: pojawiły się niemieckie Stukasy! Czterdzieści! Czterdzieści Stukasów pikowało z rykiem w dół. Wszystko wylatywało w powietrze! Nawet nas rozrzuciło we wszystkich kierunkach, bo rosyjskie czołgi były tuż obok, a Stukasy waliły w nie jak demony. Trzy sowieckie czołgi paliły się, pozostałe uciekały, wjeżdżały na stok naprzeciwko i szukały ukrycia w lesie. Z karabinów maszynowych, które ocalały z huraganu, dostrzeliwaliśmy sowiecką piechotę. Wrzeszczeliśmy jak szaleni. Wygraliśmy ten ruch.
***
W końcu nadjechały niemieckie czołgi, potężne Tygrysy.
Wieczorem, najpiękniejszy kwiat administracji wojskowej wciąż obsadzał pozycje.
Przyjechał niemiecki pułkownik, który miał mnie wymienić. Zostałem wezwany do punktu dowodzenia generała Wagnera. Wsiadłem do mojego Volkswagena. Przez cały dzień było bardzo gorąco. Generałowie z zapartym tchem śledzili nasze zmagania, od których zależał los Dorpatu, Embach i pośrednio także Estonii.
O północy, z telegramu Kwatery Głównej Fuhrera, dowiedziałem się, że Hitler odznaczył mnie Liśćmi Dębowymi.
I taki był finał niewinnego spaceru do Lemmatsi główną szosą z Estonii do Łotwy 23 sierpnia 1944 roku.

Embach

Co się stało z trzema armatami przeciwpancernymi i walońskim plutonem, który stanowił ich obsługę, po starciu w Noó. Uznaliśmy zarówno tych chłopców, jak i armaty za straconych. Tylko jeden z uratowanych zdołał dotrzeć do naszej improwizowanej pozycji obronnej w Lemmatsi. Uciekł w samym środku zażartej walki wręcz.
Jednak nasi ludzie nie dali się tak łatwo rozbić. Mieli doskonałe karabiny maszynowe i do końca dobrze wykorzystywali wszystkie trzy armaty przeciwpancerne. Porucznik Gillis, który nimi dowodził, powiadomił mnie 24-go o świcie, że jego ludzie z działami przerwali oblężenie Sowietów i znajdują się na pozycjach przed rzeką Embach, na zachód od Dorpatu.
Byli bardzo dumni ze swego sukcesu i tylko czekali na okazję, żeby go powtórzyć.
Bardzo szybko ich pragnienie spełniło się. O czwartej po południu dziesięć sowieckich czołgów o największym tonażu, noszących nazwę „Iosif Stalin", ruszyło drogą w ich kierunku.
Wyjątkowo trudno było uszkodzić taki czołg. Gillis, stary lis rosyjskiego frontu, pozwolił im zbliżyć się na dwadzieścia metrów. Jego działa były dobrze zamaskowane. Rosjanie czuli się już panami przeprawy przez Embach. Kiedy znaleźli się na wyciągnięcie ręki, nasze armaty otworzyły ogień.
To była mordercza i zacięta walka. Rosyjskie czołgi miażdżyły nasze grupy bojowe. Jedna z naszych armat została zniszczona. Potem druga wyleciała w powietrze, wśród rozrywanych ciał kanonierów. Porucznik Gillis został poważnie poparzony. Nadal jednak dowodził. Ci, którzy przeżyli, skupili się wokół ostatniej armaty i strzelali z całą zaciekłością, zdecydowani drogo sprzedać kilka istnień, jakie jeszcze pozostały.
Czołgi nie lubią długiego kontaktu z bronią przeciwpancerną. Dwa „Staliny" stanęły w ogniu. Dla wroga była to poważna strata. Pozostałe czołgi przerwały bój i skierowały się na zachód.
Pozostała nam już tylko jedna armata. Większość obsługi leżała na ziemi, zabita lub ranna. Ale nasz honor był niewzruszony. Sowieckie czołgi nie zwyciężyły!
Kiedy kilka miesięcy później Gillis wrócił ze szpitala z oczami przysłoniętymi wielkimi czarnymi okularami, nosił na szyi Krzyż Rycerski, którym Hitler odznaczył go za dokonania na froncie.
***

Na odcinku trzydziestu kilometrów na północ od Dorpatu życie zamieniło się w piekło. Sowieckie lotnictwo, dawnej niemal nieistniejące, stało się obecnie władcą przestworzy. Często posługiwało się maszynami amerykańskimi. Eskadry przypominające rój os przelatywały nad całym krajem i drapieżnie przyklejały się do każdej drogi. Po nalotach wszędzie zostawały zgliszcza: rozbite ciężarówki z amunicją lub z paliwem, roztrzaskane, nędzne chłopskie zaprzęgi pomiędzy spuchniętymi jak bąki padniętymi końmi.
Najmniejsza wioska była szturmowana dziesięć razy w ciągu dnia: nawet w naszym skromnej Marii Magdalenie, leżącej z dala od drogi, więcej czasu spędzaliśmy leżąc na ziemi, niż stojąc. Maszyny zręcznie manewrowały wokół dzwonnic i pikując, jakby niebo strzelało w nas dziesiątkami strzał, zrzucały serie bomb zapalających. Potem wyrównywały lot, zwinne jak jaskółki na tle wspaniałego słońca.
Wiedzieliśmy, gdzie w promieniu dwudziestu kilometrów znajdują się wioski, wystarczyło popatrzeć na potężne szare i czarne słupy dymu, które wznosiły się do góry na tle niebieskiego nieba.
Ruch był praktycznie niemożliwy z powodu silnego ostrzału i licznych przeszkód. Musieliśmy przedzierać się przez kurtyny ognia. Setki pocisków blokowały drogę wokół płonących ciężarówek. Z trudem dotarłem do punktu dowodzenia generała Wagnera, który wzywał mnie pilnie. Pojazdy dowództwa były ukryte w świerkowym zagajniku za Dorpatem.
Zdałem sobie sprawę, że sytuacja pogarsza się z minuty na minutę, kiedy usłyszałem potok „Grosse Scheisse!" spadający z hukiem, jak stos talerzy.
Szybko zapoznano mnie z sytuacją. Szturm sowieckich czołgów, powstrzymany po południu dzięki niezwykłemu oporowi naszego plutonu przeciwpancernego, powtórzył się cztery kilometry dalej na zachód. Znajdował się tam ważny most na Embach, broniony przez przeszło tysięczny oddział Estończyków. Pojawiły się tam dwie kolumny czołgów „Stalin". Estończycy uciekli w popłochu nie niszcząc mostu. Krótko mówiąc, nieprzyjacielskie czołgi przekroczyły rzekę. O godzinie siódmej wieczorem zajmowały już skrzyżowanie znajdujące się pięćset metrów na północ od rzeki. Za czołgami posuwały się, jako wsparcie, dwa bataliony piechoty.
Otrzymałem rozkaz zapobieżenia katastrofie. Miałem przy wsparciu kilku czołgów dotrzeć w nocy do skrzyżowania, dostać się na most i wysadzić go w powietrze.
— Trzeba wysadzić most, słyszy pan! Wysadzić most!
— Grosse Scheisse! Grosse Scheisse! Grosse Scheisse! - powtarzał w monotonnym monologu nasz generał Wagner z oczami jeszcze bardziej przekrwionymi, niż kiedykolwiek do tej pory!
***
Wszystko to było bardzo piękne. Lecz musiałem wrócić do Marii Magdaleny, postawić w stan gotowości batalion, który od dwóch dni był w trakcie reorganizacji i załadować go na ciężarówki, które obiecano mi na dziesiątą wieczorem. Dopiero po wykonaniu tego wszystkiego, będziemy mogli ruszyć na zachód. Było mało prawdopodobne, abyśmy nawiązali kontakt z wrogiem przed północą czy pierwszą w nocy. Gdzie wtedy będą bolszewicy?
Na długo przed zmierzchem dwa bataliony i około piętnaście sowieckich czołgów dotarło do najważniejszego skrzyżowania, znajdującego się pięćset metrów od Embach: tylko tyle wiedzieliśmy.
Mapa topograficzna okolic pozwalała jednak łatwo wyobrazić sobie ciąg dalszy. Jedna z dróg odchodziła ze zdobytego skrzyżowania prawie równolegle do rzeki. Dalej przebijała się przez las świerkowy. Ten z kolei ciągnął się w naszym kierunku przez około dziesięciu kilometrów. Wzdłuż drogi rozłożyły się liczne osady. Od godziny siódmej wieczorem do północy wróg z pewnością zdążył zmienić pozycję, zająć las i wioski, które w razie potrzeby posłużą mu za pozycję obronną.
Dla niego najważniejszą kwestią było jak najszybsze zajęcie takiej strefy bezpieczeństwa, aby umożliwić masom ludzi i ciężkiego sprzętu przeprawę przez rzekę.
Odważyłem się zadać generałowi Wagnerowi pytanie: „Co do tej pory uczyniono, by zatrzymać Rosjan? Czy są jakieś rezerwy, które uniemożliwiłyby rozszerzenie przyczółka w stronę lasu?... W odpowiedzi otrzymałem jedynie kolejny potok „Grosse Scheisse!". Panował totalny chaos.
Czerwoni natomiast nie marnowali czasu w potężnych lasach świerkowych...
O dziewiątej wieczorem nasz batalion był już uszykowany.
Wielu ludzi, którzy w nim służyli, było nowicjuszami. Mieli jednak w sercach dzikie pragnienie walki. Starsi stażem przekazywali nowym płomień zapału. Tamtego wieczora morale żołnierzy było szczególnie wysokie.
Miałem dość specyficzny sposób wchodzenia do walki, nieco zaskakujący dzielnych Niemców, którzy towarzyszyli nam jako specjaliści od radia i łączności: najpierw organizowałem wiec!

Ludzie zebrali się na łące. Dzień zamierał, ale wszędzie wielkie różowe gla-diole płonących wiosek wznosiły się do nieba.
Stojąc na skarpie przypominałem moim żołnierzom, że muszą być godni chwały naszego starego legionu: „Ruscy zobaczą, co znaczy kontratak Walończyków!".
Moi chłopcy krzykiem wyrażali wolę zwycięstwa! Kolejny raz mieliśmy rzucić się do walki wręcz.
Tym razem jednak w środku nocy, w zupełnych ciemnościach, a na dodatek w okolicach, o których niczego nie wiedzieliśmy.
Kolumna ciężarówek wyruszyła. Szybko przekonaliśmy się, że nie będzie to spacerek...

Noc w Nola

Nocny atak nigdy nie jest operacją łatwą. Kiedy nasze ciężarówki jechały na zachód, w kierunku wioski Nola, ja próbowałem opracować plan bitwy.
Kompletnie nie wiedziałem, co się działo od końca dnia. Gdzie jest nieprzyjaciel? Jakimi siłami dysponuje? Całkowita ignorancja.
Z rozmyślań wyrwało mnie sowieckie lotnictwo. Rosjanie zrzucili wzdłuż naszej drogi długi różaniec świecących spadochronów. Na drodze upstrzonej naszymi wielkimi ciężarówkami zrobiło się jasno jak w dzień. Mieliśmy najwyżej dziesięć sekund, żeby rzucić się na ziemię: spadły na nas setki granatów, raniąc ludzi i trafiając w samochody.
Nasza kolumna została zauważona, nie było co do tego żadnych wątpliwości.
Nad całą okolicą widzieliśmy kołyszące się identyczne spadochrony. Wybuchy wstrząsały polami.
Wioski płonęły, rysując na czerwono-złotym tańczącym tle czarne kikuty krokwi i belek dachów.
O jedenastej wieczorem spotkaliśmy na zakręcie pół tuzina niemieckich czołgów, które miały osłaniać nasz atak.
Dołączył do nas także wyczerpany adiutant, którego wysłałem na rozpoznanie terenu. Wpadł na Rosjan. Ci pokonali już przeszło dziesięć kilometrów za mostem i zajęli trzy wioski, które ciągnęły się wzdłuż drogi. W nocy pojawiło się więcej sowieckich czołgów. Niespodziewanie wyłoniły się w Nola, która znajdowała się dokładnie przed nami. Jedynie dzięki przytomności umysłu obsługi dział przeciwlotniczych, która natychmiast opuściła lufy na czołgi, nasi ludzie stawiali jeszcze opór u wejścia do osady.
Miałem do dyspozycji doskonale wyposażoną ciężarówkę-radio. Przesłałem telegraficznie te wspaniałe wiadomości do sztabu głównego Kampfgruppe. Chwilę później dostałem przewidywaną odpowiedź: „Atakujcie! Atakujcie natychmiast!".
Cztery kompanie w sile sześćdziesięciu ludzi każda, uformowały się przy wejściu do osady. Przedstawiłem oficerom najważniejsze cele natarcia. Najpierw należało odbić Nola. Następnie zająć drogę prowadzącą do drugiej wioski. Jednak droga ta wkraczała w sam środek lasu. Oficerowie mieli dać przykład i poprowadzić szturm. Pośpiech odgrywał decydującą rolę.
Ruszyliśmy do ataku.
***
Była pierwsza nad ranem. Nasi ludzie, energicznie wspierani przez sześć „czołgów, odrzucili pierwsze kontyngenty wroga. Sowieckie czołgi uchodziły, nie wiedząc jaka jest siła natarcia. Z tradycyjną już szybkością nasi ludzie wtargnęli do Nola, zajmując szturmem przy użyciu granatów ręcznych wszystkie budynki i biorąc wielu jeńców.
Byli to głównie szesnasto, siedemnastoletni smarkacze, wychudzeni, wyczerpani długim marszem i brakiem snu. Przyszli na piechotę z Pskowa, pokonując dwieście kilometrów w cztery dni, poszturchiwani kolbami przez oficerów, gdy tylko zwalniali kroku. Wyglądali jednak na niezłych spryciarzy. Większość była ubrana w pstrokate płaszcze armii niemieckiej. Narzucili je na siebie, żeby wyprowadzić w pole niemieckich żołnierzy. Podstęp rzucał się w oczy. Były to jednak jeszcze dzieci. Widać było, że bardzo się bali. Kazałem im iść spać. Zbili się w grupkę jak szczeniaki.
Nasze czołgi ostrzeliwały czołgi wroga. Wiele z nich płonęło. Inne szybko wycofywały się. Musieliśmy wykorzystać powstałe zamieszanie. Wydałem rozkaz przejścia do drugiego etapu boju: ruszyliśmy na podbój leśnego odcinka drogi.
Rosyjska piechota trzymała się mocno skraju lasu. Było strasznie ciemno. Rozróżnialiśmy jedynie karabiny maszynowe, które pluły na całej jego długości srebrnymi i różowymi strugami.
Nasi żołnierze rzucili się z krzykiem na wroga. Jeden z podporuczników, szef plutonu, któremu poprzedniego dnia dałem reprymendę, krzyknął do mnie: „Przyrzekam panu, że to nadrobię!" Był prawdziwym olbrzymem o ceglastej cerze, kędzierzawych włosach i wielkich niebieskich oczach. Ruszył przed siebie jak meteoryt, przemknął obok i ze zwycięskim uśmiechem zniknął w ciemnościach. Biegł prosto na sowiecki karabin maszynowy. Został podziurawiony jak sito,

trafiony w ramiona, pierś i nogi. Dotrzymał jednak słowa i otworzył wyłom, przez który przedostali się nasi ludzie. Po omacku przypiąłem do jego lepkiej od krwi bluzy Krzyż Żelazny.
Sowieci uciekali. Nasi ludzie szybko posuwali się po obu stronach drogi. Czołgi, pewne swoich skrzydeł, oczyszczały kolejny odcinek drogi. O trzeciej nad ranem druga osada była zdobyta, a jej obrońcy wyparci.
Odbiliśmy Sowietom dwie z trzech wiosek i odzyskaliśmy połowę terenu. Jeszcze pięć kilometrów wysiłku, jeszcze jedna wieś do zdobycia z pistoletami maszynowymi i granatami i będziemy mogli przypuścić decydujący szturm na most.
Było to możliwe do wykonania pod warunkiem, że szybko pójdziemy za ciosem. Potrzebowałem jednak co najmniej pięciuset ludzi. Właśnie straciłem w ciągu dwóch godzin osiemdziesięciu. Zostało mi zaledwie stu pięćdziesięciu. Potrzebowałem także dwudziestu czołgów. Zaczynając miałem ich sześć. Jeden z nich wyleciał w powietrze podczas potyczki w Nola. A przed nami były najgroźniejsze przeszkody.
***
Ta nocna bitwa powiodła się tylko dlatego, że wyczerpany długotrwałym wysiłkiem nieprzyjaciel został wyrwany z odpoczynku z zaskoczenia.
Chociaż była nas zaledwie garstka, mogliśmy mimo wszystko osiągnąć główny cel. Naszym zamiarem nie było rozbicie potężnej masy wrogich wojsk, lecz przedarcie się przez nią i zdobycie mostu, z dwudziestoma czy z dziesięcioma ludźmi. Każdy z naszych plutonów miał w takim przypadku próbować działać na własną rękę, bez względu na pozostałych. Rozdałem im miny, niezbędne do wysadzenia mostu.
Doskonale rozumieliśmy, że poświęcono nas dla sprawy. Byliśmy gotowi. Zgłosiło się dziesięć razy więcej ochotników niż potrzebowaliśmy do wykonania tego śmiałej i decydującej akcji. Tylko rozmach, ciemności, efekt zaskoczenia, panika w szeregach wroga mogły zapewnić jej powodzenie.
Niestety, zostaliśmy zatrzymani na pewien czas u wyjścia z wioski. Stały tam liczne sowieckie armaty przeciwpancerne, które przydusiły nas ogniem. Musieliśmy stanąć do walki wręcz na skraju lasu świerkowego, w którym czyhało tysiące pułapek. Połowa naszych oficerów poległa. Pozostali jeszcze raz poprowadzili żołnierzy do walki. Dramatyczna potyczka trwała pół godziny.
Sowieckie czołgi stały wszędzie. Drugi z naszych czołgów eksplodował.
Niemieckie dowództwo zrobiło się bardzo skąpe jeśli chodzi o wsparcie. Dowódcy czołgów mieli rozkaz szanować sprzęt. Lecz, aby odnieść sukces, trzeba było zaryzykować i zapewne stracić jeszcze cztery czołgi, które nam pozostały: wtedy prawdopodobnie kilku moich ludzi zdołałoby dotrzeć do mostu i wysadzić go. Zaskoczeni zorientowaliśmy się, że nasze wsparcie pancerne wycofuje się. Ziemia była usiana naszymi poległymi, ranni szli naprzód bez słowa skargi.
Czerwoni widząc odwrót naszych czołgów, opanowali chaos. Po żołnierzach-dzieciach mieliśmy teraz do czynienia z batalionem recydywistów, płaskonosych kolosów o ogolonych czaszkach.
A jednak nawet przed tymi bandytami nasi chłopcy — zdecydowani i uparci jak muły — nie ugięli się.
Szybko nadciągnęły sowieckie czołgi i powietrze zaczęło dudnić ich dzikim łomotem. Ponownie około piętnastu sztuk wjechało do płonącej wsi.
Niemieckie czołgi nie podjęły walki. Nie zatrzymały się nawet u wylotu osady. W pośpiechu sunęły w stronę Nola, pragnąc jak najszybciej wydostać się z długiego i niebezpiecznego korytarza, jaki stanowiła droga prowadząca środkiem gęstego lasu. Pierwsze promienie brzasku zaczynały bielić przecinki.
Nasi żołnierze, naciskani przez sowieckie czołgi, z trudem pokonywali trzykilometrowy odcinek lasu świerkowego, który oddzielał ich od wioski, skąd wyruszyliśmy do ataku. Czołgi niemieckie zatrzymały się tam i robiły wszystko co w ich mocy, by powstrzymać napór czołgów sowieckich. Zająłem w ich pobliżu prowizoryczne stanowiska obronne.
Nie powiodło się nam. Pozostało jedynie stu dziesięciu ludzi.
Cztery czołgi stanowiły naszą jedyną ciężką broń. Jeńcy z różnych batalionów, których chciwie przesłuchiwałem, twierdzili, że w nocy przeszło trzydzieści sowieckich czołgów przekroczyło rzekę Embach.
Około piętnastu z nich, jak gdyby grając w szklane kulki, ostrzeliwało jeden po drugim domy, w pobliżu których znajdowały się nasze stanowiska.

Trzydzieści dwa

25 sierpnia 1944 roku był najbardziej dramatycznym dniem walk o Dorpat.

Było zaledwie wpół do piątej rano. Mimo naszego, dramatycznego, nocnego ataku, rozstrzygająca okazała się sowiecka przewaga w ludziach i sprzęcie. Przypuszczali teraz zaciekłe ataki dziesięć kilometrów na północ od Embach. Lecz Dorpat znajdował się na południowym brzegu rzeki.
Wszystko wskazywało, że czekają nas niespokojne chwile.
Jak możemy stawić opór, z setką ludzi, na zaimprowizowanej linii obrony w Nola? I jeśli zdołamy to uczynić, to czy nie zostaniemy okrążeni?
Inne drogi wyprowadzały z lasu, daleko po naszej prawej stronie...
Wysłałem do generała Wagnera radiotelefoniczną informację o krytycznej sytuacji. Nie nadeszła żadna odpowiedź. A to z następującego powodu: Rosjanie ponownie przekroczyli Embach, tym razem na odcinku wschodnim. O dziewiątej rano Dorpat, który znajdował się w centrum naszych pozycji, został błyskawicznie zdobyty przez Sowietów! Zwycięzcy nie zwlekając ruszyli na drugi brzeg rzeki.
My natomiast nurzaliśmy się w tak brutalnej walce, że nie zdążyliśmy nawet pomyśleć o reszcie frontu.
Moje stanowisko dowodzenia zniszczono dwa razy w ciągu dwóch godzin. Wyszedłem z tego cało. Zostałem jedynie lekko przysypany kawałkami drewna i odpryskami tynku. Niestety zniszczony został mój sprzęt radiowy. Mój samochód nie nadawał się do użytku, przebito wszystkie opony.
Ulokowałem się w polu. Mogłem dalej kierować resztkami kompanii tylko za pomocą łączników, którzy przemykali jak sarny wzdłuż krzaków i świerków.
Widziałem, jak moi biedni chłopcy wracali jeden po drugim, ranni, wycieńczeni, brudni od krwi, lecz mimo wszystko uśmiechnięci... Droga z Dorpatu do Rewla biegła za nami: biegli aż do niej i wskakiwali na ciężarówki, których setki uciekały w szarych tumanach kurzu.
***
Wszystkie kompanie ustawiły się w jeża, próbując w ten sposób powstrzymać postęp Rosjan. Ci natomiast pracowali jak szaleni, przenosili przez lasy na ramionach armatki przeciwpancerne, które ustawiali za naszymi plecami.
Najważniejszą kwestią było zablokowanie przejść, przez które wróg musiał się przeprawić. Wojsko nie przejdzie z ciężkim sprzętem przez chaszcze i wądoły. Jedynie dwa sowieckie czołgi zdołały tam przejechać. Pojawiły się jak słonie, w odległości około dwudziestu metrów. Bez większych emocji pozwoliliśmy im pojechać do przodu, zadowalając się możliwością odcięcia ich od reszty. Przecięły drogę do Dorpatu i w końcu, co było do przewidzenia, zostały zniszczone.
Nadeszło popołudnie. Nadal walczyliśmy wzdłuż wzniesienia, które pozwalało kontrolować wyjście z Nola. Za plecami mieliśmy szosę Dorpat-Rewel.
Goniec przekazał mi rozkaz natychmiastowego stawienia się w punkcie dowodzenia generała Wagnera.
Kilometr za naszymi pozycjami ujrzałem apokaliptyczny spektakl. Po horyzont panowała przerażająca panika. Wszyscy, których w Estonii uznawano za żołnierzy autochtonów, uciekali przed siebie piaszczystymi drogami. Tysiące ludzi zdjęło buty i miotało się w środku osobliwej karawany. Między ciężarówkami jechały tysiące chłopskich wozów. Dookoła płonęło. Kobiety płakały i kijami okładały krowy, które nie chciały dalej iść. Skarpa była usiana sakwami, kuframi, cynowymi wannami, starymi wiadrami, padniętymi owcami, klatkami na ptaki. Przez ten cały bałagan sunęła w kierunku Rewla dzika, wydająca dziwne odgłosy, ludzka fala — cywile i estońscy żołnierze.
Dowódcy korpusów uwijali się jak młodzi dowódcy kompanii, aby pozbierać ostatnie niemieckie rezerwy, które jeszcze mogły spróbować stawić opór nieprzyjacielowi.
U generała Wagnera czekał na mnie kolejny zimny prysznic.
Poza oporem w Nola miałem jeszcze zorganizować jak najszybciej pozycję obronną na wyżynie dorpackiej, na linii Parnawa-Lombi-Keerdu. Rosjanie nadciągający z zachodu i ze wschodu usiłowali się połączyć. Wszystko, co było jeszcze do dyspozycji, miało być skierowane tego wieczoru na wyżynę.
Pozostali mi jedynie lekko ranni i personel sztabowy. Pospiesznie udałem się do Marii Magdaleny, wzdłuż wspaniałych błękitnych jezior, lśniących wszystkimi kolorami lata, obojętnych na uciekające w panice konwoje na pobliskich drogach. Potrzebowałem ochotników. Natychmiast wystąpili wszyscy dzielni starzy druhowie ze służb administracyjnych. Zresztą do czego jeszcze w tej chwili mogła mi się przydać administracja? Księgowi pozamykali rejestry. Starsi legioniści, którzy ukończyli sześćdziesiąt lat i od 1941 roku kroili kiełbasę w plasterki i liczyli chleby, porzucili siekiery i rachunki na rzecz panzerfaustów.
To był naprawdę budujący widok. Wszyscy nasi ranni, którzy mieli sprawne nogi, stanęli w szeregu przed prezbiterium. Z dwóch oficerów, jacy nam pozostali, jeden miał ranę od odłamka

granatu w pierś. Jednak obydwaj stanęli w pierwszym szeregu tej niewielkiej, ale bohaterskiej grupki.
Liczyła w sumie sześćdziesięciu ludzi.
Zabrałem ich. Dwie godziny później przygotowywali się do walki z Sowietami, kopiąc w pośpiechu dołki strzeleckie, ukrywając stanowiska za kopkami siana. Nadciągała noc. Byli gotowi.
***
Na górze w Nola wszystko po południu zapowiadało, że w szybkim terminie nadejdzie całkowita klęska.
Po zaangażowaniu do walki w Lombi rannych, kwatermistrzów i księgowych, pospiesznie udałem się na wzniesienie, gdzie przeżyliśmy ten okropny poranek. Moi żołnierze, strasznie zdziesiątkowani, nadal się trzymali.
Nadszedł zmierzch. Nasze stanowiska prezentowały się solidnie. W tym czasie dowództwo zdołało podesłać świeże oddziały na nasze obydwa skrzydła. Z Rewla ciężarówkami nadjeżdżały wszystkie siły, jakimi jeszcze dysponowano w stolicy Estonii.
Bez wątpienia nocą sytuacja uległa poprawie. Nawet Rosjanie wyglądali na wyczerpanych.
Oczywiście nie było już mowy o dotarciu do mostu na Embach, lecz katastrofa została oddalona.
Wszyscy walczący złożyli ogromną daninę krwi: Czerwoni, którzy byli wy-rzynani całymi masami, Niemcy, nasi żołnierze, którzy za cenę własnego życia odpierali wroga przez ponad dwadzieścia godzin.
***
Ludzie, pozostali z czterech kompanii, trzymali się przez osiem dni i nocy na szczycie wzniesienia. Było ich zaledwie trzydziestu dwóch. Trzydziestu dwóch żołnierzy z dwustu sześćdziesięciu, których o pierwszej nad ranem 25 sierpnia, w tamtą zdradziecką noc, poprowadziłem do szturmu...
Za dnia raczej nie było możliwości, by ustrzelić ich z broni maszynowej czy z pistoletu. Mieli twarze w kolorze ziemi, pokryte zarostem twardym jak drut. Siedzieli w jamach wypełnionych do połowy sianem, wyciąganym o zmroku z sąsiednich stogów: wyglądało to jak gniazda płochliwych, nocnych ptaków.
Dowódca korpusu w uznaniu ich czynów, nadał im wszystkim — gest prawie na froncie niespotykany — Krzyże Żelazne.
Niosłem je w jedną z deszczowych nocy, wdrapując się na wzniesienie. Podszedłem do każdego dołka: ludzie czuwali szczękając zębami w mokrym sianie. Rosjanie byli dziesięć metrów od nas. Całowałem zarośnięte policzki. Szeptali mi do ucha, że wytrzymają tak długo, jak to będzie konieczne, że mogę być spokojny, że Czerwoni nie przejdą...
Dziesięć kilometrów od tego miejsca inna osobliwa kompania złożona z rannych, starych kucharzy, pracowników kantyn, księgowych, która odpowiadała sile niewielkiego plutonu, trwała z takim samym zapałem, z blaskiem w oczach typowym dla ludzi, którzy poznali smak zwycięstwa, a przede wszystkim pokonali samych siebie...

Rommel i Montgomery

Zazwyczaj pod koniec ciężkiej bitwy zarówno zwycięzca, jak i zwyciężony, bliscy są wyczerpania. Wygra jednak ten, kto mocniej zacisnie zęby i zbierze siły do decydującego wysiłku.
Tak właśnie wyglądała sytuacja na wyżynie dorpackiej w ostatnich dniach sierpnia 1944 roku. Bolszewicy zdobyli miasto, przekroczyli Embach, zajęli teren głębokości dziesięciu kilometrów na północ od rzeki. Nie to jednak było zamiarem ich ofensywy. Celem były — ulotki propagandowe jasno to wskazywały — Rewel, oskrzydlenie pozycji w Narwie i zepchnięcie wojsk niemieckich do morza lub ich kapitulacja.
25 sierpnia 1944 roku wszystko było wykonalne. Oddziały estońskie pierzchły i poszły w całkowitą rozsypkę. Czołgi sowieckie były wszędzie. Tysiące czerwonych żołnierzy opanowało strategicznie ważne obszary i węzły komunikacyjne. Rosjanie wszędzie przeważali.
W rzeczywistości jednak ponieśli porażkę, gdyż zostali unieruchomieni. Mieli do czynienia z niezrównanym przeciwnikiem w osobie niemieckiego dowódcy; idealnie opanowanego, cierpliwego, który ani przez chwile nie zwątpił, mimo że dysponował tak niewielkimi środkami.
W sztabie generała Wagnera od tygodnia nikt nie zmrużył oka. Ciężarówki dowództwa stały pod świerkami. Wróg był w odległości pół kilometra. Na stanowisko dowodzenia spadał grad pocisków z „organów Stalina". Ciężarówki zostały. Generał został.
I w końcu po ich stronie zostało także zwycięstwo, w rękach strony inteligentniejszej i bardziej wytrwałej.

***

Wojska niemieckie były liczebnie słabe, lecz jakościowo lepsze.

Jednostki piechoty, mocno przetrzebione, były jak my rozproszone i jak my narażone na zaskakujące ataki. Wspierał nas ciężki sprzęt, któremu zapewniono doskonałą obsługę.

Czołgi i panzerspahwagen (samochody pancerne) były w walce dzień i noc przez cały tydzień, przechodząc ze wschodu, wracając na północny-zachód, nieustannie w kontakcie z wrogiem, w grupach po cztery, sześć, przeciwko piętnastu lub dwudziestu pojazdom wroga.

Połowa niemieckiego sprzętu pancernego została zniszczona lub uszkodzona z powodu nieustannej jazdy w trudnym terenie. Jednak pozostałe nie pozwalały przeciwnikowi na chwilę wytchnienia — słabszy taktycznie, ponosił olbrzymie straty: pole bitwy o Dorpat było usiane poczerniałymi wrakami sowieckich czołgów.

Sowieckie jednostki pancerne zostały całkowicie rozbite i rozproszone, co przyczyniło się w dużym stopniu do porażki Rosjan. Nasi chłopcy, którzy nigdy nie mieli dosyć, uwielbiali wdrapywać się na niemieckie czołgi i sunąc pomiędzy sowieckimi pozycjami niszczyć wszystko granatami.

Ostrożni niemieccy czołgiści i tryskająca energią walońska piechota tworzyli doskonałe połączenie. Wszyscy Niemcy wiedzieli, że Walończycy byli najżarliwszymi ochotnikami na Froncie Wschodnim. Porozumiewali się między sobą robiąc zabawne miny i z zapałem dyskutując na temat „prawiczków" i „dziwkarzy". Rozmawiali posługując się niepowtarzalnym francusko-niemieckim wolapikiem, nowym esperanto wschodniego frontu.

Każda bitwa utrwalała tę braterską przyjaźń.

***

Kiedy każdy kilometr frontu dorpackiego opierał się, z północy zdołały w końcu dotrzeć posiłki niemieckie.

Musieliśmy kontynuować naszą walkę jeszcze tydzień. W tym czasie zakończono przygotowania do kontrataku, w którym nie wzięliśmy udziału: świeże siły natarły na Rosjan i w kilka dni odrzuciły ich do Embach. Następnie w walce zmusiły sowieckie hordy do odwrotu za rzekę.

Mimo początkowych sukcesów, Czerwoni przegrali bitwę o Dorpat.

Później Niemcy wycofali się z Estonii na rozkaz Hitlera, który pragnął skupić nadmiernie rozproszone siły. Wycofywali się jednak spokojnie i powoli, poświęcając miesiąc na przerzut ludzi i ciężkiego sprzętu do Rzeszy i na Litwę.

Kampfgruppe Wagner ustąpiła miejsca nowym jednostkom. Chlubnie wypełniła swą misję i uratowała Estonię w chwili, kiedy jej upadek — pociągający za sobą kapitulację wojsk i utratę sprzętu — stanowiłby dla niemieckiej armii przytłaczającą klęskę.

Niestety, niewiele pozostało z naszych kompanii z początku sierpnia.

Spoglądając ostatni raz na równinę dorpacką, jej niskie świerki, szarawe pola, miasto o zburzonych, dymiących jeszcze dzwonnicach, widziałem u mojego boku zaledwie garstkę towarzyszy: straciłem — poległych lub rannych, ewakuowanych do szpitali — osiemdziesiąt procent żołnierzy, nie wspominając o lekko rannych, którzy sprzeciwili się odesłaniu na tyły. W ciągu kilku tygodni dziewięćdziesiąt pięć procent naszych odniosło rany. Ich pogarda lęku okryła chwałą nasze imię. Obergruppenfuhrer Steiner, który w tych niezwykłych tygodniach trzy razy wspominał o nich w rozkazie dziennym korpusu, przyznał im prawie dwieście Krzyży Żelaznych. Zależało mu, aby osobiście przekazać oddziałowi odznaczenia. Zakończył przemówienie krótkim stwierdzeniem: „Jeden Walończyk wart jest tysiąca innych żołnierzy". Trochę może przesadził, ale rzeczywiście czterystu pięćdziesięciu naszych ochotników wykonało wspaniałą robotę.

Nie chełpili się tym. Zrobili to samo, co ich rodacy w Zagłębiu Donieckim, w Charkowie, na Kaukazie, na Krymie i pod Czerkasami.

Zdążyli już zapomnieć o niedolach i chwale, żartowali, bawili się jak dzieci, pytając generała Steinera, czy zna nazwiska dwóch ostatnich żołnierzy, których właśnie udekorował. Jeden nazywał się Rommel: przodkowie sławnego feldmarszałka pochodzili z naszych wielkich Niderlandów; ich grobowiec z flandryjskimi lwami nadal stoi w Brugii. Drugi odznaczony nazywał się Montgomery, jak angielski marszałek. Stali się oni na kilka minut gwiazdami całego legionu: Rommel i Montgomery, walońscy ochotnicy, otrzymują jednocześnie na froncie wschodnim Krzyże Żelazne drugiej klasy.

***

Nasi żołnierze pomaszerowali w stronę Rewla.

Estońskie gazety pełne były relacji o ich czynach. Częstowano ich szampanem. Radośnie wnosili go na statek, który dowiózł ich do brzegów Niemiec.

Ja zostałem wezwany do Hitlera, aby odebrać z jego rąk liście dębowe i najwyższe odznaczenie piechoty, złotą odznakę za walkę wręcz, przyznawaną wyłącznie żołnierzom, którzy wzięli udokumentowany udział w co najmniej pięćdziesięciu starciach.
Wsiadłem niedaleko Toila na pokład małego „Storcha". Patrzyłem — ostatnie pożegnanie — na oddalający się lśniący w brzasku wysoki biały brzeg i jasnobłękitne wody Zatoki Fińskiej. Pod maleńkim samolotem prześlizgiwały się bezkresne, smutne lasy sosnowe, brzeziny o srebrnych płomieniach pni, żółte plamy jałowca, potężne głazy i pasterskie chaty, zagubione pośród zielonych i rudawych pól, drewniane dachy samotnych dworków. Czasami brązowa plama i wypalony metalowy wrak przypominały o dręczącej obecności wrogich myśliwców. Samolot wdrapywał się coraz wyżej, pokonywał niewielkie wzniesienia, przeskakując przez nie jak chart.
Potem była Ryga, samolot Fuhrera, przelot z dala od brzegów Litwy, prawie w całości zajętej przez Sowietów, i w końcu lotnisko Kwatery Głównej.
Polegli zostali tam, w krajach bałtyckich, by dać świadectwo, że w tragicznej walce, jaką Europa prowadziła o swoją tożsamość, synowie naszego narodu sumiennie wypełnili swą powinność, o nic nie prosząc i na nic nie czekając... Nie o ziemię walczyliśmy, nie o korzyści materialne. Wielu nie chciało nas zrozumieć, jednak my byliśmy zdeterminowani i radośni. Wiedzieliśmy, że czysty i żarliwy ideał stanowi najwyższe dobro, dla którego młody człowiek o czystym sercu powinien umieć żyć, walczyć i umierać.

VIII
Ardeński potrzask

Kiedy trwała bitwa o Estonię, w sierpniu i wrześniu 1944 roku załamywał się front na zachodzie.
Przez małe polowe radia słuchaliśmy biuletynów: bitwa o Sekwanę, zajęcie Paryża, natarcie amerykańskich czołgów w kierunku Sommy i na Reims... Potem dotarli do Belgii: Tournai, Mons, Bruksela.
Wszyscy żołnierze myśleli o swych domach. Co się działo tam, daleko, z naszymi rodzinami?
Potem minęli Liege. Kiedy przybyłem do Fuhrera, Alianci zbierali się w Holandii, Alzacji-Lotaryngii i pod Akwizgranem.
A mimo to zastałem wszystkich we wspaniałych nastrojach. Himmler żartując przy stole, zdążył zadać trzydzieści sześć pytań o różne szczegóły w zaledwie dziesięć minut, bo tyle zajęło mu pochłonięcie spartańskiego dania i kilku precli, podlanych szklanką wody, którą opróżnił jednym haustem.
Sekretarz Fuhrera Martin Borman, okrągły, pulchny, o bladej cerze, rozmawiał głośno z generałem SS Seppem Dietrichem, który przybył samolotem z Frontu Zachodniego. Sepp z czerwoną, ogorzałą twarzą, stał z szeroko rozstawionymi nogami, długo rozwodząc się o potędze lotnictwa angielsko-amerykańskiego i o zniszczeniach, jakie powodowały naloty myśliwców szturmowych. Nie był jednak szczególnie zaniepokojony. Dawał wszystkim kuksańce, popijając łyk koniaku za każdym razem, gdy przerywał wywody, by złapać oddech. Udał się do swego pokoju dopiero o piątej nad ranem, podtrzymywany energicznie przez czterech gigantów ze straży przybocznej.
Himmler przygotował około dwudziestu nowych dywizji Waffen SS. Powierzył mi dowództwo dywizji Walonia — 28 Dywizji SS — w której mieli się znaleźć, oprócz naszej brygady szturmowej, reksiści, którzy uciekli z kraju przed aliancką okupacją i tułali się po Rzeszy.
Oficjalnie otoczenie Hitlera było zgodne, że odwrót z Zachodu był ciężki. Jednak w głębokiej tajemnicy już szykowano kontrofensywę.
Wieczorem Himmler opuścił nas, by wrócić do ciężkiej nocnej pracy. Miał zamiar przyjąć kolejne piętnaście, dwadzieścia osób, które czekały czasami do samego rana na swoją kolej. Wyżsi oficerowie zdradzili mi wtedy w tajemnicy, jakie niespodzianki kryje nowa broń. Z uporem, przekonanym tonem powtarzali: „Za dwa, trzy miesiące Rzesza zada decydujący cios".
Panowała atmosfera niezachwianej wiary w zwycięstwo.
***
Najbardziej zaskoczył mnie fakt, że zaledwie w ciągu sześciu miesięcy Hitler wrócił do doskonałej formy.
Jego krok był spokojny, pewny, twarz wypoczęta i zaskakująco świeża. Od początku wojny bardzo posiwiał. Plecy pochyliły się. Jednak cały promieniał siłą, spokojną, zdyscyplinowaną energią.
Odznaczył mnie. Następnie zaprowadził w kierunku niewielkiego okrągłego stoliczka.
Nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego czy zdenerwowanego. Nawet najmniejszym słowem nie dał do zrozumienia, że wątpi w możliwość ostatecznego zwycięstwa.

Nagle porzucił sprawy wojskowe i przeszedł do kwestii liberalizmu burżuazyjnego. Tłumaczył mi z niezwykłą jasnością, dlaczego upadek tego nurtu jest nieunikniony.
Był w doskonałym nastroju. Oczy mu błyszczały. Zagłębił się z pasją w dyskusję na temat przyszłości socjalizmu. Jego zadbana twarz drżała. Gdy mówił, jego drobne, kształtne dłonie wykonywały proste, lecz zdecydowane ruchy, które doskonale podkreślały to, o czym rozprawiał.
Rozmowa ta napełniła mnie ufnością. Skoro Hitler był zaniepokojony problemami społecznymi do tego stopnia, że przez całą godzinę żył nimi i przedstawiał je z tak wielką precyzją, oznaczało to, że miał mocne przesłanki, by nie niepokoić się resztą.
Mimo że jeszcze kilka dni temu dywizje powietrzno-desantowe Churchilla próbowały zapuścić korzenie w Holandii, niedaleko Arnhem...
Kiedy wyjeżdżałem, Hitler, jakby chcąc na zawsze wyryć w mym sercu bardziej osobiste wspomnienie, podszedł do mnie, ujął moją rękę w swe dłonie: „Gdybym miał syna, — powiedział wolno, z uczuciem — chciałbym, żeby był taki jak Pan...".
Popatrzył na mnie uważnie jasnymi, wrażliwymi oczami, w których lśnił czysty i niezłomny płomień. Potem oddalił się drogą między świerkami, usianą gałązkami. Długo śledziłem go wzrokiem...
Nagły zwrot
W płaskich i błotnistych wioskach Hanoweru umieszczono tymczasowo tysiące belgijskich uchodźców, którzy uciekli z kraju przed angielsko-amerykańskim czołgami.
Zdołałem uzyskać zgodę, aby moja nowa dywizja przeszła szkolenie w tej prowincji Rzeszy, po to by wszyscy żołnierze mogli po służbie jak najwięcej czasu spędzić ze swymi rodzinami na wygnaniu.
I wtedy nastąpił nagły zwrot.
Wystąpiłem na zakończenie Kongresu Prasy Europejskiej w Wiedniu. Osiem dni wcześniej odbyłem długą rozmowę z ministrem von Ribbentropem, który, zachowując się wobec mnie wyjątkowo serdecznie, zdradził mi tajemniczym głosem: „Proszę dobrze zapamiętać, co Panu powiem: nigdy jeszcze nie byliśmy tak bliscy zwycięstwa."
Sądziłem, że to żart, ponieważ nic nie wskazywało na rychłą poprawę sytuacji. Oczywiście pamiętałem, co dwa miesiące wcześniej tłumaczyli mi współpracownicy Fuhrera. Ale była już zima. Padał śnieg. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Cóż nowego mogło się zdarzyć?
Po powrocie z Wiednia zatrzymałem się w Berlinie w hotelu Adlon.
Wieczorem, odchodząc od stołu, natknąłem się na wysokiego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Był rozpromieniony.
— Nic Pan nie wie? — zwrócił się do mnie. Prowadzimy ofensywę!
— Ofensywę? A gdzie ta ofensywa?
— Ależ u nas! W Belgii! Nasze oddziały są już w połowie Ardenów.
***
Nazajutrz w oficjalnych centrach w Berlinie panowało niezwykłe poruszenie. Przekazywano sobie nieprawdopodobne informacje: Liege zostało zajęte! Osiem tysięcy nowych niemieckich samolotów ruszyło do ataku!
Przyniesiono mi telegram od Himmlera: był to rozkaz natychmiastowego wyjazdu do Belgii wraz z całą moja dywizją.
Przeszliśmy pod dowództwo taktyczne feldmarszałka Modela, który kierował ofensywą i generała Waffen SS Seppa Dietricha, który dowodził jedną z jego armii.
Formalnie istniał zakaz angażowania nas do walk na naszym terenie. Wyruszyliśmy po to, by uniknąć powtórzenia błędów, jakie zostały popełnione podczas niemieckiej okupacji od 1940 do 1944 roku: teraz reorganizacji w Belgii mieli dokonać Walończycy i Flamandowie.
Jechałem samochodem całą noc. Przybyłe z Hanoweru ciężarówki zabrały rano pierwsze oddziały żołnierzy, którzy mieli jak najszybciej dotrzeć za mną do granicy. Reszta dywizji miała dojechać do nas pociągami. Nasi uciekinierzy wybiegali na progi domów płacząc ze szczęścia na myśl, że niedługo wrócą do ojczyzny...
Biedni ludzie, w jakim stanie zastaną swój kraj w sześć miesięcy później!
O świcie przejechaliśmy przez Kolonię.

Boże Narodzenie w Belgii

Kolonia w grudniu 1944 roku była jednym gruzowiskiem. Spotkałem się z gauleiterem Grohee w bunkrze zbudowanym przy wyjeździe z miasta, w parku, gdzie wszystkie drzewa zostały powyrywane, połamane, poszatkowane na tysiące kawałków.

W podziemiach panował mniejszy optymizm niż w Berlinie, na Wilhelmstrasse.
— Anglicy i Amerykanie? Ależ oni znajdują się trzydzieści dwa kilometry stąd!
I to była prawda. Aliancka kieszeń obronna pod Akwizgranem ciągnęła się kilka mil na zachód od Renu. Gauleiter mówił prawdę. Jeszcze jedno silne uderzenie na jego odcinek i jankeskie czołgi mogłyby bez trudu jeszcze tego samego dnia znaleźć się przed betonowymi schodkami bunkra!
Każdy uważa próg swego schronu za próg świata.
Jednak skoro alianckie dżipy 4 grudnia 1944 roku znajdowały się trzydzieści minut na południowy-zachód od katedry w Kolonii, równie pewne było, że w tym samym czasie na zachodzie i południowym zachodzie Nadrenii Anglicy i Amerykanie zmierzają całym pędem w kierunku Mozy i Semois.
Gauleiter pokazał nam gdzie znajduje się — prawie przy samej belgijskiej granicy — stanowisko dowodzenia Seppa Dietricha. Z bijącym sercem ruszyliśmy w drogę.
Słońce rzadko przebijało się przez gęste chmury. Słyszeliśmy pomruk angielskich szturmowców, ale pod osłoną zachmurzonego nieba mogliśmy bez trudu szybko jechać na południowy zachód.
Dotarliśmy do wzgórz w Eifel. Droga przechodziła przez uroczą dolinę. Miasteczka ze starymi domami rozrzuconymi wzdłuż potoku, otoczone średniowiecznymi murami o masywnych bramach i wieżach, były jeszcze niemal nietknięte. Niewielkie ryneczki, wciśnięte między domki z pięterkami, przybrane długimi szyldami ze złoconymi napisami, były udekorowane ratuszami o niskich arkadach z grubo ciosanych kamieni.
Na dnie doliny lśniły fioletowe dachy domów i niebieskie dzwonnice. Czysty śnieg błyszczał na polach. Każde zbocze wznoszące się nad drogą było przybrane potężnymi bateriami dział przeciwlotniczych.
Byliśmy mile zaskoczeni: kolumny ciężarówek posuwały się do przodu bez większych przeszkód.
O czwartej po południu dotarliśmy do Dietricha. Wrócił właśnie z inspekcji.
Sepp był daleki od potwierdzenia wspaniałych, lecz nieprawdziwych wiadomości, które krążyły jak błędne ogniki po Berlinie. Liege wcale nie zostało odbite. Ale niemieckie czołgi dotarły do Libranomt i Saint-Hubert. Zdobyły la Roche i Marche. Minąwszy te miasta dotarły do Ardenów i znalazły się kilka kilometrów od Namur i Dinant. W trzy dni przeszły przez cały masyw ardeński. Bez walki przekroczyły Ourthe. Ofensywa w kierunku Mozy była równie szybka, jak w maju 1940 roku.
Noc spędziłem w jakimś wyziębionym domu, nad którym cały czas przelatywały z przerażającym wyciem długie komety z czerwonymi ogonami niemieckich rakiet V.
Był bardzo silny mróz.
O dziesiątej rano wziąłem udział w mszy Bożonarodzeniowej. Wychodziliśmy wszyscy razem, starzy wieśniacy, dzieciaki o czerwonych nosach i zamyśleni żołnierze. Zdążyliśmy tylko paść na śnieg. Angielsko-amerykańskie myśliwce krążyły wokół dzwonnicy. Bombowce ciągnęły po niebie długie białe treny, które przecinały się, jak trasy narciarskie. Bomby spadały na wiejskie chaty, grzebiąc całe rodziny. Zagrody płonęły. Odsunęliśmy na bok kobiety, małe dziewczynki, żółte od sypiącego się tynku, ociekające krwią wymieszaną z pyłem.
Zaczął się kontratak Aliantów. Nie na ziemi lecz w powietrzu, na krystalicznie czystym niebie. Przez dziesięć dni świeciło wspaniałe słońce, od świtu do samej nocy.
Na dodatek noce też były bezchmurne, w świetle księżyca na tle zbocza widać było każdy murek, każda chatę jak jasne pudełko o wyraźnych brzegach, białe jak prześcieradło schnące na łące.
Słońce okazało się dla Niemców bardziej zabójcze niż dwa tysiące czołgów, które ruszyły do kontrofensywy. Dzięki niemu tysiące alianckich samolotów mogły bez trudu ostrzeliwać doskonale widoczne drogi, wioski, skrzyżowania i działa przeciwlotnicze, które usiłowały zagrodzić im niebo.
***
Punkt dowodzenia Seppa Dietricha przeniósł się w Boże Narodzenie między Malmedy, a Saint-Vith. My także ruszyliśmy w drogę. Minęło zaledwie kilka godzin od wschodu słońca. A już szkody były trudne do oszacowania.
Oczywiście większość bomb spadała obok celów, żłobiąc jedynie potężne szare kratery w ośnieżonych polach i powalając rzędy świerków. Jednak zrzucono tyle bomb, że około sto zdołało trafić we właściwe miejsce. Samochody stały w ogniu. Droga nad urwiskiem była usiana dziurami i wyrwami. Poskładane w harmonijkę domy tarasowały drogę.
Te bombardowania były przewidziane. We wszystkich miejscach krytycznych rozstawiono oddziały rosyjskich i włoskich jeńców. Szybko usuwali przeszkody, zasypywali wyrwy. Potrzeba było jednak na to czasu. Kolumny pojazdów musiały robić postoje. Wtedy szturmowce ponownie zrzucały na nie bomby. Ciężarówki stawały w ogniu tarasując kolejne szlaki.
Szybko mogliśmy się przekonać, że transport nie będzie szedł tak gładko, jak to przewidywaliśmy.

Używałem ciężkiego terenowego samochodu dowództwa. Pojazd był wyjątkowo mocny, wspinał się na zbocza jak czołg, był w stanie przedrzeć się właściwie w każdym terenie, ale spalał siedemdziesiąt litrów paliwa na sto kilometrów. Na jednym z postojów straciłem pięć minut na czczej gadaninie, żeby dostać kanister benzyny. Ale ten kanister uratował mi życie. Bez niego znalazłbym się w Saint-Hubert dokładnie w chwili, kiedy całe miasto wyleciało w powietrze.
A ja wtedy byłem w odległości trzystu metrów. Wyjechałem z lasu i właśnie zjeżdżałem krętą droga po stromym zboczem, kiedy zobaczyłem nadlatującą w naszym kierunku aliancką eskadrę.
Mogło być wpół do piątej po południu.
To był prawdziwy koniec świata.
Wystrzelono zaledwie jedną rakietę, kiedy nagle cała ulica wyleciała w powietrze. Nie jeden dom. Nie kupy gruzu. Ale cała prościutka ulica! Podniosła się w jednym kawałku a następnie spadła w kłębach kurzu.
Przez dwadzieścia minut nadlatywały kolejne eskadry. W oddali ludzie wyglądający jak malutkie niebieskie punkciki na śniegu, biegli przez pola. Potem huczący pomruk zawrócił i oddalił się w stronę zachodzącego słońca, które oblewało czerwonym światłem czubki świerków...
Widzieliśmy stopy, głowy, ramiona kobiet, żołnierzy, wystające z ruin. Całe ulice leżały płasko jak rząd kart, przewrócony jednym prztyczkiem.
Udało nam się przepiłować kilka grubych drzew, które zwaliły się w poprzek szosy na wysokości pierwszych domów. Szybko jednak okazało się, że nasze wysiłki są daremne. Wszystko było zawalone i zatarasowane. W żaden sposób nie dało się przejechać przez miasto. Nawet mój wóz terenowy nie dał rady. Dwadzieścia minut bombardowania sprawiło, że cała miejscowość stała się nieprzejezdna do końca ofensywy.
***
Spróbowaliśmy objechać te apokaliptyczne ruiny przez pola. Mój samochód z trudem przejeżdżał przez zwalone płoty, z rykiem silnika wydostawał się z zasp. W końcu dotarłem do okopu na zachodnim wzniesieniu Saint-Vith. Natknąłem się tam na sznur trupów — młodych Amerykanów. Nadal leżeli w równiutkim szeregu. I nadal mieli świeżą rumianą cerę dobrze odżywionych chłopców, którzy spędzali dużo czasu na powietrzu. Skosiła ich seria z czołgów. Dwóch z nich miało twarze spłaszczone niczym koperty. Jednak nawet pozbawione wypukłości zachowały zaskakującą szlachetność.
W okopie było bardzo ciasno. Każdy z tych chłopców wytrwał do końca na stanowisku, żaden nie okazał słabości w obliczu fali pięćdziesięciu czy stu czołgów, które sunęły prosto na nich. My szliśmy dokładnie po śladach gąsienic w głębokim śniegu...
Chcieliśmy dotrzeć do północnego końca Saint-Vith i ruszyć dalej drogą z Malmedy. Jednak żadna z głównych dróg nie była zdatna do użytku. Żandarmi byli bezradni, nie znali żadnej bocznej trasy, na którą mogliby skierować unieruchomione kolumny.
Przez całą noc przedzieraliśmy się leśnymi duktami pośród zakorkowanych i zamaskowanych ciężarówek, które opóźniały ruch.
Dopiero o świcie dotarliśmy do niewielkiej osady, zagubionej na dnie doliny, znajdującej się około osiem kilometrów od Saint-Vith. Malutki kościół na wzgórzu otaczały proste chłopskie groby, ozdobione jedynie pięknymi niebieskimi krucyfiksami wyrzeźbionymi w drewnie.
Front od północy był niedaleko. Słyszeliśmy głuche dudnienie artylerii. W nocy amerykańskie działa strzelały ze skraju lasu.
Sepp Dietrich stacjonował w białym domu, który stał samotnie na szczycie wioski. Poznałem marszałka Modela. Był to niski, krępy, energiczny mężczyzna, czerwony na twarzy, o wesołym spojrzeniu. Jego odwaga była legendarna. Popełnił samobójstwo w 1945 roku, aby nie oglądać klęski swej ojczyzny.
Obrona na północy, od Malmedy do Montjoie była bardzo zaciekła. Słynny Otto Skorzenny, który oswobodził i uprowadził samolotem Mussoliniego w sierpniu 1943 roku, próbował z zaskoczenia wedrzeć się do Malmedy z grupą kilkuset ludzi, których szkolił specjalnie do trudnych zadań. Stracił w tej potyczce znaczną część swych żołnierzy, nic właściwie nie zyskał i został ranny. Na czole miał długą szramę. Mocno podbite oko potęgowało makabryczny widok, jaki przedstawiała jego zmasakrowana, pokryta bliznami twarz.
Rakiety V1 przelatywały niestrudzenie dzień i noc z głośnym hukiem, ciągnąc za sobą długi ogon różowego płomienia. Jedna z nich, ogarnięta szaleństwem, zrobiła dwa okrążenia nad wioską a następnie zniechęcona, zanurkowała nosem w sąsiednie pole.
Na mapach sytuacja niewiele się zmieniała od trzech dni. Powtarzano ciągle te same nazwy: Bastogne, Saint-Hubert, Marche, Dinant, Ciney.

Niemiecki plan miał wielki rozmach: mógł chociaż na kilka miesięcy zmienić sytuacje na zachodzie.
Działanie było podzielone na trzy fazy. Ostatecznym celem nie było dotarcie do Mozy czy Morza Północnego. To był tylko jeden z przewidywanych etapów. Druga faza miała polegać na zajściu od tyłu i okrążeniu sił alianckich, skoncentrowanych na wschód od Liege, na przyczółku w Akwizgranie. Tym miały zająć się siły Seppa Dietricha, rozstawione wzdłuż Ardenów.
Trzeci etap miał polegać na ofensywie w Alzacji.
Tam także front niemiecki był już gotowy do szturmu. Himmler, oczekując na atak na Liege i na Sedan, osobiście przybył nad Ren, by w odpowiedniej chwili powtórzyć szturm z 1940 roku na linie Maginota.
Pierwsze dni ataku w kierunku Liege (operacja numer dwa) nie przyniosły decydującego zwycięstwa. Droga Liege - Akwizgran nie została zdobyta.
Również siły Seppa Dietricha musiały działać bardziej w górę Mozy. Miały przekroczyć rzekę w Huy. Dopiero potem miała rozpocząć się prawdziwa bitwa, której celem było odcięcie dwustu tysięcy Anglików i Amerykanów w rejonie Akwizgranu i okrążenie ich wraz z całym sprzętem.
Sepp Dietrich pokazał mi na mapie odcinek Tongres - Saint-Trond na północny-zachód od Liege: „Widzisz — powiedział, — tutaj ich przyprę do muru!". Potem z błyskiem w oku stuknął wielkim placem w nazwę Akwizgrane, święte miasto Cesarstwa „Aachen! – zawołał - Aachen! W styczniu będę w Aachen."
Jeszcze tego samego wieczora dywizja szturmowa Waffen SS ruszyła na północny zachód i zajęła pozycje na wysokości Barvaux i Lierneux. Stanowisko dowodzenia Seppa Dietricha zainstalowano w młynie w jednej z wiosek położonej przy bocznej drodze pomiędzy Houffalize i La Roche.
***
Na naszych oczach rozgrywał się wstrząsający pojedynek.
Minęliśmy dwie ardeńskie wioski o białych zagrodach, gdzie na ścianach można było jeszcze dostrzec wysokie litery napisu REX, które malowaliśmy w płomiennych dniach naszej wielkiej walki politycznej.
Zjechaliśmy do wioski Steinbach, kilka kilometrów na północny-wschód od Houffalize. Stał tam stary zamek, wyziębiony i opustoszały. Tam właśnie zatrzymaliśmy naszą małą kolumnę. Ardeńscy chłopi wychodzili z domów i witali nas ze wzruszającą prostotą i serdecznością. Każdy wspominał moich dziadków, którzy żyli w tej okolicy albo przypominał organizowane przeze mnie wiece. Zaprosili nas na posiłek do niskich chatek, oświetlanych starymi lampami naftowymi. Ziemniaki z boczkiem parowały na pięknych talerzach w kwiaty, przypominając mi czasy dzieciństwa...
Twarde i szlachetne twarze, ukształtowane przez pracę na roli — twarze mego ludu. Czuliśmy się wspaniale. Nasze dusze odżyły. W ciepłych domach, pełnych cieni przeszłości, blisko śpiewającego wokół rożna ognia, oddawaliśmy się słodkiej radości z powrotu na własną ziemię, do swych bliskich...

Utracone drogi

Wspaniałe słońce nadal zalewało złotym światłem białe góry i rozległe rude, fioletowe i niebieskie lasy, które porastały zbocza wzgórz. Alianckie samoloty z rosnącą zaciekłością ostrzeliwały każdą polną drogę, każde wąskie skrzyżowanie.
Setki przelatujących bombowców lśniły jak ważki.
Niemiecka armia zdołała przeprowadzić niebywały atak. A mimo to nie zajęła żadnego z dwóch głównych szlaków komunikacyjnych łączących północ z południem: ani drogi z Akwizgranu do Liege, ani drogi z Treves do Arion.
Dziewięćset czołgów i trzysta tysięcy ludzi, którzy brali udział w niemieckiej ofensywie ruszyło przed siebie bocznymi drogami, co znacznie spowalniało marsz. Drogi najpierw zostały przeorane przez gąsienice czołgów a potem pokryła je wyjątkowo gruba warstwa śniegu. Przeprawy przez małe wioski były bardzo trudne: w każdej wsi było pełno zakrętów pomiędzy przyklejonymi do siebie domkami. Na drogę spadały tysiące bomb tworząc w niej leje i wyrwy.
Potem większość wiosek i uroczych małych ardeńskich miasteczek została zrównana z ziemią.
Houffalize stało przez dłuższy czas nietknięte na dnie doliny o stromych zboczach, pomiędzy surowymi skałami, w pobliżu śpiewającej rzeki. Później zostało zmiażdżone, zrównane z ziemią w dwóch nalotach. Po pierwszym mogliśmy jeszcze przejechać główną droga. Domy leżały w gruzach, ale dosyć szybko wytyczono nowe drogi przez ruiny. Alianckie samoloty powróciły

następnego ranka i dokończyły masakry. Droga, która biegła ze wschodu, tworząc wysoko nad doliną łuk, została oderwana od skał. Wisiała smętnie nad urwiskiem.
Na dnie wąwozu stał malutki osamotniony domek otoczony potężnymi lejami po bombach, z dachem przysypanym ziemią jak w ogrodzie. Świerki były szare i brudne. Houffalize zostało wymazane z mapy. Przejście przez miasto nie było już możliwe.
W La Roche uciekające oddziały amerykańskie pozostawiły nietknięty most, potem jednak nadleciały alianckie samoloty, aby naprawić to niedopatrzenia. Zamieniły, przy pomocy bomb, urocze miasteczko w przerażającą kupę gruzów, spod których wystawały fragmenty ciał zabitych cywilów.
Ardeny zostały doszczętnie zniszczone w ciągu kilku dni. Nie uratowała się ani jedna wieś, przez którą prowadził nasz szlak, ani jedno skrzyżowanie.
Był to straszny sposób prowadzenia wojny, kosztem kobiet i dzieci miażdżonych, przysypanych gruzem w piwnicach. Szybko jednak okazało się, że bezwzględna metoda zastosowana przez Anglików i Amerykanów miała decydujące znaczenie: po tygodniu wszystkie drogi wykorzystywane przez Niemców stały się praktycznie nieprzejezdne.
Trzeba było przeprowadzić potężne kolumny z żywnością, amunicją i paliwem leśnymi duktami i wąskimi ścieżkami, gdzie ciężarówki zakopywały się w śniegu i powodowały niekończące się korki. W ciągu jednej nocy kolumny pokonywały pięć, sześć kilometrów.
Niemcy przegrali bitwę o Ardeny nie nad Mozą czy w Bastogne, lecz w tych świerkowych i bukowych zagajnikach, gdzie tysiące pojazdów zostały unieruchomione na nieprzejezdnych drogach, wijących się niebezpiecznie wzdłuż skalistych szczytów lub po śliskich, stromych zboczach.
Wojsko może odnieść zwycięstwo tylko wtedy, kiedy ma zapewnione szybkie i regularne dostawy sprzętu, racji żywnościowych, amunicji i paliwa.
Już na samym początku pierwsza porażka pokazała słuszność tej prostej zasady.
Czołgi, które ruszyły w kierunku Dinant i mogły z łatwością zdobyć miasto, musiały zrobić postój w wiosce Celles, osiem kilometrów od Mozy, ponieważ zabrakło im paliwa. Niemieccy czołgiści czekali dwa dni. Wysyłali przez radiostacje rozpaczliwe i daremne apele o pomoc. Nie dostali ani kropli benzyny. W końcu musieli podpalić swe piękne maszyny.
Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień.
Należało wykorzystać element zaskoczenia i przedrzeć się jak najdalej do przodu, tak jak Rommel w 1940 roku. Owoc był już dojrzały. Tyły Aliantów były odsłonięte. Za Ardenami nie było już żadnej linii obrony. Niemieckie czołgi mogły zająć Sedan i Charleroi w czterdzieści osiem godzin.
Zabrakło im jednak paliwa, podczas gdy na granicy było go aż za dużo: niedaleko Saint-Vith znajdowały się zapasy liczące kilka milionów litrów! Dywizje, które jako pierwsze ruszyły do szturmu i odniosły znaczące sukcesy, zostały oddzielone i pozbawione dostępu do paliwa tylko dlatego, że wspaniałe słońce zalewało Ardeny od rana do wieczora przez dziesięć dni, co pozwoliło potężnej flotylli amerykańskich bombowców doszczętnie zniszczyć wszystkie węzły komunikacyjne.
Aby odnieść sukces Niemcy potrzebowali dziesięciu dni mgły, co w zachmurzonych Ardenach zdarza się często. Wtedy żywność, amunicja, miliony litrów paliwa zdołałyby dojechać na czas. Szczęście jednak opuściło Rzeszę. A sierpniowe słońce ani na chwilę nie przestało oświetlać zaśnieżonych grudniowych krajobrazów...
***
Nawet utrzymanie komunikacji przez łączników pomiędzy rozdzielonymi kolumnami transportowymi okazało się w praktyce niemożliwe.
Kiedy tylko ktoś pojawiał się na drodze, natychmiast atakowały go myśliwce szturmowe. Najpierw nadlatywała jedna para, tuż za nią następna, kolejna kończyła dzieło. Każdy kilometr znajdował się pod obserwacją.
Drogi były usiane spalonymi ciężarówkami i samochodami. Był to przerażający widok.
Od kilku dni nie miałem żadnych wiadomości z niemieckiego dowództwa, postanowiłem więc dotrzeć do punktu dowodzenia Dietricha. Zdążyłem zaledwie rzucić okiem na przepiękną niebiesko-biało-brązową panoramę wyżyny Ardeńskiej, pomiędzy Houffalize i Baraque-Fraiture, kiedy pojawił się jeden z myśliwców i przeleciał tuż nad naszymi głowami. Dwie kule, grube jak kciuk, przeszły przez silnik, kolejna zrobiła wgłębienie w moim hełmie, czwarta przeszła przez teczkę, którą przyciskałem lewym łokciem do boku. Jedna z ciężarówek, które nas mijały, wykonała szaleńczy piruet na stoku i zamieniła się w potężną pochodnię.
Zdążyliśmy jeszcze wyciągnąć z płomieni jedynego w miarę sprawnego żołnierza. Pozostali, przygnieceni ciężarem pojazdu, płonęli żywcem. Widzieliśmy ich skwierczące uda. Po jakimś

kwadransie samoloty wracały i z dziką zaciętością ostrzeliwały nas z bliska pociskami zapalającymi.
Podobne polowanie na ludzi i pojazdy odbywało się na wszystkich drogach.

Dni oczekiwania

Noc noworoczną spędziliśmy w towarzystwie Ardeńczyków w Steinbach.
Wszędzie moi żołnierze byli przyjmowani jak członkowie rodziny. Razem z chłopami przygotowywali posiłki.
A wieśniacy pragnęli tylko jednego: pokoju! Pragnęli, by pozwolono im pracować. By nie mówiono im już o polityce! Chcieli w spokoju zająć się swymi rodzinami, bydłem, polami! Mieli całkowitą rację. Powtarzali miękkim przeciągłym akcentem skargi i pragnienia wszystkich chłopów na świecie.
W Sylwestra poszedłem do nich na wafle. O północy uściskali mnie szczerze i mocno, jak przystało na wąsatych, ogorzałych od pracy w polu rolników.
Ze ściśniętym sercem patrzyłem na mych towarzyszy śpiewających z miejscowymi. Myślałem o śniegach, w których walczyliśmy tam, pod Bastogne, wzdłuż Ourthe, w lasach Lierneux i Stavelot. Myślałem o Ardenach poszarpanych, zniszczonych, płonących w biało-różowej poświacie...
Gdzie zaprowadzi nas ten nowy rok?
Nazajutrz musieliśmy oddać nasz lodowy zamek na potrzeby szpitala polowego, który nie miał się gdzie podziać. W posępnych salach umieszczono rannych, którzy napływali z odcinka w Bastogne. My przenieśliśmy się trzy kilometry dalej, do zamożnej wioski noszącej nazwę Limerle.
Teoretycznie miałem zająć się reorganizacją administracyjną tych okolic. Dowódca operacji wojskowych feldmarszałek Model przekazał mi oficjalnie, na piśmie całkowite polityczne pełnomocnictwa na terenach odebranych Aliantom w Belgii. Władze cywilne wszędzie uciekły. Podobnie księża. Sterroryzowani przez angielsko-amerykańskie bombardowania na początku stycznia, ukrywali się najczęściej w piwnicach. Nie była to dobra chwila na wydawanie dekretów i reformowanie konstytucji!
Poprzestałem na zapewnieniu mieszkańcom Limerle i Steinbach wsparcia duchowego organizując mszę: towarzyszył nam kapelan SS, trapista z klasztoru w Chimay-lez-Forges, wielebny Stockmans. I mimo zagrożenia ze strony szturmowców, rozległy się dzwony wiejskich kościołów nawołujące cywili i żołnierzy do modlitwy o pokój i miłosierdzie u stóp bożego ołtarza.
***
Wysłałem w rożnych kierunkach łączników, by zdobyć informacje o sytuacji w wioskach, uwolnić znajdujących się w niewoli towarzyszy, a także zgromadzić numery Monitora i belgijskich dzienników.
Relacje uwolnionych towarzyszy zmroziły nam krew. Opowiadali jak nieludzko traktuje się w całej Belgii w imię „Demokracji" tysiące mężczyzn i kobiet, przetrzymywanych w tragicznych warunkach, szykanowanych, poniżanych, torturowanych, a nawet mordowanych, tylko dlatego, że wyznawali poglądy polityczne odmienne od poglądów „wyzwolicieli" z września 1944 roku.
Dzienniki z Brukseli, z Liege i z Arion, które dostarczyli nam emisariusze, wypełnione były szalonymi, ociekającymi nienawiścią apelami do zwierzęcych instynktów tłumu. Przedstawiano w nich czytelnikom długie listy dzielnych ludzi przetrzymywanych w kazamatach przez zwycięskich polityków, tylko dlatego, że kiedyś w mniejszym lub większym stopniu podzielali nasze idee lub nawet tylko prenumerowali nasze gazety. Około stu tysięcy ludzi wtrącono do więzień, internowano w koszarach i wydano na pastwę brutalnych i zajadłych strażników. Przeszło pół miliona Belgów zostało wykluczonych poza nawias narodu.
Najbardziej wzruszającą sceną, jaką dane nam było oglądać, stało się przybycie piętnastoosobowej grupy młodych chłopców, którzy zdołali uciec z zakładu karnego w Saint-Hubert.
Ten dom poprawczy dla młodocianych przestępców i umysłowo chorych był znany w całych Ardenach z jak najgorszej strony. Ale to właśnie tam skierowano grupę niewinnych młodych chłopców z rodzin reksistowskich. Ojcowie, matki zostali wtrąceni do więzienia. Dzieci, wyrwane z domu rodzinnego, uznano za opóźnione w rozwoju umysłowym i umieszczono pomiędzy chorymi psychicznie, zdolnymi do najgorszych czynów.
Nie tylko fakt podzielania poglądów politycznych odmiennych od poglądów ludzi, którzy dzierżyli władzę, był uznawany za zbrodnię karaną więzieniem lub śmiercią, za kraty trafiały również całe grupy młodych dziewcząt i kobiet, którym golono głowy, bito kolbami, a nierzadko gwałcono. Matki siłą odrywano od dzieci i wtrącano do aresztu. Starcy trafiali do cel tylko dlatego, że byli

ojcami. Umierali w więzieniach z nędzy i z bólu. Największą i najbardziej krzywdzącą cenę płacili jednak najmłodsi!
Mszczono się na reksistach usiłując zbrukać, zatruć, skalać ich dzieci, które nie miały pojęcia o polityce!
A wszystko to oczywiście w imię Prawa i Cywilizacji!
Powinniśmy byli przeciwstawić się temu nieludzkiemu traktowaniu i zapłacić za te wszystkie zbrodnie, które wołały o pomstę do nieba.
Przysięgamy przed Bogiem: byliśmy ponad gniewem. Nie przelaliśmy ani kropli bratniej krwi w ciągu tych tygodni, mimo że nasze dusze ogarniał bunt. Wszystko, co pismaki wypisywały później na temat rzekomych egzekucji dokonywanych przez nas lub za naszą zgodą w belgijskich Ardenach, było ohydnym pomówieniem i wynikiem policyjnego spisku.
Byliśmy świadkami cierpień naszych rodaków, ginących podczas alianckich bombardowań lub w trakcie walk. Nie mieliśmy zamiaru dorzucać kolejnych. Wiedzieliśmy również, że nie można zbudować niczego wielkiego na zemście. Pragnęliśmy zjednoczyć różnorodne elementy naszego narodu, złagodzić nienawiść, a nie podsycać ją krwawymi represjami. Nikt z nas nie pogwałcił zasad braterstwa.

Pewnego ranka...

Pod koniec grudnia 1944 roku dla Niemców najważniejszą kwestią było odcięcie, szybkie okrążenie i zniszczenie sił Aliantów na froncie zachodnim.
Bitwa, która miała zakończyć się unicestwieniem wroga, po tygodniu wymknęła się niemieckiemu dowództwu spod kontroli.
Zmotoryzowanym oddziałom wystarczyło sześćdziesiąt godzin, by przeprowadzić olśniewający atak i przedrzeć się przez masyw ardeński: dotarły do głównej linii kolejowej Luksemburg-Bruksela w Jamelle; w kierunku zachodnim przeszły od końca do końca lasy i góry; dywizje niemieckie osiągnęły rozległe równiny pod Condroz i la Famenne. Po trzech dniach Alianci nadal wycofywali się. Gdyby Niemcy zdołali dostarczyć paliwo i amunicję wysuniętym do przodu jednostkom, te z łatwością kontynuowałyby szybki marsz.
Nawet jeszcze pod koniec 1944 roku były one wspaniale wyposażone.
Oczywiście do wykonywania najprostszych zadań były oddziały pomocnicze, między innymi pomarszczonych Mongołów o żółtawej skórze, odzianych w niemieckie mundury, którzy dali się rozbić osłupiałym wojskom w śniegach Bastogne.
Ale czołgi generała Manteuffela,91 które dotarły aż pod same Dinant, ale Tygrysy Seppa Dietricha, ale sznury lśniących nowością ciężarówek z kolumn zmotoryzowanych były jeszcze w stanie przeprowadzić odważne, niezwykłe natarcie.
Czołgów było wszystkiego zaledwie dziewięćset. Ale ile miał ich Rommel w Abbeville w 1940 roku i w El Alamein w roku 1942? Ile ich mieli Anglicy i Amerykanie wkraczając do Brukseli i do Anvers 3 i 4 września 1944 roku?
Alianci zostali całkowicie zaskoczeni w Ardenach. Drogi były szeroko otwarte. Pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy nacierając 6 lub 7 grudnia 1944 roku na Namur, na Andenne i na Huy byłoby w stanie utorować sobie szybko przejście do samej Mozy.
I to właśnie w tym momencie, w promieniach słońca, które nadawałaby się do suszenia siana, alianckie lotnictwo pozbawiło Niemców możliwości masowego przemieszczania się i dowozu paliwa.
Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień.
Niemcy nie byli w stanie użyć swych czołgów.
Nie zdołali nawet zapewnić wystarczających dostaw żywności oddziałom oddalonym o sto pięćdziesiąt kilometrów od linii Zygfryda. Rychło znalazły się one w tragicznym położeniu.
Skoro Sepp Dietrich nie zdołał odeprzeć oddziałów wroga na północy, tym bardziej generał Manteuffel nie potrafił porządnie oczyścić swej lewej flanki na południe od Bastogne.
Należało więc jak najszybciej zająć Arion i Virton i poszerzyć przyczółek.
Tam, podobnie jak w Malmedy, znajdowało się kilka tysięcy upartych Aliantów, którzy z odwagą, jaką każdy żołnierz potrafi docenić, stawili czoło nieprzyjacielowi zamiast uciekać, biorąc przykład z tylu innych. Dali się okrążyć, ale utrzymali pozycje i zyskali dokładnie tyle czasu, ile było potrzeba.
Opór w Bastogne obciążył całe lewe skrzydło niemieckiej ofensywy.
Jednak i tym razem, zarówno Bastogne, jak i Malmedy mogłyby zostać łatwo zdobyte, gdyby dywizje pancerne otrzymały na czas paliwo i żywność i zdołały przesunąć się dalej, wprowadzić

zamieszanie w oddziałach wroga, zdobyć jego zapasy i pozbawić go możliwości przegrupowania i kontrataku. Z powodu katastrofalnej sytuacji, w jaką słońce wpędziło Niemców już trzeciego dnia operacji, Malmedy i Bastogne, odizolowane punkty oporu, pierwotnie skazane na szybki upadek, odegrały kluczową rolę.
Zaledwie po ośmiu dniach okazało się, że marszałek Model nie zdoła zrealizować powierzonych mu zadań. Jego dywizje znajdowały się na dnie wąwozu o długości stu pięćdziesięciu kilometrów, do którego dowożono zaopatrzenie bocznymi drogami, metodycznie ostrzeliwanymi przez Aliantów, lub ośnieżonymi szlakami, gdzie natychmiast tworzyły się potężne korki.
Po obu stronach tej pułapki, daleko za wysuniętymi do przodu oddziałami niemieckimi, angielsko-amerykańskie kleszcze, Malmedy-Bastogne, zaciskały się z każdym dniem. Plan najbliższej, podwójnej, skrzydłowej kontrofensywy Aliantów był widoczny gołym okiem.
A wynik pojedynku nie budził wątpliwości.
Niemcy są realistami: natychmiast rozpoczęli odwrót.
***
Manewr odwrotu był realizowany z idealną precyzją i opanowaniem, typowymi dla wszystkich działań niemieckiego dowództwa.
Dywizje Waffen SS zostały rzucone na obydwie flanki do najbardziej zagrożonych punktów. W tym czasie bożonarodzeniowi zwycięzcy stopniowo lecz metodycznie zajmowali kolejne tereny nad Mozą, następnie Saint-Hubert i Marche, a w końcu dolinę Ourthe. Siły amerykańskie nadciągające z południa i angielskie z północy zbliżały się coraz bardziej do siebie, co stwarzało ryzyko przecięcia w połowie trzystu tysięcznego pochodu wycofujących się żołnierzy niemieckich, ciągnącego się od Ourthe do Eifel.
Na początku drugiego tygodnia stycznia pomiędzy dwiema nacierającymi falami Aliantów istniał już tylko korytarz szeroki na około dwadzieścia kilometrów. W końcu pozostała tylko jedna, jedyna droga, którą mogli wycofać się Niemcy.
Żyliśmy w nieustannym napięciu. Czuliśmy jednak przede wszystkim wielki podziw. Ani jeden batalion nie stracił zimnej krwi. Oddziały, które miały niezwykłą dyscyplinę moralną, przyjmowały odwrót z takim samym spokojem jak piętnaście dni wcześniej przeprawę przez rzekę Ourthe.
W mroźne noce, przy akompaniamencie huku niezliczonych dział Jankesów i Anglików, tysiące niemieckich żołnierzy spokojnie przesuwało się na wschód. W każdej większej kępie drzew stały ukryte w cieniu, jak wielkie warujące psy, czołgi, które zapewniały osłonę. Ciężko dysząc wyrzucały do tyłu długie jęzory ognia. Kolumny przygarbionych, milczących żołnierzy karnie maszerowały w gęstym śniegu.
Wszystko było skończone. Próbowaliśmy. Nie udało się.
Żołnierze ruszyli tak jak stali, ku nowym bataliom. Bóg jeden wie gdzie. Ku nowym cierpieniom, Bóg jeden wie jak licznym...
Z szeregów nie dobiegał najmniejszy szept. Służba to służba: Dienst ist dienst...
Kiedy feldmarszałek Model usiłował przeprowadzić przez Ardeny wspaniałe dywizje Wehrmachtu i Waffen SS, inne dywizje równie dzielne i doskonale wyposażone czekały nadaremnie u progu Alzacji na rozkaz ataku od wschodu na terytorium Francji.
Himmler przywiązywał wielką wagę do tej operacji. Trzymał się kurczowo tej ostatniej możliwości, nawet już po rozpoczęciu odwrotu w Ardenach, ponieważ wszelkie działania, które pozwoliłyby, bez względu na cenę, przeszkodzić Aliantom w realizacji ich planów, miały dla Rzeszy ogromne znaczenie. Wywalczenie dwu-, trzymiesięcznej zwłoki pozwoliłoby, być może, wyprodukować i wprowadzić do walki nową broń, która mogłaby radykalnie zmienić sytuację.
Niemcy, pobudzane tą ostatnią nadzieją, były gotowe próbować wszystkiego, by ratować sytuację. Ofensywa w Alzacji nie została więc zarzucona. Jej rozpoczęcie wyznaczono na połowę stycznia 1945 roku.
Jednak w tym czasie atakujący Rosjanie zdążyli ominąć Warszawę, ruszyć na Gdańsk, na Poznań i na Wrocław. Berlin znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.
Wielki sen o zwrocie na Zachodzie legł w gruzach. A dywizje, które wróciły z Ardenów, podobnie jak te, które stały w gotowości w Alzacji, ruszyły w pośpiechu z Himmlerem na czele, ku krwawym bitwom na Wschodzie.
My pozostaliśmy w Limerle, aż do chwili, kiedy alianckie czołgi znalazły się pod samym miastem.
Niemieckie dowództwo trzy dni wcześniej przeniosło się na teren Rzeszy.
Musieliśmy porzucić naszą ojczyznę, nasz kraj, naszych rodaków... Nie byliśmy w stanie opuścić ostatniej wioski, mimo że nie mieliśmy tam już nic do roboty. Straciliśmy wszelką nadzieję na odzyskanie Belgii.

Włóczyliśmy się wokół zasypanych śniegiem domów, spoglądając na bielejące pola, płonące w oddali dachy zagród, pokryte dachówkami dzwonnice, dokładnie takie same, jak niebieskie dzwonnice z naszego dzieciństwa...
Musieliśmy jednak podjąć decyzję. Uściskaliśmy starą góralkę, która przyjęła nas pod swój dach. Było to jak ostatni pocałunek ojczyzny. Obeszliśmy jeszcze raz długie różowe gospodarstwo, przeszliśmy wzdłuż czarnego świerkowego zagajnika: granica była niedaleko... Byliśmy synami Europy, ale także synami naszej ojczyzny. I z rozdartym sercem zamknęliśmy oczy, by już nic nie widzieć...

IX
Śmiertelna walka na Pomorzu

Niewiarygodna ofensywa Sowietów w połowie stycznia 1945 roku oznaczała koniec wojny na Zachodzie.
Jeszcze walczono. Kiedy Alianci doszli do siebie po grudniowych potyczkach i ruszyli do przodu, pomiędzy Akwizgranem i Renem napotkali na zaciekły opór. Jednakże Wschód znalazł się pod takim naciskiem, że niemieckie dowództwo musiało dokonać wyboru. Poświęciło więc front Zachodni, z którego odwołało najsilniejsze dywizje i znaczną część czołgów.
Na lewym brzegu Renu pozostały jedynie oddziały osłonowe. Wszystko, co się liczyło zostało skierowane do bezpardonowej walki, rozgrywającej się pomiędzy Wisłą i Odrą.
Nigdy jeszcze Sowieci nie rzucili do walki tak licznych oddziałów ani tak wspaniałego sprzętu. Na ich drodze wszystko rozsypywało się jak spróchniałe drzewa. Zajęli Łódź. Zajęli Poznań. Tysiące rosyjskich czołgów sunęły na Bydgoszcz i na Wrocław. Prusy Wschodnie zostały zmiażdżone. W pośpiechu wywieziono zwłoki Hindenburga, zanim wysadzono w powietrze słynny pomnik-mauzoleum w Tannenbergu.
Wszystko zalewała fala Rosjan. Płonęły tysiące miast.
A dzikie wycie, siejących strach i przerażenie, czołgów rozbrzmiewały już nawet na terenie Rzeszy.
Zima tamtego roku była wyjątkowo ostra.
Miliony mieszkańców z zagrożonych terenów uciekały w popłochu przed bolszewikami, którzy słynęli z wyjątkowego okrucieństwa.
Ludzie, którzy przeżyli początki sowieckiej okupacji, opowiadali w nietkniętych jeszcze miastach przerażające historie. Całe prowincje ewakuowały się masowo na zachód.
Ludność z największych ośrodków miejskich pakowano na wszystko, co zostało na dworcach i było w stanie jeździć: dziesiątki tysięcy kobiet i dzieci jechały w deszczu kilka dni i nocy, stłoczone na stojąco po pięćdziesiąt, osiemdziesiąt osób na jednej odkrytej platformie kolejowej. Wielu umierało w drodze z zimna. Dzieci zamarzały przytulone do piersi matek. Nasyp kolejowy był usiany sztywnymi trupami, wyrzucanymi na tory, by zrobić trochę miejsca tym, którzy jeszcze żyli.
Na jednym z bocznych torów niedaleko Wrocławia stał porzucony pociąg: na odkrytych platformach leżały sto czterdzieści dwa zamarznięte ciała małych chłopców i dziewczynek.
Aby nie siać paniki wśród mieszkańców Berlina, przerażające karawany ludzi, którzy byli w drodze od prawie dwóch tygodni, kierowano na zewnętrzną autostradę.
***
Nasza dywizja również dostała pod koniec stycznia 1945 roku rozkaz wyruszenia na Front Wschodni, via Szczecin.
Wspaniała autostrada z Berlina do Szczecina zamieniła się w jedną wielką drogę przez mękę. Było tam około dwustu lub trzystu tysięcy kobiet i dzieci, rozczochranych i wycieńczonych przenikliwym mrozem.
Kolumny tysięcy wozów mogły jechać wyłącznie prawym pasmem autostrady, bo nadal trwała wojna.
Ludzie uświadamiali to sobie szczególnie boleśnie, kiedy nadlatywały kolejne rozszalałe eskadry sowieckich samolotów i ostrzeliwały ten żałosny kondukt, choć doskonale było widać, że są to tylko bezbronni cywile.
Pojazdy jechały jeden za drugim, praktycznie sklejone ze sobą, w dwóch rzędach, w związku z czym wybuch nawet jednego granatu powodował przerażającą masakrę. Konie waliły się na ziemię, ciągnąc za sobą poprzewracane wozy. Na śniegu rozlewały się ich dymiące wnętrzności. Kobiety, dzieciaki leżały wśród szczątków wozów. W plecach miały brązowe dziury. Krew kapała wielkimi kroplami na czerń pończoch. Z rozdartych pierzyn ulatywało pierze.

Nieszczęsny naród powoli staczał się na samo dno jednej z największych tragedii, jakie kiedykolwiek poznał świat...
Znosili lata wyrzeczeń i strasznych bombardowań... Tracili syna, dwóch synów, ojca, poległych gdzieś w śniegach Rosji... A teraz kiedy już stracili wszystko, wypędzano ich masowo z domów i skazywano na poniewierkę. Wielu umierało po drodze z zimna. Inni ginęli od kul zapalających.
Gdyby chociaż byli już u kresu cierpień!
Jednak patrząc na ich tragiczną, ciągnącą się bez końca procesję, myśleliśmy o tysiącach sowieckich czołgów, które ich ścigały; wiedzieliśmy, że w końcu, któregoś wieczora wpadną w ręce barbarzyńców, że te dziewczęta w mundurach, tak czyste i niewinne, zostaną zgwałcone, zbrukane, skażone, że te stare matki, które z trudem szły po śniegu, pewnego dnia zamienią się w wygłodzone i wynędzniałe nędzne tłumoki.
Po co biec przed siebie? Lepiej zatrzymać się, poczekać, poczekać na Mongoła, który siłą rozchyli wam nogi, poczekać na widok własnego domu w płomieniach...
Jednak wola życia zmuszała zapłakanych i wyczerpanych ludzi do dalszego marszu zatłoczonymi drogami...
***
Przekroczyłem Odrę i ruszyłem w prawo drogą na wschód.
Na szczytach wzniesień i pagórków w pośpiechu kopano w piasku kilometry okopów, które prawie natychmiast zapadały się. Z ciężarówek rozdawano tysiące nowych łopat tysiącom zmobilizowanych kobiet.
Po drodze mijałem moich żołnierzy, którzy dojechali do szczecińskiego dworca, a następnie ruszyli do Stargardu własnymi środkami transportu. Wyglądało to dosyć żałośnie. Sami musieli ciągnąć jak zwierzęta swe pojazdy. Nie otrzymaliśmy na czas naszego przydziału koni. Żołnierze więc zebrali całą energię i ze śmiechem dali się zaprzęgnąć. Pokonali w ten sposób po śniegu trzydzieści pięć kilometrów, które dzieliło nas jeszcze od wroga.
Żołnierze witali radosnymi okrzykami mojego Volkswagena, szczęśliwi, że docierają do celu i że jestem z nimi.
Przejechałem wzdłuż jeziora Miedwie, które ciągnęło się bardzo daleko na południe, i w końcu ujrzałem kanciaste, czerwone, wyniosłe wieże kościołów w Stargardzie. Potem zobaczyłem przepiękne i majestatyczne stare bramy wjazdowe do miasta, także z cegły.
Miasto powstało w późnym średniowieczu. Całe Pomorze ze swymi spatynowanymi murami, usianym obłokami niebem, połaciami lasów świerkowych, wyblakłymi jeziorami, po których pływały drewniane łodzie, miało niezwykły witalny, a jednocześnie smętny urok.
Ale cała ludność uciekała w popłochu ze swych domów. Stargard przypominał hałaśliwe targowisko. Ludzie biegali we wszystkich kierunkach.
Dotarłem do znajdującego się w jakiejś szkole stanowiska dowodzenia generała, który był odpowiedzialny za obronę tego regionu: „Nareszcie Pan jest!" wykrzyknął.
Dysponował wszystkiego dwoma czołgami, resztkami rozbitych oddziałów i kilkoma batalionami staruszków z „Volkssturmu".
Rosjanie znajdowali się już od rana około piętnastu kilometrów od miasta.

Pod Stargardem

Najazd wojsk sowieckich na niemieckie Pomorze w drugiej połowie stycznia 1945 roku przypominał huragan. Sądziliśmy, że Rosjanie znajdują się jeszcze w Bydgoszczy, kiedy jeden z ich czołgów rozpoznawczych, prąc przed siebie jak taran, pojawił się nagle na dworcu w Pile!
Sowiecki atak był prowadzony w trzech kierunkach. Trzy fale żołnierzy wbiły się jak włócznie w starą pomorską ziemię: jedna w kierunku wschodnim, aby odciąć Gdańsk od Rzeszy, druga w kierunku słynnego Kołobrzegu nad Bałtykiem, trzecia natomiast w kierunku Szczecina.
Stargard był ostatnim dużym miastem, które zostało do zdobycia na tej trasie. Był oddalony zaledwie o trzydzieści pięć kilometrów od dolnej Odry.
6 lutego 1945 roku rano, kiedy dotarliśmy do Stargardu sytuacja była niemal beznadziejna. Rosyjskie czołgi nacierały na miasto od południowego-wschodu, południa i południowego-zachodu.
Obrona była żadna. Powierzono ją dzielnym staruszkom z „Volkssturmu", którzy robili co mogli, ale byli w stanie raczej zanieść się kaszlem niż odnieść zwycięstwo.
***

Najpilniejszą sprawą było załatanie wyrwy na południu. Wysłano więc nas natychmiast do Kremzow (Krępcewo) i Repplina (Rzeplino), miejscowości położonych trzy mile od Stargardu na trasie do Arnswalde (Choszczno).
Droga biegła przez szerokie na kilka kilometrów pasmo niewielkich, porośniętych trawą wzniesień, ozdobionych sześcioma wioskami. Po obydwu stronach pasma płynęła rzeka Ina. Po jednej stronie Ina normalna, która jak dobra mieszczka szła wyznaczoną drogą, bez żadnych zmian nastroju, po drugiej zaś Ina „leniwa", znacznie sympatyczniejsza, która po drodze oddawała się marzeniom, tworzyła urocze zakola przez roztargnienie albo dlatego, że dostrzegła jakiś szczególny zakątek ładniejszy od innych. Obydwie Iny, pomimo tak różnego charakteru, łączyły się pod koniec biegu, jak małżeństwo, które schodzi się na starość. Złączona już Ina przepływała przez Stargard, następnie przechodziła przez lasy na północy i wpadała do Zalewu Szczecińskiego.
Rozkazy, które otrzymałem były precyzyjne. Liczono na nas. Za kilka dni będą tu czołgi niemieckie. Czekając na nie, trzeba było uratować Stargard. Jeśli ustąpimy, godzinę później sowieckie czołgi wtargną do miasta.
Już na samym początku wysłałem moich ludzi na najdalsze krańce strefy, do wioski Repplin. Tuż po nas dotarł tam sowiecki pododdział.
Zarówno dla jednych, jak i dla drugich wioska stanowiła doskonały punkt strategiczny, ponieważ rozciągał się z niej widok na całą okolicę. Jeden z rosyjskich patroli musiał wpaść na to kilka godzin wcześniej niż my, kiedy osada była jeszcze pusta. Grupa rosyjskich żołnierzy weszła więc do Repplina beztrosko, z rękami w kieszeniach. Nasi żołnierze pozwolili im dojść ze sprzętem prawie do środka wioski i dopiero wtedy rzucili się na nich ze wszystkich stron. Uciekł tylko jeden czerwony żołnierz, który zdołał przebiec przez cmentarz.
Ta pierwsza potyczka wprawiła moich zuchów w doskonały nastrój i dała nam czterdzieści osiem godzin na zorganizowanie stanowisk.
Była gęsta mgła. Zaczął padać deszcz. Błoto przypominające kit oblepiało buty i wciągało je z głośnym mlaskaniem. Zabarykadowaliśmy się w długich silosach na buraki, aby uciec przed wodą, która zalegała na stanowiskach strzeleckich.
Rosjanie niebezpiecznie posuwali się do przodu na południowym-zachodzie, zajmując co większe wioski na naszym prawym skrzydle. W deszczowe noce widzieliśmy z daleka kolejne brudno-różowe plamy pożarów.
Odwaga sowieckich czołgistów była wprost niewiarygodna. Wracając ze Stargardu, gdzie pojechałem po rozkazy, nagle ujrzałem pojedynczy czołg nacierający prosto na mnie. Znajdowałem się wtedy siedem kilometrów za naszymi pozycjami. Czołg dotarł przez pola aż do naszej brukowanej drogi. Jechał bez osłony, zupełnie sam. Jeden z Niemców miał na szczęście przy sobie panzerfaust. Ukrył się w krzakach i rozbił czołg, gdy ten znalazł się na jego wysokości.
W portfelu młodego rosyjskiego oficera, który zginął wraz z czołgiem, znalazłem prosty, szczery list do rodziny. Pisał z triumfem „Ostatnio rozdusiłem moimi gąsienicami dużo Fryców. Niedługo nasza flaga załopocze nad Berlinem!" Zakończył zaskakującą i wzruszającą konkluzją: „Będziemy więc mogli wrócić do naszych wiosek..."
Kilka niemieckich czołgów dotarło w końcu do naszych stanowisk.
Ustalono, że w piątek 9 lutego 1945, o wschodzie słońca, rozpocznie się kontratak pomiędzy jeziorem Miedwie i Iną.
Otrzymaliśmy za zadanie przekroczyć Inę „leniwą", pchnąć jeden z naszych batalionów w kierunku południowo-zachodnim, zająć szturmem wzniesienia a następnie węzeł drogowy w Lindenbergu (Lubiatowo), przez który regularnie przejeżdżały kolumny wrogich czołgów.
O wpół do szóstej rano, w zupełnej ciszy ruszyliśmy do ataku...

Lindenberg (Lubiatowo)

Masy Sowietów, które przelewały się przez Pomorze i usiłowały przedrzeć się do Stargardu, dysponowały potężnym sprzętem i tysiącami odważnych żołnierzy, których pobudzało do walki pasmo nieustannych zwycięstw.
Kontratak 9 lutego 1945 roku w naszym sektorze miał bardzo ograniczony cel: powstrzymać rozpęd Czerwonych, odbić kilka kilometrów terenu, odzyskać węzeł drogowy w Lindenbergu.
Mieliśmy dotrzeć tam przez pola, wyruszając ze wsi Strebelow (Strzebielowo), jeśli chodzi zaś o niemieckie czołgi, ruszające znad jeziora Miedwie, powinny one zdobyć szturmem kilka wiosek, a następnie dołączyć do nas na skrzyżowaniu.
Osłaniani przez niewielkie grupki strzelców, którzy według naszej starej metody prześlizgnęli się o świcie pomiędzy oddziałami wroga, mogliśmy z łatwością wdrapać się na długie strome, gliniaste

zbocze, skąd widać było oddalony o dwa kilometry las świerkowy, który kończył się tuż przy rozdrożu w Lindenbergu.
Po lewej wróg ukrywał się w zagajnikach. Ale umiejętność błyskawicznego działania Walończyków była zawsze elementem decydującym podczas natarcia. Zagrzmiała nasza artyleria: młodzi dowódcy kompanii ruszyli na czele swych oddziałów, rozstawionych zupełnie jak w niegdysiejszych szarżach. Byłem uzbrojony jedynie w szpicrutę. Moi oficerowie, przez brawurę, wzięli ze mnie przykład. Robota nie czekała. Mimo głębokiego błota, o dziewiątej trzydzieści pięć staliśmy się panami krzyżówki. Rosyjskie czołgi nękane ostrzałem z naszych armat przeciwpancernych ustąpiły i zaczęły się w pośpiechu wycofywać na południe.
Skierowałem pierwszy rzut na kraj lasu sosnowego. Wysłałem dwie grupy szturmowe za skrzyżowanie i szybko zacząłem ustawiać nasze armaty przeciwpancerne: na południowym krańcu lasu, aby zapobiec powrotowi wroga i na krańcu południowo-zachodnim, by osłonić nas przed atakiem sowieckich czołgów, gdyby zwycięskie czołgi niemieckie zaczęły spychać je w naszym kierunku.
Patrole wróciły bardzo szybko. Zagajniki rozciągające się jakieś sto metrów przed nami kryły cały park pancerny wroga. Nasi ludzie zaobserwowali tam wzmożony ruch.
Nie zapowiadało to niczego dobrego.
Skrzyżowanie było nieźle położone. Drogi przecinały się za nami albo przebiegały przez las dołem wąwozu. Teren był wzniesiony, a na zachodzie kończył się stromym zboczem. Cały szczyt był pokryty świerkami. Na południowym-wschodzie rozciągał się teren podmokły.
Niestety, poza tym pojedynczym wzniesieniem nie było żadnej osłony. Wokół pagórka rozciągała się zupełnie odkryta przestrzeń. Gdybyśmy wyszli poza niewielki lasek sosnowy, mielibyśmy dla siebie i dla armat przeciwpancernych tylko jedną drogę odwrotu — cztery kilometry błotnistej równiny, przez którą tu dotarliśmy.
Taki odwrót za dnia, z czołgami wroga na karku byłby praktycznie niemożliwy do zrealizowania. Teraz jednak, kiedy już byliśmy na miejscu, musieliśmy umocnić się na wzniesieniu pod Lindenbergiem i czekać na przybycie niemieckich czołgów.
Zajęliśmy teren dosyć wcześnie. Mogliśmy więc śledzić zaciętą walkę niemieckich czołgów nadciągających z północy.
Dotarły do wioski, która znajdowała się najbliżej naszego skrzyżowania.
Ryczące sznury Stukasów pikowały w kierunku czołgów i artylerii Sowietów. Ci czuli, że znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Naturalna droga odwrotu w kierunku południowo-wschodnim została odcięta. Nie próbowali wycofywać się w naszą stronę. Ich czołgi ustawiały się już w rzędzie na drodze prowadzącej prosto na południe. Dyszały i strzelały. Stukasy zacięcie ostrzeliwały wioskę. Wszystko płonęło.
Były dwie, trzy kilkuminutowe przerwy, kiedy wydawało nam się, że Niemcy już ostatecznie przełamali opór. Jednak za każdym razem walka wybuchała na nowo.
W południe nadal walczono z taką sama zaciętością. Widzieliśmy przez lornetkę czołgi sunące przez różowo-złoty huragan płomieni, które opanowały całą wioskę.
Rosyjskie armaty przeciwpancerne nie poddały się. Ale kiedy zobaczyliśmy kolumnę sowieckich czołgów ustawioną na pozycji do odwrotu poza wioską, mieliśmy przedwczesną nadzieję, że będzie to koniec walki. Rychło jednak czołgi podjęły kontratak.
O jedenastej rano dwa wrogie czołgi wynurzyły się z lasku na południowym-wschodzie i strzelając ruszyły w naszą stronę. Jeden z naszych ludzi prześlizgnął się w ich kierunku z panzerfaustem i trafił jeden z pojazdów. Odgłosy potyczki ucichły.
Godzinę później usłyszeliśmy, przerażający jak zwykle, chrzęst gąsienic. Pomiędzy świerkami ujrzeliśmy pięć czołgów, które zbliżały się w naszym kierunku. Tuż za nimi jechały trzy następne. W tym samym czasie „organy Stalina" zaczęły zalewać nasz mały lasek strumieniem granatów, które wybuchając obcinały setki gałęzi. Ranni krzyczeli. Wozy pancerne ostrzeliwały nas z niewielkiej odległości. Nie można było praktycznie unieść głowy. A mimo to musieliśmy strzelać, bronić się przy użyciu panzerfaustów, bo w przeciwnym razie czołgi zajechałyby nas od tyłu albo przedarły się prosto przez niewielki lasek i osaczyły.
Biegałem od jednej grupy do drugiej, próbując zmobilizować ludzi, którzy przerażeni gradem pocisków przywarli nosem do ziemi albo skuleni jak jeże leżeli na dnie wykrotów.
Częściowo osłaniały nas mocne i zbite świerki: dzięki nim czołgi nie mogły zbliżyć się do nas i zmiażdżyć nas swym ciężarem. Nasze armaty przeciwpancernie strzelały nieprzerwanie.
Cztery razy rosyjskie czołgi zbliżyły się na kilka metrów do naszych stanowisk na brzegu świerkowego lasu. I cztery razy musiały się wycofać.

Dwa sowieckie czołgi zostały trafione idealnie w sam środek. Jedna z naszych armat przeciwpancernych została zniszczona. Na ziemi leżało wielu zabitych i rannych. Ale nie zostaliśmy ani odcięci, ani okrążeni. Musieliśmy zachować zimną krew: po lewej stronie rozciągały się błotniste mokradła, po prawej wznosiło się wysokie na dwadzieścia metrów strome zbocze. Odwrót oznaczał śmierć.

***

O trzeciej po południu, od strony jeziora Miedwie dotarł do nas jakiś hałas.

Wioska, położona dwa kilometry na północny-zachód od naszego rozdroża, nie została jeszcze zdobyta. Niemieckie czołgi zajęły dworzec i część osady. Ale Czerwoni stawiali zaciekły opór i blokowali drogę. Połączenie z niemieckimi jednostkami stawało się coraz bardziej problematyczne. Nasz sukces miał znaczenie tylko pod warunkiem, że cały front przesunie się do przodu i połączy się, a zwycięstwo umożliwi umocnienie się na nowej linii. Ale jeśli będziemy musieli zostać na odkrytej przestrzeni, pozostawieni samym sobie na tym samotnym wzniesieniu, prędzej czy później zostaniemy okrążeni i wybici do nogi.

Mżyło, byliśmy przemarznięci do szpiku kości, zbliżała się noc. Zatrzeszczała niewielka radiostacja kompanii: dzwonił generał ze Stargardu. Ich atak nie powiódł się, połączenie sił okazało się niemożliwe, niemieckie czołgi miały wycofać się pod osłoną nocy. My natomiast o jedenastej wieczorem mieliśmy wrócić po cichu na nasze poranne pozycje.

Zaledwie skończyliśmy wycofywać się przez błotniste moczary, kiedy dostałem rozkaz wysłania jednej z moich kompanii do wioski Krussow (Kurczewo?), położonej na naszej prawej flance i bronionej jedynie przez słabą grupę z „Volkssturmu".

Miejscowość ciągnęła się po obu stronach drogi Lindenberg-Stargard. W każdej chwili należało spodziewać się ataku Rosjan, rozzuchwalonych zwycięską obroną z poprzedniego dnia.

Nasi chłopcy dotarli do Krussowa dokładnie w tej samej chwili co sowieckie czołgi. Zostali przez nie odepchnięci i wyparci na drugi brzeg rzeki Iny. Znaleźli się w wyjątkowo niefortunnym położeniu. Dowódca kompanii zorganizował obronę na prawym brzegu. Ale nie był w stanie zbyt wiele zdziałać, ponieważ wysłano go do Krussowa o wiele za późno. Wioska jednak była ważna. A nasi oficerowie nie godzili się łatwo z porażką. Byli bardzo dumni.

Bez wielkiego hałasu lecz z ciężkim sercem młody dowódca kompanii zaprowadził porządek wśród swych ludzi, telefonicznie poinformował mnie o swych zamiarach, a następnie sam pobiegł drogą do Krussowa i dał się zabić przed jego murami...

Śmierć niepotrzebna, śmierć dla zachowania godności i dumy!

***

Nazajutrz niemieckie dowództwo bezskutecznie usiłowało z tuzinem czołgów i wszystkimi Stukasami, jakimi dysponowało, odbić Krussow.

Wszystkie próby kończyły się fiaskiem. Zamek stał w płomieniach. Z wioski pozostały tylko gruzy. A Rosjanie trwali uczepieni armat przeciwpancernych, w pobliżu czołgów, pochowanych w ruinach.

W międzyczasie padła spora wioska Dammitz. Nowiny były coraz gorsze.

Zostałem wezwany do Panke, do pociągu, który zajmował sztab 11 Armii. Jego dowódcą był nikt inny jak Obergruppenfuhrer Steiner, były dowódca frontu estońskiego od Narwy do Dorpatu.

W tajemnicy poinformował mnie o planowanych działaniach, które miały radykalnie zmienić sytuację. Przygotowana była wielka ofensywa na wschodzie. W wyznaczonym dniu ruszą dwie potężne grupy szturmowe: jedna z Pomorza, druga natomiast z południowego wschodu. Sepp Dietrich stał w gotowości pod Wrocławiem. Grupa Armii, do której należeliśmy, miała walczyć pod osobistym dowództwem Himmlera.

Do naszego odcinka miały dotrzeć liczne dywizje pancerne. Ich pierwsze zadanie polegało na przeprowadzeniu śmiałego ataku ze Stargardu do samego Landsbergu. Druga operacja miała nas poprowadzić z Landsbergu na spotkanie ofensywy, która nadciągnie od strony granicy słowackiej.

Wracałem trawiony płomiennym zapałem. Oczywiście wiedziałem, że będziemy grać o wszystko. Ale jakąż odwagą, jakimż zdecydowaniem wykazało się dowództwo niemieckie w tak trudnej sytuacji, odpowiadając wiedzą wojskową i niezłomnością na tę przyprawiającą o zawrót głowy demonstrację siły! I jakiż to byłby sukces, gdyby wojska z północy i południa połączyły się i z zaskoczenia zdołały okrążyć i rozbić, jak na początku lata 1941 roku, masy wojsk sowieckich, które wdarły się już na terytorium Rzeszy!

***

Wszystko trzymano w najgłębszej tajemnicy, podobnie jak przed ofensywą w Ardenach.

Goring przeprowadził amatorską i pompatyczną inspekcję wysuniętych pozycji. Odniósł znaczny sukces wśród żołnierzy, z którymi rozmawiał dosadnym, prostym językiem. Był bardzo grubo

ubrany. Miał na sobie kilka narzuconych płaszczy w zaskakującym brązowo-rezedowym kolorze. Wyglądał jak wielki pluszowy miś, przebrany za serbskiego generała. Z kieszeni na piersi wyciągał cygara grube jak butelki z mlekiem dla niemowlaków.
Wszyscy chętnie skorzystali z tego dostojnego źródła i porobili zapasy.
W nocy z 15 na 16 lutego 1945 roku okazało się, że trzeba jak najszybciej rozpocząć planowane wielkie operacje: trzy dywizje pancerne sunęły nieprzerwaną falą czołgów, dział i ciężarówek w kierunku wąskiego przesmyku, przez który mieliśmy ruszyć do ataku.
Walońskie pułki aż do tej chwili nic nie wiedziały o planie ofensywy. Zaskoczeni żołnierze najpierw patrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami. Co się dzieje...? Szybko jednak ogarnęła ich szalona radość. O świecie czołgi ruszyły do przodu. Zaczęła się ofensywa!

Ostatnia ofensywa

Dowództwo niemieckie rzuciło 16 lutego 1945 roku do kontrofensywy na Froncie Wschodnim wszystkie jednostki zmotoryzowane, jakimi jeszcze dysponowało, zwłaszcza zaś czołgi.
Himmler skierował do oddziałów piorunujące orędzie.
Powtarzał w nim z naciskiem: „Naprzód! Naprzód przez bagna! Naprzód przez śniegi! Naprzód za dnia! Naprzód w nocy! Naprzód, by wyzwolić niemiecką ziemię!".
Jądro niemieckiego zgrupowania, które miało zaatakować rozciągnięte skrzydło 1 Frontu Białoruskiego marsz. Żukowa, stanowiły: 3 Armia Pancerna gen. płk. Erharda Raussa (1889-1956) i 11 Armia Steinera. Ta ostatnia liczyła trzy korpusy: Grupę Korpuśną Munzel gen. mjr. Oskara Munzela w składzie: 281 Dywizji Piechoty i Dywizji Grenadierów Fuhrera; II Korpus Pancerny SS w składzie: Dywizji Ochronnej Fuhrera, trzech dywizji grenadierów pancernych SS: 11 Nordland, 23 Nederland, 27 Langemarck, a także 503 batalionu czołgów ciężkich oraz XXXIX Korpus Pancerny gen. wojsk pancernych Karla Deckera (1897-1945) w składzie: 10 Dywizji Pancernej SS Frundsberg, dwu dywizji grenadierów pancernych SS: 28 Wallonien i 4 policyjnej oraz elementów Rezerwowej Dywizji Pancernej Holstein. Liczebność i wartość bojowa wszystkich wymienionych jednostek były o wiele niższe od stanu etatowego, posiadały one łącznie ok. 570 czołgów.
Docierając do Landsbergu mieliśmy zajść od tyłu potężne siły sowieckie, które doszły, a nawet już przekroczyły Odrę na wysokości Berlina.
Jeśli ofensywa Seppa Dietricha za Wrocławiem powiedzie się, jeśli w końcu wszyscy połączymy się w Polsce w okolicach Łodzi, to konsekwencje tego zimowego zwycięstwa będą trudne do przecenienia.
Himmler pragnął zakończyć sukcesem operację, która nie powiodła się na froncie zachodnim pod koniec grudnia 1944 roku: kleszcze Ardeny-Alzacja miały zastąpić kleszcze Pomorze-Słowacja.
Generał Steiner, którego wojska miały zadać najsilniejszy i decydujący cios, nie posiadając się z radości powtarzał w przeddzień bitwy: „Jeszcze tego roku znów będziemy nad Dnieprem!", klepiąc mnie serdecznie po ramieniu.
W sztabach dostrzegano więcej trudności. Panowała tam taka atmosfera, jak pod Montmirail, gdy Napoleon dobywał swych ostatnich sił. Sztabowcy nie ulegali pesymizmowi. Każdy jednak, sztabowiec czy nie, czuł, że trzeba będzie rzucić ostatnie karty na krwawe sukno.
***
Już jako niezmotoryzowani, Walończycy nie uczestniczyli w początkowym uderzeniu.
Mieliśmy przepuścić falę szturmową i udzielić jej pomocy w razie skrzydłowego kontrataku wroga.
Niemieckie dowództwo obawiało się na zachodniej flance sowieckiej reakcji, zmierzającej do odcięcia dywizji pancernych, kiedy te ruszą do ataku na południowym krańcu korytarza. Aby zapobiec temu zagrożeniu, otrzymaliśmy w noc wielkiego szturmu rozkaz rozszerzenia strefy bezpieczeństwa, w tym także odbicia słynnego wzniesienia w Lindenbergu, które zajęliśmy szturmem 9 lutego o świcie, i które opuściliśmy następnej nocy.
Operacja powiodła się po raz drugi. Wzmocniona kompania zajęła solidne pozycje na pagórkach. Dowodził nią bohater walk na froncie w Estonii, porucznik Capelle, młody gigant o ceglastej cerze, uparty, skromny, wzór cnót wszelkich.
Oddziały osłaniające flanki również przesunęły się na południowo-zachodni kraniec korytarza i odebrały wrogowi ważny punkt strategiczny, oddalony o dwa kilometry od głównej linii.
O dziesiątej rano, dzięki tradycyjnej już szybkości działania Walończyków, cele zostały osiągnięte.
Mogłem więc udać się na południe, do Repplina, skąd miały wyruszyć dywizje zmotoryzowane.
Już od samego początku byłem niemile zaskoczony.

Szturm nie rozpoczął się o piątej rano, jak przewidywały rozkazy. Czołgi wyruszyły dopiero o godzinie dziesiątej.
Zostałem umieszczony w jednym z gniazd karabinów maszynowych, skąd widziałem każdy szczegół rozgrywającego się przede mną spektaklu.
Niemieckie czołgi nie straciły jeszcze swego wielkiego stylu. Było ich mniej, lecz zachowały wspaniałą harmonię działania.
Rosjanie posiadali olbrzymie ilości armat przeciwpancernych.
Wiele naszych czołgów stanęło w ogniu, jak drzewa owocowe w kwiatach, zanim jeszcze dotarły do lasu, który pokrywał zbocze naprzeciwko. Ale pozostałe sunęły do przodu. Wjechały do lasu. Nadszedł czas, by piechota ruszyła do ataku z takim samym zapałem.
Ale piechota rozwijała swe natarcie miękko.
Nie były to już te dawne oddziały. Wiele milionów ludzi poległo na Wschodzie. Trzeba było uzupełnić braki, posyłając na chybił trafił do zdziesiątkowanych dywizji grupy taborytów i rezerwistów, którzy nie mieli zapału, zdrowia, wiary, obycia technicznego ani wyszkolenia zwycięzców z pierwszych lat wojny. Nie było już wspaniałych kadr oficerskich z 1941 i 1942 roku, które mogłyby dowodzić i szkolić nowych żołnierzy.
Trzeba było czekać do drugiej po południu na zdobycie pierwszej osady, Brallentin (Bralęcin), która powinna zostać zajęta jeszcze o świcie.
Przez to przepadł efekt zaskoczenia.
Mniej więcej od północy w huku niemieckich czołgów słyszeliśmy jak Rosjanie przez radio wzywają natychmiastowej pomocy. Mijały godziny. Wróg zdążył przegrupować swe siły.
***
Wiadomości uzyskane od przesłuchiwanych jeńców zasiały w nas jeszcze większy niepokój.
Według nich pierwsza sowiecka zapora w Brallentinie była wspierana przez dwie inne czołgowe linie oporu, równie silne, oddalone od siebie o dwadzieścia kilometrów. Cała okolica przed nami była najeżone rosyjskimi czołgami. „Są ich setki", mówili jeńcy. Podali nam nazwy wiosek, w których znajdowały się skupiska czołgów, opisując wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, co pozwalało przypuszczać, że są szczerzy.
Trudno mi było uwierzyć, że widziani rano rezerwiści zdołają się z tym uporać.
Mieliśmy wiele czołgów. Tylko z naszego odcinka do ataku wyruszyło ich sześćdziesiąt. W tym samym czasie dwieście pięćdziesiąt innych czołgów niemieckich przedarło się przez linie Sowietów. Ci jednak wystawią ich dwa, trzy razy więcej, jeśli damy im czas na pozbieranie się.
Mieli więcej sprzętu. Mogliśmy ich pokonać tylko szybkością. A ta bitwa już zaczynała się źle.
Dwie kolejne wioski padły przed północą.
Fala szturmowa przesunęła się dzięki temu około dziesięciu kilometrów na południe.
Był to jedyny sukces.
Sztaby już sygnalizowały energiczne kontrataki Rosjan. Zdołali wedrzeć się do trzeciej wioski, gdzie doszło do zaciekłego pojedynku.
***
Nad centrum ofensywy, nad Stargard wysłano całą masę samolotów rosyjskich.
O dwudziestej drugiej w świetle rac rozpoczęło się niszczenie miasta. Szybko pojawiły się pierwsze pożary. Płonął skład ośmiuset tysięcy butelek likieru, słynnego likieru Mampe. Potem zajął się od ognia magazyn, w którym znajdowało się sto milionów papierosów. Potem całe ulice. Bombardowanie lotnicze trwało przez kilka godzin. Nieustannie nadlatywały kolejne fale samolotów.
Na małych stanowiskach oddalonych o dziesięć kilometrów na południe od miasta czuliśmy, że ziemia drży jak skóra na bębnie. Niebo do połowy było różowe. W całej okolicy było jasno.
Zostałem wezwany do punktu dowodzenia korpusu o drugiej nad ranem i musiałem przejechać moim małym Volkswagenem przez te huczące zgliszcza. Generał zajmował willę w górnej części Stargardu. Otrzymałem rozkazy.
Po wyjściu z domu zanurzyłem się w ogród.
Miasto pode mną wyglądało jak potężny statek w płomieniach.
Proste i ciemne; stare, kwadratowe wieże średniowiecznych kościołów odcinały się na tle łuny pożarów. Stały nieruchome w tym huraganie ognia, jakby chciały wznieść do nieba ostatnie wołanie wieków cywilizacji, konającej w pożarze. Czarne wieże na czerwono-złotym tle przedstawiały poruszający widok. Nigdy nie były tak piękne. I nigdy nie dały tak wspaniałego świadectwa. Biedne wieże Stargardu; poczerniałe maszty płonącego statku, który przez pięćset lat niósł szlachetne dziedzictwo chrześcijańskiej Europy.

A ta płonąca żywcem Europa, to kraj każdego z nas. Te kwadratowe, surowe wieże ze Wschodu były siostrami wielkich szarych wież w Saint-Rambaut de Malines i majestatycznych wież w Brugii. Wszystkie nasze europejskie kraje odpowiadały sobie jak dzwony. Słyszałem w sercu bolesny dźwięk tej tragedii. I nie mogłem powstrzymać się od płaczu, sam na zalanym czerwoną poświatą tarasie, patrząc na obracające się w ruiny stare miasto, na wyniosłe wieże, które jeszcze wystawały z gruzów, poczerniałe lecz wciąż silne w swym nieszczęściu...
***
17 lutego 1945 roku miał być dniem decydującym.
Skoro Rosjanie dali nam ripostę w powietrzu z tak dziką gwałtownością, na ziemi nie mogliśmy tracić ani chwili czasu. Albo bezzwłocznie wykorzystamy nasz połowiczny sukces, albo będziemy musieli się wycofać.
Niemieckie czołgi, które ruszyły do ataku znad jeziora Miedwie również poczyniły postępy. Według planu ofensywy czołgi z północnego-zachodu już pierwszego wieczora miały połączyć się z czołgami nadciągającymi z południowego-wschodu. Dzięki temu wszystkie, siły rosyjskie, znajdujące się pomiędzy Iną i jeziorem Miedwie, zostałyby szybko okrążone i nie miałyby czasu na reakcję.
Jednak połowiczne zwycięstwo z poprzedniego dnia było w gruncie rzeczy porażką, ponieważ manewr okrążenia został ujawniony jeszcze przed zakończeniem. Nieprzyjaciel miał całą noc na ustawienie zapory w dwóch kierunkach. Opóźniony szturm będzie niewątpliwie trudniejszy.
Ale partia nie była jeszcze przegrana.
Wszystkie jednostki otrzymały rozkaz, by za wszelką cenę zamknąć kleszcze. Pojedynek osiągnął apogeum o bladym świcie.
Na polu bitwy płonęły dziesiątki czołgów. Stukasy nadlatywały wielkimi eskadrami i spadały tuż przed nami jak strzały z wysokiego nieba...

Mat

Normalnie, sowieckie oddziały, atakowane przez dwie potężne pięści pancerne, zachodzące je z tyłu, powinny były natychmiast wycofać się wraz ze sprzętem ze stargardzkiej kieszeni, którą prawie już domykaliśmy.
W przeddzień, korytarz wyjściowy Rosjan został zmniejszony o połowę. Nie był szerszy niż dwadzieścia kilometrów.
A i te dwadzieścia kilometrów zostałoby odcięte rankiem drugiego dnia ofensywy.
Przez całą noc nasze patrole nasłuchiwały odgłosów odwrotu wroga. Sądziliśmy, że sowieckie czołgi, które dojechały do Krussow, z pewnością wycofają się pod osłoną ciemności.
Rzeczywiście w nocy ruch był wzmożony.
Jednak hałasy, które słyszeliśmy wskazywały na zamiary całkowicie sprzeczne z naszymi przewidywaniami i pragnieniami. Ruch odbywał się z południa na wschód. Rosjanie umacniali się więc w „półkotle" zamiast się z niego wycofywać!
Na niemiecki atak na swe tyły Sowieci mieli zamiar odpowiedzieć atakiem na tyły Niemców. Tuż nad ranem przypuścili gwałtowne natarcie piętnaście kilometrów na tyłach niemieckich dywizji.
Najsilniejsze uderzenie zostało skierowane na nasz pechowy punkt oporu w Lindenbergu.
***
Było to zrozumiałe.
Ten, kto miał wzniesienia w Lindenbergu, trzymał pod kontrolą szlaki komunikacyjne w całej okolicy.
Czerwoni, kiedy zostali wyparci z tej góry, musieli pomyśleć, że niebawem posłuży za punkt wyjścia dla drugiego natarcia, którego celem będzie rozbicie kotła, gdy tylko zostanie zamknięty na południu.
Obydwaj przeciwnicy jakby z upodobaniem podejmowali najwyższe ryzyko: szturmujący, kierując wszystkie siły na kraniec południowy, obrońcy, umacniając się na wschodzie, wewnątrz kotła, który był już w trzech czwartych oblężony.
Ten manewr sowiecki nie mógł nie spodobać się niemieckiemu dowództwu, jeśli tylko było pewne swego zwycięstwa. Niemcy pragnęli ponad wszystko zniszczyć jak najwięcej sprzętu i oddziałów. O świcie sowiecka technika i wojsko nadal znajdowały się w „pół-kotle"! Było jeszcze w tak doskonałej kondycji, że ruszyło na nas z gromkim wrzaskiem.
Nie było mowy o ustąpieniu. Rosjanie, podobnie jak Niemcy, będą dawać z siebie wszystko przez cały dzień. Wygra ten, kto będzie mógł wysłać do walki ostatni czołg i ostatniego człowieka.

Niemieckie dowództwo w Stargardzie zdawało sobie doskonale sprawę, że los stu siedemdziesięciu żołnierzy znajdujących się na pozycji na wzniesieniu w Lindenbergu, będzie szczególnie okrutny. Nie było ani jednego czołgu, aby ich wesprzeć. Wszystkie czołgi, wszystkie armaty przeciwpancerne, cała artyleria znajdowała się na południu: sprowadzenie sprzętu do operacji defensywnych na skrzydłach oznaczałoby redukcję szans na zamknięcie kotła i przyjęcie zasad gry nieprzyjaciela.
17 lutego z broni ciężkiej dysponowałem zaledwie dwoma pociągami pancernymi Luftwaffe. Nie mogły przesunąć się bardziej na południe ponieważ linia kolejowa została przerwana, w związku z czym przekazano je królewskim gestem do mojej dyspozycji. Pomogły nam bardzo skutecznie, mimo że dosyć szybko zostały zauważone i obsypane gradem pocisków z „organów Stalina". Nie mogły jednak powstrzymać tego, co było nieuniknione.
Sowieckie czołgi napierały ze wszystkich stron na naszych towarzyszy.
Po kilku godzinach straciliśmy możliwości zaopatrywania ich w amunicję. Na flankach i na tyłach rozciągały się potężne grzęzawiska: wszystkie przejścia były zablokowane przez sowieckie czołgi „Iosif Stalin". Ranni z wcześniejszej potyczki zdołali z wielkim trudem i pod silnym ostrzałem przedrzeć się przez moczary.
Próbowaliśmy wysłać tam posiłki: zaledwie pół tuzina ludzi zdołało przedostać się przez zaporę ogniową Sowietów. Reszta zginęła lub została unieruchomiona na bagnach.
Porucznik Capelle potrafił zachować zimną krew nawet w najtrudniejszej sytuacji. Co kwadrans przesłał nam przez radio krótki raport o sytuacji. Rosyjskie czołgi zręcznie trzymały się poza zasięgiem panzerfaustów. Ostrzeliwały nasze pozycje metr po metrze. Mieliśmy bardzo wiele ofiar. Jednak nasi towarzysze nadal stawiali zacięty, heroiczny opór.
Capelle dostał rozkaz utrzymania się na wzniesieniu przez dwadzieścia cztery godziny, dwadzieścia cztery godziny, które miały zdecydować o sukcesie lub porażce głównej operacji.
Sowieckie czołgi wyrządzały tyle szkód, że grupy ochotników uzbrojonych w panzerfausty musiały wysunąć się poza gniazda strzelców i ruszyć, bez żadnej osłony, na ich spotkanie.
Jeden z naszych młodych oficerów dał całemu oddziałowi przykład niezwykłej odwagi: dwukrotnie ranny, wiedząc, że nie ma dla niego ratunku, wolał raczej poświęcić się niż czekać na śmierć. Ociekając krwią przeczołgał się w pobliże jednego ze „ Stalinów" i wystrzelił z pancerfausta. Pocisk jednak nie przebił pancerza czołgu. Jeden z czołgów natychmiast zastrzelił naszego bohatera.
Po zapadnięciu zmierzchu Capelle nadał utrzymywał pozycję. Zdołaliśmy zniszczyć dwa wrogie czołgi. Pozostałe jednak zrównały z ziemią lub zajęły wiele naszych stanowisk.
***
Na południu kleszcze nadal nie zostały domknięte!
Czołgi niemieckie zrobiły postępy, ale „Staliny" były praktycznie nie do pokonania.
Jeden z nich, szeroki jak baobab, przez godzinę barykadował wyjazd z wioski, która została zajęta po ciężkich walkach. Stał wewnątrz jednego z budynków i nikt nie był w stanie go stamtąd wykurzyć.
W końcu musiały interweniować Stukasy. Zbombardowały cały wyjazd z wioski. Wszyscy byli pewni, że tym razem problem Stalina został rozwiązany. Chmura dymu i kurzu opadła. I co ujrzeliśmy? Z osypujących się ruin wyłonił się wrogi czołg. Otrząsnął się z pyłu i w przybraniu z kawałków ścian i dachu ruszył na drogę! Zasypaliśmy go gradem pocisków. Nietknięty sunął dalej swą drogą, aż zniknął w zagajniku na południu.
W nocy mieliśmy jeszcze cztery kilometry do pokonania.
Zaledwie cztery kilometry!
Aż cztery kilometry...
Niemieckie czołgi ponawiały atak dziesięć, dwadzieścia razy, nadciągając raz ze wschodu, raz z zachodu. Czołgi sowieckie, sowieckie armaty przeciwpancerne, sowiecka piechota nie ustąpiły ani na krok i utrzymywały się w zwężeniu na zasadzie kontrparcia.
Musieliśmy zatrzymać się i kolejny raz przełożyć końcowy manewr na następny dzień.
Niemieckie czołgi nie połączyły się. 18 lutego minął na beznadziejnych wysiłkach.
Zamiast pokonać cztery ostatnie kilometry i w końcu zamknąć kocioł, niemieckie skrzydła utraciły o świcie część terenu.
Nieprzyjaciel miał czas, by sprowadzić posiłki. W czterdzieści osiem godzin pojawiła się potężna ilość sowieckich czołgów i armat przeciwpancernych: zupełnie przytłoczyły Niemców wyczerpanych kolejnymi próbami uderzeń i wyparła ich z wielu wiosek, zdobytych za tak wysoką cenę.

Nie tylko musieliśmy zrezygnować z wielkiego natarcia na Landsberg, również i pierwsza faza szturmu, zamknięcie kotła, nie powiodła się. Kleszcze rozwierały się. Operacja od tej chwili skazana była już na fiasko.
***
Nasi żołnierze, unieruchomieni na błotnistej ostrodze, dzielnie wypełniali rozkazy. Żaden z nich nie pozwoliłby, aby któregoś dnia ktoś powiedział, że nie dotarli do ostatecznej granicy poświęcenia i nie pozwolili niemieckim towarzyszom broni, walczącym zaciekle na południu, spróbować ostatniej szansy.
Ranni bili się jak wszyscy inni, woląc polec w walce niż zginąć od ciosu kolbą czy saperką.
Porucznikowi Capelle pozostało jeszcze siedemdziesięciu siedmiu ludzi. Wszyscy zginęli na stanowisku, pomiędzy wschodem słońca a trzecią po południu.
Capelle spokojnie zawiadamiał nas przez radio o ostatnich fazach agonii. Sowieckie czołgi były wszędzie. Ludzie, skupieni w małych grupkach, walczyli zażarcie do ostatniej chwili. W końcu pozostał już tylko punktu dowodzenia, jak wyspa otoczona ze wszystkich stron przez wrzeszczące hordy zabójców.
Kiedy skończyła się walka wręcz, Capelle, który mimo ciężkiej rany nadal strzelał z pistoletu, wyprostował się i stanął odważnie na wprost czerwonych, którzy biegli w jego kierunku. Kiedy byli półtora metra od niego, strzelił sobie w głowę.
Tylko czterech rannych, zanurzonych po szyję w błotnistej wodzie, widziało finał tragedii. W nocy przeczołgali się przez błota. Dwóch z nich zmarło z wyczerpania w bagnie. Dwóch pozostałych na wpół żywych odnalazł jeden z patroli.
Niezwykłe poświęcenie Walończyków z Lindenbergu wywołało wielkie emocje wśród żołnierzy niemieckich na Pomorzu. Wszystkie oddziały w całej armii zapoznały się z rozkazem dziennym, w którym sławiono ich bohaterski czyn. Wspomniano o nich również w komunikacie kwatery Naczelnego Dowództwa.
Capelle został przedstawiony pośmiertnie do Krzyża Rycerskiego.
Skromnie, bez rozgłosu, dokładnie jak sześciuset Franchimontczyków z historii Belgii, dali się porąbać dla zaszczytu bycia posłusznym i wiernym do końca.
***
Porażka na południu była nieunikniona. Ostatnia niemiecka próba odbudowania frontu wschodniego zakończyła się klęską.
Mogliśmy tylko mieć nadzieję, że straty w sprzęcie opóźnią szturm wroga na Stargard.
Nadzieja ta jednak okazała się zwodnicza. Zniszczone sowieckie czołgi zostały zastąpione przez nowe, liczniejsze. Szybko ruszyły w kierunku naszych błotnistych pozycji.
Natomiast niemieckie dywizje pancerne wycofały się tak szybko, jak przybyły. Kiedy plan szturmu w kierunku Landenbergu został porzucony, następnej nocy wozy pancerne i ciężarówki zniknęły. Potrzebowano ich w Kostrzyniu. Pozostawiły po sobie głębokie koleiny, puste stanowiska artyleryjskie i zagrożenie od południa.
Niemiecki komunikat zaledwie wspomniał o nieudanej ofensywie, z którą wiązano ostatnie nadzieje na froncie wschodnim. Przedstawiono ją dosyć ogólnikowo w kilku linijkach, jako lokalny kontratak.
Wróciliśmy do naszych starych okopów. Za naszymi plecami rozciągał się zniszczony, spalony Stargard, wyglądający jak posępny, zrujnowany cmentarz.

Potop

Niemiecka ofensywa z 16 lutego 1945 roku w kierunku Landsbergu, pochód czołgów, ciężarówek, dział, który oglądaliśmy przez cztery dni, zakończyła się zdobyciem jedynie skromnej wioski Brallentin i kilku pomniejszych osad.
Pod względem materiałowym, wojny nie dało się już kontynuować.
Na zachodzie wielka ofensywa Ardeny-Alzacja nie powiodła się. Nie przewidywano już podjęcia jakiekolwiek innej próby odzyskania pozycji na froncie zachodnim.
Na wschodzie kontrofensywa zainicjowana przez Himmlera, zakończyła się podobną porażką. Zdobyliśmy ostateczny dowód, że wszelkie próby odcięcia sił sowieckich są daremne.
Rosjanie byli dziesięć razy silniejsi od nas pod względem liczebności, przede wszystkim sprzętu.
Od tej pory — chyba że w ostatniej minucie Niemcy użyliby niezwykłej, wręcz cudownej broni — zwycięstwo należało do Sowietów, Anglików i Amerykanów.
Rzesza znajdowała się w bardzo trudnym położeniu. Zachód był ogołocony z wojska. Wschód całkowicie zniszczony. Kilka dywizji pancernych znajdujących się pomiędzy Szczecinem a

Kostrzyniem oraz między Kostrzyniem a Dreznem grało jeszcze o najwyższą stawkę,. Poza nimi front składał się już tylko z wykrwawionych oddziałów, spychanych każdego dnia coraz dalej, które nie miały ani czołgów, ani amunicji.
Rozkaz, który otrzymałem telegraficznie, surowo zabraniał, podobnie jak wszystkim dowódcom dywizji z frontu pomorskiego, zużywać więcej niż sześć, dziesięć pocisków dziennie, według kalibru działa!
Rosjanie szturmowali, a nasze działa strzelały kilka minut, by zamilknąć do następnego dnia.
Oddziały, zdziesiątkowane ostrzałem z broni maszynowej, musiały stawić czoło prawie nietkniętym jednostkom wroga, które miały pięć, dziesięć, dwadzieścia razy więcej czołgów od nas.
Na każdym odcinku sceny walki rozgrywały się w podobnych warunkach: kilkuset ludzi, pozbawionych wszystkiego, wycieńczonych wysiłkiem fizycznym, błotem, tysiącami pocisków, musiało stawić czoło lawinie żołnierzy siedzących na niezliczonych czołgach, które zalewały, niszczyły, miażdżyły wszystko, co napotkały na swej drodze.
***
Po niepowodzeniu ostatniej ofensywy staliśmy się bardziej osamotnieni niż kiedykolwiek.
Nasz odcinek miał kształt długiej rybiej ości. Koniec znajdował się w Stargardzie, przód w wioskach Kremzow i Repplin na południu. Flanka lewa (wschodnia) była ograniczona głównym nurtem Iny i główną drogą ze Stargardu do Schonebergu. Flanka prawa (zachodnia) była odgrodzona Iną leniwą, wioską Strebelow (Strzebielewo) i osadą o nazwie Collin (Kolin).
Te dwie ostatnie miejscowości były nieustannie ostrzeliwane, od kiedy wzniesienia w Lindenbergu wpadły w ręce Sowietów. Dachy domów pozapadały się, ostatnie zwierzęta zdychały w oborach.
Droga łącząca wioski była praktycznie nieprzejezdna. Zalewał ją deszcz granatów. Aby się przebić, musieliśmy rozpędzić nasze Volkswageny do szalonej prędkości i przedzierać się przez kurtynę pocisków.
Rosjanie byli coraz mocniejsi. Widzieliśmy to. Czuliśmy to. Ale nie wiedzieliśmy nic pewnego. Od ośmiu dni nie zdobyliśmy ani jednego jeńca. Czerwoni, podnieceni sukcesami, wspierani przez kolumny czołgów stali się nieuchwytni.
W ostatnich tygodniach wojny na wschodzie w roku 1945 trzeba było stracić więcej żołnierzy, by pojmać jednego Sowieta, niż w roku 1941, by zająć jedną prowincję ZSRR.
Jednakże dowództwo koniecznie potrzebowało jakiegoś pucołowatego Mongoła czy rudawego Kałmuka, czy też łagiernika z Syberii.
W związku z tym dostawaliśmy rozkaz z dowództwa korpusu, by przygotować zakrojoną na szeroką skalę akcję, w której miało wziąć udział dwustu żołnierzy, a której jedynym celem miało być pojmanie pod osłoną ciemności przynajmniej jednego Rosjanina.
Polem naszej akcji miał być spory folwark o nazwie Carlsburg, położony na zachód od Strebelowa — rozległy czworobok z cegły z długimi stajniami i pomieszczeniami mieszkalnymi, zajmowanymi przez dużą grupę bolszewików.
Mieliśmy zajść wroga od tyłu, wyprzeć go w walce wręcz, stracić dziesięciu, dwudziestu ludzi, jeśli będzie trzeba, tylko po to, by zdobyć jednego, góra dwóch tępych, zarośniętych jeńców, śmierdzących jak skunksy, którzy będą mogli wyjawić sztabowi, co też szykują Rosjanie.
***
Operacja rozpoczęła się wieczorem, o godzinie dziewiątej.
Część naszych oddziałów z Collina ruszyła w drogę tuż po zapadnięciu zmroku. Przeczołgały się przez mokradła. Miały niepostrzeżenie zajść Carslburg od zachodu, czyli pojawić się na tyłach wroga. Wtedy reszta oddziałów, biorących udział w ataku, miała wykonać podobny manewr od północy.
Najpierw jednak dwudziestomilimetrowe działka przeciwlotnicze miały ostrzelać folwark, by wzniecić pożary i zasiać panikę wśród wojsk nieprzyjaciela. Dziesięć minut przed godziną dziewiątą jedna z naszych kompanii, znajdująca się przed Krussow (Kurczewo?), miała rozpocząć akcję dywersyjną.
W takich niewykonalnych zadaniach Walończycy nie mieli sobie równych na całym froncie wschodnim. Rzucali się na wroga jak dzikie koty. A zwycięstwo było pewne jak dwa razy dwa cztery.
O dwudziestej czterdzieści pięć działka otworzyły ogień na Carlsburg. Stodoła stanęła w ogniu. Tego wieczora wiał bardzo silny wiatr. Strychy, gdzie znajdowały się olbrzymie ilości wełny, rozjarzyły się niezwykłym czerwonym światłem. W oborach spłonęło żywcem sześćset owiec. Wichura podnosiła wysoko w niebo miliony złotych iskierek.
Wtedy nasi ludzie ruszyli do ataku z północy i z zachodu, aby zepchnąć wroga w kierunku naszych linii. Ten jednak bronił się zażarcie pomiędzy płonącymi ruinami. Wszędzie wokół

budynków widać było jasne, przerywane strumienie ognia z pistoletów maszynowych. Na tle pożaru widać było biegające, skaczące i padające na ziemię ciemne sylwetki, przypominające chińskie cienie.
O dziewiątej czterdzieści pięć na niebie pojawiła się zielona raca, informująca, że zdobyto jeńców i że nasi ludzie wracają prosto na swe pozycje.
Ponieśliśmy stosunkowo duże straty. A przecież mogliśmy nic nie zdobyć, a nasz szturm mógł rozbić się o stanowiska wroga. Jedynie niezwykła odwaga naszych ludzi, ich niezłomny zapał pozwoliły wykonać zadanie. A także pewne zabawne zdarzenie: pomimo pożaru, huku dział przeciwlotniczych, strzelaniny, w okopach przed folwarkiem dwóch Azjatów spało niewzruszenie, kamiennym snem do samego końca potyczki. Musieliśmy tylko ich obudzić i zaciągnąć na nasze pozycje.
Carlsburg rozświetlał przez całą noc horyzont, omiatany wichurą.
***
Zaprowadziłem do generała grupkę rosyjskich żołnierzy o ogorzałych twarzach, którzy tak bardzo byli mu potrzebni.
Przesłuchania przyniosły ostateczne odpowiedzi.
Ujawniły niemieckiemu dowództwu, że szturm na Stargard był już przygotowany i że uderzenie będzie skierowane głównie na wschód od Iny.
Rzeczywiście już następnego dnia Rosjanie pojawili się w Brallentinie i Repplinie, bronionych przez niemieckie i holenderskie oddziały Waffen SS. Przeszli przez główną Inę i zbliżyli się do Schonebergu (Suchań?), mniej więcej dwadzieścia kilometrów na południowy wschód od Stargardu.
Jak front, pozbawiony jakiejkolwiek ciężkiej broni, mógł stawić im opór? Schoneberg padł. Kilka niemieckich czołgów, zagubionych w szerokim na trzydzieści kilometrów wyłomie, na próżno usiłowało powstrzymać napierającą falę. Słaby opór został szybko przełamany. Wrogie czołgi przedarły się do sojuszniczego sektora, na wschód od naszych pozycji i runęły jak samochody wyścigowe główną drogą Schóneberg-Stargard.
Oddzielała nas od nich jedynie Ina główna i łagodne zbocze. Widzieliśmy, jak wielkie ziemiste czołgi wroga zbliżają się i w końcu docierają na wysokość naszego punktu dowodzenia.
Już od drugiego dnia, walki toczyły się za naszymi plecami. Musieliśmy dokonać zwrotu w kierunku północno-wschodnim, by dalej śledzić postępy rosyjskich czołgów.
Nasze umocnienia w Collinie, na południowo-zachodnim krańcu osady, stawiły opór nawałnicy. Wioska przypominała rumowisko, opustoszałe ulice zasłane gruzami roztaczały woń klęski i śmierci. Ale nasi ludzie nie dali się wyprzeć ze zburzonych domów i gniazd strzelców.
Trudno już jednak było liczyć na poprawę sytuacji. Otrzymaliśmy rozkaz opuszczenia Collina i Strebelowa i przesunięcia oddziałów z tych wiosek do Krem-zowa, na przyczółek, który stanowił osłonę drugiej drogi ze Stargardu.
***
Powierzyłem obronę tej pozycji jednemu z naszych najpopularniejszych weteranów z Zagłębia Donieckiego i Kaukazu, majorowi Julesowi Mathieu. Wraz ze swym pułkiem mężnie stawiał zacięty opór napierającym ze wszystkich stron siłom sowieckim.
Rosjanie chcieli obejść Kremzow przez pola od zachodu. W pośpiechu wykopaliśmy tam umocnienia. Nie miały żadnej osłony. Dziesięć razy zostały zdobyte, zniszczone, poćwiartowane, ale również dziesięć razy odbiliśmy je w walce wręcz. Wszędzie w błocie leżały zdeformowane, oblepione ziemią ciała, ciężkie jak ołów.
Tylko czołgi mogły nas uratować.
Uzyskałem w końcu obietnicę z korpusu, że cztery niemieckie czołgi — cztery! — przybędą nam z pomocą.
Wcześniej jednak musieliśmy zgromadzić dla nich całe paliwo, jakim dysponowaliśmy. Ledwie czołgi zajęły pozycje w Kremzowie, kiedy odebrano nam dwa z nich.
Dwa pozostałe miały zaledwie po cztery pociski!
Zresztą nie miały okazji ich wykorzystać, ponieważ niebawem odwołano je z całym zapasem amunicji, pozostawiając nas samych sobie.
Zostały wycofane, ponieważ na drodze do Schónebergu wyłom poszerzał się z godziny na godzinę. Wszystko stało otworem. Z naszego stanowiska dowodzenia widzieliśmy najmniejszy szczegół rozgrywającego się spektaklu. Rosyjskie czołgi sunęły wzdłuż domów i cmentarza.
Kiedy znalazły się wiele kilometrów za naszym frontem, otrzymaliśmy rozkaz opuszczenia Kremzow i zajęcia pozycji w linii. Utworzona zapora miała czysto iluzoryczny charakter, ponieważ na naszych tyłach nie tylko grzmiały sowieckie czołgi, lecz także rozlegały się trzaski serii z broni

maszynowej. Piechota, która towarzyszyła nieprzyjacielskim czołgom, przekroczyła w nocy Inę główną.
Nie było wątpliwości, że w krótkim czasie kleszcze wokół nas zamkną się.
Stargard w rękach Sowietów
W sobotę 3 marca 1945 roku Stargard padł.
Pomiędzy starym pomorskim miastem, a naszą prowizoryczną linią znajdowała się tylko wielka wioska Vittichow (Witkowo) i skrzyżowanie dróg w Klutzow (Kluczewo), przy którym wznosiła się cukrownia.
Piętnaście dni wcześniej dziedzińce i hale tej fabryki roiły się od niemieckich czołgów, które przybyły, by wziąć udział w ofensywie. Obecnie wszędzie panowała pustka, którą mącił jedynie hałas silnika mojego małego Volkswagena, kiedy jechałem w jedną albo drugą stronę, w zależności od rozwoju sytuacji.
Rano rosyjskie czołgi ruszyły w kierunku południowo-wschodnich przedmieść Stargardu. Sowiecka piechota po raz drugi przekroczyła Inę niedaleko miasta i odcięła za naszymi plecami piaszczystą drogę do Vittichow.
Rzuciłem tam natychmiast jedną z kompanii. Za późno. Droga była już stracona. Setki kul gwizdały wokół nas. Jedna z nich przebiła kołnierz mojej kurtki i drasnęła mnie w kark. Wszędzie toczyły się zacięte walki.
Nasi ludzie, śmiertelnie wyczerpani wysiłkiem i ciągłym napięciem, mieli pomarszczone, oliwkowozielone twarze. Ostrzeliwali wroga z broni maszynowej wsparci o lepki, kamienisty nasyp, lub ukryci w kopcach żółtych i szarych buraków o mdlącym odorze.
Rosjanie wyłaniali się setkami z bagien, niczym chmary skrzeczących brunatno-fioletowych płazów.
Duszą oporu w Vittichow był młody oficer z belgijskiej armii, major Hellebaut, wówczas już szef sztabu naszej dywizji, dzielny żołnierz i nieuleczalny idealista.
Syn i wnuk dwóch generałów belgijskich — obydwaj byli ministrami wojny — nosił na niemieckim mundurze, obok Krzyża Żelaznego pierwszej klasy, Military Cross, który zdobył nad Izerą w 1918 roku.
Pobudzani jego brawurą, żołnierze broniący się na południe od Vittichow nie stchórzyli, mimo że cały czas znajdowali się zaledwie osiem kilometrów od murów Stargardu, który od późnego ranka był ostrzeliwany przez czołgi wroga.
Pozostali jako ostatni na odcinku południowym i południowo-wschodnim, umocnili się na pozycjach i dzielnie odpierali ataki ze wschodu i z południowego-zachodu.
Kompanie, jedna po drugiej, ze stoickim spokojem dawały się wyrzynać do nogi. W błocie konał, z brzuchem rozpłatanym przez odłamek granatu, filar Młodzieżówki reksistowskiej, podporucznik Paul Mezetta, niezwykle utalentowany człowiek, poeta, zapaleniec, entuzjasta, który pomimo strasznych ran odniesionych na Kaukazie pragnął za wszelką cenę wrócić do walki.
Z batalionu Derricksa pozostało wszystkiego zaledwie stu ludzi. Klęli, posyłali serie z broni maszynowej, kontratakowali, ścierali się w zakrwawionym błocie z Kirgizami i Mongołami. Nic jednak nie było w stanie ich złamać.
***
Po odgłosach pancernej potyczki zorientowaliśmy się, że Rosjanie powinni już walczyć u bram Stargardu.
Nasza sytuacja była nieprawdopodobna. Znajdowaliśmy się na odizolowanej, wysuniętej na południe pozycji, cały czas groziło nam, że zostaniemy całkowicie odcięci, a od dwunastej nie otrzymaliśmy z punktu dowodzenia dywizji ani jednej wskazówki, ani jednego rozkazu.
Nadeszła godzina piąta. Jeszcze chwila i wpadniemy w ręce Rosjan. Uważałem za niesłychane, że porzucono nas na pastwę losu. Wskoczyłem do mojego Volkswagena i ruszyłem do generała.
Ani przez chwilę nie pomyślałem, że wszystko może być już skończone. Wjechałem do Stargardu. Zdążyłem tylko gwałtownie skręcić kierownicą i zjechać gdzieś na bok: ulicami sunęły rosyjskie czołgi. Stosy martwych, rozstrzelanych seriami z broni maszynowej, kobiet leżały pośród rozrzuconych walizek, niedaleko mostu dworcowego. Na północny zachód od miasta sowieckie czołgi stały ustawione w szyku bojowym po obu stronach drogi do Szczecina.
Kilka kilometrów dalej, w dowództwie korpusu dowiedziałem się, że sztab ze Stargardu, któremu podlegaliśmy, zalała po południu fala nieprzyjacielskich wojsk: generał zapadł się pod ziemię. Nieco później korpus wysłał do nas rozkaz odwrotu. Motocyklista jednak musiał zostać porwany gdzieś po drodze.
Ruszyłem pędem przez pola w kierunku Vittichow. Miałem szczęście, bo natknąłem się na jedną z naszych linii telefonicznych. Podłączyłem przenośną radiostację i dzięki temu zdążyłem na czas

zarządzić odwrót mych ludzi. Ci, by umknąć z zaciskających się kleszczy wroga, mieli przechodząc z południowego-zachodu wykonać szeroki manewr okrążający od zachodu i północnego-zachodu, wzdłuż jeziora Miedwie. Stamtąd mieli ruszyć w kierunku Stargardu i zająć pozycje na północny-wschód od miasta.
Wyczerpani dziesięcioma dobami walki biedacy mieli pokonać jeszcze dwadzieścia pięć kilometrów w nocy, w lepkim błocie lub kurzawie, w nieustannym zagrożeniu, że zostaną odcięci lub złapani przez polujących na nich wrogów.
***
Nie brakowało zabawnych zdarzeń.
Jeden z naszych plutonów, który dreptał do samej nocy piaszczystą drogę z Vittichowa, niezbyt dobrze zrozumiał ustny rozkaz, albo nie zdawał sobie sprawy z wagi sytuacji. Chcąc skrócić drogę skierował się prosto w stronę Stargardu, dokładnie tak, jak ja po południu. Wszedł spokojnie w dwuszeregu, z bronią na ramieniu, do miasta, które od wielu godzin znajdowało się w rękach Sowietów.
Noc była pochmurna, wilgotna. Czerwoni stali na straży nad mostem kolejowym. Wzięli naszych ludzi za jeden z oddziałów sowieckich. Nasi natomiast uznali ich za Niemców. Bez żadnych przeszkód przeszli przez całe miasto i wyszli na jego południowo-zachodnim krańcu. Wtedy ujrzeli przed sobą linię ognia z dysz sowieckich czołgów. Ominęli je więc, przedzierając się przez czarne błotniste pola.
***
Kiedy dotarłem do naszego nowego miejsca postoju o dziewiątej wieczorem, zastałem tam jeden wielki bałagan.
Dwa bataliony robotników organizacji Todta, które przysłano, by zbudowały nową linię, wycofywały się w szalonym pośpiechu: „Rosjanie tu są! Rosjanie tu są!" wydzierali się kopacze.
Niemiecki czołg nadjeżdżający ze wschodu wzięto za czołg sowiecki. Stał się celem zmasowanego ostrzału.
Bardzo trudno było zdobyć jakiekolwiek informacje. Rosjanie rzeczywiście powinni byli już dawno minąć północno-wschodni kraniec Stargardu.
Miałem ze sobą zaledwie dwóch ludzi plus jednego łącznika na motorze. Urządziłem punkt dowodzenia według rozkazów, jakie otrzymałem i ustawiłem mojego motocyklistę na straży trzy kilometry przed wioską, na opustoszałej drodze, tak by mógł, leżąc na ziemi, powiadomić mnie o zbliżających się ewentualnie czołgach wroga.
O świcie droga nadal była pusta.
Z zachodu nadciągali grupkami nasi ludzie, ubłoceni po uszy, kiwając się jak metronomy. Nic nie wiedzieli, niczego nie rozumieli.
Korpus zażądał, bym natychmiast obsadził nimi pozycje.
Równie dobrze mógłbym na szczycie wzniesienia ustawić w szeregu kamienie.
Ci żołnierze nie byli w stanie walczyć ani chwili dłużej. Umieściłem ich w opustoszałych gospodarstwach: „Jedzcie, pijcie, śpijcie, nie martwcie się!" Rychło cały legion chrapał jak eskadra Junkersów. Symbolicznie ustawiłem na warcie, twarzą na południowy wschód, kilku podoficerów. Wróg także musiał być wykończony, bo do samej nocy nic się nie działo.
Nazajutrz o ósmej rano posłałem mych ludzi, którzy już nieco odzyskali siły, na stanowiska obserwacyjne. Nie mieli czasu, by się nudzić. Fala piętnastu czołgów sowieckich, potem kolejna — dwudziestu jeden, runęła na nas jak huragan.

Ścigani przez czołgi

5 marca 1945 roku wciąż znajdowaliśmy się nad Iną.
Jednak zamiast na południe od Stargardu, na błotnistym ugorze, który oddzielał dwie odnogi rzeki, zostaliśmy umieszczeni na stanowiskach na północ od straconego miasta, po obu brzegach Iny głównej.
Wróciło chłodne słońce.
Dwie wioski, Lubow (Łubowo) i Saarów (Żarowo), stały na wprost siebie po przeciwnych stronach rzeki. Brzeg lewy, częściowo zalesiony, dominował nad rzeką. Brzeg prawy był nagi: monotonię brunatnych, lekko pofalowanych terenów burzył jedynie nasyp linii kolejowej, biegnącej za domami Lubow.
Pierwsza fala sowieckich czołgów wyłoniła się na progu tejże wsi.

Sprawdzałem właśnie pozycje w Saarów, kiedy wybuchała wrzawa. Mieliśmy na każdym z brzegów zaledwie po jednym szczątkowym batalionie. W naszym sektorze nie było ani jednego niemieckiego czołgu.
Piętnaście wielkich czołgów wroga ruszyło natychmiast przez Lubow. Nasi ludzie bronili każdego domu. Sto metrów od nich, po drugiej stronie wody, kazałem użyć wszystkich granatników, jakie mieliśmy w Saarów, aby powstrzymać sowiecka piechotę, która szła za czołgami.
Po półgodzinie nasi żołnierze zostali wyparci z wioski na pola: widzieliśmy jak próbowali dobiec do nasypu kolejowego, by tam zorganizować nową linię obrony. Jednak pociski czołgowe rozrywały ziemię wokół nich. Za każdym razem dwóch, trzech ludzi już się nie podnosiło. Leżeli jak zielone plamy na zrudziałej ziemi.
Pozostali Walończycy, zagonieni nad brzeg rzeki mieli tylko jedno wyjście: przeprawić się przez wodę w baliach do prania. Ta naprędce zaimprowizowana flotylla zdołała dobić do naszego brzegu.
***
Dwadzieścia jeden kolejnych sowieckich czołgów pojawiło się tym razem u wejścia do Saarów. Zdążyliśmy tylko zobaczyć, jak walą się ściany wokół nas: potwory były już w samym środku wioski!
Jeden z naszych ludzi, ukryty za skrzydłami potężnych wrót kościelnych, uratował na kilka minut sytuację wysadzając w powietrze panzerfaustem jedną z pierwszych maszyn.
Nie mogliśmy nic zrobić. Tylko ci, którzy przeżyli sami te straszne tygodnie końca wojny na wschodzie, mogą wyobrazić sobie masakrę, jaka nastąpiła w wiosce Saarów. Nie mieliśmy żadnego sprzętu pancernego. Nasz korpus, III Korpus Pancerny, słynący niegdyś z setek czołgów, zachował ich nie więcej niż trzydzieści, by w końcu pozostać z tuzinem. Te kilka czołgów musiało osłaniać dzień i noc przeszło siedemdziesięciokilometrowy odcinek!
Natomiast Rosjan, tylko na froncie pomorskim, poprzedzały cztery tysiące czołgów! W tamten poniedziałek nasze dwie wioski zaatakowało ich trzydzieści sześć! A żeby je powstrzymać, nie mieliśmy nic! Nic, tylko panzerfausty i własne piersi!
Walka przy użyciu panzerfaustów wyglądała dobrze w kinie.
W rzeczywistości trafienia były bardzo rzadkie. Trzeba było poczekać, aż czołg zbliży się na odległość strzału, zanim nacisnęło się spust.
Jeśli czołg był tylko jeden i pocisk jakimś cudem trafił go w newralgiczny punkt, było świetnie. Najczęściej jednak czołgi nie wylatywały w powietrze.
A na dodatek prawie zawsze nadciągały falami i wcześniej wymiatały teren. Płomień, długi na pięć metrów, zdradzał pozycję strzelca. I nawet jeśli rozwalił jeden czołg, inny rozszarpywał go pół minuty później na kawałki serią z karabinu maszynowego.
Każda jednostka miała swych wspaniałych bohaterów, którzy do ostatniego dnia rozbijali panzerfaustami sowieckie czołgi. Nie było innego wyjścia, skoro nie mieliśmy innej broni. Jednak ludzie, którzy stawali do takiego pojedynku byli prawie pewni, że go nie przeżyją.
***
Rozkazy były drakońskie, nie brały pod uwagę żadnych względów emocjonalnych, psychologicznych czy politycznych. Liczył się tylko jeden bezwzględny fakt: trzeba stawić opór.
Nie mogliśmy ustąpić. Nawet gdy wróg nacierał na nas ze wszystkich stron, musieliśmy przede wszystkim utrzymać pole, wczepić się w pozycje, dać się zmasakrować. Generał, który ustąpił terenu, mógł zostać aresztowany albo nawet stracony. W ciągu miesiąca walk na Pomorzu osiemnaście razy zmienialiśmy dowódcę!
Dowódcy armii, korpusów, dywizji ulatywali jak piłki tenisowe. W końcu pogubiliśmy się w tym wszystkim i nie wiedzieliśmy już komu podlegamy. Ale każdy generał czując nietrwały charakter swego stanowiska wysyłał do nas kategoryczne rozkazy, bez względu na to czy były wykonalne, czy nie.
Mój batalion z Lubow, który stracił już przeszło połowę ludzi, został unieruchomiony na prawym brzegu Iny pod ostrzałem sowieckich czołgów. Wycofując się z Saarów dysponowałem zaledwie grupą dwustu pięćdziesięciu ludzi. Nie posiadałem ani jednego czołgu, który mógłby wesprzeć nasz opór.
Mój punkt dowodzenia znajdował się w wiosce położnej na południowy zachód od dwóch zaatakowanych miejscowości. Absolutnie nie byłem w stanie bronić jej z tą garstką żołnierzy, która mi pozostała.
Zażądano jednak, byśmy jej bronili.
Na polach leżeli nasi ranni. Z bólem i przerażeniem patrzyliśmy jak ich mordowano: sowieccy piechurzy maszerujący pomiędzy czołgami rozbijali saperkami głowy naszych nieszczęsnych

towarzyszy. Jeden z nich próbował machać nad głową białą chusteczką — nadaremnie, podobnie jak inni skończył z twarzą zmasakrowana przez oprawców.
W naszym sektorze znajdowało się jeszcze kilka niemieckich dział. Ustawiłem je na pozycjach u wejścia do wioski i, jak to miałem w zwyczaju, kazałem działowym wyczekać do ostatniej chwili i otworzyć ogień dopiero, kiedy wrogie czołgi zbliżą się na bliską odległość.
Przywitane nawałnicą pocisków rosyjskie czołgi pospiesznie ukryły się w lesie dębowym, zadowalając się jedynie ostrzelaniem miejscowości. Domy za plecami moich oficerów ze sztabu i telegrafistów zamieniły się gruzy.
Przy południowo-wschodnim wejściu do wioski moi ludzie ustawili prowizoryczną zaporę. Zachowali niezwykle wysokie morale, mimo sytuacji w jakiej się znaleźli. Nieustannie żartowali, przechwalali się swą odwagą, tym chętniej, że posyłałem do nich wszystkich maruderów z okolicy, bez względu na ich narodowość. Przyjmowali ich do swego grona, dzielili się nimi.
Regularnie informowałem o rozwoju sytuacji nowy sztab, pod który właśnie zostaliśmy podłączeni, z pewnością na kilka godzin. Sztab chował zazdrośnie dwanaście pojazdów opancerzonych przeniesionych do sektorów południowo-wschodniego i wschodniego. Wynagrodzono mi to, zapewniając kategorycznie i zdecydowanie przez telefon kompanii, że przed nami nie ma już żadnych sowieckich czołgów! Krótko mówiąc sytuacja była wprost niebiańska.
Jednak słuchając tych kategorycznych zapewnień widziałem jednocześnie na własne oczy rannych, rozrywanych na strzępy przez pocisku czołgowe. Rzucali się na ziemię, usiłowali pełzać. Pociski jednak nikomu nie darowały.
Skoro wróg mógł marnować tyle amunicji na te okrutne gry, co będzie później?
***
Wysłałem do tegoż sztabu jednego z moich młodych adiutantów, inwalidę, bardzo bystrego porucznika Tony'ego Gomberta. Teoretycznie miał służyć jako łącznik, w rzeczywistości jednak jego rola polegała przede wszystkim na nadstawianiu ucha i wytężaniu wzroku.
Kiedy przez telefon chłodnym tonem informowano mnie, że możemy być zupełnie spokojni na naszej kurzej grzędzie, niemieckie samoloty zwiadowcze powiadomiły sztab, że kolumna czterdziestu jeden czołgów sunie prosto na nas!
Czterdzieści jeden! Nasz oficer wskoczył na motor i ruszył pędem, by mnie o tym zawiadomić. My jednak już walczyliśmy w ruinach zburzonych domów. Nieprzyjacielskie czołgi okrążały nas ze wszystkich stron. Jeden z moich patroli próbował nawiązać łączność z prawym skrzydłem, ale nikogo tam nie znalazł. Nasi sąsiedzi ulotnili się. Rosjanie wtargnęli przez wyrwę do lasu na południowym-zachodzie. Na wschodzie nasze lewe skrzydło również było kompletnie przygniecione przez sowiecką piechotę, która pod wieczór przekroczyła Inę dosyć daleko za naszą linią.
W takim właśnie położeniu przyjęliśmy warczącą masę czterdziestu jeden czołgów. Te w dziesięć minut przerwały w dwudziestu miejscach naszą pozycję. Rozrzuceni na różne strony nasi ludzie wystrzeliwali ostatnie pociski z panzerfaustów, próbując pod ostrzałem z broni maszynowej dotrzeć do zachodniej strony lasu.
Rosjanie wdarli się na ulice wioski. Przez telefon sztab powtarzał mi nieprzerwanie: „Jest Pan odpowiedzialny za wioskę. Musicie wytrwać!".
Zapadł zmierzch. Staliśmy się świadkami zaskakującego widowiska: sowieckie czołgi zapaliły reflektory, jak przed wojną samochody na autostradach. Ruszyły prosto w stronę lasu, gdzie kilka godzin wcześniej wycofała się niemiecka artyleria.
Po wkroczeniu Rosjan, we wsi zapanowało prawdziwe piekło. Zajęli wszystkie gospodarstwa. Nas było już tylko piętnastu. Ukryliśmy się przy północnym wyjściu z wioski, na skraju lasu. Zdołałem przeciągnąć aż do tego miejsca mój cudowny telefon, nadal nietknięty.
Zadzwoniłem przekrzykując wrzawę: „Sowiecka piechota nadciąga ze wszystkich stron. Front został przełamany. Wierzcie lub nie, ale tutaj jest czterdzieści czołgów. Zostało tylko jedno działo, by zagrodzić wejście do lasu. Rosyjskie czołgi wjadą tam, kiedy tylko zechcą. Czy zdajecie sobie z tego sprawę?..."
W odpowiedzi usłyszałem tylko: „Utrzymajcie się!".
Utrzymać się! I powstrzymać gołymi rękami czterdzieści jeden ciężkich czołgów.
***
O ósmej wieczorem było nas jeszcze czterech. Mój aparat telefoniczny też już poległ. Wszelka łączność została definitywnie zerwana.
Kilka czołgów jechało prosto na nas, by przekroczyć pierwszą przeszkodę na drodze do lasu. Poświęciliśmy ostatni pocisk z panzerfausta, jaki nam został.

Kosztowało nas to chwilę później pocisk czołgowy w sam środek naszej pozycji. Zabił jednego z trzech moich ludzi, a drugiego ranił.
Musiałem wszelkimi sposobami spróbować przegrupować moich żołnierzy ściganych pod sosnami. Mój szofer przeciągnął rannego i trupa do Volkswagena, ukrytego w zagajniku. Dołączyłem do nich nie przestając strzelać. Przez trzeszczący las dotarliśmy do wioski oddalonej o pięć kilometrów na północny zachód, zajmującej rozległą polanę.
Ciągnęła się na długości jednego, dwóch kilometrów. Była zapełniona polowym sprzętem sanitarnym, sztabowcami z rozbitych lub rozproszonych jednostek. Wszyscy wyglądali jakby absolutnie o niczym nie wiedzieli.
We wszystkich gospodarstwach spożywano właśnie z apetytem posiłek. Gorąca zupa dymiła na stołach. Miałem jeszcze nadzieję, że sowieckie czołgi nie ruszą przez ten rozległy, nieznany las w środku nocy. Na dworze grubymi płatkami zaczął padać śnieg. Co się stało z moimi żołnierzami? Jak, rozproszeni po lesie, zdołają umknąć tej nagonce? Czy na czas dotrą na drugą stronę lasu, do wioski Augustenwalde, gdzie zgodnie z moim rozkazem oficerowie mieli przegrupować ludzi, gdybyśmy w ciemnościach zostali rozdzieleni przez czołgi. Wyobrażałem sobie, jak przy pomocy kompasu szukają drogi przez ten długi na kilkadziesiąt kilometrów, zdradziecki świerkowy labirynt.
A potem znów zobaczyłem te same czołgi z potężnymi reflektorami.
Gdzie oni się podziewali?

Augustenwalde

Była godzina jedenasta wieczorem. Bitwie towarzyszył potworny hałas.
Nie była to jednak nasza pierwsza niespokojna noc. Chcieliśmy odpocząć kilka godzin, zanim o świcie ruszymy do Augustenwalde, a następnie do Altdam, gdzie, według rozkazów, które właśnie otrzymałem z korpusu, mieliśmy spotkać się z resztkami naszej dywizji.
Padał coraz gęstszy śnieg.
Szofer kilka razy wchodził do chaty, by zawiadomić nas, że o ściany stukają kule.
Niech sobie stukają, skoro sprawia im to przyjemność.
Nagle w pobliżu naszego domu rozległ się straszny huk. Ach! Doskonale znaliśmy to dramatyczne wycie.
Tylko czołgi mogły wydawać z siebie takie krótkie i ochrypłe ryki. Skoczyłem do drzwi. U wejścia do wioski widać było pierwsze wystrzały, przypominające długie różowe języki. Czołgi zdążyły już pokonać pięć kilometrów lasu!
Widzieliśmy, jak nad ośnieżonym horyzontem wznoszą się bukiety nocnych kwiatów z całej płonącej okolicy. Setki ciężarówek jechały w dwóch kierunkach. Kolumna niemieckich wozów nadjeżdżająca z autostrady, sunęła prosto na czołgi wroga. Inna kolumna chciała za wszelka cenę jechać pod prąd. Droga była wąska. Kule odskakiwały lub rozbijały się o ściany i blaszane karoserie. Od łuny pożarów i wybuchów było jasno jak w dzień.
Nie było cienia wątpliwości, że cała ta karawana zostanie rychło rozbita. Sowieckie czołgi nacierały potężna masą. Ich przerażający ryk stawał się coraz głośniejszy.
Zdołałem przedrzeć się Volkswagenem na ośnieżone pola. Pędząc na złamanie karku dotarliśmy do autostrady przed Rosjanami. Za nami były tylko różowe pochodnie, krzyki, grzmoty wystrzałów z czołgów i wybuchy. Czy ta bezładna horda lekarzy, kierowców, intendentów, pisarzy, uciekająca w popłochu i na oślep, mogłaby stawić jakikolwiek opór?
Wielkie ciężarówki sztabu korpusu wyczuły pismo nosem i znikły kwadrans wcześniej. Reszta była nieodwracalnie stracona. W tamtej chwili nie dałbym złamanego pfenniga za sto pojazdów, stłoczonych w niecce, na którą runęły jak oszalałe sowieckie czołgi.
***
Na autostradzie ta przerażająca procesja nieszczęsnych uciekinierów rozciągnęła się. Dziesiątki tysięcy kobiet i dzieci odpoczywały na nędznych wozach, przysypanych świeżym śniegiem. Niektórzy z niepokojem patrzyli na oświetlone pożogą niebo. Czekali. Sowieckie czołgi niebawem do nich dotrą. Zdawali się nic nie pojmować. Ich oczy były puste. Konie z na wpółprzymkniętymi powiekami stały nieruchomo.
Noc spędziłem kilka kilometrów dalej, w jednym z opuszczonych domów, w tłumie innych żołnierzy.
Wcześnie rano ruszyłem w dalszą drogę, pragnąc dotrzeć tak daleko, jak to tylko będzie możliwe w kierunku nieprzyjaciela, żeby wyłowić moich ludzi, którzy mogli znajdować się w potrzebie. Na autostradzie panował spokój. Sowieci pewnie musieli skręcić i pojechać przez las gdzieś na skróty.

Ale leśne linie działowe były praktycznie nieprzejezdne. Trudno było mi uwierzyć, że czołgi byłyby na tyle odważne, by podjąć dalszą drogę pod drzewami, wzdłuż tych piaszczystych, wąskich szlaków, które mogły zostać zablokowane przez kilka marnych dział przeciwpancernych...
A jednak sowieckie czołgi gdzieś musiały się podziać. Na głównej drodze ich nie było.
O dziesiątej rano dojechałem do Augustenwalde.
Ta duża wioska znajdowała się na północno-zachodnim końcu lasu, mniej więcej dwanaście kilometrów na wschód od Szczecina. Miejsce wydawało się tak dobrze osłonięte przez masę drzew, że biura korpusu przeniosły się tu poprzedniego wieczora.
Udałem się do generała. Szef sztabu, Obersturbannfuhrer von Bockelberg, uwieszony na telefonie, dawał mi rozpaczliwe znaki. W miarę otrzymywania raportów stukał w mapę: „Tutaj dwadzieścia czołgów! Tutaj piętnaście czołgów! Tutaj trzydzieści czołgów!". Otarł czoło i po chwili: „Są wszędzie, nadciągają zewsząd" powiedział mi.
Ale od czasów nad Dnieprem przeżyliśmy wiele takich dni, kiedy wszystko miało się już zawalić.
Ciężarówki korpuśne były tam, więc nie działa się żadna katastrofa. W końcu udało mi się zebrać w wiosce część naszych ludzi i oficerów. Wszędzie już pyrkały na ogniu garnki z kurami, zgodnie z najlepszą tradycją wojskową. Z zapałem rzuciliśmy się, by ich pokosztować.
***
Kilka kul stuknęło o fasadę domu.
Kolejna, mniej dyskretna, rozbiła okno i wbiła się w ścianę. „Zabijają kury" stwierdził niewzruszonym głosem major Hellebaut.
Nadleciało trzydzieści, czterdzieści kul. Pozwoliłem sobie na małą uwagę:
— Sądzę, że zabijają dużo kur. Każdy wrócił do przeżuwania swojej.
Tym razem seria pocisków wstrząsnęła całym budynkiem:
— Zabijają kury nawet przy pomocy czołgów — stwierdziłem z naciskiem. I podałem mojemu sąsiadowi talerz z przepysznymi owocami, wyciągniętymi ze słoja, który znaleźliśmy w piwnicy nieobecnego właściciela.
Uniosłem się lekko: wszędzie biegali ludzie. Wyszliśmy na próg domu. Przed sobą zobaczyliśmy szalony zamęt. Wielkie korpuśne ciężarówki-radiostacje odjeżdżały w pośpiechu, nie zdążywszy nawet zdemontować wysokich na dziesięć metrów anten. Strzelano na wszystkie strony. Przebiegający żołnierze krzyknęli do nas: „Są tu! Czterdzieści czołgów!".
Rzeczywiście, z lasu wyłaniały się sowieckie czołgi, które pokonały trzydzieści kilometrów nie napotykając na najmniejszą przeszkodę.
Nasi ludzie zwinnie jak wiewiórki wskakiwali na ciężarówki korpusu armii. Rosjanie dotarli już do dworca na południowym-zachodzie i ostrzeliwali drogę, którą jechał cały sprzęt zgromadzony w Augustenwalde. Samochody hamowały gwałtownie, wyrzucając przed siebie jak ropuchy, głową prosto w błotnisty śnieg, wesołych oficerów ze sztabu, którzy siedzieli na dachach.
Zaimprowizowanie oporu było niemożliwe: na miejscu nie mieliśmy ani jednego pojazdu opancerzonego, ani jednej armaty przeciwpancernej, ani jednego działa przeciwlotniczego. Cała okolica była zalana przez oddziały rosyjskie. Droga Augustenwalde-Szczecin została odcięta. Musieliśmy skierować się na południe i dotrzeć do drogi do Stargardu. Stamtąd ruszyliśmy do Altdam.
Większość naszych żołnierzy czekała tam na nas.
Odwrót został przeprowadzony z dużą zręcznością. Ponieśliśmy stosunkowo niewielkie straty w trakcie tego nocnego wyścigu.
Ale nasza dywizja była w opłakanym stanie. Już w Stargardzie musieliśmy połączyć ze sobą dwa pułki piechoty. Obecnie, dwa bataliony tego łączonego pułku nie liczyły więcej niż około czterystu ludzi. Zginęło wielu oficerów. Żadna kompania nie stanowiła całości.
Atak Rosjan był godny podziwu. Ale teraz potrzebowali kilku dni, by przeprawić przez las cały sprzęt. Z Altdam ruszyły kontrataki.
Mogliśmy więc liczyć na krótką przerwę.
Dostałem tydzień na reorganizację moich okaleczonych oddziałów przy pomocy posiłków, które właśnie dotarły tego ranka na dworzec w Szczecinie.
Chciałem zostawić przy sobie tylko najtwardszych. Zebrałem wszystkich, podziękowałem im za wspaniałą postawę. Bez ogródek powiedziałem im o sytuacji i ciężkich walkach, jakie jeszcze ich czekają. „Każdy może wybrać czy chce wrócić w ogień, czy pozostać na tyłach. Wszyscy wstąpili do legionu jako ochotnicy. Nie pozostała nam już żadna nadzieja: przyjmę krew pod warunkiem, że będzie przelana z własnej woli. Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że w ostatniej walce chociaż jeden Walończyk poległ wbrew własnej woli."
Osiemdziesięciu ludzi nie chciało wracać do walki.

Potraktowałem ich z takim samym uczuciem jak poprzednio. Nie byłem nadzorcą niewolników. Zresztą większość z tych chłopców była u kresu sił. Odesłałem ich trzydzieści kilometrów na północny-zachód od Odry. Kazałem troskliwie się nimi zająć i dobrze karmić.
Z sześciuset pozostałych, tych którzy przeżyli ten straszny miesiąc i z nowoprzybyłych, utworzyłem batalion uderzeniowy. Szóstego dnia przed świtem wyruszyliśmy ze śpiewem na ustach w kierunku doków i mostów Szczecina.
Dowódcą batalionu „najtwardszych" był major Dierricks, typowy kolonialista, który przybył z dziewiczych lasów w Kongo prosto w ośnieżone stepy. Zawsze w przekrzywionym kepi na głowie. Był bardzo dzielnym żołnierzem, typem „kapitana Conana", który przeszedł przez Katangę. Miał serce dziecka i ofiarowywał swą wierność ze szczerością i uczuciem, które natychmiast wyciskały mu łzy z oczu.
Front, na który sprowadziłem jego batalion, znacznie się skrócił w ciągu ośmiu dni.
Osłaniał jeszcze część Zalewu Szczecińskiego na północny wschód od Szczecina, biegł wzdłuż autostrady na zachód od Augustenwalde, osłaniał Altdam i ciągnął się aż za wielki betonowy most autostrady.
Zajęliśmy pozycje mniej więcej w centrum, przed Finkenwalde, długą aglomeracją, która stanowiła przedłużenie przedmieść Altdam na południe.
Rosjanie zajmowali liczne wzniesienia na prawym brzegu Odry, co dawało im doskonały widok na naszą linię. Rozmieścili tam swoją artylerię, która ostrzeliwała ciągłym ogniem nasze pozycje, domy, ulice w Altdam i w Finkenwalde, a także trzy mosty. Nigdy od 1941 roku nie widzieliśmy podobnej rzezi.

Most w Szczecinie

W połowie marca 1945 roku życie na prawym brzegi Odry, na przyczółku szczecińskim stało się nie do wytrzymania.
Domy w Altdam i we Finkenwalde leżały w gruzach, blokując drogi. Słupy linii tramwajowych były zwalone na ziemię, drzewa były potrzaskane lub całkiem obdarte z gałęzi. Wszędzie zatrzymywały nas leje po wybuchach.
Sowiecka artyleria ostrzeliwała każdą ulicę, każdy poruszający się punkt.
By dotrzeć na nasze pozycje, musieliśmy przejść przez lotnisko, gdzie zostały już tylko wraki wypalonych maszyn. Udało nam się jeszcze wejść schodami usianymi odłamkami szkła na taras portu lotniczego. Mieliśmy stamtąd wspaniały widok: wiedzieliśmy wszystkie sowieckie czołgi ustawione w linii na skraju lasu na wschodzie, wszystkie baterie wroga ulokowane na pagórkach.
Siły niemieckie zajmowały już tylko długi pas ziemi, szeroki zaledwie na trzy, cztery kilometry na odcinku od północnego krańca Altdam do mostu autostrady. Rosjanie rzucili się gwałtownie do szturmu, by odciąć i przerwać tę lagunę, a nas zepchnąć nad Odrę.
Nawet w nocy kontakt z oddziałem był praktycznie niemożliwy. Spadały tysiące pocisków. Wszystkie punkty dowodzenia kompanii, szybko rozpoznane z powodu nieustannej krzątaniny, stały się celem wprost niewiarygodnie silnego ostrzału. Ulice były usiane trupami żołnierzy.
Rozkazy były drastycznie okrutne. Dezerterzy byli traceni na miejscu. Żandarmi wieszali ich u wejścia na most, który łączył Altdam ze Szczecinem.
To był straszny widok — zesztywniałe trupy pięknych, postawnych niemieckich chłopców, którzy fizycznie złamani tygodniami przerażającej walki pozwolili sobie na chwilę słabości. Ich ciała wisiały z tabliczkami na szyi: „Tchórz". Na końcu sznura ponuro kołysali się wisielcy z bladą twarzą, sztywnym, sinym językiem wystającym z ust, podrygujący w takt niezliczonych wybuchów, które zrzucały na nich druty linii tramwajowych.
Każdy żołnierz wiedział co go czeka, jeśli się cofnie... Lepiej było pozostać na przedzie, wśród trzasków serii z broni maszynowej i ryku czołgów.
***
Straty były przerażające: w ciągu trzech dni sześćdziesiąt procent obrońców naszego sektora zostało zabitych lub rannych.
Zagrzebani w swych jamach, wystawiając tylko głowę i ramiona, żołnierze byli ranieni przede wszystkim w twarze odłamkami pocisków i granatów.
Przybiegali wtedy do mojego malutkiego punktu dowodzenia z potworną, krwawą dziurą w miejscu szczęki. Często wystawał z niej jeszcze język, różowy, drżący, nienaturalnie długi.
Za jednym razem przybiegało dwudziestu pięciu, trzydziestu rannych. Niektórzy, których odłamek trafił w biegu, mieli stalowe odpryski wbite w narządy płciowe: dostawali strasznych drgawek, przeraźliwie krzyczeli.

A jednak trzeba było dowodzić, mieć na wszystko baczenie, pomimo odoru krzepnącej krwi i ekskrementów, który unosił się nad wilgotnymi okopami.
Po kolei zawalały się kolejne schrony. Już pierwszego dnia, zaledwie dwie minuty po tym jak opuściłem mój punkt dowodzenia, budynek trafiony w sam środek fasady, został zburzony, zrównany z ziemią, obrócony w perzynę. Lodowato zimna piwnica w Finkenwalde, skąd do ostatniej chwili dowodziłem bitwą przy blasku świecy, została trafiona pociskiem, który przeszedł przez sufit i nie wybuchając spadł w samym środku.
Tak szybko, jak to tylko było możliwe udałem się na nasze wysunięte pozycje, ponieważ na prawym skrzydle Rosjanie przełamali właśnie linię o pierwszej w nocy. Nasi ludzie wspaniale walczyli, uczepieni nasypu kolejowego. Nie ustąpili. Trzy niemieckie czołgi bardzo starego typu lecz obsługiwane przez bohaterskie załogi, sunęły obok nas. Tylko otwory luf wystawały ponad nasyp. W pół godziny rozwaliły pięć sowieckich czołgów, które pojawiły się po drugiej stronie torów. Nie mogliśmy odróżnić jednego czołgu od drugiego. Byliśmy kompletnie oślepieni srebrzystymi błyskami, towarzyszącymi wystrzałom.
Pod koniec tej nocy, generał, który dowodził obroną, wyznaczył mi na stanowisko dowodzenia inną piwnicę w Finkenwalde, znajdująca się bliżej jego schronu, ale położoną na południowym krańcu odcinka zajmowanego przez Walończyków. Siedząc pod nosem Rosjan miałbym bardzo utrudniony kontakt z punktami dowodzenia poszczególnych kompanii.
Jako zdyscyplinowany oficer szybko przeniosłem się do nowej siedziby i natychmiast wysłałem łączników na poszukiwania sztabu, telefonistów i radiostacji.
Kule nadlatywały ze wszystkich stron. Najpierw zobaczyłem jak w powietrze wylatuje most autostrady. Potem Rosjanie przeszli przez Finkenwalde po mojej prawej stronie. Doszli do samej Odry. Ich karabiny maszynowe, armaty przeciwlotnicze i czołgi trzymały pod ostrzałem ewentualną trasę odwrotu.
Generał, który godzinę wcześniej miał swoje stanowisko pięćset metrów za moim, nie dawał znaku życia. Jego telefon nie odpowiadał. Zostałem sam, zupełnie bezużyteczny, zastanawiając się, co się stało.
Starałem się wypełniać rozkazy.
Drogo mnie to kosztowało. Zostałem uratowany w ostatniej chwili tylko dzięki przytomności umysłu jednego z flamandzkich motocyklistów. Mijając wycofującego się generała, przypomniał mu zuchwale, że najprawdopodobniej zostałem na mojej osamotnionej pozycji. Generał zaczął wydawać głośne okrzyki: w całym tym zamieszaniu zapomniał o mnie! Motocyklista przedarł się w moim kierunku i zabrał mnie na tylne siedzenie. Na wąskiej drodze leżało pełno niemieckich żołnierzy twarzą do ziemi, zabitych w trakcie wycofywania się. Pod ostrzałem z karabinów maszynowych i dział dotarliśmy do schronienia generała tylko po to, by dowiedzieć się, że właśnie został zwolniony z funkcji dowódcy.
Tamtego ranka wydawało się, że wszystko już stracone. Mimo to otrzymaliśmy od naszego nowego wodza rozkaz utrzymania się na terenie, który nam jeszcze pozostał.
Było to mądre. Masowy odwrót pod gołym niebem przy takim ostrzale mógł doprowadzić wyłącznie do masakry. Wszystkie stanowiska dowodzenia miały pozostać na prawym brzegu. Został tam również sam generał.
Most kolejowy wyleciał w powietrze. Pozostał więc tylko most w samym Szczecinie. Sowiecka artyleria nieustannie ostrzeliwała go, miażdżyła. Pociski odbijały się od bruku. Inne wzbijały potężne snopy ziemi dookoła przęseł lub wstrząsały wisielcami jak marionetkami.
Sowieckie lotnictwo zalewało nas setkami bomb. Eskadry spadały w dół, nawracały, przelatywały tuż nad dachami. Całe ściany domów zamieniały się w gruzy. Za nami zawalił się punkt Czerwonego Krzyża kompanii: nad stosami gruzu unosiły się rozdzierające krzyki rannych, pogrzebanych żywcem...
Na nasypie kolejowym w Finkenwalde nasi żołnierze, wspierani przez kilka czołgów, ciągle jeszcze stawiali bohaterski opór, podobnie jak ich niemieccy towarzysze trzymający się kurczowo ruin w Altdam.
Jak zawsze w beznadziejnej sytuacji Walończycy wyróżniali się zaciętością i dobrym humorem.
Przemknęli się stodołami do sektora wroga. Niektórzy zostali złapani. Rosjanie zaprowadzili ich aż do lasu na wzgórzach na wschodzie. Ale korzystając z silnego ostrzału niemieckiej artylerii wszyscy uciekli i dobiegli do naszych linii, oprócz jednego, który został zabity po drodze. Oficerowie dawali innym przykład.
Mieliśmy w batalionie „Dierricks" młodego oficera, szczuplutkiego, bladziut-kiego porucznika Leroya z Binche, który wstąpił do wojska na ochotnika w wieku szesnastu lat. Rok wcześniej, podczas walk w Czerkasach stracił prawe ramię i lewe oko. Chciał jednak za wszelką cenę wrócić

na front antysowiecki. Pełnił funkcję oficera łącznikowego. Obecność tego inwalidy wśród żołnierzy była wzruszająca.
Brat Leroya był dowódcą plutonu. Został zabity na nasypie w Finkenwalde, trzy dni przed końcem bitwy odrzańskiej. Nasz młody kaleka zamiast załamać się z bólu po stracie, natychmiast poprosił o jego miejsce. Zgodziłem się. To był niezwykły, wspaniały widok: kaleka o poskręcanym torsie przez trzy dni i trzy noce brał udział w zaciętej walce wręcz, strzelając z pistoletu maszynowego, który zręcznie obsługiwał lewą ręką.
Jedna z naszych belgijskich sanitariuszek, godna szacunku wdowa, miała na froncie trzech synów. Wszyscy zginęli bohaterską śmiercią. Matka, tak strasznie ugodzona, nie chciała ani na chwilę porzucić służby: wprost przeciwnie, pragnąc poświęcić się tam, gdzie polegli jej chłopcy, błagała, bym pozwolił jej udać się z posługą na pierwszą linię. Ratowała naszych rannych w zamęcie bitewnym z tak niezwykłym oddaniem i odwagą, że została odznaczona Krzyżem Żelaznym.
Nasi ludzie walczyli z taką zaciętością, że gdy prawy brzeg Odry został ewakuowany, to właśnie ochotnicy walońscy mieli zaszczyt bronić bezpieczeństwa Fin-kenwalde ostatniej nocy. Musieli utrzymać się na kolejowym nasypie trzy godziny dłużej niż pozostali, podczas odwrotu trzech dywizji. Dywizje te liczyły łącznie zaledwie tysiąc ludzi!
Walka na odcinku Stargard-Odra trwała pięć tygodni. Czerwoni mogli w ciągu trzydziestu pięciu dni przypuścić sto ataków, stracić potężne ilości sprzętu, poświęcić czterysta czołgów, po to, by pokonać trzydzieści pięć kilometrów, które dzieliły ich od Szczecina.
Noc, w którą wycofywaliśmy się, była szczególnie wzruszająca.
Nasi ochotnicy, wspierani przez dwa czołgi, symulowali szczególnie agresywne działanie. Baterie niemieckie posyłały na lewy brzeg rzeki, na stanowiska wroga grad pocisków.
Pod taką osłoną resztki trzech dywizji, ciągnąc ze sobą cały sprzęt i broń, prześlizgnęły się w stronę Odry, w zupełnej ciszy dotarły do pierwszego mostu i zajęły pozycje po drugiej stronie wody, ukrywając się za składem desek, które zalegały na pierwszym półwyspie.
W wielkim porcie, oświetlonym łuną pożarów, stały jeszcze ogromne betonowe doki, wysokie na osiem, dziesięć pięter, które sowieckie pociski bezskutecznie usiłowały rozbić. W ich mrocznych piwnicach, gdzie przeniesiono stanowiska dowodzenia, na starych workach leżały tysiące rosyjskich i polskich cywili, zbieranina mężczyzn i kobiet stłoczonych jak w getcie.
Wpływając do Szczecina Odra dzieliła się na pięć odnóg. Tylko jeden most na pierwszej odnodze, najszerszy, zostanie nad ranem wysadzony.
O trzeciej nad ranem wszystkie jednostki zajęły pozycje w nowym sektorze. Nasz ostatni pluton znajdował się jeszcze trzy kilometry za rzeką. By przeprawić się na drugą stronę, żołnierze wdrapali się na dwa czołgi, które wspierały ich do samego końca — te ruszyły całym pędem przed siebie. Jak burza przejechały przez wielki stalowy most, który tuż za nimi zwalił się z hukiem we wzburzoną wodę.
***
Świtało.
Niedaleko nas, w suchych dokach remontowych leżały potężne, wypalone wraki wielkich okrętów i statków.
Po drugiej stronie zalewu, w Altdam, sterczało jeszcze kilka pięknych dzwonnic z cegły. W górę ulatywały dymy.
Na drugim brzegu nadbiegli z krzykiem niemieccy spóźnialscy, którzy zaspali w ruinach Finkenwalde i nic nie wiedzieli o odwrocie. Rosjanie byli tuż za nimi. Zaczęli wskakiwać do wody: niektórzy do nas dopłynęli, inni utonęli w rwącym nurcie.
Widzieliśmy jak Czerwoni zbliżają się do Odry małymi grupkami, jakby obawiali się zasadzki.
Ale bitwa już się skończyła.
Kilka godzin później artyleria przerwała ogień, po obu stronach.
Świeciło słońce. Z zalewu dolatywał nas zapach morza.
Na końcu stalowych belek u wejścia do portu wisiały jeszcze ciała trzech skazanych, których nie odczepił wybuch. W ostrym słonecznym blasku ich zielone i przerażające sylwetki były doskonale widoczne.
Między wrogiem i nami zostali już tylko wisielcy z białymi tabliczkami, szklanymi oczami, poskręcanymi, napuchniętymi fioletowymi językami.

Agonia nad Bałtykiem

Pod koniec marca 1945 roku Front Zachodni ostatecznie się załamał.

W tym czasie dywizje pomorskie zbierały siły między Szczecinem a Pasewalkiem, pod osłoną Odry, która rozciągała swe wody, zasilane przez przypływy, między dwiema armiami, które chwilowo zrobiły postój.
Słuchaliśmy radia z rosnącym niepokojem: Nadrenia padła, Ren został przekroczony, Zagłębie Ruhry było w rękach wroga, amerykańskie czołgi sunęły w kierunku Kassel.
Mieliśmy jeszcze wielu walońskich żołnierzy w Hanowerze: rekrutów na szkoleniu, rannych na rekonwalescencji. Poza tym siedmiuset ludzi z naszego pułku artylerii i dwustu z batalionu saperów, na szkoleniu w okolicach Pragi, zostało ponoć wysłanych w kierunku naszej bazy.
Pragnąłem jak najszybciej zebrać ich wszystkich. Zostawiłem moich ludzi i poleciałem do naszego ośrodka w Hanowerze.
Panował tam zaledwie lekki niepokój.
Nadejście Aliantów wydawało się mieszkańcom groźbą tak odległą, że wręcz nieprzyzwoicie było o niej mówić. Kreisleiter de Springe spokojnie szykował swój ślub, wyznaczony na sobotę 31 marca.
Jednak 29 marca amerykańskie czołgi przeskoczyły sto dziesięć kilometrów. Wieczorem znajdowały się około czterdzieści kilometrów od Wezery. Jeszcze jeden skok i zmiażdżą brukowane ulice hanowerskich miasteczek.
W Gronau, przemysłowym mieście, gdzie znajdowały się nasze koszary, okazało się, że nie ma możliwości ewakuowania naszych rannych. Wziąłem na siebie zadanie jak najszybszej mobilizacji wszystkich rekonwalescentów.
Pojechałem stamtąd na południe, niedaleko Holdminder: na rozkaz nadesłany z Hanoweru ustawiono tam na pozycjach dwustu młodych walońskich rekrutów, uzbrojonych w pancerfausty. Ci chłopcy zaciągnęli się, by walczyć z bolszewizmem i nie powinni stawać do walki z Amerykanami czy Anglikami.
Dopiero po całym dniu rozmów uzyskałem zgodę na ich wycofanie. Zdążyłem jeszcze wsadzić wszystkich do pociągu, którym w ostatniej chwili dojechało na dworzec w Gronau moich dwustu saperów i siedmiuset artylerzystów. Natychmiast wysłałem cały konwój w kierunku Szczecina.
Słychać już było ryk alianckich czołgów, które usiłowały sforsować Wezerę.
Nie należało już liczyć na to, że Rzesza będzie jeszcze stawiać opór na zachodzie.
Pomiędzy Amerykanami i Berlinem rozciągała się zupełna pustynia. Front załamał się. Już nikt nie szedł na spotkanie Jankesów. Autostrady opustoszały.
Natomiast front wschodni będzie bronił się do ostatniej minuty. Naczelne dowództwo niemieckie postanowiło walczyć tam do samego końca z dziką zaciętością.
W pośpiechu dołączyłem do moich żołnierzy niedaleko Szczecina. Odra lśniła w słońcu jak wielki śpiący wąż. Na froncie panowała cisza. Gospodarstwa zostały ewakuowane. Po pięknych, brązowych polach biegała dzika zwierzyna. Powietrze było łagodne, wilgotne, przesycone śpiewem ptaków. Zbliżająca się agonia miała zapach mokrych margerytek, pierwiosnków i jaskrów.

Berlin, 20 kwietnia

Alianckie czołgi zalały Bawarię na początku kwietnia 1945 roku. Z drugiej strony dotarły do Łaby i ruszyły w kierunku Bremy i Hamburga.
Jednak na wprost nas wojska sowieckie pozostały nieruchome. Bitwa o Pomorze drogo je kosztowała. Sowieci musieli wycofać się z sektora kostrzyńskiego podczas niemieckiej kontrofensywy w połowie lutego 1945 roku. Przez pięć tygodni prowadzili bardzo ciężkie walki, by nas wypłoszyć i zająć prawy brzeg Odry, wokół Altdam. Teraz lizali rany i doprowadzali do porządku sprzęt.
Szczecin zorganizował samodzielny przyczółek, obsadzony osiemnastoma batalionami. III Korpus Pancerny, do którego należeliśmy, otrzymał jako strefę działania okolice Penkun.
Odcinek, którego mieliśmy bronić był, jak zwykle, nieproporcjonalnie długi.
Ciągle jeszcze mieliśmy złudzenia. W połowie kwietnia 1945 roku, na trzy tygodnie przed kapitulacją, generał Steiner zapowiedział całkowitą reorganizację mojej dywizji: miałem otrzymać jako wzmocnienie pułk artylerii i pułk piechoty, pozyskane z jednostek niemieckich. Moja dywizja miała osiągnąć maksymalną liczebność.
Poza tym ustalono, że w najbliższym czasie powstanie korpus armijny „Zachód", złożony z dywizji „Charlemagne" (francuska), „Walonia" i „Langemarck" (flamandzka), którym będę dowodził.
Podchodziłem do tego z dużym sceptycyzmem. Większą wagę przywiązywałem do faktów. Z uciekinierami z Pomorza, z artylerzystami bez dział i saperami bez pontonów, miałem jeszcze na tyle ludzi, by utworzyć silny pułk piechoty. Powierzyłem go majorowi Hellebaut.

Resztki mojej dywizji wcieliłem do drugiego, rezerwowego pułku, w skład którego wchodzili chorzy, kontuzjowani i starzy legioniści, bezużyteczni na pierwszej linii.
Jednostka ta gościła nawet przez krótki czas stuosobową grupę rodaków, którzy pracowali w fabrykach Rzeszy, a których jeden z głupkowatych funkcjonariuszy w przypływie szaleństwa ubrał w niemieckie mundury i przysłał nam, nie pytając ich nawet o zgodę.
Byliśmy legionem ochotników. Nie chciałem za żadna cenę wysyłać do walki, czy nawet pozostawiać w mundurach dzielnych ludzi, którzy nie podzielali naszych poglądów i którzy nie przybyli do nas z własnej woli. Wygłosiłem do nich krótka przemowę i oznajmiłem, że są wolni. Kazałem zaopatrzyć ich w żywność na trzy dni i kilka papierosów. Jeden z moich oficerów odprowadził ich na tyły. Każdy dostał kartę demobilizacyjną.
Nieco później postanowiłem ewakuować chorych i lekko rannych. Rzesza broniła się już ostatkiem sił. Woleliśmy ratować i odesłać na czas z sowieckiej otchłani tych, którzy zawadzaliby tylko w ostatnich walkach. Nie było to zgodne z regulaminem, jednak nie zważając na to podpisałem plik rozkazów wymarszu. Dwustu niezdolnych do walki żołnierzy wyruszyło do Rostocku, starego bałtyckiego portu.
Dyskretnie, lecz wszelkimi sposobami pozbywałem się balastu, starając się złagodzić ostateczny cios...
Drżałem na samą myśl o losie, jaki czekał tych żołnierzy dywizji, którzy zdołają przeżyć spośród wszystkich pozostałych u mego boku, w pobliżu Odry.
Znajdowaliśmy się na skraju frontu wschodniego. Mogliśmy w ciągu dwóch dni nasilonych walk wszyscy zginąć lub zostać okrążeni przez Sowietów.
Z drugiej strony Amerykanie i Anglicy zbliżali się coraz bardziej do naszych tyłów.
Niemieckie dowództwo naszego odcinka patrzyło na ich postępy przychylnym okiem: uważało nawet, że są za wolni! Ciągle jeszcze mieli jakieś złudzenia. Niejeden niemiecki generał wyobrażał sobie, z rozbrajająca naiwnością, że Anglicy i Amerykanie niebawem wypowiedzą wojnę ZSRR. Byli przekonani, że po dotarciu Aliantów nad Odrę wszystko cudownie się ułoży.
W każdym razie naczelne dowództwo nie podjęło żadnych kroków, by się zabezpieczyć. Generał Steiner mówił nawet o ustawieniu za naszymi liniami, przodem na zachód, wielkich tablic z napisem: „Tutaj jest front antysowiecki!".
Nie byłem tak spokojny, jak ci oficerowie niemieccy.
Korzystając z chwilowego spokoju, któregoś ranka udałem się do Berlina, by ponaglić ministra spraw zagranicznych Ribbentropa, którego prosiłem o zdobycie dokładnych informacji — przez jakieś państwo neutralne lub przez Czerwony Krzyż — jaki los szykują Anglicy i Amerykanie naszym ochotnikom, w razie gdyby wpadli w ręce wojsk alianckich napierających z zachodu na wschód.
Tydzień później przysłano mi-do punktu dowodzenia oficjalną odpowiedź. Była jasna: jeśli nasi żołnierze zostaną pojmani przez Anglików lub Amerykanów, będą traktowani dokładnie tak, jak wszyscy jeńcy wojenni. Podobnie żołnierze Własowa i wszyscy inni europejscy ochotnicy na froncie wschodnim.
Było to normalne. Ta wiadomość uspokoiła moich chłopców.
Część z nich w dniu katastrofy zda się więc w dobrej wierze na łaskę dowództwa angielsko-amerykańskiego. Niestety! Nie zostaną potraktowani jak żołnierze. Bohaterowie z frontu rosyjskiego, z których większość była ranna raz lub wiele razy w walce, będą wydani w ręce przerażającej belgijskiej policji politycznej, publicznie znieważeni i wtrącani do więzień lub obozów koncentracyjnych, jak pospolici międzynarodowi przestępcy.
Setki zostaną skazane na śmierć, wiele tysięcy na dziesiątki lat więzienia, przez specjalne trybunały, których głupota i nietolerancja nie będzie miała sobie równych
Byli wspaniałymi żołnierzami. Byli tylko żołnierzami. Prawie wszyscy nosili odznaczenia, zdobyte w bólu i chwale. Walczyli czysto, godnie, dla krystalicznego, wzniosłego ideału, całkowicie bezinteresownie.
Wydanie tych bohaterów przez Aliantów w ręce politycznych siepaczy, świadczyło o ich moralnej podłości i braku honoru wojskowego.
***
W przeddzień ostatecznego szturmu Sowietów, nasz legion dostał podwójne zadanie.
Nasz pierwszy batalion, liczący sześciuset pięćdziesięciu ludzi, tymczasowo wyjęty spod mojego dowództwa, został rozstawiony sześć kilometrów od pozostałości mostu autostradowego nad Odrą. Zajmował niewielką, położoną w niecce wioskę. W razie potrzeby mógł liczyć na pomoc jednego z niemieckich pułków policji, który zajmował pozycje na wzniesieniach na lewym brzegi rzeki.

Powierzono mi dowództwo drugiej linii obrony, piętnaście kilometrów na zachód od Odry. Linia ta biegła na długości czterech mil nad szeroką bagnistą depresją.
By ją zająć, dysponowałem jedynie moim drugim batalionem piechoty i pułkiem ochotników flamandzkich, odłączonym od dywizji „Langemarck" i oddanym pod moje rozkazy.
***
W połowie kwietnia Rosjanie ruszyli do ostatecznego szturmu.
W sektorze północnym — naszym — od Szczecina do kanału Hohenzollernów, panował jeszcze przez kilka dni dziwny spokój. Ale Saksonia została zdobyta, a na wysokości Berlina powstała olbrzymia wyrwa.
U generała Steinera na mapach widziałem sowieckie strzałki zbliżające się do stolicy Rzeszy.
Jeśli tama zostanie przerwana — a została —jak powstrzymać tysiące sowieckich czołgów przez wdarciem się do Berlina?
19 kwietnia 1945 roku wieczorem generał Steiner pokazał mi obszar katastrofy: czerwone czołgi były już prawie przy „Ringu", słynnej obwodnicy, która otaczała miasto.
Pewna liczba naszych towarzyszy znajdowała się w Berlinie. Z godnym podziwu opanowaniem jeszcze w przeddzień okrążenia wydawali tam dziennik w języku francuskim „L'Avenir". Wskoczyłem do Volkswagena i ruszyłem, by powiadomić ich o grożącym niebezpieczeństwie. Berlin był oddalony o półtorej godziny drogi od mojego punktu dowodzenia. Mijając żałosne kolumny uchodźców, którzy uciekali we wszystkich kierunkach, o dziewiątej wieczorem wjechałem do starej pruskiej metropolii.
Hotel Aldon nadal działał, mimo bomb, mimo pocisków, które spadały teraz już na ulice. We wspaniale oświetlonej restauracji kelnerzy w smokingach, kierownicy sali w nienagannych strojach nadal serwowali, dostojnie i niewzruszenie, fioletowe plastry „Kohlraben" (kalarepy) na wielkich srebrnych półmiskach ze szczęśliwszych czasów. Wszędzie panował porządek, dystyngowany spokój, nikt nie unosił głosu, nie spieszył się.
Jutro, pojutrze, budynek pewnie stanie w ogniu. Albo Mongołowie o grubych łapach pojawią się w pozłacanym hallu. Lecz dobry ton był dobrym tonem.
To było piękne. Postawa, opanowanie, wewnętrzna dyscyplina narodu niemieckiego, w najmniejszym szczególe, do ostatniej chwili, pozostaną godnym, ludzkim wspomnieniem dla tych wszystkich, którzy przeżyli koniec III Rzeszy.
W upadającym Berlinie nie było ani śladu paniki.
A przecież nikt już nie mógł wątpić w wynik walki. Oddziały, które broniły przedmieść były iluzoryczne. Piechota szczątkowa. Czołgów — znikoma ilość.
Prawdziwa zapora stojąca przed Kostrzyniem została przełamana, droga stała otworem.
W nocy przejechałem się po zbombardowanym mieście. Dojechałem aż do Poczdamu. Nigdzie ani śladu grabieży. Ani jednego okrzyku podżegaczy. Na wroga czekali starcy z „Volksturmu" i dzieciaki z Hitlerjugend, z panzerfaustem w garści, poważni jak wielcy rycerze Zakonu Krzyżackiego.
Rano skończył się prąd, a telefon zamilkł. Setki samolotów wroga przelatywały nad dachami, rysując na niebie białe smugi. Pociski leciały ze wszystkich stron. Tysiące dział sowieckiej artylerii ostrzeliwały zaciekle miasto. Czołgi wyły u bram Berlina.
Wysłałem moich towarzyszy w drogę.
O pierwszej po południu opuściłem Adlon. Jeden z moich niemieckich przyjaciół, inwalida wojenny, który w 1941 roku dostał pod Moskwą dwadzieścia kul, przyszedł, by pożegnać się w huku serii z broni maszynowej. Towarzyszyły mu śliczne berlinianki z naręczami wiosennych kwiatów w ramionach. Przybrały cały przód mojego małego Volkswagena setkami fioletowych bratków o złotych środkach i czerwonych tulipanów. Uśmiechały się skromne i dzielne. Rzesza waliła się w gruzy, Berlin był już prawie w rękach wroga, na każdą z nich czyhały najgorsze z możliwych upokorzeń, a one delikatne, piękne i żarliwe przyniosły mi kwiaty...
Z trudem dotarłem do starej drogi z Prenzlau do Szczecina. Autostrada była już odcięta przez Sowietów. Czołgi wroga waliły mocno. Wśród tysięcy wozów wyładowanych uciekinierami panowało trudne do opisania zamieszanie. Byli już zgubieni. Rosjanie nadciągali ze wszystkich stron.
Kiedy zbliżyłem się do Brussow, gdzie znajdował się mój punkt dowodzenia, ujrzałem na szerokości trzydziestu kilometrów potężne snopy dymu, które ulatywały w niebo.
Ostatni nietknięty odcinek frontu wschodniego otrzymał właśnie ostateczny cios.
Dokładnie naprzeciwko naszych mokradeł, na piaszczystym lewym brzegu Odry pojawili się Rosjanie.

Żegnaj Odro...

20 kwietnia 1945 roku, w dzień imienin Hitlera, o szóstej rano sowiecka artyleria otworzyła niesłychany ogień do niemieckich żołnierzy, którzy bronili ruin mostu autostrady na południe od Szczecina.
Od trzech dni mogliśmy zaobserwować wzmożony ruch na prawym brzegu Odry: Rosjanie zajęli wysepkę przy pierwszym przęśle zniszczonego mostu. Przetransportowali tam ciężki sprzęt przy pomocy barek, pontonów i starych płaskodennych galarów. Jasne było, że szykują atak.
Oddziały, odpowiedzialne z obronę tego szczególnie zagrożonego sektora, składały się wyłącznie z sił policyjnych. Przeszło tysiąc rosyjskich dział nagle skoncentrowało ogień na wioskach i wydmach, gdzie siedzieli ci szacowni łapacze. Nie byli w stanie powstrzymać szpic Sowietów, którzy wykorzystując początkową przewagę, natychmiast przerzucili z drugiej strony wody na łodziach liczne bataliony uderzeniowe.
Jako że informowanie o niepowodzeniach nie należało do przyjemności, dowódca policjantów uznał, że lepiej będzie jeśli jak najdłużej będzie ukrywał porażkę swych oddziałów. Rezultat: kiedy dywizja, pod którą podlegał, została poinformowana o tragedii, bolszewicy znajdowali się już daleko na zachód od rzeki, a ich desant znacznie się posunął.
Klęska policjantów miała miejsce przed siódmą rano: dopiero o drugiej po południu wezwano moje bataliony piechoty, które dywizja dostała jako rezerwę.
O trzeciej ruszyły do kontrataku.
Badając teren przed 20 kwietnia, doszedłem razem z moimi oficerami do wniosku, że w razie utraty lewego brzegu Odry kontratak niemal na pewno będzie skazany ma porażkę, jeśli nie zostanie przeprowadzony jak najszybciej.
Za wzniesieniami na lewym brzegu Odry teren schodził na zachód szerokimi, piaszczystymi ugorami, bez najmniejszego pagórka, bez żadnej naturalnej osłony. Atak przez tę równinę na wroga, usadowionego na wzniesieniach, oznaczał nieuchronną rzeź naszych żołnierzy.
Lecz 20 kwietnia 1945 roku o trzeciej po południu kilka tysięcy Rosjan zajęło lewy brzeg, pokonało piaszczystą strefę i dotarło do pagórków położonych sześć kilometrów na zachód.
Pod względem taktycznym batalion Walończyków nie podlegał już mojej dywizji. Od szaleńców, którzy nie mieli takich powodów jak ja, by oszczędzać ludzi, dostali wyjątkowo bezwzględne rozkazy: mieli ruszyć do szturmu w samym środku popołudnia, przez te odkryte tereny, odzyskać utracone kilometry i ponownie zająć pozycje na lewym brzegu Odry.
Nasi dzielni chłopcy, bez słowa protestu, jak zwykle wierni, wypełnili rozkaz. Do ostatniego chwili udowadniali, że ich przysięga nie była pustymi słowami.
Należało chociaż wesprzeć tę akcję solidnym wsparciem artyleryjskim.
Ale jak strzelać? Skąd wziąć amunicję?
Już w Stargardzie, dwa miesiące wcześniej, na jedno działo przypadało zaledwie sześć, dziesięć pocisków na dzień. Przed ostatnia bitwą nad Odrą dostaliśmy jeszcze bardziej drakońskie rozkazy: ogień został ograniczony do jednego pocisku dziennie na każdą lufę.
Jeden pocisk! Tylko jeden!
Ograniczenia były prawie tak samo surowe dla granatników: dwa strzały na dzień! Dla granatników lekkich: jeden strzał na dzień!
W rzeczywistości: zero.
Rosjanie naprzeciwko nas posiadali tysiąc sztuk armat i nieograniczone ilości amunicji. Strefa frontowa została całkowicie zalana falą ognia. My natomiast mogliśmy im przeciwstawić zaledwie kilka sztuk zużytej broni ciężkiej.
Nasz batalion musiał walczyć wyłącznie przy pomocy broni osobistej. Tylko na początku akcji pół tuzina czołgów wspierało nas, ale na dystans i z dużą ostrożnością.
Nie przeszkodziło to nam odrzucić Rosjan: odbiliśmy trzy kilometry terenu w trwającej co najmniej godzinę walce wręcz.
Jednak nasze straty były już bardzo wysokie.
Nasz batalion zbliżył się do wydm rzecznych. Walka trwała do samej nocy. Czerwoni zdążyli wykopać gniazda dla karabinów maszynowych na każdym pagórku. Artyleria miażdżyła ostrzałem naszych towarzyszy.
Pobiegłem do niewielkiego punktu dowodzenia batalionu tylko po to, by podtrzymać na duchu naszych ludzi, skoro — niestety — zostali oddzieleni od naszej jednostki. Wieczorem widziałem przeszło stu rannych, którzy usiłowali przedostać się w naszym kierunku. Wielu naszych oficerów poległo. Mimo to, Walończycy nadal atakowali z dziką zaciekłością.

Jedna z naszych kompanii w końcu dotarła do wioski, która stała nad Odrą. Nasi żołnierze zdołali wdrapać się na piaszczyste wzniesienia, dwieście metrów od wody.
Mimo wszystko dotarli do rzeki, karnie wykonali rozkazy!
Ale co mogli zrobić sami w pobliżu brzegu? Należało jak najszybciej posłać za nimi wiele tysięcy ludzi, a przede wszystkim rozbić, przy pomocy artylerii i lotnictwa, baterie wroga, a także nowe oddziały sowieckie, które nieustannie napływały.
Po piaszczystych drogach, z tyłów sprowadzono w kierunku rzeki kilka kompanii łotewskich. Ale co mogły dać te nikłe posiłki? Zresztą sowieckie lotnictwo i już je ostrzeliwało. Wszystkie skrzyżowania płonęły. Z każdej wioski w okolicy unosiły się szaro-czerwone słupy dymu z ogniem. Artyleria zasypywała drogi gradem pocisków.
Nie mieliśmy nawet gdzie kłaść rannych.
Na każdej ulicy ziało kilka lejów po pociskach. Z każdego domu sterczała masa odłamków. Wyglądało to podobnie, aż do sześciu, siedmiu kilometrów od pola bitwy.
***
W nocy Rosjanie załadowali na barki znaczną ilość oddziałów a także duże ilości sprzętu.
Przeprawa przez rzekę była praktycznie wolna: nasza artyleria bez amunicji, nasze lotnictwo bez paliwa nie mogły już nic zrobić.
Kiedy nastał świt, sowieckie czołgi — długie jak aligatory, znajdowały się po „naszej" stronie wody, ostrożne, jeszcze nie próbowały posuwać się dalej, ale utworzyły przed przyczółkami zniszczonego mostu autostrady, wielką zaporę obronną.
Podczas nocnych walk kompania, która dotarła do samych wzgórz nad Odrą, straciła cztery piąte żołnierzy. Na każdy metr piasku spadł co najmniej jeden pocisk lub granat.
A rozkazy były kategoryczne. Musieli dalej kontratakować!
Niesłychane!
By przeprowadzić to z powodzeniem, na odkrytym terenie, bardziej niż kiedykolwiek należało wesprzeć ich ostrzałem artyleryjskim, czołgami, Stukasami i pół tuzinem batalionów uderzeniowych.
Ale przecież nie odmówimy wykonania rozkazu po czterech latach ślepego posłuszeństwa. ..
Nasze kompanie ponownie ruszyły do ataku, i ponownie dały się zdziesiątkować. Kapitan Thyssen, niezapomniany Thyssen z „kotła" w Czerkasach, jeden z naszych największych specjalistów od walki wręcz, trafiony trzema kulami poległ na stosie trupów Sowietów. Porucznik Regibeau, ranny już siedmiokrotnie na froncie wschodnim, został poszatkowany odłamkami granatów, całe ciało ociekało krwią. Porucznik Albert Verpoorten, młody pisarz pełen dynamizmu i humoru, padł z rozpłataną klatką piersiową i oberwanymi ramionami. Sześć razy w ciągu tego tragicznego dnia 21 kwietnia 1945 roku Walończycy dostawali rozkaz ponowienia szturmu na lewym brzegu Odry. I sześć razy rzucali się w sam środek bitwy.
Nic nie ukaże lepiej ich bohaterstwa, niż te straszne liczby: z sześciuset pięćdziesięciu ludzi walczących od poprzedniego dnia na wydmach, wieczorem 21 kwietnia nietkniętych pozostało zaledwie trzydziestu pięciu.
Sześciuset piętnastu pozostałych — czyli dziewięćdziesiąt cztery procent batalionu — rannych lub zabitych, oddało krew za sprawę, o której wiedzieli, że jest już przegrana.
Wierzyli jednak w nieśmiertelność ich ideału, pragnęli do samego końca okazać posłuszeństwo, do samego końca pozostać wiernymi, do ostatniego żołnierza, na ziemi, która nawet nie była ich...
Spędziłem cały dzień próbując utrzymać w odpowiednim stanie drugą linię — szeroką na dwadzieścia kilometrów — której miałem bronić na wschód od Brussow.
Szybko jednak sektor prawie całkiem opustoszał. Odebrano mi, kompania za kompanią, wszystkich towarzyszy z pułku flamandzkiego, by posłać ich nad Odrę, na trupy Walończyków.
Obrona na drugiej linii stała się całkowicie iluzoryczna. Dysponowałem już tylko ostatnim batalionem walońskich ochotników, by zamknąć dwadzieścia kilometrów terenu przed wrogiem, który napływał strumieniami.
Rosyjscy saperzy przerzucili przez Odrę jeden most — setki czołgów i dział artyleryjskich, całe dywizje przeleciały po nim jak burza. Sowieci utworzyli poza tym, kilka kilometrów w górę rzeki, dwa kolejne przyczółki, jeszcze szersze, niż ten przy autostradzie.
Kto zdoła jeszcze powstrzymać katastrofę?
Niemieckie dowództwo przekazywało surowe rozkazy: utrzymać pozycje! Ale dziesiątki tysięcy Rosjan sunęły na nasz bagnisty ugór! A wszystko dookoła nas stało w ogniu!
Trwaliśmy niewzruszenie na naszych pozycjach 22,23, 24 i 25 kwietnia, skoro takie były rozkazy.
Sowieckie lotnictwo objęło niepodzielne panowanie na niebie. Samoloty z czerwoną gwiazdą, rozdzierając pełne popiołów powietrze, nurkowały w naszą stronę strzelając, rozwalając ściany,

płoty, drzwi. Stanowisko dowodzenia pozostawało pod ciągłym ostrzałem. 25 kwietnia całe skrzydło budynku spłonęło. Następnie spłonęło centrum Brussow. Zwierzęta ryczały. Kobiety, postrzelone pociskami zapalającymi, wiły się na ziemi, z pożółkłymi palcami, paznokciami zagiętymi jak szpony koguta. Co kwadrans strzelanina rozpoczynała się na nowo.
O piątej po południu przybyły łącznik na motorze: korpus zrezygnował z obrony w Brussow, okrążonego już praktycznie przez wroga z obu stron. Mieliśmy wycofać się na nowe pozycje, na północny zachód od Prenzlau.
Natychmiast wysłałem moich ludzi w drogę. Ale sytuacja pogarszała się z minuty na minutę. Seria z samolotu przebiła trzy opony mojego Volkswagena. W pośpiechu starałem się je naprawić, a wokół mnie biegały oszalałe ze strachu prosiaki, które uciekły z płonących chlewów.
Wszędzie jak polne myszy, roili się Rosjanie.
Tamy puściły.
Co zrobić, by nie utonąć w tym wielkim, końcowym wirze?

W stronę Lubeki

Prenzlau był starym miastem o kościołach z czerwonej cegły, masywnych jak donżony, lecz ozdobionych i rozświetlonych wąskimi, delikatnymi, uroczymi ostro zakończonymi łukami.
Kiedy przechodziliśmy przez Prenzlau 25 kwietnia 1945 roku miasto było już w agonii. Od wielu dni sowieckie lotnictwo rozwalało dom po domu. Ruiny utrudniały ruch. Cywile uciekali z miasta w bezładnych grupkach.
Trzy tysiące oficerów z armii belgijskiej opuściło właśnie koszary w Prenzlau, gdzie zostali internowani po kapitulacji 28 maja 1940 roku. Z trudem posuwali się do przodu. Generałowie o czerwonych twarzach w odwróconych do tyłu kepi przystawali co chwilę na poboczu, by otrzeć spocone czoło. Jak grube niańki o przekrwionych twarzach pchali przed sobą wózki dziecięce, na których ułożyli cały dobytek. Nie należało spodziewać się po nich wielkich sportowych wyczynów. Rosjanie szybko ich ogarnęli.
Mieliśmy zająć pozycje oddalone o kilka kilometrów na północny zachód od Prezlau.
Ulokowałem punkt dowodzenia w zamku Holzendorf, gdzie pełno było grupek jęczących uciekinierów. Większość z nich została ewakuowana z Nadrenii na wschód. A teraz bolszewicy deptali im po piętach i przeganiali ich na zachód, tam, skąd przybyli!
Rosjanie będą tu rano.
Nadeszły rozkazy: mieliśmy wycofać się jeszcze dalej na północny-zachód, pokonać za jednym razem dodatkowe sześćdziesiąt kilometrów.
Zmęczenie plątało nam nogi. Ale bliskie zagrożenia dodawało każdemu sił, koniecznych do zrobienia kolejnego wysiłku.
Trzęśliśmy się starymi Volkswagenami, podziurawionymi dziesiątkami odłamków.
Na południowym wschodzie płonęło całe niebo, coraz bardziej czerwone...
Mieliśmy dotrzeć następnego dnia do miasta Waren w Meklemburgii, minąć wielkie jeziora znajdujące się w tych okolicach i zatrzymać się tymczasowo w sektorze Tottiner Hutte.
Wielu uchodźców położyło się na noc na poboczach po obu stronach drogi. Dziesiątki tysięcy kobiet, dzieci, starców, owiniętych w pierzyny, leżały skulone jeden obok drugiego, we mgle pod świerkami.
Tuż obok siebie jechały trzy rzędy pojazdów, kierowanych często przez francuskich jeńców, bardzo oddanych, którzy najwidoczniej uważali się za członków niemieckiej rodziny stłoczonej na wozach.
Moi żołnierzy świetnie sobie radzili. Nie tracąc czasu przemykali się zręcznie między stojącymi w korku pojazdami. Byli w doskonałych humorach.
Poradziłem im, by przyspieszyli kroku. Nie miałem najmniejszych złudzeń. Ściskałem między nogami w moim małym Volkswagenie niewielką radiostację, która działała na baterie. Stacje brytyjskie uprzejmie informowały mnie co godzinę o sytuacji.
Od dwóch dni front w Niemczech na odcinku brytyjskim został przerwany. Tommies przekroczyli Łabę na południowy wschód od Hamburga. Kierowali się na Lubekę, nie było co do tego cienia wątpliwości. Jeśli nie dotrą jako pierwsi do tego bałtyckiego portu, zostaniemy zduszeni przez Rosjan.
Musiałem za wszelka cenę wyrwać ludzi z tej matni, utrzymać się na drodze i dotrzeć do Lubeki na czas. Potem zobaczymy. Nie mogliśmy oddać walki po jednej rundzie i poddać się bezwolnie jak to ospałe stado, które leżało wzdłuż drogi i czekało w kurzu, aż zwycięzca wprowadzi swe bezwzględne prawa.

Z Lubeki być może będziemy mogli wycofać się dalej na północ. Poganiałem moich żołnierzy jak tylko mogłem.
Byliśmy jednak jeszcze bardzo daleko od Bałtyku.
A bieg wydarzeń uległ przyspieszeniu.
***
30 kwietnia 1945 roku o ósmej rano w radiu Londyn usłyszałem zaskakującą nowinę: „Himmler negocjuje zawieszenie broni!". Rozmowy miały ponoć miejsce w okolicach Lubeki.
Dowódca dywizji „Langemarck" dołączył do mnie w Tottiner Hutte. Od dwóch dni daremnie próbowaliśmy, on i ja, nawiązać kontakt z naszym korpusem. Odwrót odbywał się tak szybko i w takim zamieszaniu, że pierwszy raz od początku wojny, mimo całego opanowania dowództwa, nie udało się nawiązać łączności. Nie tylko nie mogliśmy dowiedzieć się, co nasze dywizje mają robić, ale nawet gdzie znajduje się sztab. Ciężarówki-radia znikły. Już żaden łącznik nie był w stanie przedrzeć się przez powódź wozów i uciekinierów. Byliśmy zdani tylko i wyłącznie na siebie.
Faszystowskie Włochy upadły. Mussolini został zamordowany z okrutnym sadyzmem; jego zwłoki wisiały, zaczepione za stopy jak martwe bydło, w samym środku Mediolanu.
Starannie ustawiłem moje baterie, tak, by jak najlepiej chronić zagrożonych żołnierzy.
Przed opuszczeniem Berlina, 20 kwietnia, przewidując najgorsze, kazałem dostarczyć sobie kilka tysięcy kart zagranicznych robotników.
Nadszedł czas, by je wykorzystać.
Rankiem 30 kwietnia kazałem dowódcom jednostek rozdać je w tajemnicy żołnierzom. Dzięki temu, jeśli niektóre kompanie znajdą się w rozsypce kiedy nadejdzie ostateczny cios, ci z naszych żołnierzy, którzy nie chcą się poddać, będą mogli zamienić mundur na jakieś łachy, podać się za deportowanych robotników, uniknąć internowania w obozach jenieckich i dzięki tym opatrznościowym dokumentom dotrzeć do zaprzyjaźnionych domów w Belgii lub Rzeszy, albo też znaleźć schronienie za granicą, jak też uczyniło przeszło trzy tysięce z nich.
Od stu godzin nasi ochotnicy maszerowali w dzień, maszerowali w nocy. Nigdzie nie pozwalałem im na odpoczynek. Nie mogliśmy ustąpić przed przeszkodą, stracić głowy, lecz wręcz przeciwnie musieliśmy uczepić się możliwości przeżycia, spróbować dotrzeć do Danii, potem do norweskiego lodowca, gdzie, być może, będzie kontynuowana walka. Musiałem próbować dosłownie wszystkiego, by moi żołnierze nie pogrążyli się w mrocznej anonimowości ostatecznej klęski.
Nie mogłem już sobie pozwolić na myślenie, że jakiś cud zdoła zatrzymać falę Sowietów. Nie istniała już żadna linia obrony, żaden opór. Dalsze trzymanie się rutyny oznaczało samobójstwo.
Sporządziłem rozkazy odwrotu w kierunku Lubeki dla dowódców pułków i batalionów: mieli posłużyć się wszelkimi dostępnymi środkami transportu, wsadzić oddziały na jakiekolwiek pojazdy.
Ustawiłem moich walońskich żandarmów na wszystkich skrzyżowaniach, by kierowali naszych towarzyszy z jednego postoju na drugi, poganiali maruderów i oszczędzali im wszelkich komplikacji.
Postanowiłem, że za wszelką cenę muszę spotkać się z Himmlerem, by uzyskać jasne rozkazy dla mojej dywizji i dla dywizji „Langemarck", i przypomnieć mu o istnieniu dziesiątek tysięcy zagranicznych ochotników, najdzielniejszych z dzielnych. Czy jeszcze o nich pamiętają w rozmowach w Lubece? Czy też pozwolą im pogrążyć się w otchłani?
Dopóki istniała jakakolwiek szansa na uratowanie moich chłopców, dopóty chciałem ją wykorzystać. I przecinając pola na przełaj, mijając w pośpiechu wszystko, co było przede mną, jechałem Volkswagenem w kierunku Lubeki, do Himmlera.

„Hitler nie żyje"

Droga do Lubeki stanowiła doskonałą ilustrację ogólnej sytuacji 30 kwietnia 1945 roku.
Aż do Schwerinu potężna, hałaśliwa rzeka cywili i wojskowych napływająca ze wschodu rozlewała się swobodnie po całej okolicy.
W Schwerinie łączyła się z drugim nurtem.
Tylko zamek książęcy wśród wód w kolorze popiołu zdołał zachować spokój kamieni, które oglądały przemijających ludzi i wieki. Reszta miasta tonęła w tłumie wrzeszczących ludzi, którzy napływali ze wschodu i z zachodu.
Właśnie tam uświadomiliśmy sobie, że koniec wojny stał się rzeczywistością. Rzeka ludzi spływająca z Waren uciekała przed czołgami sowieckimi. Druga fala ludzka napływała znad Łaby w ucieczce przez Anglikami. Dwie alianckie ofensywy zbliżały się do siebie coraz bardziej, jak domykające się skrzydła drzwi.

Bliskość Anglików była wypisana na niebie. Za Schwerinem grupy samolotów szturmowych zawzięcie patrolowały wszystkie drogi.
Brytyjskie maszyny pikowały w stronę kolumn, skąd natychmiast unosiło się dziesięć, dwanaście grubych snopów dymu. Płonęły baki z paliwem. Płonęły opony. Płonęły bagaże.
Odcinek pięciuset metrów, kilometra obejmował wielki pożar, gęsty, nieprzenikniony, rozrywany kolejnymi wybuchami.
Zmiażdżone wozy przygniatały uciekające kobiety. Drogę blokowały niekończące się kolumny porzuconych pojazdów. Mój Volkswagen i samochód szefa sztabu z wyjątkowym trudem przedzierały się przez te szczątki i zgliszcza. Co pięć minut musieliśmy wyskakiwać na pobocze, a serie z myśliwców łomotały nam nad głowami.
Najtragiczniejszy widok przedstawiali ranni żołnierze. W pośpiechu ewakuowano okoliczne szpitale. Nie było jednak ani jednego ambulansu. Wysłano więc w drogę setki biednych chłopców na piechotę z rękami w gipsie, z głowami okręconymi bandażami. Wielu szło o kulach.
Musieli dojść do Bałtyku pieszo, pod ciągłym ostrzałem, między płonącymi ciężarówkami, w nieprzeliczonym tłumie uciekającej ludności.
***
Jechałem do przodu bardzo powoli, ale w końcu po południu dotarłem do Lubeki, do sztabu głównego wielkiego admirała Donitza.
Jeden z jego bezpośrednich współpracowników zaprowadził mnie w kąt biura i półgłosem — był 30 kwietnia 1945 roku, wpół do szóstej po południu — przekazał nowinę, która zmroziła mi krew w żyłach:
— Proszę uważać: jutro ogłoszą śmierć Fuhrera!
Czy rzeczywiście Hitler nie żył? Czy może próbują zyskać na czasie, zanim ogłoszą tę straszną wiadomość? Albo może szykują coś innego?
W każdym razie już na dzień przez historycznym oświadczeniem wielkiego admirała Dónitza: „Dzisiaj, pierwszego maja, o drugiej trzydzieści po południu, Fuhrer zginął bohaterska śmiercią podczas walk o Berlin", usłyszałem na ucho w sztabie wielkiego admirała wiadomość o „zgonie" Hitlera.
Jeszcze bardziej przekonałem się, że finał jest bliski, kiedy dotarłem do znajdujących się na północ od Lubeki, nad brzegiem pokreślonej deszczem zatoki, biur sztabu głównego Waffen SS „Musi się pan pospieszyć, jeśli chce pan się zobaczyć z Himmlerem, to już kwestia kilku godzin!". Nikt jednak nie wiedział gdzie dokładnie znajduje się Reichsfuhrer SS.
Pokazany mi tylko na mapie zamek, w którym powinien był zainstalować swoje stanowisko dowodzenia. By tam dotrzeć, należało najpierw wrócić do Lubeki, a następnie wyruszyć drogą na wschód i przejechać wzdłuż Bałtyku jakieś czterdzieści kilometrów w kierunku na Wismar.
Było mi bardzo trudno jechać w czarną jak smoła noc, pod prąd sznura tysięcy ciężarówek, które przedzierały się na północny zachód. Te potwory mogły zmiażdżyć nas w każdej chwili.
Kiedy o drugiej nad ranem dojechaliśmy do okolic Kladow, uderzyło mnie zaskakujące zjawisko. Długie białe smugi światła z reflektora rozjaśniały sąsiedni brzeg i niebo. To musiało być lotnisko Himmlera. Ale jeśli oświetlają okolice w taki sposób, oznacza to, że wróg nie ma nic przeciwko temu.
Wyobraziłem sobie Himmlera lecącego o tej porze przez ciemną noc.
Rzeczywiście gdzieś latał.
Kiedy w końcu, po bardzo długim błądzeniu w okolicznych piaszczystych lasach, dotarłem do zamku, gdzie schronił się jego sztab, budynek wyglądał na opustoszały.
Była to mroczna neogotycka budowla z 1900 roku, idealna dekoracja do filmu grozy. Wąskie i ledwo oświetlone korytarze i schody sprawiały posępne wrażenia. Sztandary cechów wisiały jeden obok drugiego, jak chorągwie żałobne. W refektarzu na ścianach wisiały współczesne obrazy, przedstawiające wszelkiego rodzaju żarłoków, skarykaturowanych nieświadomie na sposób Picassa. Na blankach z czerwonej cegły i pod drżącymi osikami w parku stali policjanci o pociągłych, zniszczonych i poszarzałych twarzach.
W głębi budynku znalazłem tylko szefa specjalnego pociągu Himmlera, bon vivanta, zawsze usłużnego, o twarzy nakrapianej szarymi punkcikami, jakby służyła za tarczę strzelniczą całej kolonii much.
Zaprowadził mnie do biura jakiegoś pułkownika o znużonych, wyblakłych oczach.
Pozdrowiłem go zwyczajowym Heil Hitler. Ale w odpowiedzi nie usłyszałem drugiego Heil Hitler. Wydało mi się to dziwne. Zacząłem ostrożnie wypytywać. Wszyscy wydawali się strasznie zakłopotani. Wszystko wskazywało na to, że temat Hitlera stał się zakazany w rozmowach w tych grobowych salach.

Nikt nie potrafił mi powiedzieć, kiedy wróci Himmler. Poleciał samolotem „gdzieś na północ".
Zjawił się rankiem, jak wicher. Zatrzymał się tylko na kilka minut. Nie zdążyliśmy go nawet zobaczyć. Kiedy wyszliśmy na schody już go nie było. Pojechał blady, nie ogolony. Zobaczyliśmy tylko trzy samochody, które odjeżdżały piaszczystą drogą.
Mimo wszystko Himmler zdążył podpisać przygotowany w nocy na moją prośbę rozkaz wycofania dywizji Walonia i dywizji Langermack w kierunku Bad-Segeberg, miejscowości w Szlezwiku Holsztynie, na północny zachód od Lubeki.
Oświadczył również, że pragnie się ze mną spotkać. Miałem znaleźć sobie jakieś lokum w okolicy i poczekać na jego powrót.
Szybko wsadziłem mojego szefa sztabu, który przewoził oficjalne rozkazy, do jednego z naszych Volkswagenów i wysłałem na spotkanie walońskich i flamandzkich oddziałów, które podążały drogą z Schwerinu. Jednocześnie wysłałem adiutanta drugim samochodem do Bad-Segeberg, by przygotował odpowiednie kwatery dla naszych wycieńczonych marszem żołnierzy. Oficer ten miał również poinformować o rozkazach Himmlera żandarmerię i komendanturę w Lubece.
Zostałem sam.
Zatrzymałem się w małym domku kowala przy drodze do Wismaru. Wziąłem krzesło i usiadłem na progu domu, tak jak często siadywałem, kiedy byłem mały, wieczorami u boku rodziców, w moim rodzinnym mieście.
Szosą przejeżdżały setki ciężarówek. Myśliwce bardziej niż kiedykolwiek ostrzeliwały drogi. Serie z broni maszynowej rozlegały się na wschodzie, na północy, na zachodzie, nad niekończącymi się sznurami czerwono-szarych zgliszczy.
Oddałem się marzeniom. Moje oczy błądziły w pustce, tak jakby świat, w którym tak intensywnie żyłem, stracił już oddech i zamienił się w smętne pogorzelisko.
Morze Bałtyckie znajdowało się o pół godziny drogi, na końcu pól, na których kiełkowało kwietniowe zboże. O zmroku usiadłem na wielkim brązowym kamieniu. Wieczór było lekko różowy. Nie docierał tu zgiełk zapchanych dróg. Tylko od czasu do czasu samotny niemiecki samolot przelatywał wzdłuż morza, tuż nad wodą, by pozostać niewidocznym.
Czy moje marzenie umrze tak jak to blade niebo, które ogarniała noc?
Wstałem, wróciłem przez świeżo obsiane pola i położyłem się w ciemnościach z całym ekwipunku, w pobliżu nieruchomego kowala.
O drugiej nad ranem ktoś gwałtownie załomotał do drzwi. Pobiegłem otworzyć.
Skromną izbę oświetlała jedna świeca. Przede mną stał na baczność młody niemiecki pułkownik, o ściągniętych rysach twarzy. Przysłał go Himmler.
Zrozumiałem, zanim zdążył powiedzieć choć słowo.
Stanąłem na baczność.
— Fuhrer nie żyje - wyszeptał.
Staliśmy obaj bez słowa. Kowal też zamilkł.
A potem dwie łzy, łzy ze szczerego serca, popłynęły po jego starych, ogorzałych policzkach...

Malente

Niemiecki pułkownik, który powiadomił mnie o śmierci Hitlera, dodał, że Himmler jeszcze tej nocy ma zamiar opuścić okolice i przenieść się na północ od Lubeki w kierunku Kilonii, do Malente.
Ta chorobliwa nazwa miała w sobie coś z gorączkowej ospałości.
Himmler prosił, bym się tam z nim spotkał po południu 2 maja, o godzinie trzeciej.
Resztę nocy spędziłem rozmyślając o Hitlerze.
Nie wiedziałem co napisano w oświadczeniu admirała Donitza, w gruncie rzeczy fałszywym. Nie miałam więc żadnych wątpliwości co do śmierci Fuhrera.
Pamiętałem go jako człowieka prostego, o wrażliwym sercu, krzyczącego o geniuszu i potędze. Jego naród kochał go i pozostał mu wierny do samego końca. Przez całą wojnę nie pojawiła się nawet najmniejsza rysa na wspaniałym gmachu lojalności niemieckich mas wobec człowieka, który był znany ze swej bezinteresowności, uczciwości, troski o społeczeństwo i przywiązania do idei germańskiej wielkości.
Fakt praktycznie niespotykany w historii światowej: lud katowany, miażdżony, skazany na najgorsze cierpienia, jakie kiedykolwiek jakikolwiek naród musiał znosić, nigdy nie zbuntował się przeciwko swemu przywódcy, który wprowadził Niemców na tę straszną drogę.
Byłem przekonany, że w tej chwili w każdym domu, na każdym wozie na drogach, ludzie płaczą i modlą się za niego. Ale nikt, byłem tego pewien, nie miał do niego żalu. Nikt się nie żalił. To jego żałowano.

Zmarł jak zwycięski bóg, przy akompaniamencie donośnego huku końca świata, jak w operach Wagnera. Odejść w ten sposób, to odrodzić się z nadludzką siłą w wyobraźni narodu, w legendzie, która nigdy już nie zgaśnie.
***
Ale co będzie jutro? Jak będzie wyglądał pierwszy dzień po tej stracie?
Śmierć Fuhrera oznaczała upadek Berlina.
Południe Rzeszy zostało rzucone na kolana. Północ zalewała potężna fala.
Wojsko już nie walczyło, nie dlatego, że brakowało mu odwagi czy dyscypliny, ale dlatego, że nie było już frontu, czołgów, amunicji, łączności. Drogi zamieniły się w pasma cierpienia, głodu, krwi.
Śmierć Hitlera oznaczała koniec walki w Niemczech.
O piątej nad ranem przed kuźnią zatrzymał się mój Volkswagen. W Bad-Segeberg mój adiutant usłyszał przez radio wiadomość o śmierci Fuhrera. Natychmiast pojął, że wszystko lada moment legnie w gruzach. Pędem zawrócił i drugi raz ruszył w nocy, pod prąd uciekających ludzi, by mnie ratować. Po ośmiu godzinach wysiłków zdołał pokonać te czterdzieści kilometrów.
Natychmiast wyruszyłem w drogę.
Tysiące ciężarówek tarasowały drogi. W miarę jak zbliżaliśmy się do Lubeki napotykaliśmy coraz więcej przeszkód praktycznie nie do pokonania. A za naszymi plecami pędziły jak szalone alianckie czołgi. Dziesięć kilometrów przed Lubeką droga wchodziła w las, który ciągnął się do samego miasta. Tam sytuacja wyglądała już tragicznie. Kolumny potężnych niebiesko-białych ciężarówek szwedzkiego Czerwonego Krzyża próbowały jechać na wschód z pomocą dla uwolnionych więźniów politycznych, którzy uciekali z Waren i ze Schwerinu przed oddziałami armii sowieckiej.
Wszyscy chcąc przejechać nie pozwalali przejechać nikomu.
Uciekłem się do innych sposobów i wjechałem Volkswagenem na przebiegający niedaleko nasyp tramwajowy. Pokonaliśmy w ten sposób ostatnie kilometry kolebiąc się na boki i usiłując zachować równowagę na szynach.
***
Lubeka tonęła w słońcu.
Dumne hanzeatyckie miasto stosunkowo niewiele ucierpiało podczas bombardowań. Nadal wznosiła w lśniące powietrze szlachetne domy ze starych spatynowanych cegieł i gotyckie budowle wspaniałych przeszłych wieków, kiedy pełnomorskie żaglowce niemieckiej Hanzy pokonywały wody Bałtyku i Morza Północnego.
Na każdym skrzyżowaniu moi żandarmi czekali na walońskich i flamandzkich ochotników, by ich kierować do Bad-Segeberg. W koszarach w Lubece znalazłem pierwszy kontyngent. Kiedy tylko większa część oddziału dołączy do nas, utworzymy w Bad-Segeberg, na wszelki wypadek, solidny czworobok.
Ponieważ podjąłem już ostateczna decyzję: albo los antybolszewickich ochotników zostanie uregulowany w chwili podpisania zawieszenia broni, albo jako jednostka cudzoziemców nie uznamy negocjatorów niemieckich. Będziemy się bić jak szaleńcy tak długo, jak to będzie konieczne, tak długo aż zagwarantuje się nam możliwość ludzkiego i honorowego złożenia broni.
By przeforsować takie rozwiązanie postanowiłem oddać się w ręce politycznej policji belgijskiej, jako że to ja byłem twórcą legionu, pod warunkiem jednak, że moja krew, złożona w ofierze nienawiści, przyniesie wyzwolenie moim towarzyszom z frontu wschodniego. Inaczej nasza straceńcza walka będzie trwała dalej, zarówno przed, jak i po zawieszeniu broni.
Moi żołnierze nie byli cyframi. I mogliby długo bronić się w naszym forcie Chabrol.
Niestety! Kilka godzin później potężna nawałnica z hukiem zdruzgotała me plany. Ja jednak uparłem się i miałem zamiar próbować zrealizować je jeszcze w Kopenhadze, a nawet w Oslo. Lecz tajfun, który nami szarpał niebawem zdmuchnie wszystko...
***
Zostałem w koszarach w Lubece do popołudnia.
Wysłałem pierwszy pododdział oficerów i żołnierzy w drogę do Bad-Segeberg, gdzie sam miałem pojawić się pod koniec dnia, po spotkaniu z Himmlerem.
Następnie ruszyłem do Malente.
Lekko pagórkowata okolica tchnęła świeżością i harmonią: sosny, brzozy, szerokie ciemnozielone pastwiska, niebieskie i czarne jeziora otoczone willami i hotelami. Przejechałem najpierw przez malutkie urocze miasteczko Eutin. Z wielkim trudem znalazłem stanowisko dowodzenia Himmlera, znajdujący się za lasem, na oddalonej od Malente farmie.
Himmlera nie było. Nowiny były katastrofalne. Anglicy zajęli Schwerin i odcięli wojska nadciągające z Meklemburgii.

Atmosfera była makabryczna.
Po pokojach chodzili bez celu zgarbieni wysocy funkcjonariusze policji, szepcząc, wyjaśnili mi z żalem, że Himmler wyjechał nie wiadomo gdzie i nikt nie wiedział czy jeszcze wróci.
Wróciłem do Volkswagena. Trudno! Poradzę sobie sam z moimi żołnierzami! I ruszyłem na południe drogą z Lubeki i z Bad-Segeberg.
***
Była czwarta po południu.
Ledwo wyjechałem z lasów Malenty i dotarłem do szosy do Eutin, kiedy zrozumiałem jakie czekają mnie przeszkody. Brytyjskie samoloty bombardowały każdy kilometr drogi z orgiastyczną wręcz zaciętością.
Na poboczach, na progach domów leżały, daremnie czekając na pomoc, nieszczęsne kobiety i dzieci, z poranionymi nogami i strzaskanymi kośćmi przez okropne pociski zapalające.
Kiedy wyjechałem z Eutin na drogę do Lubeki, zobaczyłem przed sobą dantejskie sceny. Płonęły setki wozów uciekinierów, setki wojskowych ciężarówek. Szosa była jednym wielkim snopem płomieni.
Wszyscy kierowcy leżeli na poboczach albo uciekali przez pola.
Łatwo można było poznać rozkład dróg w całej okolicy patrząc na niebo, zacięte jak albatrosy myśliwce nadlatywały szóstkami, nurkowały, ostrzeliwały, robiły szeroki nawrót i od nowa zaczynały piekielną robotę.
Mimo wszystko chciałem dotrzeć do celu.
Jechałem aż do chwili kiedy samoloty zaczynały pikować. Wtedy zostawiałem Volkswagena między dwiema płonącymi ciężarówkami. To było najlepsze miejsce. W kłębach płomieni i dymu mój samochód był mniej widoczny. Kiedy ostrzał się kończył ponownie wskakiwałem do pojazdu i robiłem pięćset metrów zanim samoloty zdążyły znów zaatakować.
Niemiecki kierowca, koło którego schowałem się za jakimś wiejskim płotkiem, powiedział mi, że Anglicy są już w Lubece. Nie uwierzyłem mu. Rankiem niemieckie oddziały jeszcze zajmowały Hamburg. Nie. Była to jakaś plotka, było to niemożliwe.
Dotarliśmy do skrzyżowania z drogą do Bad-Segeberg.
Tam ostrzał znacznie się nasilił. Boczną drogą, podobnie jak drogą z Lubeki, szalonym pędem nadbiegali żołnierze. Podszedłem do majora, który rozmawiał z kilkoma z nich: wszyscy stracili swe ciężarówki w płomieniach niedaleko nas. Wszyscy mówili jednak to samo: Lubeka się poddała o czwartej po południu bez jednego wystrzału. W szpitalach w całym mieście było przeszło dwadzieścia tysięcy rannych. Mosty były nietknięte. Angielskie czołgi wyjeżdżały na drogę tuż przed nami.
— A Bad-Segeberg?
To był ostateczny cios: Bad-Segeberg także był w rękach wroga!
Nie chciałem w to uwierzyć! A jednak to była prawda. Hamburg został ogłoszony miastem otwartym jeszcze tego ranka. Zaraz potem przejechały przez miasto brytyjskie czołgi, które bez walki pokonały przeszło sto kilometrów w kierunku na północ. Myśliwce oczyszczały im drogę. Po południu Bad-Segeberg zostało zajęte.
Stałem zaskoczony, ogłuszony. W południe byłem jeszcze z moimi towarzyszami, którzy zdołali uciec z meklemburskich kleszczy. Wystarczyło kilka godzin, bym ich stracił. Nie mogłem ich uratować, ani nawet być z nimi w tych przerażających chwilach. Zostali przy mnie tylko dwaj oficerowie i jeden żołnierz. Wszystko przepadło. Ta katastrofa spadła na mnie nagle, jak grom. Nie mogliśmy już nic zrobić, chyba już tylko próbować ratować własne życie przed nadciągającym tajfunem.
***
Mimo wszystko miałem nadzieje, że w Danii odnajdę choć część mych chłopców. Dwustu ludzi zostało w samą porę wysłanych do Rostocku. Stamtąd mogli popłynąć dalej. Inni, którzy nie zdążyli dotrzeć do Lubeki, także powinni byli osiągnąć wybrzeże. Moi żołnierze potrafili sobie radzić po mistrzowsku w każdej sytuacji. Tam, gdzie nikt nie był w stanie przejść, oni przedzierali się zawsze.
Ale ja sam znajdowałem się czterysta kilometrów od Kopenhagi. Mój Volkswagen ledwo zipał. Miałem w zapasie tylko trzydzieści litrów alkoholu z ziemniaków. A cała droga stała w ogniu.
Ale dopóki była nadzieja, dopóty chciałem wierzyć i walczyć. Ruszyłem na północ. Przy każdym ataku lotniczym bałem się, że w końcu jakaś seria z broni maszynowej zniszczy mój mały samochodzik. Miał już wszędzie dziury po kulach, na szczęście jednak żadna z nich nie trafiła w silnik.

Setki płonących ciężarówek blokowały wszystko. Minister Speer, kiedy jego auto utknęło w tym korku, próbował samodzielnie oczyścić nieco drogę. Otaczali go członkowie sztabu organizacji Todta, odziani we wspaniałe mundury w kolorze pistacji i gęsiej kupki. Ci przebierańcy stanowili najzabawniejszy element w całym tym tłumie.
Udało mi się wjechać samochodem na pola i dzięki temu przesunąłem się kilka dalszych kilometrów po rozoranych bruzdach.
Nagle na bocznej drodze zobaczyłem nadjeżdżający długi czarny samochód. Za kierownicą siedział bardzo blady mężczyzna z zaciętą miną, na głowie miał skórzaną czapkę.
Poznałem go. To był Himmler.
Rzuciłem się za nim szalonym pędem w pogoń.

Kilonia-Kopenhaga

Nie zdołałem długo utrzymać się za szybkim samochodem Himmlera. Ale wiedziałem w jakim kierunku zmierza: jechał do Malente.
Mój rozchwiany Volkswagen zrobił wspaniałe wejście na dziedziniec willi Reichsfuhrera dokładnie w chwili, kiedy do samochodów wsiadało całe dowództwo policji.
Himmler przekazywał jeszcze rozkazy dwóm generałom SS. W jednym z nich rozpoznałem mego dobrego znajomego, sławnego profesora Gebhardta, lekarza króla Belgów, Leopolda III. Podszedłem do nich. Himmler przywitał się ze mną, okazując mi najszczerszą sympatię.
Jego opanowanie było niewiarygodne. Wszystko było stracone. Przede wszystkim dla niego. Wykazywał jednak niezwykły spokój. Zapytałem go, co ma zamiar zrobić: „Jestem Niemcem, odpowiedział, nie opuszczę niemieckiej ziemi." Dotrzymał słowa. I to właśnie ta niemiecka ziemia okrywa dzisiaj jego kości gdzieś przy drodze do Luneburga.
Poradził mi, bym jak najszybciej wyruszył do Kopenhagi i tam przegrupował mych żołnierzy. Niemiecki gubernator Danii, dr Best, był z nim blisko związany. Przekazał mu odpowiednie instrukcje w tej kwestii.
Mrugał małymi oczkami w półmroku zapadającego zmierzchu. Zawsze taki suchy i oszczędny w okazywaniu uczuć, mocno uścisnął moje ręce: „Dochowaliście wierności, pan i pana Walończycy, do końca byliście u naszego boku w walce i w nieszczęściu. Pewnego dnia Niemcy przypomną sobie o tym."
Rzucił krótkie rozkazy i siadł za kierownicą.
Nagle, kiedy już miał ruszyć, opuścił szybę w drzwiach i powiedział dobitnie te słowa: „Degrelle, pewnego dnia będzie pan potrzebny. Wszystko szybko ulegnie zmianie. Niech pan zyska sześć miesięcy. Musi pan żyć!"
Odjechał.
Piętnaście wielkich samochodów ruszyło za nim na północ.
Mój skromny Volkswagen próbował jechać za tym warczącym orszakiem. Szybko jednak pozostał w tyle. I musiał sam przedzierać się na nędznym alkoholu z ziemniaków przez nieprzeniknione ciemności.
***
Godzinę później natknąłem się na całą kolumnę.
Droga była nieprzejezdna z powodu setek lejów po bombach. Samochody musiały skręcić na południe. Cztery kilometry przed nami potężna flotylla samolotów nadleciała nad Kilonię.
Himmler kazał przejechać małą boczną dróżką. Bomby spadały kaskadami na port.
Zrobiono postój. Potem kolumna ruszyła dalej.
Ale już pojawiła się kolejna fala alianckich bombowców. Znajdowaliśmy się u rogatek miasta. Musieliśmy porzucić samochody na szosie i iść dalej przez błotniste ogrody. Dwie sekretarki Himmlera, jedna wysoka, koścista brunetka o nogach jak szczudła, i druga, mała tłuścioszka, z twarzą pokrytą krostami i pryszczami, szły równo z generałami i policjantami. Biedaczki oczywiście pogubiły w błocie pantofle. Himmler krzyczał usiłując utrzymać porządek w grupie: „Dyscyplina, moi panowie, dyscyplina!".
W końcu wsadził z powrotem całe towarzystwo do wielkich samochodów. Ruszyły ponownie na południe w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Już nie wróciły. Pożegnałem Himmlera na zawsze.
***
Bombardowanie Kilonii trwało wiele godzin. Setki bomb spadały tuż obok nas. Ziemia drżała jakby emitowała fale. Gigantyczne łuny rozświetlały niebo. W końcu udało nam się prześlizgnąć między stertami gruzu, wyrwanych torów tramwajowych i tłumem, wychodzącym w grobowej ciszy ze schronów.

Przejechaliśmy przez główny most w Kilonii.
Volkswagen jechał posłusznie przez chłodną noc. Ale w pewnej chwili coś w nim zaczęło postukiwać. Za dużo już przejechał, za dużo przeżył. W końcu zatrzymał się. Padł na dobre. Zepsuł się korbowód.
Była może trzecia nad ranem.
Alianci o tej porze pewnie znajdowali się już na wszystkich drogach. Zginiemy głupio z powodu zepsutego silnika.
Nie mając mapy okolic szybko zgubimy się w ciemnościach. Znajdowaliśmy się na małej opustoszałej dróżce.
Na szczęście o wschodzie słońca pojawiło się jakieś auto. Siedliśmy okrakiem na błotnikach. Mój biedny Volkswagen został na drodze. Przegrał wojnę i melancholijnie czekał na Anglików...
Przed południem dotarliśmy do Flensburga, gdzie jakiś generał dał mi nowy samochód. O pierwszej po południu wjechaliśmy na duńską brukowana drogę, biegnącą pomiędzy bujnymi łąkami, żyznymi, złotymi polami, na końcu których rosła kępa drzew, stały młyny, białe domki o malutkich niebieskich, zielonych lub jaskrawo czerwonych okiennicach.
***
W Danii również czuło się, że to koniec.
Wycofujące się oddziały niemieckie miały surowy zakaz przekraczania granicy niemiecko-duńskiej. Przez godzinę celnicy trzymali nas na granicy, dopiero po telefonie od samego feldmarszałka Keitla pozwolili nam jechać dalej.
Przed nami sunął sznur autobusów szwedzkiego Czerwonego Krzyża, który transportował setki więźniów, uwolnionych z niemieckich obozów koncentracyjnych.
W każdej miejscowości tłumy wybiegały na drogę, by ich powitać.
Nasze małe auto SS na końcu pochodu nie wzbudzało takiego samego entuzjazmu. Mężczyźni pokazywali nam pięści, kobiety zaś podkasywały spódnice i ukazywały zgoła co innego, zresztą bardzo uroczego.
Tylko my byliśmy w mundurach i zupełnie niechcący wmieszaliśmy się w tę manifestację, która powtarzała się w każdej miejscowości. Nie było szans, by wyminąć konwój. Musieliśmy tak przejechać lesistą Jutlandię, przeprawić się przez mały Bełt po wspaniałym moście we Fredericii, dojechać następnie do portu w Nyborg, na Fionii.
Miasto Nyborg było już oficjalnie pod okupacją. Niemieckie oddziały, tak jakby same chciały się internować, trzymały się za szeroką siatką z drutu kolczastego.
Teraz musieliśmy na pokładzie jakiegoś statku przeprawić się przez Duży Bełt. Atmosfera była jak naładowana prądem elektrycznym. Liczne niemieckie statki, obładowane dziesiątkami tysięcy uciekinierów z Rzeszy stały w porcie, lecz nie próbowały wysadzać pasażerów na ląd.
Najpierw załadowaliśmy na pierwszą barkę ciężarówki szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Oswobodzeni więźniowie byli witani bardzo serdecznie, obsypywani kwiatami. Tłum śpiewał hymny. My natomiast w każdej chwili spodziewaliśmy się, że wrzucą nas prosto do morza. Czekaliśmy cztery godziny. W końcu wypłynęliśmy. Załoga była strasznie opieszała. Było już głęboka noc, kiedy dopłynęliśmy do Zelandii.
W okolicach było pełno ludzi z bronią. Musieliśmy pokonać jeszcze przeszło sto kilometrów, by dotrzeć do Kopenhagi drogą lądową. Była druga nad ranem, kiedy minęliśmy zasieki z drutu kolczastego, które zagradzały wejście do niemieckich budynków na Wielkim Placu.
***
Moja przewidywania okazały się słuszne. W Kopenhadze znajdowała się już cała grupa Walończyków, którzy przybyli tu drogą morską. Witaliśmy się z okrzykami radości.
Ustaliłem z Gruppenfuhrerem Panke, dowódcą SS w Danii, że moi ludzie w miarę napływu do Kopenhagi będą odsyłani do Norwegii, gdzie przegrupujemy się i poczekamy na rozwój wydarzeń.
Tam znajdował się ostatni front antybolszewieki. Trzysta tysięcy żołnierzy niemieckich w Norwegii było doskonale uzbrojonych i zaopatrzonych. Mogli długo jeszcze stawiać opór. Złożą broń jako ostatni i z pewnością uzyskają najlepsze warunki.
Omówiłem wszystkie szczegóły dotyczące przerzutu moich ludzi. Ustaliliśmy, że pierwsza grupa Walończyków wyruszy do Oslo już nazajutrz.
Plany te trochę nas uspokoiły. Słońce mocno grzało. Wyglądaliśmy przez okna. Kopenhaski Wielki Plac roił się od ludzi. Był akurat dzień targowy. Gdzieniegdzie widać było grupki żonglerów zabawiających tłum. Patrzyliśmy na ten barwny spektakl z rozbawieniem, jak prawdziwi turyści.
***

Generał SS zaoferował mi gościnę w swym wiejskim domu Haus Viking, który stał przy wyjeździe z miasta, nad brzegiem morza. Dom był pusty. Mógłbym w nim wreszcie trochę odpocząć. Następnego dnia rano samolot miał mnie zabrać do Oslo.
Popołudnie było cudowne.
Willa była bardzo gustownie urządzona. Z okien widziałem spokojne, niebiesko-szare morze, poprzecinane jedynie przy brzegu malutkimi falami. Wieczorem podano obfitą kolację. Pomimo wojny Duńczycy żyli nieźle: ciasta, masło, śmietana, jajka, sery, boczek, najróżniejsze wyroby z wieprzowiny w dużej ilości.
Mimo wszystko czułem jakiś niepokój.
Przysunąłem blisko siebie odbiornik radiowy.
Była może dziewiętnasta trzydzieści: wydało mi się, że w jakiejś niemieckiej audycji mówiono o kapitulacji Danii. Biegałem od jednego radia do drugiego, aż w końcu usłyszałem to złowróżbne zdanie: „Wojska w Danii podpisały bezwarunkową kapitulacje. Żołnierze złożą broń jutro rano o godzinie ósmej".
Próbowałem dzwonić do biur SS: słyszałem w słuchawce jedynie krzyki rozszalałego tłumu, który szturmował budynki.
Odezwały się wszystkie dzwony w mieście.
Łapka na myszy zamknęła się.

Partyzanci i Anglicy

Był piątkowy wieczór 4 maja 1945 roku.
Wraz z dwoma adiutantami i szoferem zrobiliśmy bilans: kapitulacja wojsk na północy Rzeszy i w Danii była faktem, byliśmy sami na końcu Kopenhagi, w dzielnicy, której kompletnie nie znaliśmy, a na dodatek zajmowaliśmy willę generała SS, co z pewnością nie polepszało naszej sytuacji.
Młodszy z oficerów chodził nerwowo po pokoju:
— Jutro będzie za późno, — powtarzał — musimy natychmiast znaleźć jakieś wyjście. Pojadę do niemieckiego sztabu!
Zabrał ze sobą szofera, wsadził pistolet maszynowy między nogi.
Piętnaści minut później ruszył do centrum miasta, w którym trwały rozruchy. Ludność cywilna atakowała pojedynczych żołnierzy, którzy nie zdążyli schronić się na czas. Oficer, szofer, radio zniknęli w ciemnościach.
O jedenastej wieczorem bilans był jeszcze prostszy: było nas tylko dwóch, nie mieliśmy już auta, nie mieliśmy niczyjego adresu.
***
Zazgrzytał klucz. Drzwi otwarły się.
Wszedł jakiś człowiek.
Niemiec, cywil, który był w Kopenhadze na rekonwalescencji. Mieszkał — o czym nie mieliśmy pojęcia — w tej samej willi, co my.
Chłopak poszedł w południe przejść się brzegiem morza. Wrócił na noc. Wojna się skończyła? To nie jego sprawa. Nie był żołnierzem. Ze stoickim spokojem miał zamiar czekać na rozwój wypadków.
Rozebrał się, nałożył jasnozielone spodnie od piżamy i świecąc nagim, opalonym torsem rzucił się na przystawki, o których zapomnieliśmy w całym tym zamieszaniu.
Przywołaliśmy go do rzeczywistości.
Zgodził się w końcu, że nasz przypadek jest nieco bardziej skomplikowany niż jego.
— Nie zna pan żadnej osobistości, która mieszka gdzieś w pobliżu — zapytaliśmy go.
Przeżuł wolno jajko w majonezie, wyczekał jeszcze chwilę:
— Tak — odparł — niemiecki gubernator Danii mieszka pięć minut stąd! Nie kazaliśmy sobie powtarzać dwa razy. Mój ostatni adiutant przebrał się w cywilne ubranie i natychmiast ruszył do posiadłości dr Besta.
Zastał go w kuchni zawalonego dziewiętnastoma walizkami, wyrywającego sobie z rozpaczy włosy z głowy. Best nie widział żadnej możliwości wyciągnięcia nas z mrowiska, w jakie zamieniała się Kopenhaga.
— Spróbuję wszystkiego, — powiedział. —- Jeśli znajdę jeszcze jakieś wyjście, za godzinę oficer marynarki przyjdzie po was i spróbuje umieścić was na jakimś okręcie.
Czekaliśmy całą noc w hallu.
Nikt nie przyszedł.

Rano czerwone i białe flagi powiewały na masztach we wszystkich willach w sąsiedztwie.
Łódź motorowa sto metrów od brzegu patrolowała okolice przed naszym tarasem. Ciężarówki załadowane „partyzantami" w hełmach, z pistoletami maszynowymi w garści, przejeżdżały pędem bulwarem. Każdy wskazywał ręką na Haus Wiking.
Nie miałem wątpliwości, że niebawem nas zaatakują.
***
Służba poszła się czegoś dowiedzieć. W mieście trwały rozruchy. Motłoch zdążył zabić już kilku Niemców. Panami miasta było teraz kilka tysięcy partyzantów.
Niemieckie budynki w centrum Kopenhagi były otoczone przez rozszalały tłum.
A mimo to prawie zazdrościliśmy naszym towarzyszom, którzy byli tam uwięzieni. Oni przynajmniej byli razem, mogli stawiać opór, aż do czasu przybycia oddziałów brytyjskich. My dwaj w każdej chwili mogliśmy zostać rozszarpani przez tłum.
Z miasta dochodziły odgłosy walki. Strzelano z karabinu maszynowego. Strzelano nawet z działa. Jak na kapitulację, było dość głośno!
Zastanawialiśmy się, kiedy i jak zginiemy.
Niespodziewanie piękna niebieska limuzyna z duńską rejestracją zatrzymała się przed drzwiami. Podbiegł jakiś człowiek:
— Przebierzcie się natychmiast w cywilne ubrania i wskakujcie do mojego samochodu.
W kilka sekund naciągnęliśmy na mundury cywilne spodnie i marynarki.
— Spróbujemy przedostać się przez miasto, — oznajmił nam kierowca, ubrany w elegancki garnitur.
— A jeśli nas zaatakują?...
— Wtedy nie będzie można już nic zrobić. Musicie zostawić tu całą broń, nawet rewolwery. Nasze wojska w Danii skapitulowały. Musimy uszanować słowo dane przez Rzeszę.
Opróżniliśmy kieszenie. Samochód wjechał w aleję.
***
Nasz pilot był oficerem w cywilu. Dr Best, wierny do końca, rozkazał mu uczynić wszystko, by nas uratować. Podjął ryzyko. Niemieckie okręty cumowały jeszcze w części kopenhaskiego portu. Mieliśmy spróbować do nich dotrzeć.
Musieliśmy jednak najpierw przejechać przez całe miasto.
Zaledwie wjechaliśmy na bulwary, kiedy natknęliśmy się na pierwszą barykadę. Sześciu partyzantów z wycelowanymi pistoletami maszynowymi blokowało odcinek drogi między dwoma skrzyżowaniami.
Nasz przewodnik udał więc, że hamuje i pozdrowił strażników jak swych dobrych znajomych. Ci pomyśleli pewnie, że to jeden z głównych dowódców oddziałów partyzanckich: niemiecki oficer korzystając z zaskoczenia natychmiast wcisnął pedał gazu.
W taki sam sposób minęliśmy kolejne sześć barykad.
Ale im bardziej zbliżaliśmy się do centrum miasta tym większe panowało zamieszanie. Cała Kopenhaga wyszła na ulice. Samochód posuwał się z wielkim trudem. Obrzucano nas dziwnymi spojrzeniami.
Co chwilę skręcaliśmy w jakieś małe uliczki i w końcu wylądowaliśmy na tym samym bulwarze, pięćdziesiąt metrów od krzyczącego tłumu, który szturmował jeden z budynków. Po ziemi ciągnięto jakiś cywili. Grupy partyzantów zagradzały drogę.
Mieliśmy sekundę, by gdzieś zjechać. Kiedy samochód skręcił, było już za późno, by się wycofać: wjechaliśmy na dziedziniec koszar zajmowanych przez ludzi z „ruchu oporu".
W budkach wartowniczych siedzieli partyzanci z karabinami maszynowymi.
Nasz kierowca spokojnie przejechał kilka metrów, następnie zawrócił we wspaniały stylu, sforsował betonowe zapory przeciwczołgowe i w końcu zręcznie wyjechał z paszczy wroga! Przejechaliśmy ponownie w pobliżu rozszalałego tłumu i pełnym gazem wjechaliśmy w sąsiednią uliczkę.
***
Nasz kierowca świetnie znał Kopenhagę. Jadąc bocznymi ulicami zdołał zbliżyć się do dzielnicy portowej.
Co chwilę natykaliśmy się na gromady plądrujące domy „kolaborantów". Do ciężarówek ładowano na wpół ogłuszonych cywili. Za każdym razem musieliśmy gwałtownie skręcać, by nie wpaść w sam środek zamieszek.
By dotrzeć do portu, niestety trzeba było przejechać nad kopenhaskim dworcem. Jak nie dać się złapać skoro musimy przejechać jednym z najdłuższych i najlepiej strzeżonych mostów, który łączył dwie drogi?

I wtedy kolejny raz w moje życie wtrącił się szczęśliwy los.
Dosłownie chwilę przez naszym przejazdem rozpoczęła się potężna strzelanina. Duńscy komuniści próbowali zająć kilkaset metrów od nas portowy skład paliwa. Niemcy odpowiedzieli ogniem z całej broni, jaką mieli na pokładach, w tym także z dział przeciwlotniczych. Rozwinęła się z tego regularna potyczka. Cywile, terroryści, placówki „ruchu oporu" ukryli się w pobliskich domach. To była ta sekunda podarowana nam przez Boga. Nasz samochód wyskoczył do przodu, jak strzała przejechał trzydzieści, czterdzieści metrów wąskiego mostu, zrobił szeroki zakręt, zjechał, zatrzymał się przed barierą: byliśmy uratowani, znajdowaliśmy się przy wjeździe do portu!
***
Lecz nawet tam duńscy partyzanci z rewolwerami w garści i rozbrojeni żołnierze niemieccy wymieszali się między sobą. Dyskretnie pokazałem jednemu z oficerów marynarki moje liście dębowe, które trzymałem w zaciśniętej dłoni. Z niewinną miną kazał mi wsiąść do łodzi i zawiózł nas, mnie i mojego adiutanta, na okręt flagowy dowódcy flotylli osiemnastu trałowców.
Na kopenhaskiej redzie rozgrywały się wstrząsające sceny. Na wprost miasta pogrążonego w szaleństwie, w błękitnej zatoce stała zakotwiczona cała niemiecka flota, ze wspaniałymi jednostkami jak „Prinz Eugen". Flagi Kriegsmarine nadal dumnie powiewały na wszystkich masztach.
Na pokładzie znajdowało się dwadzieścia tysięcy ludzi.
Lecz te wspaniałe, unieruchomione okręty, jeszcze tego wieczora, a najpóźniej jutro, padną łupem Aliantów.
Dowódca trałowców był człowiekiem zdecydowanym:
-— Nasze wojska w Norwegii nie zostały objęte kapitulacją, —powtarzał. — Jest być może jeszcze jakaś szansa, że tam dotrzemy.
Lecz admirał, z którym się skonsultował, stwierdził, że powinniśmy zrezygnować z planów dotarcia do Norwegii.
***
Miasto lśniło w słońcu.
O trzeciej po południu kapitan pokazał mi radiotelegram: angielska dywizja desantowa miała niebawem wylądować w Kopenhadze.
Kwadrans później brytyjski samolot przeleciał nad masztami, zakręcił i wylądował na naszych oczach na kopenhaskim lotnisku.
O piątej po południu niebo wypełnił dudniący warkot: w pięknym szyku nadlatywały setki wielkich angielskich samolotów transportowych. Wylądowały na lotnisku oddalonym od nas o kilka kilometrów.
Szósta po południu...
Z szerokich luków bagażowych wyprowadzano motocykle i „jeepy". Anglicy ruszyli w kierunku miasta. Rozszalały tłum witał ich okrzykami radości. Lada chwila pojawią się na nadbrzeżu...
Komandor patrzył na mnie płomiennym wzrokiem. Serdecznie ścisnął mnie za ramię:
— Nie! Nie! — krzyknął, — to nie oznacza, że Niemcy was opuściły! Wezwał młodego dowódcę jednego z trałowców:
— Musi się pan jakoś przedrzeć, — powiedział mu. — Chcę, by dotarł pan z Degrelleem do Oslo!
Podpłynął śliczny okręt, szary jak woda, wąski i cieniutki jak chart. Włożyłem obszerny płaszcz z baraniej skóry i przesadziłem prawą burtę.
Na wprost Anglików, którzy już rzucali petardy na bruk nadbrzeża, o szóstej trzydzieści po południu, ruszyliśmy całą naprzód w kierunku wybrzeży Szwecji, a później prosto na północ.

Oslo, 7 maja 1945

Na dziobie okrętu, na którym uciekłem, in extremis, z Kopenhagi, wdychając ostry zapach morza odnalazłem wreszcie spokój.
Na szwedzkim wybrzeżu umierały ostatnie promienie słońca. Plaża była na wyciągniecie ręki. Patrzyłem na białe mury, długie różowe kominy, ciemniejące w mroku wzgórza. Na wybrzeżu duńskim w ostatnich smugach światła lśniły, bardziej romantyczne niż kiedykolwiek, zielone dachy Helsingor.
Morze wyglądało jak szeroka rzeka.
Pragnąłem jak najszybciej wydostać się z tego wąskiego gardła, dopłynąć do Kattegat i w końcu zobaczyć błękit morza zlewający się z niebem.

Nadszedł wieczór, zanim dopadły nas brytyjskie samoloty. Wiał rześki wietrzyk. Oparłem się o balustradę na dziobie i oddałem się marzeniom, czując delikatną pieszczotę wiatru i mżawki. Podziwiałem jak w świetle milionów gwiazd z dziobu, niedaleko kluzy, tryskają krople wody.
Morze drżało, skrzyło się, lśniło aż po horyzont. Pozwoliłem, by jego śpiew ukoił mą gorączkę.
Nasz okręt był szybki. Jeśli chcieliśmy uniknąć zmasowanego ataku z powietrza, musieliśmy dopłynąć do norweskich fiordów wczesnym rankiem.
Nikt nie miał prawa spać na pokładzie, bo w każdej chwili mogliśmy wylecieć w powietrze na minie. Ale morze było szerokie. Wystarczyło miejsca i dla min i dla nas. Nie natknęliśmy się na żadną.
Trzy razy w ciągu nocy alianckie samoloty przelatywały nad naszymi masztami. Marynarze wyjaśnili nam, że walki na morzu były równie zacięte jak na drogach.
Noc była niezwykle przejrzysta.
Lecz angielskie samoloty za każdym razem tylko zniżały lot i przelatywały prawie tuż nad wodą.
Pilnowaliśmy się, by na to nie reagować.
Musieli pewnie zastanawiać się co jeszcze porabiamy w Kattegacie skoro wojna w Danii była skończona.
Ale nie nalegali.
Staraliśmy się być dobrze wychowani i brać przykład z ich dyskrecji.
O ósmej rano ujrzeliśmy wielkie brunatno-czarne skały wybrzeży Norwegii. Wpłynęliśmy do olśniewającego fiordu w Oslo. Żadnej barki, żadnego żaglowca na horyzoncie. Woda była gładka jak metal, w kolorze oszronionego błękitu, jak dorada, poprzecinana gdzieniegdzie długimi srebrnymi pasmami. Na brzegu kryły się między świerkami wille z drewna pomalowanego na niebiesko, brązowo, biało, ciemnozielono,. Pomyślałem o tym, jak okręty niemieckie przybijały do tego brzegu w taki sam jasny poranek w 1940 roku... Czarne skały były wspaniałe. Schodziły głęboko w fiord, zawracały, błyszczały w lśniącej wodzie.
Przez dwie godziny nasz mały szary okręcik płynął do przodu. Oświetlone słońcem brzegi coraz bardziej zbliżały się do siebie.
W oddali, za wejściem do portu wznosiły się: dachy, wieże kościołów, doki, żurawie, dźwigi.
Dopłynęliśmy do Oslo.
Była dziesiąta rano. Odpowiedziała nam syrena. Zakotwiczyliśmy w pobliżu dwóch uroczych miniaturowych łodzi podwodnych, niewiele większych od kajaków, w kolorze ciemnożółtym jak wyschnięte liście tytoniu.
***
Oslo było położone w jednej z najjaśniejszych zatok w Europie.
Miasto jeszcze spało. Była niedziela. Gdzieniegdzie przejeżdżały tramwaje. Zatelefonowaliśmy. Przyjechał po nas samochód. Zawiózł nas w kierunku gór, które ciągnęły się wzdłuż południowo-zachodniej strony fiordu w Oslo.
Była wspaniała pogoda.
Tysiące młodych dziewcząt o pięknych ciałach, okrytych lekkimi wdziankami z mieniącego się materiału, pedałowały na rowerach wzdłuż kanałów, szaro-brązowych skał, czarnych świerków.
Wszystkie te nimfy zmierzały w stronę porośniętych trawą wzgórz. Ciemnoniebieska woda lśniła, oblewała potężne skały, odpoczywała w wielkich połączonych ze sobą, błyszczących zatoczkach.
Dwa razy zatrzymywaliśmy się, by spytać o drogę. Spacerowicze mierzyli nas wzrokiem: nie, każdy kiwał przecząco głową... Mimo pięknych widoków, jasnych włosów, zabawnych czerwonych lub niebieskich spodni uroczych panien, mimo słońca, mimo wiosennej pogody, wojna i jej furia były na pierwszym miejscu...
Dotarliśmy do stojącego na jednym z wzniesień zamku następcy tronu księcia Olafa, gdzie miałem się spotkać z niemieckim gubernatorem Norwegii, dr Terbovenem. Przyjął mnie natychmiast. Miał nieruchomą twarz i mrugał małymi oczkami dokładnie jak Himmler.
Wyjaśniłem mu mój plan. Pragnąłem jak najszybciej znaleźć się na norweskim froncie. Dopóki będzie trwała wojna z bolszewikami, dopóty mój legion będzie brał udział w tej walce. Szybko dołączą do nas inni Walończycy...
Dr Treboven musiał otrzymać wyjątkowo złe wiadomości. Potrząsnął głową. Powiedział mi o wyjeździe do Szwecji lub Japonii. Pomyślałem o Narwiku i Przylądku Północnym.
Kazał przynieść stary francuski koniak i zaproponował mi kilka kanapek. Z zamkowego tarasu rozciągał się widok na zatokę, potężną przepiękną symfonię ciemnego błękitu, brązu i zieleni. Dlaczego jest tyle nienawiści w sercach ludzi, skoro ziemia jest tak piękna?

Dr Terboven kazał zarezerwować dla mnie mieszkanie w Oslo. Miał informować mnie o rozwoju sytuacji. Zjechałem do mieniącej się wszystkimi kolorami doliny. Okolica były wspaniała. Ale ja nie bardzo wiedziałem, jak się z niej wydostać.
***
Wziąłem kąpiel. Kazałem podłączyć radio w moim pokoju — Alianci świętowali zwycięstwo. Ja jednak byłem tak wykończony, że przespałem twardo całą noc.
Nazajutrz — był poniedziałek 7 maja 1945 roku — obudziły mnie okrzyki radości spikerów z Radia Londyn. Dowiedziałem się, że została uregulowana kwestia ostatecznej kapitulacji Rzeszy, teraz była to już tylko kwestia kilku godzin, może nawet minut.
Norweski premier Quisling, którego jeszcze nie znałem, zaprosił mnie do siebie, do Pałacu Królewskiego.
Miałem się z nim spotkać o jedenastej trzydzieści. Wcześniej pospacerowałem trochę po ulicach miasta. Pałac był zupełnie przeciętny. Nad głównymi schodach z białego marmury wisiały dwa wielkie arrasy, które wyglądały imponująco. Królewskie meble były w opłakanym stanie i czuć je było kuchnią. Przed pałacem stał pomnik przedstawiający monarchę w klasycznej pozie, galopującego na pięknym ogierze z pozieleniałego brązu, upstrzony ptasimi odchodami.
Quisling wyglądał na przytłoczonego sytuacją. Rozmawialiśmy o niczym przez prawie pół godziny. Terboven prosił mnie, bym uspokoił premiera. To wykluczało większość tematów rozmowy. Sprawiał wrażenie, że coś go gryzie. Miał obrzmiałą twarz, rozbiegane oczy, cały czas stukał palcami o blat stołu.
Wiedział, że jest zgubiony.
Byłem jego ostatnim gościem. Po południu pojechał do granicy ze Szwecją, ale został stamtąd cofnięty i w nocy wrócił do Oslo zastanawiając się, do którego fiordu się rzucić. Został rozstrzelany kilka miesięcy później.
***
Hotelowemu burgundowi nie zaszkodziła wojna.
Do obiadu wypiłem całą butelkę tego wspaniałego wina, lecz radio przeszkodziło mi w pełni się nim delektować: o drugiej po południu nadano wystąpienie nowego ministra spraw zagranicznych Rzeszy.
Słysząc przemowę tego pana, w takich, a nie innych okolicznościach, z góry wiedziałem co powie. Kapitulacja poza Rzeszą była sprawą dokonaną: w Czechach, na Litwie, na Krecie, we francuskich portach Atlantyku; trzysta tysięcy ludzi w Norwegii składało broń tak jak wszyscy pozostali.
Czemu Niemcy miałyby jeszcze walczyć, poświęcać życie swoich żołnierzy, skoro ostatni metr ich ziemi został zdobyty, skoro Alianci zajęli już cały kraj od Szlezwiku po Sudety.
Oddziały Rzeszy w Skandynawii zostaną potraktowane poprawnie. Żołnierze zostaną przetransportowani do kraju i uwolnieni. Niemieckie wojska na Krecie uzyskały nawet prawo do honorowej kapitulacji: żołnierze zatrzymają broń, a angielskie transportowce przewiozą ich do kraju.
Jednak przed nami, ostatnimi cudzoziemskimi ochotnikami, otwierała się przepaść.
Całe popołudnie spędziłem przy oknie. Po co się zamartwiać? Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy. Wytrwałem do samego końca, uparty, opanowany. Teraz już nie miałem dokąd uciekać: Biegun Północny także skapitulował.
Na ulicach zbierał się tłum, spokojniejszy jednak niż w Kopenhadze. Młode dziewczęta powiewały flagami. Niemieccy żołnierze jeszcze przemieszczali się po mieście bez przeszkód ze strony Norwegów. Bijatyki, morderstwa i samobójstwa nastąpią dopiero wraz z przybyciem partyzantów, którzy następnego dnia zejdą z gór.
Czekałem na wiadomości od dr Terbovena. O szóstej po południu wezwał mnie do pałacu księcia Olafa.
***
Miałem okazję powtórzyć spacer wzdłuż fiordu. Ponownie mogłem podziwiać piękną panoramę z tarasu.
Dr Terboven przywitał mnie w towarzystwie swego przyjaciela Obergruppenfuhrera Rediessa. Obydwaj byli niezwykle spokojni. Następnego dnia rano znaleziono ich wykrwawionych na śmierć, z pistoletami w lodowatych dłoniach. Żaden z nich nie chciał oddać Norwegii zwycięzcom.
Razem podziwialiśmy niezwykły pejzaż. Lokaj w wytwornym stroju serwował nam napoje, jakbyśmy byli na jakimś garden party w niewinne, pogodne wiosenne popołudnie.
W pewnej chwili Terboven poinformował mnie poważnym głosem:

— Prosiłem Szwecję o przyznanie nam azylu. Odmówiła. Być może jakiś okręt podwodny mógłby przewieźć nas do Japonii. Ale kapitulacja jest bezwarunkowa: żaden okręt podwodny nie może już nigdzie wyruszyć.
„Na lotnisku pod górami został jeden samolot. To maszyna ministra Speera. Czy chce pan jeszcze tej nocy spróbować przedostać się do Hiszpanii?"
Zrobiliśmy obliczenia. Z Oslo w Pireneje było w linii prostej około dwa tysiące sto pięćdziesiąt kilometrów. Teoretycznie samolot mógł pokonać dwa tysiące sto kilometrów.
Lecąc bardzo wysoko, by oszczędzać paliwo, można było tam dotrzeć...
Nie miałem wyboru.
Zgodziłem się.
Od dwóch tygodni każdego dnia grałem o życie. Zagram teraz po raz ostatni.
***
Wróciłem do Oslo rojącego się od rozradowanych tłumów.
Hotel był zupełnie pusty. Wszystkie drzwi rozwarto na oścież. Obsługa zniknęła.
Trzeba było czekać. Nie można było nic przedsięwziąć, nim zapadnie noc.
Czekała mnie ostatni przygoda.
Musiałem chyłkiem przedostać się na lotnisko.
O jedenastej wieczorem przystojny pilot o kędzierzawych włosach i dłoniach jak łopaty, odznaczony Krzyżem Żelaznym, zatrzymał mały samochód przed naszym hotelem. Wsiadłem w towarzystwie mego ostatniego adiutanta.
Wszędzie na ulice wylęgały manifestujące tłumy. Byłem jeszcze w mundurze pułkownika Waffen SS, a na szyi miałem Krzyż Rycerski z Liśćmi Dębowymi. Dziesiątki tysięcy postawnych chłopców o jasnych włosach i dziewcząt o idealnych kształtach, zagradzały drogę. Ale rozstępowali się z uśmiechem pozwalając nam przejechać.
Za Oslo nie usunięto ani jednej zapory przeciwczołgowej.
Nasz lotnik zawiózł nas w ciemnościach pod same skrzydła samolotu, tak by nikt nas nie zauważył.
Trzej lotnicy zajęli miejsca.
Minutę później byliśmy już w górze.

XI
Życie

Pierwsze, co poczułem kiedy samolot opuścił norweską ziemię, to ogromna ulga.
Startując zerwaliśmy ostatnie cumy niepewności.
Teraz wszystko było jasne: kiedy samolot wyląduje, okaże się, czy się nam udało, czy też przepadliśmy na dobre.
Kości zostały rzucone: życie albo śmierć! W końcu się dowiemy. Nie musieliśmy już zastanawiać się, kombinować, rozważać.
Zbliżała się północ.
Wojna skończyła się właściwie o czternastej, kiedy niemieckie radio nadało oświadczenie o kapitulacji. Jednakże oficjalnie wchodziła ona w życie dopiero nazajutrz 8 maja 1945 roku.
Byliśmy więc między wojną i pokojem, tak jak między ziemią i niebem.
Jakiś czas lecieliśmy nad Skagerrakiem. Potem już tylko kompas pokładowy i wiedza naszych wspaniałych pilotów będą prowadzić nas przez burzę; z wiadomych względów nie mogliśmy używać radia; nie mieliśmy nawet mapy Europy.
Komendant lotniska w Oslo ofiarował naszym pilotom wspaniałą mapą... Norwegii, sięgającą do Trondheim. Jeden z lotników miał też malutką mapę Francji, wyrwaną z kieszonkowego atlasu. Były na niej zaznaczone tylko trzy rzeki: Sekwana, Loara i Rodan.
Wznieśliśmy się na wysokość czterech tysięcy metrów, by zaoszczędzić trochę paliwa. Jednak burza szalejąca na tej wysokości szybko zmusiła nas do obniżenia lotu.
***
Oczywiście pojedynczemu samolotowi, który bez żadnej osłony miał zamiar przelecieć dwa tysiące kilometrów nad okupowanymi terenami, groziło, że w każdej chwili może zostać zestrzelony.
Uważałem, że naszą jedyną szansę stanowi fakt, że w całym obozie alianckim od południa wszyscy świętują zwycięstwo.
Na całym obszarze, nad którym mieliśmy przelecieć, zwycięzcy z pewnością pochłaniali w tej chwili morze szampana i whisky.

Tysiące angielskich i amerykańskich pilotów myśliwców, uwolnionych od konieczności nocnych patroli, będą znajdować się na skraju, lub na dnie, zamroczenia alkoholowego wtedy, kiedy nasz Heinkel będzie przelatywał przez kontrolowane przez nich wcześniej strefy.
Ta noc była jedyną, by zrealizować nasz śmiały plan.
A poza tym kto mógł sobie wyobrazić, że samotny samolot, nadal dumnie noszący swastyki, będzie zuchwale próbował przelecieć nad Holandią, Belgią i całą Francją, teraz kiedy wojna była już skończona?
A przede wszystkim kto mógł sobie wyobrazić, że jakiś niemiecki samolot nadleci znad Morza Północnego, od strony Szkocji?
Rzeczywiście uciekliśmy się do tego podstępu, polecieliśmy najpierw prosto w kierunku Anglii i dotarliśmy do kontynentu europejskiego tak, jakbyśmy nadlatywali z Wielkiej Brytanii.
Patrzyłem na uciekające pod nami czarne pola. W ciemnościach widać było jadące samochody z zapalonymi reflektorami. Malutkie świecące miasteczka wyglądały jak płonące pudełka zapałek.
Wszędzie ludzie śpiewali, pili...
Było może wpół do drugiej nad ranem, gdy dostrzegłem niepokojące zjawisko: potężny reflektor zapalił się tuż za nami i omiatał całe niebo.
Serce zaczęło mi szybciej bić.
***
Mimo świętowania na ziemi, zostaliśmy dostrzeżeni.
Reflektory zapaliły się teraz na naszej wysokości. Inne zapalały się daleko przed nami. Lotniska wyglądały jak wielkie rozświetlone czworokąty. Pasy startowe lśniły jak białe prześcieradła.
Nasza maszyna leciała najszybciej jak mogła, by umknąć przed tymi przeklętymi światłami.
Ale cały czas zapalały się kolejne reflektory i biegły w naszym kierunku, jakby chciały nas pochwycić.
Wokół skrzydeł przeskakiwały z trzaskiem małe ogniki.
Radio zaczęło trzeszczeć. Obserwatorzy z alianckiego lotniska wywoływali nas: „Kim jesteście? Co robicie?”
Nic im nie odpowiedzieliśmy i uciekliśmy tak szybko, jak to tylko było możliwe.
***
Pode mną rozciągała się Belgia.
Widziałem Antwerpię, lśniącą w mroku pierwszej nocy odzyskanego pokoju. Myślałem o naszych rzekach, drogach, o tych wszystkich miejscowościach, gdzie przemawiałem, o równinach, pagórkach, starych domach, które tak bardzo kochałem! Cały ten lud pod moim ciemnym samolotem, ten lud, który chciałem podźwignąć, uszlachetnić, poprowadzić ku wielkości... Po lewej stronie zobaczyłem światła Brukseli, wielką czarną plamę lasu Soignes, gdzie znajdowało się moje drogie siedlisko...
Ach! Nieszczęsny, kto został zwyciężony, a jego sny i marzenia legły w gruzach... Zacisnąłem zęby i usiłowałem powstrzymać łzy... Nocą, targany wiatrem, ścigany przez gorzkie przeznaczenie, ostatni raz patrzyłem na moją ojczyznę...
***
Minęliśmy Lille. Cały czas prześladowały nas reflektory na lotniskach.
Ale im bardziej przesuwaliśmy się na południe, tym silniej wierzyliśmy, że uda nam się uciec przed śmiercią.
Zbliżaliśmy się do Paryża. Przelecieliśmy nad nim na bardzo małej wysokości. Doskonale widziałem poszczególne ulice, place, posrebrzane jak gołębie.
Ciągle żyliśmy! Przelecieliśmy nad Beauce, Loarą, Wandeą. Niebawem mieliśmy dotrzeć do Atlantyku. Ale piloci spoglądali na siebie z niepokojem. Oczywiście teraz ryzyko, że zostaniemy zestrzeleni przez alianckie działo przeciwlotnicze lub jakiś samolot, znacznie zmalało. Ale spadł poziom paliwa.
Noc była przeraźliwie ciemna.
Z lękiem obserwowałem ziemię. Świecąca wskazówka pokazywała piątą nad ranem. Blada poświata rozświetlała mrok. Po chwili poznałem ją: to było estuarium Żyrondy. Byliśmy na dobrej drodze.
Lecieliśmy wzdłuż wody.
Widzieliśmy rozmazany piaszczysty brzeg omywany przez fale. Na wschodzie, na samym końcu nieba horyzont drżał delikatnie, prawie niezauważalnie.
Paliwa ubywało coraz bardziej.
W niebieskawym świetle przyrządów pokładowych widziałem ściągniętą niepokojem twarz pilota.
Samolot zwalniał, opadał.

Przelecieliśmy nad Arcachon. Kiedyś tam mieszkałem pod pachnącymi jodłami. Port był oświetlony jak na 14 lipca.
W oddali widzieliśmy czarną bryłę Landów, podziurawioną błyszczącą plamą wielkiego jeziora Biscarosse.
Silnik Heinkela zaczął od czasu do czasu strzelać.
Jeden z pilotów rozdał nam kamizelki ratunkowe. Strzałka wskazująca poziom paliwa spadła do zera. W każdej chwili mogliśmy spaść do morza.
***
Z takim napięciem wypatrywałem linii Pirenejów, że miałem wrażenie, iż moje napięte nerwy zaraz się pozrywają. Pojawiły się pierwsze promienie słońca.
Szczyty gór powinny być już widoczne... Ale ciągle ich nie wiedzieliśmy.
Wystrzały w silniku były coraz głośniejsze.
Na południowym wschodzie na niebie pojawiła się niebieskawy łuk: łańcuch Pirenejów był przed nami!
Ale czy utrzymamy się w powietrzu tak długo, by dolecieć do wybrzeży Hiszpanii?
Z powodu burzy przelecieliśmy już blisko dwa tysiące trzysta kilometrów. Musieliśmy przechylić maszynę na lewe skrzydło, następnie na prawe, by przelać do silnika ostatnie litry paliwa z baków.
Znałem okolice Biarritz i Saint-Jean-de-Luz. Z daleka widziałem bielejące na horyzoncie krzywizny Pirenejów u ujścia Bidassoa.
Ale samolot nie był już w stanie lecieć dalej. Przesuwał się prawie ocierając się o fale. Zginiemy dwadzieścia kilometrów od wybrzeża iberyjskiego.
Musieliśmy wystrzelić czerwone rakiety ratunkowe: dwa okręciki nadpływające od strony wybrzeża francuskiego skierowały się w naszym kierunku.
Katastrofa! I pomyśleć, że wtedy właśnie w oddali rozbłysła latarnia, latarnia hiszpańska!
Dziwnie było widzieć pod sobą ostre szczyty fal i chlupoczące morze gotowe nas pochłonąć... Ale ciągle jeszcze nie spadliśmy. Wybrzeże zbliżało się, wysuwając w naszą stronę swe przyboje, skały przybrzeżne i czarno-zielone góry, wyłaniające się z mroku.
Nagle pilot poderwał samolot, ustawił go pionowo, prawie całkiem obrócił warcząc przeraźliwie silnikiem, by wysączyć ostatnie krople paliwa, a następnie rzucił go ze strasznym rykiem nad skalistym wzniesieniem w kierunku kilku czerwonych dachów.
Nie zdążyliśmy nawet niczego pomyśleć.
Przez ułamek sekundy widzieliśmy mały skrawek piasku. Heinkel, który nawet nie wysunął podwozia, prześlizgnął się po ziemi z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zobaczyłem jak prawy silnik wybucha i zamienia się w kulę ognia. Maszyna obróciła się, skierowała się w stronę wody i zanurzyła w fale.
Woda wdarła się do roztrzaskanej kabiny i sięgnęła nam do pasa. Miałem pięć złamań. Na plaży w San Sebastian zaniepokojeni funkcjonariusze Guardia Civil w czarnych dwurogich kapeluszach biegali przed domami i hotelami. Jacyś Hiszpanie, półnadzy jak Tahitańczycy, podpłynęli wpław do naszego rozbitego samolotu.
Wciągnęli mnie na skrzydło, potem zaś na kajak. Podpłynął ambulans.
Tym razem wojna skończyła się na dobre...
***
Żyłem. Bóg mnie ocalił.
Nawet moje rany były błogosławieństwem.
Spędziłem miesiące w szpitalnym łóżku.
Ale zachowałem siłę i wiarę.
Pozostałem, jako świadek bohaterskich czynów mych żołnierzy. Mogłem oczyścić ich z brudu, jakim obrzucił ich imię niewrażliwy na bohaterstwo przeciwnik. Mogłem opowiedzieć o ich niezwykłej drodze przez Doniec, Don, Kaukaz, Czerkasy, Estonię, Stargard i Odrę.
Pewnego dnia święte imiona naszych poległych będą wymawiane z dumą. Nasz naród słysząc opowieści o ich chwale poczuje wrzenie krwi. I uzna swych synów.
Bez wątpienia zostaliśmy pokonani.
Zostaliśmy rozproszeni, rozrzuceni na cztery strony Europy.
Ale mogliśmy patrzeć w przyszłość z podniesiona głową. Historia ocenia ludzkie zasługi. Wynieśliśmy naszą młodzież ponad ziemskie poniżenie ku pełnej ofierze. Walczyliśmy za Europę, jej wiarę, cywilizację. Dotarliśmy do kresu szczerości i poświęcenia. Wcześniej czy później Europa i świat będą musiały uznać słuszność naszej sprawy i nieskalaną czystość naszego daru.
Bo nienawiść umiera, umiera przygnieciona ciężarem swej głupoty i podłości.

A chwała jest wieczna. A my żyliśmy w chwale.

Szpital wojskowy „Mola" San Sebastian (Hiszpania) Sierpień — grudzień 1945

ANEKSY

Leon Degrelle

Urodzony 15 czerwca 1906 w Bouillon w rodzinie o tradycjach jezuickich. W latach dwudziestych pod wpływem teoretyka francuskiego nacjonalizmu Charlesa Maurrasa, wstąpił do prawicowej Action Francaise. Wydawca i publicysta. W 1930 roku założył w Walonii katolicki, radykalno-narodowy ruch: Christus Rex, a następnie Reksistowski Ruch Ludowy.
Współtwórca Legionu Ochotniczego „Walonia", przeszedł w nim drogę od szeregowca do porucznika (maj 1942) i na koniec SS-Oberfuhrera (sierpień 1944). Jako dowódca „Walonii" od stycznia 1944 był najmłodszym dowódcą wielkiej jednostki w całych siłach zbrojnych III Rzeszy. W roku 1945 planowano powierzenie mu dowództwa Ochotniczego Korpusu SS „West" (Zachód). Podczas kontrofensywy w Ardenach był pełnomocnikiem ds. zajętych terenów belgijskich.
W maju 1942 r. został odznaczony Krzyżem Żelaznym, a następnie 20 lutego 1944 roku po wydarciu się z kotła czerkaskiego, Krzyżem Rycerskim — osobiście przez Hitlera. Następnie 27 sierpnia tegoż roku Liśćmi Dębowymi do Krzyża Rycerskiego. Odznaczenie to odebrał w Kwaterze Głównej Fuhrera dopiero w październiku. Uznany przez sąd belgijski in absentia winnym zbrodni stanu i skazany na śmierć.
8 maja 1945 r., po kapitulacji III Rzeszy, przedostał się samolotem do Hiszpanii, gdzie uzyskał azyl polityczny. Po krótkim pobycie w Argentynie, powrócił do Madrytu, gdzie w 1973 r. udzielił słynnego wywiadu telewizji holenderskiej, w którym uznał Hitlera za największego męża stanu naszych czasów i podtrzymał wszystkie swoje wybory ideowe.
Zmarł w nocy z 31 marca na 1 kwietnia 1994 r. Obok „Frontu Wschodniego" (Front de 1'Est 1941-45, wydanie oryginalne ukazało się w 1969 r.), tłumaczonego m.in. na niemiecki, włoski, hiszpański i holenderski, opublikował kilkadziesiąt innych pozycji publicystycznych, a także wspomnieniowych (w tym „La campagne de Russie 1941-45", wyd. 1948, nieco inną wersję niniejszego pamiętnika) i historycznych oraz zbiór wierszy. Kolportaż jego książek w Belgii był prawnie zabroniony.

Dywizja „Walonia"

Kolejno: w składzie Wehrmachtu jako Legion Waloński (Wallonische Legion/Corps Franc Wallonie) i 373 Waloński Batalion Piechoty; w składzie Waffen SS jako 5 Brygada/Brygada Szturmowa SS (SS-Freiwiligen Brigade/Sturmbrigade/La Brigade dAssault) „Wallonien" i 28 Ochotnicza Dywizja Grenadierów Pancernych SS (28 SS-Freiwilligen Panzergrenadier Division) „Wallonien".
Jednostka składała się z Walonów i reksistów. W ciągu 4 lat przewinęło się przez nią ok. 8 tys. żołnierzy, w tym ochotników walońskich (z których poległo 2,5 tys.). W ostatnim okresie wojny składała się nominalnie z 3 pułków grenadierów (69, 70, 71) oraz kompanii przeciwpancernej. Dowódcami byli: SS-Standartenfuhrer Lucien Lippert i SS-Hauptsturmfuhrer (następnie Oberfuhrer) Leon Degrelle.
Żołnierze dywizji nosili typowe mundury Waffen SS; wyróżnikami były krzyż burgundzki — na patkach, takiż krzyż burgundzki na białym tle, względnie tarcza z barwami narodowymi Belgii — czarnym, żółtym i czerwonym oraz napisem „Wallonie", a także nieregulaminowa opaska z napisem „Wallonien" lub „Wallonie" — na rękawach mundurów. Weterani 373 Batalionu mieli prawo do symbolu szarotki — odznaki strzelców górskich.

Zwięzła chronologia jednostki

Lipiec 1941
Degrelle z ok. 1000 ochotników tworzy 373 Waloński Batalion Piechoty wcielony do Wehrmachtu.
8 sierpnia 1941
Defiladą ochotników w Brukseli. Jednostka zostaje przemieszczona na ziemie polskie celem szkolenia.

Październik-grudzień 1941
W odwodzie Grupy Armii „Południe” na Ukrainie. Chrzest bojowy batalionu w walkach z partyzantką sowiecką.
Styczeń-luty 1942
Batalion zostaje przydzielony czasowo do jednej z dywizji rumuńskich, a następnie do 100 Dywizji Strzelców Górskich. Walki pozycyjne.
Luty 1942
„Walonia” zostaje ponownie skierowana do odwodów.
Maj-grudzień 1942
W wielkiej ofensywie na południowy skrzydle frontu „Walonia” zostaje czasowo wcielona do 68 Dywizji Piechoty gen. por. Roberta Meissnera, a następnie podporządkowana 97 Dywizji Strzelców Górskich; walczy nad Dońcem, Donem, na Kubaniu, pod Majkopem i pod Tuapse.
Styczeń 1943
Wielki wiec w Pałacu Sportu w Brukseli. Rekrutacja nowych ochotników.
Maj 1943
Stan jednostki wynosi ok. 1600 ludzi.
Czerwiec 1943
„Walonia” zostaje wcielona do Waffen SS jako brygada szturmowa.
19 listopada 1943
Jednostka w sile 2 tys. żołnierzy zajmuje pozycje na linii Dniepru.
Styczeń-luty 1944
Walki odwrotowe i wyrwanie się z kotła korsuńskiego. W szeregach pozostaje 632 ludzi. Straty bezpowrotne sięgają 35% stanów wyjściowych.
13 lutego 1944
Dowództwo brygady po śmierci Lipperta przejmuje Degrelle.
Marzec 1944
Jednostka przeniesiona do Wildflechen we Frankonii i przemianowana na 5 Brygadę Szturmową SS.
Kwiecień 1944
Triumfalny przemarsz brygady przez Belgię.
Maj 1944
Reorganizacja i szkolenie na poligonie w Dębicy.
Sierpień-wrzesień 1944
Obrona Dorpatu w składzie III Korpusu SS.
Październik 1944
Koncentracja resztek brygady w południowym Brunszwiku i Hannowerze, celem przeformowania na 28 Ochotniczą Dywizję Grenadierów Pancernych „Wallonien”. Kadra zostaje uzupełniona przez nabór nowych ochotników, w większości reksistów, a także Niemców.
Grudzień 1944
W odwodzie na froncie zachodnim podczas kontrofensywy w Ardenach.
30 stycznia 1945
Dywizja uzupełniona do 4 tys. ludzi przeniesiona w okolice Stargardu i podporządkowana III Korpusowi Pancernemu SS w składzie 11 Armii.
Luty 1945
W czasie operacji zaczepnej 11 Armii na Pomorzu Zachodnim dywizja podlega dowództwu XXXIX Korpusu Pancernego. W jej skład włączono prawdopodobnie ok. 1000 Hiszpanów z 250 Dywizji Piechoty tzw. „Błękitnej” (ochotniczej jednostki hiszpańskiej walczącej na froncie wschodnim w ramach Wehrmachtu) jako Ochotniczy Hiszpański Batalion SS.
Marzec 1945
Podczas walk o Szczecin-Dąbie w składzie 3 Armii Pancernej liczebność „Walonii” spada do 1200 ludzi.
Kwiecień 1945
W czasie obrony linii Odry dywizja liczy ok. 700 żołnierzy.
Maj 1945
Resztki dywizji kapitulują w Szlezwiku-Holsztynie i Brandenburgii.

Posłowie: Rycerski epos Leona Degrelle'a

Jest to książka niezwykła. Niezwykłym człowiekiem był także jej autor.
Radykalnie prawicowy działacz polityczny i ideowy ochotnik w wojnie z nienawistnym mu bolszewizmem. Szeregowy żołnierz frontu wschodniego, wyróżniony wszystkimi możliwymi odznaczeniami bojowymi, awansowany jako dowódca brygady/dywizji „Walonia" aż do stopnia generalskiego. Skazany w ojczyźnie na śmierć in absentia, po wojnie — polityczny azylant. Wtedy z ulubieńca historii stał się jej bękartem. Ponieważ w dobrym towarzystwie nie mówi się o wyklętym potomstwie z nieprawego łoża, najważniejsza książka Degrelle' a została świadomie zapomniana.
Tymczasem samo już tylko przedstawienie wojny na Wschodzie w optyce niemieckiej, zasługuje, zwłaszcza u polskiego czytelnika, na szczególną uwagę. Mając pod ręką w każdej większej bibliotece setki tomów: od memuarów Żukowa, Koniewa, Rokossowskiego i dziesiątków innych sowieckich marszałków i generałów — po powieści Beka, Niekrasowa czy Simonowa, a w filmotece dziesiątki obrazów — od gigantycznych epopei w rodzaju „Upadku Berlina" czy „Wyzwolenia", po kameralne, dodajmy, świetne filmy, takie jak: „Ballada o żołnierzu", czy niezapomniany „Żenią, Żenieczka i katiusza". Chowany i wychowany na rodzimych „Jarzębinach czerwonych" czy „Czterech pancernych", polski odbiorca przez lata nie miał prawa i możliwości audiatur et altera pars.
Działania, racje i motywy Niemców i ich sojuszników przedstawiano w czasach PRL-u w sposób wybiórczy i skrajnie propagandowy. Co prawda w ostatnich latach pojawiło się wiele przekładów i filmów z hitami: „Stalingrad" i „Wróg u bram", weryfikujących ten jednostronny obraz, ale co by o nich nie powiedzieć, naznaczone były kompleksami klęski, winy i kary.
Wspomnienia Leona Degrelle'a stanowią na tym tle nową jakość. Jest to bowiem spowiedź ideowca, który z niczego się nie tłumaczy i nie poczuwa się do konieczności ekspiacji za swe uczynki, a jeżeli czegoś żałuje, to jedynie klęski sprawy o która walczył. Nie była ona sprawą Polaków. Ale też adwokatami naszych interesów na pewno nie byli sowieccy politrucy i enkawudziści, których książki nie wzbudzają do dzisiaj, u najbardziej zaciekłych rodzimych anty komunistów: ani oburzenia, ani nawet zgorszenia. Wojna na Wschodzie była morderczym starciem dwu równie zbrodniczych totalitaryzmów: stalinowskiego i hitlerowskiego. Polacy mający z obydwoma swoje porachunki, zostali wplątani w ów konflikt od samego początku, nie z własnej woli, walcząc na frontach w mundurach równie dobrze sowieckich, jak i niemieckich. Wielu z nich, którzy pojawili się na tej wojnie w roku 1943 już w polskich uniformach, wołałoby nie przysięgać wierności Związkowi Sowieckiemu, walczyć pod innym dowództwem i w rogatywkach z innymi orzełkami.
Książka Degrelle'a ma niezwykłą wagę, nie tylko dokumentacyjną. Jest jednym z najbardziej wstrząsających opisów wojny, jakie zna światowa literatura. Wielki samorodny talent autora powoduje, że przy lekturze stają przed oczami płótna flamandzkich mistrzów i „Okropności wojny" Goyi.
Nasuwają się też nieodłączne konotacje literackie z „Wojną i pokojem" hrabiego Tołstoja w jej najlepszych batalistycznych fragmentach, pamiętnikami hrabiego de Segura o odwrocie z Rosji w 1812 roku, „Podrożą do kresu nocy" Celine'a i wojennymi reportażami Malapartego.
Degrelle pisał swoje wspomnienia krótko po klęsce. Miały pełnić rolę manifestu i mowy obrończej dla niego i jego bohaterskich żołnierzy, postawionych, dzięki sowieckiej manipulacji bez prawa do jakiegokolwiek adwokata, pod pręgierzem liberalnej opinii świata zachodniego i jego sprawnie działającego aparatu sądowniczego. Taki zamysł autora spowodował, że nadał im, na przekór historii, formę epickiej opowieści o walce dobra (europejskiej cywilizacji) ze złem (azjatyckimi watahami bolszewików). Widać to, gdy pisze z nienawiścią i pogardą o wrogach — zdziczałych hordach Mongołów, Kałmuków itp. i heroizuje własnych żołnierzy — niezwyciężonych Walonów i ich promiennych niemieckich sojuszników z runicznymi błyskawicami na patkach kołnierzy.
W taką dychotomię naprawdę nie wierzy jednak sam — cywilni Ukraińcy, czy mieszkańcy Kaukazu, z którymi stykał się po swojej stronie frontu, są bowiem odmalowani w najbardziej pastelowych barwach, podczas gdy ich ojcowie, bracia i synowie, przebrani w sowieckie mundury, zamieniają się tym samym w najnikczemniejsze i najobrzydliwsze monstra.
Tak bywa jednak tylko w bajkach. Odrzuciwszy tolkienowską warstwę narracji, pozostaje nagi opis wojny, Degrelle-żołnierz gloryfikuje ją, jako kuźnię najbardziej elementarnych wartości. Degrelle-pisarz relacjonuje w turpistycznej tonacji jej bieg — toczonej ponad ludzkie możliwości w najbardziej nieludzkich warunkach.

Na zderzeniu tych dwóch postaw — zaangażowanego uczestnika i beznamiętnego obserwatora-portrecisty — polega wielkość tej książki, która zostałaby z pewnością obsypana najwyższymi literackimi trofeami z należną jej literacką Nagrodą Nobla, gdyby tylko posiadała słuszne konotacje ideowe. Świat jednak dążąc od lat pod amerykańskim przewodem do politycznej poprawności zawsze był po stronie zwycięskich batalionów...

Paweł Wieczorkiewicz